

Dowódca "Sophie"

Patrick O'Brian



calibre 0.9.27

Dowódca "Sophie"

Patrick O'Brian



calibre 0.9.27

Patrick O'Brian

Dowódca „Sophie”

Tłumaczył Bernard Stępień

Zysk i S-ka Wydawnictwo

Tytuł oryginału Master and Commander

OD AUTORA

Pisząc o Royal Navy, Królewskiej Marynarce Wojennej z osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku, nie można uniknąć pewnych niedoskonałości. Trudno jest w pełni dochować wierności tematowi, gdyż nieprawdopodobna wręcz rzeczywistość bardzo często wykraczała znacznie poza ramy wyobraźni. Nawet najbardziej bujna imaginacja nie może chyba stworzyć sceny, w której admirał Nelson, skacząc przez okno rufowej galeryjki ze swego pogruchotanego „Captain”, uzbrojonego w siedemdziesiąt cztery działa, przedostaje się na osiemdziesięciodziałowego „San Nicolasa” i pośpiesznie przechodzi na olbrzymiego „San Josefa” o stu dwudziestu działach. Później, jak admirał sam to opisuje: „na pokładzie hiszpańskiego okrętu pierwszej klasy, w ów może dość ekstrawagancki sposób,

przyjąłem szpady od pokonanych
Hiszpanów i przekazałem je
Williamowi Fearneyowi, członkowi
załogi mej paradnej łodzi. Ten zaś ze
stoickim spokojem wziął je wszystkie
pod pachę".

Stronice zapisane przez Beatsona,
Jamesa, kartki „Naval Chronicle”,
archiwalne dokumenty Admiralicji w
Public Record Office, biografie u
Marshalla i O'Byrne'a pełne są opisów
działań może mniej spektakularnych
(Nelson był przecież tylko jeden), ale
nie mniej brawurowych. Bardzo
niewielu ludzi potrafiłoby wymyślić
podobne wydarzenia, a jeszcze mniej
umiałoby opowiedzieć je
przekonywająco. Dlatego właśnie, aby
opisać potyczki morskie w tej książce,
sięgnąłem wprost do źródeł. Z bogactwa
wspaniale rozegranych, szczegółowo
opisanych walk i bitew wybrałem te,
które najbardziej podziwiam.
Przedstawiając owe zdarzenia,

korzystałem z dzienników okrętowych,
listów urzędowych, ówczesnych relacji i
wspomnień bezpośrednich uczestników,
tak by niczego nie
przeinaczyć. Z drugiej jednak strony nie
trzymałem się niewolniczo ścisłej
chronologii. Dlatego prawdziwy znawca
historii marynarki wojennej zauważy na
przykład, iż akcja Sir Jamesa Saumareza
w Cieśninie Gibraltarskiej została
przeze mnie przesunięta w czasie i
odbywa się dopiero po zakończeniu
zbioru winogron. Ktoś taki zorientuje się
też, że jedną z walk brygu „Sophie” w
rzeczywistości stoczył zupełnie inny,
lecz tak samo uzbrojony okręt. To
prawda, pozwoliłem sobie na dużą
swobodę. Pisząc, korzystałem z
dokumentów, listów i poematów -
krótko mówiąc, z czego tylko się dało.
Starając się zachować wierność ogólnej
prawdzie historycznej, pozmieniałem
jednak nazwiska, miejsca wydarzeń i
pewne drobne fakty, tak by dopasować

je do wymogów mojej

opowieści.

Istotne dla mnie jest to, że godni

podziwu ludzie tamtych czasów:

Cochrane'owie, Byronowie,

Falconerowie, Seymourowie,

Boscawenowie i liczni mniej słynni

żeglarze, z których cech i przeżyć w

pewien sposób ulepiłem postaci moich

bohaterów, zostaną uszanowani dzięki

opisom ich własnych czynów, a nie

fikcyjnych wydarzeń. Moim zdaniem

taka autentyczność to prawdziwy klejnot,

echo naprawdę wypowiedzianych słów

ma niewymierną wprost wartość.

Chcę też w tym miejscu podziękować za

pomoc oraz cenne wskazówki otrzymane

od cierpliwych, doskonale znających

temat pracowników Public Record

Office i National Maritime Museum w

Greenwich. Składam również

podziękowania dowódcy HMS

„Victory” - nikt chyba nie mógłby być

bardziej uprzejmy i pomocny w mojej

pracy.

Patrick O'Brian

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wysokie, otoczone filarami wewnątrz
ośmiokątnej sali koncertowej w pałacu
gubernatora w Port Mahon wypełniały
pierwsze triumfalne takty kwartetu C-dur
Locatello. Stłoczeni pod ścianą
muzycy, Włosi, byli jakby przyparci do
muru ciasnymi rzędami małych,
połączanych krzeseł. Grali z pełnym
pasji przekonaniem. Powoli wspinali się
ku przedostatniemu crescendo, ku
przejmującej pauzie i ku głębokiemu,
wyzwalającemu akordowi finałowemu.
Przynajmniej część publiczności,
siedzącej na owych połączanych
krzeselkach, śledziła muzyczną
wspinaczkę z równie jak muzycy
intensywnym zaangażowaniem. Do tej
grupy należało bez wątpienia dwu
słuchaczy, którym wypadło zajmować
miejsca tuż obok siebie, po lewej
stronie w trzecim rzędzie. Mężczyzna,

który siedział

bardziej na lewo, mógł być pomiędzy

dwudziestym a trzydziestym rokiem

życia. Jego potężna postać prawie

zupełnie zakrywała krzesło, tylko

gdzieniegdzie przeświecał niewielki

skrawek połączanego drewna. Człowiek

ów miał na sobie swój najlepszy strój -

błękitną kurtkę z białymi wyłogami, błę-

kitną kamizelkę, spodnie i pończochy

porucznika Royal Navy, ze srebrnym

medalem Nilu w klapie.

Śnieżnobiały mankiet zapinanego na

złote guziki rękawa poruszał się w takt

melodii. Jasnobłękitne oczy, osadzone w

bladoróżowej, teraz jednak mocno

opalonej twarzy, wpatrzone były

nieomal nieruchomo w smyczek

pierwszych skrzypiec. Zabrzmiała

wysoka nuta, potem krótka pauza,

wreszcie zakończenie i pięść żeglarza

uderzyła mocno w kolano. Powoli

odchylił się do tyłu w swoim krześle,

które zakrył zupełnie, westchnął z

zadowoleniem i z uśmiechem zwrócił

się w stronę sąsiada. Słowa:

„Moim zdaniem bardzo zgrabnie

zagrane, sir" ugrzęzły mu jednak w

gardle. Spotkał chłodne, raczej wrogie

spojrzenie tamtego i usłyszał złowrogi

szept:

- Jeśli już koniecznie musi pan wybijać

rytm, sir, proszę czynić to w takt muzyki,

a nie o pół uderzenia do przodu.

Wyraz twarzy Jacka Aubreya

natychmiast zmienił się od

przyjacielskiego, szczerego zadowolenia

w coś, co z powodzeniem określić by

można jako pełną zakłopotania wrogość.

Nie mógł zaprzeczyć, że rzeczywiście

poruszał ręką w takt muzyki. Chociaż

czynił to na pewno z perfekcyjną

dokładnością, samo w sobie zachowanie

takie nie było godne pochwały.

Zarumienił się lekko i przez chwilę

przyglądał się uważnie swemu

sąsiadowi. Zdążył jeszcze powiedzieć:

- Wierzę... - i pierwsze nuty wolnej

części przerwały mu w pół słowa.

Przeżuwająca nuty wiolonczela odegrała solo dwie frazy i rozpoczęła dialog z altówką. Tylko część umysłu Jacka zwracała na to uwagę, reszta zajęta była mężczyzną siedzącym obok. Ukradkowe spojrzenie pozwoliło mu stwierdzić, że był to mały, ponury człowieczek w podniszczonym czarnym płaszczu.

Cywil. Trudno było określić jego wiek - nie tylko dlatego, iż twarz nieznanego niczego nie zdradzała. Na głowie człowiek ów miał perukę, mocno poszarzałą, najwyraźniej zrobioną z cienkiego drutu i od dawna nie przypudrowaną. Mógł mieć równie dobrze dwadzieścia, jak i sześćdziesiąt lat. „W rzeczywistości jest chyba w moim wieku” - pomyślał Jack. - „Że też ten łajdak tak wygląda”. Potem całą uwagę Jacka znów pochłonęła muzyka. Odnalazł główny temat utworu i śledził go cierpliwie w jego zmianach oraz urzekających ozdobnikach, aż do

satisfakcjonującej, logicznej konkluzji.

Nie myślał o swym sąsiedzie do końca części, starannie unikając też jakichkolwiek spojrzeń w kierunku nieznanego.

Menuet sprawił, że głowa Jacka zakołysała się w ślad za natrętnym rytmem. Porucznik nie był jednak tego świadomy. Dopiero gdy poczuł, że jego ręka podryguje niespokojnie, gotowa unieść się w powietrze, wsunął szybko dłoń pod kolano. Taniec był żywy, przyjemny, nic więcej. Tuż po nim zaczęto grad zaskakująco trudny, prawie drażniący końcowy fragment, w którym kompozytor był jakby o krok od wypowiedzenia czegoś o niezwykle istotnym znaczeniu.

Donośne dźwięki ucichły nagle, ustępując miejsca pojedynczemu szeptowi skrzypiec. Jednostajny szum przyciszonych rozmów, który nigdy nie ucichł zupełnie w tylnej części sali, zaczął coraz wyraźniej narastać.

Wydawało się, że za moment całkowicie
zagłuszy muzykę. Jakiś żołnierz
wybuchnął stłumionym kaszlem i Jack ze
złością rozejrzał się dookoła. Wtedy
reszta kwartetu dołączyła do skrzypiec i
instrumenty wspólnie dotarły do punktu,
w którym mogło zabrzmieć coś
wiekopomnego: teraz ważny był powrót
do
głównego muzycznego nurtu; dlatego gdy
wiolonczela przyłączyła się swoim
nieuchronnym i
niezbędnym pom, pom-pom-pom, pom,
Jack opuścił brodę na piersi i unisono z
wiolonczelą zanucił: pom, pom-pom-
pom, pom. Nagle czyjś łokieć wbił mu
się między żebra i ktoś zasyczał mu
prosto do ucha. Dopiero teraz
zorientował się, że uniesioną wysoko
dłonią porusza w takt muzyki. Opuścił
rękę, zacisnął zęby i patrzył nieruchomo
na swe stopy aż do chwili, w której
zabrzmiały ostatnie dźwięki utworu.
Wysłuchał dostojnego zakończenia i

doszedł do wniosku, że daleko
przekraczało ono prosty raczej wstęp,
którego treść udało mu się przewidzieć.
Niestety, nie mógł czerpać z tego żadnej
przyjemności.

Podczas braw i ogólnego zamieszania
sąsiad Jacka przyglądał mu się uważnie,
raczej z całkowitą dezaprobatą niż
niechęcią. Nie odzywali się, siedzieli
sztywno ze świadomością swej
obecności, podczas gdy pani Harte, żona
komendanta, grała na harfie długi i
trudny technicznie utwór. Jack Aubrey
spojrzał w noc przez wysokie,
wytworne okno. Na południowym
wschodzie pojawił się Saturn
- lśniąca kula na niebie nad Minorką.

Takie szturchnięcie łokciem, kuksaniec,
tak mocne i zamierzone, było prawie
uderzeniem. Ani temperament Jacka, ani
reguły honorowe nie pozwalały mu
cierpliwie znosić jakiegokolwiek
zniewagi. A jakaż zniewaga mogła być
gorsza od uderzenia?

Ponieważ na razie Jack nie mógł się zdobyć na żadne działanie, jego gniew przerodził się w szczególną melancholię. Pomyślał znów o tym, że ciągle pozostaje bez okrętu, o wszystkich składanych mu, a potem łamanych obietnicach i o planach, które legły w gruzach, gdyż budowane były tylko na marzeniach. Przypomniał sobie, że jest dłużny aż dwieście dwadzieścia funtów swemu agentowi handlującemu przyzami, czyli statkami i ładunkami skonfiskowanymi na wojnie. Jack miał wkrótce zapłacić piętnastoprocentowe odsetki od tej sumy, tymczasem jego oficerska pensja wynosiła tylko pięć funtów i dwanaście szylingów miesięcznie. Myślał też o ludziach, których znał, młodszych od siebie, lecz mających więcej szczęścia lub pieniędzy, teraz już dowodzących brygami lub kutrami, a nawet awansowanych na dowódców dużych okrętów. Wszyscy oni zdobywali

hiszpańskie statki: trabakale na
Adriatyku, tartany w Zatoce Lwów,
xebeki i settee wzdłuż całego
hiszpańskiego wybrzeża. Sława, awanse
i pieniądze z łupów...

Burza oklasków uświadomiła Jackowi,
że występ już się zakończył.

Mechanicznie klaskał w dłonie,
wykrzywiając usta w wyrazie
bezgranicznego zachwytu i uwielbienia.

Molly Harte ukloniła się z uśmiechem,
uchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła
się ponownie. Porucznik zaklaskał

głośniej. Ona jednak dostrzegła, że Jack
bądź to nie był aż tak bardzo

zachwycony, bądź też słuchał niezbyt
uważnie, i jej zadowolenie wyraźnie

osłabło. Pomimo to nadal z promiennym

uśmiechem przyjmowała komplementy

od publiczności. Tego wieczora pani

Harte wyglądała wspaniale w

jasnobłękitnej atłasowej sukni z

podwójnym sznurem pereł - pereł z

„Santa Brigidy”.

Jack Aubrey i jego sąsiad w
wyświechtanym czarnym płaszczu
prawie jednocześnie powstali z miejsc i
przez chwilę przyglądali się sobie
uważnie. Na twarzy porucznika, zamiast
ostatnich nieprzyjemnych śladów
wymuszonego zachwyty, znów pojawił
się wyraz chłodnej, obojętnej niechęci.

- Nazywam się Jack Aubrey, sir -

powiedział cicho. - Mieszkam w
gospodzie „Pod Koroną”.

- Ja nazywam się Maturin. Każdego
poranka można mnie spotkać w kawiarni
„U Joselito”. Czy mógłby mnie pan
przepuścić?

Przez moment Jack miał prawdziwą
ochotę chwycić pozłacane krzesło i
roztrzaskać je na głowie tego
człowieczka o trupiobladej twarzy.
Odsunął się jednak grzecznie na bok,
dając przekonujący dowód dobrego
wychowania. Nie miał zresztą innego
wyboru - w przeciwnym razie zostałby
najzwyczajniej popchnięty. Po krótkiej

chwili ruszył, przeciskając się przez tłum postaci w czerwonych i błękitnych mundurach, z rzadka tylko poprzetykany czarnymi sylwetkami cywilów.

- Wspaniale! Doskonale zagrane!

Kapitalne! - zawołał ponad trzema rzędami głów, gdy udało mu się wreszcie dotrzeć w pobliże pani Harte.

Pomachał ręką i wyszedł z sali. W holu wymienił uprzejmości z dwoma znajomymi oficerami marynarki.

- Wyglądasz, jakbyś był czymś bardzo przybity, Jack... - powiedział jeden z nich, ten, z którym kiedyś wspólnie jadali w mesie młodszych oficerów na „Agamemnonie”. Drugim był wysoki podchorąży, kiedyś najmłodszy z wachty Jacka na „Thundererze”, sztywny z racji tak uroczystej okazji i z powodu zbyt mocno nakrochmalonej koszuli, ozdobionej koronkowymi falbanami.

Porucznikowi przyszło jeszcze pozdrowić sekretarza komendanta.

Sekretarz odwzajemnił ukłon z

uśmiechem, uniósł brwi i spojrział na

Jacka bardzo znacząco.

„Ciekawe, co teraz knuje ta wstrętna

kreatura?" - rozmyślał Jack, idąc w

stronę portu. Przypomniała mu się

podłość i dwulicowość tego

wpływowego człowieka oraz

upokorzenie, jakiego doznał za jego

sprawą. Pewien mały francuski statek

piracki został już niemal obiecany

Jackowi. Piękny, świeżo zdobyty, z

nowym miedzianym poszyciem i

okuciami. Z Gibraltaru przy płynął wtedy

dziwnym trafem brat sekretarza i o

objęciu tego dowództwa Jack Aubrey

mógł tylko pomarzyć.

- Pocałujcie mnie w tyłek! - rzekł

głośno, przypomniawszy sobie bezsilną

uległość, z jaką przyjął

wówczas tę wiadomość, połączoną z

obietnicami bliżej nie określonych

korzyści w dalszej przyszłości i z

kolejnymi zapewnieniami o dobrej woli

sekretarza. Miejsce tych nieprzyjemnych

wspomnień zajęły teraz inne, znacznie
świeższe. Jack przypomniał sobie swoje
zachowanie na dzisiejszym koncercie.
Pozwolił przejść obok siebie owemu
małemu człowieczkowi bez
jakiegokolwiek riposty. Nie potrafił
znaleźć odpowiednio miażdżącej uwagi, która jednocześnie nie byłaby zbyt
grubiańska. W rezultacie tych smętnych
rozmyślań poczuł głębokie obrzydzenie
do samego siebie, do człowieczka w
czarnym płaszczu i do służby w
królewskiej marynarce. Zbrzydła mu też
aksamitna miękkość
kwietniowej nocy, chór słowików w
koronach drzew pomarańczowych i
migoczące gwiazdy wiszące tak nisko,
że zdawały się dotykać szczytów
najwyższych palm.
Jack wynajmował pokój w gospodzie
„Pod Koroną”. Oberża ta pod pewnymi
względnymi
przypominała swą sławną imienniczkę
w Portsmouth. Nad wejściem wisiał taki
sam olbrzymi złoto-szkarłatny szyld,

pozostałość po poprzednich brytyjskich okupacjach; budynek został wzniesiony około 1750 roku w najczystszy angielskim stylu. Pominąwszy dachówki, nie można było dopatrzeć się w tej budowli jakichkolwiek związków z architekturą śródziemnomorską. Na tym jednak wszelkie podobieństwa do Portsmouth się kończyły. Właściciel pochodził z Gibraltaru, obsługę stanowili Hiszpanie lub raczej hispanojęzyczni mieszkańcy Minorki. W środku pachniało oliwą z oliwek, sardynkami i winem. Nikt nawet nie myślał o eklerach, ciastkach czy choćby porządnej leguminie. Z drugiej strony w żadnym angielskim zajeździe nie było pokojówki tak podobnej do dojrzałej brzoskwini jak piękna Mercedes. To ona właśnie wbiegła na słabo oświetlony podest schodów i zawo-

łała w stronę wchodzącego na górę

Jacka:

- List, *teniente**, ja zaraz go panu

przynieść!

Chwilę później stała obok niego,

szczerze uradowana i wyraźnie z siebie

zadowolona. Aubrey zbyt dobrze jednak

wiedział, że żaden adresowany do niego

list nie może zawierać nic specjalnie

przyjemnego. Dlatego odwzajemnił

radość dziewczyny jedynie przelotnym

spojrzeniem na jej biodra i wymuszonym

uśmiechem.

* *Teniente* (wł.) - porucznik. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- I pan kapitan Allen przyjsć dla pana -

dodała.

- Allen? Allen? Czegóż on, do diabła,

mógł ode mnie chcieć?

Kapitan Allen był spokojnym, starszym

mężczyzną. Jack wiedział o nim tylko

tyle, że był

amerykańskim lojalistą słynącym z

niezmienności swego postępowania:

zawsze zmieniał hals, niespodziewanie

wykładając ster na zawietrzną, i nosił

długą kamizelkę.

- Och, pewnie chodzi o ten pogrzeb... -

domyślił się porucznik. - Składka.

- Pan smutny, *teniente*? - zapytała

Mercedes, odchodząc w głąb korytarza.

- Jaki pan biedny...

Jack wziął świecę ze stolika i ruszył w

stronę swojego pokoju. Nie zawracał

sobie głowy listem -

zainteresował się nim dopiero po

zjęciu munduru i kołnierzyka. Najpierw

podejrzliwie obejrzał

przesyłkę ze wszystkich stron. Nieznana

ręka napisała w adresie: Pan Kapitan

Aubrey, Royal Navy.

- Jakiś cholerny głupiec. - Jack

zmarszczył brwi i odwrócił list na drugą

stronę. Czarna lakowa pieczęć była

rozmazana i pomimo obracania jej pod

różnymi kątami do światła nie można

było rozpoznać herbu. - Nie wiem, czyj

to może być znak - powiedział do siebie.

- W każdym razie to na pewno nie stary

Hunks. On nigdy nie pieczętuje tak

swoich listów. - Hunks był jego

agentem, wierzycielem, krwiopijcą.

Zdobywszy się wreszcie na odwagę,

Aubrey złamał pieczęć i przeczytał list:

Od Jaśnie Szanownego Lorda Keitha,

Kawalera Orderu Łażni, admirała i

głównodowodzącego okrętami oraz

jednostkami pływającymi Jego

Królewskiej Mości, odbywającymi

służbę bądź w przyszłości

przeznaczonymi do służby na Morzu

Śródziemnym, itd., itd., itd.

Biorąc pod uwagę to, iż kapitan Samuel

Allen został przeniesiony ze słupa Jego

Królewskiej Mości

„Sophie” na fregatę „Pallas” w

związku ze śmiercią kapitana Jamesa

Bradby'ego, postanawia się, co

następuje:

Niniejszym zostaje pan

odkomenderowany na pokład „Sophie”

w celu objęcia obowiązków dowódcy

tegoż okrętu. Od oficerów i załogi

wspomnianego słupa oczekuje się

pełnego posłuszeństwa i

*odpowiedniego szacunku wobec pana
jako ich przełożonego. Pan zaś
postępować ma zgodnie z
ogólnymi drukowanymi Instrukcjami
oraz wszelkimi rozkazami i
wskazówkami, jakie od czasu do czasu będzie pan otrzymywał od wyższych od
siebie rangą oficerów w służbie Jego
Królewskiej Mości.*

*Kto odmówi wykonania owych poleceń,
czy to pan, czy którykolwiek z członków
załogi, zostanie pociągnięty do
odpowiedzialności i surowo ukarany.*

*Proszę traktować powyższe jako rozkaz
dla pana.*

*Wydano na pokładzie okrętu flagowego
„Foudroyant”
na morzu, 1 kwietnia 1800 roku.*

*Dla szlachetnie urodzonego Johna
Aubreya, niniejszym mianowanego
dowódcą słupa Jego
Królewskiej Mości „Sophie” pod*

komendą admirała Thosa Walkera

*Oczy objęły treść w jednej chwili, lecz
umysł nie chciał czytać ani wierzyć.*

Policzki porucznika poczerwieniały. Z zaskakująco poważną i surową twarzą przeliterował całość linijka po linijce.

Czytał coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie serce Jacka po brzegi wypełniła wszechogarniająca fala radości.

Jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej, usta bezwiednie się rozchyliły. Roześmiał się głośno, uderzył dłonią w kartkę, poskładał list starannie, potem go rozłożył i ponownie przeczytał z najwyższą uwagą. Przez mrozącą krew w żyłach sekundę wydawało mu się, że cała ta otwierająca się przed nim na nowo rzeczywistość zawali się z hukiem, gdyż dopiero teraz dostrzegł ową nieszczęsną datę.

Spojrzał na papier pod światło i z ulgą rozpoznał znak wodny Admiralicji, tę kotwicę nadziei; godną najwyższego respektu i wiary, realną jak skała Gibraltaru.

Nie umiał zachować spokoju. Chodząc

szybko tam i z powrotem po pokoju,
włożył mundur, potem go zdjął i
chichocząc, wymamrotał kilka nie
powiązanych ze sobą zdań.

- A ja się tak martwiłem... Cha, cha...

Taki przyjemny mały bryg, znam go
przecież dobrze... Cha, cha...

Uważałbym się za najszczęśliwszego
człowieka na ziemi nawet jako dowódca
najpodlejszej łajby, nawet jako kapitan
„Vulture”, tego pływającego śmietnika...

Jako kapitan jakiegokolwiek okrętu...

Wspaniałe kaligraficzne pismo. I jaki
dobry papier... To chyba jedyny w całej
flocie bryg z pokładem rufowym: na
pewno przyjemna kapitańska kabina...

Doskonała pogoda. Jest tak ciepło...

Cha, cha... Żeby tylko udało mi się
zdobyć ludzi. To będzie największy
problem...

Jack był wprost niewyobrażalnie
spragniony i głodny. Rzucił się w stronę
dzwonka i nie czekając, aż koniec sznura
przestanie się poruszać, wystawił głowę

na korytarz i zawołał pokojówkę.

- Mercy! Mercedes! Och, nareszcie

jesteś, moja droga! Co możesz mi

przynieść do jedzenia? Do jedzenia.

Jeść. *Man-giare?* Może *pollo!*

Pieczone, zimne. I butelkę wina.

Rozumiesz? *Wino...* Nie!

Dwie butelki! I jeszcze coś, Mercy. Czy

możesz potem przyjść i zrobić coś dla

mnie? Chciałbym... *de-sirer...* żebyś

przyszyła mi guzik. Szyć. *Cosare...*

- Dobrze, *teniente* - odpowiedziała

Mercedes. Jej oczy poruszyły się żywo,

a śnieżnobiałe zęby zaśniły w blasku

świacy.

- Już nie *teniente!* - zawołał Jack,

obejmując w żelaznym uścisku szczupłą

kibić dziewczyny. -

Kapitanie! *Capitano.* Cha, cha, cha!

Obudził się rano z głębokiego snu. Od

razu był w pełni świadomy. Zanim

zdążył otworzyć oczy, już cały umysł

wypełniony miał myślami o otrzymanym

awansie.

„Nie jest to oczywiście okręt pierwszej klasy” - zauważył Aubrey w duchu. -

„Któż jednak chciałby bezsensownego dowództwa na olbrzymim okręcie liniowym, bez najmniejszej szansy na samodzielną akcję? Gdzie ta „Sophie” teraz stoi? Za nabrzeżem amunicyjnym, przy kei obok „Rattlera”. Muszę zaraz zejść na dół i obejrzeć mój okręt. Nie warto tracić ani minuty. Nie, nie. Nie należy tego robić.

Lepiej się zapowiedzieć, tak żeby byli uczciwie uprzedzeni. Nie... Pierwsze, co powinienem zrobić, to pójść i podziękować, gdzie trzeba. Powinienem też spotkać się z Allenem. Poczciwy stary Allen...

Muszę życzyć mu wszystkiego dobrego”.

Pomimo tych planów Jack poszedł najpierw do sklepu mundurowego po drugiej stronie ulicy. Udało mu się tam powiększyć swój nieco bardziej teraz elastyczny kredyt do równowartości ciężkiego, masywnego epoletu, oznaki

świeżo uzyskanej rangi. Sklepiarz
umocował natychmiast nowy nabytek na
lewym ramieniu swego klienta. Z
wyraźnym zadowoleniem przyglądał się
ostatecznemu

rezultatowi, patrząc w podłużne lustro
zza pleców przeglądającego się Jacka.

Zamykając za sobą drzwi sklepu,
Aubrey dostrzegł po przeciwnej stronie
ulicy, obok kawiarni, znajomą sylwetkę
człowieczka w czarnym płaszczu.

Przypomniawszy sobie wydarzenia
poprzedniego wieczora, przeszedł
szybko przez ulicę.

- Panie... Panie Maturin! Więc jednak
się spotkaliśmy. Winien jestem panu
przeprosiny. Obawiam się, że wczoraj
na koncercie trochę poniosły mnie
emocje. Mam szczerą nadzieję, że
zechce mi pan wybaczyć. My,
marynarze, tak rzadko mamy kontakt z
prawdziwą muzyką... Nie wiemy, jak się
zachować w eleganckim towarzystwie.

Jeszcze raz serdecznie pana

przepraszam.

- Ależ, mój drogi panie... - odparł

ubrany na czarno mężczyzna. Na jego

trupio bladej twarzy pojawił

się niezdrowy rumieniec. - Moim

zdaniem miał pan wszelkie prawo do

najwyższych uniesień. Nigdy w życiu nie

słyszałem lepiej grającego kwartetu.

Takie zgranie, taka głębia wyrazu. Czy

pozwole pan zaprosić się na filiżankę

gorącej czekolady lub kawy? Sprawiłby

mi pan największą przyjemność...

- To bardzo miło z pańskiej strony -

powiedział Jack. - Zgadza się z

przyjemnością. Szczerze mówiąc, jestem

dziś od rana tak podekscytowany, że

zapomniałem zupełnie o śniadaniu.

Właśnie zostałem awansowany - dodał,

wybuchając trochę wymuszonym

śmiechem.

- Och! Doprawdy? Gratuluję panu z

całego serca. Proszę do środka!

Widząc wchodzącego do kawiarni

Maturina, kelner pomachał wskazującym

palcem, w owym

śródziemnomorskim geście negacji,

naśladowując jakby ruchy wahadła

odwróconego do góry nogami.

Maturin wzruszył na to ramionami.

- Znowu nic. Poczta idzie dzisiaj

naprawdę bardzo powoli... - odezwał

się do Jacka i zwracając się do kelnera

w jego ojczystym języku, po katalońsku,

powiedział: - Przynieś nam gorącą

czekoladę, Jep. I trochę dobrze ubitej

śmietany.

- Mówi pan po hiszpańsku? - Jack

usiadł, odsuwając na boki poły swego

płaszczka, by odsłonić szpadę.

Uczył to tak szerokim ruchem, iż przez

chwilę całe pomieszczenie zdawało się

być wypełnione błękitem. - To musi być

coś wspaniałego. Znać hiszpański!

Wiele razy próbowałem się uczyć. Tak

samo z włoskim i francuskim. Nic mi

nigdy z tego nie wychodziło. W zasadzie

wszyscy oni mnie rozumieli, ale ja jakoś

nie potrafiłem ich zrozumieć. Ci ludzie

mówią zawsze tak szybko... Jestem tym
kompletnie załamany. Obawiam się, że
cały problem tkwi tutaj - rzekł,
uderzając się palcami w czoło.

- Podobnie wyglądała sprawa z łaciną,
gdy byłem mały. Jak ja wtedy
obrywałem od starego Pagana. -

To wspomnienie tak szczerze go
rozbawiło, że nawet kelner niosący
czekoladę roześmiał się głośno i
powiedział:

- Piękny mamy dzisiaj dzień, panie
kapitanie. Naprawdę, bardzo piękny.

- Rzeczywiście piękny dziś dzień -

zgodził się Jack. z życzliwością
spojrzawszy w szczerzą twarz kelnera. -

Bel-lo soleil. To prawda. Nie zdziwię się, jeśli zacznie wkrótce wiać

tramontana - dodał, schylając się i

patrzając w górę przez okno, po czym

odwrócił się w stronę Maturina. - Już

dziś rano zauważyłem, że niebo na

północnym wschodzie jest lekko

zielonkawe. Pomyślałem sobie wtedy, iż

nie będę zaskoczony, jeśli tramontana

zawieje, jak tylko ucichnie morską

bryza.

- To dziwne, że nie ma pan zdolności do

nauki języków obcych - zauważył jego

rozmówca, który nie miał w tej chwili

nic ciekawego do powiedzenia o

pogodzie. - Wydaje mi się, że ktoś o

dobrym słuchu muzycznym nie powinien

mieć większych trudności z nauką obcej

mowy. Zawsze myślałem, iż obie te

umiejętności idą ze sobą w parze.

- Z filozoficznego punktu widzenia ma

pan zapewne rację - przyznał Jack. - Ze

mną jest jednak tak, jak jest. Może

dlatego, że mój słuch muzyczny nie jest

wcale doskonały. Tak czy inaczej,

bardzo kocham muzykę. Bóg jedyny wie,

jak czasem ciężko jest mi znaleźć

właściwą nutę.

- Pan gra, sir?

- Troszeczkę. Od czasu do czasu dręcę

moje skrzypce.

- Tak samo jak ja! Zupełnie tak samo!

Gdy tylko mam chwilkę wolnego czasu,

próbuję pogrywać sobie na wiolonczeli.

- To prawdziwie szlachetny instrument -

zauważył Jack i obaj panowie

rozpoczęli dyskusję o Boccherinim,

smyczkach i kalafonii. Rozprawiali tak z

wielką przyjemnością aż do chwili, w

której brzydki zegar ścienny, o

podobnym do liry wahadle, zaczął

wybijać godzinę. Aubrey opróżnił

filiżankę i odsunął krzesło. - Myślę, że

pan mi wybaczy. Mam jeszcze dzisiaj w

planie kilka oficjalnych wizyt i rozmowę

z moim poprzednikiem. Chyba jednak się

pan nie obrazi, jeśli pozwolę sobie

zaprosić pana dzisiaj na obiad?

- Przyjmuję pańskie zaproszenie z

największą przyjemnością. - Maturin

skłonił się nisko.

Stanęli przy drzwiach.

- Może umówilibyśmy się o trzeciej po

południu „Pod Koroną”? -

zapropozował Jack. - W marynarce

rzadko udaje nam się jadać wcześniej.

Ja o tej porze jestem już zawsze

strasznie głodny i zły. Myślę jednak, że mi pan to wybaczy. Zmoczymy pędzel, a potem może pomuzykujemy sobie trochę, jeżeli to oczywiście panu nie przeszkadza.

- Czy pan widzi?! Dudek! - zawołał niespodziewanie towarzysz Jacka.

- Co to takiego?

- Ptak. Ten z podobnym do wachlarza pióropuszem i prążkowanymi skrzydłami. Dudek. *Upupa epops*.

Tam! Tam na dachu. Tam! Tam!

- Gdzie? Gdzie? W jakim namiarze?

- Już odleciał. Od kiedy tu przybyłem, miałem nadzieję zobaczyć dudka. I

proszę! W samym środku miasta! Port

Mahon musi być szczęśliwym miejscem, skoro ma takich mieszkańców.

Przepraszam pana. Chyba się przesłyszałem. Czyżby mówił pan coś o moczeniu pędzli?

- Och, tak! To takie gwarowe wyrażenie, którego używamy w Royal Navy. Pędzel to właśnie to... -

wyjaśnił Jack, dotykając dłonią swego imponującego epoletu. - Kiedy zakładamy go pierwszy raz, moczymy go, czyli wypijamy butelkę wina.

Czasem dwie butelki.

- Doprawdy? - Maturin w charakterystyczny dla cywilów sposób ze zdziwieniem pochylił głowę. - To ozdoba, oznaka stopnia wojskowego, jak mi się zdaje. Rzeczywiście, wygląda wspaniale. Czy nie zapomniał pan jednak o drugim ramieniu, sir?

- No cóż... - Jack roześmiał się. - Muszę przyznać, że chciałbym mieć już prawo do noszenia dwóch takich epoletów.

Tymczasem życzę panu dobrego dnia i dziękuję za wyśmienitą czekoladę.

Cieszę się bardzo, że zobaczył pan tego swojego bubka!

W pierwszej kolejności wypadało Jackowi złożyć wizytę starszemu kapitanowi, dowódcy marynarki wojennej w Port Mahon. Komendant Harte mieszkał w okazałej rezydencji

należącej do niejakiego Martinezza,
hiszpańskiego kupca. Pokoje urzędowe
znajdowały się po drugiej stronie
dziedzińca. Przechodząc przez
podwórze, Jack usłyszał dźwięki harfy.

Muzyka ucichła na chwilę i rozległ się
głuchy odgłos opuszczanych żaluzji -
słońce już nieźle przygrzewało. Małe
jaszczurki, gekony, zaczęły pośpiesznie
zajmować swe miejsca na jaskrawo
oświetlonych promieniami słonecznymi
ścianach.

Kapitan Harte był niskim mężczyzną, w
pewien sposób podobnym do lorda St
Vincenta. Trzeba zresztą przyznać, że ze
swej strony robił on wszystko, by jak
najbardziej podkreślić to podobieństwo
przez grubiańską nieuprzejmość wobec
podkomendnych i przynależność do
partii liberalnej. Trudno powiedzieć,
czy Harte nie lubił Jacka z powodu aż
nadto wyraźnej pomiędzy nimi różnicy
wzrostu czy też podejrzewał go o
romans ze swą żoną. Tak czy inaczej

obaj panowie już od dawna za sobą nie
przepadali.

- Gdzie pan się do diabła podziewał,
panie Aubrey? - zawołał komendant na
widok Jacka. -

Spodziewałem się pana u siebie wczoraj
wieczorem! Allen też czekał wczoraj na
pana! Z prawdziwym zdumieniem
dowiedziałem się, że w ogóle się pan z
nim nie widział. Oczywiście życzę panu
jak najlepiej - mówił z ponurą twarzą -
lecz moim zdaniem w bardzo dziwny
sposób obejmuje pan pierwsze
samodzielne dowództwo. Allen jest
teraz już dobre sześćdziesiąt mil stąd, a
razem z nim wszyscy prawdziwi
marynarze i oficerowie z „Sophie”. Co
zaś się tyczy ksiąg, pokwitowań i
rachunków, musieliśmy je wszystkie
jakoś uporządkować. To naprawdę
niesłychane. Coś podobnego!

- Fregata „Pallas” wyszła w morze, sir?!

- zawołał Jack zaskoczony.

- Odpłynęła o północy. - Kapitan Harte

wypowiedział te słowa z nie ukrywanym
zadowoleniem. - Nie może pan
oczekiwać, że obowiązki służbowe
zaczekają, aż załatwi pan jakieś swoje
prywatne sprawy czy przyjemności,
panie Aubrey. Zostałem ponadto
zobowiązany do skierowania do służby
w porcie części pozostawionych przez
kapitana Allena ludzi.

- Dowiedziałem się o wszystkim
dopiero wczoraj w nocy, a dokładnie
między godziną pierwszą i drugą.

- Doprawdy? Zadziwia mnie pan. Jestem
zdumiony. List z całą pewnością został
wysłany o właściwej porze. Na pewno
zawinili tu ludzie z pańskiej gospody.
Nie można w żaden sposób polegać na
tych obcokrajowcach. Zapewne jest pan
uradowany awansem. Muszę przyznać,
że naprawdę nie wiem, jak chce pan
wyjść w morze, nie mając na pokładzie
ludzi zdolnych wyprowadzić okręt z
portu. Allen zabrał swojego porucznika,
felczera i wszystkich najlepszych

podchorążych. Ja zaś nie mogę dać panu nawet jednego człowieka nadającego się do czegokolwiek.

- No cóż... - smutnym głosem odparł

Jack. - Muszę zatem, jak mi się wydaje, próbować radzić sobie jakoś z tym, co mam.

Sytuacja była oczywista. Każdy normalny oficer, mający możliwość zejścia z małego, starego i powolnego brygu na piękną fregatę, taką jak „Pallas”, uczyniłby to bez wahania. Od zamierzonych czasów obowiązywała też niepisana zasada, w myśl której kapitan zmieniający okręt mógł zabrać ze sobą sternika i załogę swojej łodzi, a także kilku innych żeglarzy. Jeśli nikt z przełożonych dokładnie się tym nie zainteresował, mogły tu zostać przekroczone zwyczajowo ustalone granice.

- Mogę przydzielić panu kapelana. -

Komendant szydził z sadystycznym wręcz zadowoleniem.

- Czy on może umie stawiać i reflować
żagle albo sterować? - Jack starał się za
wszelką cenę zachować spokój. - Jeśli
nie, to proszę mi wybaczyć. Rezygnuję.

- W takim razie żegnam pana, panie
Aubrey. Dziś po południu prześlę panu
pańskie rozkazy.

- Do widzenia, sir. Mam nadzieję, że
pani Harte jest u siebie. Muszę jej
złożyć wyrazy uszanowania i
pogratulować występu na wczorajszym
koncercie. Sprawiała nam wszystkim
prawdziwą przyjemność.

- Czyżby więc był pan w pałacu
gubernatora? - zdziwił się kapitan Harte.
Podła przewrotność tego pytania
polegała na tym, że komendant
doskonale znał odpowiedź. - Gdyby nie
wałęsał się pan po nocy, mógłby pan
wejść na pokład swojego słupa w
sposób, jaki przystoi prawdziwemu
oficerowi.

Trudno pojąć, jak to możliwe, by młody
człowiek wolał towarzystwo włoskich

grajków i eunuchów od objęcia swego
pierwszego samodzielnego
dowództwa...!

Słońce wydało się Jackowi nieco mniej
wspaniałe, gdy przechodził przez
dziedziniec, by złożyć wizytę pani
Harte. Wciąż jednak grzało przyjemnie;
gdy wbiegał na schody, z zadowoleniem
poczuł

dodatkowy ciężar na lewym ramieniu. W
salonie żony komendanta spotkał
nieznajomego porucznika i jakiegoś
nadętego podchorążego, których widział
już na wczorajszym koncercie.

Składanie porannych wizyt pani Harte
należało w Port Mahon do najlepszego
tonu. Gospodyni siedziała przy harfie, w
bardzo dekoracyjnej pozie, i rozmawiała
o czymś z porucznikiem. Zobaczywszy
Jacka, wstała gwałtownie i podała na
powitanie obie dłonie, wołając:

- Kapitanie Aubrey! Tak się cieszę, że
pana widzę! Najserdeczniejsze
gratulacje. Musimy umoczyć pędzel.

Panie Parker, błagam, niech pan

zadzwoń na pokojówkę.

- Życzę panu wszystkiego najlepszego,

sir - rzekł porucznik, ucieszony samym

widokiem tego, o czym od dawna

marzył. Podchorąży zawahał się, nie

wiedząc, czy wypada powiedzieć

cokolwiek w tak znakomitym

towarzystwie. Dopiero po chwili, gdy

pani Harte zaczęła przedstawiać sobie

gości, zdołał

wydusić z siebie drżącym głosem:

„Wszystkiego najlepszego, sir" i spłonął

rumieńcem.

- To pan Stapleton, trzeci na

„Guerrierze" - powiedziała żona

komendanta, wskazując dłonią. - A to

pan Burnett z „Isis". Carmen, przynieś

nam butelkę Madery...

Molly Harte była atrakcyjną kobietą;

może nie piękną lub wyzywająco ładną,

lecz szczególny sposób, w jaki nosiła

głowę, nie pozwalał odmówić jej urody.

Pogardzała swoim nieudacznym mężem,

który we wszystkim jej ulegał. Szukała ukojenia i ucieczki przed nim w muzyce. Sama muzyka nie zawsze chyba jednak wystarczała, gdyż teraz pani domu naląła sobie spory kieliszek i opróżniła go z zadziwiającą sprawnością.

W chwilę później pan Stapleton pożegnał się i wyszedł. Przez jakiś czas wszyscy obecni wymieniali uwagi na temat pogody: cudowna, nawet w południe nie jest za gorąco - morską bryza łagodzi upał - ten północny wiatr jest trochę męczący, zdrowy za to - tutejsze słońce jest o wiele przyjemniejsze niż kwietniowe deszcze w Anglii - ciepło jest w ogólności na pewno bardziej przyjemne niż zimno...

- Panie Burnett, czy mógłby pan wyświadczyć mi uprzejmość? - poprosiła gospodyni po około pięciu minutach rozmowy. - Zostawiłam w pałacu gubernatora torebkę...

- Pięknie wczoraj grałaś, Molly -

powiedział Jack, gdy już zamknęły się drzwi.

- Jack, tak się cieszę, że masz nareszcie własny okręt.

- I ja też się cieszę. Nie myślałem, że kiedykolwiek w życiu będę taki szczęśliwy. Wczoraj czułem się przygnębiony i przybity, a „Pod Koroną” czekał na mnie ten list. Czyż to nie wspaniałe? - Przez chwilę oboje czytali ów dokument w pełnym powagi milczeniu.

- „Zostanie pociągnięty do odpowiedzialności i surowo ukarany...”

- powtórzyła pani Harte. - Jack, błagam cię, nie próbuj zdobywać przyzów, atakując statki krajów neutralnych. Ten bark z Ragusy, przysłany przez biednego Willoughby'ego, nie został uznany za zdobycz wojenną i właściciele będą teraz skarżyć nieszczęśnika.

- Nie ma obawy, droga Molly - odparł Jack. - Zapewniam cię, że przez dłuższy czas nie będę miał

okazji zdobycia żadnych przyzów. Ten list dotarł do mnie z opóźnieniem, z bardzo podejrzanym opóźnieniem, i Allen wypłynął z moimi najlepszymi ludźmi. Polecono mu wyruszyć w zaskakującym pośpiechu, zanim udało mi się z nim zobaczyć. Ponadto komendant przeznaczył część z tych, którzy pozostali, do służby w porcie. Wygląda na to, że nie możemy obecnie wyjść w morze. Ośmielam się przypuszczać, iż zdążymy się zestarzeć, zanim zdobędziemy cokolwiek.

- Och, to niemożliwe! - krzyknęła pani

Harte wzburzona, jej twarz

poczerwieniała. W tej samej chwili do

salonu weszła Lady Warren, a tuż za nią

jej brat, kapitan piechoty morskiej.

- Annie, moja najdroższa! - zawołała

Molly Harte. - Chodź tutaj zaraz i pomóż

mi zapobiec pewnej potwornej

niesprawiedliwości. Oto kapitan

Aubrey. Czy państwo może się znacie?

- Sługa uniżony szanownej pani. - Jack

skłonił się szczególnie nisko. Stał przed
żoną admirała.

- To najbardziej szlachetny i rycerski
oficer. Prawdziwy torys, syn generała
Aubreya. Proszę sobie wyobrazić, że
właśnie jego w obrzydliwy sposób...

Na dworze ociepliło się znacznie. Gdy
Jack wyszedł wreszcie na zewnątrz,
poczuł dotyk rozgrzanego powietrza na
twarzy. Pomimo temperatury nie było
duszno czy parno. Wyczuwało się
dookoła

świeżość, która zdawała się unosić ze
sobą wszystkie nieprzyjemności.

Skręciwszy kilka razy, dotarł
wreszcie do wysadzanej drzewami
ulicy, prowadzącej z Ciudadela do
placu, a raczej tarasu, wiszącego na
skale wysoko ponad nabrzeżami portu.

Przeszedł na ocienioną stronę, tam gdzie
angielskie domy z zasuwanymi oknami,
małymi okienkami ponad drzwiami
oraz brukowanymi podjazdami stały w
zadziwiającej zgodzie i poufałości z

opuszczonymi hiszpańskimi

rezydencjami, o wejściach

zwieńczonych kamiennymi herbami.

Drugą stroną drogi przeszła grupa

marynarzy. Niektórzy ubrani byli w

szerokie pasiaste spodnie, inni w

spodnie z gładkiego żaglowego płótna.

Część z nich miała na sobie eleganckie

czerwone kamizelki, drudzy zwykłe

błękitne kurtki. Stroju dopełniały

brezentowe czapki, noszone pomimo

gorąca, szerokie słomkowe kapelusze

lub pstre chustki zawiązane na głowach.

Wszyscy bez wyjątku mieli włosy

zaplecione z tyłu w długi warkoczyk i w

jakiś nie wyjaśniony sposób wiadomo

było od razu, iż są członkami załogi

któregoś z okrętów wojennych.

Ci akurat należeli do „Bellerophona” i

Jack patrzył na nich wygłodniałym

wzrokiem, gdy przechodzili obok,

śmiejąc się i wykrzykując coś do siebie

po angielsku i hiszpańsku. Zbliżał się do

placu. Poprzez gęstwinę młodzieńskich

zielonych liści widział już bombramsle i
bramsle okrętu „Genereux”, lśniące
bielą, suszące się w słońcu na rejach
daleko po drugiej stronie portu.

Ruchliwa ulica, zieleń drzew, żagle i
błękitne niebo nad głową - wszystko to
wystarczało, by zabiło mocniej serce
każdego mężczyzny. Trzy czwarte duszy
Jacka poddało się owemu szczególnemu
uniesieniu, ulatując gdzieś wysoko.

Spora część jego umysłu nie potrafiła
jednak oderwać się od ziemi, zajęta
niespokojnymi myślami o brakujących
członkach załogi. Już stawiając
pierwsze kroki w Royal Navy, Aubrey
aż nadto dobrze poznał koszmarne
problemy z zaciąganiem ludzi do służby w
marynarce. Pierwsza

poważniejsza rana, jaką odniósł, była
skutkiem uderzenia żelazkiem przez
pewną kobietę z Deal, która uważała, iż
jej mąż nie powinien być zmuszany do
zaokrętowania. Jack nie przypuszczał
jednak nigdy, że tak boleśnie zetknie się

z tym problemem już teraz, na początku dowódczej kariery. Nie spodziewał się, iż może to tak właśnie wyglądać.

Zwłaszcza tutaj, na Morzu Śródziemnym.

Wszedł na plac wysadzany dostojnymi drzewami. W dół, do portu, prowadziły szerokie podwójne schody, od stulecia znane brytyjskim marynarzom jako

Pigtail Steps. Wielu z nich połamało sobie na tych stopniach ręce i nogi bądź porozbijało głowy. Aubrey podszedł do

niewysokiego muru u szczytu schodów i spojrzął na olbrzymi zamknięty obszar

wody rozciągający się od najdalszego zakątka portu po lewej stronie aż na

kilka mil w prawo, daleko za wyspę szpitalną, do bronionego przez twierdzę

wyjścia na otwarte morze. W lewej

części stały statki handlowe. Dziesiątki,

a właściwie setki: feluki, tartany,

xebeki, pinasy, polakry, houario i

barcalongi. Wszystkie rodzaje osprzętu i

ozagłowania spotykane na Morzu

Śródziemnym, a także wiele innych,

nawet z dalekich mórz północy: kety
węglowe, dorszowce i śledziowce.

Naprzeciwko Jacka i po jego prawej
stronie stały okręty wojenne: dwa
liniowe, każdy z siedemdziesięcioma
czterema działami na pokładzie, i piękna
fregata „Niobe” o dwudziestu ośmiu
działach. Jej marynarze malowali
cynobrowy pas pod podobną do
szachownicy linią furt działowych i
dalej w górę nad delikatną pawężą,
naśladując pewien hiszpański okręt,
który tak bardzo spodobał się ich
kapitanowi. Z tyłu kotwicyły bądź
cumowały transportowce i inne
jednostki; po całej powierzchni basenu
portowego, w kierunku od okrętów do
nabrzeża i schodów, kursowały tam i z
powrotem niezliczone łodzie. Longboty,
barkasy, paradne łódki z liniowców,
szalupy, kutry, jolki i gigi, a nawet
powolny bączek z kecza „Tartarus”,
ponad miarę obciążony zwałistym
cielskiem ochmistrza tego okrętu, tak iż

burty wystawały z wody zaledwie na trzy cale.

Dalej na prawo wspaniałe nabrzeże skręcało w stronę stoczni, pirsu amunicyjnego i prowiantowego, aż do wyspy kwarantannowej, kryjąc wiele jeszcze innych okrętów. Jack wyciągał szyję, stojąc z nogą opartą na obmurowaniu, w nadziei, iż dostrzeże choćby najmniejszy fragment powodu swej radości i dumy. Nie udało mu się jednak niczego wypatrzeć. Niechętnie obrócił się w lewo, tam bowiem znajdowało się biuro pana Williamsa. Williams był w Port Mahon przedstawicielem agenta z Gibraltaru, firmy Johnstone i Graham zajmującej się sprzedażą przyzów. To biuro było portem, do którego w następnej kolejności należało zawinąć. Po pierwsze, trochę śmiesznie było nosić złoto na ramieniu, nie mając grosza w kieszeni. Po drugie, kapitan Aubrey potrzebował teraz pieniędzy,

gdyż musiał poczynić całą serię

poważnych i nieuniknionych wydatków:

zwyczajowe prezenty, drobne łapówki i

temu podobne. Zwykły kredyt niewiele

mógł tutaj pomóc.

Jack wszedł do środka z taką pewnością

siebie, jakby to on osobiście wygrał

przed chwilą bitwę o ujście Nilu. Może

właśnie dzięki temu został bardzo

dobrze przyjęty.

- Przypuszczam, iż widział się pan już z

panem Baldickiem? - zagadnął agent po

załatwieniu oficjalnych spraw.

- Myśli pan o poruczniku z „Sophie”?

- Tak.

- On wypłynął przecież z kapitanem

Allenem. W tej chwili jest na pokładzie

„Pallas”.

- Tu się pan myli, jeśli wolno mi tak

powiedzieć. Pan Baldick leży w

szpitalu.

- To niemożliwe! - zawołał Aubrey.

Jego rozmówca uśmiechnął się, poruszył

ramionami i rozłożył dłonie w

przepraszającym gościem.

Mówił przecież prawdę, a Jack miał
wszelkie prawo, by być zaskoczonym.

Poprosiwszy na wszelki wypadek o
wybaczenie, agent mówił dalej:

- Porucznik Baldick zszedł na ląd

wczoraj późnym wieczorem. Został

przyjęty do szpitala z niewysoką

gorączką. Do tego małego szpitala koło

kapucynów, nie na wyspie. Prawdę

mówiąc... - Agent ściszył

głos, przysłoniwszy dłonią usta na znak,

iż zwierza wielką tajemnicę. - On i

felczer z „Sophie” bardzo się nie lubią i perspektywa choroby w morzu nie

bardzo się Baldickowi podobała. Na

pewno

zamustruje na swój okręt w Gibraltarze,

jak tylko poczuje się lepiej. A teraz,

kapitanie... - Agent uśmiechnął się

nienaturalnie, jego oczy uciekły

niepewnie na bok. - Pozwolę sobie na

śmiałość i poproszę pana o przysługę,

jeśli można. Pani Williams ma młodego

kuzyna, który od dziecka pragnie

wypłynąć w morze. Marzy, by zostać kiedyś ochmistrem. To bystry chłopak, który na dodatek bardzo wyraźnie i ładnie pisze. Od Bożego Narodzenia pracuje u mnie w biurze, stąd wiem, że całkiem dobrze potrafi liczyć. Dlatego właśnie, sir, jeśli nie ma pan nikogo innego na myśli, ośmielam się go zaproponować jako pańskiego klerka... -

Uśmiech na twarzy agenta na przemian pojawiał się i znikał.

Williamsowi rzadko zdarzało się o cokolwiek prosić, zwłaszcza oficerów marynarki. Zwykle to jego proszono i możliwość odmowy wydawała mu się szczególnie upokarzająca.

- Dlaczegoż by nie - odparł Jack po krótkim namyśle. - Nie mam chyba nikogo innego na to stanowisko. Rozumiem, że odpowiada pan za tego chłopca? No cóż... Jeśli znajdzie pan dla mnie jeszcze jakiegoś starszego marynarza, zgoda! Biorę pańskiego chłopaka.

- Czy mówi pan poważnie, sir?

- Oczywiście... Tak mi się zdaje.

- Załatwione! - zawołał agent,

wyciągając rękę. - Nie będzie pan
żałował, sir. Ma pan na to moje słowo.

- Jestem tego zupełnie pewny, panie

Williams. Czy mógłbym go teraz

zobaczyć?

David Richards był przeciętnym

młodzieńcem, o twarzy pozbawionej

koloru i wyrazu, jeśli nie liczyć kilku

różowych krost. Było jednak coś

chwyającego za serce w jego

hamowanym zapale,

podnieceniu, gorliwości i obawie, by

nie sprawić zawodu. Jack spojrzał na

chłopca życzliwie i powiedział:

- Pan Williams opowiadał mi, że pisze

pan czytelnie i ładnie. Czy nie

zechciałby pan napisać dla mnie

krótkiego listu? Proszę go zaadresować

do pierwszego oficera nawigacyjnego

okrętu „Sophie”. Jak ten oficer się

nazywa, panie Williams?

- Marshall, sir. William Marshall.

Doskonały nawigator, z tego, co

słyszałem.

- Tym lepiej. - Jack przypomniał sobie

własne zmagania z tablicami

nawigacyjnymi i zaskakujące wyniki,

jakie czasami otrzymywał. - Proszę więc

pisać: Do pana Williama Marshalla,

pierwszego oficera nawigacyjnego słupa

Jego Królewskiej Mości „Sophie”.

Kapitan Aubrey przesyła panu

Marshallowi wyrazy uszanowania i

zawiadania, iż przybędzie na pokład

około godziny pierwszej po południu.

Tak, to będzie dla nich uczciwe

ostrzeżenie. Bardzo starannie napisane...

Czy dopilnuje pan teraz, by ta kartka

trafiła do rąk adresata?

- Zniosę ten list osobiście, sir,

natychmiast. - Twarz mówiącego te

słowa młodego człowieka niezdrowo

poczerwieniała z zadowolenia.

„Boże!” - mówił Jack w myślach, idąc

w stronę szpitala i patrząc na puste i

jałowe połączenie lądu po obu stronach

ruchliwego portu. - „Boże! Jak

przyjemnie jest od czasu do czasu

poczuć się kimś ważnym”.

- Pan Baldick? - zapytał. - Nazywam się

Aubrey. Gdyby nie zbieg okoliczności,

bylibyśmy zapewne członkami załogi

tego samego okrętu. Dlatego pozwoliłem

sobie przyjść, by zapytać o pańskie

zdrowie. Mam nadzieję, że czuje się pan

coraz lepiej?

- To bardzo ładnie z pańskiej strony, sir

- odrzekł porucznik, pięćdziesięcioletni

mężczyzna z twarzą pokrytą

srebrzystoszarą zarostem. Włosy miał

jednak kruczoczarne. - Bardziej niż

uprzejme.

Dziękuję. Dziękuję, kapitanie. Jestem już

znacznie zdrowszy. Jestem szczęśliwy,

że udało mi się wyrwać z łap tych

cholernych rzeźników, lekarzy. Czy

może pan sobie to wyobrazić, kapitanie?

Od trzydziestu siedmiu lat służę w

marynarce, z tego dwadzieścia dziewięć

lat jako oficer z patentem, a oni chcą
mnie leczyć wodą i jakąś podłą dietą.
Powiedzieli mi, że tabletki i krople
Warda to nic dobrego, ale podczas
ostatniej wojny w Indiach Zachodnich to
one uratowały mi życie. Żółta febra
zabrała wtedy dwie trzecie jednej z
wacht w ciągu dziesięciu dni. Nie
miałem nigdy żadnego szkorbutu,
ischiasu, reumatyzmu czy cholernego
rozwolnienia, a oni mówią, że moje
tabletki są nic niewarte. Te
przemądrzałe młokosy, lekarze prosto
po szkole, jeszcze z palcami
powalanymi atramentem, mogą sobie
mówić, co chcą. Ja tam nadal wierzę w
krople i tabletki Warda.

- I w grog - powiedział Jack do siebie,
gdyż zapach w pokoju przywodził na
myśl magazyn alkoholu na okręcie
pierwszej klasy. - Podobno „Sophie”
straciła felczera? - zagadnął głośno. - A
razem z nim innych co bardziej
wartościowych członków załogi?

- Niewielka strata, zapewniam pana.

Trzeba jednak przyznać, że załoga

bardzo się nim przejmowała.

Ślepo wierzyli w jego znachorskie

sztuczki i oszukane lekarstwa. Banda

głupków. Strasznie to przeżyli. Nie

wiem, jak uda się panu znaleźć tu, na

Śródziemnym, kogoś na jego miejsce. To

bardzo rzadkie ptaszki. W każdym razie

to niewielka strata, niezależnie od tego,

co myślą ludzie. Wystarczy skrzynka z

lekarstwami i cieśla do

przeprowadzania amputacji. Czy mogę

panu zaproponować

szklaneczkę, sir? - Jack pokręcił

przecząco głową. - Co się zaś tyczy

reszty - ciągnął porucznik dalej -

nie było aż takich wielkich strat.

„Pallas" miała prawie pełny stan

osobowy. Kapitan Allen wziął ze sobą

tylko swego siostrzeńca oraz syna

jednego z przyjaciół. Zabrał też innych

Amerykanów, nie mówiąc już o sterniku

łodzi i kapitańskim stewardzie. I jeszcze

klerka!

- Ilu Amerykanów?

- Och, nie więcej niż pół tuzina.

Wszyscy ludzie z jego ojczystych stron, z okolic za Halifaxem.

- W takim razie naprawdę mi ulżyło.

Powiedziano mi, że bryg został ogołocony z ludzi.

- Któż panu to powiedział?

- Kapitan Harte.

Baldick przygryzł wargi i pociągnął nosem. Zawahał się, nie chcąc powiedzieć zbyt wiele, i pociągnął spory łyk ze swego kubka. W końcu odezwał się ostrożnie:

- Przez te trzydzieści lat zdążyłem bardzo dobrze go poznać. Lubi dokuczać innym ludziom. Żartuje sobie z nich, oczywiście...

Gdy obaj rozmyślali nad złośliwym poczuciem humoru komendanta, porucznik opróżnił kubek.

- Nie jest tak źle - powiedział, odstawiając puste naczynie. -

Zostawiliśmy na „Sophie” całkiem porządną obsadę. Dwudziestu lub więcej pierwszorzędnych marynarzy, ponad połowa ludzi to z krwi i kości załoga okrętu wojennego. To znacznie lepiej niż w większej części dzisiejszej floty. Wśród pozostałych znaleźć można oczywiście paru prawdziwych łajdaków. Tacy są jednak na każdym okręcie. Tak przy okazji... Zostawiłem panu notatkę o jednym z nich: Isaac Wilson, marynarz.

Najłatwiej załatwi pan tę sprawę na morzu, bez tych cholernych prawników...

Jeśli zaś chodzi o oficerów, to można powiedzieć, że w większości to świetni żeglarze, jeszcze ze starej szkoły. Watt, bosman, zna się na swojej robocie jak każdy inny bosman we flocie. Lamb, cieśla, jest dobrym, spokojnym człowiekiem, może trochę zbyt powolnym i nieśmiałym. George Day, artylerzysta, to także porządny chłop, jeżeli jest trzeźwy, ale czasami się upija.

Natomiast ochmistrz, Ricketts, jest
wystarczająco bystry jak na ochmistrza.

Oficerowie nawigacyjni: Pullings i
młody Mowett, mogą samodzielnie
pełnić wachty. Pullings już dawno zdał
egzamin na porucznika, lecz nigdy nie
uzyskał
awansu. Z młodych pozostawiliśmy panu
tylko dwójkę: małego Rickettsa i
Babingtona. Niezbyt błyskotliwi, ale
też i nie łajdacy.

- A co pan powie o pierwszym
nawigatorze? Podobno jest bardzo
dobrym specjalistą w swej
dziedzinie.

- Marshall? Tak, to prawda... - Baldick
ponownie przygryzł wargi i pociągnął
nosem. Ponieważ zdążył
już wypić kolejny kubek grogu, tym
razem znacznie śmieiej powiedział, co
miał na myśli. - Nie wiem, co pan sądzi
o zainteresowaniu chłopcami, ale moim
zdaniem to nienaturalne.

- Chyba ma pan rację, panie Baldick -

zgodził się Jack. Po chwili dodał, czując się jak na przesłuchaniu: - Nie pochwalam tego. Absolutnie jestem przeciw takim praktykom, ale muszę przyznać, iż nie chciałbym, by ktokolwiek został za to powieszony. Ma pan na myśli chłopców okrętowych?

Baldick przez chwilę powoli kręcił głową.

- Nie - rzekł w końcu. - Nie, nie mówię, że on ma na sumieniu coś podobnego.

Nic nie wiem na pewno. Zresztą, nie powinno się mówić źle o człowieku za jego plecami.

- Czasem, dla dobra służby... - Jack machnął ręką. Wkrótce opuścił szpital, gdyż porucznik wyraźnie poczuł się gorzej: pijany, spocony i żaloszny.

Tramontana zdążyła już przybrać na sile i wiała teraz jak wymagająca dwóch refów na marslach bryza, trzepocząc pióropuszcami palm. Niebo było idealnie czyste. Na morzu poza portem formowały się coraz wyższe fale,

tworząc wyraźną granicę, poza którą nie mogło przedostać się gorące powietrze - podobnie sól powstrzymuje rozlane wino. Aubrey wcisnął głębiej kapelusz, wziął głęboki oddech i powiedział głośno:

- Dobry Boże, jakie to cudowne uczucie.

Jak wspaniale jest żyć!

Udało mu się doskonale zgrać wszystko w czasie. Powinien jeszcze tylko wstąpić po drodze do swego pokoju w oberży „Pod Koroną”, przy okazji upewnić się, że obiad zostanie należycie przygotowany, wyszczotkować mundur i może wypić szklaneczkę wina. Nie musiał za to pamiętać o zabraniu stamtąd listu z pisemnym rozkazem. Miał go przy sobie, na piersi. Poskładany papier szeleścił cichutko przy każdym oddechu. Gdy kwadrans przed pierwszą wyszedł z gospody i ruszył w dół w kierunku nabrzeża, poczuł, że dziwnie brakuje mu tchu. Siadając w łódce, podał przewoźnikowi tylko nazwę okrętu. Nie

mógł

wypowiedzieć nic więcej. Serce mu

łomotało i z najwyższą trudnością

przełykał ślinę. „Czy jestem

stremowany?" - pytał sam siebie.

Siedział sztywno, wpatrzony w rękojeść

swej szpady. Niemal nie zdawał sobie

sprawy z tego, że łódka płynie po

ruchliwym porcie, mijając kolejne

okręty. Nareszcie tuż przed nim wyrosła

burta „Sophie”. Zagrzechotał bosak

przewoźnika.

Kapitan Aubrey omiół swój nowy okręt

szybkim, ciekawym spojrzeniem. Prawie

bezwiednie

zanotował w pamięci, iż reje są

równiutko zbrasowane, a burta

udekorowana. Chłopcy okrętowi, w

białych rękawiczkach, zbiegli w dół z

pokrytymi wełnianym sukniem linami.

Bosmański gwizdek zaśnił srebrem w

słońcu. Wreszcie łódka zatrzymała się,

uderzając lekko o poszycie okrętu. Jack

wspiął się na górę. Przenikliwy świst

przeszywał uszy. Gdy stopy Jacka dotknęły trapu, ktoś wydał głośno komendę. Żołnierze zaprezentowali broń, a oficerowie zdjęli z głów kapelusze. Jack odpowiedział im identycznym gestem, gdy stanął na pokładzie rufówki.

Podchorążowie i chorążowie byli ubrani w najlepsze mundury, lśniące bielą i błękitem na zalanym słońcem pokładzie. Ich grupa zdawała się znacznie mniej zwarta niż szkarłatny czworobok piechoty morskiej.

Wszystkie oczy z największą uwagą patrzyły na nowego dowódcę. Wyglądał bardzo poważnie, wręcz ponuro i wydał im się raczej surowy. Nastąpiła krótka pauza, podczas której słychać było wyraźnie, że siedzący w łódce pod burzą przewoźnik mamrocze coś pod nosem.

- Panie Marshall, czy mógłby pan przedstawić mi oficerów? - Jack odezwał się wreszcie.

Występowali kolejno: ochmistrz,

nawigatorzy, podchorążowie,
artylerzysta, cieśla i bosman. Wszyscy
kłaniali się, uważnie obserwowani przez
załogę.

- Dziękuję, panowie, miło było mi was
poznać. Panie Marshall, cała załoga na
rufę, jeśli pan pozwoli.

Ponieważ nie mamy porucznika,
osobiście odczytam rozkaz czyniący
mnie dowódcą tego okrętu.

Nie było potrzeby wywoływania
kogokolwiek spod pokładu - wszyscy
byli już na górze, lecz
piszczałki bosmana i jego ludzi przez
dobre pół minuty grały sygnał „Cała
załoga na rufę” w głąb zejściówek.

Gwizd ucichł. Jack podszedł do barierki
między pokładem rufówki a
śródkręciem i wyjął
swoją rozkaz. Gdy tylko list z dowództwa
ujrzał światło dzienne, padła komenda
„Czapki z głów” i kapitan pewnym, choć
trochę zachrypniętym głosem rozpoczął
czytanie.

- „Od Jaśnie Szanownego Lorda

Keitha...”

W miarę jak przebiegał przez tak dobrze

sobie znane linijki, teraz pełne realnej

treści, napełniało go uczucie

zadowolenia i radości, biorące górę nad

podniosłością chwili. Ostatnie zdanie

udało mu się przeczytać z optymizmem:

- „Kto odmówi wykonania owych

poleceń, czy to pan, czy którykolwiek z

członków załogi, zostanie pociągnięty

do odpowiedzialności i surowo

ukarany”.

Gdy zakończył, złożył list i wsunął z

powrotem do kieszeni.

- Dobrze, proszę zwolnić ludzi - polecił.

- Chciałbym teraz obejrzeć okręt.

Zaraz po tym odbyło się coś w rodzaju

ceremonialnej procesji. W trakcie

obchodu Jack zobaczył

dokładnie to, czego się spodziewał:

okręt przygotowany do inspekcji,

wstrzymujący oddech w obawie, by ktoś

nie zechciał poruszyć perfekcyjnie

oporzędanego takielunku, z idealnie okrągłymi zwojami lin i równiutko ułożonymi na rejach żaglami. „Sophie” była dziś tak samo podobna do samej siebie jak jej sztywny bosman, pocący się w źle skrojonej mundurowej kurtce, który w niczym nie przypominał siebie w koszuli z krótkimi rękawami, wymieniającego reję marsła przy wysokiej fali. Pewne szczegóły były jednak ważne: wyszorowane do białego drewna pokłady, bijący w oczy blask dwu pięknie wypolerowanych mosiężnych czterofuntówek na rufie, precyzja, z jaką w komorze ułożone były warstwy łańcucha kotwicznego, czy też paradna elegancja kuchennych garnków i naczyń.

Wszystko to miało znaczenie. Jack był zbyt doświadczonym oficerem, by dać się łatwo oszukać. To, co widział, raczej mu się spodobało. Dokładnie, podobało mu się tylko to, co powinien widzieć. Nie zauważał tego, czego

ujrzeć nie powinien: kawałka szynki
wyciągniętego przez okrętowego kota
zza wiadra i dziewcząt ukrytych przez
nawigatorów w żaglowni,
spoglądających ciekawie zza zwałów
płótna. Nie dostrzegł kozy uwiązanej u
żłobu, patrzącej na niego uważnie
diabelskim okiem o podwójnej źrenicy,
z namaszczeniem zanieczyszczającej
pokład, Nie zwrócił również uwagi na
podejrzany obiekt, podobny do kawałka
pasztetu, wepchnięty przez kogoś w
panice pod jarzmo bukszprytu.

Patrzył na to wszystko wzrokiem znawcy
i praktyka. Pływał na okrętach, według
dokumentów, od dziewiątego, a w
rzeczywistości od dwunastego roku
życia. Dlatego nawet tak krótki przegląd
pozwolił mu na wiele istotnych
spostrzeżeń. Pierwszy nawigator nie był
człowiekiem, jakiego Jack spodziewał
się ujrzeć: dobrze zbudowany, zadbany i
inteligentny mężczyzna w średnim
wieku.

Pijaczyna Baldick zapewne pokręcił wszystko. Bosman, którego charakter najlepiej określał jego ubiór, wydawał się ostrożny, solidny, odpowiedzialny i trochę staroświecki. Ochmistrz i artylerzysta nie byli ludźmi specjalnie godnymi uwagi. Ten ostatni wyraźnie nie czuł się zbyt dobrze i po drodze gdzieś cichutko zniknął. Podchorążowie prezentowali się lepiej, niż Jack oczekiwał: ich koledzy na brygach i kutrach często byli wyjątkowo brudni i zaniedbani. Ten dzieciak Babbington nie powinien jednak schodzić na ląd w takim ubraniu. Matka chłopca miała pewnie nadzieję, iż jej syn trochę podrośnie. Już sam jego kapelusz przyniósłby okrętowi wiele wstydu. Głównym wrażeniem, jakie Aubrey odniósł w trakcie pierwszej bytności na brygu, była specyficzna, staroświecka aura. W „Sophie” było coś archaicznego, tak jakby wołała, by jej dno nie było obite miedzianą blachą.

Wyglądało na to, iż chętniej zgodzi się,
żeby jej burty zostały wysmołowane, niż
pozwoli je pomalować. Załoga okrętu,
choć wcale nie stara - większość
stanowili przecież
dwudziestolatkowie - również
wydawała się pochodzić z minionej
epoki. Niektórzy z marynarzy nosili
staromodne spodnie i buty, które wyszły
z mody już wtedy, gdy Jack był
początkującym
podchorążym, nie starszym niż mały
Babington. Co ciekawe, nowi
podwładni nie sprawiali wrażenia
specjalnie onieśmiałonych lub
stremowanych. Byli jedynie w
umiarkowany sposób zaciekawieni, na
pewno jednak nie źli czy rozgoryczeni w
związku ze zmianą dowódcy. Wyraźnie
też się go nie obawiali.

Tak: rzeczywiście było tu coś
staroświeckiego. Mimo to Aubrey
pokochał ten okręt całą duszą.
Pokochał ślepo swój ślup w chwili, gdy

po raz pierwszy spojrzął na zgrabnie
zakrzywiony pokład.

Rozsądek wciąż podpowiadał, że

„Sophie” jest starym, powolnym

brygiem, że jest mało

prawdopodobne, aby udało się zbić

dzięki niej fortunę. To prawda, iż miała

na swym koncie kilka chlubnych akcji

pod dowództwem poprzedniego

kapitana. Jedną była walka z uzbrojonym

w dwadzie-

ścia armat francuskim statkiem pirackim,

otaklowanym jak okręt wojenny, inną

zaś potyczka ze stadem kanonierek z

Algeciras, poruszających się na

wiosłach podczas bezwietrznej pogody.

Z tego jednak, co Jack pamiętał,

„Sophie” nigdy nie zdobyła żadnego

bardzo wartościowego przyzu.

Wrócili wreszcie na rufę. Zniżywszy

głowę, Jack wszedł pod miniaturowy

pokład rufówki, do swej kapitańskiej

cabiny. Schylony podszedł do szafek

wbudowanych pod oknami, równo

rozmieszczonych na całej szerokości
pawęży. Ułożone w delikatny łuk ramy
okienne stanowiły doskonałą oprawę dla
wspaniałego widoku na Port Mahon,
przywodzącego na myśl znakomity obraz
Canaletta. Miasto oświetlone było
południowym słońcem i widziane ze
znacznie ciemniejszego wnętrza kabiny
zdawało się należeć do zupełnie innego
świata. Usiadłszy bardzo ostrożnie,
Aubrey odkrył, iż może teraz bez trudu
się wyprostować i unieść głowę -
pozostało jeszcze około ośmiu cali
wolnej przestrzeni.

- Dobrze... - odezwał się po chwili. -

Panie Marshall, muszę panu
pogratulować. „Sophie” wygląda
świetnie. Wszystko jest zadbane, we
wzorowym porządku. - Wydawało mu
się, że tylko tak daleko może się
posunąć, pamiętając o zachowaniu
oficjalnego tonu. Nie zamierzał mówić
nic więcej. Nie planował też żadnych
przemówień do załogi lub jakiegoś

rozluźnienia dyscypliny, by uczcić
wyjątkową okazję. Obrzydzeniem
napawała go myśl o zjednywaniu sobie
sympatii podwładnych w podobny
sposób.

- Dziękuję, sir - powiedział pierwszy
oficer.

- Wracam teraz na ląd. Oczywiście będę
nocował na okręcie, dlatego proszę,
niech pan będzie tak uprzejmy i pośle
łódź po moje rzeczy. Mieszkam „Pod
Koroną”.

Kapitan Aubrey siedział jeszcze przez
chwilę, rozkoszując się wspaniałością
swego salonu. Nie było tutaj dział -
szczególny sposób, w jaki zbudowano
„Sophie”, sprawił, że gdyby je tutaj
umieszczono, wyloty luf znajdowałyby
się zaledwie sześć cali nad
powierzchnią wody. Dlatego dwie
czterofuntówki, które zajmowały
normalnie tak wiele cennego miejsca,
znajdowały się na pokładzie tuż nad
głową. Nawet bez armat brakowało

jednak wolnej przestrzeni. Oprócz szafek w kabinie mieścił się jeszcze tylko ustawiony w poprzek stół. I tak było to znacznie więcej, niż Jack kiedykolwiek na okręcie posiadał.

Oglądał wszystko z rosnącym zadowoleniem. Szczególnie cieszyły go pochylone do wewnątrz okna, jasne, przejrzyste. Siedem szklanych tafli ze szlachetnym dostojenstwem upiększających wnętrze.

Było to o wiele więcej, niż kiedykolwiek dane mu było posiadać, i zarazem znacznie więcej, niż się spodziewał. Nie oczekiwał czegoś podobnego tak wcześnie w swej karierze. Dlaczego więc ciągle, pomimo radości, odczuwał coś nieokreślonego, jakąś gorycz, która pozostała jeszcze ze szkolnych dni?

Z powrotem na brzeg popłynął w łodzi obsadzonej przez własnych marynarzy, w białych płóciennych bluzach i szerokich słomkowych kapeluszach, z

nazwą „Sophie” wyszytą na wstążkach.

Obok niego na ławce rufowej siedział śmiertelnie poważny podchorąży. Jack doskonale rozumiał uczucia tego chłopca. Dla niego nie był już jednym z „nas”. Stanowił bezpośrednie ucieleśnienie słowa „oni”.

Podczas inspekcji na okręcie poczuł, iż jest teraz otoczony szczególnym rodzajem szacunku. Różnym od tego należnego porucznikowi czy jakiegokolwiek innej istocie ludzkiej. To coś otaczało go jak szklany klosz, prawie całkowicie oddzielając od reszty okrętowej społeczności. Opuszczając „Sophie”, kapitan słyszał nieomal za swymi plecami ciche westchnienie ulgi, westchnienie, które znał tak dobrze:

„Jehowa już nie jest z nami”. „To cena, którą trzeba zapłacić” - rozmyślał.

- Dziękuję, panie Babbington -

powiedział do chłopca i stanął na stopniach nabrzeża, podczas gdy łódź popłynęła do portu. Babbington

wyraźnie ożył i słyszeć było jego

piskliwy głos:

- Czy nie możesz się trochę posunąć?

Nie zasypiaj, Simmons, ty przepity

draniu!

„To cena, którą trzeba zapłacić” -

powtórzył Aubrey w myślach. - „I na

Boga, warto”. Gdy słowa te powoli

uformowały się w jego umyśle, na

promieniejącą twarz znów powrócił

wyraz nie ukrywanego zadowolenia i

szczerzej radości. Szedł teraz na

spotkanie z człowiekiem równym sobie,

na obiad do oberży „Pod Koroną”.

Trzeba przyznać, że zmierzał tam trochę

bardziej gorliwie, niż do niedawna

czyniłby to porucznik Aubrey.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwaj ucztujący mężczyźni siedzieli przy

okrągłym stoliku, obok zwieńczonego

łukiem okna

wychodzącego na tylną ścianę oberży,

wysoko ponad lustrem wody. Morze

było jednak na tyle blisko, że skorupy

ostrzyg wrzucali z powrotem do ich

naturalnego środowiska - wystarczał

jedynie ruch nadgarstka. Z

rozładowywanego sto pięćdziesiąt stóp

poniżej tartana dolatywał zapach

szwedzkiej smoły, wymieszany z wonią

takielunku, płótna żaglowego i chińskiej

terpentyny.

- Proszę skosztować choć trochę tej

baraniny z warzywami - zaproponował

Jack Aubrey.

- No cóż... Skoro pan tak nalega -

zgodził się Stephen Maturin. - Jest

naprawdę wyśmienita.

- To jedno z najlepszych dań, jakie

można zjeść „Pod Koroną”. Nie

powiniennem tak bardzo chwalić tutejszej

kuchni. Zamówiłem przecież pasztet z

kaczki, wołowinę i łeb wieprzowy na

kwaśno. No i nóżki. Ten człowiek

musiał mnie źle zrozumieć. Bóg jedyny

wie, co za potrawę ma pan przed sobą,

lecz na pewno nie jest to głowa świni.

To w ogóle nie jest wieprzowina. Kilka

razy powtarzałem kucharzowi, jakie
chęć mięso: *porco*, a on kiwał tylko
głową jak chiński mandaryn. Wie pan, że
to wręcz prowokujące, gdy zamiast
zamówionych pięciu dań: *cinco platos*,
dostaje się zaledwie trzy, z czego aż
dwa są inne niż te, o które się prosiło.
Trochę mi wstyd, ponieważ nie bardzo
mam pana czym ugościć, lecz naprawdę
nie wynika to z mojej złej woli. Proszę
mi wierzyć.

- Och, od wielu dni nie jadłem lepiej i
w lepszym towarzystwie. Zapewniam
pana. - Maturin skłonił

się w stronę Jacka. - Czy wie pan, że
wszelkie problemy mogą być tutaj
spowodowane właśnie tą pańską
szczególną troską i objaśnianiem
wszystkiego po hiszpańsku? Mówiąc
dokładnie: po
kastylijsku?

- Dlaczego? - zdziwił się Jack. Napełnił
oba kieliszki winem, uniósł swój ku
górze i uśmiechnął się, spojrzawszy pod

światło na rubinowy płyn. - Zawsze wydawało mi się, że postępuję rozsądnie, mówiąc w miarę swych możliwości do Hiszpanów po hiszpańsku.

- Zapomina pan o tym, iż tu, na wyspie, mówi się po katalońsku.

- Po katalońsku? Cóż to za język?

- Jak sama nazwa wskazuje, język używany w Katalonii: na naszej i innych wyspach, na całym wybrzeżu śródziemnomorskim aż do Alicante i dalej. Kataloński to język Barcelony, Leridy, całej najbogatszej części Półwyspu Iberyjskiego.

- Zaskakuje mnie pan! Zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Czy mam rozumieć, że to odrębna mowa? Ośmielam się jednak przypuszczać, iż jest to tylko lokalna odmiana hiszpańskiego, dialekt...

putain, jak mówią Francuzi.

- Och, nie. W żadnym wypadku. To zupełnie coś innego. Kataloński jest

językiem o wiele bardziej doskonałym,
bardziej literackim, uduchowionym,
znacznie bliższym łacinie. A tak przy
okazji, to chyba chodziło panu przed
chwilą o słowo *patois*? Czy tak?

- *Patois*. Zupełnie możliwe...

Przysiągłbym jednak, iż użyłem
właściwego słowa. Gdzieś kiedyś się go
nauczyłem... - Jack zastanawiał się przez
moment. - Nie będę jednak udawał przy
panu poliglota. Nie warto, z tego, co
widzę. Interesuje mnie, czy oba te
języki: hiszpański i kataloński, różnią się
znacznie nawet dla niewyrobionego
ucha?

- Są tak różne jak włoski i portugalski.

Może brzmią podobnie, ale ludzie
mówiący nimi nawzajem się nie
rozumieją. Mają też inną intonację. Jest
to taka różnica, jak między muzyką
Glucka i Mozarta. Dla przykładu, to
wspaniałe danie przede mną (widzę, że
kucharze zrobili naprawdę wszystko, by
zrealizować pańskie zamówienie) po

hiszpańsku nazywa się *jabali*, po

katalońsku zaś *senglar*.

- A więc to jest wieprzowina?

- Mięso z dzika. Proszę pozwolić mi...

- Bardzo pan uprzejmy. Czy mogę prosić

o sól? Rzeczywiście wyśmienite. Nigdy

nie powiedziałbym, że to dziczyzna. Jak

nazywają się te ciemne, miękkie i

smaczne kawałki?

- No cóż... Zadał mi pan bardzo trudne

pytanie. Po katalońsku nazywają się

bolets, ale nie umiem powiedzieć, jaka jest ich angielska nazwa.

Najprawdopodobniej nie mają nazwy,

angielskiej oczywiście. Przyrodnik

rozpozna je jako *boletus edulis*, opisane przez Linneusza.

- Skąd...? - Jack nie dokończył pytania i

ze szczerym podziwem spojrzął na

Maturina. Zjadł już prawie dwa funty

baraniny, lecz myśl o smakowitej

dziczyźnie wywołała w jego sercu

dziwną błogość. -

Skąd...? - urwał znowu, uświadomiwszy

sobie, że nie wypada zanadto

wypytywać gościa. Zakaszłał, by

wypełnić ciszę, i zadzwonił na kelnera,
ustawiając puste karafki po swojej
stronie stołu.

Nie wypowiedziane pytanie wisiało już
w powietrzu i tylko ktoś bardzo obojętny
lub wręcz głupi nie udzieliłby na nie
odpowiedzi.

- Wychowałem się w tych stronach - po
krótkiej chwili wyjaśnił Stephen

Maturin. - Większą część młodości
spędziłem u wuja w Barcelonie lub u
babki mieszkającej na wsi w pobliżu
Leridy. Prawdę mówiąc, przebywałem
w Katalonii dłużej niż w Irlandii. Gdy
wreszcie powróciłem do domu, by
rozpocząć studia na uniwersytecie,
wszystkie zadania matematyczne
rozwiązywałem po katalońsku.

Po prostu liczby w tym języku łatwiej
wchodziły mi do głowy.

- Zapewne więc posługuje się pan tym
językiem z biegłością rodowitego
mieszkańca Katalonii. To właśnie
nazywam pożytecznym wykorzystaniem

swego dzieciństwa. Szkoda, że ja nie

mogę

powiedzieć o sobie tego co pan.

- Nie, nie... - Maturin przecząco

pokręcił głową. - Wcale nie spędzałem

tu czasu ze szczególnym pożytkiem.

Poznałem w miarę dobrze tutejsze ptaki:

jest tutaj mnóstwo ptaków drapieżnych,

gady...

Rośliny i owady, z małymi wyjątkami,

zupełnie mnie nie interesowały. To

prawdziwy przejaw mej bezgranicznej

ignorancji. Dopiero po kilku latach

pobytu w Irlandii, gdy napisałem

pierwszy traktat naukowy, zrozumiałem,

jak bezmyślnie zmarnotrawiłem czas. Tu

przecież są całe obszary nietknięte od

czasu, gdy Willoughby i Ray

przemierzyli je pod koniec minionego

wieku. Król Hiszpanii zaprosił

tu Linneusza, gwarantując mu pełną

wolność sumienia, co pan zapewne

pamięta, lecz spotkał się z odmową. Ja

mogłem z tych bogactw swobodnie

korzystać i zupełnie je zignorowałem.

Proszę

pomyśleć, co działaliby tutaj tacy

badacze, jak Pallas, wykształcony

Solander czy też Gmelinowie, młody i

stary. Dlatego skorzystałem z pierwszej

nadarzającej się okazji i zgodziłem się

towarzyszyć staremu panu Browne'owi.

To prawda, że Minorka nie może się

równać z kontynentem, lecz z drugiej

strony tak wielki obszar skał

wapiennych ma szczególną florę i

wszystko inne, co z tego wynika.

- Pan Brown? Ten ze stoczni? Oficer

marynarki? Znam go doskonale! -

zawołał Jack. - To wspaniały kompan.

Kocha śpiew i pisze urzekające

piosenki.

- Nie. Mój pacjent zmarł na morzu i

został pochowany tu u Świętego Filipa.

Biedaczysko, był w ostatnim stadium

gruźlicy. Miałem nadzieję, że go tutaj

dowiozę. Zmiana klimatu i otoczenia

działa czasem cuda w podobnych

przypadkach. Gdy otworzyliśmy z panem
Floreyem ciało, ujrzyliśmy tak
rozległe... Krótko mówiąc, okazało się,
iż konsultanci w Dublinie, i to najlepsi
w mieście, byli zbyt wielkimi
optymistami.

- Otworzyliście ciało? - Jack

wyprostował się znad talerza.

- Tak, uważaliśmy to za konieczne.

Chcieliśmy być uczciwi wobec
przyjaciół zmarłego. Ci nie wydawali
się tym zbytnio zainteresowani. Już
wiele tygodni temu napisałem do
jedynego znanego mi krewnego tego
człowieka, do pewnego dżentelmena z
hrabstwa Fermanagh, lecz nie
doczekałem się dotąd ani słowa
odpowiedzi.

Zapadła cisza. Jack napełnił kieliszki -
tak szybko ubywało w nich wina - i
oświadczył:

- Gdybym wiedział, że jest pan

chirurgiem, nie mógłbym na pewno

oprzeć się pokusie, by

zapropnować panu zaciągnięcie się do
marynarki.

- Chirurdzy to wspaniali ludzie. - W
głosie Maturina zabrzmiała nuta goryczy.

- Cóż byśmy biedni bez nich zrobili.

Muszę przyznać, iż sposób, w jaki pan
Florey w tutejszym szpitalu wykonał
nacięcie krtani pana Browne'a, na
pewno by pana zadziwił. Nie mam
jednak tej przyjemności i nie jestem
chirurgiem, sir. Raczej zwykłym
lekarzem.

- Przepraszam. Cóż, pomyliłem się
więc, lecz pomimo tego powinienem i
tak zwabić pana na okręt i zmusić do
pozostania pod pokładem aż do chwili
wyjścia w morze. Moja biedna „Sophie”
nie ma teraz nawet felczera i nie istnieje
choćby najmniejsza możliwość
znalezienia kogokolwiek na to miejsce.
Może jednak, sir, da się pan namówić i
pójdzie na morze? Okręt wojenny to
doskonałe miejsce dla myśliciela i
naukowca. Zwłaszcza tutaj, na Morzu

Sródziemnym. Ptaki, ryby... Mogę panu

obiecać olbrzymie, nieznane ryby,

prawdziwe fenomeny natury,

meteoryty... I pieniądze z przyzów.

Przecież nawet Arystoteles dał się

skusić na pieniądze z łupów. To

prawdziwe złote dublony, sir. Leżą

sobie w miękkich skórzanych workach,

wie pan, prawie tej wielkości.

Trzymane w dłoni wydają się tak

przyjemnie ciężkie. Jeden człowiek z

trudnością może unieść dwa takie

woreczki...

Jack mówił trochę kpiącym tonem, nie

łudząc się, iż otrzyma poważną

odповідź. Słowa Stephena mocno go

zdziwiły.

- Nie mam kwalifikacji niezbędnych

chirurgowi wojskowemu. To prawda, że

dokonałem bardzo wielu amputacji i nie

jest mi obca większość typowych

operacji chirurgicznych. Nie wiem

jednak nic o zasadach higieny

obowiązujących na morzu, o chorobach

charakterystycznych dla marynarzy.

- To wspaniale! - zawołał Jack. - Proszę
nie zawracać sobie głowy podobnymi
błahostkami. Niech pan posłucha, kogo
nam zwykle przysyłają: pomocników
felczera, jakichś cholernych
praktykantów, którzy obijali się gdzieś
w aptece wystarczająco długo, by
otrzymać dyplom z dowództwa
marynarki.

Ci ludzie zwykle nie wiedzą nic o
chirurgii, nie wspominając o ogólnej
medycynie. Uczą się na biednych
marynarzach, licząc, iż znajdą na okręcie
jakiegoś doświadczonego pomocnika:
rzeźnika, raka, specjalistę od
stawiania pijawek lub innego
spryciarza. W wyniku przymusowego
zaciągu na okręt trafiają przedstawiciele
wszystkich zawodów. Gdy taki felczer
zdobędzie trochę doświadczenia,
natychmiast przechodzi na fregatę lub
liniowiec. Nie, nie. Naprawdę
bylibyśmy zachwyceni, mając pana na

pokładzie. Bardziej niż zachwyceni.

Proszę się nad tym przez chwilę

zastanowić. Nie muszę też chyba

dodawać - Jack spojrzał na swego

rozmówcę bardzo poważnie - iż pańskie

towarzystwo sprawiłoby mi wielką

przyjemność.

Kelner otworzył drzwi i tuż za nim

pojawiła się czerwona kurtka żołnierza

piechoty morskiej, trzymającego w ręku

nieduży pakiet.

- Kapitan Aubrey? - zawołał żołnierz od

drzwi. - Z wyrazami uszanowania od

kapitana Harte!

Goniec wyszedł, tupiąc ciężkimi butami.

- To muszą być moje rozkazy... -

powiedział Jack.

- Niech pan nie zwraca na mnie uwagi -

poprosił Stephen. - Musi je pan przecież

natychmiast przeczytać. - Wziął skrzypce

Jacka i poszedł z nimi w kąt

pomieszczenia. Po chwili zaczął

ćwiczyć niską, pieszczotliwą gameę.

Rozkazy były dokładnie takie, jakich

Jack się spodziewał. Polecono mu możliwie jak najszybciej uzupełnić zaopatrzenie i prowiant i wyruszyć w osłonie konwoju dwunastu żaglowców handlowych (ich nazwy wypisane były na marginesie) do Cagliari. Miał posuwać się ze znacznym pośpiechem, lecz nie wolno mu było narażać masztów, rej i żagli. Nie miał unikać niebezpieczeństwa, ale zarazem nie miał podejmować żadnego ryzyka. Dalej, opatrzone nagłówkiem „Tajne”, następowały instrukcje dotyczące specjalnego sygnału pozwalającego rozróżnić swego od obcego, przyjaciela od wroga:

„Okręt, który sygnalizuje pierwszy, zobowiązany jest wywiesić czerwoną flagę pod jabłkiem fokmasztu, a na grotmaszcie białą flagę i proporzec powyżej flagi. Okręt odpowiadający na sygnał ma wywiesić białą flagę i proporzec powyżej flagi na grotmaszcie i błękitną flagę pod jabłkiem fokmasztu.

Ponadto okręt, który dał sygnał pierwszy, powinien wystrzelić z jednego działa na nawietrzną, podczas gdy okręt odpowiadający ma wystrzelić kolejno z trzech dział na zawietrzną, z wyraźnym odstępem między kolejnymi wystrzałami". Była tam jeszcze nota, z której wynikało, iż porucznik Dillon, przydzielony na „Sophie” na miejsce pana Baldicka, wkrótce przybędzie do Port Mahon na pokładzie „Burforda”.

- A to dobra wiadomość! - odezwał się Jack. - Przydzielono mi jako porucznika wspaniałego człowieka! Na „Sophie” możemy mieć tylko jednego porucznika, więc to bardzo ważne... Nie znam go osobiście, lecz jestem pewien, że to doskonały oficer. Wyróżnił się w szczególny sposób na pokładzie kutra „Dart”, odebranego Francuzom. W walce z trzema francuskimi statkami pirackimi zatopił jeden z nich i jeden zdobył. Wszyscy we flocie wtedy o tym mówili. Jego list nie został nigdy

wydrukowany w „Gazette”, ów dzielny porucznik nie otrzymał też dotąd promocji. To jakiś niewytłumaczalny pech. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż ten człowiek jest ponoć bogaty. Fitzgerald, który zna wszystkie takie plotki, powiedział mi, że to siostrzeniec... a może kuzyn... W każdym razie: krewny jakiegoś arystokraty. Nie pamiętam teraz nazwiska. Tak czy inaczej, chodziło tu o naprawdę wspaniały wyczyn. Wielu ludzi awansowano z powodu znacznie skromniejszych zasług. Na przykład mnie.

- Czy mogę zapytać, czym pan się wyróżnił? Tak niewiele wiem o służbie w marynarce.

- Och, po prostu dostałem po głowie.

Raz na Nilu i kolejny raz, gdy „Genereux” zwyciężył starego „Leandera”. Rozdawano promocje i nagrody, więc i mnie coś w końcu przypadło w udziale jako jedyńemu porucznikowi, który wtedy uszedł z

życiem. Naprawdę długo to trwało,
może mi pan wierzyć. Niezmiernie
ucieszył mnie ten awans, choć tak
spóźniony i niezasłużony. Co pan powie
na herbatę? A na małą bułeczkę z
masłem do herbaty? Czy może woli pan
porto?

- Jeśli można, wolałbym herbatę -

odparł Stephen. - Proszę mi powiedzieć

- zagadnął, biorąc znów do ręki

skrzypce Jacka - czy wstąpienie do

marynarki nie wiąże się czasem z

jakimiś wielkimi wydatkami, podróżą

do Londynu, zakupem mundurów,

przysięgą, oficjalnymi przyjęciami?

- Przysięga? Nie... To dotyczy tylko

poruczników. Idzie się do Admiralicji,

tam czytają tekst o lojalności,

posłuszeństwie wobec zwierzchników i

całkowitym odrzuceniu papieża.

Człowiek czuje się wtedy bardzo

uroczyście, mówi: „przysięgam”, a gość

za biurkiem przypomina, że „teraz należy

wpłacić pół gwinei”, co raczej psuje

nastrój. Dzieje się tak tylko w przypadku
oficerów z patentem.

Medycy przyjmowani są do służby
podobnie jak podoficerowie. Jednakże
chyba nie miałby pan nic przeciwko
przysiędze? - zapytał Jack z uśmiechem.

Ta uwaga wydała mu się jednak trochę
niedelikatna, trochę zbyt osobistej
natury, mówił więc dalej: - Służyłem
kiedyś na jednym okręcie z
człowiekiem, który przeciwny był
przysięganiu w jakiegokolwiek sprawie.

Nigdy nie udało mi się go polubić: stale
dotykał swojej twarzy. Był bardzo
nerwowy, może to go usprawiedliwia.

Kiedy spojrzano się na niego, miał albo
palec w ustach, albo ugniatał sobie
policzki. W najlepszym razie trzymał się
za brodę. To niby nic takiego, lecz gdy
jest się zmuszonym do stałego
przebywania z kimś takim w jednym
pomieszczeniu, takie nawyki stają się
nie do zniesienia. W końcu, po wielu
dniach, ma się ochotę zawołać w mesie

lub kubryku: „Zostaw tę swoją gębę, do diabła”. Niestety, na okręcie trzeba znosić podobne rzeczy. Ów człowiek czytywał Biblię i postanowił, iż nie złoży nigdy żadnej przysięgi. Został wezwany jako świadek, gdy odbywał się ten głupi sąd wojenny nad biednym Benthamem. Odmówił wtedy składania zeznań pod przysięgą. Powiedział staremu Jarviemu, że przysięganie pozostaje w sprzeczności z czymś tam zawartym w Ewangelii. Podobne zachowanie uszłoby może płazem u Gambiera, Saumareza czy kogoś innego, zajmującego się poważnie religią, nigdy jednak u starego Jarwiego. Odmówiwszy złożenia przysięgi, ów oficer sam wydał na siebie wyrok. Przykro mi to powiedzieć. Nigdy nie udałoby mi się go polubić, nie pachniał zresztą zbyt przyjemnie. Mimo to był w miarę dobrym marynarzem i na pewno nie złoczyńcą. Dlatego spytałem, czy nie ma pan nic przeciwko przysiędze. Nie

jest pan chyba entuzjastycznym

zwolennikiem

uroczystych przyrzeczeń?

- Nie, to prawda - odparł Maturin. - Nie

jestem. Zostałem wychowany przez

prawdziwego myśliciela, może raczej

powinienem go nazwać *philosophe*, i

niektóre z jego idei stały się podstawą

mego światopoglądu. W imię głoszonych

przez niego zasad przysięga to trochę

dziecinna sprawa.

Pozbawiona sensu, gdy jest dobrowolna,

i niegodna uwagi, jeśli zostanie

wymuszona. Bardzo niewielu ludzi,

nawet spośród najniższych rangą

członków pańskiej załogi, wierzy dziś w

uroczyste przyrzeczenia. Myślę tu

choćby o chlebie hrabiego Godwyna.

Zapadło długie milczenie, trwające aż

do chwili, w której wniesiono herbatę.

- Czy dolać panu odrobinę mleka do

herbaty, doktorze? - zapytał Jack.

- Jeśli byłby pan tak uprzejmy... -

Stephen siedział wciąż głęboko

pogrążony w myślach. Pogwizdywał

bezglśnie, wpatrzony w próżnię.

- Chciałbym... - zaczął Jack.

- Zawsze mówi się, że błędem jest

przyznawanie się do swych kłopotów i

słabości - niespodziewanie przerwał mu

Maturin. - Ponieważ jednak mówił pan

do mnie z tak wielką otwartością i

szczerością, nie mógłbym nie postąpić

tak samo. Pańska oferta, pańska

propozycja, wydaje mi się bardzo atra-

kcyjna. Nie tylko z powodów, które był

pan uprzejmy wyliczyć. Moja sytuacja

tu, na Minorce, jest w tej chwili dosyć

trudna. Pacjent, którym miałem

opiekować się do jesieni, zmarł.

Uważałem go za człowieka zamożnego,

posiadał bowiem dom na Merrion

Square, ale kiedy z panem Floreyem

przejrzeliśmy rzeczy owego

nieszczęśnika przed ich

opieczutowaniem, nie znaleźliśmy

niczego. Nie było tam ani pieniędzy, ani

listów kredytowych. Jego służący

wyparował jak kamfora, co może wiele tłumaczyć. Tak czy inaczej, przyjaciele zmarłego nie odpowiadają na moje listy, a wojna odcięła mnie od mych niewielkich dóbr rodzinnych w Hiszpanii. Gdy jakiś czas temu mówiłem panu, iż już dawno tak dobrze nie jadłem, byłem absolutnie szczery i nie wypowiedziałem tych słów powodowany jedynie grzecznością.

- Och, cóż za wstrząsająca historia! - zawołał Jack. - Tak mi przykro z powodu pańskiego zakłopotania. Jeśli jest pan w potrzebie, sądzę, że pozwoli mi pan... - Ręka Jacka była już w kieszeni spodni, lecz Stephen Maturin powstrzymał go, z uśmiechem kręcąc głową.

- Nie, nie, nie... To bardzo miło z pańskiej strony.

- Naprawdę przykro mi z powodu pańskiego zakłopotania - powtórzył Jack. - Jestem też trochę zawstydzony, próbując wykorzystać pańską obecność

sytuację, ale moja „Sophie” musi mieć lekarza. To ważniejsze niż cokolwiek innego. Nie ma pan pojęcia, jakimi hipochondrykami są marynarze. Wprost uwielbiają być leczeni. Nie potrafią być zadowoleni i szczęśliwi bez choćby najmniej doświadczonego pomocnika felczera, który by ich doglądał. Poza tym, zaciągnięcie się na okręt natychmiast rozwiązuje wszystkie pańskie kłopoty. Płaca nie jest kusząca dla wykształconego człowieka, za ledwie pięć funtów miesięcznie. Wstyd mi nawet o tym wspominać. Zawsze jednak istnieje szansa na pieniądze z przyzów. Jak mi się zdaje, są też pewne dodatkowe dochody, jak na przykład zwyczajowe dary od królowej Anny i coś od każdego chorego na ospę. Te pieniądze są później potrącane z żołdu tych ludzi.

- Och, jeśli chodzi o pieniądze, to nie mają one wielkiego znaczenia. Skoro nieśmiertelny Linneusz potrafił przebyć

pięć tysięcy mil w poprzek Laponii,
mając przy sobie tylko dwadzieścia pięć
funtów, to z pewnością i ja mogę... Czy
jednak ta sprawa jest rzeczywiście do
załatwienia? Na pewno musi zostać
wydana jakaś oficjalna zgoda. A
mundur? Instrumenty? Lekarstwa?
- No cóż. Gdy teraz pyta mnie pan o
szczegóły, muszę przyznać, iż nie jestem
w tych sprawach dokładnie
zorientowany - odpowiedział Jack z
uśmiechem. - Nie pozwólmy jednak, by
przeszkodziły nam nieistotne drobiazgi.
Musiał pan na pewno otrzymać oficjalną
nominację z Navy Office. Wiem też, iż
admirał z największą przyjemnością
wyda tymczasowy rozkaz, gdy tylko o to
poproszę. Co się zaś tyczy munduru, to
w przypadku lekarzy nie ma żadnych
szczególnych wymagań. Oczywiście
zwyczajowo wymagana jest błękitna
kurtka. Jeśli chodzi o instrumenty i tym
podobne... No cóż, tu mnie pan
przyłapał. Sądzę, że Apothecaries Hall

przysłała wszystko na okręt. Florey

będzie wiedział

dokładnie. Albo każdy inny lekarz

okrętowy. W każdym razie proszę

koniecznie przybyć na pokład.

Może pan stawić się na burcie, kiedy

tylko pan zapragnie. Powiedzmy - jutro.

Zjemy razem obiad.

Nawet uzyskanie tymczasowego

przydziału do służby zajmie trochę

czasu, proszę więc, by odbył pan tę

podróż jako mój gość. Nie mogę

zapewnić panu wygod - na brygu nie ma

zbyt wiele miejsca, ale pokażę panu

marynarskie życie. Jeśli ma pan kłopoty

z zakwaterowaniem, to automatycznie

przestaną one istnieć. Proszę pozwolić

mi napełnić pański kieliszek. Myślę, iż

pobyt na okręcie spodoba się panu. Dla

filozofa to naprawdę ciekawe miejsce.

- Z pewnością - zgodził się Stephen. -

Gdzież może być ciekawsze miejsce dla

badacza ludzkiej natury? Obiekty

obserwacji stłoczone razem, niezdolne

umknąć przed jego wzrokiem. Ich
emocje i przeżycia uwypuklone przez
niebezpieczeństwa wojny, ryzyko
związane z ich profesją, izolację od
kobiet i szczególną, choć raczej
jednostajną, dietę. No i oczywiście
czasem przez przebłysk patriotycznego
ferworu. - Ukłonił się w stronę Jacka. -
To prawda, że jakiś czas temu bardziej
interesowały mnie kryptogramy niż
otaczający mnie ludzie. Tak czy inaczej
okręt musi być dla dociekliwego umysłu
bardzo pouczającym miejscem.

- Naprawdę pouczającym, zaręczam,
doktorze - zapewnił Jack. - Bardzo mnie
pan uszczęśliwił. Udało mi się: będę
miał na „Sophie” Dillona jako
porucznika i dublińskiego lekarza jako
okrętowego medyka. Co ciekawe, obaj
panowie pochodzicie z Irlandii. Może
zna pan porucznika Dillona?

- Jest tak wielu ludzi o tym nazwisku -
odpowiedział Maturin. Jego serce
wypełniło się chłodem. - Jak on ma na

imię?

- James. - Jack spojrział na kartkę.

- Nie - rzekł Stephen po namyśle. - Nie pamiętam, bym kiedykolwiek spotkał kogoś, kto nazywał się James Dillon.

- Panie Marshall, proszę wezwać cieślę

- polecił Jack. - Będę miał gościa na

pokładzie: musimy zrobić, co tylko

możliwe, by było mu jak najwygodniej.

To lekarz i znamienity naukowiec.

- Astronom? - zapytał pierwszy

nawigator z nadzieją w głosie.

- Bardziej chyba botanik, jak mi się

wydaje - odparł Jack. - Mam wielkie

nadzieje na to, iż jeśli będzie mu tutaj

wygodnie, zostanie z nami jako lekarz

okrętowy. Proszę pomyśleć, jak ucieszy

się załoga!

- Rzeczywiście, sir. Ludzie byli bardzo

zmartwieni, gdy pan Jackson odszedł na

„Pallas”. Jeśli zastąpi go nie felczer, nie chirurg, ale lekarz... To będzie

rewelacja! W całej flocie, z tego co

wiem, jest tylko dwóch dyplomowanych

lekarzy: jeden na okręcie flagowym i

drugi w Gibraltarze. Ponoć biorą po złotej gwinei za wizytę czy coś koło tego. Tak mi przynajmniej mówiono.

- Nawet więcej, panie Marshall, nawet więcej. Czy pobrano już wodę?

- Woda jest już prawie załadowana i zasztauowana. Zostały tylko ostatnie dwie beczki.

- O, jest pan, panie Lamb. Chciałbym, by spojrzął pan na gródź w mojej sypialni.

Proszę sprawdzić, czy nie udałoby się panu znaleźć w kabinie trochę miejsca dla mego przyjaciela. Chyba zdoła pan przesunąć tę gródź do przodu, o jakieś sześć cali. Tak, panie Babbington. O co chodzi?

- Jeśli pan pozwoli, panie kapitanie, „Burford” właśnie sygnalizuje z za cypla.

- Bardzo dobrze. Proszę teraz zawołać do mnie ochmistrza, artylerzystę i bosmana.

Chwilę później kapitan „Sophie” pograżony był całkowicie w okrętowych dokumentach i rachunkach: księga

zaciągu załogi, księga chorych, księga
żołdu, księga inwentarzowa,
zamówienia artylerzysty, bosmana i
cieśli, kwity dostaw i zwrotów, ogólne i
kwartalne zestawienia prowiantowe. Na
dodatek jeszcze zaświadczenia o ilości
produktów wydanych załodze: alkoholu,
kakao i herbaty. Trzeba też wspomnieć o
dzienniku okrętowym, dziennikach
korespondencji i rozkazów. Jack zjadł
trochę za wiele, ponadto nigdy nie był
zbyt biegły w rachunkach. Szybko więc
stracił orientację w tym wszystkim. W
tej biurokracji najwięcej miał do
czynienia z Rickettsem, ochmistrem.
Szczególna łatwość, z jaką ów człowiek
przedstawiał nie kończące się szeregi
liczb i kwot, szybko Jacka zirytowała.
Miał przed sobą wszystkie papiery, o
których była mowa: rozliczenia, kwity i
rachunki.
Wszystkie wymagały jego podpisu, a on
ich zupełnie nie rozumiał.
- Panie Ricketts... - powiedział pod

koniec długiego, gładkiego wywodu, za którym nie mógł nadażyć.

- W książce zaciągu załogi, na pozycji sto siedemdziesiątej ósmej, zamustrowany jest niejaki Charles Stephen Ricketts.

- Tak, sir. To mój syn.

- Właśnie. Widzę, iż został przeniesiony z „Tonnanta”, dawniej „Princess Royal”.

Przy jego nazwisku nie został zapisany wiek.

- Ach, proszę pozwolić mi spojrzeć na ten zapis, sir. Charlie musiał wtedy dochodzić dwunastego roku życia.

- Został wpisany na listę załogi jako starszy marynarz.

- Tak, sir. Cha, cha!

Było to powszechne we flocie oszustwo.

Takie praktyki były jednak nielegalne.

Jack, nie uśmiechając się, mówił dalej:

- Starszy marynarz do dwudziestego września 1798 roku, potem klerk.

Dziesiątego listopada 1799

roku mianowano go podchorążym.

- Tak, sir - potwierdził ochmistrz.

Szybko zorientował się, iż nie chodzi tylko o ów trochę niefortunny zapis, nadający jedenastoletniemu dzieciakowi rangę starszego marynarza. Wprawne ucho pana Rickettsa uchwyciło coś więcej. Słowa „mianowano go” wypowiedziane zostały ze szczególnym naciskiem. Aż nadto wyraźne przesłanie brzmiało mniej więcej tak: „Może się wydawać, że nie radzę sobie zbyt dobrze z tymi wszystkimi papierami i liczbami. Proszę jednak nie próbować ze mną żadnych ochmistrzowskich sztuczek. Mogę przeciągnąć pana pod kilem od dziobu do rufy. Co więcej: rangi i stopnie nadane przez jednego kapitana mogą zostać odebrane przez drugiego. Jeśli będę musiał zaprzętać sobie panem głowę, mogę postawić pańskiego chłopaka pod masztem i dopilnować, by codziennie, do końca rejsu, na jego delikatną różową skórę spadały baty”. Kapitana bolała

głowa, oczy miał podkrążone po
wypiciu dużej ilości wina i w jego
twarzy można było doszukać się
ukrytego okrucieństwa. Ochmistrz wziął
więc sobie to wszystko bardzo głęboko
do serca. - Tak, sir - powtórzył.

- Tak. Mam tutaj listę zamówień i
dostaw stoczniovych. Czy chce pan,
bym dokładnie wyjaśnił
kolejne pozycje?

- Proszę bardzo, panie Ricketts.

Jack po raz pierwszy w życiu w tak
pełny sposób zetknął się z zasadami
księgowości. Nie bardzo mu się to
podało. Nawet mała jednostka
(„Sophie” miała zaledwie nieco ponad
sto pięćdziesiąt ton wyporności)
potrzebuje olbrzymiej ilości zapasów:
beczki z wołowiną, wieprzowiną i
masłem, wszystkie ponumerowane i
ewidencjonowane; beczki, baryłki i
butelki z rumem; tony sucharów od
Weevila; zupa w proszku ze strzałką na
opakowaniu; proch strzelniczy (mielony,

ziarnisty i pa-tentowy); wyciory, lonty,
zapałki, przybitka, kartacze, granaty,
łańcuchy, zwykłe kule. Do tego
dochodziły niezliczone przedmioty
zamawiane (i tak często
sprzeniewierzone) przez bosmana: bloki
jedno- i wielokrążkowe; kompletne
talie; więzby rej; nagle. Wszystko to
tworzyło tasiemcową litanie.

Jednakże Jack czuł się tutaj znacznie
pewniej, gdyż różnica między blokiem
jednokrążkowym, skrzypcowym,
krzyżowym czy składanym była dlań tak
oczywista jak różnica między dniem a
nocą, między dobrem a złem. Tysiąc
razy bardziej oczywista, czasami. Teraz
jednak jego umysł, nawykły do
rozwiązywania bardziej namacalnych
problemów, zaczął odmawiać
posłuszeństwa. Spojrzał
tęsknym wzrokiem przez okno kabiny,
ponad wyświechtanymi księgami o
pozaginanych rogach,
rozłożonymi na łukowato wygiętym

blacie szafki. Morze tańczyło w blasku słońca, powietrze było przejrzyste.

Przesunął dłonią po czole i oznajmił:

- Zajmiemy się resztą innym razem, panie Ricketts. To ogromna sterta papierów. Widzę, że trudno byłoby poradzić sobie z tym wszystkim, nie mając w załodze klerka. To właśnie przypomniało mi, iż zgodziłem się na zaakrętowanie pewnego młodego człowieka na to stanowisko. Zgłosi się na pokład dzisiaj. Mam nadzieję, że wprowadzi go pan w jego obowiązki. Wydaje się bardzo chętny do pracy i bystry. Na dodatek jest siostrzeńcem pana Williamsa, agenta przyzowego.

Myślę, że dla „Sophie”

korzystnie byłoby mieć dobre stosunki z agentem przyzowym, nieprawdaż?

- Oczywiście, sir - odparł pan Ricketts z głębokim przekonaniem.

- Zamierzam teraz wybrać się z bosmanem do stoczni. Musimy tam być przed wieczornym

wystrzałem - powiedział Jack,

wychodząc na powietrze.

W chwili, gdy pojawił się na pokładzie,

od strony lewej burty na okręt wszedł

młody Richards.

Towarzyszył mu mierzący dobrze ponad

sześć stóp Murzyn.

- Właśnie o tym młodzieńcu panu

mówiłem, panie Ricketts. Czy to jest ów

marynarz, którego miał

pan ze sobą przyprowadzić, panie

Richards? Kawał chłopca z niego. Jak się

nazywa?

- Alfred King, za pozwoleniem, sir.

- Umie pan sterować, stawiać i refować

żagle, panie King?

Murzyn skinął okrągłą głową. Chrząknął

głośno, jego twarz wyraźnie pobladła.

Jack zmarszczył brwi

- w żadnym razie nie był to właściwy

sposób zwracania się do dowódcy

okrętu i to na kapitańskim pokładzie

rufowym.

- Dalej, sir. Czyżby zapomniał pan

języka w gębie? Murzyn, całkiem już poszarzały na twarzy, z obawą pokręcił głową.

- Jeśli pan pozwoli, sir. On nie ma języka. Wycięli mu go Maurowie... - ostrożnie wyjaśnił klerk.

- Och! - Jack cofnął się o krok. - Och, proszę zabrać go na dziób. Potem wciągnie się go na listę załogi. Panie Babbington, proszę zaprowadzić pana Richardsa pod pokład, do kubryku podchorążych.

Chodźmy, panie Watt. Musimy dotrzeć do stoczni, zanim te nieroby skończą pracę.

- Taki marynarz cieszy chyba pańskie serce, panie Watt - zagadnął Jack bosmana, gdy kuter pośpiesznie odbił od burty okrętu. - Chciałbym zdobyć jeszcze ze dwudziestu takich jak on. Nie wydaje się pan jednak zbyt uradowany...

- Cóż, sir. Nigdy nie skrzywię się na widok prawdziwego marynarza. To

pewne. Na pewno przydałoby się też wymienić paru naszych żółtodziobów z łądu - to nie znaczy, że w załodze jest ich wielu, gdyż już od dawna są na pokładzie, ale że dobrze zostali popędzeni do roboty, większość z nowych awansowała już na marynarzy, jeśli nie na starszych marynarzy... -

Bosman zaplątał się w przydługim zdaniu i zamilkł na chwilę. Wreszcie powiedział: - Jeśli jednak wziąć pod uwagę tylko liczby, to ludzi raczej nam nie brakuje.

- Nawet pomimo tego, że niektórzy zostali przeniesieni do służby w porcie?

- Cóż, na szczęście nie było ich więcej niż pół tuzina. Dopilnowaliśmy też, by pozbyć się w ten sposób wszystkich niepokornych i łajdaków. Tych, którzy najmniej pracowali, sir. Dlatego, jeśli chodzi tylko o liczby, wystarczy nam załogi. Na trójwachtowym brygu, takim jak „Sophie”, trudno jest, nawet teraz, pomieścić wszystkich pod pokładem. To

zgrabny i wygodny okręt, ale z pewnością nie można powiedzieć, iż jest na nim zbyt dużo wolnej przestrzeni.

Jack nic na to nie odpowiedział.

Potwierdziły się pewne jego przypuszczenia. Rozwahał tę kwestię aż do chwili, gdy łódź dotarła na miejsce.

- Kapitan Aubrey! - zawołał pan Brown, oficer dowodzący stoczną. - Proszę pozwolić mi uścisnąć pańską dłoń i życzyć wszystkiego najlepszego. Moje gratulacje. Cieszę się, że pana widzę!

- Dziękuję, sir. Bardzo dziękuję. -

Podali sobie ręce.

- Po raz pierwszy mam okazję oglądać pana w pańskim królestwie.

- Przestronnie tu, prawda? - powiedział Brown z dumą.

- Skład lin jest tutaj, a tam, za pańskim starym „Genereux”, znajduje się żaglownia. Chciałbym tylko, by skład drewna ogrodzony był wyższym murem.

Nie uwierzy pan, ilu złodziei jest na tej wyspie.

Przechodzą nocą przez ogrodzenie i kradną części omasztowania, lub przynajmniej próbują. Wydaje mi się, że bardzo często wysyłają ich kapitanowie okrętów. Kapitanowie czy nie, obedrę ze skóry następnego drania, który bez mej wiedzy spróbuje przywłaszczyć sobie choćby tylko zapadkę kabestanu.

- Coś mi się zdaje, iż byłby pan naprawdę szczęśliwy dopiero wówczas, gdyby na całym Morzu Śródziemnym nie było żadnego królewskiego żaglowca. Mógłby pan wtedy spacerować sobie po placu, codziennie przeliczając pełny stan pojemników z farbą i nie wydając z magazynów przez cały rok nawet drzazgi.

- Niech pan mnie posłucha, młody człowieku... - Brown położył dłoń na ramieniu Jacka. - Zaufaj memu wiekowi i doświadczeniu. Dobry kapitan nigdy nie chce niczego ze stoczni. Radzi sobie z tym, co ma. Szanuje powierzone mu pod opiekę mienie. Nigdy niczego nie

marnuje. Czyści dno swego okrętu
mułem. Konserwuje łańcuch kotwiczny
tak, że w komorach nie ma nawet śladu
rdzy. Dbą o żagle bardziej niż o własną
skórę. Nigdy nie stawia bombramsli -
niepotrzebnych, służących tylko
zbędnemu efekciarstwu. Takie
postępowanie kończy się promocją,
panie Aubrey. Składamy przecież
raporty do Admiralicji i jak pan
zapewne wie, mają one w tej kwestii
zasadnicze znaczenie. Dlaczego Trotter
został starszym kapitanem? Po prostu był
najoszczędniejszym we flocie dowódcą
okrętu.

Niektórzy dwa razy w roku tracą stengi
masztów. Nigdy Trotter. Niech pan
weźmie choćby naszego kapitana Allena.
Nie zdarzyło się, by przyszedł do mnie z
listą zamówień długą jak jego
proporzec.

Gdzie jest teraz? Dowodzi piękną
fregatą. Dlaczego mówię panu to
wszystko? Bardzo dobrze wiem, iż nie

jest pan jednym z tych

nieodpowiedzialnych, rozrzutnych i

beztroskich młodych kapitanów. Nie, bo

wiem, jak wielką troskę i dbałość

wykazał pan, sprowadzając tu

„Genereux”. Pańska „Sophie” jest

doskonale utrzymana. To prawda, że

wyraźnie potrzeba jej farby. Mogę, z

uszczerbkiem dla innych kapitanów, dać

panu trochę żółtej. Odrobinę.

- Cóż, byłbym wdzięczny. - Oczy Jacka

beztrosko błędziły wśród drzewiec

zgrupowanych na placu. -

Tak naprawdę, to przyjechałem tu prosić

pana o wypożyczenie pańskich duetów.

Zabieram w tę podróż przyjaciela, który

chciałby usłyszeć zwłaszcza pański duet

h-moll.

- Ależ oczywiście, kapitanie Aubrey. Z

przyjemnością je panu wypożyczę! -

zawołał Brown. - Pani Harte dokonuje

właśnie transkrypcji jednego z nich na

harfę, lecz już dziś zajdę tam po drodze.

Kiedy wypływa pan w morze?

- Gdy tylko zakończę pobieranie wody i zbierze się mój konwój.

- A więc jutro wieczorem, jeśli „Fanny” wejdzie do portu. Pobieranie wody nie powinno zająć panu zbyt wiele czasu.

„Sophie” zabiera jej tylko dziesięć ton.

Przyślę panu nuty jutro w południe, obiecuję.

- Jestem panu bardzo zobowiązany, panie Brown. Do widzenia zatem.

Proszę przekazać moje

uszanowanie pani Brown i pannie

Fanny.

- Boże! - jęknął Jack, wyrwany ze snu

dudniącym odgłosem uderzeń młota

ciesielskiego. Spróbował

zasnąć znowu, z całej siły wtulając

twarz w poduszkę. Tysiące myśli kłębiły

mu się od wczoraj w głowie i aż do

szóstej rano nie mógł zmrużyć oka.

Swoją obecnością na pokładzie o

brzasku - oglądał

wtedy uważnie liny i reje - dał

nieopatrznie powód do plotek, że

kapitan już wstał i pracuje. Wywołało to wielką gorliwość u cieśli i nerwowość stewarda z oficerskiej mesy (kapitan Allen zabrał swego osobistego stewarda na „Pallas”), przygotowującego ulubione śniadanie byłego dowódcy: mały kufel piwa, talerz gęstej owsianki i zimną wołowinę.

Jack Aubrey musiał w końcu pożegnać się z nadziejami na chwilę spokojnego snu. Tuż obok

rozlegało się walenie młotem,

przeplatane szeptami cieśli i jego

pomocników. Pracowali za ścianą

kapitańskiej sypialni. W pewnej chwili

poczuł, że ból rozsadzi mu głowę.

- Przestańcie walić tym cholernym

młotem! - zawołał. Nieomal tuż za jego

plecami zabrzmiała wystraszona

odpowiedź:

- Tak jest, sir. - Po chwili ucichł też

ostrożny tupot szybko oddalających się

kroków.

Dowódca „Sophie” miał wyraźnie

zachrypnięty głos. „Co sprawiło, że
byłem wczoraj taki rozmowny?" - pytał
sam siebie, wciąż leżąc w koi. -
„Kraczę teraz jak wrona od tego
gadania. Co mnie pokusiło, żeby
wrywać się z jakimiś nieroztropnymi
zaproszeniami? Gość, którego w ogóle
nie znam, na malutkim brygu, też prawie
mi jeszcze nie znanym". Z ponurą miną
rozmyślał o konieczności bardzo
starannego dobierania ludzi, z którymi
zamierza się spędzić tyle czasu.

Wspólny pobyt na okręcie to coś jak
małżeństwo. Obrażliwe, pragmatyczne
lub zarozumiałe osoby stają się nie do
wytrzymania, jeśli przebywa się z nimi
zbyt długo. To źle, jeśli niedopasowane
temperamenty muszą mieszać się w
jednym małym drewnianym pudełku.

Właśnie: w pudełku. Przypomniał sobie
swój podręcznik do nauki morskiego
rzemiosła i to, z jakim mozołem, jako
chłopiec, uczył się z tej książki na
pamięć zawiłych równań:

Niech kąt YCB, pod jakim zbrasowana

jest reja, nazywa się ustawieniem żagli.

Oznaczmy jego wartość literą b. Kąt ten jest kątem dopełniającym kąta DCI.

Stąd CI:ID - r:tg DCI = l:tg DCI =

l:ctg b. Dalej otrzymujemy l:ctg b = AI

*:BI:tg2x oraz AI*ctgb = BI*tg2x i tg2x*

*- (A/B)*ctg b. To równanie w oczywisty sposób wyjaśnia wzajemne powiązanie*

pomiędzy położeniem żagli a dryfem

statku...

- To oczywiste, Jackie. Prawda,

kochanie? - powiedział głos pełen

nadziei. Oczyma wyobraźni ujrzał

pochylającą się nad nim młodą kobietę.

W tym momencie miał w swych myślach

dwanaście lat, był

małym krępyim chłopcem, a gdzieś

wysoko żeglowała wysoka, dorosła

postać Queeney.

- No, chyba nie, Queeney -

odpowiedział mały Jack. - Naprawdę

nie.

- Dobrze - odparła, nie tracąc

cierpliwości. - Spróbuj zapamiętać, co

to jest tangens i cotangens.

Zacznijmy od początku. Wyobraźmy sobie statek jako prostokątne pudełko... Przez chwilę próbował wyobrazić sobie „Sophie” jako prostopadłościenne pudełko. Nie poznał jej jeszcze dobrze, ale dwie lub trzy podstawowe sprawy wydawały się oczywiste: po pierwsze, okręt miał zbyt małą powierzchnię żagli. Mógł chyba pływać ostro na wiatr, lecz przy kursach z wiatrem poruszał się zapewne jak ślimak. Kolejna sprawa to to, iż poprzednik Jacka był człowiekiem o zupełnie innym temperamencie. Załoga z czasem wyraźnie zaczęła go przypominać.

Ludzie na pokładzie „Sophie” stali się tacy sami jak ich były dowódca, który był ostrożny, nieagresywny, nigdy nie stawiał bombramżagli i był wystarczająco odważny jedynie wtedy, gdy został sprowokowany. Na pewno w niczym nie przypominał krwiożerczego pirata.

- Gdyby udało się połączyć dyscyplinę z

zawadiackim pirackim duchem - mówił

Aubrey cicho do siebie - można by

zawojować oceany. - Myśl o podbojach

sprawiła, iż jego umysł szybko zwrócił

się ku bardziej przyziemnym sprawom.

Pomyślał o pieniądzach z przyzów, które

byłyby zapewne

rezultatem bohaterskich zwycięstw. -

Martwi mnie ta sfatygowana grotreja -

rozmyślał dalej na głos. -

Do licha, na pewno uda mi się zdobyć

dwie pościgowe dwunastofuntówki, po

jednej na dziób i rufę.

Czy jednak wręgi „Sophie” to

wytrzymają? Tak czy siak, na pewno

można z tego pudełka zrobić prawdziwy

okręt wojenny.

Coraz to nowe podobne myśli kołatały

się w jego głowie, podczas gdy wewnątrz

ciasnej kabiny powoli się rozjaśniało.

Tuż pod rufą brygu przepłynęła łódź

rybacka, wyładowana tuńczykiem. Ktoś

z jej załogi zatrąbił na wykonanym z

muszli rogu chrapliwy sygnał. Nieomal

w tej samej chwili słońce wyskoczyło
zza fortu Świętego Filipa. Dosłownie:
wyskoczyło - płaskie, podobne do
zawieszanej w porannej mgiełce
ogromnej cytryny - i po chwili z
wyraźnym szarpnięciem uwolniło dolny
rąbek swej tarczy z objęć lądu. Po
zaledwie minucie szarość wypełniająca
wnętrze kapitańskiego salonu znikła
zupełnie. Sufit kabiny ożył, zalany
rozedrganymi plamami światła
rozproszonego na pomarszczonej
powierzchni morza. Pojedynczy promień
słoneczny, zapewne odbity od jakiejś
gładkiej, nieruchomej powierzchni na
odległym nabrzeżu, wpadł do wnętrza
przez okno, oświetlając mundur Jacka i
lśniący złotem epolet. Słońce weszło
teraz także w jego myślach, sprawiając,
iż na przygnębionej twarzy pojawił się
szeroki uśmiech. Energicznym ruchem
zeskoczył z koi.

Do doktora Maturina promienie
słoneczne dotarły o dobre dziesięć minut

wcześniej - przebywał

bowiem w miejscu położonym znacznie

wyżej. I on również po przebudzeniu

przewracał się przez chwilę, gdyż tej

nocy nie spał najlepiej. Jaskrawe

światło poranka zwyciężyło jednak.

Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła

zdezorientowany. Jeszcze przed chwilą

był w swym śnie szczęśliwy, przebywał

w Irlandii, jego ramię obejmowała dłoń

dziewczyny. Obudzony zniemacka umysł

nie potrafił

zaakceptować tego, co ujrzały oczy.

Dotyk jej palców był wciąż wyraźny, w

powietrzu nadal unosił

się jej zapach. Odruchowo podniósł i

rozkruszył kilka leżących obok liści -

dianthus perfragens.

Zapach został więc zlokalizowany -

tylko kwiat, nic więcej. Uścisk

dziewczęcej dłoni na ramieniu zelżał i

zniknął. Na twarzy Maturina pojawił się

smutek, oczy zaszyły mgłą. Tak bardzo mu

na niej zależało, a i ona była w nim

wtedy zakochana...

Absolutnie nie był przygotowany na to
zdradzieckie uderzenie, zdolne przebić
najtwardszy z pancerzy. Przez kilka
minut walczył z przeszywającym serce
bólą, w końcu zamrugał oczami i
usiadł w słońcu.

- Boże - powiedział. - Następny dzień. -

Po tych słowach twarz doktora

wypogodziła się nieco. Wstał,

otrzepując ubranie z białego kurzu. Z

olbrzymim zawstydzeniem spostrzegł, iż

tłuszcz z kawałka mięsa, schowanego

podczas wczorajszego obiadu, wyciekł

przez kieszeń i znajdującą się w niej

chusteczkę. „To przecież dziwne” -

zastanawiał się Stephen. - „Nie

powinienem się przejmować podobnymi

przypadkami, a ta plama tak mocno mnie

zirytowała”. Usiadł, zjadł mięso (plaster pieczonej baraniny) i przez moment

rozmyślał o sposobach zwalczania

opuchlizn, Paracelsusie, Cardanie i

Rhazesie. Siedział w apsydzie ruin

kaplicy Świętego Damiana, wysoko

ponad dachami Port Mahon, po
północnej stronie. Pograżony w zadumie
patrzył w dół, na wejście do portu i
dalej na bez-kresny obszar morza,
lśniący błękit przecinany ruchomymi
liniami. Wstające od strony Afryki
słońce wspięło się już na wysokość
dłoni ponad horyzont. Maturin znalazł tu
schronienie kilka dni temu. Człowiek, u
którego dotąd mieszkał, zaczął być coraz
bardziej nieuprzejmy, co prędzej czy
później skończyłoby się przykrą sceną.

Stephen był już wystarczająco
wyczerpany przeciwnościami, wolał
więc niepotrzebnie nie narażać się na
nieprzyjemności.

Zwrócił uwagę na mrówki zabierające
gdzieś resztki jego śniadania. *Tapinoma
erraticum*.

Maszerowały spokojnie, w obu
kierunkach, w poprzek podobnej do
ptasiego gniazda odwróconej peruki,
niegdyś godnej miana prawdziwego
arcydzieła sztuki fryzjerskiej.

Wędrowały w pośpiechu, z uniesionymi
w górę odwłokami, przepychały się i
wpadały jedna na drugą. Oczy Maturina
uważnie śledziły ich pozornie
chaotyczne ruchy. Podniósł wzrok i
nieoczekiwanie spojrzął prosto w
lśniące brązowe oczy ropuchy,
przyglądającej mu się od pewnego czasu
bardzo uważnie. Uśmiechnął się do niej
przyjaźnie. Była niezwykle dorodna -
ważyła chyba ze dwa funty. W jaki
sposób udawało jej się przeżyć tu, w tej
rzadkiej i cienkiej trawie, w samym
sercu kamienistego, spalonego słońcem
krajo-brazu? Jedyne schronienie przed
piekącymi promieniami stanowiły
resztki murów z białego kamienia i kilka
ciemnych krzewów. Rośliny były
mizerne i wyraźnie podwędnięte. Zima
roku 1799 była wyjątkowo sucha, potem
w marcu brakowało deszczu, na dodatek
ocieplenie przyszło zbyt wcześnie.
Stephen wyciągnął ostrożnie palec i
połaskotał ropuchę pod brodą. Żaba

napęczniała lekko, poruszyła
skrzyżowanymi z przodu łapkami i ze
stoickim spokojem obejrzała się za
siebie.

Słońce wspinało się coraz wyżej. Noc
nie była chłodna, lecz teraz zrobiło się
przyjemnie ciepło. Tuż obok przeleciały
dwie białorzytki. Ich gniazdo z
piskletami znajdowało się zapewne
gdzieś w pobliżu.

Załatwiając w krzakach potrzebę
fizjologiczną, doktor natknął się na
zrzuconą przez węża skórę.

Nawet zaskakująco przezroczyste
powieki oczu były idealnie zachowane.

- Co myśleć o zaproszeniu kapitana
Aubreya? - zapytał sam siebie. Jego głos
zginął w wypełnionej słonecznym
światłem pustce. W dole widać było
sylwetki wędrujących ścieżką ludzi i
kolorową szachownicę pól,
przechodzącą dalej w szare fałdy
bezkształtnych wzgórz. - Czy myśleć o
tym tylko jak o czczej gadaninie przy

winie? Tak czy inaczej, ten Jack to

dobry kompan. Miły i szczerzy człowiek.

- Maturin uśmiechnął się na samo

wspomnienie. - Czy można w ogóle

przywiązywać

jakąkolwiek wagę do...? Zjedliśmy

wspaniały obiad, wypiliśmy chyba ze

cztery butelki wina, a może nawet pięć?

Nie mogę zachować się niegrzecznie. To

byłby z mojej strony afront. - Kilka razy

rozważał to wszystko dokładnie od

początku, szukając argumentów zdolnych

obalić nadzieje. Doszedł

jednak do przekonania, iż jeśli uda mu

się doprowadzić do porządku pokryte

kurzem ubranie, będzie mógł odwiedzić

w szpitalu pana Floreya i porozmawiać

z nim niezobowiązująco o ogólnych

zasadach służby lekarzy okrętowych.

Wytrząsnął mrówki z peruki i wsadził ją

na głowę. Po chwili ruszył w stronę

drogi, mijając karmazynowe kwiatostany

gladioli ukryte w nieco wyższej tutaj

trawie, aż nagle nieoczekiwanie

wspomnienie zatrzymało go w pół kroku. Jak mógł przez noc zupełnie o tym zapomnieć? Jak to się stało, że nazwisko James Dillon nie pojawiło się w jego umyśle natychmiast po przebudzeniu? -

To przecież prawda, że są tysiące Dillonów - przekonywał sam siebie. - I na pewno wielu z nich ma na imię James.

- Chryste... - mówił, a właściwie nucił szeptem James Dillon. Golił rdzawozłoty zarost, starając się wykorzystać odrobinę światła wpadającą do wnętrza „Burforda” przez otwór burtowej furty działowej numer dwanaście. - Chryste eleison, Kyrie... - Modlił się nie tyle z pobożności, ile w nadziei, że dzięki temu uda mu się nie zaciąć. Podobnie jak wielu innych papistów przejawiał pewne skłonności do bluźnierstwa. Ryzyko związane z trudnymi miejscami tuż pod nosem sprawiło, że zamilkł na chwilę. Gdy górna warga była wreszcie czysta,

nie umiał już wrócić do przerwanej
melodii. Jego umysł był
zbyt zajęty, by mógł się koncentrować na
niematerialnych sprawach. Dziś przecież
porucznik Dillon miał zameldować się
swemu nowemu kapitanowi,
człowiekowi, od którego w ciągu
następnych dni zależeć będzie jego
dobre samopoczucie, nie mówiąc już o
reputacji, karierze i perspektywach
awansu.

Masując świeżo wygoloną twarz,
energicznym krokiem wszedł do mesy i
zawołał na żołnierza:

- Wyszczotkuj tył mojej kurtki, Curtis,
dobrze? Mój kuferek jest już prawie
gotowy. Razem z nim ma zostać zabrany
chlebak z książkami - dodał szybko. -

Czy kapitan jest na pokładzie?

- Och, nie, sir - odpowiedział żołnierz. -
Właśnie zanesiono mu śniadanie, przed
minutką. Dwa jajka na twardo i jedno na
miętko. - Jajko na miętko przeznaczone
było dla panny Smith, w nagrodę za jej

gorliwość i poświęcenie, jakim
wykazała się tej nocy. Obydwaj, Dillon
i żołnierz, wiedzieli o tym doskonale.
Porozumiewawcze spojrzenie
mówiącego spotkało się jednak z
absolutnym brakiem
reakcji. Twarz Jamesa Dillona
zesztywniała. Przez krótką chwilę, gdy
biegł w górę zejściówki ku jaskrawo
oświetlonemu pokładowi kapitańskiemu,
wyraźnie malowała się na niej złość. Na
górze przywitał się z oficerem
wachtowym i pierwszym porucznikiem
„Burforda”.

- Dzień dobry. Dzień dobry panu.

Naprawdę wygląda pan doskonale -
powiedzieli na jego widok. -

„Sophie” stoi tam, z tyłu za „Genereux”.

Spojrzał w stronę ruchliwego portu:

promienie słoneczne padały niemal
poziomo i wszystkie maszty i reje w tym
oświetleniu wydawały się zadziwiająco
ważne. Małe roztańczone fale rzucały na
wszystkie strony oślepiające rozbłyski.

- Nie, nie tam - wyjaśnił któryś z oficerów. - Obok hulku. Feluka właśnie ją zasłoniła. Tam. Czy teraz pan widzi? Rzeczywiście. Teraz ją zauważył. Poprzednio patrzył za daleko i za wysoko. „Sophie” stała na kotwicy nie dalej niż o kabel, głęboko zanurzona. Oparł dłonie na relingu i przez moment patrzył na nią z uwagą. Po krótkim czasie spojrział znowu w jej stronę, tym razem przez pożyczoną od oficera wachtowego lunetę, zwracając uwagę nawet na najdrobniejsze szczegóły. Dostrzegł błysk epoletu, mogącego znajdować się jedynie na ramieniu dowódcy. Załoga brygu była czymś bardzo zajęta, ludzie poruszali się jak pszczoły mające za chwilę się wyroić. Dillon spodziewał się niewielkiego okrętu, ale nie aż tak małego. Większość czternastodziałowych słupów miała od dwustu do dwustu pięćdziesięciu ton wyporności. Wyporność „Sophie” nie przekraczała stu pięćdziesięciu ton.

- Podoba mi się jej mały pokład rufowy

- zauważył oficer wachtowy. - Kiedyś

należała do Hiszpanów i nazywała się

chyba „Vencejo”, czy tak? Wydaje się

niewielka. No cóż, wszystko, na co

patrzy się z pokładu takiego okrętu jak

nasz, o siedemdziesięciu czterech

działach, wydaje się nieduże.

Wszyscy we flocie wiedzieli o „Sophie”

trzy rzeczy: że w przeciwieństwie do

innych brygów miała pokład rufowy, że

kiedyś należała do Hiszpanów i że miała

na forkasztelu pompę z pnia wiązu.

Dokładnie mówiąc, był to wydrążony

pień drzewa wyprowadzony

bezpośrednio pod dno statku i używany

do spłukiwania pokładu. Nie był to

może najistotniejszy element

wyposażenia, lecz sama w sobie owa

pompa była bardzo charakterystyczna.

Każdy człowiek morza, który o niej

usłyszał lub ją zobaczył, na pewno o tym

szczególe pamiętał.

- Może pańska koja będzie trochę ciasna

- odezwał się pierwszy porucznik - ale z pewnością będzie pan tam miał cichą i spokojną służbę: konwojowanie okrętów handlowych po całym Śródziemnym.

- Cóż... - Dillon nie potrafił znaleźć wystarczająco ciętych słów i zareagować na to wywołane być może najszczerzą życzliwością stwierdzenie.

- Cóż... - powtórzył, z rezygnacją wruszając ramionami. - Czy przydzielili mi pan łódź, sir? Chciałbym jak najszybciej zameldować się na nowym okręcie.

- Łódź? Czy pan żartuje? - zawołał pierwszy porucznik. - Zamówiłbym przewoźnika, gdybym wiedział. Pasażerowie tu na „Burfordzie” czekają na połączenie z lądem. Jeśli nie dam im łodzi, gotowi są popłynąć wpław! - Patrzył na Jamesa surowym wzrokiem aż do chwili, w której zdradził go chichot sternika. Pan Coffin lubił żartować, nawet przed

śniadaniem.

- James Dillon, sir. Melduję się na

burcie. - Mówiąc te słowa, porucznik

zdział z głowy kapelusz.

Ciemnorude włosy zapłonęły czerwienią

w jaskrawych promieniach słońca.

- Witamy na pokładzie, panie Dillon -

odpowiedział Jack, dotknąwszy swego

nakrycia głowy, i w powitalnym geście

wyciągnął dłoń. Jego twarz wydawała

się dziwnie surowa, tak bardzo chciał

odgadnąć, jakim człowiekiem okaże się

jego nowy podkomendny. - Bardzo

cieszymy się z pańskiego przybycia,

zwłaszcza dzisiaj, gdyż mamy przed

sobą ciężki dzień. Na maszcie! Czy

widać już jakieś oznaki życia na

nabrzeżu?

- Na razie nie, sir!

- Wiatr wieje właśnie tak, jak tego

chciałem - zauważył Jack, po raz setny

już dziś spoglądając na nieliczne białe

obłoki, żeglujące powoli po idealnie

błękitnym niebie. - Nie ufałbym mu

jednak zanadto, bo ciśnienie na barometrze wyraźnie się podnosi.

- Pańska kawa, sir - odezwał się steward.

- Dziękuję, Killick. O co chodzi, panie Lamb?

- Nie mam nigdzie wystarczająco dużych pierścieni pokładowych, sir - wyjaśnił cieśla. - W stoczni jest ich mnóstwo.

Czy mogę tam kogoś po nie posłać?

- Nie, panie Lamb. Proszę nawet nie myśleć o stoczni, jeśli panu życie miłe.

Niech pan wybierze zwykłe zaginane haki, złoży je po dwa, rozpali palenisko i postara się wykuć elegancki pierścień.

Nie zajmie to panu więcej niż pół godziny. Panie Dillon, gdy rozgości się już pan pod pokładem, może przyjdzie pan do mnie. Wypijemy po filiżance kawy, a ja powiem panu, co planuję dzisiaj zrobić.

James zbiegł szybko pod pokład, do ciasnej trójkątnej klitki, która odtąd miała być jego mieszkaniem.

Wyskoczył z paradnego munduru i zamienił go na spodnie i starą błękitną kurtkę. Gdy wyszedł z powrotem na górę, kapitan wciąż jeszcze dmuchał, zamyślony, na swą filiżankę kawy.

- Niech pan siada, panie Dillon, niech pan siada! - zawołał dowódca okrętu. -

Proszę odsunąć na bok te papiery. Ta kawa do najsmaczniejszych na pewno nie należy, ale przynajmniej jest mokra.

To mogę panu obiecać. Może odrobinę cukru?

- Za pańskim pozwoleniem, sir - ostrożnie odezwał się młody Ricketts -

do naszej burty przybił kuter z „Genereux”. Są na nim nasi ludzie, którzy niedawno zostali skierowani do służby w porcie.

- Wszyscy?

- Tak, oprócz dwóch, lecz na ich miejsce są inni. Trzymając wciąż w ręku filiżankę z kawą, Jack obrócił się na krześle i wyjrzał przez uchylone drzwi. Zacumowana do kotwicznego

łańcucha łódź wypełniona była
marynarzami, wymieniającymi dowcipy,
okrzyki i gwizdy ze swymi starymi
znajomymi z załogi brygu. Podchorąży z
„Genereux” zasałutował i powiedział:

- Z pozdrowieniami od kapitana Harte,
sir. Okazało się, iż ci ludzie nie są na
razie w porcie potrzebni.

- Niech ci Bóg błogosławi, Molly -
wyszeptał Jack i dodał głośniejszym głosem: - Moje
uszanowanie i gorące podziękowania
dla kapitana Harte. Niech pan będzie tak
dobry i każe im wejść na pokład.

Nowi członkowie załogi wyglądali
nieszczęśliwie. Kapitan zauważył to, gdy
na spuszczonej z noku rei linie
wciągnięto na pokład ich skromny
dobytek. Trzej lub czterej byli wyraźnie
niedorozwinięci umysłowo, dwaj inni
wydawali się nieco bardziej inteligentni
i odstawali sprytem od pozostałych.

Różnica między nimi a resztą nie była
niestety tak znaczna, jak im samym się
zdawało. Niektórzy byli wręcz

niewiarygodnie brudni, jednemu udało się zdobyć gdzieś czerwone ubranie, kiedyś przyozdobione cekinami. Wszyscy mieli jednak po dwie ręce, którymi mogli chwycić linę. Dziwne byłoby, gdyby bosmanowi i jego pomocnikom nie udało się w odpowiedniej chwili zmusić tych łazęgów, by ją wybierali.

- Na pokładzie! - zawołał pełniący wachtę podchorąży. - Jacyś ludzie chodzą po nabrzeżu!

- Bardzo dobrze, panie Babbington. Może pan zejść teraz na dół i zjeść śniadanie. Wróciło sześciu ludzi, o których myślałem, że straciliśmy ich na dobre - powiedział Aubrey z satysfakcją, odwracając się znów w stronę Jamesa Dillona. - Szczerze mówiąc, nie wyglądają mi na specjalnie przydatnych i pracowitych. Musimy przygotować dla nich balię i porządną kąpiel, jeśli nie chcemy mieć na okręcie pcheł lub wszy. Tak czy inaczej, pomogą

nam wybierać kotwicę. Mam nadzieję,

że ruszymy

najpóźniej o wpół do dziesiątej. -

Postukał palcami w okuty mosiądzem

blat szafki i mówił dalej: -

Weźmiemy na pokład dwie

dwunastofuntówki jako działa

pościgowe, jeżeli uda mi się zdobyć je u

artylerzystów. W każdym razie

zamierzam wyjść w morze, dopóki trwa

bryza, by wypróbować mój bryg.

Będziemy konwojować tuzin statków

handlowych do Cagliari. Wypływamy

wieczorem, jeśli wszystkie się tu zbiorą,

i musimy dokładnie wiedzieć, jak nasza

„Sophie” żegluje. Tak? O co chodzi,

panie...?

- Pullings, sir. Oficer nawigacyjny. Przy

naszej burcie stoi longbot z „Burforda”.

Są na nim ludzie przydzieleni do naszej

załogi.

- Ludzie dla nas? Ilu?

- Osiemnastu, sir. - „Niektórzy

wyglądają na niezłych moczymordów”,

dodałby chętnie nawigator, gdyby miał odwagę.

- Czy wie pan coś o tym, panie Dillon? - zapytał Jack.

- Wiem, że na pokładzie „Burforda” znajdowało się wielu marynarzy z „Charlotte” i paru odkomenderowanych z innych okrętów do służby w Port Mahon, sir. Nie słyszałem nigdy, by którykolwiek z nich miał zaokrętować na „Sophie”.

Jack miał już powiedzieć, iż niesłusznie obawiał się, że pozostanie bez załogi.

Zachichotał jednak tylko, zastanawiając się, dlaczego tak niespodziewanie wysypał się dla „Sophie” róg obfitości.

Znalazł wreszcie wyjaśniającą wszystko

odpowiedź: Lady Warren! Zaśmiał się raz jeszcze i powiedział:

- Wybieram się teraz na brzeg, panie Dillon. Pan Head to bardzo rzeczowy człowiek. W ciągu pół godziny powie mi, czy jest jakakolwiek

szansa, byśmy dostali te działa. Jeśli tak,
dam panu znak chusteczką. Może pan
wówczas rozpocząć przeholowanie. O
co chodzi, panie Richards?

- Sir - wydusił z siebie klerk, blady jak
ściana. - Pan ochmistrz powiedział mi,
że każdego dnia o tej porze mam
przynosić panu rachunki i pisma do
podpisu. I czystopis księgi rachunkowej
do
sprawdzenia.

- Całkiem słusznie - odparł Jack miękko.

- W każdy normalny dzień. Teraz dowie
się pan, który dzień jest normalnym
dniem, a który nie. - Spojrzał na zegarek.

- Oto dokumenty potwierdzające
przyjęcie na pokład przysłanych nam
ludzi. Resztę pokaże mi pan innym
razem.

Pokład okrętu przypominał scenę uliczną
z Cheapside w trakcie robót drogowych.

Dwie grupy ludzi, pod kierownictwem
cieśli, przygotowywały miejsce dla
hipotetycznych dział na dziobie i rufie.

Nowo przybyli członkowie załogi przyglądali się tej pracy, stojąc obok swoich bagaży. Wszelkiej maści szczury lądowe, rekruci i doświadczeni marynarze. Niektórzy z nich byli wyraźnie zainteresowani tym, co się działo, i wymieniali co chwila uwagi z pracującymi, inni rozglądali się dookoła bądź gapili w niebo, tak jakby je ujrzeli po raz pierwszy w życiu. Kilku zapędziło się nawet na święty kapitański pokład rufówki.

- Co u licha ma znaczyć to zamieszanie?

- zawołał Jack. - Panie Watt, to jest królewski okręt wojenny, a nie krypa z Margate! Pan, proszę pana, niech natychmiast wynosi się stąd na dziób!

Przez chwilę, dopóki święte oburzenie kapitana nie pobudziło ich do działania, podoficerowie z

„Sophie” przypatrywali się swemu dowódcy ze smutnymi minami. Jack zdążył usłyszeć słowa: „tylu ludzi...”

- Wybieram się teraz na brzeg -

oświadczył. - Mam nadzieję, że kiedy wrócę, wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Schodząc za podchorążym do łodzi, Jack wciąż był czerwony na twarzy.

- Czy im się wydaje, że zostawię na łodzi chociaż jednego zdolnego do służby na okręcie człowieka tylko dlatego, iż mam mało miejsca na pokładzie? - mówił do siebie. -

Oczywiście nie może być mowy o ich ukochanych trzech wachtach. I tak trudno będzie wygospodarować po czternaście cali.

System trójwachtowy był dosyć humanitarnym sposobem organizacji życia na statku. Pozwalał członkom załogi od czasu do czasu spać bez przerwy przez całą noc. W systemie dwuwachtowym mogli oni liczyć najwyżej na cztery godziny nieprzerwanego snu. Z drugiej strony oznaczało to, iż połowa ludzi miała do swojej dyspozycji całą wolną przestrzeń

do zawieszania hamaków. Druga
połowa pracowała w tym czasie na
pokładzie. „Osiemnaście i sześć to
dwadzieścia cztery” - liczył
Jack w duchu. - „Do tego dochodzi
pięćdziesięciu lub coś koło tego. Razem
będzie, powiedzmy, siedemdziesięciu
pięciu. Ilu ludzi przypadnie teraz na
jedną wachtę?” Udało mu się w końcu
uzyskać wynik, który musiał pomnożyć
przez czternaście. Regulaminowa
przestrzeń, przewidziana na każdy
hamak, wynosiła właśnie czternaście
cali. Wydawało się bardzo wątpliwe, by
na „Sophie” znaleziono taką ilość
wolnego miejsca, niezależnie od
oficjalnie przyjętej liczebności załogi.
Aubrey wciąż się nad tym zastanawiał,
gdy podchorąży zawołał: „Basta!
Wiosła!” i łódź uderzyła delikatnie o
nabrzeże.

- Niech pan wraca na okręt, panie
Ricketts - polecił kapitan. - Nie sądzę,
by to długo trwało, a tak zaoszczędzimy

parę minut.

Opóźnienie spowodowane przybyciem

łodzi z ludźmi z „Burforda”

spowodowało, że Jack musiał

czekać na swą kolej - zdążyli go

wyprzedzić dowódcy kilku innych

okrętów. Chodził tam i z powrotem po

nabrzeżu w towarzystwie jednego z nich,

Middletona, noszącego na ramieniu

epolet równie piękny jak jego własny.

To właśnie Middleton był owym

ustosunkowanym kapitanem, który objął

dowództwo „Vertueuse”, uroczego

francuskiego statku pirackiego; gdyby na

tym świecie istniała sprawiedliwość,

dowództwo to przypadłoby Jackowi.

Gdy obaj panowie wymienili

najważniejsze żeglarskie i

śródziemnomorskie plotki, Aubrey

wspomniał, iż zamierza pobrać z

magazynu dwa dwunastofuntowe działa

pościgowe.

- Myśli pan, że „Sophie” je uniesie? -

zapytał Middleton.

- Mam taką nadzieję. Czterofuntówki nie bardzo się nadają. Trochę się obawiam, czy jej kadłub wytrzyma.

- No cóż, może się panu uda... -

Middleton pokręcił głową. - W każdym razie wybrał pan najlepszy ku temu dzień. Head ma zostać oddany pod komendę Browna. Tak się tym biedak przejął, że wyprzedaje wszystko z magazynu jak przekupka ryby pod koniec targu.

Jack słyszał już wcześniej o tej zmianie, będącej wynikiem długotrwałej przepychania między artylerią i marynarką wojenną. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, lecz kapitan Halliwell wyszedł właśnie z rozpromienioną twarzą z biura.

Middleton miał chyba wobec Aubreya jakieś słabe ślady wyrzutów sumienia, gdyż powiedział:

- Niech pan idzie przede mną. To potrwa wieki, nim uda mi się wyblagać moje karonady.

- Dzień dobry, sir - powiedział Jack,
wchodząc. - Kapitan Aubrey z „Sophie”.

Chciałbym prosić o dwie długie
dwunastofuntówki, jeśli pan pozwoli.

- Czy wie pan, ile one ważą? - zapytał
pan Head. Wyraz głębokiej melancholii
na jego twarzy nie zmienił się nawet
odrobinę.

- Wydaje mi się, że około trzydziestu
trzech cetnarów.

- Trzydzieści trzy cetnary, trzy funty i
trzy uncje. Tak... Może pan wziąć ich
nawet tuzin, kapitanie, jeśli sądzi pan, że
pański bryg je uniesie.

- Dziękuję, dwie mi w zupełności
wystarczą. - Jack spojrzał ostro na
swego rozmówcę, chcąc upewnić się,
czy ten z niego nie żartuje.

- Niech je pan bierze. To teraz pański
kłopot - powiedział pan Head z
głębokim westchnieniem, robiąc jakieś
sekretne znaczki na zniszczonym,
zwijającym się kawałku pergaminu. -

Proszę to oddać gospodarzowi

magazynu. Dostanie pan parę
najpiękniejszych dział, o jakich można
sobie tylko pomarzyć. Jeśli znajdzie pan
miejsce, mogę panu dołożyć jeszcze
kilka zgrabnych moździerzy.

- Jestem bardzo zobowiązany, panie
Head - podziękował Jack uradowany. -

Chciałbym, aby wszyscy oficerowie
pełnili służbę tak jak pan.

- Słusznie, kapitanie, słusznie - rzekł
jego rozmówca, którego twarz
niespodziewanie pociemniała z
oburzenia. - Są jednak pewni nikczemni,
podli i głupi ludzie. Jacyś za
przeproszeniem muzycy, rozglądający
się wiecznie za łapówką. To leniwe psy,
które kazałyby panu czekać miesiącami.

Ja do nich nie należę... Kapitanie
Middleton, czy nie potrzebuje pan
karonad?

Stojąc w słońcu, Aubrey ponowił swój
sygnał. Poprzez gąszcz rej i masztów
zobaczył, że postać na topie masztu
„Sophie” schyla się, wołając coś w

stronę pokładu, i znika, zsuwając się w dół po baksztagu jak kropla rosy po pajęczej nitce.

Pan Head bardzo sprawnie radził sobie z przydziałem uzbrojenia. Gospodarz magazynu na nabrzeżu artyleryjskim wyraźnie jednak nie lubił pośpiechu. Na dowód swej dobrej woli pokazał w końcu Jackowi dwie dwunastofuntówki.

- To najpiękniejsza para dział, jaką można sobie wymarzyć - powiedział, gładząc długie lufy, podczas gdy Jack podpisywał pokwitowanie. Zaraz potem dobry nastrój gospodarza nieoczekiwanie

wyparował: jeszcze kilku kapitanów czeka na realizację zamówień - kolejka obowiązuje jednakowo wszystkich - porządek musi być - trwa właśnie dostawa dział

trzydziestosześcioletnich, która musi być załatwiona pierwsza - w magazynie tak bardzo brakuje ludzi...

„Sophie” przeholowała już dawno temu,

stała równo przy nabrzeżu, pod bomami
załadunkowymi. Na jej pokładzie
panował teraz znacznie większy hałas.
Było stanowczo zbyt głośno, nawet
biorąc pod uwagę dopuszczalne w
porcie rozluźnienie dyscypliny. Jack był
pewien, że niektórzy członkowie załogi
w jakiś sposób zdołali się upić. Pełne
oczekiwania twarze patrzyły z burty, jak
ich dowódca spaceruje tam i z
powrotem po nabrzeżu, spoglądając na
przemian to w niebo, to na zegarek.

- Boże! - wykrzyknął Jack, uderzając się
dłonią w czoło. - Co za głupiec ze mnie.

Zupełnie zapomniałem o oleju! -

Zawrócił w miejscu i poszedł do
magazynu, zza którego słychać było
donośne skrzypienie, dowód na to, że
gospodarz i jego ludzie przesuwali
właśnie podobne do sań łoża karonad
Middletona w stronę ułożonych w
równym szeregu luf. - Panie gospodarzu!

- zawołał. - Czy mógłby pan przyjść i
zerknąć na moje działa? Tak bardzo się

śpieszyłem... Chyba zapomniałem, że
trzeba je naoliwić. - Mówiąc te słowa,
dyskretnie położył na panewkach luf obu
armat po sztuce złota.

Gospodarz magazynu spojrział na niego z
szacunkiem. - Gdyby mój artylerzysta
nie był chory, na pewno by mi o tym
przypomniął - dodał Jack ostrożnie.

- Dziękuję, sir. To bardzo stary zwyczaj.

Nie lubię, gdy pozwala się umierać
tradycjom, jeśli mam być szczery... - W
głosie magazyniera wciąż słychać było
resztki niezadowolenia, lecz jego
naburmuszona twarz stopniowo się
rozpogadzała. - Wspominał pan o
pośpiechu, prawda? Zobaczymy, co się
da zrobić.

W pięć minut później dziobowe działo
pościgowe, starannie podwieszane za
uszy, gałkę i wylot lufy, kołysało się
delikatnie nad forkasztelem „Sophie”, o
pół cala od swej idealnej pozycji. Jack i
cieśla, obaj na czworakach, podobni do
bawiących się dzieci, nasłuchiwali

odgłosu, jaki wydadzą wręgi i belki
pokładu, gdy bom uwolni się od
ogromnego ciężaru. Kapitan uniósł dłoń
ku górze.

- Teraz ostrożnie, powolutku... - polecił.

Na „Sophie” zapanowała idealna cisza.

Wszyscy członkowie załogi zamarli w
bezruchu, nawet ci z wiadrami wody w
ręku, napełniający balię. Znieruchomieli
ludzie ustawieni w żywy łańcuch,
podający z brzegu dwunastofuntowe
kule, układane potem w magazynie
pocisków przez jednego z ludzi
artylerzysty. Działo dotknęło pokładu i
osiadło pewnie na deskach. Rozległo się
głębokie, lecz raczej niegroźne
skrzypnięcie, i dziób brygu osiadł
głębiej w wodzie.

- Kapitalnie - stwierdził Jack, oglądając
ustawioną dokładnie w zaznaczonym
kredą miejscu armatę. -

Dookoła jest jeszcze dużo wolnego
miejsca... - dodał, cofając się o krok.

Stojący tuż za nim pomocnik artylerzysty

usunął się pośpiesznie, by nie zostać rozdeptanym, i zderzył się ze swym sąsiadem. Ten z kolei wpadł na kogoś innego, wywołując na zatłoczonej przestrzeni pomiędzy fokmaszem a bukszprytem istną reakcję łańcuchową. W jej wyniku jeden z chłopców okrętowych został dość mocno poturbowany, drugi zaś o mało co nie wypadł za burtę do wody.

- Gdzie jest bosman? Panie Watt, chciałbym obejrzeć te talie, jak już będą zamocowane. Przy tym bloku potrzebne będzie ucho z kauszą. Gdzie jest uprząż?

- Prawie gotowa, sir - wysapał spocony, zabiegany bosman. - Sam przygotowuję splot...

- Dobrze. - Jack skinął głową i ruszył szybko w stronę pokładu rufowego, nad którym wisało już drugie działo, gotowe przebić się przez dno „Sophie”, gdyby pozwolono swobodnie działać sile grawitacji. - Myślę, że prosty szplajs nie powinien zająć bosmanowi

okrętu wojennego zbyt wiele czasu.

Niech ci ludzie biorą się do pracy, panie

Lamb. To nie piknik. - Mówiąc te

słowa, kapitan znów spojrzał na

zegarek. - Panie Mowett... - zwrócił się

do młodego, uśmiechniętego nawigatora.

Twarcz oficera natychmiast śmiertelnie

spoważniała. - Panie Mowett, czy zna

pan kawiarnię „U Joselito”?

- Tak, sir.

- Niech więc będzie pan tak uprzejmy,

pójdzie tam i zapyta o doktora Maturina.

Proszę mu przekazać moje uszanowanie

i w moim imieniu powiadomić, że nie

wrócimy dzisiaj do portu przed

obiadem.

Przyślę jednak po niego łódź dziś

wieczorem. O dowolnej porze.

Rzeczywiście nie udało im się wrócić

przed obiadem. Było to fizyczną

niemożliwością, gdyż w porze

obiadowej byli jeszcze w porcie.

„Sophie” kołysała się majestatycznie po

zatłoczonym basenie portowym,

poruszana kilkoma długimi, ciężkimi wioślami w stronę farwateru. Jedną z zalet małej jednostki, obsadzonej dużą liczbą ludzi, była możliwość wykonywania podobnych manewrów, niedostępnych dla wielkiego liniowca. Jack wołał, by „Sophie” na razie poruszała się tak powoli, niż by była holowana. Nie chciał też ryzykować halsowania w porcie pod żaglami z tą załogą. Jego ludzie byli dziś wyraźnie niespokojni. Zbyt nieoczekiwanie przyszło im zmienić stare nawyki i na dodatek musieli się pogodzić z obecnością na pokładzie sporej grupy rozpychających się łokciami obcych. Gdy byli już w kanale, kapitan opłynął swój bryg dookoła łodzią i przyjrzał mu się uważnie ze wszystkich stron, rozważając równocześnie wszelkie zalety i wady odesłania na ląd kobiet. Nietrudno będzie znaleźć większość z nich, gdy cała załoga będzie na obiedzie. Nie chodziło tylko o lokalne dziewczęta,

które zabawiały załogę dla własnej przyjemności i paru groszy. W grę wchodziły też stałe partnerki, nieomal żony niektórych marynarzy. Jeśli teraz odbędzie się pierwszy przegląd, następna kontrola, tuż przed ostatecznym wyjściem w morze, powinna wymieść okręt do czysta. Jack nie życzył sobie żadnych bab na pokładzie.

Wiecznie powodowały kłopoty, więc i teraz można było spodziewać się problemów, tym bardziej że w załodze pojawili się nowi ludzie. Z drugiej strony wyczuwał na pokładzie pewien brak gorliwości, brak energii, wigoru - nie chciał, by ów nastrój przerodził się w posępną wrogość lub przygnębienie. Nie dzisiaj. Wiedział doskonale, jak konserwatywni są marynarze. Bez szemrania godzą się na najtrudniejsze warunki i ciężką pracę, nie wspominając o niebezpieczeństwie, pod warunkiem, iż są to okoliczności, do których w jakiś sposób przywykli. W

przeciwnym razie mogą nawet stać się agresywni. „Sophie” była głęboko zanurzona, odrobinę przegłębiona na dziób i lekko pochylona na lewą burtę.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby cały dodatkowy ciężar znalazł się głęboko poniżej linii wodnej. Tak czy inaczej, należało sprawdzić, jak okręt żegluje.

- Czy mam posłać ludzi na obiad, sir? - zapytał James Dillon, gdy Jack wrócił na pokład.

- Nie, panie Dillon. Musimy wykorzystać ten wiatr. Gdy miniemy przylądek, będą mogli zejść na dół.

Czy działa mają założone uprząże i są dobrze umocowane linami?

- Tak, sir.

- W takim razie postawimy żagle. W dryfie. Wszyscy do stawiania żagli!

Bosman zagwizdał sygnał i pobiegł na dziób. Rozległ się tupot wielu par nóg, gęsto przeplatany okrzykami.

- Nowi na dół! Ciszej tam! - Znów stopy zatupały po pokładzie. Wszyscy

członkowie starej załogi stali już na
swoich miejscach. Zapanowała martwa
cisza. Z pokładu oddalonego o kabel
„Genereux”

czysto i wyraźnie słyhać było czyjś
głos:

- „Sophie” będzie stawiała żagle.

Bryg kołysał się lekko pośrodku kanału
portowego. Przy prawej burcie kolejno
przepływały statki, dalej widać było
tonące w słońcu miasto. Bryza wiała z
lewego trawersu, lekko z tyłu - północny
wiatr

- rufa okrętu powoli zataczała szerokie
koło. Jack czekał przez chwilę i w
odpowiednim momencie zawołał:

- Na maszty! - Gwizdki natychmiast
powtórzyły rozkaz i wanty zapełniły się
ludźmi, którzy wspinali się na górę z
taką łatwością, jakby wchodzili na
schody we własnym domu.

- Na reje! Rozsejzingować! - Znów
gwizdki i marynarze weszli na reje.

Błyskawicznie rozwiązywali sejzingi,

linki, którymi zwinięty żagiel

przywiązany był ciasno do rei. Po

chwili znieruchomieli, trzymając w

ramionach fałdy płótna.

- Żagle staw! Luzować gejtawy i

gordingi! - I tym razem polecenie zostało

powtórzane przez piszczałki bosmana i

jego pomocników.

- Uwaga na szotach! Wybierać! Z życiem

tam, na fokmaszcie! Z życiem! Szoty

bramsła! Wziąć brasy!

Wybierać... Dosyć! Można obłożyć!

„Sophie” pochyliła się lekko, popychana

kolejnymi delikatnymi szarpnięciami,

które w końcu zwały się w jedno.

Ruszyła. Wzdłuż burty zabulgotała

przesuwająca się ku rufie woda. Kapitan

i porucznik wymienili spojrzenia. Nie

było tak źle. Fokbramsel zajął trochę

czasu - wszystko na skutek

nieporozumienia co do tego, kto ma być

traktowany jako „nowy”, i czy owo

niechlubne miano dotyczy też członków

starej załogi, którzy powrócili dzisiaj na

okręt. Z tej przyczyny na rei trwała krótko gwałtowna, choć cicha, szarpanina. Szoty wybierane były w sposób raczej nie skoordynowany, lecz nie żalosny. W każdym razie nie było powodu, by mieli stać się pośmiewiskiem załóg innych okrętów wojennych znajdujących się w porcie. W dzisiejszym porannym zamieszaniu było przecież kilka chwil, w których tego należało się obawiać.

„Sophie” rozwinęła swe skrzydła bardziej jak spokojna gołębica niż drapieżny jastrząb. Nie było to jednak aż tak rażące, by jakieś doświadczone oko na brzegu mogło spojrzeć w jej stronę z dezaprobatą. Jeśli zaś chodzi o mieszkańców miasta, wyjścia w morze lub wejścia do portu rozmaitych statków i okrętów tak już im się znudziły, że zapewne spoglądali teraz na manewry brygu z zupełną obojętnością.

- Proszę mi wybaczyć, sir... - zwrócił

się Stephen Maturin do stojącego na
nabrzeżu człowieka w mundurze
marynarki. - Czy mógłby mi pan
powiedzieć, gdzie znajduje się statek
„Sophia”?

- Statek? Nie ma tu statku o takiej
nazwie - rzekł oficer, odpowiadając na
ukłon doktora. - Chyba że chodzi panu o
królewski okręt wojenny, a raczej o sloop
„Sophie”?

- Bardzo możliwe, sir. Nikt nie jest
chyba większym ignorantem niż ja, jeśli
chodzi o morskie słownictwo.

Jednostka, o której myślę, jest
dowodzona przez kapitana Aubreya.

- Zgadza się. To sloop z czternastoma
działami na pokładzie. Stoi dokładnie
przed panem, w jednej linii z tym małym
białym domkiem na końcu cypla.

- Czy to ten okręt z trójkątnymi żaglami?

- Nie, to statek, polakra. Proszę spojrzeć
bardziej w lewo
i znacznie dalej.

- Myśli pan o tamtym niskim handlowym

dwumasztowcu?

- Tak. - Oficer roześmiał się. - Może

rzeczywiście jest dość głęboko

zanurzony, lecz to okręt wojenny.

Zapewniam pana. Z tego, co widzę,

zaraz będą stawiali żagle. Oczywiście.

Właśnie postawili marsle: szoty już

wybrane. Brasują reje. I teraz bramsle.

Co tam się dzieje? Nic... Wszystko w

porządku. Nie poszło im zbyt sprawnie,

ale wszystko dobre, co się dobrze

kończy. „Sophie” nigdy nie zadziwiła

sprawnością załogi. Widzi pan? Ruszyła

z miejsca. Wyjdzie z portu bez potrzeby

dotykania choćby jednego brasu.

- A więc wypływa w morze?

- Tak. Robi już teraz dobre trzy węzły.

Może cztery...?

- Jestem panu niezwykle zobowiązany,

sir - powiedział Stephen, unosząc

kapelusz.

- Sługa szanownego pana... - Oficer

odpowiedział podobnym gestem. Przez

chwilę patrzył za oddalającym się

Maturinem. „Chyba powinienem spytać tego człowieka, czy aby dobrze się czuje. Nie pomyślałem o tym. Na pewno teraz już z nim wszystko w porządku...” - pomyślał.

Stephen szedł wzdłuż nabrzeża.

Postanowił dowiedzieć się, czy w tej chwili uda mu się dostać na

„Sophie” w jakiś sposób na piechotę, czy też powinien wynająć łódź, by skorzystać z zaproszenia na posiłek.

Rozmowa z panem Floreyem rozwiała wszelkie wątpliwości. Wynikało z niej, iż nie tylko propozycja wspólnego obiadu była jak najbardziej godna uwagi. Również znacznie bardziej istotna oferta, przedstawiona przez kapitana Aubreya, zasługiwała na to, by potraktować ją poważnie. Pan Florey okazał się niezwykle uprzejmy. Bardziej niż uprzejmy. Wyjaśnił dokładnie zasady służby medycznej w Royal Navy i zabrał swego gościa do doktora Edwardesa, na pokład „Centaura”, gdzie mieli okazję

przyjrzeć się interesującej amputacji.

Rozmowa z kolegami po fachu

całkowicie rozwiała obawy Maturina co

do braku odpowiednich kwalifikacji i

doświadczenia chirurgicznego. Florey

wypożyczył mu nawet kilka książek:

Libellus de Natura Scorbuti Hulme'a,

Skuteczne środki Linda i *Morską*

praktykę lekarską Northcote'a. Na

dodatek obiecał również pomoc w

zdobyciu odpowiednich narzędzi, które

powinny wystarczyć do czasu

otrzymania oficjalnego przydziału do

służby i pełnego kompletu wyposażenia:

- Przecież szczypce, łyżeczki i noże

chirurgiczne walają się po szpitalu

tuzinami, nie wspominając o piłach i

skrobakach do kości...

Maturin pozwolił, by oczekiwania i

nadzieje całkowicie zawładnęły jego

myślami. Emocje, jakich doznał na

widok „Sophie”, jej białych żagli i

głęboko zanurzonego kadłuba,

uświadomiły mu, jak bardzo pragnie, by

wszystko zakończyło się pomyślnie.

Zauroczyła go perspektywa poznania nowych miejsc, nowych ludzi, nowego sposobu życia. Zależało mu również na nawiązaniu bliższej znajomości z człowiekiem, którego okręt zmierzał teraz szybko w stronę wyspy kwarantannowej, by już po chwili zniknąć za nią zupełnie.

Stephen wrócił do miasta. Był w szczególnym stanie ducha - doświadczył ostatnio tak wielu rozczarowań, iż nie wydawało się możliwe, by potrafił znieść gorycz kolejnego niepowodzenia.

Co więcej - zaangażował się w tę sprawę tak bardzo, że był bezbronny wobec możliwych przeciwności.

Przechodził właśnie koło kawiarni „U Joselito”, próbując z największym wysiłkiem uruchomić swe ostatnie rezerwy duchowe i pozbierać się jakoś, gdy usłyszał głos za plecami:

- O! Jest tam, proszę go zawołać! Niech pan lepiej pobiegnie za nim. Na pewno

uda się panu go dogonić.

Maturin nie był dzisiaj rano w kawiarni.

Staął po prostu przed dość prozaicznym dylematem -

zapłacić za filiżankę kawy czy za przejazd łodzią na okręt. Zdecydował się na to drugie i dlatego nie spotkał podchorążego, który ruszył teraz za nim biegiem.

- Pan doktor Maturin? - zapytał młody Mowett. Zapytał i znieruchomiał, porażony pełnym niechęci spojrzeniem człowieka, którego polecono mu odszukać. Na szczęście zdołał przekazać wiadomość od kapitana i z radością stwierdził, że twarz nieznajomego przybrała znacznie bardziej przyjemny wyraz.

- Bardzo pan uprzejmy - podziękował Stephen z uśmiechem. - Jaka pora pańskim zdaniem byłaby najbardziej odpowiednia?

- Och, może około osiemnastej, sir? - zaproponował podchorąży ostrożnie.

- Dobrze. Wobec tego o osiemnastej

będę czekał na nabrzeżu koło oberży

„Pod Koroną” - postanowił

doktor. - Bardzo jestem panu

zobowiązany. Zadał pan sobie tak wiele

trudu, aby mnie odnaleźć... -

Uklonili się sobie na pożegnanie.

„Muszę pójść do szpitala i zaoferować

panu Floreyowi pomoc” -

myślał Stephen uradowany. - „Podobno

ma jakiś skomplikowany przypadek

złamania ręki powyżej łokcia, które

wymagać będzie resekcji stawu. Już tak

wiele dni minęło od chwili, gdy ostatni

raz dane mi było piłować kości...”

Uśmiechnął się na myśl o czekającym go

zabiegu.

Przylądek Mola powoli przesuwał się

do tyłu za lewą burtą brygu. Wyszli z

obszaru zawirowań - na przemian

podmuchów i kompletnej ciszy -

powodowanych przez wysokie,

poprzecinany głębokimi dolinami brzeg

po północnej stronie krętego wejścia do

portu. Pchała ich teraz, z niemal
jednostajną siłą, wiejąca z północnego
wschodu tramontana. „Sophie”, z
postawionym grotem, fokiem,
pojedynczo zrefowanymi marsłami i
bramsłami, szybko posuwała się w
stronę Włoch.

- Proszę maksymalnie wyostrzyć -
poleciał Jack. - Jak ostro ona chodzi,
panie Marshall? Ile rumbów na wiatr
uda nam się pożeglować? Sześć?

- Wątpię... - Nawigator pokręcił głową.
- Jest dzisiaj trochę ociężała, przybyło
spore obciążenie na dziobie.

Jack przejął ster. W chwili, gdy stawał
za kołem, w żagle uderzył ostatni silny
podmuch wiatru od strony wyspy. Okręt
pochylił się lekko, wzdłuż zawietrznej
burty pojawił się biały warkocz piany.
Powiew zerwał z jego głowy kapelusz,
unosząc długie jasne włosy wysoko ku
południowemu
zachodowi. Pierwszy nawigator rzucił
się w pogoń za nakryciem głowy

dowódcy. Wyrwał z rąk marynarza

wyjęty z siatki na hamaki kapelusz i

starannie wytarł chusteczką kokardę.

Stał teraz u boku Jacka, trzymając w obu

dłoniach swą zdobycz.

- Nasz złotowłosy kapitan wyraźnie

wpadł w oko Sodomie i Gomorze -

mruknął John Lane, marynarz z wachty

żaglowej fokmasztu, do swego kolegi

Thomasa Grossa. Thomas mrugnął

okiem i znacząco poruszył głową.

Potwierdzał tylko fakt, nie osądzając

nikogo.

- No cóż, miejmy nadzieję, że to się na

nas nie skrupi... - odpowiedział.

Jack, czekając, aż podmuch ustanie,

pozwolił „Sophie” odpaść nieco od

wiatru. Wracił teraz na poprzedni kurs,

pewnie kręcąc kołem. Poprzez

spoczywające na szprychach dłonie

poczuł wreszcie ową niezwykłą

wibrację, niepowtarzalny rytm nałożony

na skrzypienie kadłuba i takielunku - coś

pośredniego między dźwiękiem a

drżeniem. Dusza brygu obudziła się nagle i między człowiekiem a okrętem wytworzyła się szczególna więź, tak jakby ster w cudowny sposób stał się przedłużeniem rąk, częścią ludzkiego ciała. „Sophie” zareagowała na manewr szybciej i trochę bardziej nerwowo, niż Jack się spodziewał. Wszyscy na pokładzie patrzyli teraz w górę i do przodu. Wreszcie, pomimo wybranej jak struna buliny, fokbramsel załopotał lekko. Aubrey zerknął na kompas.

- Nieźle - rzekł z satysfakcją. - Tak trzymać! - polecił sternikowi i wydał od dawna oczekiwany rozkaz, by zagwizdano na obiad.

„Sophie” żeglowała maksymalnie ostrym lewym halsem w stronę odległych i ustronnych wód, gdzie wystrzały z dwunastofuntowych dział nie mogły narobić żadnych szkód i gdzie jakakolwiek katastrofa pozostałaby nie zauważona. Mile przebytej drogi układały się za rufą okrętu w równą

wstęgę kilwateru. Dowódca brygu z
zadowoleniem przyglądał się temu
prostemu jak strzała śladowi przez okno
swego salonu. Dryf był bardzo
niewielki, a ster musiał spoczywać w
dobrych i pewnych rękach.

Jack jadł obiad w pojedynkę: spartański
posiłek, rozgotowane w kapuście mięso
koźłęcia. Dopiero teraz sobie
uświadomił, że nie ma się z kim
podzielić niezliczonymi,
wypełniającymi głowę spostrzeżeniami.

Był to dla niego pierwszy normalny
kapitański obiad i niewiele brakowało,
a za-

żartowałby sobie z tego faktu w
obecności stewarda. W ostatniej chwili,
pomimo tak dobrego nastroju, ugryzł się
jednak w język. Nie wolno. „Za jakiś
czas się do tego przyzwyczaję” -
pomyślał i z przyjemnością spojrzął
znów na morze.

Nowe działa nie okazały się dobrym
nabytkiem. Nawet przy zmniejszonym o

połowę ładunku armata dziobowa miała stanowczo zbyt silny odrzut. Już po trzecim wystrzale cieśla wybiegł na pokład tak blady i wzburzony, iż dyscyplina na okręcie niemal legła w gruzach.

-Niech pan tego nie robi, sir! - zawołał, zakrywając dłonią panewkę lufy działa.

- Gdyby tylko mógł pan widzieć te wiązania i wręgi.

Pęknięcia pojawiły się już w pięciu miejscach. Boże, Boże... -

Zrozpaczony rzucił się do pierścieni mocujących uprząż lawety do pokładu. -

Tutaj... Wiedziałem. Do połowy wyrwane. To stare drewno jest w tym miejscu miękkie jak masło. Tom, dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie wiedziałem... - odpowiedział marynarz, zwieszając głowę.

- Nic z tego nie będzie, sir! - wykrzyknął cieśla. - To się nie uda! Nie ma mowy!

Nie z takimi wręgami! Nie z takim pokładem!

Jack poczuł narastające wzburzenie. Ta rozgrywająca się na zatłoczonym forkasztelu scena była wręcz absurdalna: roztrzęsiony cieśla, na czworakach sprawdzający spojenia i zwracający się do kapitana w sposób, który trudno uznać za odpowiedni. Z drugiej strony nie mógł przeciwstawić się spontanicznej i absolutnej szczerości tego człowieka, zwłaszcza iż po cichu się z nim zgadzał. „Sophie” nie była w stanie wytrzymać potwornej siły, z jaką po wystrzale ta ogromna masa metalu odrzucana była w tył i z głośnym trzaskiem napinanych lin powstrzymywana uprzężą. Dla tak małego brygu było to stanowczo zbyt wiele. Ponadto należało szczerze przyznać, że obie dodatkowe armaty zajmowały wraz z osprzętem tak wiele cennego miejsca, że normalna obsługa okrętu stawała się prawie niemożliwa. Pozostawała więc tylko gorycz rozczarowania: dwunastofuntowe kule

mogły razić cele odległe o pięćset
jardów, potrafiły zasypać pokład
nieprzyjacielskiego okrętu gradem
śmiercionośnych odłamków, zerwać reję
i poczynić ogromne spustoszenia.

Czterofuntówka tymczasem, z
jakiegokolwiek dystansu...

- Jeśli teraz wystrzeli pan jeszcze z tego
drugiego działa - mówił pan Lamb z
desperacką odwagą, wciąż na
czworakach - nic nie wyjdzie z wizyty
tego pańskiego gościa, tak nadwerężone
są już wiązania pokładu rufowego...

William Jevons, pomocnik cieśli,
wyszedł spod pokładu i zameldował
cicho:

- Stopa wody w zężach. -

Wypowiedziane szeptem słowa można
było z powodzeniem usłyszeć nawet na
topie masztu.

Cieśla Lamb wstał, włożył na głowę
kapelusz i salutując, powtórzył:

- Stopa wody w zężach, sir.

- Bardzo dobrze, panie Lamb.

Wypompujemy ją - powiedział Jack miękko. - Panie Day... - zwrócił się do artylerzysty, który wyczołgał się na pokład, by być świadkiem strzelania z dwunastofuntówek (wyszędłby i z grobu, gdyby akurat w nim leżał). - Panie Day, proszę ustawić na miejscu i zamocować działa. Bosman, obsadzić pompę zęzową.

Z żalem poklepał rozgrzaną lufę i poszedł na rufę. Nie przejmował się zbyt wódą wewnątrz kadłuba.

Drewniane poszycie zawsze odrobinę przecieka, jest to naturalne, ponadto „Sophie”

żeglowała dziś dość dziarsko i od czasu do czasu fala dostawała się na pokład.

Zmartwiły go jednak działa. Naprawdę zmartwiły. Z coraz większą troską patrzył też na grotreję.

- Powinniśmy teraz zrzucić bramsle, panie Dillon - zauważył, biorąc do ręki tabliczkę kursową. Był to odruchowy gest, gdyż Jack i bez tego doskonale

wiedział, gdzie się znajdują. Dzięki
jakiemuś zmysłowi, który z czasem
rozwija się u ludzi morza, bezbłędnie
wyczuwał za swymi plecami, z lewej
strony, obecność skrytego za horyzontem
lądu. Żeglowali wytrwale pod wiatr.

Równomiernie

rozmiszczone na tabliczce kołeczki
układały się na przemian w kursy east-
north-east i west-north-west: wykonali
do tej pory pięć zwrotów przez sztag i
jeden przez rufę. „Sophie” nie była tak
szybka w kursach na wiatr, jak
początkowo mu się zdawało. Płynęli
teraz z prędkością siedmiu węzłów. Te
dane wystarczyły, by umysł kapitana
dokonał błyskawicznych obliczeń.

Wynik był gotowy

natychmiast: „Pozostań na tym kursie
przez pół godziny, potem żegluj niemal
dokładnie z wiatrem, a bezbłędnie
trafisz z powrotem do portu”.

- Proszę podbrasować żagle - polecił

zdecydowanym głosem. - Zostaniemy na

tym kursie jeszcze przez pół godziny... -
dodał, schodząc pod pokład. Zamierzał
zająć się papierkową robotą - w kabinie
czekały na niego stosy różnego rodzaju
dokumentów. Nie tylko rachunki,
zamówienia, spisy
inwentarza i księgi wypłat. Był tam też
dziennik okrętowy „Sophie”, który mógł
wiele powiedzieć o historii brygu;
cennym źródłem informacji o służących
na okręcie ludziach była na pewno
księga zaciągu załogi. Jack przewracał
powoli strony dziennika:

22 września 1799, niedziela. Wiatr NW,

WS. Kurs N40W, przebyta odległość:

49 mil, pozycja: 37°59'N 9°38'W, przylądek St Vincent S27E 64 mile. Po

południu świeża bryza i szkwały z

deszczem.

Żagle stawiane i refowane odpowiednio

do warunków pogodowych. Rano

gwałtowny wiatr, o godz. 4

zrzucano grota, o godz. 6 zauważono

żagiel na horyzoncie, o godz. 8 wiatr

osłabł, postawiono i zreflowano grota, o godz. 9 sprawdzono wykrytą

wcześniej jednostkę: szwedzki bryg

zmierzający pod balastem do

Barcelony. W południe bezwietrznie,

kursy zmienne.

Całe tuziny zapisków z podobnych

patroli i rejsów w ochronie konwojów.

Zwykłe, monotonne, codzienne

obowiązki, z których składa się ponad

dziewięćdziesiąt dziewięć procent

służby na morzu albo i więcej:

Ludzie zatrudnieni przy różnych

pracach, odczytano przepisy prawa

wojennego: „Articles of War”...

konwój w pobliżu pod bramslami i

podwójnie zrefowanymi marsłami. O

godz. 6 wymieniono sygnały

rozpoznawcze z dwoma okrętami

liniowymi. Postawione wszystkie żagle,

cała załoga zatrudniona przy

sprzątaniu

i wyrzucaniu za burtę śmieci...

halsowanie pod potrójnie zrefowanym

grotmarslem... prawie bezwietrznie...

wyprano hamaki. Przeprowadzono

zbiórkę załogi. Odczytano „Articles of War”, następujący marynarze zostali ukarani: Joseph Wood, Jno. Lakey, Matt. Johnson i Wm. Musgrave - dwanaście batów za pijaństwo... Po południu wiatr słaby, zamglenia, wyłożono wiosła i opuszczono łodzie, by oddalić się od brzegu. O wpół do szóstej postój na kotwicy prądowej: półwysep Mola S6W odległość 15 mil. O wpół do ósmej nagły podmuch silnego wiatru, w obawie o bezpieczeństwo okrętu odcięto linę kotwiczną, postawiono żagle... odczytano „Articles of War” i odprawiono nabożeństwo... ukarani: Geo. Sennet dwadzieścia batów za obrazę... Fra. Bechell, Robt. Wilkinson i Joseph Wood za pijaństwo...

Takie i wiele podobnych zapisów:

sporo chłosty, lecz bez niepotrzebnego

okrucieństwa, bez wymierzania

komukolwiek stu batów. Zaprzeczało to

wcześniejszym podejrzaniom Jacka, iż

na

„Sophie” nie troszczono się specjalnie o

dyscyplinę. Postanowił zainteresować się dokładnie tą sprawą. Teraz przyszła kolej na księgę zaciągu załogi:

Geo. Williams, marynarz, urodzony w Bengalu, zgłosił się na ochotnika w Lizbonie 24 sierpnia 1797,

zdezerterował 27 marca 1798 w

Lizbonie. Fortunato Carneglia,

podchorąży, lat 21, urodzony w Genui, zwolniony 1 czerwca 1797 na

podstawie pisemnego rozkazu

wiceadmirała Nelsona. Saml.

Wilsea, starszy marynarz, urodzony na

Long Island, zgłosił się na ochotnika w

Porto 10 października 1797,

zdezerterował 8 lutego 1799 w

Lizbonie, wyskoczył z łodzi. Patrick

Wade, poborowy, lat 21, urodzony w hrabstwie Fermanagh, wcielony siłą 20

listopada 1796 w Porto Ferraiio,

przeniesiony 11

listopada 1799 na „Bulldoga” na

podstawie rozkazu kapitana Darleya.

Richard Sutton, porucznik,

zamustrował 31 grudnia 1796 na

podstawie rozkazu admirała Nelsona,

skreślony z listy martwy 2

lutego 1798, zginął w walce z

francuskimi piratami. Richard William

Baldick, porucznik, zamustrował

28 lutego 1798, przeniesiony z okrętu

„Earl St Vincent”, zwolniony 18

kwietnia 1800, rozkazem Lorda Keith przeniesiony na „Pallas”.

W kolumnie „Ubrania zmarłych” przy

ostatnim nazwisku widniała suma ośmiu

funtów, dziesięciu szylingów i sześciu

pensów, zapewne rzeczy biednego

Sutona zostały zlicytowane pod

grotmasztem.

Jack nie mógł się skoncentrować na

starannie podzielonych rubrykami

stronicach. Jego wzrok wciąż

uciekał bezwiednie ku lśniącej,

ciemnobłękitnej tafli morza, znacznie

ciemniejszej niż niebo i poznaczonej

gdzieniegdzie białymi plamami piany.

Zamknął w końcu księgę i pozwolił

sobie na luksus bezmyślnego

wpatrywania się w horyzont. „Gdybym

chciał, mógłbym teraz na przykład pójść

spać" - pomyślał i rozejrzał się dookoła, ciesząc się samotnością, jednym z najrzadszych luksusów na okręcie. Jako porucznik na „Leanderze” czy na innych większych jednostkach mógł oczywiście patrzeć do woli przez okna mesy oficerskiej. Nigdy jednak nie był zupełnie sam, z dala od jakiegokolwiek ludzkiej działalności czy obecności.

Teraz mógł pozwolić sobie nawet na dłuższą chwilę w odosobnieniu, lecz kłębiące się w głowie myśli gnały zbyt prędko. Potrzebował czegoś zupełnie przeciwnego, chciał być z ludźmi.

Dlatego wyszedł na pokład, gdy tylko dzwon okrętowy wybił cztery szklanki.

Dillon stał z pierwszym nawigatorem przy mosiężnej czterofuntówce na prawej burcie. Rozmawiali na temat jakiegoś szczegółu uprzęży działa, widocznego tylko z tamtego miejsca.

Gdy Jack pojawił się na rufie, obaj oficerowie zgodnie ze zwyczajem przeszli na lewą burtę, pozostawiając pokład kapitański wyłącznie do jego

dyspozycji. W podobnej sytuacji znalazł się po raz pierwszy w życiu. Nie spodziewał się tego zupełnie, nie pomyślał o tym i ów dowód szacunku przyjemnie go zaskoczył. Z drugiej strony stracił szansę na towarzystwo. Gdyby chciał porozmawiać, musiałby zawołać Dillona.

Przeszedł kilka razy tam i z powrotem, patrząc na reje. Były zbrasowane tak mocno, jak tylko pozwalały na to wanty fokmasztu. Nie tak mocno jednak, jak mogłoby to być w idealnym świecie.

Zanotował szybko w pamięci, iż musi zlecić bosmanowi drobną zmianę w olinowaniu. Powinni w ten sposób zyskać jakieś dwa, trzy stopnie.

- Panie Dillon! - zawołał. - Proszę odpaść od wiatru i postawić rejowego grota. Kurs na południe do zachodu pół na południe.

- Tak jest, sir. Czy zrefować podwójnie?

- Nie, panie Dillon, proszę nie refować -

odparł z uśmiechem i znów rozpoczął
wędrówkę tam i z powrotem po
pokładzie rufówki. Dookoła padały
rozkazy, słychać było gwizdki bosmana i
tupot nóg.

Spacerujący Jack patrzył na to z
dystansem, z boku. Było to raczej
dziwne, gdyż serce łomotało mu z
emocji.

„Sophie” powoli odpadała od wiatru.

- Tak trzymać! - polecił sternikowi
pierwszy nawigator. Wiatr wiał teraz z
rufy. Gaflowy grotzagiel stał się na
krótko roztrzepotaną chmurą, która
szybko zamieniła się w równo ułożone
na drzewcu fałdy płótna. Nieomal w tej
samej chwili pojawił się grot rejowy,
przez kilka sekund łopoczący,
wydymany wiatrem jak balon, potem
przywołany do porządku i opanowany
wybieranymi ku rufie szotami.

„Sophie” ruszyła gwałtownie do przodu.

Do chwili, gdy Dillon podał komendę

„Obkładać!”, prędkość brygu wzrosła o

dobrze dwa węzły. Dziób zanurzył się
głębiej, rufa wyszła z wody. Okręt
przypominał
konia wierzchowego, zaskoczonego
temperamentem jeźdźca. Może
naprawdę był zaskoczony? Dillon posłał
na ster dodatkowego człowieka w razie,
gdyby zaszła niespodziewana zmiana
kierunku lub siły wiatru. Grot rejowy
był naprężony do granic wytrzymałości.

- Proszę wezwać żaglomistrza - rozkazał
kapitan. - Panie Henry, czy może pan
zwiększyć
powierzchnię tego żagla? Może udałoby
się doszyć do lików dodatkowe bryty.

- Raczej nie - odpowiedział żaglomistrz
z przekonaniem. - Nie przy takiej rei.

Widzi pan, jak wybrzuszone jest płótno?
Przypomina bardziej pęcherz wieprza
niż żagiel, jeśli wolno mi tak
powiedzieć.

Aubrey podszedł do relingu i spojrzał na
przesuwającą się wzdłuż burty wodę.

Chrząknął i znów zaczął z uwagą

wpatrywać się w grotreję: drewnianą belkę, długą na ponad trzydzieści stóp, zwężającą się od około siedmiu cali pośrodku, w pobliżu masztu, do trzech cali przy nokach - końcach.

„To raczej kurza grzęda niż reja” -

pomyślał po raz chyba dwudziesty od chwili, w której zwrócił uwagę na to nieszczęsne drzewce.

Obserwował uważnie, jak pracuje ono pod naporem wiatru.

„Sophie” nie mogła posuwać się szybciej i wzrost prędkości nie mógł już równoważyć sił działających na żagiel.

Reja ugięła się i Jack mógłby przysiąc, że usłyszał, jak jęknęła z wysiłku.

Najmocniej wyginały się oczywiście jej końce, do których mocowane były brasy, lecz drzewce było wyraźnie skrzywione na całej długości. Przyglądał się rei przez dłuższą chwilę, stojąc z założonymi na plecy rękoma. Również inni oficerowie obecni na rufie - Dillon, Marshall, Pullings oraz młody Ricketts -

stali w napięciu, nie odzywając się ani słowem, i co chwila zerkali to na dowódcę, to na żagiel. Nie tylko oni z niepokojem oczekiwali na to, co się stanie. Wszyscy co bardziej doświadczeni marynarze na forkasztelu zachowywali się podobnie, obserwując ukradkiem na zmianę kapitana i grotreję. Na pokładzie panowała dziwna atmosfera. Płynęli teraz fordewindem, to znaczy, wiatr wiał niemal dokładnie z tyłu i jego śpiew w takielunku był bardzo słaby. Powolne kołysanie brygu również odbywało się bez żadnego dźwięku, chlapania, gdyż na morzu prawie nie było fali. Na to wszystko nakładały się wyciszone szepty ludzi, robiących wszystko, by nie było ich słychać. Pomimo to, czyjś głos doleciał z dziobu aż na rufę:

- Straci żagiel, jeśli dalej będzie postępował jak szaleniec. Jack nie usłyszał tych słów. Nie zdawał sobie sprawy z narastającego wokół

niego napięcia. Zbyt mocno zajmowały
go przeprowadzane w myśli kalkulacje.

Nie były to obliczenia matematyczne,
raczej próba realnej oceny sytuacji.

Rachował

swe szanse podobnie jak jeździec na nie
znanym sobie koniu, szykujący się do
pierwszego skoku przez wysoką
przeszkodę.

Zszedł w końcu na dół, do kabiny. Przez
chwilę patrzył przez okno na horyzont i
zerknął na mapę. Z

prawej burty powinni wkrótce mijać
przylądek Mola. Wiatr na linii brzegu z
pewnością przybierze nieco na sile.

Aubrey zagwizdał bardzo cichutko *Deh*

vieni i pomyślał: „Jeśli odniosę sukces, jeśli mi się powiedzie i zarobię
mnóstwo pieniędzy... Kilkaset gwinei...

Pierwsze, co powinienem zrobić po
wyplacie, to pojechać do Wiednia, do
opery".

Do drzwi zapukał James Dillon.

- Wiatr się wzmaga, sir - powiedział,
wchodząc. - Czy zrzucić grota lub

przynajmniej go zrefowac?

- Nie, nie, panie Dillon - odparł Jack z uśmiechem. Zreflektował się jednak, że nie wypadało mu stawiać swego porucznika w trudnej sytuacji. Dodał więc szybko: - Za dwie minuty będę na górze.

Wyszedł na pokład wcześniej, już po niecałej minucie, w samą porę, by usłyszeć złowieszczy trzask łamiącego się drewna.

- Puścić szoty! - zawołał. - Obsadzić talie grotrei! Gejtawy marsla! Luzować topenanty! Opuszczać! Z życiem tam, żwawo!

Pracowali żwawo: reja była stosunkowo mała i szybko znalazła się na dole.

Wkrótce żagiel był zdjęty, wszystkie liny zostały sklarowane, gołe drzewce leżało na pokładzie.

- Beznadziejne pęknięcie pośrodku, sir - powiedział cieśla ze smutkiem. Miał dzisiaj paskudny dzień. -

Mogę spróbować to naprawić, ale ta

reja chyba do niczego już się nie nada.

Jack skinął głową. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje bądź uczucia. Podeszedł do relingu, postawił stopę na poręczu i wspiął się na kilka pierwszych wyblinek want grotmasztu.

„Sophie”

uniosła się na fali. W oddali, przed prawym trawersem, widać było ciemny zarys półwyspu Mola.

- Musimy lepiej prowadzić obserwację

- zauważył, schodząc. - Proszę

skierować okręt do portu, panie Dillon.

Gaflowy grot i wszystkie inne żagle,

jakie można postawić. Nie mamy ani

chwili do stracenia.

Czterdzieści pięć minut później

„Sophie” stała już na swoim miejscu w

porcie. Jej kuter był na wodzie, zanim

znieruchomiała zupełnie. Złamana reja

pływała tuż obok. Łódź ruszyła

pośpiesznie w stronę nabrzeża, holując

za sobą uszkodzone drzewce, które z

daleka wyglądało jak jej olbrzymi ogon.

- Patrzcie, jaki zadowolony - rzekł

wioślarz siedzący na dziobie, gdy Jack

wbiegał po stopniach na brzeg. - Po raz

pierwszy od chwili objęcia dowództwa

wraca z morza i proszę: wprowadza

„Sophie”

do portu z połamanymi rejami. Wręgi

popękane, pół załogi pompuje zęzy z

całych sił, wszyscy spędzili całutki Boży

dzień na pokładzie, bez chwili przerwy

nawet, by zapalić fajkę. On tymczasem

wbiega sobie na schody, radośnie

uśmiechnięty, jakby tam na górze sam

król Jerzy miał go za chwilę pasować na

rycerza.

- I tak mało było czasu na obiad. Jak

nigdy - odezwał się cichy głos ze środka

łodzi.

- Cisza! - zawołał pan Babbington z

największym oburzeniem, na jakie

potrafił się zdobyć.

- Panie Brown... - Jack mówił z

poważną miną. - Tylko pan może mi

pomóc. Moja grotreja pękła w

beznadziejny sposób, a dziś wieczorem muszę wyjść w morze - „Fanny” stoi już w porcie. Dlatego chciałbym prosić pana, by spisał pan tę nieszczęsną reję na straty i wydał mi na jej miejsce inną.

Och, niech pan nie będzie aż taki wstrząśnięty... - dodał przymilnie, biorąc pana Browna za ramię i prowadząc w stronę kutra. - Zwracam też panu dwa działa dwunastofuntowe. Z tego, co mi wiadomo, artyleria znajduje się teraz pod pańskim nadzorem... Po prostu obawiam się, że mój bryg byłby trochę przeciążony.

- Oczywiście, chętnie służę panu pomocą - powiedział pan Brown, oglądając złamaną reję. Załoga kutra trzymała w górze wyjęte z wody do przeglądu drzewce. - Nie mam jednak nic aż tak małego.

- Ależ sir, zapomina pan o „Genereux”. Na tym okręcie były aż trzy zapasowe fokbramreje... I mnóstwo innych. Chyba pan pierwszy przyzna, że mam moralne

prawo do jednej z nich.

- No cóż. Może pan spróbować, jeśli pan chce. Proszę wybrać coś odpowiedniego i przymierzyć do masztu. Zobaczymy, jak to będzie wyglądać, ale niczego nie obiecuję.

- Moi ludzie wezmą nową reję.

Pamiętam, gdzie one leżą. Panie Babbington, proszę wybrać czterech ludzi i pójść ze mną. Dalej, żywo.

- To tylko próba, kapitanie Aubrey! - zawołał za nimi Brown. - Popatrzę z brzegu, jak to będzie wyglądać.

- To jest prawdziwa reja - rzekł cieśla Lamb, spoglądając z czułością na długie drzewce pływające przy burcie „Sophie”. - Ani jednego sęku, jakie prościutkie słoje. Francuska, jak mi się zdaje. Tak na oko ze czterdzieści trzy stopy długości. Przynajmniej... Na takiej rei rzeczywiście można porządnie postawić żagiel!

- Tak, tak - zgodził się Jack

niecierpliwie. - Czy ta cuma jest już

założona na kabestan?

- Obłożona, sir - padła odpowiedź.

- A więc wybierać!

Koniec grubej liny został uwiązany do
środku rei, następnie ułożoną wzdłuż aż
do prawego noku cumę w sześciu
miejscach przywiązano do drzewca
stoperami - pokrętkami rozplecionych
lin. Od rei cuma biegła przez blok na
topie masztu i blok na pokładzie do
kabestanu. W miarę jego obrotów
ciężkie drzewce powoli uniosło się z
wody i zawisło prawie pionowo. Po
chwili znalazło się nad pokładem,
ostrożnie przeprowadzone przez
olinowanie.

- Przeciąć zewnętrzny stoper - poleciał
kapitan. Kawałek sznura spadł na dół i
reja pochyliła się trochę,
podtrzymywana teraz nieco bliżej
środku. W miarę jej podnoszenia
usuwano kolejne stopery, aż w końcu
zawisała na swoim miejscu, prostopadle
do pokładu.

- Nic z tego nie będzie, kapitanie

Aubrey! - wołał Brown z brzegu przez tubę. - Jest za duża i nie utrzyma jej pan na maszcie! Musi pan ją skrócić i o połowę zwęzić jej końce!

Rzeczywiście, wisząca na maszcie naga reja wydawała się nieco za długa.

Przypominała ramię olbrzymiej wagi.

- Przywiązać renery - rozkazał Jack. -

Nie w tym miejscu, dalej. Zdjąć ze środka cumę i opuszczać powoli. - Reja znalazła się na dole i cieśla popędził po swoje narzędzia.

- Panie Watt... - rzekł Aubrey do

bosmana. - Niech pan zamocuje sztendry brasów, dobrze?

Bosman otworzył usta, zamknął je i

powoli wziął się do pracy. Na każdym

normalnym okręcie sztendry brasów

mocowano do rei dopiero po założeniu

prowadnic szotów, szelek perty i

podwiewi topenanty. Przede wszystkim

należało najpierw odpowiednio

przygotować końce drzewca, zwęzić je,

tak by powstał kołnierz zapobiegający
przesuwaniu się tego wszystkiego do
środku rei. Cieśla tymczasem pojawił
się na pokładzie z piłą i miarą.

- Czy ma pan tutaj strug, panie Lamb? -
zapytał Jack.

- Pański pomocnik go panu przyniesie.

Niech pan zdejmie okucia z bomu
sterżągła i dopasuje do nich te końce. -

Cieśla, w pierwszej chwili zaskoczony
poleceniem kapitana, zrozumiał w
końcu, o co chodzi. Na pokład posypały
się wióry.

- Dosyć - odezwał się Aubrey, gdy
świejące białym drewnem końce rei
miały już odpowiednią średnicę. -

Podnieście ją teraz z powrotem,
brasując tak, by przez cały czas była
ustawiona prostopadle do nabrzeża.

Panie Dillon, zejść na ląd. Proszę zdać
działa na nabrzeże artyleryjskie i czekać
na mnie w pogotowiu na kanale. Musimy
wyjść w morze przed wieczornym
wystrzałem. I jeszcze coś. Panie Dillon,

wszystkie kobiety mają zostać odesłane
na ląd.

- Wszystkie bez wyjątku, sir?

- Wszystkie dziwki. Prostytutki są dobre
w porcie, w morzu nie ma dla nich
miejsca na okręcie... -

Kapitan przerwał, zszedł do swej kabiny
i po dwóch minutach wrócił na pokład,
wkładając do kieszeni kopertę. - Jeszcze
raz do stoczni! - zawołał, schodząc do
łodzi.

- Zobacz pan, że słusznie pan zrobił,
słuchając mojej rady - rzekł pan Brown,
witając Jacka na schodkach nabrzeża. -

Pierwszy silniejszy powiew wiatru
zabrałby panu tę reję razem z żaglem.

- Czy może mi pan teraz dać swoje
duety, sir? - zapytał Aubrey wyraźnie
dręczony wyrzutami sumienia. - Właśnie
wybieram się po mego przyjaciela, o
którym panu wspominałem. To wielki
muzyk. Przedstawię go panu, gdy
następnym razem będziemy w Mahon.

Również pani Brown koniecznie

powinna go poznać.

- Będzie to dla nas prawdziwy zaszczyt.

- Pan Brown uklonił się z uśmiechem.

- Teraz do oberży „Pod Koroną”. Z

życiem, pokażcie, na co was stać! -

wyduślił z siebie Jack, zdyszany. Wrócił

do łodzi truchtem, z nutami pod pachą.

Jak większość żeglarzy był raczej otyły i

łatwo pocił się na lądzie. - Dokładnie

sześć minut - spoglądając na zegarek,

pochwalił wioślarzy, gdy łódź przybiła

do pomostu. - Jest pan, doktorze. Mam

nadzieję, że wybaczy mi pan dzisiejsze

popołudnie. Tak się jakoś wszystko

niefortunnie złożyło. Shannahan, Bussell,

wy dwaj chodźcie ze mną. Reszta

zostaje w łodzi. Panie Ricketts, niech

pan lepiej trzyma się ze dwadzieścia

jardów od brzegu, żeby ich nie kusiło.

Czy zechce mi pan towarzyszyć,

doktorze? Chciałbym kupić trochę

rzeczy. Nie miałem dziś czasu, by posłać

po cokolwiek lepszego niż kawałek

szynki i butelka wina.

Obawiam się, że przez większą część rejsu będzie nam musiało wystarczyć byle co: solona konina i suchary - nasze marynarskie ciasteczka - popłukane wodnistym grogiem. Możemy jednak odświeżyć zapasy w Cagliari. Czy chce pan, żeby marynarz zaniósł pańskie rzeczy do łodzi? Tak przy okazji... -

Aubrey zawiesił głos. Szli razem wąską ulicą, a dwaj marynarze podążali za nimi, nieco z tyłu. -

Zanim zapomnę...

We flocie, z chwilą zatrudnienia kogokolwiek, zwykle wypłaca mu się zaliczkę na poczet przyszłej wypłaty.

Pomyślałem, że nie zechce się pan wyróżniać w tej kwestii i włożyłem do tej oto koperty kilka gwinei...

- Cóż za ludzki przepis - zdziwił się Maturin. - Czy często się z niego korzysta?

- Stale. To stary morski zwyczaj.

- W takim razie - powiedział Stephen, przyjmując kopertę - nie pozostaje mi

nie innego, jak tylko się temu
podporządkować. Oczywiście, że nie
chcę się wyróżniać. Jestem panu bardzo
zobowiązany.

Może rzeczywiście skorzystam z
pomocy jednego z pańskich ludzi.

Wiolonczela to dość duży i nieporęczny
przedmiot. Oprócz tego mam jeszcze
tylko mały kuferek i trochę książek.

- Wobec tego spotkajmy się piętnaście
po siódmej, na schodkach -

zapropował Jack. - Błagam pana,
doktorze, niech pan się szybko uwinie,
bo bardzo nam się śpieszy. Shannahan,
zajmiesz się bagażem doktora. Bussell,
ty pójdziesz ze mną.

Zegar wybił właśnie kwadrans i ostatnie
uderzenie zawisło w powietrzu,
oczekując jakby na nadejście połowy
godziny. Jack wydawał polecenia.

- Proszę położyć kuferek tu z przodu.

Panie Ricketts, niech pan usiądzie teraz
na kufierku. Doktorze, pan niech siada
tutaj i opiekuje się wiolonczelą.

Świetnie. Ruszamy. Obie naprzód i nie chlapać.

Po chwili łódź dotarła do „Sophie”.

Rzeczy doktora razem z ich właścicielem powędrowały przez lewą burtę na pokład. Chodziło o to, by bez zbędnych ceremonii Maturin bezpiecznie znalazł się na okręcie. Marynarze mieli bardzo niskie mniemanie o szczurach lądowych i woleli, by doktor nie wspinał się sam nawet na niziutką burtę brygu. Jack zaprowadził swego gościa do kabiny.

- Proszę uważać na głowę - ostrzegł. -

To niewielkie pomieszczenie należy do pana. Proszę się tutaj rozlokować tak wygodnie, jak to możliwe. Myślę, że wybaczy mi pan skromne powitanie, ale muszę już wracać na górę.

Wyszedł na pokład i zapytał:

- Panie Dillon, czy wszystko w porządku?

- Wszystko w porządku, sir. Zgłosiło się dwanaście statków handlowych.

- Bardzo dobrze. Proszę wystrzelić dla nich z działa i postawić żagle. Wierzę, że uda nam się wyjść z portu na samych bramslach, jeśli utrzymają się resztki bryzy. Obyśmy tylko minęli przylądek, dalej brzeg nie będzie już nas zasłaniał. Może pan stawiać żagle. Potem wachty morskie. To był naprawdę długi dzień, prawda, panie Dillon?

- Bardzo długi, sir.

- W pewnym momencie pomyślałem, że chyba nigdy się nie skończy...

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy zabrzmiały dwie szklanki porannej wachty, „Sophie” żeglowała spokojnie na wschód, dokładnie wzdłuż trzydziestego dziewiątego równoleżnika.

Wiatr wiał z trawersu, lekko od rufy,

lecz płynący pod bramslami bryg

pochylał się bardzo nieznacznie. Z

powodzeniem mógłby nieść i

bombramsle, gdyby wlokące się w

beżładnej grupie na zawietrznej statki

handlowe nie zmuszały do żeglugi w

iście ślimaczym tempie. Zapewne

obawiały się, iż mogłyby przypadkowo

zahaczyć o przecinane linie

południków...

Niebo było wciąż szare i trudno było

powiedzieć, czy jest zupełnie czyste czy

pokryte wysoko chmurami. Morze miało

już jednak ową szczególną, perłową

barwę, bardziej kojarzącą się z dniem

niż z nocą. Wybrzuszone powierzchnie

marsli lśniły, jakby wypolerowane

odbitym od wody światłem.

- Dzień dobry - odezwał się Jack do

żołnierza piechoty morskiej pełniącego

wartę u drzwi.

- Dzień dobry - odpowiedział żołnierz,

salutując.

- Dzień dobry, panie Dillon.

- Dzień dobry, sir. - Porucznik dotknął

kapelusza. Aubrey rozejrzał się dookoła,

sprawdzając stan pogody

i ustawienie żagli. Przez chwilę ważył w

myślach prawdopodobieństwo ładnego

przedpołudnia. Po zaduchu panującym w

kabinie z przyjemnością wdychał
świeże, czyste powietrze. Podszedł do
relingu, stanął przy pustej o tej porze
dnia siatce na hamaki i spojrzął w stronę
eskortowanych jednostek. Wszystkie
były na swoim miejscu, stłoczone na
niewielkiej przestrzeni. To, co
początkowo wziął za odległą latarnię
rufową lub zaskakująco wielkie światło
topowe, okazało się Saturnem,
zawieszonym nisko nad horyzontem i
zaplątanym w takielunek któregoś ze
statków konwoju. Nieco dalej, po
nawietrznej, kilka sennych mew kołysało
się ociężale nad dziwnie pomarszczoną
w tym miejscu wodą - ławica sardynek,
sardeli lub małych garbatych makreli...
Delikatne skrzypienie bloków,
naprężone liny, wypełnione wiatrem
żagle, pochylony pokład i zakrzywiona
lekko linia dział
- wszystko to sprawiło, że sercem Jacka
zawładnęło dziwne uniesienie. Niewiele
brakowało, a z radości podskoczyłby

wysoko.

- Panie Dillon - powiedział, z trudem powstrzymując się, by nie uściskać swego porucznika. - Po śniadaniu przeprowadzimy zbiórkę załogi.

Zastanowimy się też, jak ich zakwaterować i podzielić na wachty.

- Tak jest, sir. Na razie rzeczy nowych leżą przy szóstkach i siódemkach. Nie zostali jeszcze rozlokowani.

- Przynajmniej mamy teraz na pokładzie sporą liczbę ludzi. Możemy bez trudu prowadzić walkę równocześnie na obu burtach, na co niewiele okrętów liniowych może sobie pozwolić...

Jednakże ci nowi przysłani z „Burforda” nie bardzo mi się podobają. Dziwnie wielu wśród nich to ludzie Lorda Majora. Nie ma chyba między nimi nikogo z załogi „Charlotte”.

- Jest jeden. Łysy, z czerwoną chustką dookoła szyi. Był w wachcie żaglowej fokmasztu. Wydaje się wciąż oszołomiony i ogłupiały.

- To rzeczywiście smutne... - Jack

okręcił głową.

- Tak - zgodził się James Dillon. Oczy

porucznika patrzyły w próżnię. Znow

ujrzał strzelający w niebo słup ognia,

płonący od linii wodnej do szczytu

masztów okręt liniowy pierwszej klasy,

z ośmiuset ludźmi na pokładzie. -

Odgłosy pożaru słyhać było wtedy na

milę lub więcej - zaczął opowiadać

przyciszonym głosem. - Co jakiś czas

olbrzymia płachta ognia ulatywała w

górze, trzaskała i łopotała jak gigantyczna

flaga. Pamiętam tamten poranek... Tak

samo spokojny jak dzisiaj. Było może

tylko odrobinę później...

- Rozumiem, że był pan w pobliżu? Czy

wiadomo, co mogło być przyczyną

pożaru? Ludzie mówią o jakiejś

diabelskiej maszynie wniesionej na

pokład przez opłaconych przez Boneya

Włochów.

- Z tego, co słyzałem, pewien głupiec

pozwoił, by siano składowano na

półpokładzie, blisko ognia dla dział
sygnałowych. Wszystko zapaliło się
gwałtownie i od płomienia w mgnieniu
oka zajął się cały grotzagiel. Pożar
wybuchł tak nagle, że nie zdążyli
podebrać gejtaw.

- Czy udało wam się uratować kogoś z
załogi?

- Tak, kilku ludzi. Podjęliśmy z wody
dwóch żołnierzy piechoty morskiej i
artylerzystę z baterii rufowej, który był
bardzo poparzony. Wyłowiono bardzo
niewiele osób, trochę ponad sto. Tak mi
się zdaje. To nie była zbyt udana akcja
ratunkowa, z pewnością nie. Można było
zdziałać znacznie więcej, lecz łodzie
ratunkowe trzymały się z daleka.

- Wszyscy mieli na pewno w pamięci
tragedię „Boyne'a”.

- Tak. To prawda. Działa „Charlotte”
zaczęły strzelać, gdy dotarł do nich
ogień. Wiadomo było, że prochownia w
każdej chwili może wylecieć w
powietrze. Zresztą... Wszyscy

oficerowie, z którymi potem rozmawiałem, mówili dokładnie to samo: nie było nawet mowy o tym, by łodzie podpłynęły bliżej.

Doświadczyłem tego samego z moją załogą. Dowodziłem wynajętym kutrem o nazwie „Dart”...

- Wiem, wiem, słyszałem - przerwał mu Jack, uśmiechając się znacząco.

- ...Tak. Znajdowaliśmy się o trzy mile na zawietrznej i musieliśmy wiosłować, chcąc się tam zbliżyć.

Nie było jednak sposobu, żeby zmusić ludzi do mocnego przyłożenia się do wiosła. Nie pomogłoby nawet bicie końcem liny. Co ciekawe: żaden z nich nie obawiał się ognia artyleryjskiego, wprost przeciwnie. Wszyscy byli doświadczeni i otrzaskani w boju, nawet chłopcy okrętowi. Potrafili dzielnie walczyć, zdobywać baterie brzegowe czy dokonywać abordażu. Działa „Charlotte” nie strzelały wcale do nas, tylko na chybił trafił, same. Na kutrze

panował wtedy szczególny nastrój,
zupełnie inny niż podczas najbardziej
niebezpiecznego wypadu na ląd, we
wstrętnej, ciemnej noc. Niewiele można
zrobić, gdy załoga podświadomie
odmawia współpracy.

- To prawda - przyznał Jack. - Nie
można nikogo zmusić, by z oddaniem
robił coś, na co nie ma ochoty lub z
czym się nie zgadza. To naturalne. -

Mógł kontynuować tę filozoficzną myśl i
dodać, że trudno oczekiwać szczególnej
gorliwości od marynarzy z załogi okrętu
wojennego, wiecznie
niewyspanych, pozbawionych kobiet.

Nie pozwolił sobie na to jednak.

Wiedział aż nazbyt dobrze, że tego
rodzaju uwaga, wypowiedziana na
pokładzie brygu o siedemdziesięciu
ośmiu stopach i trzech calach długości,
stawała się publicznym oświadczeniem.

W zasięgu ręki znajdował się nawigator
wydający komendy na ster i marynarz
stojący za kołem sterowym. Oficer

nawigacyjny odwrócił

właśnie klepsydrę i pierwsze ziarenka
piasku rozpoczęły monotonną wędrówkę
w dół, do pustego naczynia, które przed
chwilą pośpiesznie opuściły.

- George! - zawołał nawigator

przyciszonym głosem (jak zwykle na
nocnej wachcie) i pełniący służbę
żołnierz piechoty morskiej poszedł
prędko na dziób, by wybić trzy szklanki.

Nikt nie mógł mieć najmniejszej
wątpliwości co do koloru nieba. Było
idealnie błękitne, tylko na zachodzie
wciąż jeszcze lekko szarawe.

Jack wszedł na reling nawietrznej burty,
chwycił za wanty i sprawnie ruszył po
wyblinkach w górę.

„Kapitanowi nie bardzo wypada tak
biegać po masztach” - pomyślał.

Zatrzymał się pod marsem, by
sprawdzić, jak dużo zyskać można przy
brasowaniu rej, jeśli uda się nieco
zmienić stałe olinowanie.

„Chcąc wejść wyżej, powinienem chyba

skorzystać z przełazu marsa..." -

zastanawiał się przez chwilę.

Od czasu wynalezienia owych

umieszczanych na pewnej wysokości

dookoła masztu platform,

zwanych marsami, marynarze za punkt

honoru uważali wchodzenie na nie

dziwną i niebezpieczną drogą.

Korzystali w tym celu z podwanteł

łączyjących zewnętrzną krawędź platformy

z umieszczonym poniżej na maszcie

pierścieniem. Przyczepiali się do nich i

wspinali po wyblinkach na górę jak

muchy, odchyleni od pionu o dobre

dwadzieścia pięć stopni. Na marsa

wchodzili, przechodząc przez jego

krawędź, zupełnie ignorując inną,

znacznie wygodniejszą drogę. Wiodła

ona właśnie przez znajdujący się tuż

przy maszcie przełaz, do którego

prowadziły schodzące się tam wanty.

Był to prosty i wygodny sposób, by bez

zbędnego ryzyka dostać się na górę.

Jedyny problem polegał na tym, że to

łatwe przejście nazywano *lubber's hole*.

czyli "dziurą niedorajdy", i niemal nikt z niego nie korzystał.

Wyjątek stanowili ludzie, którzy nigdy

nie byli na morzu lub z racji swego

dostojeństwa nie chcieli ryzykować

niebezpiecznej wspinaczki po

podwantkach. Dlatego, gdy kapitan

wyszedł

niespodziewanie z przełazu, obserwator

pełniący wachtę na marsie głośno

krzyknął z przerażenia.

- Och! Myślałem, że to duch! - zawołał

po polsku.

- Jak się nazywasz, marynarzu? - zapytał

kapitan życzliwie.

- Jackowski, sir - odpowiedział Polak.

- Patrz dalej uważnie na horyzont,

Jackowski... - Aubrey wspinał się już

szybko po stenwantach. Po chwili był na

szczytce masztu. Przełożył ramię przez

wanty bramstengi i usadowił się

wygodnie na salingu. Wiele godzin

spędził kiedyś za karę w tym właśnie

miejscu. Gdy wtedy go tu wysyłano, był

tak małym chłopcem, iż mógł z
łatwością usiąść na środkowej
poprzeczce jarzma, spuścić nogi.
pochylić się do przodu i zasnąć
spokojnie, obejmując stengę masztu
rękoma. Nie przeszkadzały mu szaleńcze
ewolucje, jakie wraz z masztem
wykonywał w przestworzach. Tak
dobrze się tu wówczas spało. Jack stale
był w tamtych dniach senny, głodny albo
i jedno, i drugie. Oczywiście tamten
saling znajdował się znacznie wyżej. Na
starym „Tezeuszu” odległość od pokładu
wynosiła około stu pięćdziesięciu stóp.
Wysoko, prawie pod samym niebem. Jak
tam kiwało! Kiedyś od tego zachorował,
wysłany za karę na maszt. Cały obiad
poleciał wtedy wysoko w powietrze.
Także tutaj, na „Sophie”
saling umieszczony był na dość znacznej
wysokości. Osiemdziesiąt siedem stóp,
odjąć zanurzenie, powiedzmy
siedemdziesiąt pięć... To dawało zasięg
obserwacji od dziesięciu do jedenastu

mil. Jack spojrział na nawietrzną, ponad
ogromną połacią morza. W oddali nie
było widać najmniejszego żagielka,
najdrobniejszej choćby przerwy w
równiutko zarysowanej linii horyzontu.

Bramsel, tuż nad jego głową,
niespodziewanie zalśnił złotem. Na
widnokręgu, dwa rumby na lewo od
dziobu, wynurzył
się z wody oślepiający rąbek słonecznej
tarczy. Ciepłe, jaskrawe promienie
przez chwilę świeciły tylko na niego,
jakby był ich wybrańcem, potem powoli
ześliznęły się na marsel i górny lik
gaflowego grotu, by po chwili zalać cały
pokład, od dziobu do rufy. W oczach
Jacka zakręciły się łzy.

Przeszkadzały w patrzeniu, popłynęły po
policzkach - nie jak maleńkie
strumyczki, lecz każda oddzielnie: po
dwie, po cztery, po sześć. Okrągłe
krople, unoszone na zawietrzną i ginące
gdzieś w jasnym i ciepłym powietrzu.

Schylił się, by spojrzeć pod dolnym

likiem bramsla, i przez chwilę
obserwował płynące w konwoju statki
handlowe: dwie pinasy, dwa brygi,
bałtycki ket i reszta barcalongi.

Wszystkie jednostki były na swoim
miejscu, ostatnia zaczynała stawiać
dodatkowe żagle. Słońce mocno już
przygrzewało i Jack przez chwilę
zamarzył o błogiej bezczynności.

„Nic z tego!” - skarcił sam siebie. Na
dole czekało zbyt wiele nie
załatwionych spraw i rzeczy do
zrobienia. Wydmuchał nos i patrząc na
wyładowanego drewnem keta, sięgnął
ręką w stronę
nawietrznego baksztagu. Dłoń zacisnęła
się bezwiednie, tak odruchowo, jakby
chwycił klamkę drzwi kabiny.

Wprawnie i miękko zsunął się po linie
wprost na pokład. „Najlepszym
rozwiązaniem będzie, jeśli przydzieli
się po jednym poborowym do obsady
każdego z dział” - pomyślał, zjeżdżając.

Cztery szklanki. Mowett wybrał log,

począł, aż czerwony znak przesunie

się do rufy, i zawołał:

- Teraz!

- Stop! - krzyknął oficer nawigacyjny w

dwadzieścia osiem sekund później. Tuż

przy oku trzymał

mały zegar piaskowy. Mowett zatrzymał

linę, niemal dokładnie na trzecim węźle,

wyjął zatyczkę i zbliżył się do tabliczki,

by zapisać kredą prędkość: trzy węzły.

Nawigator podszedł szybko do dużej

klepsydry wachtowej, odwrócił ją i

zawołał głośno:

- George!

Żołnierz piechoty morskiej ruszył na

dziób i energicznie wybił cztery

szklanki. W chwilę później rozpętało się

piekło. Piekło w opinii Stephena

Maturina, który po raz pierwszy w życiu

otworzył oczy obudzony tak

przeraźliwymi, pozbawionymi wszelkiej

harmonii dźwiękami. To bosman i jego

pomocnicy gwizdali na piszczałkach

sygnał „Zwijać hamaki”. Rozległ się

tupot stóp i jakiś niesamowity głos

zawołał:

- Pobudka! Ahoj wszyscy. Wstawaj albo

polecisz na dół! Wstawaj albo na dół!

Obudź się! Dalej! Z

życiem! Ruszać się! Pokaż nogę!

Wstawaj albo na dół! Mam naprawdę

ostrzy nóż!

Doktor usłyszał trzy głucho uderzenia o

deski, gdy hamaki trzech zaspanych

poborowych zostały bezceremonialnie

odcięte. Rozległy się przekleństwa,

śmiech, słychać było odgłosy uderzeń.

To pomocnik bosmana końcem liny

dobudzał sennego i nieprzytomnego

marynarza. Stopy zadudniły jeszcze

głośniej, gdy pięćdziesięciu czy

sześćdziesięciu ludzi rzuciło się do

zejściówek, by wynieść na pokład i

ułożyć w siatkach hamaki.

Na pokładzie podwachta fokmasztu

wprawiała w ruch bulgoczącą i sapiącą

głośno pompę z pnia wiązu.

Podwachta dziobowa szorowała i

spłukiwała morską wodą forkasztel,
podwachta grotmasztu zajęła się prawą
częścią pokładu rufówki. a podwachta
rufowa resztą. Ludzie cegiełkowali
deski zawzięcie, aż wymieszana z
drobniutkimi trocinami woda zaczęła
przypominać rozcieńczone mleko.

Chłopcy

okrętowi i daymani - marynarze
dniówkowi, okrętowe nieroby -
obsadzili pompę zęzową i rozpoczęli
wypompowywanie za burtę wody. która
przez noc zebrała się na dnie.

Podwładni artylerzysty zajęli się
czternastoma czterofuntowymi działami.

Żaden z towarzyszących temu odgłosów
nie był jednak tak elektryzujący, jak
tupot galopujących po pokładach stóp.

„Czy coś się stało?” - myślał Stephen
gorączkowo, próbując możliwie szybko
wygramolić się z wiszącej koi. -

„Czyżby za chwilę miała rozpocząć się
bitwa morska? A może na pokładzie
wybuchł

pożar? Może jakiś groźny przeciek?

Pewnie wszyscy są tak bardzo tym

zaabsorbowani, że zupełnie o mnie

zapomnieli". Najszybciej, jak potrafił,

wskoczył w spodnie i prostując się,

uderzył z całej siły głową w poprzeczną

belkę. Zamroczony zachwiał się na

nogach i bezwładnie usiadł na szafce

stojącej obok koi, zakrywając dłońmi

czoło. Ktoś mówił coś do niego.

- Przepraszam, proszę powtórzyć -

powiedział, z trudem otwierając oczy.

- Pytałem, czy nie uderzył się pan w

głowę, sir?

- Uderzyłem się. I to mocno... - Stephen

spojrzał na swe dłonie i ze zdumieniem

nie dostrzegł na nich najmniejszego

choćby śladu krwi.

- Tak to bywa z tymi belkami, sir -

mówił steward zaskakująco powoli i

wyraźnie, tym szczególnym pouczającym

tonem, którym na morzu zwykle

zwracano się do szturów lądowych, a

na lądzie do półgłupków. - Musi pan na

nie uważać. Są - naprawdę - bardzo -
nisko. - Dopiero nieprzyjazne spojrzenie
doktora przypomniało mówiącemu, po
co przyszedł. - Czy ma pan ochotę na
kotlecik lub dwa na śniadanie? Może
befsztyk? Zabiliśmy wołu w Mahon i
mamy wspaniałe steki...

- Wstał pan, doktorze! - zawołał Jack. -

Dzień dobry. Jak się spało?

- Znakomicie, dziękuję. Te wiszące koje
to doskonały wynalazek.

- Co chciałby pan na śniadanie? Na
pokładzie poczułem z mesy oficerskiej
wspaniały zapach smażonego boczku.

Nigdy w życiu nie wahałem czegoś
równie smakowitego. Cóż pan powie na
jajecznice na boczku i mały befsztyczek?

Do tego oczywiście kawa?

- Czyta pan w moich myślach, kapitanie

- ucieszył się Stephen. W kwestii

jedzenia wciąż musiał

jeszcze sporo nadrobić. - Nie miałbym
też nic przeciwko cebuli. To doskonały

środek przeciwko skorbutowi. - Sama

myśl o cebuli sprawiła, że poczuł w
nozdrzach jej kuszący zapach i
niepowtarzalny smak w ustach. Głośno
przełknął ślinę. - Co się stało? -
zaniepokoił się, gdyż na pokładzie znów
rozległ się przeraźliwy świst i
pośpieszny tupot stóp.

- Załoga udaje się na śniadanie -
wyjaśnił Jack beztrąsko. - Zajmij się
tym boczkiem, Killick. I kawą.
Jestem wykończony.

- Naprawdę się wyspałem - rzekł
Stephen. - To był głęboki, regenerujący
siły i umysł sen. Nie można go w żaden
sposób porównać z najgłębszą hipnozą
czy letargiem po laudanum. Przykro mi
jednak z powodu mojego wyglądu.

Zaspałem i nie zdążyłem się nawet umyć
i ogolić, podczas gdy pan,
kapitanie, wygląda jak nowożeniec na
minutę przed ślubem. Proszę mi
wybaczyć na moment.

Gdy wyszedł ze swej kabiny, był już
ogolony.

- Pewien człowiek z Haslar, który wynalazł nowoczesną metodę zszywania ran, był właśnie chirurgiem okrętowym. Pomyślałem o nim, przesuwając ostrzem brzytwy po swojej tchawicy. Przy wzburzonym morzu musicie chyba mieć wiele szokujących ciętych ran...?

- Raczej nie. Skądże - odparł Jack. -

Wydaje mi się, że to kwestia przyzwyczajenia. Może kawy? Jeśli chodzi o dolegliwości, to na okrętach przeważają nadwerężone brzuchy... Nie pamiętam w tej chwili, jak to się fachowo nazywa... I syfilis.

- Przepuklina? Zaskakuje mnie pan.

- Właśnie, przepuklina. Zdarza się naprawdę często. Proszę sobie wyobrazić, że na okrętach połowa daymanów cierpi z tego powodu. Dlatego otrzymują lżejsze zajęcia.

- No cóż, to nic dziwnego, jeśli pomyśli się, jak ciężka jest praca marynarzy. Z kolei ich rozrywki niosą z sobą ryzyko

zachorowania na kiłę. Pamiętam, że w Mahon widziałem, jak się bawili, uniesieni, radośni... Śpiewali wesoło i tańczyli ze smutnymi dziewczętami w brudnych sukniach. To byli chyba ludzie z okrętów „Audacious” i „Phaeton”, o ile dobrze pamiętam. Nie przypominam sobie nikogo z „Sophie”.

- To prawda. Członkowie załogi naszego okrętu bardzo spokojnie zachowywali się na lądzie. Po prostu nie mieli powodu do szczególnej radości. Nie było przyzów, a co za tym idzie, nie było też pieniędzy. Tylko pieniądze za zdobyte łupy sprawiają, że marynarz chętnie wybiera się na brzeg. Żołd jest śmiesznie mały. Co by pan teraz powiedział na befsztyk i kolejną filiżankę kawy?

- Byłbym zachwycony.

- Mam nadzieję, że przy obiedzie będę miał okazję przedstawić panu mojego porucznika. Wydaje się dobrym żeglarzem i prawdziwym dżentelmenem.

Mamy wraz z nim sporo zajęć dziś rano.

Musimy zebrać załogę, podzielić ją na wachty i zakwaterować. Powinienem też znaleźć panu służącego i sobie ordynansa. Potrzebuję także sternika łodzi. Myślę, że kucharz z mesy oficerskiej byłby pierwszorzędnym kandydatem.

- Przeprowadzimy teraz zbiórkę załogi, panie Dillon - polecił Jack.

- Panie Watt... - zwrócił się James

Dillon do bosmana. - Cała załoga na zbiórkę.

Bosman zagwizdał na piszczałce, a jego pomocnicy pobiegli na dół, krzycząc głośno.

- Zbiórka! Wszyscy na pokład!

Przestrzeń między grotmasztem i forkasztem wypełniła się ludźmi. Byli tu wszyscy, nawet kucharz, który wytarłszy ręce w fartuch, poskładał go i schował pod koszulę. Stali raczej niepewnie, na lewej burcie, podzieleni na dwie wachty. Nowo zamustrowani

skupili się w oddzielną grupkę pomiędzy obiema wachtami. Wydawali się bardzo zaniedbani, opuszczeni i żalosni.

- Wszyscy na zbiórce, sir - zameldował Dillon, zdejmując kapelusz.

- Bardzo dobrze. Proszę przeprowadzić apel. Popchnięty przez ochmistrza klerk podał porucznikowi księgę zaciągu załogi. Dillon zaczął głośno odczytywać nazwiska.

- Charles Stallard!

- Jestem, sir! - zawołał starszy marynarz, ochotnik z „St Fiorenzo”, zaokrętowany na „Sophie”

szóstego maja 1795 roku, w wieku dwudziestu lat. Przy jego nazwisku nie było żadnych wpisów o naruszeniu dyscypliny, chorobach wenerycznych czy pobytach w okrętowym lazarecie.

Niedawno otrzymał z zagranicy przekaz na dziesięć funtów. Bez wątpienia wartościowy członek załogi.

Przeszedł na prawą burtę.

- Thomas Murphy!

- Jestem, sir! - Thomas Murphy zgłosił

się i dotknął czoła kłykiem palca

wskazującego prawej ręki.

Przeszedł na prawo, do Stallarda. Ten

sam gest powtarzali wszyscy następni,

aż do chwili, gdy James Dillon wywołał

nazwiska Assei i Assou. Ci dwaj nie

mający imion marynarze, urodzeni w

Bengalu, pomimo wielu lat służby w

Royal Navy dotykali najpierw dłonią

czoła, a następnie trzymając rękę na

sercu, kłaniali się szybko. Ciekawe,

jakie to wiatry przyniosły ich aż na

pokład „Sophie”?

- John Codlin. William Witsover.

Thomas Jones. Francis Lacanfra. Joseph

Bussell. Abraham Vilheim.

James Courser. Peter Peterssen. John

Smith. Giuseppe Laleso. William

Cozens. Lewis Dupont.

Andrew Karouski. Richard Henry... -

padały kolejno nazwiska z listy.

Wreszcie wywołani zostali wszyscy, na

końcu nowo zaokrętowani i chłopcy

okrętowi. Nie odpowiedzieli jedynie

chory

artylerzysta oraz niejaki Isaac Wilson.

Łącznie załoga brygu liczyła

osiemdziesiąt dziewięć dusz, wliczając

w to oficerów, marynarzy, chłopców i

żołnierzy piechoty morskiej.

Teraz rozpoczęło się odczytywanie

przepisów prawa wojennego - *Articles*

of War. Ceremonia ta często połączona była z nabożeństwem i tak bardzo się z

nim kojarzyła, iż twarze większości

marynarzy natychmiast spobożniały, gdy

rozległy się słowa:

- „Dla lepszego kierowania marynarką

wojenną, okrętami i siłami morskimi, od

których przy boskiej opiece Opatrzności

głównie zależy dobrobyt,

bezpieczeństwo i siła królestwa, Jego

Królewska Wysokość, za radą oraz

przyzwoleniem stałych i czasowych

członków Izby Lordów, a także Izby

Gmin zebranego tu właśnie parlamentu,

na podstawie władzy tegoż niniejszym

postanawia, iż od dnia dwudziestego

piątego grudnia roku tysiąc siedemset
czterdziestego dziewiątego przepisy i
zalecenia dalej następujące, zarówno w
czasie wojny, jak i pokoju, powinny być
właściwie przestrzegane i wprowadzane
w życie, w sposób poniżej
przedstawiony". - Ów wyraz

uduchowienia trwał

niezmiennie, gdy Dillon czytał dalej: -

„Wszyscy admirałowie i wszyscy

znajdujący się na okrętach wojennych

lub należący do ich załóg winni

złamania przysięgi, przekleństw,

złorzeczenia, pijaństwa, nieczystości lub

innego skandalicznego zachowania

zostaną odpowiednio ukarani przez sąd

wojenny".

- Spokoju ducha marynarzy nie zwały

nawet powtarzające się echem słowa:

„podlegać będzie karze śmierci..." -

„Każdy admirał, kapitan i dowódca

okrętu wojennego, który nie... zachęci

oficerów i ludzi, by walczyli z odwagą,

podlegać będzie karze śmierci... Jeśli

ktokolwiek zdradziecko lub tchórzliwie
podda się bądź poszuka schronienia i
zostanie to potwierdzone wyrokiem sądu
wojennego, podlegać będzie karze
śmierci... Każdy, kto na skutek
tchórzostwa podczas boju odmówi
walki lub ustąpi pola, podlegać będzie
karze śmierci... Kto w wyniku
tchórzostwa, niedbalstwa lub braku
gorliwości zrezygnuje z pościgu za
wrogiem, piratem lub buntownikiem,
pokonanym lub
uciekającym... podlegać będzie karze
śmierci... Jeśli oficer, marynarz lub
żołnierz pełniący służbę we flocie
uderzy któregoś ze swych przełożonych
oficerów, jeśli wydobędzie lub
podniesie jakąkolwiek broń lub tylko nią
zagrozi... podlegać będzie karze
śmierci... Jeżeli ktokolwiek popełni
nienaturalny i obrzydliwy grzech
nieczystego stosunku, sodomii, z
człowiekiem lub zwierzęciem, zostanie
skazany na śmierć". - Kara śmierci

pojawiła się bez przerwy i nawet jeśli
coś było niezrozumiałe, śmierć miała
zawsze owo niezwykle, ostateczne i
nieodwołalne znaczenie. Sprawiało to
członkom załogi szczególną, ponurą
przyjemność. Byli do tego
przyzwyczajeni. Dokładnie te same
słowa słyszeli w każdą pierwszą
niedzielę miesiąca i przy
nadzwyczajnych okazjach, takich jak
dzisiejsza. Łatwiej było im żyć, właśnie
tego potrzebowali. Gdy wachta
odpoczywająca została wreszcie
odesłana z powrotem pod pokład,
wszyscy wydawali się o wiele bardziej
spokojni i ułożeni.

- Bardzo dobrze - powiedział Jack,
rozglądając się dookoła. - Proszę dać
sygnał numer dwadzieścia trzy, dwoma
działami na zawietrzną. Panie Marshall,
postawimy sztaksle. a gdy tylko zobaczy
pan, że tamta pinasa nadaża za resztą
konwoju, proszę postawić bombramsle.
Panie Watt, niech żaglomistrz i jego

ludzie wezmą się zaraz do pracy przy
grocie rejonowym. Proszę też przysyłać
wszystkich nowych marynarzy
pojedynczo na rufę. Gdzie jest klerk?
Panie Dillon, musimy uporządkować te
raporty.

Panie Maturin, proszę mi pozwolić
przedstawić sobie moich oficerów...

Dopiero teraz, po raz pierwszy na
„Sophie”, Stephen i James stanęli ze
sobą oko w oko. Jednak Maturin
dostrzegł płonącą rudą grzywę
porucznika już wcześniej, na pokładzie,
i był na to spotkanie w znacznym stopniu
przygotowany. Pomimo to przeżył
wstrząs na widok dawnego znajomego.

Twarz doktora w mgnieniu oka
przybrała wyraz skrywanej agresji i
chłodnej powściągliwości. Dla Jamesa
Dillona było to jeszcze większym
przeżyciem. W pośpiechu i zamieszaniu
ostatnich dwudziestu czterech godzin nie
miał okazji usłyszeć nazwiska nowego
lekarza okrętowego. Jednakże poza

lekkim rumieńcem nie widać było po nim szczególnych emocji.

- Może miałby pan ochotę obejrzeć okręt, podczas gdy my obaj z panem Dillonem zajmujemy się tymi raportami?

- zapytał Jack, gdy wszyscy zostali sobie przedstawieni. - Czy raczej woli pan pójść do kabiny?

- Nic nie sprawiłoby mi tak wielkiej przyjemności, jak zwiedzanie okrętu.

Naprawdę - zapewnił

Stephen gorliwie. - Co za elegancka płatanina... - Jego głos uleciał z wiatrem.

- Panie Mowett, niech pan będzie tak uprzejmy i pokaże panu Maturinowi wszystko, co zechce zobaczyć. Proszę zabrać naszego gościa na marsa grotmasztu. To niezwykle interesujące miejsce.

Chyba nie ma pan lęku wysokości, doktorze?

- Och, nie... - odparł Stephen, rozglądając się niepewnie dookoła. -

Raczej nie.

James Mowett był prawie

dwudziestoletnim młodzieńcem o

zwalistej sylwetce. W spodniach z

żaglowego płótna i zrobionej na drutach

pasiastej koszuli z Guernesey dziwnie

przypominał gąsienicę.

Na jego szyi wisiał marszpikiel - młody

oficer wachtowy miał zamiar przyłączyć

się do ludzi żaglomistrza. Zaskoczony

niewiele poleceniem, spojrzał uważnie na

Stephena, próbując odgadnąć, z kim

wypadło mu mieć do czynienia. Skłonił

się nisko, z ową szczególną

uprzejmością i naturalną elegancją

właściwą wielu marynarzom.

- Proszę bardzo, sir. Od czego chce pan

zacząć? - zapytał grzecznie. - Czy

pójdziemy od razu na maszt? Widać

stamtąd cały pokład.

Słowa „cały pokład” oznaczały dziesięć

jardów desek w stronę rufy i szesnaście

w stronę dziobu.

Można je było dokładnie obejrzeć, nie

ruszając się o krok z miejsca, w którym
stali. Stephen odparł

jednak:

- Chodźmy na górę. Niech pan prowadzi,
a ja będę się starał naśladować pańskie
ruchy najlepiej, jak potrafię.

Patrzył uważnie, jak Mowett wspina się
po wyblinkach, i ruszył za nim, myśląc
zupełnie o czymś innym. Obaj z

Jamesem Dillonem należeli do
organizacji Zjednoczonych

Irlandczyków, która w ciągu ostatnich
dziewięciu lat przechodziła rozmaite

koleje losu. Raz była otwartym,
publicznym stowarzyszeniem

nawołującym do równouprawnienia
prezbiterian, protestantów wszelkich

wyznań oraz katolików i do powołania
przedstawicielskiego rządu Irlandii.

Innym razem stanowiła wyjęty spod
prawa tajny związek, później

uczestniczyła jako grupa zbrojna w
jawnej rebelii. W końcu stała się garstką
pokonanych i ściganych niedobitków.

Powstanie zostało zdławione.

Towarzyszyły temu normalne w takich przypadkach okropieństwa i pomimo generalnej amnestii życie najważniejszych członków organizacji nadal było zagrożone. Wielu z nich zostało zdradzonych - lord Edward Fitzgerald na samym początku - wielu innych zaś zrezygnowało z dalszej działalności, nie ufając nawet swoim najbliższym. Wydarzenia, do jakich doszło, podzieliły bowiem całe społeczeństwo i naród w najbardziej przerażający sposób. Stephen Maturin nie bał się podłej zdrady. Nie obawiał się też o swoją skórę, ponieważ zbytnio jej nie cenił. Wycierpiał jednak tak wiele, doznał tak licznych upokorzeń, doświadczył tyle nienawiści w związku z upadkiem powstania, iż nie potrafił teraz znieść dalszych rozczarowań, wzajemnego obwiniania się. Nie chciał, by kolejny przyjaciel okazał się wrogiem. W organizacji zawsze ścierały

się różne poglądy. Gdy w końcu legła w gruzach, gdy jej członkowie stracili ze sobą kontakt, trudno było powiedzieć, jakie kto ma poglądy.

Maturin nigdy nie obawiał się o swoją skórę, nigdy nie troszczył się o siebie, lecz teraz, w połowie wiat, opanowało go narastające przerażenie. Czterdzieści stóp to niezbyt wielka wysokość, lecz wydaje się o wiele bardziej niebezpieczna, gdy wchodzi się po czymś tak niepewnym, jak poruszające się linki. Na dodatek, gdy był już w dwóch trzecich drogi, okrzyki „obkładać!” oznajmiły, iż sztaksle zostały postawione, a ich szoty wybrane. Kolejne żagle wypełniały się wiatrem i „Sophie” jeszcze bardziej pochyliła się na zawietrzną. Dochodziło do tego kołysanie okrętu, tak że krawędź burty uciekła oczom patrzącego w dół Maturina. Jej miejsce, daleko w dole, zajęła rozległa tafla lśniącej wody. Ręce doktora zacisnęły się kurczowo na

wyblinkach. Zatrzymał się w miejscu i wisiął z rozstawionymi szeroko nogami. Siły grawitacji i bezwładności mieszały się z irracjonalną paniką oraz kompletnym przerażeniem. Bezlitośnie przygniatały uczone lin ciało Stephena do wyblinek i want albo szarpały nim w tył, próbując go oderwać - tak samo wiatr targa powieszoną do wyschnięcia koszulę.

Ktoś zsunął się po baksztagu tuż obok, czyjeś ręce chwyciły go za kostki i odezwał się wesoły głos Mowetta:

- Teraz, sir. Na fali. Niech pan chwyci się wyblinek nad głową i nie patrzy w górę. O tak. Świetnie. -

Prawa stopa doktora została przeniesiona na następną wyblinkę, potem lewa... Wreszcie, po kilku gwałtowniejszych przechyłach, podczas których zamykał oczy i wstrzymywał oddech, był następną osobą, która dziś skorzystała z przełazu marsa. - To jest mars grotmasztu, sir... - Mowett starał

się nie dostrzegać oplakanego stanu, w jakim znajdował się jego podopieczny. -

Na fokmaszcie też

oczywiście jest mars, o tam...

- Jestem panu niezwykle wdzięczny za

pomoc przy wchodzeniu na górę -

odezwał się Stephen. -

Dziękuję.

- Och, sir - rzekł Mowett. - Naprawdę

nie ma za co... A ten żagiel poniżej nas

to grotsztaksel, właśnie go postawili.

Tam z przodu jest forsztaksel. Używa się

go tylko na okrętach wojennych.

- To te trójkąty? Dlaczego mówi się na

nie sztaksle? - Maturin zadał pierwsze

lepsze pytanie, jakie przyszło mu do

głowy.

- Nazywają się tak, ponieważ stawia się

je na sztagach. Przesuwają się po linach

na tych pierścieniach, nazywanych na

morzu raksami. Kiedyś używaliśmy

grumotów, ale rok temu, koło Kadyksu,

wymieniliśmy je na raksy, które spisują

się znacznie lepiej. Sztagi to tamte grube

liny, biegnące od masztu skośnie na dół,
dokładnie w kierunku dziobu.

- Te liny służą, jak się domyślam, do
stawiania żagli?

- Rzeczywiście, sir. Właśnie na nich
stawia się sztaksle, lecz ich
najważniejszym przeznaczeniem jest
podtrzymywanie masztów od przodu. W
przeciwnym razie maszty mogłyby
upaść, na przykład przy wzdłużnym
kołysaniu.

- To maszty potrzebują jeszcze jakichś
wzmocnień? - zapytał Stephen z
niedowierzaniem, dotykając kolejno
płaskiego topu kolumny masztu i
zaokrąglonej pięty stengi. Każda z tych
pionowych, połączonych ze sobą
równoległe belek miała prawie półtorej
stopy średnicy. - Nigdy bym nie
pomyślał...

- Boże, sir. Inaczej maszty wyleciałyby
za burtę. Wanty usztywniają je z boków,
sztagi z przodu, a baksztagi... o te, tutaj...
z tyłu.

- Tak, teraz rozumiem. Proszę mi jeszcze powiedzieć, do czego służy platforma, na której się znajdujemy? - zagadnął Stephen, chcąc za wszelką cenę skłonić młodego człowieka, by dalej mówił. -

I dlaczego maszt jest w tym miejscu złożony z dwóch części? Do czego służy ten młot?

- Czemu służy mars, sir? No cóż, oprócz tego, iż ułatwia pracę przy takielunku oraz wchodzenie i wnoszenie ciężarów na maszt, jest także doskonałym miejscem dla strzelców podczas bitwy.

Znajdujący się tutaj żołnierze mogą strzelać w dół na pokład nieprzyjacielskiego okrętu, zrzucać granaty i pojemniki ze zrącymi substancjami. Do brzegów marsa mocowane są też te oto jufersy, które służą do naprężania stenwant. Mars stanowi również szeroką na prawie dziesięć stóp podstawę, dzięki której stenwanty mogą właściwie spełniać swoją usztywniającą funkcję. Podobnie

ma się sprawa wyżej. Znajdujący się tam saling jest z kolei punktem zaczepienia dla bramwant. Widzi pan saling? O tam, gdzie siedzi obserwator, powyżej rei marsła.

- Wydaje mi się, że nie potrafiłby pan wyjaśnić przeznaczenia całej tej masy lin i drzewiec bez posługiwania się morskim słownictwem. To chyba byłoby niemożliwe.

- Bez morskiego słownictwa? Ciężko by mi było, lecz jeśli pan chce, mogę spróbować.

- Nie, nie trzeba. Pewnie tylko dzięki tym specjalnym nazwom udaje się rozróżnić poszczególne rzeczy. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Marsy na „Sophie” wyposażone były w metalowe słupki do mocowania specjalnych siatek, które wypełnione hamakami chronić miały przebywających tutaj podczas bitwy żołnierzy. Stephen usiadł

między dwoma takimi słupkami,
obejmując każdy z nich mocno
ramieniem i zwieszając nogi w dół.
Poczuł się nareszcie względnie
bezpieczny, znalazłszy solidne oparcie
dla rąk i czując grube deski pod
siedzeniem. Słońce wspięło się już
wysoko. Na pokładzie w dole widniał
skomplikowany wzór ponakładanych na
siebie cieni i półcieni. Geometryczny
porządek linii i figur burzyła jedynie
bezkształtna plama grotzągła
rozłożonego przez ludzi żaglomistrza na
forkasztelu.

- Weźmy dla przykładu tamten maszt. -

Doktor wskazał głową w stronę dziobu,
gdyż Mowett nie chciał mówić zbyt
wiele. - Czy potrafiłby pan podać mi
nazwy najważniejszych elementów od
dołu aż do samej góry?

- Oczywiście. To fokmaszt, sir. Dolną
jego część nazywamy kolumną masztu
lub po prostu
fokmasztem. Kolumna naszego fokmasztu

ma czterdzieści dziewięć stóp długości i osadzona jest w następce, na dnie okrętu. Z obu stron maszt usztywniają wanty, po sześć na każdej burcie. Z przodu podtrzymuje go sztag, biegnący w dół do bukszprytu. Równolegle przebiega drugi sztag, dodatkowy, na wypadek zerwania się pierwszego.

Dalej, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości fokmasztu, znajduje się pierścień, do którego mocowany jest grotsztag, czyli sztag kolumny grotmasztu. Drugi koniec tego sztagu mieści się tuż pod nami. Jest to więc element olinowania stałego masztu, na którym przebywamy.

- Ach! Czyli to jest właśnie grotsztag? - zapytał Stephen, patrząc obojętnie we wskazanym przez Mowetta kierunku. - Gdzieś już wcześniej słyszałem tę nazwę. Solidna lina, trzeba przyznać.

- Dziesięć cali średnicy, sir - zaznaczył młody człowiek z dumą. - A sztag dodatkowy ma siedem.

Wróćmy jednak do tamtego masztu...

Poprzeczne drzewce powyżej

pierścienia, o którym

wspominałem, to fokreja. Zanim przejdę

do rej, skończę najpierw mówić o

masztach... Czy widzi pan marsa

fokmasztu? Jest podobny do tego, na

którym właśnie przebywamy. Mars leży

na wzdłużnicach i poprzeczkach jarzma

stengi, stanowiącej przedłużenie

kolumny masztu. Stenga to długie,

cieńsze nieco drzewce powyżej marsa.

Tak samo na fokmaszcie, jak i tutaj.

Niech pan spojrzy. Wciągamy je tu na

górze i mocujemy do kolumny masztu,

podobnie jak żołnierz zakłada bagnet na

lufę karabinu.

Stenga przechodzi przez jarzmo i gdy jej

pięta znajduje się na właściwej

wysokości, wbijamy zatyczkę w

specjalny otwór, robimy to młotem, o

który był pan uprzejmy zapytać. Potem...

- wyjaśnienia potoczyły się wartko

dalej.

„Pięta sztagu umocowana do jednego
masztu, a podstępka stengi do drugiego”

- pomyślał Maturin.

Był już trochę znudzony.

- ...Również stenga ma swój sztag,

forstensztag, biegnący w dół, do

bukszprytu. Jeśli wychyli się pan trochę,

o tak, zobaczy pan róg postawionego na

tym sztagu kliwra.

Głos podchorążego powoli stawał się

bezbarwnym tłem dla myśli Stephena.

Nagle doktor zdał sobie sprawę z tego,

iż jego przewodnik wyczekująco

zawiesił głos. Przed chwilą padły

słowa: „wychylić się”, „sztag” i

„kliwer”.

- Rzeczywiście - powiedział obojętnie. -

A jaka jest długość tej... stengi?

- Trzydzieści dziewięć stóp, sir. Tyle

samo mierzy stenga grotmasztu. Dalej,

powyżej marsa fokmasztu, umieszczony

jest pierścień, do którego biegnie

grotstensztag, czyli sztag stengi

grotmasztu.

Drugi koniec tego sztagu jest umocowany pod salingiem, ponad naszymi głowami. Również na fokmaszcie znajduje się saling, utworzony przez wzdłużnice i poprzeczki jarzma bramstengi. Tam siedzi następny pełniący służbę na oku marynarz. Fokbramstenga to najwyższa część przedniego masztu. Mocowana jest w identyczny sposób, tyle że jej wanty są delikatniejsze. Jej sztag prowadzi do stengi bukszprytu... Czy widzi pan to drzewce? Przedłuża bukszpryt... Długość stengi wynosi dwadzieścia trzy stopy i sześć cali. Mówię to o fokbramstendze, nie o stendze bukszprytu. Ta mierzy dwadzieścia trzy stopy.

- To wielka przyjemność słyszeć kogoś, kto tak doskonale zna się na rzeczy. Jest pan niezwykle dokładny.

- Och, chciałbym, aby kapitanowie powiedzieli to samo - rzekł Mowett. -

Gdy tylko zawiniemy do Gibraltaru, po

raz kolejny przystąpię do egzaminu na stopień porucznika. W komisji egzaminacyjnej zasiada trzech starszych kapitanów. Ostatnio jeden z nich, szczególnie złośliwy, zapytał mnie, ile sążni liny potrzeba dla wieloramiennika tentowego, i jak długa jest łata z otworami na linki wieloramiennika. Teraz umiałbym mu odpowiedzieć: potrzeba pięćdziesiąt sążni liny o średnicy trzy czwarte cala, choć nigdy bym nie przypuszczał, a długość łaty z otworami wynosi czternaście cali.

Potrafiłbym podać mu dziś rozmiary wszystkiego, co tylko da się zmierzyć, oprócz naszej nowej grotrei. Zmierzę ją jednak dzisiaj, przed obiadem. Chciałby pan poznać kilka ciekawszych wymiarów, sir?

- Chętnie. Bardzo mnie to interesuje.

- Proszę bardzo. Stępka „Sophie” ma pięćdziesiąt dziewięć stóp długości.

Pokład działowy: siedemdziesiąt osiem

stóp i trzy cale. Wysokość od stępki do pokładu to dziesięć stóp i dziesięć cali.

Bukszpryt mierzy trzydzieści cztery stopy. Wysokości masztów już panu podałem, oprócz chyba grotmasztu, który jest wysoki na pięćdziesiąt sześć stóp.

Długość rei grotmarsla, tuż nad nami, to trzydzieści jeden stóp i sześć cali. Reja grotbramsla, ta trochę wyżej, jest długa na dwadzieścia trzy stopy i sześć cali.

Reja bombramsla, na samej górze, ma piętnaście stóp i dziewięć cali. Jeśli chodzi o borny i gafle... Powinienem jednak w pierwszej kolejności pokazać panu wszystkie reje, prawda?

- Chyba tak.

- To nie. Jest tak bardzo skomplikowane, przekona się pan.

- Z przyjemnością posłucham.

- Zaczniemy od dziobu. Widzi pan reję pod bukszprytem? Stawiamy na niej, pod stengą bukszprytu, dodatkowy prostokątny żagiel. Dalej, zaczynając od pięty fokmasztu, pierwsza reja na dole to

fokreja, a rozpięty na niej duży żagiel to fok. Wyżej jest fokmarsreja, czyli reja fokmarsła, nad nią fokbramreja służąca do stawiania fokbramsła i na samej górze, ze zwiniętym żaglem, reja fokbombamsła, czyli fokbombamreja.

Podobnie ma się sprawa z rejami na grotmaszcie, tyle że na początku pełnej nazwy każdej z nich, w miejsce słówka „fok”, należy wstawić słowo „grot”. Jest tylko taka różnica, że na grotrei pod nami nie ma w tej chwili żagła. Ten żagiel to grot i mówiąc o nim, powinno się zaznaczyć, że to grot rejowy, ponieważ przy takim jak nasz rodzaju ożaglowania okręt może nieść dwa różne groty: rejowy i gafłowy. Gafłowy to taki jak ten za nami, rozpięty na dwóch drzewcach umocowanych jednym końcem do masztu. Dolne to bom, a górne gafel. Bom ma czterdzieści dwie stopy i dziewięć cali długości, a średnicę dziesięć i pół cala.

- Dziesięć i pół cala? Coś podobnego! -
„Jakże głupio postąpiłem, udając, że nie

znam Jamesa Dillona.

To było dziecinne, typowe w podobnych przypadkach i bardzo niebezpieczne".

- Na koniec zostały nam jeszcze żagle boczne. Stawiamy je tylko wówczas, gdy wiatr wieje z rufy.

Rozpinane są przy bocznych likach żagli rejowych, na wytykach mocowanych do rej specjalnymi okuciami. Bardzo dobrze to stąd widać... A lik to po prostu krawędź żagla.

- Co tam się dzieje?

- Bosman daje sygnał do stawiania żagli.

Za chwilę rozwiną bombramsle. Proszę stanąć tutaj, sir, w przeciwnym razie ludzie z podwachtu żaglowej zaraz pana rozdepczą.

Stephen z ledwością zdążył zejść z drogi przechodzącym pośpiesznie przez krawędź marsa młodym marynarzom i chłopcom okrętowym, którzy ścigając się, popędzili w górę po stenwantach.

- Za chwilę, sir, oczywiście dopiero na rozkaz, zrzucą żagiel, zwinięty teraz na

rei. Ludzie na pokładzie zaczęli
wybierać najpierw szot zawietrzny,
ponieważ wiatr im w tym będzie
pomagał i wybieranie pójdzie łatwiej.
Następnie wybrany zostanie szot
nawietrzny. Gdy tylko marynarze zejść z
rei, wybiorą topenanty i podniosą je do
góry. To są szoty, przechodzą przez
znaczone na biało bloki. A to są
topenanty.

W chwilę później bombramsle
wypełniły się wiatrem. Przechył wzrósł
i szum wiatru w takielunku stał
się nieco głośniejszy. Marynarze zeszli z
masztu znacznie spokojniej, niż na niego
wchodzili; okrętowy dzwon uderzył
cztery razy.

- Proszę mi jeszcze powiedzieć, co to
jest bryg? - Stephen spojrzał w dół za
schodzącymi, wyraźnie mając ochotę
pójść w ich ślady.

- „Sophie” jest brygiem, chociaż
mówimy na nią słup.

- Dziękuję panu. A co oznaczają te

gwizdki na dole?

- To tylko bosman. Zwołuje ludzi do pracy. Rejowy grot jest już gotowy i teraz trzeba ten żagiel przymocować do drzewca.

Panem pokładu jest bosman wspaniały.

Głos jego silniejszy niż sztormy i szkwały.

Pogania leniwych i karci niedbałych,

Wychwala najlepszych, zachęca nieśmiałych.

- Ten pański bosman dość swobodnie używa trzciny - zauważył Stephen. - Że też oni mu nie oddają...

A więc jest pan poetą? - zapytał z uśmiechem. Coraz swobodniej czuł się w nowej sytuacji.

Mowett roześmiał się serdecznie i powiedział:

- Niech pan schodzi z tej strony. Przy takim przechyle powinno pójść panu tutaj znacznie łatwiej.

Wanty będą przez cały czas pod panem.

Wszyscy mówią, że lepiej jest nie

patrzeć w dół. O tak.

Ostrożnie. Powolutku. Bardzo dobrze

sobie pan radzi. Już jesteśmy na

pokładzie. Udało się.

- Boże... - wykrztusił Maturin,

otrzepując ręce. - Naprawdę cieszę się,

że już jestem na dole. - Spojrzał

w górę, na marsa, i rozejrzał się

dookoła. „Nie powinienem być taki

strachliwy" - skarcił w duchu sam

siebie, a głośno zapytał: - Czy teraz już

wolno patrzeć pod nogi?

- Może znajdziemy kucharza wśród tych

nowych? - głośno zastanawiał się Jack. -

Tak przy okazji...

Skoro już o kuchni mowa... Czy nie

zechciałby pan towarzyszyć mi przy

obiedzie?

- Z największą przyjemnością, sir - z

ukłonem odparł James Dillon. Siedzieli

przy stole, w kapitańskiej kabinie. Obok

stał klerk, na stole leżała księga zaciągu

załogi, księga inwentarzowa i inne

dokumenty okrętowe.

- Niech pan uważa na ten kałamarnic,

panie Richards - powiedział Jack do

klerka, gdy „Sophie”

gwałtownie pochyliła się na zawietrzną,

pchnięta silniejszym podmuchem bryzy.

- Lepiej niech pan go zakorkuje i trzyma

w dłoni. Panie Ricketts, proszę pokazać

mi tych ludzi.

W porównaniu z członkami starej załogi

„Sophie” nowo zaokrętowani marynarze

byli pozbawioną wyrazu zbieraniną.

Ludzie z „Sophie” byli jednak u siebie.

Wszyscy nosili jednakowe tanie ubrania,

dostarczane przez starszego pana

Rickettsa, co dawało załodze w miarę

jednolity wygląd. Wszyscy przez

ostatnie kilka lat w miarę nieźle się

odżywiali - może nie tyle, jeśli chodzi o

jakość, ile o ilość pożywienia. Nowi

zaś, poza nielicznymi wyjątkami,

pochodzili z hrabstw w głębi lądu.

Odzież tych ludzi dawała przegląd

najróżniejszych fasonów i mód. W skład

grupy poborowych wchodziło na

przykład siedmiu narwańców z

Westmeath, aresztowanych w

Liverpoolu za wywołanie awantury. Tak

niewiele wiedzieli o świecie (przybyli

do miasta tylko na żniwa, nic więcej), że

gdy im pozwolono wybrać między

najbardziej wilgotnymi celami

miejscowego więzienia a służbą w

Royal Navy,

zdecydowali się na to drugie, sądząc, że

okręt to przyjemniejsze i suchsze

miejsce. Wśród nowych można było

także znaleźć zrozpaczonego

pszczelarza, któremu padły wszystkie

pszczoły, bezro-botnego specjalistę od

krycia słomianych dachów, kilku

nieżonatych ojców, dwóch głodujących

krawców i niegroźnego wariata.

Najbardziej obszarpani dostali ubrania

na pokładzie przyjmujących ich statków,

inni wciąż mieli na sobie wytarte

sztruksowe okrycia lub staroświeckie

kurtki. Wyjątek stanowiło trzech

doświadczonych marynarzy w średnim

wieku: Duńczyk o nazwisku Christian

Pram, który był poprzednio drugim
nawigatorem „Levantera”, oraz dwóch
greckich poławiaczy gąbek,

prawdopodobnie o imionach Apollo i

Turbid. Okoliczności, w jakich

wcielono obu braci do marynarki

brytyjskiej, były bardzo niejasne.

- Świetnie, świetnie! - zawołał Jack,

zacierając dłonie. - Moim zdaniem tego

Prama od razu możemy mianować

oficerem nawigacyjnym: jednego oficera

wachtowego nam brakuje. Z Greków

zrobimy

starszych marynarzy, jak tylko zaczną

trochę mówić po angielsku. Pozostali to

zwykli rekruci. Teraz, panie Richards,

gdy tylko skończy pan pisać, proszę

pójść do pana Marshalla i powiedzieć

mu, że pragnę go widzieć.

- Wydaje mi się, sir, że w sumie w skład

obu wacht powinno wejść dokładnie

pięćdziesięciu ludzi -

oświadczył James Dillon, podnosząc

wzrok znad obliczeń.

- Ośmiu do podwachtę forkasztelu i
ośmiu do podwachtę żaglowej
fokmasztu... Panie Marshall, proszę
usiąść z nami. Musimy przygotować
nowy rozkład wacht i zakwaterować
wszystkich przed obiadem. Nie mamy
ani minuty do stracenia.

- A tutaj mieszkamy, sir - oznajmił
Mowett, oświetlając latarnią wewnątrz
kubryku podchorążych. -

Proszę uważać na głowę. Niech mi pan
też wybaczy ten zapach.

Prawdopodobnie jest tutaj młody
Babbington.

- Och! To nie tak! - zawołał Babbington,
odrywając się od książki. - Jesteś podły,
Mowett - wysyczał, kipiąc z
wściekłości.

- Jak na kubryk podchorążych, jest tutaj
całkiem przyjemnie. - Mowett mówił
obojętnym tonem, nie zwracając uwagi
na młodszego kolegę. - Przez greting
wpada trochę światła, jak pan widzi, a

gdy zdjęte są pokrywy ładowni, dociera tu świeże powietrze. Pamiętam, że na rufie starego „Namura” z powodu zaduchu w kubryku gasły świece. A nie mieliśmy tam nic równie cuchnącego jak młody Babbington.

- Z łatwością mogę sobie to wyobrazić - rzekł Stephen, siadając, i spojrzał na pogrążone w półmroku wnętrze. - Ilu was tutaj mieszka?

- Teraz tylko trzech, sir. Na okręcie brakuje dwóch podchorążych. Chłopcy okrętowi wieszają swoje hamaki w magazynie z sucharami. Kiedyś jadali z artylerzystą, ale gdy ten niedawno zachorował, zaczęli przychodzić tutaj. Podbierają nam jedzenie i niszczą nasze książki zatłuszczonymi paluchami.

- Uczy się pan trygonometrii? - zapytał Maturin zaciekawiony, gdyż jego przyzwyczajone już do ciemności oczy zdołały z trudem dostrzec trójkąt narysowany atramentem na poplamionej kartce.

- Tak, sir. Zgadł pan. Prawie już
rozwiązałem to zadanie - odpowiedział
młody Babbington. „Dawno już
zająłbym się następnym, gdyby nie
przyszedł tu z panem ten przemądrzały
wół” - dodał w duchu.

*W mrocznym siedział kubryku, w
myślach pogrążony.*

*Umysł mu wśród sinusów i tangensów
zblądził.*

*Pomylił swe obliczenia, nagle
rozproszony,*

*Czy zadanie rozwiąże? Przyszłość to
osądzi...*

- zaimprovizował Mowett. - Muszę
przyznać, że mi się to udało!

- Rzeczywiście - przyznał Maturin,
przyglądając się malutkim okręciom
narysowanym w kilku miejscach na
obwodzie trójkąta. - Proszę mi
powiedzieć, co właściwie w Royal
Navy oznacza słowo okręt?

- Okręt, w odróżnieniu od statku
handlowego, to zwyczajowo każda

większa jednostka należąca do
marynarki wojennej. Oficjalnie okrętem
jest jednak fregata. Okręt musi mieć trzy
maszty o ożaglowaniu rejowym i
buzszpryt. Na dodatek każdy z masztów
musi składać się z trzech części:
kolumny, stengi i bramstengi. Dlatego na
przykład nie powinno się zasadniczo
nazywać polakry okrętem.

- Naprawdę? - Stephen zdziwił się
szczerze.

- Oczywiście! Nie można! - zawołali
chórem obaj młodzi ludzie. - Ket też nie
jest okrętem, tak samo xebek. Ktoś
mógłby pomyśleć, że xebeki mają
buzszpryty, lecz są to tylko usztywnione
paroma odciągami wytyki.

- Na pewno się temu przyjrę - bez
przekonania obiecał doktor. - Do
przebywania tutaj trzeba się
przyzwyczaić - zauważył po chwili,
wstając bardzo ostrożnie. - Strasznie tu
u was ciasno...

- Och, sir... - Mowett przymrużył oczy i

zadeklamował:

Nie narzekaj na miejsce, gdzie przyszło

ci żyć,

Wszak wielkim bohaterom pragniesz

być podobnym.

O czynach chwalebnych ty możesz tu

śnić.

W tym miejscu: świętym, choć niezbyt

wygodnym.

- Proszę, niech pan nie zwraca na niego

uwagi! - wykrzyknął Babbington

rozzłoszczony. - To wcale nie jest z jego

strony oznaka braku szacunku.

Zapewniam pana. Mowett zawsze tak

nienormalnie się zachowuje.

- Dobrze już, dobrze - uspokoił ich

Stephen. - Chciałbym teraz obejrzeć

resztę... resztę okrętu. Chyba wolno tak

powiedzieć?

Maturin i Mowett ruszyli w stronę

dziobu. Minęli kolejnego pełniącego

wartę żołnierza. W półmroku panującym

pod przykrytymi brezentem

kratownicami doktor zahaczył nogą o

coś miękkiego. Rozległo się brzęczenie

łańcucha i posypały się wyzwiska.

- Uważaj, gdzie leziesz, zawszony

szczurze lądowy!

- Cicho tam, Wilson! Zamknij się! -

zawołał młody nawigator. - To jeden z

ludzi zakutych za karę w łańcuchy...

Proszę nie zwracać na niego uwagi.

- Za co został zakuty w łańcuchy?

- Był nieuprzejmy... - wyjaśnił Mowett

ogłędnie. Weszli do kubryku.

- Proszę! To całkiem spore

pomieszczenie, chociaż bardzo tu nisko.

Pewnie tutaj mieszkają podoficerowie?

- Nie, sir. Tutaj śpi i spożywa posiłki

cała szeregowa załoga.

- A pozostali ludzie zakwaterowani są

zapewne gdzieś niżej?

- Pod nami nie ma już żadnych

pomieszczeń mieszkalnych. Niżej jest

tylko ładownia. Tam prawie nie ma

pokładu.

- Ilu więc ludzi musi się tutaj zmieścić?

- Razem z żołnierzami siedemdziesięciu

siedmiu, sir.

- Przecież oni wszyscy nie mogą tu spać.

To fizyczna niemożliwość.

- Z całym szacunkiem dla pana, sir, oni

wszyscy tutaj śpią. Każdy ma

czternaście cali wolnego miejsca dla

swego hamaka. Hamaki wieszane są od

dziobu do rufy, a odległość między

burtami na śródokręciu wynosi

dwadzieścia pięć stóp i dziesięć cali.

To daje dwadzieścia dwa miejsca do

spania. Widzi pan?

Tutaj na belce są wypisane numery.

- Człowiek nie może leżeć na pościeli o

szerokości czternastu cali.

- To prawda, sir. W każdym razie na

pewno nie byłoby to zbyt wygodne.

Można już jednak się wyspać, mając do

dyspozycji dwadzieścia osiem cali.

Widzi pan, na dwuwachtowym statku

zawsze prawie połowa ludzi pracuje na

pokładzie. Ich miejsca są wtedy wolne.

- Nawet jeśli przewidziane na hamak

miejsce ma szerokość dwudziestu ośmiu

cali, śpiący ludzie muszą dotykać się nawzajem.

- Cóż, to prawda, że śpią bardzo blisko siebie. Tak czy inaczej, mogą się wyspać, niezależnie od pogody.

Zauważył pan na pewno, że hamaki zawieszane są w czterech poprzecznych rzędach. Od grodzi do tej belki, potem do tamtej, dalej tej z latarnią i do grodzi dziobowej, koło kuchni. Bosman i cieśla mają swoje kabiny tam wyżej. Pierwszy rząd hamaków i część następnego zajmują żołnierze, pozostałe dwa i pół rzędu marynarze. Przyjmując więc średnio, pomimo masztu, dwadzieścia hamaków w rzędzie, wszyscy się tutaj mieszczą.

- To musi być prawdziwy dywan z ciał, nawet jeśli śpi tu tylko połowa załogi.

- Ma pan rację, sir.

- A gdzie są okna?

- Nie ma tu nic, co mógłby pan nazwać oknem... - Mowett pokręcił głową. - W pokładzie u góry są luki i gretingi, ale

przy złej pogodzie wszystkie są zakryte.

- A izba chorych?

- Czegoś takiego tutaj nie mamy. Dla chorych przeznaczone są wiszące koje, znajdujące się przy dziobowej grodzi, z prawej burty, tuż koło kuchni. Chorzy mają też przywilej korzystania z latryny.

- Co to takiego?

- Cóż, właściwie to nie jest normalna latryna, raczej mała furta burtowa, która jednak dobrze spełnia swą funkcję. Na fregacie lub liniowcu wygląda to zupełnie inaczej.

- A czemu ma to służyć?

- Nie bardzo wiem, jak panu to wyjaśnić, sir... - Mowett zaczerwienił się. - To miejsce, gdzie chodzi się... za potrzebą.

- Wychodek?

- Właśnie.

- A jak radzą sobie inni? Czy mają może nocniki?

- Och, nie! Wielkie nieba! Wychodzą przez ten luk i idą na dziób. Po obu

stronach dziobnicy urządzone są dwa

ustępy.

- Na zewnątrz?

- Tak, sir.

- A gdy jest zła pogoda?

- Nadal wszyscy chodzą do ustępów na dziobie, sir.

- I wszyscy śpią w tym jednym pomieszczeniu bez okien? Cóż, jeśli kiedykolwiek wejdzie tu ktoś chory na tyfus, zarazę lub cholere, niech Bóg ma was w opiece.

- Amen, sir - dodał Mowett, wyraźnie poruszony pełnym racji stwierdzeniem doktora.

- To bardzo interesujący młody człowiek - powiedział Stephen, wchodząc do kapitańskiej kabiny.

- Młody Mowett? Cieszę się, że pan tak uważa. - Aubrey był czymś zmartwiony.

- To dobrze, jeśli trafia się w załozde na porządnych ludzi. Ma pan ochotę na coś mocniejszego? Co pan powie na grog, nasz marynarski specjał? Pił pan go

może już kiedyś? Na morzu czasami

bardzo się przydaje.

Simpkin, przynieś nam trochę grogu! Do

licha... Przecież on rusza się jak żółw...

Simpkin! Dawaj tutaj ten grog! Niech cię

szlag trafi, bałwanie! Ach, jesteś

wreszcie. Tego właśnie

potrzebowałem... -

Aubrey duszkiem opróżnił szklanicę. -

Co za cholerny poranek! Każda wachta i

podwachta musi w odpowiednich

proporcjach składać się z

doświadczonych i niedoświadczonych

ludzi. Podobnie wygląda sprawa z

obsadami wszystkich stanowisk

bojowych. Te nie kończące się dyskusje.

Na dodatek - kapitan ściszył nieco głos i

pochylił się w stronę doktora -

popęłniłem przed chwilą poważną

gafę... Odczytałem z listy nazwiska:

Flaherty, Lynch, Sullivan, Michael

Kelly, Joseph Kelly, Sheridan i Aloysius

Burke... To Irlandczycy z nowej załogi,

którzy narozrabiali w Liverpoolu...

Potem powiedziałem: „Jeszcze kilku tych cholernych irlandzkich papistów i katolicy będą stanowić ponad połowę wachty bojowej prawej burty. Trudno będzie tam przejść, nie zaplątując się w różaniec”...

Żartowałem, wie pan. Dopiero po chwili zmroziła mnie myśl: „Jack, jakiś ty głupi, przecież Dillon też pochodzi z Irlandii i może sądzić, że chcesz mu z tego powodu ubliżyć”. Ja przecież nie mam nic przeciwko Irlandczykom.

Nienawidzę tylko papistów. Dlatego próbowałem naprawić sytuację kilkoma celnymi uwagami pod adresem papieża. Obecni w kabinie oficerowie nie okazali się jednak tak bystrzy, jak mi się zdawało. W ogóle nie zareagowali.

- Rozumiem więc, że nienawidzi pan katolików? - za-Pytał Stephen.

- Och tak. Nienawidzę też papierkowej roboty. Papiści to podejrzana banda - odpowiedział Jack. - Ta ich spowiedź...

No i chcieli wysadzić Parlament -

dodał. - Boże, jak my kiedyś
celebrowaliśmy dzień Piątego
Listopada. Pewna moja znajoma, a
raczej bliska przyjaciółka... Trudno
sobie wyobrazić, jaka ona była miła...
Jej matka poślubiła katolika, a ona tak
się tym przejęła, że zaczęła uczyć się
matematyki i... hebrajskiego. Nie
uwierzy pan. Była najpiękniejszą
dziewczyną w okolicy. Pomagała mi w
nauce nawigacji... Nie wiem, jak tyle
wiadomości mieściło się w jej głowie.

Właśnie ta moja przyjaciółka
opowiadała mi mnóstwo rzeczy o
katolikach. Nie pamiętam teraz
wszystkiego, ale wiem, że papiści to
bardzo podejrzane towarzystwo. Nie
można im ufać. Niedawno wywołali
przecież powstanie.

- Ależ, kapitanie... Wśród
Zjednoczonych Irlandczyków przeważali
protestanci. Ich przywódcy byli
protestantami: Wolfe Tone, Napper
Tandy, Emmetowie, O'Connorowie,

Simon Butler, Hamilton

Rowan, lord Edward Fitzgerald... To wszystko protestanci. Istotą owego stowarzyszenia było dążenie do zjednoczenia wszystkich mieszkańców Irlandii: protestantów, katolików i prezbiterian. Cała inicjatywa wyszła właśnie od protestantów.

- Och, naprawdę? Cóż, jak pan widzi, niewiele o tym wiem. Myślałem, że wszystkiemu winni byli katolicy.

Pełniłem wtedy służbę w Indiach Zachodnich. W każdym razie, po takiej porcji papierkowej roboty gotów jestem nienawidzić równocześnie papistów, protestantów, anabaptystów i metodystów. I Żydów. Nie, w istocie nie ma to dla mnie większego znaczenia.

Obchodzi mnie za to coś innego: nie powinienem tak żartować w obecności Dillona. Wie pan, jak ważne są dla mnie dobre stosunki na okręcie. Moje słowa były prowokujące, a on i tak dostaje teraz w kość. Na pewno nie jest mu

lekko: nowy statek, nowy kapitan,
wachtę, obowiązki zastępcy dowódcy.

Dlatego chciałem maksymalnie mu
wszystko ułatwić. Bez wzajemnego
zrozumienia nie może być poprawnej
współpracy i nie można nawet marzyć o
tym, by ludzie byli zadowoleni. Dobry
okręt wojenny to okręt z zadowoloną
załogą -

tak mawiał sam Nelson. Zapewniam
pana, że miał absolutną rację. Dillon
będzie jadł z nami obiad, dlatego
sprawiłby mi pan wielką przyjemność...

Ach! Panie Dillon, proszę do nas. Może
napije się pan z nami grogu?

Po części z racji wykonywanego
zawodu, i po części z powodu
szczególnych cech charakteru, Maturin
dawno już docenił korzyści płynące z
milczenia przy stole. Nie odzywał się
więc ani słowem, obserwując Dillona z
ogromną uwagą. James nie zmienił się
zbytnio: ta sama mała głowa uniesiona
wysoko, te same ciemnorude włosy i

zielone oczy, ta sama delikatna skóra, te same nieco bardziej niż ostatnio popsute zęby i owo coś, zdradzające szlachetne pochodzenie. Pomimo iż szczupły i raczej średniego wzrostu, porucznik zdawał się zajmować w kabinie tyle samo miejsca co potężny Jack Aubrey.

Najważniejsza różnica polegała na tym, iż zniknęła gdzieś jego specyficzna aura wesołości.

Dillon nie wyglądał tak, jakby za chwilę miał się roześmiać lub zażartować.

Radość została z jego osobowości dokładnie wymazana i nie pozostał po niej nawet najmniejszy ślad. James był typowym irlandzkim ponurakiem.

Zachowywał się bardzo poprawnie, z pewną rezerwą, był perfekcyjnie uprzejmy i grzeczny. Nie udawało się dostrzec w nim jakichkolwiek śladów posępnego rozgoryczenia bądź urazy.

Jedli całkiem znośną rybę - znośną, gdy została obdarta z grubej warstwy wymieszanej z wodą mąki.

Potem steward przyniósł szynkę, która mogła pochodzić tylko z nienaturalnie skarłowaciałej świni.

Właśnie tego rodzaju szynki zarezerwowane są dla oficerów, którzy sami kupują sobie prowiant. Po-rządnie umiałby ją pokroić jedynie jakiś wybitny znawca anatomicznych wybryków natury. Kapitan borykał się z trudami obowiązków pana domu, poganiając co chwila stewarda i radząc mu, by „stuknął

się w swoją baranią głowę" i „ruszał się z życiem". James odwrócił się tymczasem do Stephena i zapytał z wymuszonym uśmiechem:

- Czy nie wydaje się panu, że kiedyś miałem już przyjemność pana spotkać?

W Dublinie? A może w Naas?

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek miał zaszczyt pana poznać, sir. Bardzo często myli się mnie z moim kuzynem, noszącym to samo nazwisko. Wszyscy mi mówią, że podobieństwo jest wprost

uderzające, co wcale mnie nie cieszy.

To nieciekawa kreatura o twarzy
donosiciela, a w naszym kraju szpiclów
i donosicieli nie lubi się bardziej niż
gdziekolwiek indziej, prawda? Tak czy
inaczej, podobnie nieprzyjemnych typów
nam ostatnio nie brakuje, przynajmniej
tak mi się wydaje... - Słowa te

wypowiedziane były lekkim tonem,
zwykłym podczas rozmów przy stole, na
tyle jednak głośno, by siedzący po
drugiej ręce Jacka Dillon mógł je bez
trudu usłyszeć, gdy kapitan z uporem
instruował
stewarda:

- Powoli teraz. Ostrożnie. Postaraj się
wykroić kilka mniej poprzerastanych
kawałków... Spróbuj zacząć od rufy.

Cienie! Nie zawracaj sobie głowy
palcami...

- Całkowicie podzielam pańskie zdanie.

- James porozumiewawczo spojrzał na
doktora. - Może napije się pan ze mną
wina, sir?

- Z największą przyjemnością.

Obaj wypili nawzajem swoje zdrowie i

zajęli się pokrojoną wreszcie szynką.

Jeden ze stoickim spokojem, drugi z

czysto zawodową ciekawością.

Porto było niezłe i gdy zdjęto obrus,

atmosfera przy stole stała się znacznie

swobodniejsza.

- Proszę opowiedzieć nam o walce, jaką

stoczył pan, dowodząc kutrem „Dart” -

zapropnował Jack, dolewając

Dillonowi wina. - Słyszałem wiele

sprzecznych relacji...

- Tak, ja też chciałbym bardzo pana o to

prosić - odezwał się Stephen. -

Sprawiłby mi pan ogromną przyjemność.

Naprawdę.

- Och, to nie było nic szczególnego.

Zaręczam... - Dillon nie kazał im długo

nalegać. - Po prostu starcie z kilkoma

plugawymi piratami. Taka sobie zwada

z udziałem niewielkich jednostek.

Pełniłem tymczasowo obowiązki

dowódcy wynajętego kutra. To niezbyt

wielki, jednomasztowy okręt ze skośnym ożaglowaniem, sir - wyjaśnił, Maturin odpowiedział ukłonem. - Ów kuter nazywał się „Dart” i miał na pokładzie osiem czterofuntowych dział, co było niewątpliwie korzystne. Z drugiej strony do ich obsługi miałem tylko trzynastu mężczyzn i chłopca. Tak czy inaczej, otrzymałem rozkaz przewiezienia na Maltę królewskiego posłańca i dziesięciu tysięcy funtów w złocie. Ponadto kapitan Dockray poprosił mnie, bym zabrał ze sobą jego żonę i siostrę. - Pamiętam go, był pierwszym oficerem na „Thundererze” - wtrącił Jack. - To bardzo porządny i uprzejmy człowiek. - To prawda. - James potwierdzająco skinął głową. - Wiał wtedy spokojny wiatr, w sam raz, by postawić topsel, wyszliśmy więc w morze. Po zachodzie słońca, gdy przebyliśmy, halsując, około piętnastu mil na zachód od Egadi, zerwał się silniejszy wiatr. Ponieważ brakowało mi ludzi i miałem na

pokładzie damy, postanowiłem skryć się za wyspą Pantelleria. Przez noc wichura osłabła i morze znacznie się uspokoiło. Było w pół do piątej rano i goliłem się właśnie... Pamiętam dokładnie, gdyż paskudnie zaciąłem się wtedy w podbródek...

- A jednak! - zawołał Stephen z satysfakcją.

- ...kiedy marynarz na oku zauważył żagiel. Natychmiast wybiegłem na pokład.

- Nic dziwnego! - uśmiechając się, powiedział Jack.

- Okazało się, że to trzy francuskie statki pirackie z łacińskim ożaglowaniem.

Zrobiło się na tyle widno, iż bez trudu można je było dostrzec. Na horyzoncie pokazały się nie tylko ich żagle, ale i kadłuby. Obejrzałem dwa najbliższe przez lunetę. Każdy miał długą mosiężną sześciofuntówkę i po cztery jednofuntowe falkonety na dziobie.

Miałem już kiedyś z tymi Francuzami do

czynienia, gdy służyłem na „Euryalusie”.

Oczywiście mogli nas wtedy atakować

jedynie od rufy.

- Ilu było ludzi na tych statkach?

- Od czterdziestu do pięćdziesięciu na

każdym, sir. Jeśli chodzi o uzbrojenie, to

oba miały jeszcze na burtach po tuzinie

muszkietów i garłaczy. Trzeci musiał

być podobny. Od dawna grasowały w

Cieśninie Sycylijskiej, odpoczywając co

jakiś czas w pobliżu Lampione i

Lampeduzy. Teraz miałem je na

zawietrznej, o tak... - Porucznik rysował

palcem w rozlanym na stole winie -

...przy tym wiało dokładnie od strony tej

karafki. Mogły doścignąć mnie, idąc

ostro na wiatr, ich zamiarem było

najwyraźniej związanie mnie walką z

obu stron i dokonanie abordażu.

- Z pewnością - zgodził się Jack.

- Biorąc pod uwagę moje pasażerki,

królewskiego posłańca, złoto i

barbarzyńskie wybrzeże przed dziobem,

gdybym próbował ucieczki -

zdecydowałem się na atak. Wszystko wskazywało na to, iż najlepszym w tej sytuacji posunięciem będzie walka z każdym z nich oddzielnie, dopóki miałem przewagę względem wiatru i póki oba najbliższe statki nie zdążyły połączyć swych sił. Trzeci był wciąż w odległości trzech do czterech mil, halsując pod wszystkimi żaglami. W załodze kutra miałem ośmiu wspaniałych marynarzy; kapitan Dockray wysłał razem z paniami sternika swojej łodzi, bystrego i silnego chłopca o nazwisku William Brown. Szybko przygotowaliśmy się do boju i potrójnie załadowaliśmy działa. Muszę przyznać, że obie damy wykazały się niezwykłą odwagą. Nigdy bym się tego po nich nie spodziewał. Poleciałem im, by udały się na dół, do ładowni. Pani Dockray odparła jednak, iż żaden młody szczeniak, bez kapitańskiego epoletu, nie będzie mówił jej, żonie doświadczonego starszego kapitana, co

powinna zrobić. Stwierdziła też, że nie zamierza zniszczyć swojej muślinowej sukni w zębach mojego kajaka. Zagroziła mi wręcz sądem wojennym za tchórzostwo, brak szacunku, zuchwałość oraz nieznajomość morskiego rzemiosła.

Oświadczyła, iż jeśli zajdzie potrzeba, osobiście zwróci się w tej sprawie do Pierwszego Lorda Admiralicji! „Chodź, kochanie” - powiedziała do panny Jones.

- „Ty zajmiesz się nakładaniem prochu, a ja włożę fartuch i będę nosić w nim ładunki na górę”. W tym czasie sytuacja zmieniła się nieco... - Dillon poprawił swój rysunek. - Najbliższy statek piracki był oddalony od nas o dwa kable, drugi był za nim, na zawietrznej.

Oba strzelały już od dziesięciu minut ze swoich dziobowych pościgówek.

- Co to za odległość: kabel? - zapytał Stephen.

- Około dwustu jardów - wyjaśnił James. - Wyłożyłem więc ster z wiatrem... Mój kuter bardzo szybko

chodził pełnymi kursami... Chciałem
uderzyć dokładnie w śródkręcie
Francuza. Przy wietrze z baksztagu
„Dart” przebył dystans dzielący go od
pirata w ciągu zaledwie minuty. Oni
tymczasem zawzięcie nas ostrzeliwali.
Sterowałem sam aż do chwili, gdy
znaleźliśmy się w odległości strzału
pistoletowego od ich burty. Oddałem
wówczas ster chłopcu, a sam
pośpieszyłem na dziób, by objąć
dowództwo oddziału abordażowego. Na
nieszczęście malec niedokładnie mnie
zrozumiał i pozwolił, by statek piracki
przesunął się za bardzo do przodu.
Uderzyliśmy tuż za ich stermasztem.
Nasz bukszpryt zerwał wanty, część
rufowego relingu i zniszczył ster.
Przeszliśmy im tuż za rufą, ich stermaszt
pod wpływem uderzenia poleciał za
burtę. Rzuciliśmy się do armat i
posłaliśmy piratom morderczą salwę
burtową. Mieliśmy akurat tylu ludzi, ilu
potrzeba, by użyć czterech dział.

Królewski posłaniec obsługiwał wraz ze mną jedno z nich, a Brown pomagał nam przy odtaczaniu naszej armaty, gdy tylko wypalił ze swojej. Zmieniłem kurs, chcąc przejść po zawietrznej naszego przeciwnika i przeciąć mu drogę, tak by nie mógł manewrować. Zasłonięty ich olbrzymimi żaglami, „Dart” stracił wiatr i przez chwilę trwała szybka, mordercza wymiana ognia. W końcu wysunęliśmy się do przodu, nasze płótna wreszcie się wypełniły. Tak prędko, jak to było możliwe, wykonaliśmy zwrot przed dziobem Francuza. Prawdę mówiąc, zrobiliśmy to odrobinę zbyt wcześnie, gdyż jedynie dwóch ludzi obsługiwało u nas żagle. Nasz bom uderzył w ich fokreję, zrywając ją, i spadający fok wyłączył z walki ich pościgówkę i falkonety. Gdy się obróciliśmy, gotowa była nasza salwa burtowa.

Wystrzeliliśmy ją z tak bliskiej odległości, że od płonących strzępów

przybitki zajął się ich fokżagiel i leżące na całym pokładzie szczątki stermasztu.

Wtedy piraci skapitulowali i opuścili flagę.

- Wspaniała robota! - zawołał Jack.

- Był to najwyższy czas, gdyż drugi ich statek szybko się do nas zbliżał. Jakimś cudem nasz bukszpryt i bom były wciąż na swoich miejscach. Powiedziałem francuskiemu kapitanowi, iż zatopię jego statek bez litości, jeśli spróbuje postawić żagle i uciec. Nie miałem ludzi i nie mogłem nikogo wysłać, by przejąć zdobytą jednostkę. Przynajmniej nie w tym momencie.

- Jasna sprawa.

- Tak więc drugi Francuz zbliżał się do nas, idąc przeciwnym kursem. Piraci strzelali do nas od czasu do czasu ze wszystkiego, czym dysponowali. Gdy odległość zmniejszyła się do pięćdziesięciu jardów, odpadłem trochę, tak by przeciwnik znalazł się pod lufami dział na mojej prawej burcie. Po

salwie natychmiast wystrzyłem i z
jakichś dwudziestu jardów oddaliśmy
salwę z drugiej burty. Jej efekt był
wprost niesamowity, sir. Nigdy nie
przypuszczałem, że czterofuntowe działa
mogą być tak skuteczne. Wystrzeliliśmy
w dolinie fali odrobinę za późno, jak mi
się zdawało, i nasze pociski uderzyły w
linię wodną pirackiego statku w chwili,
gdy pochylił się na przeciwną burtę.
Widziałem, jak nasze kule dosięgły celu,
wszystkie uderzyły w ten sam pas
poszycia. Piraci rzucili broń i zaczęli
krzyczeć coś głośno. Na nieszczęście
Brown potknął się i odrzucone
wystrzałem działo okrutnie zmiażdżyło
mu stopę. Kazałem biedakowi zejść na
dół, lecz odmówił. Oświadczył, iż
pozostanie na pokładzie, usiądzie i
weźmie muszkiet. Po chwili wykrzyknął
uradowany, że Francuz tonie.
Rzeczywiście. Najpierw woda wdarła
się na ich pokład, potem, z
postawionymi żaglami, poszli prosto na

dno.

- Boże! - zawołał Jack.

- Tak. Ruszyłem w stronę trzeciego przeciwnika. Wszyscy na pokładzie zajęci byli splataniem i wiązaniem lin, gdyż nasz takielunek był w strzępach.

Uszkodzenia masztu i bomu były jednak tak znaczne, że nie odważyłem się zanadto forsować żagli. Piraci oddalali się szybko, nie pozostawało mi więc nic innego, jak wrócić do pokonanej wcześniej jednostki. Na szczęście ci Francuzi przez cały czas zajęci byli gaszeniem pożaru, inaczej dawno już by się nam wymknęli. Zabraliśmy sześciu z nich na nasz pokład, by obsługiwali pompy zęzowe, wyrzuciliśmy za burtę zabitych, zamknęliśmy pozostałych pod pokładem, wzięliśmy ich statek na hol i już po dwóch dniach dotarliśmy na Maltę.

Trochę mnie to zdziwiło, gdyż nasze żagle pełne były pozaszywanych byle jak dziur, nasz kadłub wyglądał niewiele

lepiej.

- Czy podjęliście z wody ludzi z zatopionego statku?

- Nie, sir.

- Byli piratami - wtrącił Jack. - Nie

można było zawracać sobie nimi głowy,

mając na pokładzie tylko trzynastu

dorosłych mężczyzn i chłopca. Jakie

ponieśliście straty?

- Oprócz zmiążdżonej nogi Browna i

kilku zadrapań nikt nie odniósł ciężkich

obrażeń, sir. Nie zginął

ani jeden człowiek. To zadziwiające. Po

prostu było nas na pokładzie bardzo

niewielu.

- A oni?

- Trzynastu zabitych, sir. Wzięliśmy

dwudziestu dziewięciu jeńców.

- A na zatopionym statku?

- Pięćdziesięciu sześciu ludzi, sir.

- Jak liczną załogę miał statek, który

uciekł?

- Czterdzieści osiem osób. Tak

powiedzieli nam jeńcy. Trudno jednak

brać ten trzeci statek pod uwagę.

Wystrzelił do nas tylko kilka razy, zanim się przestraszył.

- Wspaniale, sir - powiedział Jack. - Z całego serca panu gratuluję. To była dobra robota.

- I ja również przyłączam się do tych gratulacji. Czy mogę napić się z panem wina? - zapytał Maturin z ukłonem i uniósł swój kieliszek.

- Słusznie! - zawołał Jack ożywiony nieoczekiwanym pomysłem. - Wypijmy zatem za ostatnie wspaniałe sukcesy irlandzkiego oręża i na pohybel papieżowi.

- Jeśli chodzi o to pierwsze, gotów jestem spełnić pański toast i tysiąc razy - ze śmiechem powiedział

Stephen. - Co się tyczy drugiej jego części, odmawiam. Nie wypiję za to ani kropli. Ten biedak ma już dosyć kłopotów z Boneyem i to mu wystarczy.

Poza tym jest bardzo wykształconym benedyktynem.

- Wobec tego na pochybel Boneyowi!

- Na pochybel! - zawołali i opróżnili kieliszki.

- Chyba mi pan wybaczy, kapitanie... - odezwał się Dillon. - Za pół godziny będzie zmiana wachty i chciałbym jeszcze raz sprawdzić, jak wszyscy są rozlokowani. Dziękuję za znakomity obiad.

- Boże, cóż to była za akcja - rzekł Aubrey z podziwem, gdy porucznik zamknął za sobą drzwi. -

Czternastu ludzi przeciwko stu czterdziestu sześciu. Piętnastu, jeśli liczyć Panią Dockray... To naprawdę coś w stylu Nelsona: brawurowo uderzyć na wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela.

- Znał pan admirała Nelsona, kapitanie?

- Miałem zaszczyt służyć pod jego komendą w bitwie na Nilu... - odparł Jack. - Dwa razy jadłem obiad w jego towarzystwie. - Na twarzy kapitana pojawił się uśmiech.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, co to za człowiek?

- Och, przypadłby panu do serca. Na pewno. Jest bardzo drobny i wątły. Przy całym szacunku dla admirała, mógłbym podnieść go bez trudu jedną ręką. Jest jednak wielkim człowiekiem. Widać to od razu. W nauce jest coś, co nazywamy cząsteczką elektryczną, prawda?

Naładowany atom, chyba wie pan, o co mi chodzi... Podczas każdego z tych posiłków Nelson odzywał się do mnie. Pierwsze jego wypowiedziane do mnie słowa brzmiały. „Czy mógłby pan podać mi sól, sir?” Zawsze staram się wymówić je tak samo jak on. Może zwrócił pan uwagę na intonację...? Za drugim razem - gdy rozmawiałem z siedzącym obok mnie żołnierzem, usiłując wytłumaczyć mu trochę morskiej taktyki: łamanie szyku, położenie względem wiatru i tak dalej - admirał wtrącił się w pewnej chwili i powiedział: „Niech pan nie zaprzęta

sobie głowy manewrami. Proszę ich
zawsze atakować". Nigdy tego nie
zapomnę: nie myśl wtedy o manewrach,
atakuj! Podczas tego samego obiadu
Nelson opowiadał nam, jak ktoś
zapropozował mu, by w chłodną noc
ubrał się w grubszy płaszcz. Admirał
odparł
wówczas, iż nie potrzebuje
dodatkowego okrycia, gdyż jest mu
wystarczająco ciepło - rozgrzewa go
jego własna gorliwość w służbie
królowi i ojczyźnie. To może brzmi
trochę absurdalnie. Gdyby podobne
słowa wypowiedział ktoś inny,
należałoby krzyknąć, że to żalosna
bzdura płynąca z czystego entuzjazmu. W
przypadku Nelsona jednak... O co do
diabła znów chodzi, panie Richards?
Proszę się zdecydować, niech pan tak
nie stoi w drzwiach!

- Sir... - nieśmiało odezwał się
wystraszony klerk. - Powiedział pan, że
mogę przynieść resztę dokumentów w

porze herbaty, a steward właśnie

wybiera się tu z herbatą.

- Dobrze, tak właśnie powiedziałem -

zgodził się Jack. - Boże, co za stos.

Proszę położyć to wszystko tutaj, panie

Richards. Przejrzę te papiery, zanim

dotrzemy do Cagliari.

- Te na wierzchu to pisma, które pan

kapitan Allen zostawił do przepisania.

Wymagają jedynie pańskiego podpisu,

sir - wyjaśnił klerk, wychodząc tyłem z

kabiny.

Jack zerknął na szczyt sterty,

znieruchomiał i zawołał:

- Proszę! Coś podobnego! Na tym

właśnie polega służba w Royal Navy!

Wpadasz w patriotyczny ferwor, gotów

jesteś natychmiast rzucić się w wir

walki, a oni każą ci podpisywać coś

takiego! - Podał

Maturinowi starannie zapisaną kartkę

papieru.

Ślup Jego Królewskiej Mości „Sophie”

na morzu

Wasza Wysokość,

Zwracam się z pokorną prośbą o

postawienie przed sądem wojennym

niejakiego Isaaka Wilsona (marynarza) należącego do załogi słupa, którym

mam zaszczyt dowodzić. Wymieniony

wyżej marynarz wieczorem 16 marca

popęłnił nienaturalną zbrodnię

stosunku płciowego z kozą.

Pozostaję uniżonym i pokornym sługą

Waszej Lordowskiej Wysokości

Jego Wysokość Lord Keith, K.B. itd.,

itd. Admirał

- To ciekawe, jak ostro prawo traktuje

sodomię - zauważył Stephen. - Znam

przynajmniej dwóch sędziów, którzy są

pederastami... no i paru adwokatów. Co

stanie się z tym człowiekiem?

- Zostanie najzwyczajniej powieszony.

Na noku rei. Będą przy tym łodzie ze

wszystkich okrętów floty.

- To chyba pewna przesada.

- Oczywiście, że tak. Cóż to będzie za

nuda. Co najmniej dwunastu świadków

będzie musiało stawić się na okręcie

flagowym: kilka dni pracy w porcie

przypadnie, a „Sophie” stanie się

pośmiewiskiem.

Po co zgłaszać takie rzeczy? Kożę

należy zaszlachtować, to na pewno, a

potem powinno się ją podać na obiad w

mesie człowiekowi, którzy złożył donos

na tego biedaka.

- Czy nie lepiej byłoby zostawić ich obu

na brzegu... na dwóch różnych

brzegach... i odpłynąć po cichu?

- Cóż... - Jack wyraźnie się uspokoił. -

Może i jest trochę rozsądku w tym, co

pan proponuje. Filiżankę herbaty? Z

mlekiem?

- Z kozim, sir?

- Chyba tak.

- W takim razie, proszę bez mleka. Z

tego, co pamiętam, wspomniał pan, że

artylerzysta jest chory.

Sprawdzę, może uda mi się jakoś mu

pomóc...

W tym samym czasie, w mesie

oficerskiej, pierwszy nawigator

przeciągnął się i powiedział:

- Sporo teraz miejsca przy stole, panie Ricketts.

- To prawda, panie Marshall - zgodził się ochmistrz.

- Dużo się ostatnio na okręcie zmieniło.

Ciekawe, co z tego wszystkiego wyniknie.

- Myślę, że wszystko będzie w porządku. - Pan Marshall powoli zbierał okruchy z kamizelki.

- Te jego wysoki... - mówił dalej ochmistrz przyciszonym, konspiracyjnym tonem. - Grotreja. Działa.

Poborowi, o których on niby miał nic nie wiedzieć. Ci wszyscy nowi, dla których brakuje miejsca.

Wachty bez chwili odpoczynku. Charlie mówił mi, że ludzie zaczynają coraz głośniej narzekać.

- Wskazał głową w stronę kubryku załogi.

- To prawda. Wszystko uległo teraz zmianie. Rozleciały się stare wachty i

stary porządek. Obawiam się też, że nasz młodzieniec z błyszczącym epoletem będzie czasami nieco zbyt kapryśny i porywczy.

Jeśli jednak pomogą mu zrównoważeni i doświadczeni oficerowie, rezultat może okazać się

pozytywny. Cieśla lubi nowego kapitana, podobnie bosman, gdyż ich zdaniem nasz dowódca jest dobrym żeglarzem. Również pan Dillon zna chyba bardzo dobrze morskie rzemiosło.

- Być może... - Ochmistrz z powątpiewaniem pokręcił głową. Zbyt dobrze znał pierwszego nawigatora i jego entuzjastyczne podejście do świata.

- Ponadto - kontynuował pan Marshall - może za sprawą naszego nowego dowódcy coś wreszcie będzie się działo. Ludzie polubią zmieniony porządek, gdy się do niego przyzwyczają. Podobnie oficerowie.

Jestem pewny. Potrzeba tylko ich dobrej współpracy z kapitanem, a wszystko

potoczy się gładko.

- Słucham? - zapytał ochmistrz,

przykładając zwiniętą w trąbkę dłoń do

ucha. Pan Dillon przestawiał

właśnie działa i pośród nieustannego

dudnienia towarzyszącego tej operacji

co jakiś czas rozlegały się pojedyncze,

głośniejsze uderzenia o pokład,

zagłuszające słowa nawigatora.

Nawiasem mówiąc, tylko dzięki temu

ciągłemu hałasowi podobna rozmowa w

mesie była możliwa. W zasadzie

bowiem nie ma możliwości

przeprowadzenia prywatnej rozmowy na

okręcie długim na dwadzieścia sześć

jardów, z ponad dziewięćdziesięcioma

osobami na pokładzie. Obok mesy

oficerskiej znajdowały się liczne

mniejsze pomieszczenia, oddzielone od

niej jedynie cienką warstwą drewna, a

czasem tylko płótna żaglowego.

- Wszystko pójdzie gładko. Mówię panu.

Jeśli oficerowie mu w tym pomogą,

wszystko pójdzie gładko.

- Może. A jeśli tego nie zrobią? - W

głosie pana Rickettsa słychać było

powątpiewanie. - Jeśli oficerowie nie

będą chcieli współpracować z

kapitanem, a on dalej będzie pozwalał

sobie na podobne wyskoki, co wtedy?

Ośmielam się przypuszczać, że zejdzie z

okrętu tak szybko, jak kiedyś pan

Harvey. Bryg to nie fregata, a tym

bardziej nie okręt liniowy. Tutaj jest się

blisko podwładnych i czasem nie udaje

się ich zbyt łatwo przełamać.

- Nie musi pan mi mówić, że bryg nie

jest fregatą ani okrętem liniowym... -

oburzył się pierwszy nawigator.

- Może rzeczywiście nie muszę panu

tego mówić, panie Marshall -

powiedział ciepło jego rozmówca.

- Jednakże gdyby spędził pan na morzu

tyle lat co ja, wiedziałby pan, iż od

kapitana nie wymaga się, by był tylko

dobrym żeglarzem. Pierwszy lepszy

marynarz potrafi dowodzić okrętem w

sztormie -

mówił ochmistrz, ścisząc głos jeszcze
bardziej. - Nawet baba w spodniach
umiałaby też dopilnować, by pokłady
i schody zejściówek były wyszorowane.

Tutaj potrzeba sporo rozumu... - Ricketts
znacząco popukał

się w głowę. - Potrzeba również
spokoju, rozsądku i opanowania. Aby
być kapitanem okrętu

wojennego, trzeba umieć odpowiednio
się zachowywać. Podobnych cech nie
znajdzie się u

pierwszego lepszego fircyka, pajaca czy
zarozumiątego bubka - dodał raczej do
siebie. - Nie wiem, czy nie mam racji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przy luku zejściówki głucho
zagrzechotał werbel. Pod pokładem
rozległ się pełen nerwowego pośpiechu
tupot stóp, który sprawił, iż odgłos
bębna wydał się jeszcze bardziej
naglący i natarczywy.

Twarze wybiegających na pokład ludzi
były jednak spokojne, jeśli nie liczyć

poborowych z nowego zaciągu. Sygnał
wzywał wszystkich na stanowiska - był
to zwykły popołudniowy rytuał, który
wielu członkom załogi dane było
przechodzić już ze dwa lub trzy tysiące
razy. Udawali się teraz biegiem na
przydzielone miejsca przy określonych
działach lub wybranych linach.

Tego, co działo się na pokładzie
„Sophie”, nikt nie mógłby niestety
nazwać udanym pokazem sprawności.

Wiele zmieniło się w ustalonych i
wygodnych starych zwyczajach. Uległy
zmianie dawne obsady dział, a
wystraszonych, przypominających stado
zagubionych owiec rekrutów
przepędzano tu i tam, by znaleźć dla
każdego właściwe miejsce. Ponieważ na
razie nadawali się jedynie do
wybierania lin pod nadzorem,
śródkręcie brygu było tak zatłoczone, iż
ludzie potykali się jedni o drugich i
wpadali na siebie. Potrzeba było aż
dziesięciu minut, by ustało zamieszanie

na pokładzie i marsach okrętu. Jack stał,
przyglądając się temu obojętnym
wzrokiem zza steru, podczas gdy Dillon
chrapliwym głosem wykrzykiwał
rozkazy. Podoficerowie i
podchorążowie biegali nerwowo tu i
tam, świadomi wzroku kapitana i tego, iż
ich gorliwość niczego nie poprawi.

Aubrey spodziewał się pewnych
trudności, lecz nie aż tak horrendalnego
bałaganu. Na szczęście wrodzony dobry
humor, połączony z radością, jaką
dawało kierowanie nawet tą nieco
rozregulowaną machiną, przeważał nad
innymi, mniej pozytywnymi emocjami.

- Dlaczego oni to robią? - zagadnął

Stephen, stojący tuż obok. - Czemu

biegają z takim przejęciem?

- W tym zamieszaniu chodzi o to, by

każdy członek załogi wiedział

dokładnie, gdzie jest jego miejsce

podczas walki lub niebezpieczeństwa -

wyjaśnił Jack. - Widzi pan? Obsady

dział są już na swoich miejscach, tak

samo żołnierze piechoty morskiej,
dowodzeni przez sierżanta Quinna.

Również na forkasztelu wszyscy są na
wyznaczonych stanowiskach, z tego, co
widzę. Na śródokręciu też już chyba
wszystko w porządku. Proszę spojrzeć:
przy każdej armacie stoi jej dowódca i
celowniczy zarazem, obok ładowniczy z
wyciorem i człowiek z oddziału
abordażowego, ten z krótką szablą. Jest
tam także marynarz do obsługi żagli,
który odchodzi od działa, gdy podczas
walki zachodzi na przykład potrzeba
podbrasowania rej. No i strażak z
wiadrem, mający gasić w zarodku
pożary. Teraz Pullings melduje
Dillonowi gotowość swojego oddziału.
To już nie potrwa długo.

Na maleńkim pokładzie rufówki
przebywało jednocześnie bardzo wielu
ludzi: pierwszy nawigator dowodzący
sterem, oficer wachtowy za kołem
sterowym, sierżant piechoty morskiej z
oddziałem strzelców, odpowiedzialny za

sygnalizację podchorąży, część podwachty rufowej, obsady dział, James Dillon, klerk i inni. Jack i Stephen spacerowali tak, jakby poza nimi na rufie nie było nikogo. Jack wydawał się otoczony jakąś szczególną, kapitańską aurą, a Maturin wyraźnie pozostawał pod jej urokiem. Sytuacja taka dla Jacka była czymś całkowicie normalnym, stanowiła fragment świata znanego od dziecka. Doktor przeżywał coś zupełnie nowego. Doświadczył jakby obecności znajdującej się gdzieś w pobliżu śmierci. Martwi byli ci wszyscy ludzie, ulotne cienie po drugiej stronie szklanej szyby, albo on sam nie żył. W takim razie nie umarł chyba do końca... Dawno już przyzwyczał się do przebywania w podobnej, wyidealizowanej i pozbawionej barw przestrzeni. Teraz nie był jednak samotny. Miał towarzysza.

- Pańskie stanowisko będzie na dole, w miejscu, które nazywamy kokpitem.

Oczywiście to nie jest prawdziwy

kokpit, podobnie jak nasz forkasztel nie
jest prawdziwym forkasztelelem,
podniesionym wyżej względem
głównego pokładu. W każdym razie
pewną część okrętu nazywamy kokpitem,
a pan powinien się tam znajdować z
przygotowanymi instrumentami. Funkcję
stołu operacyjnego pełnią wtedy
skrzynie denne...

- Czy tam właśnie powinienem
mieszkać?

- Ależ nie. Postaramy się dla pana o coś
wygodniejszego. Nawet gdy już będzie
pan podlegał

przepisom prawa wojennego - mówił

Jack z uśmiechem - przekona się pan, że
szanujemy

wykształcenie. Na pewno zasługuje ono

na dziesięć stóp kwadratowych

samodzielnej kabiny i tyle świeżego

powietrza na kapitańskim pokładzie, ile
tylko pan zapragnie.

Maturin skinął głową.

- Proszę mi powiedzieć... - odezwał się

przyciszonym głosem - ...czy gdy już
będę podlegał wojskowej dyscyplinie,
ten człowiek będzie miał prawo mnie
wybatożyć? - Ruchem głowy wskazał
pana

Marshalla.

- Pierwszy nawigator? - zawołał kapitan
zdumiony.

- Tak. - Stephen z natężoną uwagą
wpatrywał się w twarz swego
rozmówcy.

- Ależ... On jest przecież nawigatorem...

- wykrztusił Jack. Gdyby doktor nazwał
dziób „Sophie” rufą lub pomylił pokład
ze stępką, byłby chyba znacznie mniej
zdziwiony. Nie mieściło mu się w
głowie, iż ktokolwiek może nie
rozumieć obowiązującego na okręcie
systemu starszeństwa i podległości. Jak
można pomylić status kapitana z pozycją
pierwszego oficera, oficera wachtowego
bądź podoficera, ów naturalny porządek,
na którym opiera się istnienie całego
morskiego świata? Przez dłuższą chwilę

Jack nie potrafił sobie poradzić z taką
myślą. Nigdy nie uważał się za mędrca,
nigdy nim też nie był, lecz na szczęście
myślał wystarczająco szybko: tylko dwa
razy wciągnął powietrze jak wyjęta z
wody ryba i powiedział: - Wierzę, że po
prostu pomylił pan obowiązujące w
marynarce rangi i stopnie... Pan
Marshall wydaje komendy na ster, lecz
sam podlega dowódcy okrętu. Kiedyś
wyjaśnię to panu bardzo dokładnie. W
każdym razie... Nie, pan na pewno nigdy
nie zostanie wychłostany. Nie, nie pan. -
Patrzył na doktora z nie ukrywanym
podziwem dla jego bezgranicznej
wprost ignorancji, daleko wykraczającej
poza najśmielsze ludzkie wyobrażenia.
James Dillon rozbił w końcu szklany
klosz, pod którym przebywali.
- Wszyscy na stanowiskach, sir -
zameldował.
- Bardzo dobrze, panie Dillon -
odpowiedział Jack. - Poćwiczmy sobie
teraz strzelanie z dział.

Czterofuntowa armata nie może wyrzucić z lufy zbyt wielkiej masy metalu i jej pociski nie przebijają z odległości pół mili dębowych belek o grubości dwóch stóp, jak to jest w przypadku armaty trzydziestodwufuntowej. Te trzycalowe kule z lanego żelaza lecą jednak do celu z prędkością tysiąca stóp na sekundę i potrafią wyrządzić spore szkody. Sama armata jest niezwykłym urządzeniem. Jej lufa ma sześć stóp długości, waży dwanaście cetnarów i spoczywa na solidnej dębowej lawecie. Po wystrzale całe działo odskakuje do tyłu jak jakaś dzika, żywa istota.

„Sophie” uzbrojona była w czternaście takich armat, po siedem na każdej burcie. Dwie z nich, znajdujące się najbardziej z tyłu, na pokładzie rufówki, miały lufy wykonane z lśniącego mosiądzu.

Każde działo obsługiwała załoga złożona z czterech osób i mężczyzny lub

chłopca przynoszącego proch z magazynu. Zespołami dział dowodzili podchorążowie lub oficerowie nawigacyjni. Pullings kierował sześcioma działami na dziobie, Ricketts czterema na śródokręciu, a Babbington czterema na rufie.

- Panie Babbington, gdzie jest prochownica? - zapytał Jack chłodno.

- Nie wiem, sir - wykrztusił Babbington, czerwony na twarzy. - Gdzieś się zapodziała...

- Ładowniczy, proszę iść do pana Daya, nie... do któregoś z jego pomocników, ponieważ pan Day jest chory... i przynieść inną.

Inspekcja pozostałych dział nie ujawniła dalszych istotnych niedociągnięć. Gdy jednak kilka razy przećwiczono obie salwy rufowe - to znaczy wykonano wszystkie czynności bez wystrzału - twarz kapitana mocno się wydłużyła i posmutniała. Ludzie byli niewiarygodnie wręcz powolni. Widocznie nauczono ich

jedynie strzelać równocześnie pełnymi salwami, bez jakiegokolwiek indywidualnej wymiany ognia.

Wydawali się zadowoleni z siebie, gdy w tempie dostosowanym do najpowolniejszego z nich, podciągali ostrożnie armaty do furt strzelniczych.

Ćwiczenie to przypominało pantomimę w zwolnionym tempie. To prawda, iż monotonna służba w konwojach nie sprzyjała artyleryjskiej sprawności i zaufaniu do dział. Mimo to...

„Chciałbym móc pozwolić sobie na kilka baryłek prochu...” - rozmyślał

Aubrey, mając przed oczami rachunki za dostawy dla artylerzysty: czterdzieści dziewięć małych baryłek, o siedem mniej, niż przewidywał pełny przydział.

Czterdzieści jeden baryłek czerwonego prochu o grubych ziarnach, siedem białego o dużych ziarnach i zdwojonej sile wybuchu oraz jedna baryłka drobnego prochu do odpalania. W każdej baryłce mieściło się czterdzieści

pięć funtów i by ją opróżnić,
wystarczyły dwie pełne salwy burtowe.

„To nic...” - zastanawiał się dalej. -

„Wydaje mi się, że możemy wystrzelić

kilka razy. Bóg jedyny wie, od jak

dawna te ładunki leżą w lufach. Poza

tym...” - dodał w głębi jego duszy jakiś

wewnętrzny głos - „...pomyśl o tym

cudownym zapachu...”

- Dobrze - powiedział Jack głośno. -

Panie Mowett, niech pan będzie tak

dobry i pójdzie do mojej kabiny. Proszę

usiąść przy stole i dokładnie zapisywać

czas, jaki upłynie między pierwszym a

drugim wystrzałem z każdego działa.

Panie Pullings, zaczniemy od pańskiej

baterii. Numer jeden. Cisza na

pokładzie!

Na okręcie zapanowało grobowe

milczenie. Wiejący z ostrego baksztagu

wiatr zawodził jednostajnie w

naprężonych na nawietrznej linach

takielunku. Ludzie z obsady pierwszego

działa nerwowo oblizywali wargi. Ich

armata znajdowała się w zwykłej pozycji spoczynkowej, dosunięta ciasno do furty burtowej i umocowana linami w tej pozycji; była odstawiona na bok, wyłączona z użytku.

- Zwolnić działo!

Obsługa wyluzowała talie przytrzymujące armatę przy burcie. Przecięto wiązania z rozkręconych pokrętek lin, dodatkowo unieruchamiające lawetę. Głośne skrzywienie rolek oznajmiło, iż armata może się już poruszać. Ludzie trzymali teraz końce talii po obu stronach, w przeciwnym razie, na skutek przechyłu, działo odtoczyłoby się od burty, zanim padłaby następna komenda. Talia odciągająca lawetę do tyłu nie była na razie potrzebna.

- Wypoziomować! Ładowniczy wsunął handszak pod grubszy koniec lufy i energicznym ruchem uniósł ją do poziomu. Celowniczy i równocześnie dowódca działa numer

jeden wsunął pod lufę, prawie do
połowy, drewniany klin,
unieruchamiając ją w horyzontalnej
pozycji wyjściowej.

- Odczopować!

Obsługujący talie ludzie pozwolili
armacie odjechać szybko do tyłu. Uprząż
powstrzymała lawetę w chwili, gdy
węższy koniec lufy znalazł się nad
pokładem, mniej więcej na stopę od
burty. Marynarz (ten od żagli) wybił z
wylotu działa rzeźbioną, starannie
pomalowaną zatyczkę.

- Podtoczyć!

Wszyscy członkowie obsady chwycili
talie i wspólnie podciągnęli armatę do
burty. Wolne końce lin zostały
natychmiast zwinięte w małe, zgrabne
buchty.

- Podsypać!

Celowniczy włożył specjalne narzędzie
do otworu w tylnej części lufy,
przebijając flanelowy worek z
ładunkiem. Używając prochownicy w

kształcie rogu, napełnił wnętrze otworu
drobnym prochem, następnie jej
węższym końcem rozprowadził
podsypkę równo na panewce.

Ładowniczy przykrył
panewkę dłonią, by wiatr nie zdmuchnął
prochu, strażak przewiesił sobie
prochownicę z tyłu przez ramię.

- Celuj! - Kapitan uzupełnił ten rozkaz: -
Jak leży! Nie chciał wprowadzać na tym
etapie zbędnych kombinacji związanych
z obracaniem lub podnoszeniem lufy.

Dwóch członków obsady działa
trzymało końce talii, ładowniczy
przykląkł na jedno kolano i dmuchał
delikatnie na rozżarzony koniec wolno
spalającego się lontu, wyjętego ze
specjalnego pojemnika. Przynoszący
proch chłopiec stał z następnym,
umieszczonym w skórzanym pudełku
ładunkiem, dokładnie za armatą, na
prawej burcie.

Celowniczy pochylił się nad działem i
przykrywając dłonią proch na panewce,

patrzył wzdłuż lufy.

- Ognia!

Celowniczy, dowódca obsady,

przycisnął do podsypki podany mu

szybkim ruchem przez

ładowniczego lont. Przez ułamek

sekundy słyhać było głośnie syczenie,

błysnął płomień i armata wypaliła.

Ważący ponad funt ładunek twardo

ubitego prochu eksplodował w ciasnym

wnętrzu lufy z donośnym hukiem. Niemal

w jednej chwili pojawiła się chmura

dymu i strumień ognia, rozległ się głośny

trzask napiętej gwałtownie uprzęży, gdy

pchnięte odrzutem działo odskoczyło o

osiem stóp do tyłu, pod zgiętym ciałem

celowniczego i między stojących po

bokach ludzi; w powietrze pofrunęły

strzępy płonącej przybitki... Wystrzał nie

przebrzmiał jeszcze, a już padł następny

rozkaz.

- Zaślepić! - zawołał kapitan, patrząc za

lejącym pociskiem.

Obłok białego dymu odpływał

tymczasem szybko na zawietrzną.

Celowniczy włożył specjalną

zatyczkę do otworu z tyłu lufy.

Wystrzelona przed chwilą kula uderzyła

w pofalowaną powierzchnię morza, sto

jardów od okrętu, odbiła się raz i drugi,

wzbijając fontanny wody, i utonęła

pięćdziesiąt jardów dalej. „Sophie”

pochyliła się mocniej na fali i obsada

działa rzuciła się do tylnej talii, by

przytrzymać je z dala od burty.

- Wyczyścić!

Ładowniczy pośpiesznie wrzucił

pokryty owczą skórą koniec wycioru do

wiadra strażaka. Włożył

głowę w wąską przestrzeń między

wylotem działa i burtą, wystawił koniec

tyczki na zewnątrz przez furtę działową i

wsunął wycior w głąb lufy. Obrócił nim

umiejętnie kilka razy i wyciągnął:

koniec był

czarny, z przylepionym dymiącym

kawałkiem płótna.

- Ładuj!

Chłopiec trzymał już w pogotowiu
podłużny worek wypełniony prochem.

Ładowniczy umieścił

ładunek w lufie i przybił go mocno.

Celowniczy sprawdził przez otwór

panewki, czy worek z prochem dotarł na
swoje miejsce, i zawołał:

- Gotowe!

- Kula!

Wszystko było przygotowane: pocisk i

przybitka, lecz pech chciał, że kula

wypadła z niezgrabnych rąk i potoczyła

się po pokładzie w stronę przedniego

luku. Zdenerwowani celowniczy,

ładowniczy i chłopiec rzucili się za nią

w pogoń. W końcu pocisk został

załadowany i przybity. Kapitan zawołał:

- Na miejsce! Podsypać! Celuj! Ognia!

Panie Mowett! - krzyknął przez świetlik

kabiny. - Jaki czas?

- Trzy i trzy czwarte minuty, sir.

- Boże, Boże - wyszeptał Jack prawie

do siebie. W jego słowniku nie było

słów zdolnych wyrazić, jak był

rozczarowany.

Ludzie z oddziału Pullingsa wydawali się zawstydzeni. Członkowie obsady działa numer trzy, rozebrani do pasa, z głowami przewiazanymi chustkami, popluwali w ręce nerwowo. Sam pan Pullings biegał dookoła armaty, przestawiając coś pośpiesznie.

- Cisza na pokładzie! Zwolnić działo!

Odczopować! Wypoziomować! Na miejsce...

Tym razem poszło nieco lepiej.

Niewiele ponad trzy minuty. Kula nie potoczyła się po pokładzie, a pan Pullings pomagał im odciągać działo, wybierając tylną talię. Patrzył przy tym obojętnym wzrokiem w niebo, jakby na dowód, że nie jest tam naprawdę obecny.

W miarę jak strzelały kolejne armaty,

Jack popadał w coraz głębszą

melancholię. Obsługę dział numer jeden

i trzy stanowili najbardziej na „Sophie”

doświadczeni ludzie. Osiągnięty przez

nich rezultat był

więc szczytem możliwości załogi.

Tragedia. Gdyby doszła konieczność celowania, obracania i podnoszenia luf z użyciem handszpaków oraz łomów, wynik byłby jeszcze gorszy. Armata numer pięć nie wystrzeliła w ogóle - zamókl przygotowany w lufie ładunek.

Będzie musiała zostać rozładowana i ponownie nabita. Coś takiego mogło się zdarzyć na każdym okręcie, lecz na nieszczęście dotyczyło to również dwóch dział na prawej burcie.

Na czas strzelania z dział prawoburtowych „Sophie” wyostrzyła do wiatru, by przypadkowo nie został trafiony któryś ze statków konwoju.

Kołysała się spokojnie na fali, a jej załoga zajęta była wydobywaniem z działa ostatniego zamoczonego ładunku.

Maturin uznał, iż korzystając z tej chwili względnego spokoju, może zwrócić się do kapitana.

- Przepraszam, czy mógłby mi pan

wyjaśnić, dlaczego te dwa statki są tak blisko siebie? Czy rozmawiają ze sobą, czy może udzielają sobie nawzajem pomocy? - Pokazał palcem ponad ułożonymi w siatce hamakami. Jack spojrział we wskazanym kierunku, na ostatnią jednostkę w konwoju - norweskiego keta „Dorothe Engelbrechtsdatter”. Przez moment nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Do brasów! - zawołał wreszcie. - Ster lewo na burtę! Wybierać na dziobie! Biegiem! Grot na gejtawy!

Najpierw powoli, potem coraz szybciej „Sophie” odpadała od wiatru z wypełnionymi, zbrasowanymi mocno przednimi żaglami. W chwilę później wiatr wiał już z prawego trawersu, zaraz potem z rufy.

Okręt znieruchomiał na nowym kursie i ruszył do przodu. Na pokładzie zapanowało, co prawda, pewne zamieszanie: ludzie biegali tu i tam przy wtórze wściekłych gwizdków bosmana i

jego ludzi, lecz załoga zdecydowanie

lepiej radziła sobie z żaglami niż przy działach. Dlatego już po paru minutach

Jack mógł zawołać:

- Postawić rejoyego grota! Boczne

marsle! Panie Watt... Łańcuchy! Widzę, że sam pan wie, co należy robić!

- Tak jest, sir. - Bosman oddalił się z

brzękiem, obwieszony łańcuchami, które

miały za zadanie zabezpieczyć reje, tak

by drzewce nie spadały na pokład

podczas walki.

- Mowett, proszę wejść na górę z lunetą

i meldować mi, co pan widzi. Panie

Dillon, niech pan zapamięta, kto pełnił

służbę na oku. Zajmiemy się nim jutro,

jeśli przeżyje. Panie Lamb, czy gotowe

są kołki do uszczelniania otworów po

kulach?

- Tak jest, sir - odpowiedział cieśla z

uśmiechem, gdyż pytanie wydało mu się

raczej niepoważne.

- Na pokładzie! - Mowett wołał z

masztu. - To algierska galera! Weszli na

pokład keta! Jeszcze go nie zdobyli!

Myślę, że Norwegowie zabarykadowali się pod pokładem.

- Czy widać coś na nawietrznej?

Podchorąży zwlekał z odpowiedzią. Na pokład brygu docierały już odgłosy strzałów pistoletowych na zaatakowanym statku.

- Tak, sir. Żagiel. Łaciński. Dokładnie pod wiatr. Nie widzę kadłuba. Płynie na wschód. Dokładnie na wschód, tak mi się zdaje...

Jack skinął głową i spojrzał na stojące po obu burtach działa. Zawsze był potężnym mężczyzną, lecz teraz wydawał się prawie dwukrotnie większy niż zwykle. Jego błękitne jak morze oczy zalśniły, na zaróżowionej z podniecenia twarzy pojawił się uśmiech.

Podobna zmiana zaszła i w brygu. Z postawionym nowym rejonowym grotzagleń i bocznymi marszlami „Sophie”, tak jak jej kapitan, jakby podwoiła rozmiary. Z impetem torowała

sobie drogę przez fale.

- Panie Dillon! - zawołał Aubrey. - To

pomyślny zbieg okoliczności, prawda?

Stephen, przyglądający się dotąd

uważnie kapitanowi, dostrzegł, iż

również James Dillon jest dziwnie

ożywiony, podobnie jak cała załoga. Tuż

obok żołnierze piechoty morskiej

sprawdzali skałki muszkietów. Jeden ze

strzelców polerował kłamrę swego

pasa. Chuchał na nią starannie,

uśmiechając się do siebie z

zadowoleniem między kolejnymi

dmuchnięciami.

- Tak, to prawda - przyznał Dillon. - Nie

można sobie wymarzyć równie

szczęśliwego przypadku.

- Proszę dać sygnał statkom konwoju, by

zmieniły kurs o dwa rumby w lewo i

zredukowały żagle.

Panie Richards, czy zapisał pan czas?

Musi pan dokładnie notować czas tych

wszystkich wydarzeń.

Panie Dillon... Co oni sobie myślą? Czy

sądzi, że jesteśmy zbyt zajęci? Ślepi?

Nie ma teraz zresztą czasu na...

Oczywiście dokonamy abordażu, jeśli

Norwegowie będą bronili się

wystarczająco długo.

Nie chcę w każdym razie strzelać do

galery. Myślę, że można wydać załódze

białą broń i wszystkie pistolety. A teraz,

panie Marshall... - zwrócił się do

stojącego za sterem nawigatora, który

odpowiadał

w tej chwili za prowadzenie okrętu. -

Niech pan ustawi nas burtą do tego

cholernego Maura. Może pan postawić

dolne żagle boczne, jeśli nasz bryg to

wytrzyma. - Gdy mówił te słowa,

artylerzysta niepewnym krokiem

wyszedł spod pokładu. - Panie Day,

cieszę się, że pana widzę. Czy już panu

lepiej?

- Czuję się całkiem dobrze, sir. Dziękuję

- odpowiedział. - Dzięki temu oto

dżentelmenowi! - Skinął

głową w kierunku doktora. - Bardzo mi

to pomogło... - rzekł, spoglądając za rufę. - Pomyślałem, że zamelduję panu powrót do służby, sir.

- Cieszę się. Bardzo się cieszę. To chyba szczęście, że pan wyzdrowiał, panie Day, prawda? - zagadnął Jack.

- No cóż... Chyba tak, sir. Pańska kuracja podziałała, doktorze, jak jakieś czary - odparł artylerzysta, z zaciekawieniem przyglądając się oddalonemu o milę ketowi „Dorothe Engelbrechtsdatter”, pirackiej galerze, przygotowanym do boju działom i ludziom na pokładzie „Sophie”.

- Ćwiczyliśmy sobie - zaczął mówić Jack prawie do siebie - a ten bezczelny pies zakradł się na wiosłach, pod wiatr, do ostatniego statku w konwoju. Co te dranie sobie w ogóle myślą? Mało brakowało, a daliby drapaka, gdyby nie nasz doktor.

- Nigdy nie spotkałem tak wspaniałego lekarza - z przekonaniem stwierdził

artylerzysty. - Tak uważam. Myślę, że
teraz zejść do mojego magazynu. Zajmę
się rozdzielaniem pozostałego prochu.

Zdaje mi się, że sporo go będzie za
chwilę panu potrzeba... Cha, cha, cha!

- Drogi panie... - zwrócił się Jack do
Maturina, zarazem oceniając

wzrastającą prędkość „Sophie” i
odległość dzielącą ich od keta. W tym
stanie nagłego ożywienia mógł

jednocześnie z perfekcyjną sprawnością
kalkulować, rozmawiać z doktorem i
analizować tysiące zmieniających się
okoliczności.

- Czy woli pan zejść na dół czy
pozostanie pan na pokładzie? A może
chciałby pan wejść z

muszkietem na marsa grotmasztu i
postrzelać sobie do tych łajdaków?

- Nie, nie, nie - odparł Stephen. -

Nienawidzę przemocy. Moim zadaniem
jest nie zabijać, ale leczyć.

Jeśli już zabijać, to przypadkiem, w
dobrej wierze. Proszę pozwolić mi udać

się na moje stanowisko w... kokpicie.

- Liczyłem na to, że pan tak postąpi -

przyznał Jack, ściskając dłoń doktora. -

Nie śmiałem jednak panu tego

zaproponować jako swojemu gościowi.

Pańska pomoc bardzo podniesie nas

wszystkich na duchu. Naprawdę. Panie

Ricketts, proszę zaprowadzić doktora

Maturina do kokpitu. Proszę też pomóc

sanitariuszowi przy skrzyniach!

Slup o kadłubie głębokim zaledwie na

dziesięć stóp i dziesięć cali nie może

rywalizować z okrętem liniowym, jeśli

chodzi o mroczne i pozbawione

dopływu świeżego powietrza

pomieszczenia pod pokładem. Mimo to

„Sophie” radziła sobie z tym

zaskakująco dobrze. Stephen zmuszony

był posłać po jeszcze jedną lampę,

ponieważ chciał sprawdzić i rozłożyć

instrumenty medyczne oraz niewielki

zapas bandaży, szarpi, opasek

uciskowych i opatrunków. Siedział tam

teraz, możliwie blisko światła, czytając

Morską praktykę lekarską Northcote'a:

„...oddzieliwszy skórę, poproś swego pomocnika, by uniósł ją jak najwyżej; następnie przetnij mięśnie i kości okrężnymi ruchami...” W tym momencie na dół zszedł Jack - w wysokich butach, ze szpadą u boku. W dłoniach trzymał dwa naładowane pistolety.

- Czy mógłbym skorzystać z pomieszczenia obok? - zapytał Stephen i przeszedł na łacinę: - *Moi pacjenci mogliby poczuć się niepewni, widząc, że zaglądam do książek.*

- Oczywiście, oczywiście! - zawołał Jack, nie zaprzatając sobie łaciną głowy.
- Co tylko pan zechce.

Zostawiam panu tę broń. Możemy próbować abordażu, jeśli uda nam się do nich zbliżyć. Wie pan...

Potem oni mogą usiłować wedrzeć się na nasz pokład. Trudno przewidzieć, co się wydarzy. Te przeklęte algierskie galery mają zwykle bardzo liczne załogi.

Maurowie to wściekle psy... uwielbiają
podrzynać gardła... - dodał, śmiejąc się
serdecznie i znikając w mroku.

Kapitan był na dole tylko przez chwilę,
lecz w tym czasie sytuacja bardzo się
zmieniła. Gdy wrócił na rufę,
Algierczycy objęli już keta w
posiadanie: zdobyty przez nich statek
odpadał od wiatru. Stawiali bezana,
najwyraźniej próbowali uciec. Galera
znajdowała się w pobliżu keta, oddalona
od niego o jedną swą długość,
nieruchoma, z zanurzonymi w wodzie
długimi wiosłami
- czternastoma z każdej burty. Jej dziób
skierowany był dokładnie w stronę
„Sophie”, duże łańskie żagle wisiały
luźno pod rejami na podebranych
gejtawach: długi, wąski i smukły statek,
znacznie dłuższy, lecz węższy niż
„Sophie”, bez wątpienia bardzo szybki i
dobrze dowodzony. Było w nim coś
złowieszczego, przywodzącego na myśl
jadowitego gada. Zamiar piratów był

jasny: związanie walką

„Sophie” przynajmniej na tyle, by ket
zdołał odpłynąć o milę lub dwie w
stronę nadchodzącej nocy.

Odległość wynosiła teraz niewiele
ponad ćwierć mili. Pozycje
poruszających się jednostek nieustannie
się zmieniały: ket odpływał coraz
szybciej, po czterech lub pięciu
minutach oddalił się już z wiatrem o
kabel od galery, która wciąż stała w
miejscu z zanurzonymi wiosłami.

Na jej dziobie pojawił się obłok dymu,
pocisk przeleciał ze świstem prawie na
wysokości salingu grotmasztu i do brygu
doleciał głuchy odgłos wystrzału
armatniego.

- Proszę zapisać czas - zwrócił się Jack
do bladego jak ściana klerka. Twarz
chłopaka zmieniła się, jego przerażone
oczy zdawały się wychodzić z orbit.

Jack ruszył w stronę dziobu, w samą
porę, by dostrzec błysk wystrzału
drugiego działa galery. Kula z

niesamowitym brzękiem uderzyła w
trzon najlepszej kotwicy dziobowej
„Sophie”, zgięła go w pół i wpadła do
morza daleko od dziobu.

- Osiemnastofuntówka - powiedział do
stojącego na swym stanowisku na
dziobie bosmana. - Może nawet
dwudziestka czwórka. Ech, przydałyby
się moje długie dwunastki...

- dodał w duchu. Galera nie miała
baterii burtowych, to zrozumiałe, jej
działa ustawione były na dziobie i na
rufie. Przez lunetę Aubrey dostrzegł, że
przednia bateria Algierczyka składa się
z dwóch ciężkich dział, jednego
lżejszego i kilku falkonetów. Podczas
zbliżania się „Sophie” będzie przez cały
czas narażona na ich ogień. Falkonety
zaczęły właśnie strzelać z głuchym
trzaskiem.

Jack wrócił na rufę.

- Cisza na pokładzie! Zwolnić działa!
Odczopować! Podtoczyć! Panie Dillon,
proszę skierować lufy tak daleko do

przodu, jak to możliwe. Panie

Babington, niech pan powie

artylerzyście, że w następnej kolejności
załadujemy łańcuchami.

Osiemnastofuntową kula armatnia

uderzyła w lewą burtę „Sophie”, tuż

między działami numer jeden i trzy,

zasypując pokład gradem ostrych

dębowych drzazg. Niektóre fruwające w

powietrzu kawałki drewna miały po

dwie stopy długości. Pocisk poleciał

dalej, wzdłuż zatłoczonego pokładu,

przewrócił

żołnierza piechoty morskiej i uderzył o

grotmaszt, do końca wytracając impet.

Rozległy się okrzyki, dowód na to, że

odłupane od burty drzazgi pokaleczyły

kogoś. Po chwili dwóch marynarzy

pośpieszyło do kokpitu, niosąc rannego

kolegę. Na pokładzie pozostał po nich

krwawy ślad.

- Czy wszystkie działa załadowane są

kulami? - zapytał kapitan.

- Tak jest, sir - padła odpowiedź po

krótkiej pauzie.

- Najpierw salwa z prawej burty.

Celować w ich kierunku, wysoko,

mierzyć w maszty. Dobrze, panie

Marshall... Jedziemy !

„Sophie” zmieniła kurs o czterdzieści

pięć stopni, zwracając się prawą burtą

w stronę galery, która natychmiast

odpowiedziała następną

osiemnastofuntową kulą. Tym razem

pocisk uderzył w środek burty, nieco

powyżej linii wodnej. Wstrząs tym

wywołany zaskoczył Stephena Maturina,

który podwiązywał właśnie otwartą

tętnicę udową Williama Musgrave'a.

Niewiele brakowało, a zabieg trzeba by

było powtórzyć. Wreszcie odezwały się

działa „Sophie”. Armaty z prawej burty

strzelały kolejno podczas dwóch

następujących po sobie przechyłów na

fali. Z tyłu galery wykwitły pióropusze

wody i na chwilę przesłoniły ją kłęby

gryzącego dymu prochowego. Po

ostatnim wystrzale Jack polecił zmienić

kurs, tak by przeciwnik znalazł się w
zasięgu armat lewej burty. Chmura dymu
odpłynęła z wiatrem i okazało się, że
galera oddawszy salwę, ruszyła z
miejsca, bijąc o wodę wiosłami, by
umknąć sprzed dział brygu. Kule
wystrzelone ze statku pirackiego, gdy
jego dziób zaczął
unosić się na fali, poszły wysoko - jedna
z nich przerwała stensztag grotmasztu
„Sophie” i uderzyła w dyby stengi.

Spadający odłupany kawał drewna odbił
się od marsa i uderzył w głowę
artylerzysty, który wyjrzał na pokład z
głównej zejściówki.

- Szybciej tam przy działach na prawej
burcie! - krzyknął Jack. - Środek ster!
Chciał wrócić na lewy hals, bo gdyby
udało się oddać kolejną salwę z prawej
burty, przyłapałby galerę w momencie
obracania się z lewa na prawo. Przy
dziale numer cztery rozległ się
przytłumiony huk i tuż po nim
przeraźliwy krzyk: ładowniczy w

pośpiechu nie wyczyścił dobrze lufy i świeży ładunek prochu wypalił mu przy przybijaniu prosto w twarz.

Nieszczęśnik został odciągnięty na bok, działo ponownie wyczyszczono i nabito.

Ta operacja trwała jednak zbyt długo.

Wszystko trwało zbyt długo: ludzie poruszali się za wolno i galera zdążyła się już obrócić. Mogła kręcić się jak bąk dzięki wiosłom, szybko uderzającym w wodę. Odpływała na południowy zachód, prawym baksztagiem, z rozstawionymi „na motyla”, po obu burtach, wielkimi łacińskimi żaglami.

Ket tymczasem nadal znajdował się na południowym wschodzie, już w odległości około pół mili, i kursy obu jednostek zaczęły się szybko rozchodzić.

Zmiany kursu zajęły „Sophie” zaskakująco dużo czasu i spowodowały, że dystans dzielący bryg od keta wzrósł znacznie.

- Pół rumbu w lewo - polecił Jack. Stał przy zawietrznym relingu i wpatrywał

się w galerę płynącą niemal dokładnie przed ich dziobem. Nieprzyjacielska jednostka była teraz oddalona od „Sophie” o około stu jardów i ta odległość wzrastała powoli. - Boczne bramsle! Panie Dillon, proszę przenieść jedno działo na dziób. Są tam przecież nadal uchwyty pozostawione po mocowaniu dwunastofuntówki.

Z tego, co było widać, nie zdołali uczynić galerze najmniejszej szkody.

Strzelając nisko, trafialiby w ławki ciasno wypełnione chrześcijańskimi niewolnikami, przykutymi do wiosł.

Celując zaś wysoko...

Głowa kapitana odskoczyła nagle na bok, kapelusz poleciał po pokładzie: kula muszkietowa ze statku pirackiego trafiła go w ucho. Odruchowo zakrył je dłonią. Było zupełnie odrętwiałe i broczyło krwią.

Odsunął się od relingu i przechylił głowę na bok, tak by krew kapała na

zawietrzną. Drugą dłonią przykrył swój cenny epolet.

- Killick! - zawołał, wyginając się tak, by nie tracić z oczu ściganej jednostki, którą przysłaniał dolny lik wybranego mocno grotzagli. - Przynieś mi stary płaszcz i jeszcze jedną chusteczkę! -

Przebierając się, patrzył przenikliwym wzrokiem w stronę galery, która raz za razem wystrzeliła ze swego jedyne działka na rufie. Obie kule przeszły bokiem. „Boże, bardzo szybko im idzie przeładowywanie tej dwudziestofuntówki” - pomyślał.

Boczne bramsle zostały tymczasem postawione, a ich szoty wybrane.

„Sophie” przyśpieszyła nieco i zaczęła wyraźnie doganiać przeciwnika. Nie tylko Jack to zauważył, gdyż na forkasztelu rozległ się okrzyk radości, powtarzany potem wzdłuż burt od dziobu do rufy, gdy obsady dział kolejno przekazywały sobie dobrą wiadomość.

- Pościgówka na dziobie jest już

gotowa, sir - zameldował James Dillon

z uśmiechem. - Czy nic się panu nie stało? - zapytał, widząc zakrwawioną dłoń i szyję kapitana.

- To tylko zadraśnięcie, nic poważnego - odparł Aubrey. - Co pan powie o tej galerze?

- Doganiamy ją, sir - odpowiedział Dillon. Mówił bardzo cicho, lecz w jego głosie brzmiało zadowolenie. Bardzo przeżył niespodziewane pojawienie się Stephena Maturina. Rozliczne bieżące obowiązki nie pozostawiały mu, co prawda, zbyt wiele czasu na rozmyślanie, ale jego świadomość w znacznej mierze wypełniały złe przecucia, troska, jakieś nieokreślone i mroczne koszmary. Patrzył teraz chciwym wzrokiem na panujące na pokładzie galery zamieszanie.

- Oni celowo gubią wiatr - stwierdził Jack. - Proszę spojrzeć na tego spryciarza przy szocie ich grotu.

Niech pan weźmie moją lunetę.

- Nie sir, na pewno nie - zaprzeczył

Dillon, składając kapitański teleskop,
wyraźnie rozzłoszczony.

- Tak... - Jack zastanawiał się nad
czymś. Dwunastofuntowa kula przebiła
najniższe żagle boczne

„Sophie”, pozostawiając dokładnie

jeden za drugim dwa otwory, i ze

świstem przeleciała jakieś cztery stopy

od Dillona i Aubreya, tuż ponad siatką z

hamakami. - Chciałbym mieć na

pokładzie chociaż jednego lub dwóch

ich artylerzystów... - powiedział Jack z

podziwem. - Na maszcie! - zawołał.

- Tak jest, sir - odpowiedział głos z
wysoka.

- Co z tym żaglem na nawietrznej?

- Zbliża się, zbliża się do czoła

konwoju. Jack skinął głową.

- Niech dowódcy dział dziobowych i

artylerzyści wachtowi zajmą się obsługą

dziobowej pościgówki.

Ja sam ją wyceluję.

- Pring nie żyje, sir. Czy dać kogoś

innego?

- Tak, panie Dillon.

Aubrey przeszedł szybko na dziób.

- Czy dopadniemy ich, sir? - zagadnął

siwy marynarz z oddziału

abordażowego. W głosie pytającego

zabrzmiała przyjazna nuta.

- Mam taką nadzieję, Cundall. Bardzo na

to liczę - odparł Jack. - W najgorszym

razie nieźle im przyłożymy... - Masz,

psie... - mruknął do siebie, patrząc

wzdłuż lufy na pokład galery. Poczuł, że

dziób „Sophie” zaczyna unosić się na

fali, i przycisnął koniec lontu do

panewki. Rozległ się syk, huk wystrzału

i przeraźliwe skrzypienie rolek pchniętej

odrzutem lawety.

- Hurra! Hurra! - zawołali ludzie na

forkasztelu. Kula przestrzeliła tylko

główny żagiel statku pirackiego, mniej

więcej w połowie wysokości, ale był to

ich pierwszy celny wystrzał w tej

potyczce.

Działo dziobowe wystrzeliło jeszcze

trzy razy. Jedna z kul głośno uderzyła na rufie galery o metal.

- Proszę kontynuować, panie Dillon -
prostując się, powiedział Jack. - Moja luneta, szybko.

Słońce było już nisko i przeszkadzało w obserwacji. Kapitan stał, balansując, by zrównoważyć kołysanie, i przysłoniwszy dłonią obiektyw lunety, przyglądał się uważnie dwu postaciom w czerwonych turbanach, za działem na rufie pirackiego statku. Kula muszkietowa uderzyła z prawej strony w łożę bukszprytu „Sophie” i ktoś zaczął z wściekłością wykrzykiwać ordynarne wyzwiska.

- John Lakey nieźle oberwał... - odezwał się za plecami kapitana czyjś przyciszony głos. - Zdaje się, że trafili go prosto w męskość...

Na dziobie brygu znów wypaliło działo, lecz zanim dym przesłonił galerę, Jack podjął już decyzję.

Przeciwnik rzeczywiście celowo gubił

wiatr, umiejętnie operując szotami, tak iż żagle wydawały się wybrane, lecz nie pchały statku z całą mocą. Tylko dlatego stara i ciężka „Sophie”, z porośniętym wodorostami kadłubem, doganiała powoli galerę, w każdej chwili ryzykując utratę przeciążonych masztów, rej i płócien. Algierczycy mogli w każdej chwili uciec, jednak tego nie robili. Dlaczego?

Chcieli odciągnąć bryg daleko na zawietrzną od zdobytego przez nich keta. O to właśnie chodziło.

Dodatkowo liczyli na to, iż uda im się pozbawić „Sophie” masztów, bezkarnie ją ostrzelać (dzięki wiosłom byli niezależni od wiatru) i może nawet zdobyć. Kolejnym powodem mógł być zamiar odciągnięcia brygu na zawietrzną od konwoju, tak by ów żagiel na nawietrznej mógł bezkarnie przechwycić bezbronne statki handlowe. Aubrey spojrział w stronę oddalającego się

powoli keta. Jeśli

„Sophie” ruszy zaraz w pościg, bez kłopotu powinna jednym ostrym halssem dopaść uciekających piratów. Ket był bardzo powolną jednostką - nie miał bombramsli i bramsli, nie mógł równać się z nią pod względem prędkości. Jeśli poczekają jeszcze chwilę, nie uda się zakończyć pościgu przed nocą.

Będą musieli zmusić halsować pod wiatr. Wybór był tylko jeden. Trudna i nieprzyjemna decyzja, jak zwykle.

Nadszedł jednak moment, by ją podjąć.

- Szkoda kul - powiedział Jack, gdy działo odjechało do tyłu. - Proszę przygotować salwę z prawej burty.

Sierzancie Quinn, niech pan dopilnuje swoich ludzi z muszkietami. Gdy galera będzie dokładnie na trawersie, niech mierzą w jej kabinę, za ławkami wioślarzy. Nisko. Proszę strzelać dopiero na komendę. - Wracając na rufę, spojrzał na poczerniałą od prochu twarz Jamesa Dillona.

Porucznik był zły, jeśli nie gorzej, i wyraźnie rozgoryczony... - Do brasów! - zawołał głośno, odkładając w myśli na później tę sprawę. - Panie Marshall, proszę płynąć za ketem. - Na pokładzie rozległ się głuchy pomruk niezadowolenia. - Ostro na wiatr! „Ten drań niczego się nie spodziewa, pošlemy mu więc coś na pamiątkę” - dodał Jack w duchu, stojąc za prawoburtową mosiężną czterofuntówką. Przy tak dużej prędkości „Sophie” obracała się bardzo szybko. Aubrey przykląkł, pochylił się nieco, wszystkie jego zmysły skupiły się na lśniącej mosiężnej lufie i przesuwającej się przed nią tafli morza. Bryg nadal się obracał, wiosła galery z furją uderzyły o wodę. Było już jednak za późno. Gdy statek piracki znalazł się dokładnie na trawersie, o ułamek sekundy przed tym, jak „Sophie” znieruchomiała w dole fali, jej dowódca zawołał: „Ognia!” i wszystkie działa wypaliły jednocześnie, jak na dużym

liniowcu. Ich huk złał się w jedno z
odgłosem strzelających muszkietów.
Chmura dymu odpłynęła z wiatrem i na
pokładzie brygu odezwały się okrzyki
radości. W burcie galery ziała znacznych
rozmiarów wyrwa, a przerażeni
Maurowie w panice biegali tam i z
powrotem. Przez lunetę Jack dostrzegł,
że ich działo rufowe zostało
przewrócone i na pokładzie leży kilka
ciał. Cud nie nastąpił. Nie udało się
zniszczyć steru lub zadać morderczego
ciosu poniżej linii wodnej. W każdym
razie galera przestała być zagrożeniem.
Stwierdziwszy to, Jack skoncentrował
uwagę na uciekającym kecie.

- I jak, doktorze? - zapytał, schodząc do
kokpitu. - Jak sobie pan radzi?

- Całkiem dobrze, dziękuję. Czy bitwa
znów się rozpoczęła?

- Och, nie. To był jedynie strzał przed
dziób keta. Galera została na
południowym zachodzie, widać tylko jej
żagle, a Dillon popłynął łodzią, by

uwolnić Norwegów. Maurowie

wywiesili białą koszulę i poddali się.

Cholerni dranie.

- Ucieszył mnie pan. Naprawdę ciężko

zaszywa się rany, gdy strzelają działa.

Czy mogę obejrzeć pańskie ucho?

- To nic takiego, draśnięcie. Jak pańscy

pacjenci?

- Większości udało mi się pomóc. Mogę

ręczyć za powrót do zdrowia czterech

lub pięciu z nich. Ten człowiek, z

paskudnie rozciętym udem...

Powiedziano mi, że tę ranę spowodował

kawałek drewna, czy to prawda?

- Tak, prawda. Taki duży odłamany

kawał dębowego drewna potrafi nieźle

pokaleczyć. To się często zdarza.

- Ten biedak czuje się już znacznie

lepiej. Połatałem też tego poparzonego.

Czy wie pan, że wycior uderzył

dokładnie między jego bicepsami,

cudem omijając nerw łokciowy? Nie

mogę na razie zająć się artylerzystą...

Leży tu na dole. Jest zbyt ciemno.

- Artylerzystą? Co z nim? Myślałem, że pan go już wyleczył.

- Wyleczyłem. Z najpoważniejszej w mojej praktyce obstrukcji, wywołanej bezmyślnym i szalonym wręcz przedawkowaniem peruwiańskiej kory.

On sam sobie to zaaplikował. Tym razem chodzi jednak o wgniecenie czaszki. Będę musiał przeprowadzić trepanację. Słyszysz pan ten charakterystyczny, chrapliwy oddech?

Myślę, że do rana nic złego się nie wydarzy, lecz gdy tylko wzejdzie słońce, muszę odciąć moją piłą wierzchołek czaszki tego nieszczęśnika... Zobaczy pan jego mózg, kapitanie - dodał doktor z uśmiechem.

- Mój Boże - westchnął Jack zmartwiony. Powoli ogarniała go czarna rozpacz. Tak krwawe starcie bez żadnej zdobyczy. Dwóch wartościowych członków załogi zabitych. Artylerzysta prawie na pewno martwy - nikt nie przeżyje operacji otwierania czaszki -

pozostali również mogą umrzeć. Często

się to przecież zdarzało. Gdyby nie

konwój, można było zdobyć galerę.

Wtedy gra warta byłaby świeczki. -

Co tam znowu? - zawołał, słysząc

okrzyki na pokładzie.

- Coś dzieje się na kecie, sir - wyjaśnił

pierwszy oficer nawigacyjny, gdy Jack

wrócił na pogrążoną w półmroku rufę.

Pan Marshall pochodził z północy, z

Orkney na Szetlandach, i

prawdopodobnie z tego powodu, a może

z racji jakiejś wrodzonej wady

wymowy, w specyficzny sposób

wymawiał „r”. Cecha ta szczególnie się

uwytatniała, gdy był zdenerwowany. -

Wygląda na to, że ci piekielni

barbarzyńcy znów próbują brykać!

- Proszę podejść do keta, panie

Marshall. Oddział abordażowy,

pójdziecie ze mną.

Na „Sophie” zbrasowano mocno żagle,

by uniknąć niepotrzebnych uszkodzeń.

Przedni marsel został

wystawiony na wiatr i obie jednostki
miętko dotknęły się burtami. Jack
sięgnął do ławy wantowej na wysokiej
burcie Norwega i wspiał się na górę po
poszarpanej siatce abordażowej. Za nim
ruszyła posepna i groźna banda. Pokład
keta był zalany krwią: trzy nieruchome
ciała, pięciu poszarzałych z przerażenia
Maurów, przypartych do grodzi i
pilnowanych przez Jamesa Dillona,
Murzyn Alfred King, niemowa, z
abordażowym toporem w dłoni.

- Odprowadzić jeńców - polecił Jack. -
Zamknąć ich w przedniej ładowni. Co
się stało, panie Dillon?

- Nie mogłem się z nim porozumieć, sir,
ale prawdopodobnie ci Maurowie
zaatakowali Kinga między pokładami.

- Czy to prawda, King?

Murzyn wciąż błyskał oczami. Taka
odpowiedź mogła znaczyć cokolwiek.

Ludzie z oddziału

abordażowego wzięli jego broń.

- Czy tak było, Williams? - zapytał

kapitan.

- Nie wiem, sir... - odparł poblądły na twarzy Williams, zdejmując kapelusz.

- Czy tak właśnie było, Kelly?

- Nie wiem, sir - odpowiedział Kelly, dotykając czoła kłykiem palca.

Spoglądał na przemian to na Murzyna, to na Maurów.

- Gdzie jest kapitan keta, panie Dillon?

- Wygląda na to, że ci barbarzyńcy wyrzucili ich wszystkich za burtę.

- Dobry Boże! - zawołał Jack poruszony, choć takie wypadki nie należały do rzadkości. Gniewny gwar na pokładzie „Sophie” dowodził, że i tam dotarła ta przykra wiadomość. - Panie Marshall! - krzyknął, podchodząc do relingu. -

Proszę zająć się jeńcami. Nie chcę żadnego bałaganu. - Spojrzał wzdłuż pokładu, potem na żagle i olinowanie odbitej jednostki. Uszkodzenia były nieznaczne. - Odprowadzi pan ten statek do Cagliari, panie Dillon - polecił półgłosem, wciąż wstrząśnięty

okrucieństwem piratów. - Proszę wziąć
tylu ludzi, ilu panu potrzeba.

Aubrey wrócił na „Sophie” w ponurym
nastroju. Nie zdążył jeszcze dotrzeć na
rufę, gdy jakiś głos wewnętrzny
podpowiedział mu cichutko: „W takim
przypadku ket nie jest tylko uratowaną
jednostką.

Staje się przyzem...” Odegnął szybko tę
myśl, wezwał bosmana i rozpoczął
obchód okrętu, by ustalić kolejność
najpilniejszych napraw. „Sophie”
zaskakująco mocno ucierpiała jak na tak
krótkie starcie, w którym wystrzelono
nie więcej niż pięćdziesiąt pocisków
armatnich. Była pływającym przykładem
tego, ile szkód mogą uczynić
wycelowane po mistrzowsku działa.

Cieśla wraz z dwoma pomocnikami
pracował za burtą, na ławce
bosmańskiej, próbując zakołkować
otwór po kuli, tuż ponad linią wodną.

- Mamy trochę kłopotów, sir -

odpowiedział pan Lamb na pytanie

kapitana. - Nabraliśmy wody. Nie
wygląda jednak na to, byśmy mieli
zatonąć w najbliższym czasie. Nie tym
razem.

- Zmienimy hals, tak żeby było panu
wygodniej. Proszę dać mi znać, kiedy
pan sobie ze wszystkim poradzi. - Jack
zerknął na keta, który powracał na swe
miejsce w konwoju. Po zwrocie kursy
obu jednostek musiały nieuchronnie się
rozejść, a odbity z rąk Maurów statek
stał się nagle dziwnie cenny i ważny.

„Jest wyładowany drewnianymi
belkami, szczecińskim dębem, wełną,
szwedzką smołą i powrozami” -
podpowiadał wewnętrzny głos żarliwie.

- „Można za niego dostać dwa lub trzy
tysiące...

Może nawet cztery...” - Tak, panie Watt,
oczywiście... - odpowiedział
bosmanowi na jakieś pytanie.

Wspięli się obaj na marsa grotmasztu i
oglądali uszkodzone dyby.

- To właśnie odłupany stąd kawałek

pokieroszował biednego pana Daya -

wyjaśnił bosman.

- Naprawdę? To musiał być spory kawał

drewna... Nie możemy jednak tracić

nadziei. Doktor Maturin zamierza...

Zamierza zrobić coś szczególnie

skomplikowanego, jak tylko się

rozwidni. Chce użyć piły chirurgicznej i

będzie potrzebował dziennego światła.

To będzie coś niewyobrażalnie wręcz

mądrego.

Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Och tak, z pewnością, sir - przytaknął

bosman gorliwie. - Mądry z niego

jegomość, nie ma dwóch zdań. Ludzie są

bardzo zadowoleni. Mówią: „To

niesłychanie uprzejme z jego strony że

tak elegancko odciął nogę Neda Evansa

i pozszywał wstydliwe miejsce Johna

Lakeya. Jest przecież tylko pasażerem,

gościem kapitana".

- Tak, to rzeczywiście bardzo uprzejme i

miłe... - zgodził się Jack. - Będziemy tu

potrzebowali dodatkowego

wzmocnienia, panie Watt, dopóki cieśla

nie zajmie się tymi dybami. Najlepiej

będzie użyć grubej liny. Trzeba ją

związać tak mocno, jak tylko się da.

Obyśmy nie musieli składać masztów.

Obejrżeli jeszcze kilka innych

uszkodzonych miejsc i Aubrey wrócił na

dół. Zatrzymał się na chwilę, by

przeliczyć jednostki konwoju, które po

wydarzeniach mijającego dnia płynęły w

bardzo ciasnym i wyrównanym szyku, i

zszedł do swojej kabiny. Siadając na

wyściełanej poduszkami skrzyni,

powiedział bezwiednie:

- Trzy ósme... - Jego umysł pracował od

pewnego czasu na najwyższych

obrotach, starając się obliczyć, ile

wyniosą trzy ósme z 3500 funtów. Taką

właśnie sumę można było przyjąć jako

wartość statku „Dorothe

Engelbrechtsdatter", a trzy ósme

uzyskanej ze sprzedaży przyzu kwoty

przypadały kapitanowi okrętu (minus

jedna trzecia z tego dla admirała). Nie

tylko Aubrey zajęty był w tej chwili podobnymi kalkulacjami, gdyż przy podziale pieniędzy uwzględniani byli wszyscy ludzie znajdujący się na liście załogi. Jedna ósma przypadła Dillonowi i Marshallowi, taką samą część mogli również rozdzielić między siebie bosman, cieśla, oficerowie nawigacyjni i lekarz (gdyby na „Sophie” był ktoś oficjalnie pełniący tę funkcję). Podobny udział w zdobyczy mieli też podchorążowie wraz z chorążymi i sierżantem piechoty morskiej. Pozostali członkowie załogi dzielili się resztą, czyli jedną czwartą zysków. Przyjemnie było patrzeć jak nienawykłe do abstrakcyjnego myślenia mózgi błyskawicznie i z największą dokładnością radziły sobie z tymi liczbami. Uzyskany wynik był zwykle idealnie zgodny z ostatecznymi wyliczeniami podoficera kancelaryjnego. Jack sięgnął po ołówek, chcąc sprawdzić swe przybliżone

rachunki, zawstydził się i cofnął rękę,
ale w końcu zapisał szybko cyfry na
kawałku papieru, maczkiem, na ukos, w
prawym górnym rogu. Gdy rozległo się
pukanie do drzwi, pośpiesznie odsunął
kartkę od siebie. To ociekający wodą
cieśla przyszedł, by zgłosić
zakołkowanie wybitych przez kule
otworów i nie więcej niż osiemnaście
cali wody w zężach.

- To mniej niż połowa tego, czego się
spodziewałem, po tych paskudnych
trafieniach. Oni strzelali bardzo nisko. -

Pan Lamb zawiesił głos i spojrzał na
kapitana z ukosa.

- To świetnie - powiedział Jack.

Cieśla nie zamierzał jednak wychodzić.

Na podłodze utworzyła się dookoła
niego mała kałuża.

- Tych Norwegów z keta spotkał
straszny los - odezwał się wreszcie. -

To wstrętne okrucieństwo, wystarczyło
ich przecież gdzieś zamknąć. Jak można
wyrzucać tak ludzi za burtę? Poza tym,

nasi chorążowie postanowili, że pański

gość... - Cieśla wskazał głową drzwi

kapitańskiej sypialni, w której

tymczasowo mieszkał Stephen Maturin. -

...powinien otrzymać należną lekarzowi

część ich pieniędzy z przyzu. Cała załoga

jest wdzięczna za tak skuteczną pomoc i

oni w ten sposób chcą wyrazić swoje

uznanie.

- Przepraszam, sir - rzekł Babbington,

stając w progu - ket właśnie daje

sygnały.

Aubrey wyszedł na pokład. Dillon

podniósł na swym statku pstrą

zbieraninę flag - prawdopodobnie

wszystkie, jakie udało mu się znaleźć -

informując między innymi, iż ma na

pokładzie zarazę i zamierza zaraz wyjść

z portu.

- Do zwrotu! - wydał Jack komendę.

Gdy „Sophie” znalazła się w odległości

kabla od konwoju, zawołał głośno:

- Ahoj, na kecie!

- Sir! - doleciał a oddali przytłumiony

głos Dillona.

- Mam dla pana dobrą wiadomość.

Wszyscy Norwegowie żyją

- Co takiego?

- Wszyscy... Norwegowie... żyją... -

Obie jednostki przybliżyły się nieco. -

Ukryli się w sekretnym schowku w

forpiku... - wołał dalej Dillon.

- Och! W forpiku... - mruknął oficer

nawigacyjny stojący za sterem. Na

pokładzie panowała grobowa cisza.

Wszyscy nasłuchiwali uważnie.

- Ostro na wiatr! - polecił kapitan ze

złością, gdyż sternik z przejęcia odpadł

odrobinę. - Proszę trzymać kurs ostro na

wiatr!

- Jest ostro na wiatr, sir.

- Kapitan pyta - brzmiał głos Dillona w

oddali - czy nie moglibyście przysłać

nam lekarza, gdyż jeden z jego ludzi,

zbiegając pośpiesznie po drabinie,

uszkodził sobie palec u nogi...

- Proszę przekazać kapitanowi... - głos

Aubreya słysząc było chyba aż w

Cagliari - ...że może sobie wsadzić w...

palec tego swojego człowieka!

Wrócił do kabiny biedniejszy o 875

funtów, rozgoryczony i rozczarowany.

Jack nigdy nie ulegał łatwo minorowym

nastrojom, było to sprzeczne z jego

charakterem. I tym razem bardzo szybko

odzyskał wrodzoną pogodę ducha. Nie

wydawał się jednak szczególnie

uradowany, gdy na redzie Genui wsiadał

do kutra mającego zawieźć go na pokład

admiralskiego okrętu. Spotkanie z

groźnym lordem Keithem, admirałem i

głównodowodzącym floty

śródziemnomorskiej, było bardziej niż

poważną sprawą. Posępny nastrój

dowódcy udzielił się także sternikowi i

załodze łodzi: Aubrey siedział sztywno

na rufie, starannie wymyty, ogolony i

ubrany, a jego ludzie wiosłowali

niemrawo, ze spuszczonej oczami.

Pomimo ślimaczego tempa i tak zbyt

wcześnie znaleźli się w pobliżu okrętu

flagowego „Audacious”. Spoglądając na

zegarek, Jack poleciał więc, by okrążyli
admiralską jednostkę i poczekali w
dryfie. Z miejsca, w którym stali, widać
było całą zatokę, z pięcioma okrętami
liniowymi i czterema fregatami,
oddalonymi o jakieś dwie lub trzy mile
od wybrzeża. Blżej lądu znajdowała się
spora gromada kanonierek i łodzi z
moździerzami, nieustannie
bombardujących wspaniałe i piękne
miasto, rozłożone wznoszącym się
łukiem na stromym brzegu zatoki.

Strzelające jednostki
przesłonięte były obłokami dymu
prochowego, a ich pociski spadały z
wysoka na stłoczone ciasno budynki
przy końcu odległego falochronu. Łodzie
były z tej odległości śmiesznie małe,
doskonale widoczne w krystalicznie
przejrzystym powietrzu domy, pałace i
kościółki wydawały się jeszcze mniejsze
i przypominały dziecięce zabawki.

Dziwnie bliski, realny i groźny był za to
nieprzerwany odgłos wystrzałów oraz

głuchy basowy pomruk

odpowiadających na nie dział

francuskich baterii brzegowych.

Upłynęło wreszcie dziesięć minut i kuter

podszedł pod burtę okrętu flagowego.

Odpowiadając na okrzyk: „Kto na

łodzi?”, sternik podał nazwę „Sophie”, co oznaczało, że na kutrze znajduje się

dowódca okrętu. Jack wszedł na pokład

w przewidziany regulaminem sposób,

zasalutował w stronę pokładu rufówki i

podał dłoń kapitanowi Louisowi. W

chwilę później był w admirałskiej

kabinie.

Miał wszelkie powody, by być z siebie

zadowolonym: doprowadził bez strat

swój konwój do Cagliari, później

następny do Leghorn i dotarł tutaj na

czas pomimo bezwietrznej pogody w

pobliżu Monte Christo. Był jednak

wyraźnie zdenerwowany. Jego umysł

wypełniał lord Keith i gdy okazało się,

że w kabinie nie ma admirała, a przy

oknie stoi wysoka i zgrabna młoda

kobieta, Aubrey przez chwilę łapał

powietrze jak wyjęty z wody karp.

- Jackie, kochanie! - zawołała młoda

dama na jego widok. - Pięknie

wyglądasz w tym stroju. Pozwól mi

poprawić twój kołnierzyk. Co się stało,

Jackie? Jesteś taki przerażony, jakbym

była jakimś wstrętnym Francuzem...

- Queeney! Moja droga Queeney! -

wykrzyknął Jack wreszcie, ściskając ją i

całując z głośnym cmoknięciem.

- Niech to wszyscy diabli! Dawać tu

tego bezwstydnika! - powiedział ktoś ze

złością, z wyraźnym szkockim akcentem,

i admirał wszedł do salonu z rufowej

galeryjki. Lord Keith był wysokim,

siwiejącym mężczyzną. W dziwny

sposób przywodził na myśl

rozzłoszczonego lwa - jego oczy

płonęły wściekłością.

- To właśnie ten młody człowiek, o

którym mówiłam, admirale - wyjaśniła

Queeney, poprawiając szybkim ruchem

niewidoczną fałdę na kurtce blednącego

gwałtownie Jacka, i błysnęła złotym

pierścieniem tuż przed jego nosem. -

Kąpałam go kiedyś i brałam do swego łóżka, gdy miał złe sny.

Podobne słowa mogły się okazać nie najlepszą rekomendacją - wypowiadała

je młoda żona prawie

sześćdziesięcioletniego admirała. Na szczęście poskutkowały.

- Och... - odezwał się lord znacznie

spokojniejszym tonem. - Tak,

zapomniałem. Proszę mi wybaczyć.

Mam pod komendą tylu kapitanów, a

niektórzy z nich to prawdziwi

rozpustnicy...

- „A niektórzy z nich to prawdziwi

rozpustnicy", powiedział, przeszywając

mnie na wylot zimnymi i świdrującymi

oczami - opowiadał Jack, napełniając

kieliszek Stephena Maturina. Wyciągnął

się wygodnie na wyściełanej

poduszkami skrzyni. - Sumienie

podpowiadało mi, że rozpoznał mnie,

mimo iż spotkaliśmy się dotąd tylko

trzykrotnie - za każdym razem w

gorszych dla mnie okolicznościach.

Pierwszy raz widział mnie koło

przylądka Dobrej Nadziei na starym

„Reso”, jako podchorążego. On był

wtedy jeszcze kapitanem i nazywał się

Elphinstone. Wszedł na pokład w dwie

minuty po tym, jak kapitan Douglas

postawił mnie pod masztem. Gdy

Elphinstone zapytał o moje

przewinienie, Douglas odpowiedział:

„Ten przekłety chłopak jest wstrętnym

dziwkarczem. Postawiłem go pod

masztem, żeby nauczył się porządku”.

- Czy to jakieś szczególnie dobre

miejsce do nauki? - zapytał Stephen.

- Cóż. Na pewno łatwiej jest im wtedy

uczyć posłuszeństwa - wyjaśnił Jack z

uśmiechem. - Mogą na przykład

przywiązać człowieka do gretingu i

starannie odbić mu wątrobę biczem.

Postawienie pod masztem równoznaczne

jest ze zdegradowaniem podchorążego,

który przestaje być wówczas młodym

dżentelmenem, a staje się zwykłym

marynarzem. Je posiłki i mieszka w

kubryku razem z szeregową załogą.

Każdy, kto ma w ręku trzcinę lub koniec

liny, ma prawo bezkarnie złoić mu

skórę. Można też zostać ukaranym

chłostą. Nie wierzyłem, że Douglas tak

ze mną postąpi, chociaż wiele razy

groził.

Był przyjacielem mojego ojca i

wydawało mi się, że mnie lubi. Mimo to

ukarał mnie w ten sposób i dopiero po

sześciu miesiącach z powrotem zostałem

mianowany podchorążym. W końcu

byłem mu za to wdzięczny, gdyż dzięki

niemu nauczyłem się rozumieć załogę.

Oni byli zresztą wobec mnie przez cały

czas bardzo serdeczni. Wtedy płakałem

jednak tak gorzko, że czasem brakowało

mi łez, cha, cha, cha.

- Dlaczego był wobec pana aż tak

surowy? Jaki był bezpośredni powód

kary?

- Och. Chodziło o dziewczynę. Ładną

Murzyneczkę imieniem Sally - odparł

Jack. - Przyplłynęła z handlarzem portowym, a ja ukryłem ją w komorze łańcuchowej. Prawdę mówiąc, nie tylko o to chodziło. Nie zgadzałem się z kapitanem Douglasem w wielu sprawach, głównie posłuszeństwa, wstawania wcześniej rano oraz szacunku wobec nauczyciela (mieliśmy nauczyciela na pokładzie, nałogowego pijaka o nazwisku Pitt)... i jedzenia flaków. Po raz drugi lord Keith miał okazję mnie widzieć, gdy byłem piątym na „Hannibalu”, a funkcję pierwszego porucznika sprawował ten cholerny głupiec Carrol. Jedyłą rzeczą, jakiej nienawidzę bardziej od przebywania na łodzi, jest wykonywanie rozkazów idioty, którego w dodatku nie można nazwać marynarzem. Ten człowiek był tak irytujący, tak uparcie wymagał przestrzegania jakichś nieistotnych przepisów regulaminu, że wprost zmuszony byłem wyzwać go na

pojedynek. Tego właśnie chciał: pobiegł do kapitana i o wszystkim mu zameldował. Kapitan Newman uznał to za nonsens, ale zostałem zobowiązany do przeprosin. Nie mogłem jednak się na nie zgodzić, bo nie miałem za co przeproszać. Racja była po mojej stronie, chyba mnie pan rozumie.

Skończyło się na tym, że stanąłem przed sześcioma starszymi kapitanami i dwoma admirałami. Jednym z owych admirałów był lord Keith...

- Jak to się wtedy skończyło?

- Konfliktowość. Udzielono mi oficjalnej nagany za nadmierną drażliwość i konfliktowość. Później był jeszcze trzeci raz, lecz nie chcę opowiadać szczegółów... - Jack

zawiesił głos. - To ciekawa sprawa, wie pan... - odezwał się po krótkim namyśle, patrząc w okno. - To niezwykle ciekawe, bo przecież takich ludzi nie może być w Royal Navy zbyt wielu. Myślę o cholernych durniach, którzy

dosłużyli się wysokich stopni, nie będąc
nigdy prawdziwymi marynarzami.

Pomijam oczywiście tych bogatych... Ja
tymczasem miałem szczęście trafić
przynajmniej na dwóch takich
bałwanów. Tym razem myślałem, że
moja kariera definitywnie się
zakończyła. Tak jak życie tego
nieszczęsnego Borwicka... Spędziłem na
łądzie osiem miesięcy, w głębokiej
melancholii. Wybierałem się do miasta,
gdy było mnie na to stać, i godzinami
przesiadywałem w tej przeklętej
poczekalni, w Admiralicji.

Sądziłem już, że nigdy więcej nie dadzą
mi wrócić na morze, że spędzę resztę
życia jako nędznie opłacany porucznik.

Gdyby nie skrzypce i polowanie na lisa,
gdy tylko mogłem dosiąść konia,
chybabym się wtedy powiesił. Podczas
tamtego Bożego Narodzenia widziałem
Queeney po raz

ostatni. No i potem krótko, w Londynie.

- Czy to pańska ciotka? A może

kuzynka?

- Ależ nie. Nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Wychowaliśmy się jednak razem.

Powiniennem raczej powiedzieć, że to ona mnie wychowała. Odkąd pamiętam, zawsze była dla mnie dużą dziewczynką, choć w rzeczywistości różnica wieku między nami nie jest większa niż dziesięć lat.

Queeney jest taka kochana i dobra. Jej rodzina mieszkała w Damplov, posiadłości położonej tuż obok naszej, prawie w naszym parku. Po śmierci matki spędzałem tam tyle samo czasu co w rodzinnym domu. Więcej nawet... - powiedział Jack zamyślony, wpatrując się w tarczę kompasu nad swoją głową.

- Czy jest panu może znany doktor Johnson? Dictionary Johnson?

- Oczywiście! - zawołał Stephen dziwnie poruszony. - To jeden z najbardziej godnych szacunku współczesnych uczonych. Nie mogę, co

prawda, zgodzić się ze wszystkimi jego
stwierdzeniami, oprócz tego, co mówi o
Irlandii, lecz bardzo go cenię. Co
ciekawe, to on był bohaterem jednego z
moich snów, nie dalej jak tydzień temu.

To naprawdę zaskakujące, że wymienił
pan dziś to
nazwisko...

- Rzeczywiście. Był wielkim
przyjacielem ich rodziny, aż do czasu,
gdy matka Queeney uciekła i poślubiła
pewnego Włocha, papistę. Na pewno
pan sobie wyobraża, jak bardzo
zdenerwowało to moją przyjaciółkę.
Oczywiście nigdy tego człowieka nie
widziała, lecz tak czy inaczej był jej
ojczymem...

„Wszystko, tylko nie katolik” - mówiła. -
„Wolałabym tysiąc razy z rzędu przegrać
w Piotrusia.

Naprawdę”. Spaliliśmy wtedy kolejno
trzyście kukieł przedstawiających tego
drania. To był rok osiemdziesiąty trzeci
lub czwarty. Jej rodzina osiadła potem

w Dampłow na dobre... To znaczy

dziewczęta i ich stara kuzynka...

Kochana Queeney. Chyba już panu o niej wspominałem, prawda? Uczyła mnie matematyki.

- Chyba tak. Studiowała hebrajski, o ile się nie mylę?

- Bez najmniejszych problemów radziła sobie z przekrojami stożka i oryginalnym tekstem pierwszych pięciu ksiąg Starego Testamentu. Tak... Myślałem, że zostanie starą panną pomimo niezwyklej urody.

Jaki mężczyzna mógłby uderzyć w zaloty do dziewczyny znającej hebrajski?

Zawsze wydawało mi się to

niesprawiedliwe. Kobieta tak

opiekuńcza jak ona powinna mieć

gromadę dzieci. Okazało się, że właśnie

poślubiła admirała, więc wszystko

kończy się szczęśliwie... Tyle że on jest

wiekowy, siwy, zbliża się do

sześćdziesiątki, jak mi się zdaje. Co pan

o tym myśli, jako lekarz... Chodzi mi o

to, czy mężczyzna w tym wieku może

jeszcze...?

- *Possibilissima.*

- *Possibile e la cosa, e naturale** -*

zaśpiewał Stephen chrapliwym,
nieprzyjemnym głosem, zupełnie
niepodobnym do tonu, jakim mówił. - *E*
*se Susanna vuol, possibilissima****

* *Possibilissima* (wł.) - rzecz jak
najbardziej możliwa.

** *Possibile e la cosa, e naturale* (wł.)

- to rzecz możliwa i oczywista.

*** *E se Susanna vuol, possibilissima*

(wł.) - jeśli Zuzanna pragnie, to jest to
rzecz jak najbardziej możliwa.

- śpiewał dalej, nieco fałszując, lecz bez
trudu można było rozpoznać *Wesele*
Figara.

- Naprawdę? Naprawdę? - zawołał Jack
z ogromnym zainteresowaniem. Po
chwili namysłu zauważył:

- Moglibyśmy spróbować zagrać to w
duecie, improwizując... Ona przyjechała
do niego do Leghorn.

A ja myślałem, że awansowano mnie dla

mych własnych zasług i z racji

zaszczytnych ran...

- roześmiał się serdecznie. - To jej

sprawka. Chyba i pan w to nie wątpi?

Nie powiedziałem panu

najważniejszego. To też zapewne jej

tylko zawdzięczam. Mamy odbyć

sześciotygodniowy patrol wzdłuż

wybrzeży francuskich i hiszpańskich, aż

do przylądka Nao!

- Tak? Czy to dobrze?

- Oczywiście! Bardzo dobrze. Koniec z

konwojami, rozumie pan? Nie będziemy

już uzależnieni od tych przeklętych

statków handlowych, wlokących się w

ślimaczym tempie tam i z powrotem.

Zajmiemy się teraz Francuzami i

Hiszpanami, a ściślej mówiąc, ich

portami, handlem i dostawami.

Lord Keith bardzo podkreślał

konieczność przerwania ich tras

handlowych. Tak. Właśnie o tym mówił

ze szczególnym naciskiem. To sprawa

równie wielkiej wagi jak bitwy morskie

i o wiele bardziej dochodowa. Admirał
dyskutował o tym ze mną jakiś czas na
osobności. To surowy, dalekowzroczny
dowódca. Oczywiście nie taki jak
Nelson, lecz również inny niż wszyscy.
Cieszę się, że Queeney go poślubiła. Nie
będziemy podczas tej akcji podlegali
niczyim rozkazom, co cieszy mnie
jeszcze bardziej. Żaden łysiejący dureń
nie będzie mógł mnie na przykład
wysłać do Leghorn, z dostawą świń dla
floty, bez najmniejszej szansy na
jakikolwiek przyz. Tak! Pieniądze z
przyzów! - zawołał Aubrey radośnie,
uderzając dłońmi o kolana. Żołnierz
piechoty morskiej, pełniący wartę u
drzwi i uważnie przysłuchujący się
rozmowie, z zadowoleniem pokiwał
głową.

- Czy pieniądze tak dużo dla pana
znaczą? - zagadnął Stephen
zaczekawiony.

- Kocham je, uwielbiam je pasjami - ze
szczerością w głosie odpowiedział Jack.

- Zawsze byłem biedny i marzę o tym, by wreszcie się wzbogacić.

- To prawda - zgodził się wartownik.

- Mój biedny stary ojciec także nigdy nie był zamożny - mówił dalej Aubrey. -

Zawsze jednak był

bardzo szczodry. Wyznaczył mi

pięćdziesiąt funtów rocznej pensji, gdy

byłem podchorążym. To spora suma jak

na tamte czasy... Oczywiście, gdyby

udało się kiedykolwiek przekonać pana

Hoare'a, aby wypłacił mi z niej więcej

niż jedną czwartą... Boże, jakie ja

miałem kłopoty finansowe na starym

„Reso”: rachunki za wyżywienie,

pralnię... Ciągle wyrastałem też z

mundurów. To jasne, że kocham

pieniądze. Wydaje mi się, że

powinniśmy już tam pójść. Właśnie

wybrzmiały dwie szklanki.

Jack i Stephen mieli być dziś gośćmi w

mesie oficerskiej - zaproszono ich, by

spróbowali pieczonego prosięcia

kupionego w Leghorn. W mrocznym

wnętrzu powitali ich Dillon, pan Marshall, ochmistrz i Mowett. Mesa nie miała okien ani otwieranych furt. Światło wpadało do wnętrza jedynie przez niewielki świetlik w części dziobowej. Wynikało to ze specyficznej konstrukcji „Sophie” - bardzo wygodna była tylko kabina kapitana (oczywiście gdyby nogi dowódcy okrętu zostały odcięte nieco powyżej kolan), pozbawiona znajdujących się zwykle w tym pomieszczeniu dział. Mesa oficerska znajdowała się poniżej spardeku, na czymś w rodzaju półki, prawie na dnie. Podczas obiadu z początku panowała sztywna atmosfera, pomimo pięknej bizantyjskiej srebrnej lampy, zabranej kiedyś przez Dillona z pewnej tureckiej galery, i wspaniałego wina. Pełniący obowiązki gospodarza porucznik był bogaty, nawet bardzo bogaty, w porównaniu z innymi oficerami floty. Wszyscy biesiadnicy zachowywali się nienaturalnie dobrze. Aubrey musiał

grać przy stole pierwsze skrzypce,
wiedział o tym doskonale. Tego od
kapitana oczekiwano i to właśnie było
przywilejem dowódcy. Z drugiej strony
uwaga, z jaką wysłuchiowano jego
wszystkich, nawet
najdrobniejszych stwierdzeń, wymagała,
by okazywały się one rzeczywiście
warte szacunku i nieustannego
przyznawania mu racji. Taka sytuacja
była jednak męcząca. Jack przywykł do
normalnych rozmów, podczas których
ludzie przerywali sobie nawzajem,
przeciwstawiali sobie różne stanowiska
i czasem wręcz wyśmiewali cudze
poglądy. Tutaj wszystko, co powiedział,
było słuszne i jego dusza powoli
przestawała sobie radzić z wynikającą z
tego odpowiedzialnością. Marshall i
ochmistrz Ricketts siedzieli jak
odrętwiali, odzywając się półsłówkami
i jedząc z przerażającą precyzją. Młody
Mowett, będący tu również gościem,
także prawie się nie odzywał. Stephen

Maturin był pogrążony w głębokiej zadumie i jedynie Dillon starał się podtrzymać rozmowę.

Dopiero prosię w szczególny sposób odmieniło ów melancholijny nastrój: częściowo za sprawą stewarda, który potknął się w drzwiach mesy, a częściowo za sprawą „Sophie”, która pochyliła się gwałtownie. Prosiak opuścił nagle półmisek i łagodnym łukiem wylądował na kolanach Mowetta.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem i nareszcie stali się na powrót ludźmi.

Swobodna atmosfera przy stole utrzymała się na tyle długo, iż Jack mógł przejść do spraw, które od początku zamierzał

poruszyć w trakcie posiłku.

- Drodzy panowie - powiedział, gdy wzniesiono toast za zdrowie króla. -

Chciałbym przekazać wam wiadomości, które zapewne ucieszą wszystkich tu obecnych. Oczywiście sądzę, że pan

Dillon mi wybaczy, ponieważ pozwolę
sobie wspomnieć o sprawach
związanych ze służbą. Otóż, admirał
wysłał nas na samodzielny patrol
wzdłuż wybrzeża, aż do przylądka Nao.
Mało tego, udało mi się przekonać tu
obecnego doktora Maturina, by pozostał
z nami i opatrywał nasze rany, zadawane
przez okrutnych nieprzyjaciół Jego
Królewskiej Mości...

- Hurra! Wspaniale! Coś takiego! To
pomyślne nowiny! - wołali razem,
szczerze zadowoleni. Stephen był
głęboko wzruszony nie ukrywaną
sympatią, z jaką wszyscy spoglądali w
jego stronę.

- Lord Keith był zachwycony, gdy
wspomniałem mu o decyzji doktora -
mówił dalej Jack. - Przyznał, że bardzo
nam zazdrości, gdyż sam na okręcie
flagowym nie ma lekarza z prawdziwego
zdarzenia.

Był bezgranicznie zdumiony moją
opowieścią o mózgu naszego

artylerzysty. Poprosił o lunetę, by

spojrzeć na pana Daya

odpoczywającego na pokładzie.

Własnoręcznie wypisał rozkaz przyjęcia

doktora do służby, co w naszej flocie

jest rzeczą niespotykaną. Ja w każdym

razie nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Również żadnemu z obecnych nigdy nie

było dane zetknąć się z podobnym

przypadkiem. Rozkaz należało teraz

odpowiednio uczcić. Killick pognał

więc po trzy butelki porto, potem

wszyscy wstali, schylając głowy pod

belkami stropu, i odśpiewali radosny

toast na cześć doktora siedzącego ze

skromnie spuszczonej oczami.

- Jest pewna rzecz, którą nie warto się

przejmować - przemówił Jack, gdy

rozkaz z nabożną czcią podawano sobie

z rąk do rąk dookoła stołu. - Chodzi mi o

natarczywe upieranie się przy słowie

„felczer”: „Niniejszym mianuję pana

felczerem... jest pan zatrudniony jako

felczer... z wynagrodzeniem

obejmującym również zwrot kosztów pańskiego wyżywienia, w wysokości zwyczajowo przewidzianej dla felczera wspomnianego wyżej słupa". To niezgodne z rzeczywistością określenie, nie do przyjęcia dla miłującego prawdę filozofa.

- To prawda, iż trudno pogodzić się z tym, że pewne rzeczy nazywane są niewłaściwie - zauważył

James Dillon. - W marynarce wojennej jest to jednak normalna praktyka, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Na przykład słowo „słup”.

- Tak? - zaciekał się Stephen. Jego oczy zwięzły się za sprawą wypitego wina, a po trochu dlatego, iż usilnie próbował przypomnieć sobie poznane dotąd morskie określenia.

- Słup, jak pan zapewne wie, to jednomasztowa jednostka z dwoma skośnymi żaglami. W Royal Navy okręt o takiej nazwie może mieć nawet trzy

maszty, jak fregata.

- Niech pan weźmie choćby „Sophie”! -

zawołał pan Marshall, usilnie chcąc

wtrącić swoje trzy grosze.

- To bryg, doktorze, ponieważ ma dwa

maszty. - Uniósł w górę dwa palce, w

razie gdyby szczur lądowy tego nie

rozumiał. - W chwili jednak, gdy kapitan

Aubrey postawi stopę na jej pokładzie,

„Sophie” przestaje być brygiem i staje

się słupem, ponieważ brygiem powinien

dowodzić porucznik.

- Weźmy też i mnie - dodał Jack. - Mówi

się o mnie „kapitan”, chociaż w

rzeczywistości kapitanem zostaje się

dopiero po otrzymaniu prawa do

noszenia drugiego epoletu.

- To prawda. Podobnie wygląda sprawa

z miejscem, w którym śpi załoga -

mówił ochmistrz,

wskazując palcem w stronę dziobu. -

Oficjalnie tamten pokład nazywa się

pokładem działowym, chociaż nie stoi

na nim ani jedno działo. Tu, na okręcie,

nazywamy ten pokład spardekiem,
choć niektórzy nadal mówią, że to
pokład działowy. Pokład, na którym są
działa, to pokład górny lub główny...
Nawet nasz bryg nie jest prawdziwym
brygiem z racji swego rejonowego grotu...

- Tak, sir. Nie powinien pan
przejmować się oficjalnymi nazwami -
podsumował James Dillon. -

Niech pan nie bierze ich sobie zbyt
do serca. Mamy w Royal Navy
kapitańskich służących, którzy w
rzeczywistości są podchorążymi, a w
księgach okrętowych można znaleźć
starszych marynarzy, którzy nie noszą
jeszcze spodni... Nie, może pan nazywać
swe nowe stanowisko, jak pan zechce,
pod warunkiem, iż będzie pan robił to,
co do pana należy. W marynarce
posługujemy się pewnymi symbolami i
każdemu z nich można przypisywać
dowolne znaczenie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czystopis dziennika okrętowego

„Sophie” pisany był wyjątkowo
pięknym, kaligraficznym pismem Davida
Richardsa, lecz pod wszystkimi innymi
względami przypominał dzienniki
prowadzone na innych okrętach
wojennych. Wydarzenia odnotowywano
zawsze w ten sam, oficjalny i
beznamiętny sposób. Zapis o otwarciu
kolejnej beczki z peklowaną wołowiną
nie różnił się wiele od informacji o
śmierci sanitariusza. Nawet w notatce o
zdobyciu pierwszego pryzu nie można
było doszukać się jakichkolwiek emocji.

Czwartek, 28 czerwca. Wiatr zmienny,

SE do S. Kurs: S50W. Przebyta

odległość: 63 mile. Pozycja: 42°32'N, 4°17'E. Przylądek Creus S76°W 36

Mm. Umiarkowana bryza, pełne

zachmurzenie. Godz. 7

pojedynczo zrefowano marsie. Po

południu pogoda bez zmian. Ćwiczenia

w strzelaniu z dział. Załoga

zatrudniona przy różnych drobnych

pracach. Piątek, 29 czerwca. Wiatr S,

potem E... słaby, bezchmurne niebo.

*Ćwiczenia w strzelaniu z dział. Rano
załoga zatrudniona przy czyszczeniu
łańcucha kotwicznego. Wiatr
umiarkowany, częściowe zachmurzenie.*

Potrójnie zrefowano

*grotmarszagiel, wymieniono i
maksymalnie zrefowano fokmarszagiel.*

*O godz. 4 silny wiatr, zrzucano
rejowego grota. O godz. 8 wiatr
umiarkowany, postawiono zrefowany
grotzagiel. W południe bezwietrznie.*

Zmarł Henry Gouges, sanitariusz.

Ćwiczenia w strzelaniu z dział.

*Sobota, 30 czerwca. Wiatr słaby,
chwilami bezwietrznie. Ćwiczenia w
strzelaniu z dział. Ukarani: Jno.*

*Shannahan i Thos. Yates, po 12 batów
za pijaństwo. Zabito cielaka o wadze
530 funtów. Zapas wody pitnej: 3 tony.*

*Niedziela, 1 lipca... Zbiórka i apel
załogi. Odczytano przepisy prawa
wojennego, odprawiono nabożeństwo, pochowano Zgodnie z ceremoniałem
morskim Henry'ego Gougesa. W
południe pogoda bez zmian.*

Pogoda bez zmian. Słońce zaszło jednak
za intensywnie purpurowym pasem
skłębionych chmur, daleko na
horyzoncie, i dla każdego człowieka
morza było jasne, iż taka aura nie
utrzyma się długo.

Marynarze - wylegujący się na
forkasztelu lub czeszący długie włosy i
zaplatający sobie nawzajem warkoczyki
- cierpliwie objaśniali szczerom
lądowym oczywiste oznaki
nadchodzącego piekła.

Wszystko zapowiadało prawdziwą
wojnę żywiołów: długa fala z południa i
wschodu, lepkie ciepło wiszące w
powietrzu i buchające z powierzchni
coraz mocniej wzburzonego morza,
groźny kolor tarczy słonecznej.

Szykowała się wstrętna noc, a ludzie
byli już wystarczająco przerażeni
nienaturalną śmiercią Henry'ego

Gougesa. Biedaczyna powiedział: „Cha,
cha, cha, koledzy, kończę dzisiaj równo
pięćdziesiąt lat. O Boże...” i skonał,

siedząc przy stole, z pełnym kubkiem
grogu w dłoni. Było niedzielne
popołudnie i wszyscy mieli sporo czasu,
by o tym rozmyślać: tego dnia po
obiedzie forkasztel jak co tydzień
zapełnił się odpoczywającymi
marynarzami. Większość z nich
zajmowała się myciem i czesaniem
włosów, które rekordzistom po
rozpuszczeniu warkocza sięgały aż do
pasa.

Widok czeszących swe zadziwiające
włosy wilków morskich podsycił
niepokój w sercach zatrwo-
żonych poborowych.

Marynarze na ogół przesadzali w swych
prognozach, lecz tym razem ich
zapowiedzi dokładnie się sprawdziły.

Południowo-wschodni wiatr
gwałtownie przybierał na sile: od
ostrzegawczych
podmuchów pod koniec psiej wachty do
porywistej wichury w południe
następnego dnia. Strumień rozpędzonego

powietrza przyniósł ze sobą ulewny,
ciepły deszcz; był tak obfity, iż chcąc
zaczerpnąć oddech, ludzie za kołem
sterowym musieli pochylać głowy i
zasłaniać dłońmi usta. Fale spiętrzały
się coraz bardziej - nie tak wielkie jak
na Atlantyku, lecz o wiele bardziej
stromie i gniewne. Bryg momentami
znikał w ich dolinach, na chwilę
zasłonięty od wiatru. Szczyty grzywaczy
odrywały się i ulatywały w górę, jakby
chciały się ścigać między marsami.

„Sophie” żeglowała pod sztormowym
sztaksem i trzeba przyznać, że radziła
sobie doskonale. Nie była nigdy zbyt
szybka, nie wyglądała groźnie czy
wspaniale, lecz ze zdjętymi na pokład
stengami masztów, dodatkowo
zamocowanymi działami i
uszczelnionymi lukami, sztormowała
beztrosko, jak stara doświadczona
kaczka. Otwarta była jedynie specjalnie
osłonięta zejściówka na rufie, ale i tak
na pokład dostawało się zaskakująco

mało wody. Dowódca z zadowoleniem patrzył, jak jego jednostka wspina się odważnie po pokrytym pianą zboczu fali, przecina dziobem skłębioną grzywę na jej szczycie i miękko osuwa się w dół.

Stał z ramieniem oplecionym dookoła baksztagu, ubrany w brezentową kurtkę i perkalowe spodnie. Jego długie jasne włosy, rozpuszczone na wzór lorda Nelsona, unosiły się, gdy znajdowali się na grzbiecie fali, i opadały w dole między spienionymi bałwanami, tworząc naturalny wiatromierz. „Sophie”

wytrwale posuwała się do przodu po wzburzonym, oświetlonym księżycowym światłem morzu i Jack musiał przyznać, iż nie pomylił się co do jej morskiej dzielności.

- Nasz okręt bardzo sucho sztormuje - z satysfakcją powiedział do Stephena, który woląc umrzeć na górze, wyczołgał się na pokład. Doktor został tu przywiązany do wspornika i stał teraz w milczeniu za plecami kapitana,

przemoczony i panicznie przestraszony.

- Proszę?

- Nasz - okręt - bardzo - sucho -

sztormuje! Stephen niecierpliwie

wzruszył ramionami: to nie był czas na

żarty.

Wiatr ucichł po wschodzie słońca. O

wpół do siódmej rano po sztormie

pozostała tylko rozkołysana martwa fala

i pasmo skłębionych chmur, nisko na

północnym zachodzie, nad Zatoką

Lwów. Niebo było wręcz

niewiarygodnie czyste. W idealnie

przejrzystym powietrzu Stephen mógł

bez trudu określić kolor nóżek małego

petrela, przelatującego o dobre

dwadzieścia jardów za rufą.

- Pamiętam wszechogarniający,

paraliżujący strach - powiedział, patrząc

za odlatującym ptakiem. -

Nie potrafię sobie jednak przypomnieć,

na czym to uczucie polegało. Nie umiem

opisać tego, co działo się we mnie.

Sternik za kołem i oficer wachtowy

spojrzeli na siebie z zażenowaniem.

- To coś podobnego do przeżyć kobiety
podczas porodu - kontynuował,
podchodząc bliżej relingu, by śledzić lot
petrela. Mówił coraz głośniej. Sternik i
oficer rozglądali się trwożnie dookoła:
ktoś mógłby usłyszeć te potworne
brednie. Wygłaszał je przecież nie kto
inny, jak ich lekarz okrętowy,
cudotwórca, który w jaskrawym świetle
dnia, na głównym pokładzie, otworzył
czaszkę artylerzysty, nazywanego teraz
Łazarzem. Od tego czasu doktor był
przez wszystkich bardziej niż poważany,
lecz teraz brnął w stronę czegoś
absolutnie niestosownego. - Pamiętam
pewien przypadek...

- Żagiel na horyzoncie! - zawołał
obserwator na maszcie, wybawiając
wszystkich z niezręcznej sytuacji.

- Gdzie?

- Na zawietrznej. Dwa, trzy rumby od
trawersu. Feluka. Mają jakieś kłopoty...

Wszystko puścili luzno.

„Sophie” zmieniła kurs i już po chwili z jej pokładu można było dostrzec felukę, unoszącą się i opadającą na fali. Nie próbowała uciekać, płynąć innym kursem lub stanąć w dryfie. Jej żagle powiewały w nieregularnych podmuchach słabnącego wiatru. Nie zareagowała na sygnały brygu, nikt nie odpowiedział na wołanie. Przy sterze feluki nie było nikogo. Przez lunetę widać było, iż rumpel przelatuje swobodnie z burty na burtę.

- Ktoś leży na pokładzie! - wykrzyknął Babbington, dumny, iż może wykazać się spostrzegawczością.

- Przy takiej fali trudno będzie opuścić łódź - mruknął Jack pod nosem, raczej do siebie. - Williams, proszę podejść jak najbliżej. Panie Watt, niech pan postawi kilku ludzi z odbijaczami. Co pan myśli o tym statku, panie Marshall?

- Cóż, sir. Moim zdaniem ta feluka pochodzi z Tangeru lub Tetuanu, w każdym razie na pewno z zachodniej

części wybrzeża...

- Człowiek w tej kwadratowej dziurze

zmarł na skutek zarazy... - oznajmił

Stephen Maturin, trzymając przy oku

lunetę.

Po tych słowach zapanowała

nienaturalna cisza, tak iż słyszeć było,

jak wiatr szepce coś w wantach na

nawietrznej. Odległość między

jednostkami malała szybko i wszyscy

teraz widzieli nieruchome ciało

przewieszane przez otwór rufowej

zejściówki. Półnagi mężczyzna leżał też

w kłębowisku splątanych lin przy sterze.

- Proszę trzymać okręt na pełnych

żaglach - polecił Jack. - Doktorze, czy

jest pan absolutnie tego pewny? Proszę

spojrzeć przez mój teleskop.

Stephen popatrzył przez kapitańską

lunetę i stwierdził stanowczo:

- Nie ma najmniejszej wątpliwości.

Przygotuję moją torbę i przejdę na ich

pokład. Może komuś udało się przeżyć.

Feluka dotykała już prawie burty

„Sophie" i oswojona mangusta - na barbarzyńskich statkach często trzymano te tępiące szczury zwierzęta - wspięła się na reling, gotowa do skoku. Stary Szwed o nazwisku Volgardson, wyjątkowo dobrotliwy i łagodny człowiek, rzucił w nią myjką, strącając zwierzę na pokład. Wszyscy stojący wzdłuż burty ludzie krzyczeli i gwizdali, usiłując je odstraszyć.

- Panie Dillon, proszę zmienić hals -
zadecydował Jack.

Pokład „Sophie" ożył natychmiast.

Rozległy się gwizdki bosmana, ludzie ruszyli biegiem na stanowiska. W tym zamieszaniu Stephen zawołał:

- Proszę wysłać łódź...! Protestuję...!

Jack chwycił doktora mocno za łokieć i siłą odprowadził do kabiny.

- Szanowny panie... - tłumaczył łagodnie. - Przykro mi, lecz nie może pan nalegać na wysłanie tam łodzi, a tym bardziej protestować. To jawny bunt, a jako buntownika musiałbym pana

powiesić.

Gdyby tylko dotknął pan nogą pokładu tej feluki, nawet gdyby nie przywłókł pan na nasz okręt zarazy, musielibyśmy w Mahon podnieść żółtą flagę. Wie pan chyba, co to oznacza. Czterdzieści cholernych dni kwarantanny na wyspie i kula w łeb, jeżeli tylko wychyli się nos za palisadę. O to tutaj chodzi...

Niezależnie od tego, czy przeniósłby pan do nas chorobę czy nie, połowa ludzi umarłaby ze strachu.

- Czy mam rozumieć, że odpłynie pan od tego statku, nie próbując nawet udzielić pomocy?

- Oczywiście.

- Cała odpowiedzialność za ten postępek spada zatem tylko i wyłącznie na pańskie sumienie.

- Jak najbardziej.

W dzienniku okrętowym znalazła się jedynie drobna wzmianka o tym incydencie. Używając beznamiętnego, oficjalnego języka,

trudno byłoby zresztą przedstawić
sytuację, w której lekarz okrętowy
pogroził pięścią kapitanowi. Całe
wydarzenie zarejestrowano niezbyt
szczegółowo: *sprawdzono felukę, 1/4
po godz. 11 powrócono na poprzedni
kurs*. Karty dziennika okrętowego
czekały na inny wpis, najszcześniejszy
od wielu lat (kapitan Allen był
pechowym dowódcą: większość czasu
spędził, pływając w konwojach, a
podczas patroli morze dookoła niego
pustoszało - nigdy nie zdobył żadnego
pryzu): *...Po południu wiatr
umiarkowany, słabnący. Postawiono
bramstengi masztów. Otwarto beczkę z wieprzowiną nr 113. Zawartość
częściowo zepsuta. O godz. 7
zauważono żagiel w kierunku
zachodnim. Postawiono żagle w
pościgu.*

Kierunek zachodni oznaczał w tym
przypadku kurs dokładnie z wiatrem, a
postawienie żagli równało się z
rozpostarciem na masztach wszystkiego,

czym „Sophie” dysponowała, łącznie z kompletem dodatkowych, bocznych żagli. Rozwinięto również bombramsle, a nawet bonnety. Ściągana jednostka okazała się bowiem sporą polakrą z ożaglowaniem łacińskim na fokmaszcie oraz stenmaszcie i z rejowym na grotmaszcie. Była więc statkiem francuskim lub hiszpańskim i na pewno cennym przyzem, gdyby udało się ją dopaść. Polakra jednak wcale nie miała ochoty dać się złapać. W chwili, gdy została dostrzeżona, leżała w dryfie, a jej załoga naprawiała uszkodzony podczas sztormu grotmaszt.

Zanim na „Sophie” wybrano szoty bramslu, polakra uciekała już z wiatrem, z postawionymi wszystkimi żaglami.

Była bardzo płochliwa, wyraźnie nie lubiła podobnych niespodzianek.

„Sophie”, na której było wielu wprawionych w stawianiu żagli ludzi, przez pierwszy kwadrans pokonywała dwie mile na jedną milę uciekającej

jednostki. Gdy jednak polakra postawiła wszystkie płótna, szansę prawie się wyrównały. Obie jednostki żeglowały pełnym baksztagiem i za sprawą olbrzymiego rejowego grotzagli bryg wciąż miał lekką przewagę.

Rozpędziwszy się maksymalnie, płynął z prędkością ponad siedmiu węzłów, na polakry sześć. Mimo to, odległość dzieląca go od potencjalnej zdobyczy wynosiła około czterech mil, a do zapadnięcia ciemności pozostały zaledwie trzy godziny. Księżyc miał wzejść dopiero o wpół do trzeciej nad ranem. Mogli mieć jedynie nadzieję, iż jakaś część osłabionego po ciężkiej sztormowej nocy osprzętu ściganego statku nie wytrzyma na-poru wiatru. Z forkasztelu „Sophie” w rufę polakry nieustannie wpatrywały się uzbrojone w lunety oczy.

Jack stał z prawej strony łoża bukszprytu i marzył o szczęśliwym zakończeniu pościgu. Chętnie dałby sobie odciąć

prawą rękę w zamian za skuteczne
działo pościgowe. Spojrzał za siebie, na
maszty, i przez chwilę przyglądał się fali
przed dziobem oraz odpływającej w tył
wzdłuż burt wodzie. Wydało mu się, że
przy obecnym trymie tylne żagle za
mocno przegłębiają przednią część
kadłuba. Zbyt duża powierzchnia
płócien mogła w ten sposób hamować
ruch okrętu, zamiast go przyspieszać.

Polecił
więc, by zwinięto tylny bombramżagiel.

Nigdy jeszcze żaden rozkaz nie był
wykonywany z tak wielką niechęcią.

Jack nie pomylił się jednak, odczyty z
logu były tego najlepszym dowodem.

„Sophie”
pobiegła po falach odrobinę lżej i trochę
szybciej - popychająca ją siła wiatru
przyłożona była teraz bardziej z przodu.

Słońce zaszło z prawej strony za
horyzontem, wiatr zaczął skręcać na
północ i w porywach wyraźnie
przybierał na sile. Zapadał zmrok.

Polakra nadal znajdowała się w odległości około trzech czwartych mili, wciąż utrzymując kurs na zachód. Gdy wiatr przeszedł w pobliże trawersu, na brygu postawiono sztaksle i gaflowego grota. Jack spojrział w górę i kazał zbrasować mocniej fokbombramzagiel. Gdy opuścił wzrok, pokład „Sophie” tonął już w mroku.

Z pokładu rufówki było jeszcze widać uciekający pod pełnymi żaglami statek, a może tylko jakąś przypominającą go białą zjawę. Jack przeniósł się z powrotem na rufę. Stał tam, nie wypuszczając z dłoni nocnej lunety, i od czasu do czasu przyciszonym głosem wydawał rozkazy.

Ściemniało się coraz bardziej, aż w końcu polakra znikła zupełnie.

Wyparowała niespodziewanie. W miejscu, gdzie przed chwilą majaczyły jej żagle, można było teraz dostrzec rozkołysane morze i wschodzącego ponad horyzontem Regulusa.

- Na maszcie! - zawołał cicho kapitan. -

Czy coś widać?

- Nic, sir. Tego statku nigdzie nie ma... -

padła dopiero po chwili odpowiedź.

No właśnie. Co robić? Jack musiał

przez chwilę pomyśleć. Chciał

zastanowić się nad sytuacją tu, na

pokładzie, w spokoju, czując na twarzy

każdy zmieniający się podmuch wiatru,

tuż przy podświetlonej tarczy kompasu.

Obowiązujące we flocie zwyczaje i

zasady na szczęście nie stały temu na

przeszkodzie.

Bez najmniejszej trudności mógł

skorzystać ze swej kapitańskiej

niezależności (od której tak wielu

dowódców okrętów przewracało się w

głowie). Mógł wyizolować się z

otaczającego go świata, był

teraz sam na sam ze swymi myślami. W

pewnej chwili zauważył, że Dillon kazał

Maturinowi odejść.

Zarejestrował ten fakt w pamięci, nawet

na chwilę nie przestając analizować

możliwych rozwiązań najważniejszego problemu. Polakra zmieniła już kurs lub uczyni to za chwilę. W jakim kierunku popłynie? Gdzie znajdzie się o świcie? Odpowiedź na te pytania zależała od wielu czynników. Od tego, czy ów statek był francuski czy hiszpański, czy zmierzał do macierzystego portu, czy płynął z niego, od przebiegłości załogi i kapitana, wreszcie ponad wszystko od wiatru oraz żagli. Od początku starał się brać pod uwagę wszystkie te możliwości. Zaczął je analizować już wtedy, gdy po raz pierwszy ustawił lunetę w kierunku ściganej jednostki. W końcu, w rezultacie zawiłego procesu dedukcji (o ile można tak określić jego tok rozumowania), doszedł do wniosku, że polakra wykonała zwrot lub dryfuje gdzieś tutaj bez żagli, tak by nie można jej było dostrzec; liczy na to, iż podążająca na północ „Sophie” wkrótce przepłynie obok. Tak czy inaczej, ścigany statek na pewno przetnie

kilwater brygu i skieruje się, a może już to zrobił, ostrym kursem w stronę Agde lub Sete.

Wykorzystując fakt, iż łacińskie ożaglowanie pozwala płynąć znacznie bliżej linii wiatru, statek do rana umknąłby pogoni. Jeśli rzeczywiście takie były ich zamiary, „Sophie” powinna natychmiast wykonać zwrot i również ruszyć kursem na wiatr, nie forsując zbyt płócien. Należało bowiem przypuszczać, że polakra postawi tylko przednie i tylne żagle.

Nawet podczas pościgu jej uszkodzony grotmaszt był wyraźnie oszczędzany.

Jack wszedł do kabiny pierwszego nawigatora i przymrużywszy oczy nie przyzwyczajone do światła, sprawdził pozycję. Porównał ją szybko z obliczeniami Dillona i wrócił na pokład, by wydać rozkazy.

- Panie Watt, zrobimy teraz zwrot... - zapowiedział półgłosem. - Chcę, żeby wszystko odbywało się w zupełnej

ciszy. Bez gwizdków, krzyków i poganiania.

- Tak jest, sir. Bez gwizdków. - Bosman ruszył szybko na pokład. - Do zwrotu przez sztag! - wołał chrapliwym, trudnym do zrozumienia szeptem.

Efekt był piorunujący, nie tyle za sprawą tego polecenia, co sposobu, w jaki je wydano. Kapitan zrozumiał nagle, że cała załoga obdarzyła go ślepym wręcz zaufaniem. Wiedział jednak, że w przypadku pomyłki utraci je bezpowrotnie.

- Bardzo dobrze, Assou - pochwalił stojącego za kołem sterowym Hindusa.

„Sophie” powoli zbliżała się do linii wiatru. - Ster na nawietrzną - polecił cicho. W normalnych warunkach

podobną komendę słyszeć było od horyzontu po horyzont. - Luzować szoty!

- Bose stopy zatupały cicho na pokładzie i rozległy się uderzenia szotów sztaksli o sztagi. Czekał cierpliwie, aż wiatr

znalazł się o rumb od dziobu, i zawołał
nieco głośniej: - Wybierać szot grota! -
Bryg przeszedł linię wiatru i odpadał
powoli do pełnego bajdewindu. Padały
następne przyciszone komendy,
niewidoczni prawie w mroku
żołnierze i ludzie z obsługi dział
wybierali sprawnie brasy, jak
najbardziej doświadczeni marynarze.

Nawietrzne buliny naprężyły się i okręt
ruszył do przodu nowym kursem, na
północny wschód, pod zrefowanymi
marsłami.

Kapitan Aubrey zszedł na dół. Nie
chciał zapalać niepotrzebnego światła w
swej kabinie, a szkoda mu było czasu na
zasłanianie okien. Schylając się, zajrzał
więc do mesy oficerskiej. Ze
z dumieniem zauważył Dillona grającego
w szachy z doktorem Maturinem. Co
prawda, wachta porucznika właśnie
odpoczywała, lecz Jack w podobnej
sytuacji nigdy nie opuściłby pokładu.
Ochmistrz odczytywał

tymczasem na głos fragmenty z

„Gentleman's Magazine”, okraszając je
od czasu do czasu własnymi uwagami.

- Proszę sobie nie przeszkadzać,

panowie - zawołał, wchodząc, gdyż

wszyscy obecni na jego widok

poderwali się z miejsc. - Przyszedłem

tylko na chwilę skorzystać z waszej

gościnności.

Przyjęli go bardzo uprzejmie: wino,

ciastka, ostatnie wydanie „Navy List”.

Był jednak intruzem.

Naruszał ich prywatność. Cięte uwagi

ochmistrza ucichły, a partia szachów

została odłożona. Tak jakby w mesę

uderzył piorun Zeusa siedzącego na

Olimpie. Stephen mieszkał teraz tutaj.

Jego kabinę stanowiło coś w rodzaju

drewnianego kredensu, z tyłu, za

wiszącą u sufitu lampą; doktor wydawał

się pełnoprawnym członkiem tej

społeczności. Jack poczuł się tym

dziwnie dotknięty. Po krótkiej rozmowie

(jego zdaniem była to niepotrzebna

wymiana wyszukanie uprzejmych zdań)

wrócił na górę.

Gdy tylko postać kapitana pojawiła się

w świetle zejściówki, pierwszy

nawigator i Ricketts przeszli

pośpiesznie na lewą burtę. Dowódca

podjął więc swą samotną, przerwana

wcześniej wędrówkę tam i z powrotem

po pokładzie.

Na początku środkowej wachty niebo

całkowicie się zachmurzyło i gdy

zabrzmiały przyciszone dwie szklanki,

spadł ulewny deszcz. Krople wody,

spadające na rozgrzaną przez lampę

pokrywę kompasu, wyparowywały z

sykiem. Wszedł księżyc, wąski i tak

blady, że trudno go było zauważyć. Jack

poczuł straszliwy głód, nie przestał

jednak chodzić w kółko, co chwila

zerkając odruchowo w ciemność na

zawietrznej.

Trzy szklanki. Wracający z obchodu

kapral zameldował cicho, że wszystko w

porządku. Cztery szklanki. Było w końcu

tylę innych możliwości. Ścigany statek
równie dobrze mógł popłynąć w innym
kierunku, niekoniecznie do Sete. Są
przecież tysiące portów.

- Co takiego? Chodzi pan po deszczu w
koszuli? To czyste szaleństwo -
zabrzniał głos Stephena Maturina tuż za
plecami kapitana.

- Ciszej! - syknął pełniący wachtę
Mowett, który nie zauważył wcześniej
wychodzącego na pokład doktora.

- To naprawdę szaleństwo. Nie można
lekceważyć chłodnego nocnego
powietrza, zwłaszcza gdy jest wilgotne.

Jeśli musi pan spacerować po nocy,
proszę nakładać wełniane okrycie.

Ciepły płaszcz dla kapitana! Sam
przyniosę...

Pięć szklanek i następna ulewa. Zmiana
na sterze, szeptem przekazywany kurs,
rutynowe czynności.

Sześć szklanek i na wschodzie ciemność
zaczęła się jakby rozrzedzać. Nadal
obowiązywał nakaz zachowywania

absolutnej ciszy. Ludzie na palcach
pośpieszyli, by ustawić reje. Tuż przed
siedmioma szklankami marynarz
pełniący służbę na oku zakaszał i
zawołał ostrożnie, na tyle jednak głośno,
by można go było usłyszeć: - Na
pokładzie! Sir, myślę, że ich widać, na
zawietrznym rawersie! Tak mi się
zdaje...

Jack włożył lunetę do kieszeni
przyniesionego przez Stephena płaszcza
i pośpiesznie wspiął się na marsa
grotmasztu. Objął ramieniem wantę i
ustawił teleskop w kierunku
wskazywanym przez
wyciągnięte ramię marynarza. Pierwsze
nieśmiałe promyki brzasku z trudem
przekradały się przez trwającą w oddali
ulewę i skłębione chmury nisko na
zawietrznej. Na ich tle - z majaczącymi
niewyraźnie bielą łacińskimi żaglami -
płynęła polakra, oddalona od brygu nie
więcej jak o pół mili.

Deszcz wkrótce znowu wszystko

zasłonił. Jack zdołał się jednak upewnić,

iż rzeczywiście dopadli ściganą od

wczoraj jednostkę. Jej grotmaszt był

złamany tuż przy dybach stengi.

- Wspaniale, Anderssen... - Poklepał

marynarza po ramieniu.

Mowett wraz z resztą wachty czekał w

milczeniu na dole. Na twarzach widać

było pełną napięcia ciekawość.

- Są dokładnie na zawietrznej. Może pan

oświetlić okręt, panie Mowett. Niech

zobaczą naszą siłę.

Lepiej, żeby nie próbowali zrobić

czegoś głupiego... Mogliby na przykład

wystrzelić z działa i zranić kogoś z

naszej załogi. Proszę dać mi znać, kiedy

wejdzie pan na ich pokład...

Aubrey zszedł na dół, poleciwszy

uprzednio, by przyniesiono mu lampę i

coś ciepłego do picia. Już w kabinie

słyszał, jak Mowett wydaje komendy

pisikliwym z przejęcia głosem.

Podchorąży po raz pierwszy w życiu

samodzielnie manewrował okrętem i

chętnie oddałby teraz życie za swego

kapitana.

„Sophie” powoli zmieniała kurs i

rozwinęła skrzydła.

Jack siedział oparty o ścianę,

naprzeciwko łagodnie zakrzywionej linii

okien rufowych, i małymi łykami pił coś,

co według Killicka uchodziło za kawę.

Gorący napój przyjemnie rozgrzewał

wyglodzony żołądek. Błogie ciepło

rozlewało się po całym ciele wraz z

wszechogarniającą falą niewysłowionej

wręcz radości i dumy. Radości, którą

dowódca innego okrętu, pamiętający

swą pierwszą zdobycz, umiałby jakoś

odnaleźć w beznamiętnym zapisie w

dzienniku okrętowym: *1/2 po godz. 10*

zwrot przez sztag, godz. 11 zrefowano

marsie. Rano pochmurno i deszcz. 1/2

po godz. 4

zauważono ścigany statek na

zawietrznej w odległości 1/2 mili. Po

zmianie kursu zajęto wspomnianą wyżej jednostkę: francuska polakra

„L’Aimable Louise”, z ładunkiem

kukurydzy i drobnicy do Sete, razem ok.

200 ton, 6 dział i załoga 19 ludzi.

*Zdobyty statek odesłano z oficerem i
ośmioma ludźmi do Mahon.*

- Proszę pozwolić mi napełnić pański
kieliszek... - zwrócił się Jack do doktora
z wyszukaną uprzejmością. - To wino
jest chyba dużo lepsze od tego, które
dotychczas mieliśmy na okręcie. Tak mi
się przynajmniej zdaje.

- Lepsze, o wiele... I na dodatek
znacznie mocniejsze. Bardzo zdrowe,
poprawiające trawienie - mówił
Stephen Maturin. - To porządne
priorato. Tak, priorato, z winnic za
Tarragoną.

- Rzeczywiście porządne. Wyjątkowo
smaczne. Wracając do pryzu: główny
powód, dla którego
jestem tak szczęśliwy, to fakt, iż
podobna zdobycz zachęca ludzi. Dzięki
temu będę też mógł
swobodniej realizować swoje zamiary.

Mamy świetnego agenta pryzowego,

który jest mi zresztą winien przysługę...

Wydaje mi się, że bez problemu dostanę od niego jakieś sto gwinei zaliczki.

Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt przeznaczę dla załogi, a za resztę kupię wreszcie trochę prochu. Nic nie zrobi tym ludziom lepiej niż kilka dni na lądzie. Potrzebne im jednak będą pieniądze...

- Nie boi się pan, że uciekną? Często wspominał pan o dezercji. Mówił pan, że to prawdziwa zhora.

- Nikt nie myśli o ucieczce, gdy lada dzień otrzymać ma pieniądze ze sprzedaży pryzu i gdy istnieje realna szansa na następne łupy. Na pewno nie w Mahon, w każdym razie. Co ważne, wszyscy z większym zapałem przyłożą się do ćwiczeń w strzelaniu z dział.

Niech pan nie myśli, iż nie wiem o narzekaniach. Mieli prawo narzekać, bo nieźle ich ostatnio przycisnąłem, ale teraz rozumieją, że te ćwiczenia mają konkretny cel... Jeśli uda mi się zdobyć

trochę prochu, będziemy organizować
zawody pomiędzy burtami i wachtami.

Nie ośmielę się zużyć nawet uncji
więcej z oficjalnego przydziału.

Oczywiście zwycięzcy zostaną
nagrodzeni. Potrenujemy też trochę „na
sucho”, tak by nasze działa były
większym zagrożeniem dla innych niż
dla nas samych... A potem... Boże, jaki
jestem śpiący...

Potem możemy pomyśleć o patrolu.

Planuję zasadzki w nocy, blisko
brzegu... Najpierw powinienem panu
powiedzieć, jak planuję wykorzystać
przydzielony nam czas. Tydzień koło
przylądka Creus, potem powrót do
Mahon w celu uzupełnienia prowiantu i
wody. Przede wszystkim wody. Potem
okolice Barcelony, blisko brzegu...

Blisko brzegu... - Jack ziewnął szeroko.

Po dwóch nieprzespanych nocach i
sporej szklanicy priorato z „Aimable
Louise” poczuł się nagle dziwnie i błogo
ociężyły. - Co mówiłem? Ach, potem

Tarragona, Walencja... Walencja...

Najwięcej kłopotu będzie oczywiście z wodą. - Zamrugął oczami, światło raziło go coraz bardziej. Myśli uciekały gdzieś daleko. W oddali słyszał głos Stephena, mówiącego coś o wybrzeżu Hiszpanii.

Doktor znał je dobrze aż do Denii.

Obiecywał pokazać wiele

interesujących pozostałości po

okupujących niegdyś owe tereny

Fenicjanach, Grekach, Rzymianach,

Wizygotach i Arabach. Co ciekawe, z

tego, co mu było wiadomo, na bagnach

koło Walencji występują oba rodzaje

czapli, a rdzenni mieszkańcy tych okolic

to ludzie o ognistym temperamentem,

mówią szczególnym dialektem. Bardzo

możliwe, iż uda się też zobaczyć

flamingi...

Silny wiatr, za sprawą którego tak

przykry los spotkał „Aimable Louise”,

dokuczył również innym statkom

handlowym w zachodniej części Morza

Śródziemnego. Niektóre z nich oddaliły

się od zamierzonego kursu i już w dwie
godziny po odprawieniu pierwszego
pryzu do Mahon na „Sophie”

zauważono dwie następne jednostki.

Jedną z nich była barcalonga płynąca na
zachód, a drugą bryg sterujący dokładnie
na południe. Wydawał się cenniejszą
zdobyczą, „Sophie” ruszyła więc, by
przeciąć mu drogę. Statek handlowy,
wciąż obserwowany uważnie z pokładu
okrętu wojennego, żeglował
spokojnie, z postawionymi marsłami. Na

„Sophie” rozwinięto tymczasem

bombramsle. Płynęła teraz pełniejszym
nieco niż bryg halsem, pochylając się
tak, iż ławy wantowe na jej zawietrznej
burcie znalazły się pod wodą. W miarę
przybliżania się obu jednostek
marynarze z załogi okrętu wojennego ze
zdumieniem spostrzegli, iż ów statek
ładząco przypomina jednostkę, na której
się znajdowali.

Nawet stewy obu bukszprytów

wydawały się jednakowo przydługie.

- To chyba będzie bryg - zauważył
trafnie doktor Maturin, stojąc przy
relingu obok Pullingsa, wysokiego,
nieśmiałego i jakby wiecznie
zawstydzonego oficera nawigacyjnego.

- To prawda, sir. Bryg bardzo podobny
do naszego. Aż trudno uwierzyć. Czy
chce pan spojrzeć przez mój teleskop? -
zapytał, wycierając obiektyw lunety
chusteczką.

- Dziękuję. Wspaniałe szkła... Wszystko
doskonale widać. Nie widzę
specjalnego podobieństwa. Ten statek
jest żółty, podczas gdy nasz kadłub jest
czarny, z białym pasem.

- Och, sir, to tylko kwestia farby. Proszę
spojrzeć na ich pokład rufówki z tym
staroświeckim uskokiem. Jest dokładnie
taki sam jak u nas. Niewiele się takich
widuje, nawet na tych wodach. Niech
pan przyjrzy się też stewie ich
buzszprytu... Również wyporność tego
statku nie różni się od naszej o więcej
niż dziesięć ton. Tak. To jest taki sam

bryg, z tej samej stoczni. Na przednim
marslu ma trzy rzędy naszywek
refowych, a więc to jednostka
handlowa, a nie okręt wojenny, jak my.

- Czy zarekwirujemy ją?

- Wątpię. To byłoby zbyt piękne, aby
mogło być prawdziwe. Może jednak
tak...

- Hiszpańska bandera, panie Babbington

- polecił Jack. Obracając się do tyłu,
Maturin ujrzał pod pikiem gafla żółto-
czerwoną flagę.

- Żeglujemy pod fałszywą banderą -
wyszeptał. - Czy to nie wstrętne?

- Słucham?

- Czy takie postępowanie jest uczciwe?

- Ależ oczywiście, sir. Na morzu zawsze
się tak robi. W ostatniej minucie
pokażemy nasze prawdziwe kolory,
zobaczy pan, zanim wystrzelimy z
działa. To przecież sprawiedliwe.

Proszę spojrzeć na ich flagę: udają

Duńczyków. Tacy z nich Duńczycy jak z
nas Arabowie.

Okazało się jednak, iż Thomas Pullings się pomylił.

- To duński bryg „Clomer”, sir -
wyjaśnił kapitan zatrzymanego statku,
stary pijaczyna o bladych, podkrążonych
oczach, pokazując Jackowi w kabinie
swe dokumenty. - Nazywam się Ole
Bugge. Nasz ładunek to skóry i воск
pszczeli z Trypolisu do Barcelony.

- W porządku, kapitanie... - Aubrey
przejrzał papiery uważnie. Wydawały
się oryginalne. - Proszę mi wybaczyć to
małe zamieszanie. Muszę wykonywać
swoje obowiązki... Na pewno pan to
rozumie.

Chciałbym poczęstować pana odrobinką
tego priorato. Jest wyjątkowo dobre, tak
mnie przynajmniej zapewniano.

- To wino jest wprost wspaniałe -
powiedział Duńczyk, opróżniwszy
kieliszek. - Naprawdę
wyśmienite... Kapitanie, czy mógłbym
prosić pana o podanie mi waszej
aktualnej pozycji?

- Oczywiście. Mamy najlepszego

nawigatora na całym Morzu

Śródziemnym. Killick, poproś tutaj pana

Marshalla... Panie Marshall, kapitan B...

Mój gość chciałby się dowiedzieć, jaka

jest nasza aktualna pozycja.

Załogi „Sophie” i „Clomera” z uwagą

obserwowały nawzajem swe bliźniaczo

podobne jednostki.

Podoficer kancelaryjny i marynarz

Anderssen rozmawiali ponad wodą z

rodakami. Pozostali ludzie patrzyli na

nich z zazdrością, nie rozumiejąc ani

słowa z dziwnie brzmiącej obcej mowy.

Jack z wyjątkową uprzejmością

odprowadził kapitana Bugge do relingu.

Na duńską łódź opuszczono skrzynkę

priorato. Wychylając się za burtę,

Aubrey zawołał:

- Powiem panu, co z tego wynikło, gdy

spotkamy się następnym razem!

Kapitan „Clomera” nie zdążył wrócić na

swój statek, a już rozległo się

skrzywienie

przebrasowywanych rej „Sophie”. Po chwili ruszyła nowym kursem, na północny wschód, ostro na wiatr.

- Panie Watt... - powiedział Jack, patrząc w górę, na maszty. - Gdy będziemy mieli trochę czasu, zmienimy nieco stałe olinowanie. Uda się wtedy jeszcze mocniej zbrasować reje i nasza „Sophie” będzie mogła chodzić bliżej wiatru...

- Co się dzieje? - zastanawiali się ludzie, zdumieni nowym kursem i faktem, iż postawione zostały dodatkowe żagle. Ku zadowoleniu pana Dillona sklarowano też liny na pokładzie. W końcu do wszystkich dotarła wiadomość, że duński kapitan, poruszony uprzejmością Jacka i z sympatii dla przypominającej jego statek „Sophie”, wspomniął o pewnym francuskim słupie tuż za północnym horyzontem. Ponoć ów statek miał połatanego grota, zmierzał do Agde i był bardzo załadowany.

Steward z mesy oficerskiej zdradził tę informację stewardowi ochmistrza i jego pomocnikowi, który z kolei powtórzył ją w kuchni. W ten prosty sposób dowiedziała się o tym cała załoga.

Halsując pod wiatr, „Sophie” cierpliwie zmagła się z przybierającą na sile bryzą. Po piątym zwrocie na północnym wschodzie pojawił się strzępek bieli, zbyt odległy, by mógł być przelatującą w oddali mewą. Prawdopodobnie był to ów francuski słup: jego osprzęt odpowiadał opisowi Duńczyka.

Wszelkie wątpliwości rozwiały się dopiero wówczas, gdy zatrzymany statek znalazł się w zasięgu dział brygu, a łodzie zaczęły kursować tam i z powrotem, przewożąc jeńców o posępnych twarzach.

Do ostatniej chwili Francuzi zachowywali się bardzo dziwnie. Nikt nie pełnił chyba u nich służby na oku - „Sophie” została dostrzeżona, gdy

znalazła się o milę od słupa. Nawet wtedy ich dowódca wyraźnie się wahał, w pierwszej chwili uwierzył w trójkolorową banderę okrętu wojennego, potem spróbował ucieczki. Było już zdecydowanie za późno. Nie upłynęło nawet dziesięć minut i załoga słupa poddała się, nerwowo sygnalizując ów fakt flagami już po pierwszym ostrzegawczym wystrzale brygu.

Powody takiego postępowania stały się dla Jamesa Dillona zrozumiałe, gdy tylko postawił stopę na pokładzie zdobytego statku. „Citoyen Durand” załadowany był prochem strzelniczym, wypełniającym po brzegi ładownię i składowanym w pokrytych brezentem baryłkach nawet na pokładzie, poza tym młody kapitan słupa zabrał ze sobą w morze brzemienną żonę. Nocny sztorm, pojawienie się „Sophie”

i niebezpieczeństwo wybuchu - wszystko to sprawiło, iż ich pierwsze dziecko zapragnęło wydostać się na

świat. James był człowiekiem o
twardym sercu, lecz jęki i zwierzęce
niemal okrzyki rodzącej, tuż za ścianą,
bardzo go przeraziły. Z pobladłą twarzą
patrzył na roztrzęsionego i zapłakanego
przyszłego ojca.

Pozostawił francuski słup pod komendą
Babbingtona, a sam pośpiesznie wrócił
na pokład „Sophie”, by wyjaśnić
sytuację. Na dźwięk słowa „proch”
twarz Jacka Aubreya nieco się ożywiła,
słowo

„dziecko” szybko jednak wymazało z
niej wszelkie emocje.

- Wydaje mi się, że ta biedna kobieta
umiera - zaznaczył James Dillon,
kończąc swą relację.

- Tak... Nie wiem... - powiedział kapitan
z wahaniem. Zrozumiał teraz znaczenie
tych odległych, dziwnych i
przerażających krzyków. Słyszał je w tej
chwili o wiele wyraźniej. - Proszę
zawołać tutaj doktora - polecił
żołnierzowi piechoty morskiej.

Ponieważ pościg już się zakończył i nie zapowiadało się nic interesującego, Stephen zajął swe stałe stanowisko przy pompie z pnia wiązu i patrzył przez jej drewnianą rurę w głąb podświetlonego słońcem morza. Gdy powiedziano mu, iż na zdobytym przyzie znajduje się rodząca kobieta, zbytnio się tym nie zdziwił.

- Tak? Możliwe. Wydawało mi się, że skądś znam te odgłosy - zauważył obojętnie i widać było, iż zamierza powrócić do przerwane go zajęcia.

- Na pewno może jej pan pomóc? - zapytał Jack ostrożnie.

- Moim zdaniem ta biedna kobieta umiera - dodał Dillon.

Stephen spojrział na nich pozbawionymi wyrazu oczami.

- Zaraz popłynę tam łodzią - oświadczył i zszedł pod pokład.

- Cóż, już za chwilę ta biedaczka znajdzie się w dobrych rękach, dzięki Bogu. - Aubrey odetchnął z ulgą. - Mówi więc pan, iż również cały ładunek na

poładzie to proch?

- Tak, sir. Trudno w to uwierzyć.

- Panie Day... Panie Day, proszę
pozwolić tu na chwilę. Czy zna pan
francuskie oznaczenia?

- Tak. Oczywiście. Są prawie takie
same jak nasze, tylko na ich najlepszym
gruboziarnistym jest inny znak: biały
pierścień dookoła czerwonego... No i
ich półbaryłki ważą niecałe trzydzieści
pięć funtów.

- Ile mógłby ich pan zmieścić?

Artylerzysta zastanawiał się przez
chwilę.

- Jeśli ułoży się je ciasno warstwami, to
powinno wejść trzydzieści pięć, może
trzydzieści sześć sztuk...

- Proszę więc tak zrobić. Nawet stąd
widać, że część tego ładunku jest
zepsuta, będziemy musieli coś z tym
zrobić, by nie zmarnować reszty.

Najlepiej będzie, jeśli wybierze się tam
pan osobiście i dopilnuje, byśmy
załadowali to, co najlepsze. Użyjemy ich

łodzi. Panie Dillon, nie mogę powierzyć
tej pływającej prochowni
podchorążemu. Będzie pan musiał sam
odprowadzić ją do Mahon, gdy tylko
zakończymy przeładunek. Proszę wziąć
tyłu ludzi, ilu panu trzeba, i odesłać
doktora Maturina z powrotem na łodzi z
tamtego statku - bardzo nam jest
potrzebna. Boże, co za straszliwe krzyki!
Przykro mi, że muszę obciążyć pana tym
zadaniem, sam pan jednak widzi, jaka
jest sytuacja.

- Oczywiście, sir. Rozumiem, że
francuskiego kapitana mogę *zabrać* ze
sobą? To byłoby nieludzkie, gdybyśmy
teraz oddzielili go od żony.

- Tak, tak. Rzecz jasna. Biedaczyna z
niego... To ci dopiero historia...

Wypełnione prochem baryłki
przepłynęły łodzią po rozkołysanym
morzu, powędrowały na pokład
„Sophie” i zniknęły głęboko we wnętrzu
jej kadłuba. Ich śladem podążyło sześciu
smętnych Francuzów, z workami i

kuferkami. Wśród załogi brygu nie panowała jednak zwykła w takich wypadkach radosna atmosfera. Na twarzach malowała się troska i poczucie winy, nawet u tych ludzi, którzy mieli na łądzie rodziny. Gdy Stephen Maturin zawołał z burty zdobytego statku, iż musi na nim zostać dłużej, Jack zmuszony był z żalem się z tym pogodzić. To oznaczało, że w najbliższym czasie pozbawiony będzie towarzystwa doktora.

„Citoyen Durand” płynął szybko w kierunku Minorki. Zapadła noc i od rufy wiała spokojna bryza.

Ponieważ krzyki ucichły, Dillon postawił za sterem odpowiedzialnego człowieka, odwiedził swą niewielką załogę w kuchni pod pokładem i zszedł do kabiny. Stephen mył się właśnie, a roztrzęsiony mąż trzymał ręcznik w drżących dłoniach.

- Mam nadzieję... - zaczął James.

- Och, tak, tak - odparł Stephen,

odwracając się w jego stronę. - To był normalny poród, trochę może zbyt długi. W każdym razie nic niezwykłego. Teraz, mój przyjacielu - zwrócił się do francuskiego kapitana - najlepiej będzie, jeśli zawartość tych wiader powędruje za burtę. Powinien pan położyć się na chwilę. Monsieur ma pięknego syna - dodał.

- Moje gratulacje, sir... - powiedział Dillon z ukłonem. - Życzę madame jak najszybszego powrotu do zdrowia.

- Dziękuję, bardzo dziękuję... - W oczach kapitana znowu pojawiły się łzy. - Proszę, niech panowie czują się jak u siebie w domu. Proszę się czymś poczęstować.

Stephen i James chętnie skorzystali z zaproszenia. Siedzieli w wygodnych fotelach, pałaszując stosy ciastek przygotowanych na chrzciny, które miały odbyć się w Agde w przyszłym tygodniu. Za drzwiami młoda kobieta usnęła wreszcie, jej mąż trzymał ją za

rękę, a ich nowo narodzony synek tulił

się do jej łona. Pod pokładem

zapanowała cisza i cudowny spokój.

Spokojnie było również na górze.

Wiatr wiał od rufy, słup posuwał się do

przodu ze stałą prędkością sześciu

węzłów, a obowiązujące na okręcie

wojennym sztywne rygory zostały

zredukowane do życzliwego: „Ile leży,

Joe?”

Było cicho, podróżowali przez noc

zamknięci w tym drewnianym pudełku,

oświetlonym jedynie mdłym światłem,

ukołysani łagodnymi falami. Jeszcze

chwila tej ciszy, a mogliby znaleźć się w

dowolnym miejscu na ziemi, w jakimś

innym świecie. Ich myśli pobiegły

daleko i Stephen stracił

nagle poczucie miejsca i czasu.

Zapomniał, gdzie są, skąd i dokąd

zmierzają.

- Mamy teraz pierwszą okazję do

swobodnej rozmowy - powiedział

przyciszonym głosem. -

Niecierpliwie czekałem na tę chwilę.

Gdy wreszcie nadeszła, okazuje się, że niewiele mam do powiedzenia.

- Chyba nie musimy nic mówić - rzekł

Dillon. - Myślę, że doskonale się rozumiemy.

Miał niewątpliwie rację, przynajmniej, jeśli chodziło o sedno sprawy. Pomimo tego rozpoczęli długą dyskusję, korzystając z kilku godzin nieskrępowanej prywatności.

- Wydaje mi się, że ostatni raz

widziałem pana u doktora Emmeta - odezwał się James po chwili milczenia.

- Nie. To było w Rathfarnham, z

Edwardem Fitzgeraldem. Przechodziłem

obok domku letniego, gdy pan się

pojawił. Był z panem Kenmare.

- Rathfarnham? Rzeczywiście, teraz

sobie przypominam. Tuż po posiedzeniu

komitetu. Tak... Był pan przyjacielem

lorda Edwarda, jak mi się zdaje?

- Poznaliśmy się w Hiszpanii. W

Irlandii, w miarę upływu czasu,

widywałem się z nim coraz rzadziej.

Otaczał się ludźmi, których nie lubiłem i

którym nie ufałem. Dla niego moje

poglądy były też zawsze za bardzo

umiarkowane. W tamtym czasie byłem

jednak wystarczająco gorliwym obrońcą

ogólnoludzkich ideałów i szczerze

oddanym sprawie republikaninem. Czy

pamięta pan ten test?

- Jaki test?

- Zaczynający się od słów: *Czy jesteś*

uczciwy?

- *Jestem.*

- *Jak uczciwy?*

- *Jak ty.*

- *Co cenisz?*

- *Prawdę, uczciwość, jedność i*

wolność.

- *Co trzymasz w dłoni?*

- *Zieloną gałąź.*

- *Gdzie ona wyrosła?*

- *W Ameryce.*

- *Gdzie puściła liście?*

- *We Francji.*

- *Gdzie chcesz ją posadzić?*

- Nie. Nie pamiętam, co było dalej. To

nie jest test, któremu mnie poddano.

Tamten był zupełnie inny.

- Na pewno. Mnie poddano właśnie tej

próbie. Pamiętam, że słowo „wolność”

sporo dla mnie wówczas znaczyło.

Nawet wtedy byłem jednak sceptykiem,

jeśli chodzi o Jedność”. Nasze

stowarzyszenie w dużej mierze składało

się z dziwnych i złych ludzi. Byli w nim

księża, ludzie wierzący, niewierzący,

prezbiterianie, jacyś nawiedzeni

republikanie, utopiści i ludzie, którzy po

prostu nie lubili Beresfordów. Pan, wraz

ze swymi przyjaciółmi, opowiadał się

przede wszystkim za

równouprawnieniem, o ile dobrze sobie

przypominam?

- Tak. Chodziło nam o

równouprawnienie i reformy. Nigdy nie

myślałem o Irlandii jako o republice.

Oczywiście również moi przyjaciele z

komitetu nie byli republikanami. W

sytuacji, w jakiej znajduje się nasza
ojczyzna, republika może szybko okazać
się niewiele lepsza niż demokracja.

Narodowy duch tego kraju całkowicie
nie zgadza się z podobnymi pomysłami.

Katolicka republika! To wręcz
absurdalne.

- Czy w tej karafce jest brandy?

- Tak.

- Odpowiedź na ostatnie pytanie testu

powinna brzmieć: *W koronie Wielkiej*

Brytanii, to tak przy okazji... Kieliszki są za panem. Pamiętam, że spotkaliśmy

się w Rathfarnham - kontynuował

Stephen -

gdyż przez całe popołudnie usiłowałem

go przekonać, by zrezygnował z

szalonego pomysłu wznie-cenia

powstania. Powiedziałem mu, iż jestem

przeciwny przemocy, zawsze byłem jej

przeciwny, że nawet gdybym myślał

inaczej, będę zmuszony się wycofać,

jeśli będzie nadal próbował realizować

marzycielskie i nierealne plany.

Tłumaczyłem mu, że nieuchronnym ich

skutkiem będzie zrujnowanie życia jego
i Pameli, zaprzepaszczenie sprawy oraz
poświęcenie Bóg wie jak wielu
oddanych, odważnych ludzi. Spojrzał na
mnie wtedy zmartwionymi oczami, tak
jakby było mu przykro z mojego
powodu, i powiedział, że czeka na pana
i na Kenmare'a. W ogóle mnie nie
zrozumiał.

- Czy wie pan, co się dzieje z Lady
Edward... Z Pamelą?

- Słyszałem tylko, iż jest w Hamburgu,
pod opieką krewnych.

- Była najpiękniejszą kobietą, jaką
kiedykolwiek spotkałem. I najbardziej
wrażliwą. Zadziwiła mnie swoją
odwagą.

- To prawda - zgodził się Stephen,
patrząc w wino na dnie kieliszka. -

Nigdy w życiu nie
przekonywałem nikogo z równym
zapałem. Prawdę mówiąc, także w tamto
popołudnie uważałem, iż zwracanie
sobie głowy czymś takim jak ustrój czy

system sprawowania rządów jest
zupełnie bezsensowne. Nie ruszyłbym
palcem w walce o niepodległość
jakiegokolwiek narodu, realną czy
pozorną. Mimo to potrafiłem wtedy
mówić z wielką gorliwością, tak
żarliwie, jakbym wciąż płonął
entuzjazmem pierwszych dni rewolucji,
kiedy to serca wszystkich z nas
przepełnione były
uczciwością i miłością.

- Dlaczego musiał pan mówić do niego
w ten sposób?

- Ponieważ próbowałem przekonać go,
by zrezygnował ze swych idiotycznych
planów, doskonale znanych władzy.

Chciałem uzmysłwić mu, iż jest
otoczony przez zdrajców i donosicieli.

Argumentowałem najlepiej, jak
umiałem, on jednak nie pojął, o co mi
chodzi. Nie słuchał mnie nawet.

W pewnej chwili przerwał mi, gdyż
zauważył na cisie koło ścieżki rudzika...

Biedny Edward!

Wiedział tylko, że się z nim nie
zgadzam, więc całkowicie wyłączył
swoją umysł. Może nie był zdolny
zrozumieć, o co mi chodzi? Kto wie...

Był uczciwy i szczery, a otaczały go
takie kreatury, jak Reynolds, Corrigan,
Davis... Och, to było żałosne.

- I rzeczywiście nie ruszyłby pan nawet
palcem? A gdyby dążenia były bardziej
umiarkowane?

- Nie ruszyłbym. Wystarczająco
przeraziła mnie absolutna klęska
Rewolucji Francuskiej. Teraz, po tym,
co dane mi było widzieć w roku
dziewięćdziesiątym ósmym, czuję
obrzydzenie do wszelkich ideałów
politycznych. Byłem świadkiem tak
wielu aktów szaleńczej głupoty i
bezwzględnego
okrucieństwa, po obu stronach, że rzygać
mi się chce na dźwięk słów „naród”,
„ojczyzna” i „słuszna sprawa”. Nie
przeszedłbym nawet na drugą stronę tej
kabiny, gdyby jedynie od tego zależeć

miała reforma parlamentu, zapobieżenie
unii czy przyśpieszenie nadejścia
nowego tysiąclecia. Oczywiście mówię
tylko za siebie, proszę o tym pamiętać.

To tylko moje własne zdanie. Nieistotny
jest dla mnie człowiek widziany
wyłącznie jako cząstka jakiejś
organizacji czy tłumu. Podobne
spojrzenie jest dla mnie sprzeczne z
istotą człowieczeństwa. Moje uczucia
zarezerwowane są dla jednostek. Mogę
nimi obdarzać tylko konkretnych ludzi.

- A patriotyzm? Czy nie jest ważny?

- Mój drogi panie. Przedstawiłem już
mój punkt widzenia na tę sprawę. Wie
pan tak samo dobrze jak ja, iż patriotyzm
to słowo, którego znaczenie generalnie
sprowadzić można albo do
stwierdzenia: „To moja ojczyzna, choć
jej los nie bardzo mnie obchodzi” - co
jest nikczemne - albo: „Najważniejsze
jest tylko dobro mojej ojczyzny”, co
dowodzi skrajnej głupoty.

- Pomimo to przeszkodził pan

kapitanowi, gdy ten któregoś dnia

próbował zagrać *Croppies lie down*.

- Och, nie jestem aż tak konsekwentny,
zwłaszcza w drobnych sprawach. Któż
jest? Kapitan Aubrey nie znał po prostu
znaczenia tej piosenki. Nigdy nie był w
Irlandii, w momencie wybuchu
powstania przebywał w Indiach
Zachodnich.

- Ja byłem w tym czasie koło Przylądka
Dobrej Nadziei. Czy to naprawdę było
aż takie straszne?

- Straszne? Nie ma słów, które
pozwaląby opisać nieudolność,
niepotrzebne zwlekanie, zamęt i
absolutny bezsens tego wszystkiego.
Skutek był żaden. Niczego nie udało się
wywalczyć.

Perspektywa uzyskania niepodległości
została odsunięta na co najmniej sto lat.
Powstanie obudziło tylko wzajemną
nienawiść i skłoniło ludzi do użycia
okrutnej przemocy. Zaowocowało
szalonym współzawodnictwem

donosicieli i pojawieniem się kreatur w
rodzaju majora Sirra. Przy okazji
wszyscy staliśmy się dziecinnie łatwą
zdobyczą dla wszelkiej maści
szantażystów i prowokatorów... -

Doktor przerwał na chwilę. - Jeśli zaś
chodzi o tę piosenkę, to postąpiłem w
taki sposób, gdyż ona mi uwłacza,
ponadto w pobliżu znajdowało się kilku
irlandzkich marynarzy, z których żaden
nie jest Oranzystą. Szkoda byłoby, gdyby
zaczęli nienawidzić swojego kapitana,
który przecież nie zamierzał
ich urazić. Nie mogłem do tego
dopuścić.

- Bardzo pan go lubi, prawda?

- Czy go lubię? Tak. Chyba tak. Nie
powiem, że uważam go za swego
przyjaciela... Nie znam go zbyt długo...

W każdym razie jestem do niego w
pewien sposób przywiązany. Przykro
mi, że pan nie żywi podobnej sympatii.

- Mnie również jest przykro.

Przyszedłem na ten okręt z nadzieją, iż

nasze wzajemne stosunki ułożą się nieco inaczej. Słyszałem już wcześniej, że kapitan Aubrey jest kapryśny i w gorącej wodzie kąpany. Mówiono mi też, że jest dobrym marynarzem. Dlatego myślałem, iż między nami wszystko dobrze się ułoży. Zna pan powiedzenie: serce nie służy...

- Znam. Zastanawia mnie to jednak, nawet bardzo... Szanuję was obu, obu was podziwiam. Czy są jakieś konkretne zarzuty, które mógłby pan postawić pod jego adresem? Może inaczej...

Gdybyśmy mieli wciąż po osiemnaście lat, zapytałbym tak: „Czy coś jest z nim nie w porządku?”

- A ja prawdopodobnie odpowiedziałbym, że wszystko jest nie w porządku, ponieważ on dowodzi tym okrętem, a ja nie - odparł James z uśmiechem. - Proszę lepiej nie zadawać mi takich pytań. Nie chcę w pańskiej obecności krytykować kogoś, kogo uważa pan za swego przyjaciela.

- Och... Jack Aubrey, jak każdy człowiek, ma z pewnością wady. Wiem, że jest niesamowicie ambitny, jeśli chodzi o sprawy związane z tym, czym się zajmuje. Jest też bardzo niecierpliwy, kiedy na swej drodze napotyka jakiegokolwiek przeszkody. Dlatego chciałbym dowiedzieć się, co konkretnie sprawia, iż pan go nie lubi. A może to po prostu taki kaprys? Wie pan...

- Możliwe. Trudno mi odpowiedzieć. Aubrey bywa całkiem do zniesienia, to prawda. Są jednak chwile, w których wychodzi na wierzch jego angielska arogancja... Jest też jedna rzecz, która wyjątkowo mnie razi. Myślę o jego szczególnej gorliwości w pogoni za przyzami. Pod względem dyscypliny i szkolenia załogi „Sophie” bardziej przypomina statek piracki niż okręt wojenny jego królewskiej mości. Gdy ścigaliśmy tę polakrę, nasz kapitan spędził na pokładzie całą noc... Ktoś

mó-

głby pomyśleć, iż chodziło o pogoń za jakimś okrętem wojennym, która mogła zakończyć się z honorem. Słup, na którym teraz obaj się znajdujemy, nie zdążył dobrze odpłynąć od „Sophie”, a Jack Aubrey już rozpoczął ćwiczenia w strzelaniu z dział, strasząc mewy obiema salwami burtowymi.

- Czy podobieństwo do statku pirackiego to taka straszna rzecz? Pytam, ponieważ nic o tym nie wiem...

- Dowódca i załoga statku pirackiego kierują się zupełnie innymi pobudkami. Nie obchodzi ich honor, walczą tylko i wyłącznie dla zysku. Istotą wszystkiego jest właśnie ów zysk.

- Czy ćwiczenia w strzelaniu z dział nie mogą mieć innego, honorowego i zaszczytnego celu?

- Mogą, to prawda. Jestem pewnie trochę niesprawiedliwy, zazdrosny, chyba sam nie wiem, czego chcę...

Przepraszam, jeśli w jakiś sposób pana

uraziłem. Muszę przyznać, że nasz

dowódca jest wspaniałym marynarzem.

- Boże, James, znamy się wystarczająco

długo i możemy chyba rozmawiać ze

sobą szczerze, nie obawiając się urazy.

Czy mógłbyś podać mi butelkę?

- Dobrze - zgodził się Dillon. - Jeśli

mam mówić zupełnie otwarcie, tak jakby

poza mną w tym pokoju nie było nikogo,

to powiem jedno: uważam, że sposób, w

jaki Jack Aubrey odnosi się do tego

biedaka Marshalla, jest bardziej niż

nieodpowiedni.

- Nie wiem, o co ci teraz chodzi...

- Czy wiesz, co to za człowiek?

- Kto? Marshall? Czy coś jest z nim nie

w porządku?

- Nie wiesz, że to pederasta?

- Możliwe i co z tego?

- Mam na to dowód. Zdobyłem go w

Cagliari, jeśli chcesz wiedzieć.

Marshall jest zakochany w kapitanie...

Jest mu gotów służyć jak przykuty do

wiosła galernik... Najchętniej

własnoręcznie cegielkowałby pokład,
gdyby Aubrey mu na to pozwolił. Nasz
pierwszy nawigator goni ludzi do roboty
z większą gorliwością niż bosman,
zrobiłby pewnie wszystko w zamian za
uśmiech swego wybrańca... Stephen
skinął głową.

- Tak - przyznał. - Nie sądzisz chyba
jednak, że kapitan ma takie jak Marshall
upodobania?

- Nie, ale myślę, że doskonale zdaje
sobie z nich sprawę i świadomie to
wykorzystuje. Och... Nie powinienem
tego mówić. To podłe. Posunąłem się za
daleko... Chyba jestem pijany. Prawie
opróżniliśmy butelkę...

- Mogę cię zapewnić, że mylisz się
całkowicie. - Stephen wzruszył
ramionami. - Zaręczam ci z całą
odpowiedzialnością, a na razie jestem
trzeźwy, że Jack zupełnie nie zdaje sobie
z tego sprawy. Pod pewnymi względami
nie jest szczególnie bystry i patrzy na
świat w specyficzny, nieco naiwny

sposób.

Wierzy, że pederasty są niebezpieczni
tylko dla chłopców z kościelnego chóru
i dla obojnaków, których spotkać można
w wielu śródziemnomorskich burdelach.

Próbowałem kiedyś rozmawiać z nim na
ten temat, lecz on zbył mnie,
stwierdzając, że nie muszę mu tłumaczyć
podobnych rzeczy. Przecież całe swoje
życie spędził w Royal Navy...

- Może ma w tej kwestii również jakąś
praktykę...?

- James, chyba sam w to nie wierzysz.

- Muszę zajrzeć na pokład - powiedział

Dillon, wstając.

Zmienił sternika, sprawdził kurs i
wrócił do kabiny; wraz z nim wpadł
podmuch zimnego, nocnego powietrza.

Przez chwilę siedział w milczeniu, aż
chłód rozpułynał się po oświetlonym
lampą pomieszczeniu. Maturin otworzył
kolejną butelkę wina.

- Są takie chwile, kiedy trudno mi
pozbierać się do kupy - wyznał James,

sięgając po kieliszek. -

Jestem zbyt drażliwy. Wiem o tym, lecz czasami, gdy jest się stale wśród tych cholernych Angoli...

gdy słyszy się to ich idiotyczne gadanie, trudno się opanować. Skoro zaś nie można otwarcie okazywać swoich emocji, muszą one znaleźć jakieś inne ujście. Wiesz chyba lepiej niż ktokolwiek inny, co oznacza życie w takim ciągłym napięciu.

Stephen spojrzał na Dillona uważnie, nic jednak nie powiedział.

- Wiesz, że jestem katolikiem? - zapytał James cicho.

- Nie - odparł doktor. - Oczywiście wiem, że katolikami byli niektórzy członkowie twojej rodziny, ale nie myślałem... Czy nie uważasz, że stawia cię to w bardzo trudnej sytuacji? -

Zawahał się na moment.

- Chodzi mi o przysięgę... o prawo wojenne?

- Absolutnie nie - szybko odpowiedział

James. - Jeśli o to chodzi, mam czyste sumienie.

„Tak ci się tylko zdaje, mój przyjacielu”

- pomyślał Stephen i nalał sobie następny kieliszek wina, chcąc ukryć odczucia.

Przez chwilę wydawało się, że jego rozmówca chce jeszcze coś powiedzieć.

Wiszące w powietrzu słowa nie padły jednak. Naruszony został ów szczególny stan prawie nieuchwytnej równowagi.

Gdy znów podjęli rozmowę, jej tematem stali się wspólni starzy przyjaciele i owe wspaniałe dni, jakie dane było im spędzić razem w tak odległej,

zdawałoby się, przeszłości. Iluż ludzi wtedy znali... O tak wielu można było powiedzieć, iż byli naprawdę

wartościowi, zabawni lub godni

szacunku. Opróżnili drugą butelkę i

porucznik ponownie wyszedł na pokład.

Wrócił, nim upłynęło pół godziny, i

wchodząc do kabiny, ni stąd, ni zowąd podjął przerwany wcześniej temat.

- Pozostaje oczywiście jeszcze sprawa

promocji, awansu. Powiem ci w zaufaniu, iż liczyłem na to, że po całej tej sprawie z kutrem „Dart” otrzymam pierwsze samodzielne dowództwo. Nic takiego się nie stało i muszę przyznać, boli mnie fakt, iż moje zasługi zostały zignorowane... - James zawiesił głos na chwilę i zaczął mówić dalej: - Któż to powiedział, że znacznie więcej zdobył dzięki swemu przyrodzeniu niż dzięki swej pracy?

- Selden. Wydaje mi się jednak, iż zupełnie nie odnosi się to do tej sprawy. Z tego, co mi wiadomo, w przypadku kapitana Aubreya w grę wchodziły inne powody. Oczywiście nie upieram się, że wszystko było całkowicie uczciwe.

Chodzi mi jedynie o to, że w tym przypadku nikt nie ma prawa wysuwać podobnych podejrzeń.

- Dobrze, może masz rację. W każdym razie bardzo zależy mi na promocji. Tak jak każdy oficer w marynarce bardzo chciałbym pójść wyżej. Powiem ci więc

wprost: trudno jest awansować na okręcie, którego kapitan ugania się wyłącznie za przyzami.

- No cóż, nie znam się na tych sprawach.

Zastanawiam się tylko, James, czy jako bogatemu

człowiekowi nazbyt łatwo nie przychodzi ci wyrzekanie się pieniędzy?

Czy nie tracisz z oczu pewnych istotnych spraw? Może bardziej przyziemne kwestie również są ważne?

- Chyba nie uważasz, że jestem bogaty?

- Miałem kiedyś okazję przejeżdżać przez twą posiadłość.

- Trzy czwarte mojej ziemi to góry, a pozostała część to trzęsawiska. Gdyby nawet w jakiś sposób udało mi się skłonić dzierżawców, by zapłacili czynsz, roczny dochód nie przekroczyłby tysiąca...

- Chyba nie myślisz, że ci z tego powodu współczuję? Nie spotkałem jeszcze człowieka, który przyznałby, że dobrze mu się powodzi. Podobnie nikt nigdy nie

przynaję się do tego, że dużo śpi. Tak jakby bieda i ciągła praca przynosiły jakieś moralne korzyści. Skąd się to bierze? Wróćmy jednak do tematu. Z pewnością nasz kapitan jest wystarczająco odważny i wszystko wskazuje na to, iż wkrótce, prędzej czy później, dokonasz pod jego dowództwem jakichś chwalebnych czynów.

- Czy możesz ręczyć za jego odwagę?

„Więc tu cię boli” - zauważył Stephen w duchu i odpowiedział:

- Nie mogę. Nie znam go aż tak dobrze.

Niemniej zdziwiłbym się bardzo, gdyby okazał się tchórzem.

Dlaczego ty go o to podejrzewasz?

- Nie oskarżam nikogo o tchórzostwo.

Nie ośmieliłbym się postawić takiego zarzutu, nie mając niepodważalnego dowodu. Powinien był jednak zdobyć wtedy tę galerę. Wystarczyło zaledwie dwadzieścia minut i po abordażu znalazłaby się w naszych rękach.

- Och, mówiłem już, że absolutnie nie orientuję się w tych sprawach. Z tego, co mi się wydaje, rozważa nakazywała wówczas zawrócić i chronić resztę konwoju.

- Roztropność i rozważa to prawdziwe cnoty - zgodził się James.

- Cóż. Czy promocja naprawdę aż tak wiele dla ciebie znaczy?

- Oczywiście. Nie było chyba nigdy oficera wartego cokolwiek, który nie chciałby awansować i samodzielnie dowodzić okrętem. Widzę w twych oczach, iż uważasz moje poglądy za niespójne.

Spróbuj zrozumieć, o co mi chodzi. Nie chcę republiki. Opowiadam się za kontynuowaniem ustalonego historycznego porządku, opartego na dotychczasowych instytucjach państwa, pod warunkiem, że nie jest to tyrania.

Jedyne, czego się domagam, to niezależnego parlamentu, w którym

zasiadali by najrozsądniejsi i najbardziej
wartościowi ludzie w królestwie, a nie
nieudacznicy, figuranci lub
karierowicze. Gdyby spełniony został
ów warunek, byłbym w pełni
zadowolony ze związków z Anglią.

Odpowiadałyby mi dwa królestwa.

Zapewniam cię, iż nie zakrzuszę się,
pijąc toast za zdrowie naszego obecnego
władcy.

- Dlaczego zgasiłeś lampę?

- Już świta - powiedział James z
uśmiechem, wskazując głową szarawe
światło za oknem kabiny. -

Może wyjdziemy na pokład? Powinno
być widać wysokie wybrzeże Minorki, a
jeśli nie, to za chwilę na pewno się
pokaże. Możliwe, że będziesz miał
okazję zobaczyć kilka rzadkich
gatunków ptaków, gdy popłyniemy w
stronę klifu.

Dillon postawił stopę na schodkach
zejściówki, odwrócił się i spojrzał
prosto w twarz Maturina.

- Nie wiem, co mnie opętało - rzekł,
dotykając dłonią czoła. Był wyraźnie
zmieszany i nieszczęśliwy. -

Nigdy nie rozmawiałem z nikim w taki
sposób. Nie udało mi się w każdym
razie odpowiednio wyrazić tego, co
czuję i o co mi chodzi. Myślę jednak, że
doskonale zrozumieliśmy się nawzajem,
zanim otworzyłem usta.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Florey, chirurg, był kawalerem i
mieszkał w wielkim domu, wysoko koło
kościółka Marii Panny. Z
właściwą niektórym nieżonatym
mężczyznom gościnnością na czas
postojów „Sophie” w porcie zapraszał
do siebie doktora Maturina, oddając do
jego dyspozycji oddzielny pokój na
rzeczy i zbiory przyrodnicze. W
pomieszczeniu tym znajdowały się
również naukowe dzieła pana
Cleghorna,
głównego lekarza garnizonu, od
trzydziestu lat gromadzone w kilku

rzędach zakurzonych tomów.

Ów dom w szczególny sposób sprzyjał
medytacjom. Znajdował się tuż pod
szczytem urwistego
wybrzeża, na zawrotnej wysokości
ponad portem handlowym, tak iż odgłosy
z przystani nie mogły rozpraszać myśli.

Pokój Stephena mieścił się z tyłu
budynku, w chłodnej północnej części,
wysoko ponad portem. Doktor siedział
przy otwartym oknie, z nogami w misce
pełnej wody. Pisał dziennik, a w
rozedrganym, nagrzanym słońcem
powietrzu, pomiędzy oknem a stojącą w
oddali „Sophie”, uganiały się małe
zwinne ptaki (bez trudu można było
rozpoznać, iż są to jerzyki).

Przypominający z tej odległości
dziecinną zabawkę bryg zacumowany
był do nabrzeża prowiantowego, po
przeciwnej stronie basenu portowego.

„Więc James Dillon jest katolikiem” -
zanotował doktor swym sekretnym,
drobniutkim pismem. - „Co ciekawe,

kiedyś nim nie był. To znaczy, J.D. nie był katolikiem w takim sensie, by ów fakt miał jakikolwiek wpływ na jego postępowanie, by na przykład złożenie przysięgi wojskowej było dla niego niemożliwe. Nigdy nie odznaczał się religijnością. Czyżby zaszła jakaś zmiana? Coś w stylu Loyoli?

Mam nadzieję, że nie. Ilu katolików ukrywających swe wyznanie służy w marynarce? Chętnie bym go o to zapytał, lecz podobne pytanie mogłoby wydać się niedyskretne. Pamiętam, jak pułkownik Despard mówił mi, że prymas Anglii, Challoner udziela corocznie kilkunastu osobom dyspensy pozwalającej co jakiś czas przyjmować Najświętszy Sakrament zgodnie z obrządkiem anglikańskim.

Pułkownik T., ten od zamieszek w Gordon, był katolikiem. Czy to, o czym mówił Despard, dotyczyło tylko armii? A co z flotą? Nie pomyślałem wtedy, by

go o to zapytać. Pytanie: Czy to właśnie jest powód owego szczególnego stanu, w jakim znajduje się umysł Jamesa Dillona? Myślę, że tak.

Wchodzi tu bez wątpienia w grę jakaś moralna presja. Co więcej, sędzę, iż jest to dla niego moment przełomowy, krytyczny. Coś w rodzaju klimakterium. Moment ten określi kurs, którego J.D. nie zmieni do końca życia. Wydaje mi się czasem, że w miarę zbliżania się do takiego punktu zwrotnego (moim zdaniem wszyscy trzej właśnie w nim się znaleźliśmy) mężczyznom ostatecznie kształtuje się charakter, a może inaczej: pewne cechy charakteru na stałe przypadają im w udziale. Wcześniej jest beztroska, wesołość, zabawy, gwałtowne uniesienia, potem następuje jakiś przypadkowy zbieg okoliczności, pojawiają się specyficzne upodobania (albo dziedziczne skłonności) i człowiek raptem znajduje się na drodze, którą musi już dalej podążać. Z czasem owa

droga staje się jedynym możliwym
szlakiem, poznaczonym tak głębokimi
koleinami, iż nie wchodzi w grę
jakakolwiek
zmiana kierunku. Zmierzająca nią
jednostka częściowo zatracą swe
ludzkie przymioty, stając się jedynie
odwzorowaniem ściśle określonego
zestawu pewnych wykształconych lub
nabytych cech.

James Dillon był kiedyś kimś zupełnie
innym. Teraz zamyka się w sobie. To
dziwne, jeśli nie przykre, widzieć, jak z
wiekiem znika gdzieś wesołość,
 optymizm, otwartość umysłu i naturalna
pogoda ducha.

Wielkim niebezpieczeństwem jest
sprawowanie władzy nad innymi oraz
przekonanie o własnej
nieomyślności. Niewielu znam ludzi po
pięćdziesiątce, zdolnych trzeźwo
oceniać własne postępowanie.

Nie spotkałem dotąd nikogo takiego
wśród osób od dawna sprawujących

jakąkolwiek władzę. Weźmy chociażby
tutejszych doświadczonych starszych
kapitanów lub admirała Warne'a. To
wszystko pokurcze. Nie rozumiem tego
dosłownie, nie chodzi mi bynajmniej o
wygląd takiego człowieka -
większość z nich ma przecież
imponujące brzuchy - lecz o jego
żałośnie upośledzoną osobowość. To
wszystko skutek przepychu,
samozadowolenia, nieodpowiedniej
diety, napadów wściekłości,
przyjemności kupowanych za późno i za
zbyt wygórowaną cenę. Jeśli wierzyć
słowom Jacka Aubreya, lord Nelson jest
chlubnym wyjątkiem. Ponoć to szczery,
bezpośredni i sympatyczny człowiek.
Podobną osobowością poszczycić się
może i sam J.A., chociaż co jakiś czas
skutecznie popisuje się ową szczególną
arogancją, jaką niesie ze sobą władza
nad innymi. W każdym razie on nie
utracił
jeszcze optymizmu i pogody ducha.

Ciekawe, jak długo taki pozostanie? Co spowoduje zmianę: kobieta, polityka, rozczarowanie, rana, choroba, nieślubne dziecko, przegrana, jakieś zaskakujące wydarzenie? Bardziej martwię się jednak o Jamesa Dillona. Nadal nie brakuje mu bystrości umysłu, wręcz przeciwnie, tyle tylko, że teraz jego osobowość zapisana jest jakby o oktawę niżej i w bardziej ponurej skali.

Obawiam się, iż ten zły humor wpędzi go kiedyś w nieliczne tarapaty. Dałbym sporo za to, by Dillon i Aubrey zostali prawdziwymi przyjaciółmi. Pod tak wieloma względami są do siebie podobni. James wydaje się stworzony do tej przyjaźni: może gdy zorientuje się, iż mylnie ocenia J.A., zmieni nieprzychylnie nastawienie? Jeśli nawet, to niewielka na to nadzieja.

Niezadowolenie i chęć rywalizacji muszą być chyba na trwałe zapisane w osobowości kogoś niekiedy tak posępnego, tak przewrażliwionego na

punkcie honoru. Przecież to Dillonowi najbardziej powinno zależeć na najlepszej współpracy, na naprawieniu i odbudowaniu tego, co się popsło.

Problem w tym, iż on nie ma potrzebnych w takiej sytuacji cech.

Niezależnie od tego, co mówi, wie równie dobrze jak ja o niebezpieczeństwie, jakie nieustannie mu zagraża. O możliwości potwornej konfrontacji. Może Wolfe Tone właśnie jemu zawdzięcza to, co stało się w

Lough Swilly? Co będzie, jeśli Emmet namówi Francuzów do ponownej inwazji? Co stanie się, jeśli Bonaparte nawiąże przyjazne stosunki z papieżem?

To wcale nie jest niemożliwe. Z drugiej strony Dillon jest naprawdę bystry i rozgarnięty.

Jeśli raz dzięki jakiemuś korzystnemu zbiegowi okoliczności polubi Jacka Aubreya, to nigdy się już nie zmieni.

Będzie to na pewno wyjątkowo lojalne przywiązanie. Dałbym sporo za to, by

ich ze sobą zaprzyjaźnić". Stephen westchnął i odłożył pióro. Umieścił je na pokrywce dużego szklanego słoja, w którym znajdowała się wspaniała żmija, jedna z najpiękniejszych, jakie można było zobaczyć: długa, jadowita, ze spłaszczonym łbem. Pływała zwinięta w spirytusie winnym, a jej przymrużone oko spoglądało na doktora uważnie. Była jednym z owoców dni spędzonych w Mahon w oczekiwaniu na „Sophie”, która powróciła, holując za rufą trzeci przyz: sporego hiszpańskiego tartana. Dwa przedmioty leżące koło naczyń ze żmiją - luneta i zegarek - były namacalnym dowodem znakomitych sukcesów brygu. Według wskazówek zegarka do umówionej godziny pozostało dwadzieścia minut. Stephen sięgnął więc po teleskop i spojrzął w kierunku okrętu. Jack był jeszcze na pokładzie: ubrany w pa-radny mundur od razu rzucał się w oczy. Stał na śródokręciu i omawiał z Dillonem oraz

bosmanem jakiś szczegół olinowania.

Wszyscy trzej wskazywali rękoma coś wysoko na maszcie i w zabawny sposób równocześnie przechylali się to na lewą, to na prawą stronę.

Doktor wychylił się przez barierkę małego balkoniku i patrzył wzdłuż nabrzeża, w stronę wyjścia z portu.

Nieomal natychmiast dostrzegł znajomą przekrwioną twarz George'a Pearce'a, marynarza, podniesioną ku niebu w radosnym uniesieniu. Było tam też kilku innych członków załogi „Sophie”: stali wzdłuż ciągnącego się w stronę garbarni rzędu parterowych tawern i zabijali czas grą w puszczenie kaczek na spokojnej wodzie basenu portowego. Ludzie ci należeli do obsady obu odesłanych do Mahon przyzów i mieli prawo do przebywania na lądzie, podczas gdy reszta załogi brygu wciąż pozostawała na okręcie. Otrzymali też już pewną część należnych im pieniędzy ze sprzedaży zdobytych statków.

Przyjrząwszy się uważnie błyskającym
srebrzyście krążkom
wrzucanym do wody oraz nurkującym
zawzięcie w ślad za nimi małym nagim
chłopcom, Maturin

doszedł do wniosku, iż marynarze ci w
wyjątkowo skuteczny sposób pozbywali
się swego majątku.

Od burty brygu odbiła łódź i przez
teleskop widać było wyraźnie jej
sternika, ze sztywnym dostojeństwem
tulącego do piersi futerał z kapitańskimi
skrzypcami. Stephen wyjął nogę z
chłodnej już wody i przyglądał się jej
uważnie, rozmyślając o szczegółach
anatomii kończyn niektórych wyżej
rozwiniętych gatunków ssaków: koni,
małp i afrykańskich Murzynów. To
ciekawe, iż nogi tak sprawne i zgrabne
za młodu z wiekiem stają się opuchnięte,
bezwładne i brzydkie...

- Rozmyślałem właśnie o Murzynach -
powiedział głośno, gdy otworzyły się
drzwi i do pokoju wszedł

podeksycytowany Jack Aubrey, z rulonem
nut pod pachą.

- Wspaniały temat do rozmyślań, nie ma
co... - zawołał kapitan. - Teraz, mój
dobry człowieku, proszę wyjąć drugą
nogę z miski i włożyć pończochy. Niech
pan się pośpieszy, błagam. Nie mamy
ani chwili do stracenia. Nie, tylko nie te
błękitne: idziemy na przyjęcie do pani
Harte...

- Czy koniecznie muszę ubrać się w
jedwabne...

- Oczywiście, że jedwabne. Pośpiesz
się, przyjacielu, w przeciwnym razie się
spóźnimy.

- Zawsze pan dokądś pędzi... - Stephen
narzekał, grzebiąc w swoich rzeczach.

Nagle na podłogę obok niego spadł
spory wąż. Rozległo się suche
plaśnięcie i gad ruszył w poprzek
pokoju, wijąc się, z uniesioną na
osiemnaście cali głową.

- Och, och! - zawołał Jack, wskakując
na krzesło. - Wąż!

- Może te pończochy będą

odpowiednie? - zapytał Maturin. - Są

dziurawe...

- Czy ten wąż jest jadowity?

- Bardzo. Wydaje mi się, że zaraz pana

zaatakuję. Na pewno. Jeśli włożę te

jedwabne pończochy na tamte z

samodziału, dziury nie będzie widać.

Ugotuję się wtedy jednak. Bardzo

dzisiaj gorąco, prawda?

- Och! On ma ze dwa sążnie długości.

Niech pan mi powie, czy ten potwór

naprawdę jest jadowity?

Niech pan przysięgnie...

- Gdyby włożył mu pan rękę do gardła,

aż do tylnych zębów, może natrafiłby

pan na odrobinę jadu.

Przy ukąszeniu nic panu nie grozi.

Malpolon monospessulanus to bardzo

niewinne stworzenie. Myślę o zabraniu

kilku okazów na okręt, by zwalczały

szczury... Ach, żebym miał tylko troszkę

więcej czasu... No i trzeba też wziąć

pod uwagę tę bezmyślną nienawiść ludzi

do gadów. Bardzo zabawnie wygląda pan na tym krześle... - Doktor pochylił się nad wężem i nucąc wesołą dziecięcą piosenkę, wyniósł go z pokoju. Gad, choć zupełnie głuchy, patrzył przy tym z zadowoleniem prosto w twarz śpiewającego człowieka.

Pierwszą wizytę złożyli w domu pana Browna, zarządcy stoczni. Po powitaniu i gratulacjach z okazji sukcesów brygu oraz jego kapitana z ogromnym samozaparciem i wytrwałością wykonali kwartet h-moll Mozarta - panna Brown grała na słodko brzmiącej, choć nieco zbyt cichej altówce. Nigdy wcześniej nie koncertowali razem, nigdy nie ćwiczyli tego utworu i brzmienie, jakie uzyskali, było bardziej niż chropowate. Wspólne muzykowanie sprawiło im jednak olbrzymią przyjemność, a ich publiczność - pani Brown robiąca na drutach i biały kot - była w pełni zadowolona z występu. Pomimo niewiarygodnie wręcz dobrego

humoru Aubrey, powodowany

szacunkiem dla muzyki,

trzymał się w ryzach do końca utworu.

Nie wytrzymał dopiero podczas kolacji,

którą podano po koncercie. Na stole

znalazły się dwie sztuki drobiu, ozorki,

legumina, krem i ciasto. Jack był bardzo

spragniony, wypił więc szybko dwa lub

trzy kieliszki wina, prawie sobie z tego

nie zdając sprawy -

jego twarz poczerwieniała i

rozpromieniła się jeszcze bardziej.

Śmiał się znacznie częściej i głośniej.

Koloryzując nieco, opowiedział o tym,

jak to Stephen otworzył czaszkę

biednego artylerzysty, a potem zamknął

ją z powrotem, coś tam w środku

poprawiwszy. Od czasu do czasu wzrok

kapitana

„Sophie" uciekał ku biustowi panny

Brown, okrytemu zgodnie z tegoroczną

paryską modą (udo-skonaloną nieco z

racji odległości) tylko niewielkim

skrawkiem przezroczystego muślinu.

Gdy w pewnym momencie Stephen przerwał rozmyślenia, pani Brown siedziała z ponurą miną, panna Brown z przesadną skromnością wpatrywała się w swój talerz, a pan Brown, który również sporo wypił, zaczął opowiadać jakąś zawiłą historię. Pani Brown była bardzo tolerancyjna wobec powracających z morza oficerów, zwłaszcza gdy cieszyli się z udanego patrolu, w przypadku jej męża było jednak inaczej. Już wiele razy słyszała ową zajmującą opowieść i aż nadto dobrze wiedziała, co oznacza nieco bełkotliwa wymowa oraz szczególny wyraz jego twarzy.

- Chodźmy, kochanie - powiedziała do córki. - Myślę, że zostawimy teraz panów samych.

Raut zorganizowany przez Molly Harte okazał się olbrzymim przyjęciem, na które zaproszeni zostali prawie wszyscy oficerowie, duchowni, urzędnicy, handlowcy i miejscowi notable.

Przybyło tak wielu ludzi, iż z trudem
mieścili się na nakrytym
prowizorycznym płóciennym dachem
dziedzińcu domu Senora Martineza. Z
pomieszczenia, będącego na co dzień
biurem dowódcy portu, przygrywała
gościom wojskowa orkiestra z fortu
Świętego Filipa.

- Proszę mi pozwolić przedstawić sobie
mojego przyjaciela, wyjątkowego
przyjaciela i zarazem naszego lekarza
okrętowego: doktor Maturin -
powiedział Jack, zwracając się do żony
komendanta. -

Pani Harte...

- Do usług szanownej pani. - Stephen
ukłonił się nisko.

- Cieszę się, że pana tutaj widzę -
zapewniła Molly Harte z uśmiechem. W
rzeczywistości ów człowiek nie bardzo
jej się spodobał i raczej nie potrafiłaby
go polubić.

- Doktor Maturin, kapitan Harte... -
kontynuował Jack prezentację.

- Bardzo mi miło - odparł kapitan Harte.

Jemu również Stephen nie przypadł do gustu, ale z zupełnie innego powodu.

Popatrzył niewidzącym wzrokiem

wysoko ponad głowę Stephena i

wyciągnął na

powitanie, tuż przed swój obwisły

brzuch, dłoń z dwoma wyprostowanymi

palcami. Doktor przyjrzał

się palcom uważnie, ignorując ów gest, i

skłonił się z lekceważeniem tak idealnie

odpowiadającym zachowaniu

komendanta, iż Molly Harte

błyskawicznie musiała zmienić zdanie -

przyjaciel Jacka wydał jej się teraz

sympatyczny. Aubrey i Maturin przeszli

dalej, ustępując miejsca napierającemu z

tyłu tłumowi gości - wszyscy zaproszeni

oficerowie marynarki przybyli bowiem

na miejsce idealnie o oznaczonej porze,

z sekundową wręcz dokładnością.

- Oto szczęściarz Jack Aubrey! -

zawołał Bennet, dowódca okrętu

„Aurore”. - Wy, młodzi, dobrze sobie

radzicie. Ledwo udało mi się wejść do portu, tyle miejsca zajmują zdobyte przez pana statki.

Oczywiście szczerze panu gratuluję, lecz moim zdaniem powinien pan zostawić coś i dla nas, starych dziadków, zanim odejdziemy na emeryturę... Prawda?

- Ależ sir... - śmiejąc się, zawołał Jack.

Jego twarz poczerwieniała jeszcze

bardziej. - To tylko szczęście

żółtodzioba. Pewnie wkrótce przestanie

mi dopisywać i o zdobyczach będę mógł

sobie tylko pomarzyć...

W pobliżu znajdowało się kilku

równych mu lub wyższych stopniem

oficerów floty. Wszyscy składali

gratulacje: niektórzy ze smutkiem, inni z

wyraźną zazdrością. U każdego z nich

widać było jednak bezinteresowną

życzliwość, z jaką Stephen tak często

spotykał się w Royal Navy. Całą grupą

przeszli w stronę stołu z trzema

olbrzymimi wazami ponczu i baterią

szklanek. Jack, w pełni korzystając z

nieprzebranego bogactwa morskiego żargonu, opowiedział szczegółowo o okolicznościach, w jakich zostały zdobyte jego trzy przyzy. Oficerowie słuchali uważnie, z przymrużonymi oczami, co jakiś czas przytakując i kiwając głowami. Stephen musiał przyznać, iż w pewnych sprawach mężczyźni rozumieją się w sposób niemal absolutny. Dokonawszy tej obserwacji, pozwolił myślom pobiec zupełnie swobodnie. Stał ze szklaneczką ponczu arakowego w dłoni, oparty o drzewo pomarańczowe, i wyglądał na zadowolonego. Przyglądał się to mundurom, to ustawionym z tyłu za drzewem kanapom i niskim fotelom, na których siedziały damy. Panie najwyraźniej miały nadzieję, iż jacyś mężczyźni przyniosą im lody i desery. Spotkał je zawód, przynajmniej jeśli chodzi o stojących obok Stephena marynarzy. Kobiety wzdychały więc

cierpliwie, licząc już tylko na to, że ich
mężowie, bracia, ojcowie i
kochankowie nie upiją się zbytnio, a
nade wszystko, iż żaden z nich nie
zacznie nagle szukać zwady.

Czas mijał powoli i w pewnej chwili
jakieś zawirowanie w głównym nurcie
przyjęcia sprawiło, że Jack Aubrey wraz
z otaczającymi go oficerami znalazł się
bardzo blisko drzewa pomarańczowego.

Stephen słyszał teraz ich rozmowę.

- ...czeka ich długi rejs - mówił Jack.

- W porządku, Aubrey - nieomal
natychmiast po tych słowach odezwał
się któryś ze starszych kapitanów. -

Przecież ludzie z załogi „Sophie”
zawsze byli na łodzi cisi i spokojni.

Dlaczego więc teraz, kiedy mają po dwa
pensy w kieszeni, zachowują się jak...

No nie wiem... Jak stado oszalałych
szympanów. Pobili boleśnie załogę
barki mojego kuzyna Oaksa... Wiecie,
panowie, z jakiego absurdalnego
powodu? Stwierdzili, że mają na

pokładzie prawdziwego lekarza, więc
mogą
zaczekać przed barką okrętu
liniowego, który szczyli się tylko
zwykłym felczerem. Zupełnie zgłupieli.
Te pieniądze całkiem odebrały im
rozum.

- Przykro mi, że ludzie kapitana Oaksa
zostali pobici - powiedział Jack ze
szczerą troską w głosie. -

Fakt pozostaje jednak faktem.

Rzeczywiście mamy na pokładzie
lekarza, prawdziwego cudotwórcę,
mistrza piły chirurgicznej i wybitnego
specjalistę od lewatywy. - Spojrzał na
Maturina życzliwie. -

Niedawno otworzył czaszkę naszego
artylerzysty, wyjął i doprowadził do
porządku mózg tego biedaka...

Naprawdę nic miałem odwagi na to
patrzeć. Potem polecił zbrojmistrzowi.

by ten wyklepał

z dwudziestopięciopensówki wypukłą
blaszkę. Gdy już była gotowa, nasz

doktor wstawił ją na miejsce,
przykręcił, zamknął czaszkę i
pozaszywał wszystko tak zgrabnie jak
złomistrz. To jest prawdziwa
medycyna. Nie jakieś tam pigułki i
czekanie, nie wiadomo na co. Oto
zresztą i człowiek, o którym mówię...

Oficerowie przywitali się ze Stephenem
bardzo uprzejmie, zmusili go, by wypił z
nimi kolejną szklaneczkę ponczu - to
przecież idealny napitek po gorącym
dniu. Rozmowa toczyła się dalej, tylko
Maturin i kapitan Nevin przysłuchiwali
się jej w milczeniu. Stephen dostrzegł w
twarzy kapitana coś znajomego, pewne
roztargnienie, i nie zdziwił się zbytnio,
gdy Nevin poprosił, by odeszli na
chwilę na bok, za drzewo. Gdy się tam
znaleźli, kapitan zaczął zwierzać się
doktorowi przyciszonym głosem ze
swych problemów z trawieniem nawet
najprostszych potraw. Okazało się, iż
owa niestrawność od wielu lat
stanowiła zagadkę dla najwybitniejszych

lekarzy. Od lat, lecz doktor Maturin na pewno poradzi sobie z nią od razu...

Oczywiście istotne są wszystkie, również najdrobniejsze, szczegóły tego wyjątkowego i niezwykle interesującego przypadku. Tak przynajmniej określił tę chorobę Sir John Abel... Może zna pan Sir Johna? Poza tym - tu Nevin jeszcze bardziej ściszył głos i rozejrzał się szybko dookoła - oprócz kłopotów z trawieniem występują również pewne problemy z...

wydalaniem... Kapitan mówił dalej, a Stephen słuchał go uważnie, stojąc z założonymi z tyłu rękami i lekko pochyloną głową. Szczerze mówiąc, opowieść ta nie okazała się na tyle zajmująca, by uwagi doktora uszły słowa Jacka:

- Och, tak, tak! Pozostali też z pewnością wybierają się na ląd.

Czekają teraz na burcie, w najlepszych ubraniach, z pieniędzmi w kieszeniach, a to, co w spodniach, mają już na jard

długie. - Trudno było tych słów nie
słyszeć, gdyż, jak to bywa czasem na
największych nawet tego rodzaju
zgromadzeniach, w tym momencie
zapadła absolutna cisza.

Stephenowi zrobiło się bardzo przykro z
powodu tych słów i skutku, jaki
wywarły one na siedzących nieopodal
drzewa pomarańczowego paniach.

Znacznie więcej przykrości sprawiła mu
jednak

przekrwiona twarz Jacka, płonące
jakimś szalonym blaskiem oczy i
kolejna, triumfalna uwaga:

- Nie muszą się panie śpieszyć. Oni
zejdą na brzeg dopiero wieczorem!

Wszyscy dookoła z prawdziwą
determinacją podjęli przerwane
wcześniej rozmowy, uniemożliwiając
wygłaszanie następnych takich
stwierdzeń. Kapitan Nevin wracał

właśnie do sprawy swej okrężnicy, gdy
Stephen poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

Pani Harte uśmiechnęła się do Nevina w

taki sposób, iż kapitan urwał w pół
słowa i zniknął gdzieś za wazami z
ponczem.

- Doktorze Maturin, proszę zabrać stąd
swego przyjaciela - powiedziała żona
komendanta

przyciszonym głosem. Była wyraźnie
zdenerwowana. - Niech mu pan powie,
że na jego okręcie wybuchł pożar...

Niech mu pan powie cokolwiek, proszę
tylko go stąd zabrać. W przeciwnym
razie zaszkodzi sobie jeszcze bardziej...

Stephen bez słowa skinął głową.

Pochylił nisko głowę i wszedł prosto w
grupę dyskutujących z ożywieniem
oficerów, kłaniając się w stronę tych,
którym przerwał rozmowę. Chwycił

Jacka za ramię i nie znoszącym
sprzeciwu tonem wyszeptał:

- Chodźmy, chodźmy. Nie mamy ani
chwili do stracenia...

- Im szybciej będziemy w morzu, tym
lepiej - wymamrotał Jack Aubrey do
siebie, wpatrzony w słabo oświetlone

nabrzeże. Czy nadpływająca stamtąd
łódź należała do brygu i wiozła ostatnich
powracających z lądu ludzi, czy też
przybywał nią posłaniec z biura
rozwścieczonego komendanta, z
rozkazami odwołującymi patrol
„Sophie”? Jack wciąż nie mógł
pozbierać się po swych nocnych
wyczynach, lecz przytomniejsza część
świadomości nieustannie podpowiadała
mu, że wręcz
niewyobrażalnie sobie zaszkodził.

Postępowanie dyscyplinarne w jego
sprawie mogło zostać podjęte bez słowa
sprzeciwu ze strony kogokolwiek i
absolutnie nie miał ochoty na
natychmiastowe spotkanie z kapitanem
Harte.

Wiatr wiał od zachodu, inaczej niż
zwykle, niosąc ze sobą wilgotny,
wstrętny odór z garbarni. Był
jednak odpowiedni, by „Sophie” mogła
bez trudu pokonać długi basen portowy i
wyjść w morze. Tak.

W morze. Tam gdzie nikogo nie zdradzi
zbyt długi język, gdzie Stephen nie
znajdzie sposobności, by narazić się
przełożonym, i gdzie nie trzeba będzie
siłą wyrywać tego piekielnego dzieciaka
Babbingtona z objęć podstarzałych
kobiet. W morzu Dillonowi nie nadarzy
się okazja do pojedynku.

Jack słyszał tylko plotki na ten temat,
lecz podobna przykra sprawa mogła
oznaczać utratę jednego z najlepszych
oficerów, z jakimi kiedykolwiek pływał.

To prawda, że porucznik był trochę
sztywny i chwilami trudno było
przewidzieć, jak się zachowa. Mimo to
Aubrey cenił go niezwykle wysoko.

Łódź pojawiła się ponownie, tuż za rufą
„Aurore”, wypełniona powracającymi z
przepustki ludźmi.

Na szczęście. Kilku marynarzom było
bardzo wesoło, lecz pozostali wyglądali
nieszczęśliwie. Ci, którzy mogli
utrzymać się na nogach, przeważnie w
niczym nie przypominali siebie samych

schodzących na ląd: wracali bez grosza przy duszy, dziwnie zmęczeni i pozbawieni animuszu. Jeśli zaś chodzi o tych, którzy nie mogli chodzić, ułożono ich na pokładzie, obok innych bezwładnych ciał przywiezionych nieco wcześniej.

- Czy wszyscy wrócili, panie Ricketts? - zapytał kapitan.

- Tak jest, sir - odpowiedział podchorąży zmęczonym głosem. -

Brakuje tylko pomocnika kucharza, Jessupa, który złamał sobie nogę, spadając z Pigtail Steps, oraz Senneta, Richardsa i Chambersa. Ci z kolei poszli podobno do George Town z jakimiś żołnierzami.

- Sierżancie Quinn?

Sierżant nie zareagował. Utrzymał się, co prawda, na nogach, sztywno wyprostowany, lecz na wszystkie pytania udzielał identycznej odpowiedzi: „Tak jest, sir” i salutował zamaszystym ruchem.

- Brakuje tylko trzech jego ludzi -

podpowiedział James cicho.

- Dziękuję, panie Dillon... - Aubrey

znów spojrział w stronę miasta. Na
pogrążonym w mroku klifie poruszało
się kilka bladych świateł. - Myślę, że
możemy stawiać żagle.

- Nie czekamy na resztę wody, sir?

- Ile nam brakuje? Dwóch ton, jak mi się
zdaje... Pobierzemy wodę następnym
razem. Maruderzy też tu na nas
poczekają. Panie Watt, proszę wezwać
ludzi do odcumowania, jeśli można, to
bez hałasu...

Jackowi zależało na ciszy z dwóch
powodów: jego obolała głowa nie
mogłaby znieść normalnych przy takiej
okazji okrzyków i głośnych komend,
ponadto nie chciał, by wyjście „Sophie”
w morze przyciągnęło czyjąkolwiek
uwagę. Na szczęście bryg zacumowany
był na dziobie i rufie do boi, odpadała
zatem konieczność powolnego
podnoszenia kotwicy i obracania

skrzypiącego kabestanu przy piskliwym
akompaniamencie skrzypiec. Nawet
najtrzeźwiejsi członkowie załogi byli w
zbyt opłakanym stanie, by mogli zdobyć
się na cokolwiek więcej niż ciche i
szybkie rzucenie cum. Tym razem obyło
się więc bez zwyczajowych
przyśpiewek i nawoływania. Nikt nie
miał na to siły. Dobrze, że na okręcie
przeprowadzone zostały wszystkie
potrzebne naprawy i zakończono
prowiantowanie (nie pobrano jedynie
ostatniego transportu wody). Jack rzadko
kiedy był tak dumny z własnej
zapobiegliwości, jak teraz, gdy kliwer
wypełnił się wiatrem i dziób „Sophie”
powoli zaczął obracać się na wschód, w
stronę wyjścia z portu. Uszkodzenia
zostały usunięte, na pokładzie znajdował
się wystarczający zapas żywności i
wody. Można było rozpocząć rejs, z
powrotem ku niezależności.
W godzinę później byli już w
przesmyku, miasto z wstrętnymi

zapachami zostało daleko z tyłu, przed
dziobem otwierała się lśniąca tafla
otwartego morza. Bukszpryt brygu
skierowany był niemal idealnie ku białej
plamie światła na horyzoncie,
zwiastującej pojawienie się słońca.
Bryza zmieniała powoli kierunek na
północny i stopniowo przybierała na
sile. Niektóre z ułożonych nocą na
pokładzie ciał
zaczynały się poruszać. Wkrótce
dosięgnie ich strumień wody z węża i
wszystko powróci do
porządku. Rozpocznie się kolejny dzień
służby.

„Sophie” z uporem próbowała posuwać
się na południowy zachód, w pobliże
objętego patrolem obszaru, pomimo
następujących na przemian po sobie
okresów ciszy i zmiennych,
niepomyślnych wiatrów. Na jej
pokładzie panował szczególny nastrój,
tak jakby wszystkim ciążyły jakieś
wyrzuty sumienia. Od czasu wyjścia w

morze wiatr najwyraźniej stroił sobie
żarty i na horyzoncie ciągle widać było,
bliżej lub dalej, małą wysepkę Ayre,
położoną na wschód od Minorki.

Był czwartek i cała załoga została
wezwana gwizdkami na pokład, by
uczestniczyć w wymierzaniu kary. Dwie
wachty stały po obu stronach pokładu -
łódzie płynęły w tym czasie na holu za
rufą brygu, tak by było nieco więcej
miejsca. Żołnierze piechoty morskiej jak
zwykle utworzyli regularny czworobok
od działa numer trzy w kierunku rufy, a
na pokładzie rufówki tłoczyli się
oficerowie.

- Panie Ricketts, gdzie jest pański
kordzik? - zapytał gniewnie James
Dillon.

- Zapomniałem, sir. Przepraszam... -
wyszeptał podchorąży, blednąc.

- Proszę natychmiast zejść po niego i
niech pan się nie odważy następnym
razem pojawić na pokładzie w
niekompletnym umundurowaniu.

Zbiegając pod pokład, młody Ricketts spojrzał przepaszającym wzrokiem w stronę kapitana.

Dowódca zmarszczył brwi, by nie było wątpliwości co do tego, iż w pełni podziela zdanie Dillona. Ci dranie za chwilę zostaną wychłostani i mają prawo do tego, aby wszystko odbyło się z należytych ceremoniałem: w obecności całej załogi, przy wtórze grzechoczącego werbla. Oficerowie powinni mieć u boku szpady, a na głowach obszywane złotem kapelusze.

Henry Andrews, kapral okrętowy, po kolei wyprowadzał winowajców.

Wszyscy oskarżeni zostali o pijaństwo:

John Harden, Joseph Bussell, Thomas Cross, Timothy Bryant, Isaac Isaacs, Peter Edwards i John Surel. Nikt nie zabrał głosu w ich imieniu, oni sami również się nie odzywali.

- Po tuzinie dla każdego - zdecydował Jack. - Gdyby na świecie miała być sprawiedliwość, to Crossowi

należałoby podwoić karę. Kto jak kto,

ale on... Prawa ręka artylerzysty...

Wstyd.

Na „Sophie” zwyczajowym miejscu

chłosty nie był greting, lecz kabestan.

Pierwszy z ukaranych z ponurą miną

wyszedł do przodu, zdjął koszulę i

przykląkł przed przysadzistą drewnianą

kolumną.

Pomocnicy bosmana, John Bell i John

Morgan, związali po jej drugiej stronie

nadgarstki nieszczęśnika

- w rzeczywistości była to tylko

formalność. Potem John Bell

wyprostował się i spoglądając na

kapitana, poruszył lekko trzymanym w

prawej ręce biczem. Jack skinął głową i

poleciał:

- Proszę zaczynać.

- Jeden - odliczał bosman grobowym

głosem, a dziewięć powiązanych w

supły rzemieni z trzaskiem opadało na

gołe, wyprężone plecy marynarza. -

Dwa. Trzy. Cztery...

Padaly następne razy i Jack bez trudu zauważył, że co jakiś czas rzemienie uderzają o drewno kabestanu - bijący sprytnie oszczędzał kolegę. „Nie szkodzi” - pomyślał. - „Wszystko wskazuje na to, że ci dranie musieli w jakiś sposób dostać się do magazynu alkoholu. Chyba że jakiś spryciarz wniósł na pokład zapas czegoś mocniejszego. Chciałbym wiedzieć, czyja to sprawka... Dla takiego łajdaka kazałbym przygotować greting i na pewno nie zgodziłbym się na podobne sztuczki”. Takie pijaństwo nie mogło więcej się powtórzyć: siedmiu ukaranych w jednym dniu. Nie chodziło o skutki niedawnej wyprawy na ląd, w porcie. Ta sprawa dawno została zapomniana. Pijani do nieprzytomności ludzie wytrzeźwieli i wszystko, co złe, zostało zapisane na karb zwykłego w porcie rozluźnienia dyscypliny. Nikomu z polewanych wówczas wodą

marynarzy nie postawiono żadnych

zarzutów. Dzisiejsza

chłosta stanowiła karę za inne

przewinienie. Nie dalej jak wczoraj

Jack poważnie się zastanawiał, czy nie

odwołać popołudniowych ćwiczeń w

strzelaniu z armat, tak wielu ludzi

chwiało się na nogach.

Któryś z podpitych głupców mógł

podłożyć stopę pod cofającą się lawetę

lub w momencie wystrzału zajrzeć w

wylot lufy. Skończyło się na tym, iż

przećwiczone jedynie przetaczanie

dział, bez odpalania.

Na okrętach panowały różne zwyczaje

co do zachowania się okładanych batem

ludzi. Członkowie starej załogi „Sophie”

przyjmowali razy, milcząc, lecz na

przykład Edwards (jeden z nowych)

został

przeniesiony z okrętu „King's Fisher”, na którym w podobnej sytuacji nie

obowiązywało milczenie. Po pierwszym

uderzeniu krzyknął więc głośno, co

bardzo poruszyło młodego pomocnika

bosmana.

Trzymająca bicz ręka zadrżała i dwa następne razy były wyraźnie słabsze.

- Co to ma znaczyć, Bell? - zapytał

bosman z wyrzutem. Nie był bynajmniej wrogiem Edwardsa, który w tej chwili znaczył dla niego tyle, co przeznaczone na ubój jagnię dla rzeźnika. Po prostu na

okręcie każda robota powinna być

wykonywana porządnie. Uwaga

poskutkowała natychmiast i kolejne

przeraźliwe okrzyki chłostanego

marynarza były jak najbardziej

uzasadnione. Jeszcze gorzej wyglądała

sprawa z następnym nieszczęśnikiem,

który słysząc wrzaski Edwardsa,

załamał się zupełnie. John Surel,

poborowy z Exeter, nigdy przedtem nie

był chłostany i z powodzeniem oprócz

pijaństwa zarzucić mu można było

nieopanowanie oraz brak odwagi.

Pomimo szamotaniny, jęków i

rozdzierającego płaczu wyrok został

sumiennie wykonany. Poirytowany Bell

sprawnie wydzielał silne razy, chcąc jak najszybciej zakończyć tę przykrą i żalosną scenę.

„Jakże barbarzyńskie może się to wydać dla widza, który nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do podobnego widoku, i jak mało znaczy dla tych, którzy już do takich scen przywykli" - zauważył Stephen w duchu. - „Tylko ów dzieciak jest wyraźnie wstrząśnięty". Babbington rzeczywiście był bardzo blady i wystraszony, gdy kara została wymierzona do końca, a kilku zawstydzonych marynarzy odprowadziło jęczącego Surela na bok.

Widocznie jednak podchorąży nie przejął się tym aż tak bardzo, bo upłynęło zaledwie dziesięć minut od chwili, gdy zmyto z pokładu ostatnie ślady chłosty, a już uganiał się za Rickettsem wysoko w olinowaniu.

Daleko z tyłu ostrożnie gramolił się ich śladem uradowany klerk.

- Kto tam skacze po masztach? - zapytał

Jack, widząc poruszające się za cienkim płótnem

grotoombsla cienie. - Chłopcy?

- Młodzi dżentelmeni, panie kapitanie - wyjaśnił oficer wachtowy.

- No właśnie... - Jack zastanawiał się przez chwilę. - Chcę z nimi porozmawiać.

Wkrótce twarze podchorążych znów były blade i wystraszone. Tym razem z innego, ważnego powodu. Jednym z obowiązków przyszłych oficerów było przeprowadzanie w południe obserwacji astronomicznych i określanie na ich podstawie pozycji statku, którą następnie zapisywali na kawałku papieru. Owe kartki nazywane były zwyczajowo „pracami młodych dżentelmenów”. Stojący na warcie u drzwi kapitańskiej kabiny żołnierz piechoty morskiej wręczał je dowódcy okrętu ze słowami:

„Prace młodych dżentelmenów, sir”.

Kapitan Allen (niedbały i leniwy

człowiek) odpowiadał zawsze:

„Ach, prace młodych dżentelmenów...” i

wyrzucał obliczenia przez okno.

Początkowo Jack zbyt był

zajęty innymi sprawami, by zaprzętać

sobie głowę edukacją podchorążych.

Spojrzał jednak na wczorajsze ich

karteczki i ze zdumieniem stwierdził, iż

pozycja „Sophie” została określona na

39°21'N, co z grubsza odpowiadało

prawdzie, lecz chcąc znaleźć się w

podanej równocześnie długości

geograficznej, należałoby pokonać

łańcuch gór za Walencją i przebyć

prawie trzydzieści siedem mil w głąb

lądu.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego oddajecie

mi takie bzdury? - zawołał gniewnie.

Nie oczekiwał

odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak i

na wiele innych. Podchorążowie nie

próbowali zresztą się tłumaczyć.

Przyznali mu gorliwie rację, gdy

powiedział, że ich pobyt na okręcie wojennym to nie zabawa czy sposób na przyjemne spędzenie czasu, lecz okazja do nauki morskiego rzemiosła. Ich dzienniki (zebrał je i przejrzał) nie były ani dokładne, ani aktualne, okrętowy kot z pewnością pisałby staranniej. W przyszłości mieli bardziej interesować się obserwacjami i obliczeniami pana Marshalla -

od dziś codziennie będą nanosić pod jego kontrolą pozycję na mapie. Chcąc zostać porucznikiem, nie wspominając nawet o samodzielnym dowodzeniu okrętem (Jack miał nadzieję, że litościwy Bóg wybaczy mu te słowa), należy w każdej chwili umieć określić pozycję z dokładnością do jednej minuty... do trzydziestu sekund... Co więcej, w każdą niedzielę podchorążowie przedstawiać mają do sprawdzenia swoje dzienniki, starannie, poprawnie i rozsądnie prowadzone.

- Mam nadzieję, że potrafcie pisać

czysto i wyraźnie? Jeśli nie, to

poproście klerka, on was tego nauczy... -

Nie uwierzył ich gorliwym

zapewnieniom, posadził wszystkich przy

stole, rozdał papier i pióra, kazał podać

sobie książkę, i rozpoczął dyktando.

Stephen przebywał właśnie u swych

chorych. Chciał w spokoju zastanowić

się nad stanem jednego z pacjentów.

Puls tego człowieka był słaby, prawie

niewyczuwalny. Dookoła panowała

cisza i pod rozpięty nad gretingiem

płócienny nawiewnik, pozwalający na

niewiele lepszą wentylację tu na dole,

dolatywały z wiatrem słowa Jacka,

wypowiadane grobowym,

przerazającym tonem. Kapitan czytał

nienaturalnie powoli, starannie

wymawiając każde słowo:

„Pokład okrętu wojennego traktować

można jako państwową szkołę, której

zadaniem jest kształcenie naszej

młodzieży. Tutaj młodzi ludzie uczą się

dyscypliny i poznają morskie rzemiosło,

nabywając umiejętności związanych ze służbą na morzu. Pobyt na okręcie w usystematyzowany sposób wykształca u nich niezwykle pożyteczne cechy, takie jak punktualność, dbałość o swój ubiór oraz wygląd, pracowitość, trzeźwość, zdolność do poświęceń i wyrzeczeń.

Ucząc się posłuszeństwa, przyszli oficerowie nabywają równocześnie umiejętności dowodzenia".

- No tak. Ładnie... - Stephen mruknął pod nosem, potem znów zajął się swym pacjentem:

nieszczęśliwym, zabiedzonym człowiekiem o zajęczej wardze, leżącym w hamaku tuż obok.

Nieszczęśnik był jednym z nowo zaciągniętych rekrutów i należał do wachty prawej burty. - Ile możesz mieć lat, Cheslin? - zapytał doktor łagodnym głosem.

- Och, nie potrafię powiedzieć, sir. -

Pomimo apatii w głosie Cheslina słychać było zniecierpliwienie. -

Chyba ze trzydzieści. Tak mi się zdaje...

- Chory przerwał na chwilę. - Miałem piętnaście lat, kiedy zmarł mój ojciec.

Gdybym się chwilę zastanowił, chyba udałooby mi się policzyć, ile to żniw minęło od tamtego czasu. Teraz nie mogę...

- Nie szkodzi. Cheslin, słuchaj, będziesz bardzo chory, jeśli nie zaczniesz jeść.

Każę ugotować dla ciebie trochę zupy, a ty ją zjesz.

- Dziękuję, sir. To mi i tak nie pomoże.

Oni nie pozwalają mi nic jeść...

- Dlaczego opowiedziałeś im o wszystkim?

Cheslin nie odpowiadał, patrzył tylko na Stephena smutnym wzrokiem.

- Wszystko przez ten grog. Taki mocny.

Nie przypuszczałem, że tak się wystraszą. Ale tak naprawdę, to ludzie w okolicach Carborough też nie lubią o tym mówić.

Właśnie zagwizdano na obiad i mesa załogowa, w której Stephen wydzielił

płóciennym parawanem nieco
spokojniejsze miejsce dla chorych,
zapełniła się głodnymi ludźmi. Wszystko
odbywało się w sposób uporządkowany:
ośmioosobowe grupy gnały na
wyznaczone miejsca, pojawiały się
wiszące pod belkami sufitu stoły oraz
drewniane miski z soloną wieprzowiną
(kolejny dowód na to, iż dzisiaj był
czwartek) i gotowaną fasolą. Z
największą ostrożnością, tak aby broń
Boże nie uрониć ani kropli, przyniesiono
z pokładu grog, przyrządzony przed
chwilą przez pana Pullingsa przy włązie
koło grotmasztu.

Przed Stephenem natychmiast utworzyło
się szerokie przejście, wszyscy dookoła
uśmiechali się i spoglądali na niego
życzliwie. Zauważył, iż ludzie, których
plecy smarował olejem dziś rano,
wyglądają na zadowolonych. Zwłaszcza
Edwards, Murzyn, którego uśmiech lśnił
bielą w panującym pod pokładem
półmroku. Czyjeś ręce odstawiły na bok

zagradzającą drogę ławkę, chłopiec okrętowy został gwałtownie obrócony dookoła swej osi i pouczony, iż „jeśli nie chce, by nauczono go dobrych manier, ma nie odwracać się plecami do doktora”. Wszyscy byli tacy uprzejmi, mieli tak dobroduszne twarze. To oni jednak uśmiercali Cheslina.

- Mam w moim szpitaliku bardzo interesujący przypadek... - powiedział Stephen do Dillona, gdy po obiedzie popijali porto. - Pewien człowiek jest bliski śmierci z niedożywienia, umrze na pewno, jeśli nie uda mi się wyrwać go z apatii.

- Jak ten biedak się nazywa?

- Cheslin, ma zajęczką wargę.

- Wiem który. Ze śródokręcia, wachta prawej burty. Do niczego się nie nadaje...

- Tak? W swoim czasie był bardzo potrzebny wielu ludziom.

- Czym się zajmował?

- Zjadał grzechy.

- Boże...

- Rozlewasz wino.

- Co to za historia z tym człowiekiem? -

zapytał James, wycierając blat stołu.

- Nic specjalnego. Posyłano po niego,

gdy ktoś umarł. Na piersiach zmarłego

kładziono kawałek chleba. Cheslin

zjadał ów chleb, biorąc na siebie

grzechy nieżyjącego. Otrzymywał za to

srebrną monetę, po czym wyrzucano go z

domu. Ludzie pluli na niego i gdy

uciekał, rzucali za nim kamie-niami.

- Słyszałem o czymś takim, lecz nie

przyszło mi do głowy, że podobne

rzeczy dzieją się naprawdę. -

Dillon pokręcił głową.

- Takie praktyki są nawet dosyć częste,

tylko nikt o tym nie mówi. Okazuje się,

że marynarze traktują je znacznie

poważniej niż zwykli ludzie. Cheslin

opowiedział w kubryku o swoim

zajęciu, a załoga natychmiast obróciła

się przeciwko niemu. Został wydalony z

mesy, nikt się do niego nie odzywa, nie

wolno mu jeść lub spać w pobliżu
kogokolwiek. Z medycznego punktu
widzenia jest całkiem zdrowy, lecz jeśli
nie uda mi się mu pomóc, umrze w ciągu
tygodnia.

- Powinien pan polecić, by przywiązano
tego człowieka do trapu i wymierzono
mu sto batów, doktorze! - zawołał
ochmistrz ze swej kabiny. Sprawdzał
właśnie jakieś rachunki. - To pomaga.

Gdy między kolejnymi wojnami
służyłem na statku niewolniczym, wśród
przewożonych przez nas z

Gwinei Murzynów byli jacyś voo-doo
czy coś takiego. Umierali tuzinami
podczas podróży przez ocean tylko i
wyłącznie z żalu

i rozpacz. Tak bardzo przeżywali fakt,
iż zostali zabrani ze swej ojczyzny i
rozłączeni z przyjaciółmi.

Udało nam się uratować wielu z nich od
śmierci za pomocą porannej chłosty
bykowcem. Niech pan nie zawraca sobie
głowy tym biedakiem, doktorze. Ludzie i

tak skręca mu kark lub wyrzucą go za burtę. Żeglarze zgodzą się na wiele, lecz nigdy nie na towarzystwo Jonasza. Ktoś taki jest jak biała wrona - inne wrony natychmiast zadziobią ją na śmierć.

Albo jak albatros. Wystarczy złapać albatrosa

- to nic trudnego, potrzebny jest tylko kawałek

liny - i namalować mu na brzuchu krzyż czerwoną farbą. Zostanie rozszarpany przez swych braci, zanim zdąży pan wyjąć lunetę. Często robiliśmy tak dla śmiechu koło Przylądka Dobrej Nadziei.

Załoga nigdy nie zgodzi się, by ten człowiek jadł z nimi w jednej mesie. W żadnym wypadku - służba w marynarce trwa przecież pięćdziesiąt lat... Prawda, panie Dillon?

- Zgadza się - potwierdził James. - Po co ktoś taki zaciągnął się na okręt? Był przecież ochotnikiem, nie został wcielony siłą.

- Pewnie nie chciał już być białą

wroną... - obojętnie rzekł Stephen. - Nie mam zamiaru dopuścić do śmierci mego pacjenta tylko z racji jakichś marynarskich przesądów. Muszę go trzymać na razie z dala od tych złośliwych ludzi, a gdy wydobrzeje, zostanie moim sanitariuszem. To szczególne zajęcie, a człowiek, który teraz mi pomaga...

- Przepraszam, sir... Kapitan przesyła panu wyrazy uszanowania i pyta, czy nie zechciałby pan zobaczyć czegoś niezmiernie interesującego! - zawołał Babbington, wbiegając do mesy oficerskiej.

Po wyjściu z panującego pod pokładem półmroku trudno było dostrzec cokolwiek na zalanym oślepiającym słońcem pokładzie.

Przymrużywszy oczy, Stephen zdołał rozpoznać starszego z dwóch greckich poławiaczy gąbek. Ociekający wodą, nagi Grek stał dumny przy relingu na prawej burcie i trzymał w dłoniach

kawałek blachy z miedzianego poszycia
okrętu. Jack stał obok, z założonymi na
plecach rękami, i uśmiechał się
triumfalnie. Zgromadzeni w pobliżu
marynarze z zaciekawieniem wyciągali
głowy i przyglądali się uważnie. Grek
uniósł w górę skorodowaną blachę i
odwrócił ją na drugą stronę. Patrzył przy
tym uważnie w twarz Stephena. Od
spodu do miedzianego arkusza
przyklepiona była mała ciemna ryba -
dzięki znajdującej się z tyłu głowy
przyssawce przylgnęła mocno do metalu.
- Remora! - wykrzyknął Stephen z
radością i zaskoczeniem, na które tak
bardzo liczyli Jack i poławiacz gąbek. -
Dajcie tu wiadro! Ostrożnie... Co za
pocziwy Grek. Tak się cieszę... To
prawdziwe szczęście zobaczyć remorę!
Obaj Grecy, starszy i młodszy,
korzystając z zupełnie bezwietrznej
pogody, nurkowali za burta
„Sophie”, zdrapując z kadłuba
wodorosty hamujące ruch okrętu. W

przezroczystej wodzie widać było
wyraźnie sylwetki obu nurków,
pracujących wzdłuż lin obciążonych
siatkami z kulami armatnimi.

Wstrzymywali oddech na dwie minuty i
dłużej, czasem nurkując pod stępką i
wypływając na
powierzchnię po drugiej stronie. Wtedy
starszy z nich dostrzegł przyklejonego
pod pasem przy stępko-wym
przebiegłego wroga. Szybko wyjaśniono
doktorowi, iż remora jest tak silna, iż na
pewno to ona oderwała fragment
miedzianego poszycia. Co więcej - ta
ryba mogłaby bez trudu zatrzymać w
miejscu okręt, nawet przy silnym
wietrze! Nie udało jej się jednak...

Sprytni Grecy dopadli tego diabła i
uwolniona od niego „Sophie” pomknie
teraz po falach jak łabędź. Przez moment
Stephen chciał się z tym spierać,
odwoływać się do zdrowego rozsądku,
tłumaczyć, że ruchu okrętu nie może
zahamować dziewięciocalowa ryba o

delikatnych płetwach. Na szczęście był
zbyt mądry i zbyt szczęśliwy, by
wdawać się w podobne dyskusje.

Szybko zaniósł wiadro z remorą do swej
kabiny, by tam w
samotności nacieszyć się niezwykłą
zdobyczą.

Jako filozof nie wydawał się też
specjalnie zakłopotany faktem, iż w
chwilę później powierzchnia morza
zmarszczyła się i z lewego baksztagu
zawiała nagle świeża bryza. Uwolniona
od przekłętej remory „Sophie” pochyliła
się lekko i ruszyła dziarsko do przodu. Z
prędkością siedmiu węzłów żeglowała
aż do zachodu słońca, kiedy to
obserwator na maszcie zawołał:

- Łąd na horyzoncie! Przed dziobem,
dwa rumby z prawej burty...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zauważony na horyzoncie łąd okazał się
przyłądkiem Nao, wytyczającym
południowy kraniec
objętego patrolem obszaru. Ciemny pas

wybrzeża był wyraźnie widoczny na tle błękitnego nieba.

- Całkiem ładny brzeg - powiedział

Jack, powróciwszy z marsa grotmasztu.

Przez dłuższą chwilę oglądał stamtąd

przylądek przez lunetę. - Nawet

królewski astronom nie poradziłby sobie

lepiej...

- Dziękuję, sir. Dziękuję... - odparł

pierwszy nawigator, który dla określenia

dokładnej pozycji brygu musiał

dodatkowo przeprowadzić pracochłonną

serię obliczeń na podstawie obserwacji

księżycy. -

Bardzo cieszę się, że... że jest pan...

zadowolony... - Biedakowi zabrakło

słów i na zakończenie potrząsnął tylko

głową, splatając nerwowo dłonie. Był to

niecodzienny widok: postawny, budzący

respekt mężczyzna o surowej twarzy nie

potrafił znaleźć wystarczająco dużo

delikatności i taktu, by wyrazić swe

uczucia. Nic dziwnego, że kilku

pracujących na pokładzie ludzi

wymieniło

porozumiewawcze spojrzenia. Jack nie zdawał sobie z tego sprawy. Zawsze wysoko cenił precyzyjną i starannie przez pana Marshalla prowadzoną nawigację. Szanował gorliwość, sumienność i wrodzoną dobroduszość tego człowieka. Poza tym był zbyt zajęty pomysłem wypróbowania dział w nocy, by zwracać uwagę na jakieś błahostki. Znajdowali się wystarczająco daleko od brzegu, by nikt ich nie usłyszał. Wiatr wiał od lądu. Poziom wyszkolenia artyleryjskiego załogi „Sophie”, co prawda, podniósł się znacznie, lecz Aubrey nie mógłby zasnąć spokojnie, gdyby któregoś dnia nie zostały przeprowadzone ćwiczenia, będące jedyną drogą do perfekcji.

- Panie Dillon... Przeprowadzimy dzisiaj zawody w nocnym strzelaniu - oznajmił.

- Zobaczymy, która burta okaże się lepsza. Tak, wiem... - mówił dalej, widząc, jak twarz porucznika wydłuża

się w niemym sprzeciwie. - Będą strzelać z oświetlonego pokładu w ciemność, więc chyba nawet najwięksi głupcy nie dostaną się pod lawetę lub przed lufę działa i nie powypadają za burtę. Proszę przygotować kilka pustych beczek do strzelania w dzień i kilka pływających celów z latarniami, pochodniami lub czymś podobnym do ćwiczeń w nocy.

Już od pierwszego strzelania artyleryjskiego, którego dane było mu być świadkiem (ileż to dni upłynęło od tej chwili), Stephen starał się unikać takich atrakcji. Irytował go huk dział i zapach prochu. Jako lekarz obawiał się też podświadomie wypadku i bolesnych urazów wśród obsługujących armaty ludzi. Ponadto podczas tak hałaśliwych ćwiczeń nie było najmniejszej nadziei, iż uda się zobaczyć na niebie jakiegokolwiek ptaka. Tego wieczora wyszedł jednak na pokład, nieświadom zbliżającego się zamieszania. Zamierzał

podejść do pompy na forkaście, do
owej pompy z pnia wiązu, której
głowicę gotowi pójść za doktorem w
ogień marynarze demontowali dwa razy
dziennie.

Słońce zachodziło i należało
wykorzystać padające z ukosa i
oświetlające wodę pod dnem „Sophie”
promienie. Jack Aubrey bardzo się
ucieszył na widok przyjaciela.

- Jest pan, doktorze. Pewnie chce pan
sprawdzić, jak wielkie zrobiliśmy
postępy? To porywający widok, gdy
strzelają działa, prawda? Dzisiaj
zobaczy pan, o ile piękniej coś
podobnego wygląda w ciemnościach.

Boże, szkoda, że nie widział pan tej
bitwy na Nilu! I że jej pan nie słyszał.

Na pewno byłby pan szczęśliwy...

Zmiany na lepsze były bardzo wyraźne
nawet dla tak niedoświadczonego w tej
kwestii obserwatora jak Stephen. Jack
wprowadził bowiem system, który
okazał się zarówno skuteczny, jak i

łagodny dla kadłuba brygu (wręgi
naprawdę nie mogły wytrzymać pełnej
salwy burtowej): znajdujące się na
zawietrznej działo baterii burtowej
strzelało pierwsze, a gdy jego laweta
odskakiwała do tyłu, wypalała sąsiednia
armata. W ten sposób kolejno w
niewielkich odstępach czasu odzywały
się wszystkie armaty, a obsługujący je
ludzie pomimo dymu wciąż widzieli cel.
Jack wyjaśniał to doktorowi, podczas
gdy załadowany pustymi beczkami kuter
zniknął w mroku.

- Oczywiście - dodał na zakończenie -
będziemy strzelali z bliska. Jak dotąd
udało nam się wystrzelić najwyżej trzy
następujące po sobie salwy. Marzę o
chwili, kiedy dojdziemy do czterech...

Obsługujący armaty ludzie byli
rozebrani do pasa, głowy przewiązane
mieli czarnymi jedwabnymi chustkami i
wydawali się bardzo skoncentrowani,
spokojni i kompetentni. Dla tych, którzy
trafią do celu, przewidziana była

nagroda. Znacznie wyżej nagrodzona
miała być wachta, która będzie strzelać
najszybciej - rzecz jasna nie wolno było
zaniedbywać starannego celowania.

Kuter znajdował się już daleko na
zawietrznej. Stephena zawsze
zaskakiwało to, że poruszające się
powoli po wodzie obiekty, początkowo
płynące obok siebie, mogą nagle oddalić
się o mile bez specjalnego wysiłku lub
wyraźnego przyrostu prędkości.

Wystarczyło tylko na chwilę odwrócić
od nich uwagę. Na falach kołysała się
beczka. Słup wykonał zwrot przez rufę i
płynął spokojnie z wiatrem, z
postawionymi marszlami. Widać było, iż
przejdzie w odległości kabla od celu.

- Nie warto strzelać z większego
dystansu - powiedział Jack. W jednej
ręce trzymał zegarek, a w drugiej
kawałek kredy. - Kule nie uderzałyby z
dostateczną siłą.

Chwile mijały i beczka znalazła się z
lewej strony przed dziobem.

- Zwolnić działa! - zawołał James

Dillon. Na pokładzie czuć już było

zapach palących się lontów. -

Wypoziomować... odczopować...

podtoczyć... podsypać... celuj... Ognia!

Odgłos wystrzałów przywodził na myśl

olbrzymi młot, uderzający w

zadziwiająco równych odstępach o

kamień. Dym ułożył się w długą smugę

przed dziobem brygu. Strzelały działa

baterii lewoburtowej; ludzie z wachty

prawej burty, którzy najpierw

komentowali skwapliwie wszelkie

niedociągnięcia, teraz wyciągali szyje,

chcąc sprawdzić, czy kule dosięgły celu:

uderzyły o trzydzieści jardów za daleko,

lecz upadły blisko siebie. Załogi dział

pracowały w tym czasie z zapalem,

czyszcząc lufy, przybijając ładunki,

odciągając i podtaczając lawety. Plecy

uwijających się jak w ukropie ludzi

lśniły od potu.

Beczka znajdowała się niemal dokładnie

na trawersie, gdy następna salwa

rozniosła ją na kawałki.

- Dwie minuty i pięć sekund - oznajmił

Jack uradowany.

Obsady dział nie traciły czasu na okrzyki

radości. Wszyscy poruszali się coraz

szybciej. Znów rozległo się siedem

szybkich uderzeń gigantycznego młota.

Tuż obok pogruchotanych klepek

wykwitły białe fontanny wody. W ruch

poszły wyciory, stękający z wysiłku

ludzie sprawnie

podtaczali działa do burty, obracając

lufy za pomocą handszpaków i łomów.

Niestety. Rozbite szczątki beczki

odpłynęły już zbyt daleko.

- Nic nie szkodzi! - zawołał kapitan. -

Prawie się udało. Sześć minut i dziesięć

sekund. - Marynarze z lewo-burtowej

wachty westchnęli ciężko. Tak chcieli

wystrzelić jeszcze czwartą salwę i

zmieścić się w czasie poniżej sześciu

minut. Wiedzieli dobrze, że prawa burta

dokona tej sztuki.

Rzeczywiście. Bateria na prawej burcie

wystrzeliła cztery razy w czasie pięciu minut i pięćdziesięciu siedmiu sekund. Żadne z dział nie trafiło jednak w beczkę i w panującym na pokładzie mroku rozlegały się ciche, złośliwe uwagi na temat „bezczelnych cwaniaków, którzy strzelali na ślepo, byle tylko zwyciężyć we współzawodnictwie. A proch kosztuje przecież osiemnaście pensów za funt...”

Dzień całkowicie ustąpił miejsca nocy i Jack z satysfakcją zauważył, iż strzelającym z dział ludziom nie robiło to specjalnej różnicy. Słup nabrał nieco wysokości względem wiatru, odpadł na przeciwnym halsie i skierował się ku pochodni umocowanej na trzeciej beczce. Salwy padały jedna za drugą, szkarłatne języki ognia przeszywały dym i mrok. Przynoszący proch chłopcy pędzili przez pokład, zbiegali pod pokład obok stojącego przy osłoniętym zejściu do prochowni wartownika i wracali z kolejnymi ładunkami. Obsady

dział sapały i stękały z wysiłku, lonty

spalały się powoli. Wszystko

przebiegało w regularnym, prawie

niezmiennym tempie.

- Sześć minut i czterdzieści dwie

sekundy - obwieścił Aubrey głośno,

spoglądając na zegarek w świetle

latarni, gdy padła ostatnia salwa. -

Zwyciężyła lewa burta. Całkiem udane

ćwiczenia, prawda, panie Dillon?

- Muszę przyznać, że nie spodziewałem

się takiego rezultatu.

- No cóż, może pozwolimy sobie na

chwilę muzyki? - zwrócił się Jack do

doktora Maturina. - Mam nadzieję, że

nie dzwoni panu w uszach od huku

wystrzałów? Poruczniku, czy możemy

pana zaprosić?

Pan Marshall ma chyba teraz służbę na

pokładzie.

- Dziękuję za zaproszenie, sir. Proszę

jednak nie zawracać sobie mną głowy.

Wie pan doskonale, że zupełnie nie mam

słuchu...

- Bardzo jestem zadowolony z

dzisiejszego strzelania - przyznał Jack,

strojąc skrzypce. - Teraz z czystym

sumieniem mogę skierować okręt blisko

brzegu, nie ryzykując wiele.

- Cieszę się, że jest pan

usatysfakcjonowany. Załoga

rzeczywiście dała z siebie wszystko.

Pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, iż

to nie jest dźwięk A.

- Doprawdy? - zawołał Jack wzburzony.

- Czy teraz lepiej?

Stephen skinął głową, postukał stopą

trzy razy o podłogę i wspólnie wykonali

divertimento pana Browna.

- Czy zauważył pan, jak posługiwałem

się smyczkiem w tym fragmencie: pum-

pum-pum-pum? -

zapytał Aubrey.

- Oczywiście. Bardzo wesoła i zręczna

interpretacja. Spostrzegłem też, że ani

razu nie uderzył pan w tę wiszącą półkę

i w lampę. Ja również tylko raz

zahaczyłem ręką o szafkę.

- Wydaje mi się, że najważniejszą sprawą jest po prostu o tym nie myśleć.

Ci ludzie przetaczający i ładujący działa także wykonują swoje czynności w czysto mechaniczny sposób. Jestem z nich dumny, zwłaszcza z tych obsługujących działa numer trzy i pięć na lewej burcie. Kiedy zaczynaliśmy ćwiczenia, do niczego się nie nadawali.

- Bardzo panu, jak widzę, zależy na tym, by wszyscy jak najszybciej doszli do mistrzowskiej wprawy.

- Oczywiście. Nie mamy ani chwili do stracenia.

- No cóż... Czy nie sądzi pan, że ludzie ów nieustanny pośpiech mogą uznać za złośliwość z pańskiej strony? Że się tym zmęczą?

- O Boże, nie. Takie jest życie na okręcie. Na morzu wszystko się zmienia, bardzo wiele może się wydarzyć w ciągu zaledwie pięciu minut... Powinien pan słyszeć, co mawiał na ten temat lord Nelson.

Strzelanie z dział to bardzo istotna sprawa. Pojedyncza salwa burtowa może powalić maszt i przez to zapewnić zwycięstwo w bitwie. Nie wiadomo, kiedy będziemy musieli strzelać naprawdę. Może to tylko kwestia godzin?

Jakże słuszne były to słowa.

Wszystkowidzące oko, zdolne przebić ciemność, zdołałoby zapewne wysledzić hiszpańską fregatę „Cacafuego” zdążającą do Kartageny. Oba okręty spotkałyby się na pewno, gdyby bryg nie stracił dodatkowych piętnastu minut na pozbieranie oświetlonych pochodniami beczek. „Cacafuego” i „Sophie” minęły się jednak bezgłośnie w odległości półtorej mili, nic wzajemnie o sobie nie wiedząc. To samo oko wypatrzyłoby pewnie wiele innych statków w pobliżu przylądka Nao. Jack wiedział o tym doskonale: wszystkie jednostki zmierzające z Almerii, Alicante i Malagi musiały opłynąć ten wychodzący w morze ląd. Istotny był zwłaszcza pewien

niewielki konwój, kierujący się do
Walencji, chroniony przywilejem
kaperskim. Jeśli „Sophie” dalej
popłynie tym samym kursem, na godzinę
przed świtem powinna znaleźć się w
pobliżu wybrzeża i na nawietrznej
owego konwoju.

- Sir, sir. - Babbington zapiszczał
Jackowi prosto do ucha.

- Spokojnie, kochanie... - wymamrotał
budzący się ze snu kapitan, którego
myśli wciąż zajęte były pewną piękną
przedstawicielką płci przeciwnej. - Co
jest?

- Pan Dillon mówi, że widać jakieś
światło topowe, sir.

- Ach tak! - zawołał dowódca „Sophie”,
natychmiast obudzony, i w nocnej
koszuli wybiegł na pogrążony w mroku
pokład.

- Dzień dobry, sir - powiedział Dillon,
salutując, i podał kapitanowi nocną
lunetę.

- Dzień dobry - odpowiedział Aubrey na

powitanie, dotykając szlafmocy. - Gdzie są te światła?

- Dokładnie na trawersie, sir.

- Do licha, bardzo dobre ma pan oczy - rzekł z podziwem. Opuścił teleskop, wytarł szkła i ponownie spojrzął w ciemność. Nad morzem unosiła się leciutka mgiełka. - Są! Dwa. Trzy.

Chyba widzę czwarte...

„Sophie” leżała w dryfie, z fokmarslem ustawionym na wiatr i wypełnionym grotmarslem, tak iż siły działające na oba żagle wzajemnie się równoważyły.

Nie opodał wznosiło się skaliste wybrzeże.

Wiatr, jeśli w ogóle można go było nazwać wiatrem, wiał w nieregularnych i niepewnych podmuchach z północnego zachodu, niosąc ze sobą ciepły zapach trawy. Po wschodzie słońca, gdy ląd zacznie się nagrzewać, kierunek bryzy powinien zmienić się na północno-wschodni lub wschodni.

Jack chwycił rękoma wanty.

- Spróbujmy przyjrzeć się sytuacji z góry

- zdecydował szybko. - Niech szlag trafi

tę cholerną suknię...!

Było coraz jaśniej. Wisząca nad

powierzchnią morza mgiełka rozrzedzała

się, odsłaniając pięć statków płynących

w nieregularnej grupie. Widać było ich

kadłuby, odległość do najbliższej

jednostki wynosiła nie więcej niż

ćwierć mili. Zdążyły z północy na

południe, prowadzone przez „Gloire”,

bardzo szybki statek piracki z Tuluzy, o

ożaglowaniu okrętu wojennego, z

dwunastoma

ośmioletnimi działami. Statek ten

został wynajęty przez bogatego kupca z

Barcelony, o nazwisku Jaume Mateu, do

ochrony dwóch settee o nazwach

„Pardal” i „Xaloc”. Oba te statki miały po sześć dział, na ostatnim z nich

znajdował się cenny (i nielegalny)

ładunek pochodzący z przemytu rtęci.

„Pardal” płynął za rufą pirata, na

zawietrznej; na podobnej pozycji, ale na

nawietrznej, znajdowała się

„Santa Lucia”, neapolitański bryg z

dodatkowym masztem, przy należący do

„Gloire”, przewożący francuskich

rojalistów schwytanych podczas próby

przedostania się do Gibraltaru. Dalej

znajdował się

„Xaloc” i na końcu tartan, który

przyłączył się do konwoju koło

Alicante, szczęśliwy, iż w ten sposób

zyskał ochronę przed barbarzyńskimi

galerami, kaprami z Minorki i

brytyjskimi patrolowcami.

Wszystkie te statki były małe i obawiały

się niebezpieczeństwa od strony

otwartego morza (dlatego nakładając

drogi, podróżowały blisko lądu, by w

każdej chwili móc schronić się pod

osłonę baterii brzegowych). Nawet

gdyby na którejś z tych jednostek ktoś

zauważył „Sophie”, pomyślałby

zapewne, iż jest to mały bryg handlowy,

wlokący się samotnie niedaleko

wybrzeża i zmierzający do Denii.

- Co pan powie o tym okręcie? -

zagadnął Jack.

- Nie mogę policzyć furt burtowych, jest

jeszcze zbyt ciemno. Sądząc po

wielkości, na pewno nie jest to żadna z

ich osiemnastodziałowych korwet. Tak

czy inaczej, na pewno ta jednostka ma

taką samą siłę ognia jak my i jest tutaj

psem pilnującym owiec. - Zgadza się. -

To było oczywiste. „Sophie”

znajdowała się na nawietrznej

opływającego przylądek konwoju, lecz

kierunek wiatru zmieniał się powoli.

Umysł kapitana pracował na

najwyższych obrotach. Błyskawicznie

analizował wszystkie możliwości.

Równocześnie był dowódcą „Sophie” i

statku pirackiego.

- Czy mogę coś zaproponować, sir?

- Proszę bardzo - odpowiedział Aubrey

cicho. - Nie będziemy chyba prowadzić

narady wojennej... Na okręcie

wojennym nie podejmuje się decyzji w

ten sposób. - Zaprosił porucznika na

górze w dowód uznania, był mu to winien za wykrycie konwoju. Nie zamierzał jednak konsultować z kimkolwiek swoich przemyśleń. Miał cichą nadzieję, że Dillon nie wyrwie się z zadną, nawet najmądrzejszą uwagą. W tej sprawie decyzje podejmować mogła tylko jedna osoba, dowódca „Sophie”.

- Może powinienem ogłosić alarm bojowy? - odparł James sztywno, dotknięty odpowiedzią kapitana.

- Widzi pan małe bryg z dodatkowym masztem, ten pomiędzy nami a tym okrętem? - zapytał Jack, wskazując ręką kierunek. - Jeśli zgrabnie przebrasujemy reje, w ciągu dziesięciu minut znajdziemy się w odległości kilkuset jardów od tego stateczku, który zasłoni nas wtedy przed okrętem. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Oczywiście.

- Obsadzi pan obie łodzie ludźmi i wejdzie na pokład tego brygu, zanim jego załoga zdoła się zorientować. Na

wasz widok narobią na pewno trochę
hałasu i okręt natychmiast ruszy im na
ratunek.

Nie ma wystarczająco dużo wolnej
przestrzeni, by mógł wykonać zwrot
przez sztag, będzie musiał
odpadać do zwrotu przez rufę. Jeśli
skieruje pan zdobytą jednostkę z
wiatrem, będę mógł wejść w lukę, jaka
wówczas powstanie, i posłać mu jedną
albo dwie salwy, gdy będzie się
obracał. Może uda się przy okazji
strącić jakąś reję tamtego drugiego
statku. Na pokładzie! - zawołał nieco
donośniejszym głosem. - Ciszej tam.

Proszę odesłać wszystkich z powrotem
na dół. - Na okręcie rozeszła się już
informacja o wykryciu konwoju i
marynarze zaczęli się tłoczyć w
dziobowej zejściówce. - Niech
przygotuje się oddział abordażowy.

Najlepiej będzie, jeśli pošlemy
wszystkich naszych Murzynów...

Hiszpanie bardzo się ich boją. Proszę po

cichu przygotować okręt do walki,
wszyscy mają być gotowi do zajęcia
stanowisk. Na razie nikomu nie wolno
się pokazywać. Nie więcej jak dwunastu
ludzi na pokładzie. Musimy wyglądać
jak statek handlowy. - Jack wychylił się
poza krawędź marsa, nocna koszula
trzepotała poruszana wiatrem. - Nie
może być widać żadnych
podejrzanych czynności.

- A hamaki, sir?

- Jasne. - Jack zawiesił głos. - Muszą
szybko znaleźć się na górze, inaczej
przyjdzie nam walczyć bez nich. Ani
jeden hamak nie może spocząć w siatce
przed wyruszeniem oddziału
abordażowego.

Najważniejsze jest zaskoczenie.

Tak, zaskoczenie. Wielu ludzi zostało
zaskoczonych. Pierwszym z nich był
Stephen - obudzony nagle w samym
środku zadziwiającego, niemal
bezgłośnego zamieszania. Ludzie biegali
w ciemnościach pod pokładem, słysząc

było szcęk wydawanej broni,
członkowie oddziału abordażowego
chyłkiem przekradali się do
opuszczonych nad wodę od strony lądu
łodzi. Pomocnicy bosmana szeptem
ogłaszali pogotowie bojowe, a
chorążowie sprawdzali swoje
pododdziały, uciszając głupców
(„Sophie” miała ich kilku na pokładzie),
którzy usilnie próbowali odgadnąć, co
się dzieje. Jack wołał
w głąb zejściówki:

- Panie Ricketts, panie Babbington!

- Tak jest, sir?

- Na mój rozkaz natychmiast

poprowadzą panowie ludzi na maszty.

Błyskawicznie mają zostać postawione

dolne żagle i bramsle.

- Tak jest, sir.

Zaskoczona została również wachta na

pokładzie żaglowca „Santa Lucia”.

Śpiący ludzie z coraz większym

zdumieniem patrzyli na zbliżający się

szybko bryg. Czyżby zamierzał

przyłączyć się do konwoju?

- To ten Duńczyk, który pływa tam i z
powrotem wzdłuż wybrzeża - stwierdził

Jean Wiseacre.

Zdumienie przerodziło się w
przerażenie, gdy zza kadłuba brygu
wypłynęły dwie wypełnione ludźmi
łódzie. Po krótkiej chwili
niedowierzania Francuzi zaczęli,
najlepiej jak potrafili, przygotowywać
się do obrony: pobiegli po muszkiety,
sięgnęli po białą broń, próbowali
zwołać działą. Było ich jednak tylko
siedmiu i każdy z nich działał na własny
rachunek, ponadto mieli zaledwie
niecałą minutę do namysłu. Gdy ludzie z
„Sophie” z krzykiem wdarli się na
pokład, załoga przytu powitała
napastników pojedynczym wystrzałem
muskietowym, kilkoma nieśmiały mi
strzałami z pistoletów i niemrawym
brzękiem szabel. W chwilę później
czterech najsprawniejszych obrońców
wspięło się na olinowanie, a jeden

ucieł pod pokład, na którym leżały dwa
nieruchome ciała.

Dillon otworzył kopnięciem drzwi
kabiny, spojrzał wzdłuż lufy ciężkiego
pistoletu na młodego oficera ze statku
pirackiego i zapytał:

- Poddajecie się?

- *Oui, monsieur* - drżącym głosem

odparł przerażony młodzian.

- Na pokład - polecił Dillon, energicznie
poruszając głową. - Murphy, Bussell,
Thompson i King...

Weźcie się do pokryw ładowni. Davies,
Chambers, Wood - do żagli. Andrews -
wybrać kliwer. -

Pobiegł do steru, odsunął leżące zwłoki
i zakręcił kołem „Santa Lucia”

odpadała, najpierw powoli, później
coraz szybciej. Patrząc przez ramię,

widział, jak na masztach „Sophie”

błyskawicznie rozwijają się bramsle

i jak niemal w tej samej chwili pojawia

się fok, grotstaksel oraz gaflowy grot.

Odwrócił głowę i schylony tak, by

patrzeć pod dolnym likiem foka,
obserwował znajdujący się przed
dziobem przy okręcie. Statek piracki
zaczynał właśnie odpadać, chcąc
wykonać zwrot przez rufę, zmienić hals i
odbić

„Santa Lucię”. Na jego pokładzie
panowało wielkie poruszenie, podobnie
jak na pokładach pozostałych jednostek
konwoju. Ludzie biegali tam i z
powrotem, słycać było okrzyki,
gwizdki i grzechot werbla. Przy tak
słabej bryzie i niewielkiej powierzchni
żagli na masztach wszystkie manewry
odbywały się w iście ślimaczym tempie.

Na rejach, co prawda, kolejno
pojawiały się nowe płótna, lecz
potrzeba było czasu, by statki mogły
choć trochę zwiększyć prędkość.

Prawdopodobnie z racji owej
powolności James miał wrażenie, iż
wszystko przebiega w absolutnej ciszy,
która jednak już w chwilę później
została zakłócona, gdy „Sophie” z

dumnie powiewającą banderą
przemknęła z lewej strony tuż przed
dziobem przyz. Załoga słupa krzyknęła
donośnie na wiwat, James z dumą
zauważył, iż szoty wszystkich żagli były
wybrane, wszystkie płótna pracowały, a
hamaki wędrowały do siatek z
niewiarygodną wręcz prędkością. Dwa
właśnie wypadły za burtę. Stojący na
rufie Jack Aubrey uniósł wysoko
kapelusz i zawołał:

- Dobra robota, poruczniku!

Zdobywcy przyz zareagowali okrzykiem
na wiwaty swych kolegów z
przepływającego obok brygu i nagle
znikła panująca na pokładzie „Santa
Lucii” atmosfera bezwzględного
okrucieństwa. Ludzie Dillona krzyknęli
ponownie i na ten okrzyk odpowiedziało
nieśmiałe wołanie z głębi ich statku.

Prędkość płynącej pod wszystkimi
żaglami „Sophie” wynosiła prawie
cztery węzły. Statek piracki był
ledwo sterowny i cały czas powoli się

obracał, płynąc z wiatrem. Lada moment

bezbronna rufa

„Gloire” powinna znaleźć się w zasięgu

dział brygu. Obie jednostki oddalone

były od siebie o ćwierć mili i dzielący

je dystans zmniejszał się szybko.

Francuz nie był jednak głupcem. Marsel

stermasztu pirackiego statku został

błyskawicznie wypchnięty na wiatr, a

reje przednich masztów zbrasowano tak,

by niekorzystny manewr został jak

najprędzej zahamowany i odwrócony.

Przy tak małej

prędkości ster niemal nie działał.

- Za późno, bratku... - powiedział Jack

cicho. Odległość zmalała do trzystu

jardów, potem do dwustu

pięćdziesięciu. - Edwards! - zwrócił się

do dowódcy i zarazem celowniczego

najbliższego działu rufowego. - Proszę

strzelić przed dziób settee.

Kula w rzeczywistości przeszła przez

przedni żagiel statku handlowego.

Pozostałe płótna natychmiast zostały

zrzucone i podenerwowana postać
pobiegła na rufę, aby podnieść i
demonstracyjnie opuścić banderę. Na
razie nie było jednak mowy o zajęciu
poddającej się jednostki, nie mieli na to
czasu. -

Wyostrzyć i tak trzymać! - polecił
Aubrey i „Sophie” zbliżyła się do linii
wiatru. Jej fok przestał
pracować, lecz za chwilę znów się
wypełnił. Od pewnego czasu piraci
znajdowali się w zasięgu skierowanych
maksymalnie do przodu dział brygu. -

Dobrze, jeszcze trochę... - Jack zawiesił
głos i na burcie rozległo się stękanie
osób obracających armaty tak, by lufy
nadal wymierzone były dokładnie w cel.

Wszyscy czekali teraz w pełnym
napięcia milczeniu na wyznaczonych
stanowiskach.

Lonty spalały się powoli w dłoniach
klęczących obok armat celowniczych
ludzi, którzy co jakiś czas dmuchali na
rozżarzone końce, by podtrzymać nikły

płomyk. Dowódcy dział, nisko
pochyleni, patrzyli wzdłuż luf na
bezbromną rufę pirata.

- Ognia! - Komendę zagłuszył huk
następujących kolejno po sobie
wystrzałów. Kadłub „Sophie”
zadygotał i kłęby dymu przesłoniły
morze. Jack wypychał bezwiednie
koszulę w spodnie, gdy
uświadomił sobie, że coś jest nie w
porządku. Coś złego działo się z
obłokiem dymu - zaszła chyba nagła
zmiana kierunku wiatru. Rzeczywiście.

Niespodziewany podmuch z północnego
wschodu
rozmył pachnącą prochem chmurę,
zamieniając ją w długą wstęgę ciągnącą
się za rufą. W tej samej chwili przednie
żagle brygu zapracowały do tyłu i dziób
został gwałtownie odepchnięty w
prawo.

- Do brasów! - zawołał pan Marshall,
wykładając ster tak, by okręt powrócił
na poprzedni kurs. Gdy się to udało,

zagrzmiała druga salwa burtowa. Ów
nagły podmuch obrócił również statek
piracki, który odpowiedział ogniem, gdy
tylko kłęby dymu odpłynęły z wiatrem.

Tymczasem Jack dostrzegł, że rufa
zaatakowanej jednostki mocno
ucierpiała - po oknach kabiny i małej
galeryjce na pawęży nie było nawet
śladu. Zauważył też, że statek ma na
pokładzie dwanaście dział i walczy pod
francuską flagą.

„Sophie” straciła rozpęd, podczas gdy
płynący znów lewym halsem pirat
szybko nabierał prędkości.

Obie jednostki płynęły równoległymi
kursami, ostro na wiatr, „Sophie”
pozostawała nieco z tyłu.

Rozpoczęła się nieprzerwana wymiana
ognia. Pomiędzy walczącymi zawisła
ciężka chmura dymu, rozświetlana
przeszywającymi ją z obu stron
purpurowymi językami ognia Salwy
następowały jedna po drugiej. Mijały
minuty, na brygu odwrócono klepsydrę i

okrętowy dzwon wybił szklanki. Dym gęstniał coraz bardziej, a konwój został daleko za rufą.

Sytuacja w pewien sposób się ustabilizowała, nic więcej nie można było zrobić. Dowódcy poszczególnych działonów znali swoje rozkazy i wykonywali je z zapałem.

Strzelali, mierząc w kadłub, tak szybko, jak to było możliwe. Podoficerowie dowodzący pododdziałami biegali wzdłuż linii dział, pomagając i interweniując, gdy coś się

komplikowało. Ładunki i kule wędrowały z prochowni na pokład z perfekcyjną regularnością. Bosman

chodził tu i tam ze swymi ludźmi, szukając uszkodzeń w takielunku. Na

marsach odzywały się muszkiety strzelców wyborowych. Jack stał na rufie, zamyślony. Znajdujący się obok niego, z lewej strony, klerk i Ricketts ze stoickim spokojem reagowali na uderzające głucho w kadłub lub

przelatujące wysoko ze świstem pociski.

Kula armatnia przeszła przez

wypełnioną hamakami siatkę,

przeleciała o kilka stóp przed

kapitanem, uderzyła w metalowy stojak i

ugrzęzła w hamakach na przeciwległej

burcie. - Ośmioletnia - zauważył

obojętnie dowódca „Sophie”.

Francuzi jak zwykle strzelali zbyt

wysoko i z dziką zawziętością. Na

nawietrznej, gdzie morze było

zaskakująco błękitne i wolne od dymu,

w odległości około pięćdziesięciu

jardów widać było fontanny wody,

wzbijające się w górę za rufą i przed

dziobem brygu - najczęściej przed

dziobem. Sądząc po błyskach

przeszywających wiszącą między

okrętami chmurę i po zmieniającym się

stopniowo

odgłosie wystrzałów, „Gloire” coraz

bardziej wysuwała się do przodu.

Konieczność należało to zmienić.

- Panie Marshall! - zawołał Jack przez

tubę. - Przejdziemy im za rufą! - Gdy

wypowiadał te słowa, na dziobie

wybuchło zamieszanie i odezwały się

okrzyki. Jedna z armat leżała

przewrócona. - Przerwać ogień! -

krzyknął głośno. - Uwaga przy działach

na lewej burcie!

Dym rozpląwał się powoli. „Sophie”

zaczęła zmieniać kurs w prawo, tak by

salwa z lewej burty z całą siłą mogła

uderzyć w rufę „Gloire”. Działa

zagrzmiały, kule nie dosięgły jednak

celu. Dowódca statku pirackiego, jakby

tknięty złym przeczuciem, wyłożył ster

na burtę zaledwie w pięć sekund po tym,

jak bryg rozpoczął manewr. Kłęby dymu

ponownie odpłynęły na bok i stojący

przy siatce z hamakami na lewej burcie

Aubrey ujrzał wreszcie swego

przeciwnika. Francuski kapitan, niski,

siwiejący mężczyzna, stał przy rufowym

relingu i wpatrywał się w „Sophie”

nieruchomym wzrokiem. Po krótkiej

chwili sięgnął za siebie, oparł łokcie na

poręczy i bardzo starannie wycelował w Jacka z muszkietu. Sytuacja nabrała teraz szczególnego, osobistego wymiaru.

Mięśnie twarzy Jacka odruchowo zeszywniały, w piersiach poczuł dziwny ciężar.

- Bombramsle, panie Marshall - poleciał.

- Oni wyraźnie oddalają się od nas. -

Ogień artyleryjski ucichł, gdyż działa nie mogły strzelać pod tak ostrym kątem. W ciszy, jaka zapadła, odgłos wystrzału muszkietowego rozległ się tak wyraźnie, jakby oddano go tuż obok, na pokładzie brygu. W tej samej sekundzie Christian Pram, sternik, krzyknął przeraźliwie i zatoczył się, pociągając za sobą koło sterowe. Ramię Duńczyka rozorane było głęboko od nadgarstka aż po łokieć.

Dziób „Sophie”

gwałtownie zbliżył się do linii wiatru i mimo że Jack i Marshall rzucili się natychmiast do steru, prędkość okrętu wyraźnie zmalała. Aby oddać salwę z lewej burty, trzeba by było jeszcze

bardziej zmienić kurs, a to oznaczałoby
zwiększenie dzielącej obie jednostki
odległości. Nie można było sobie na to
pozwolić. „Sophie” znajdowała się
dobrze dwieście jardów z prawej strony
za rufą „Gloire” i chcąc wznowić
przerwaną walkę, musiałyby koniecznie
zwiększyć prędkość. Postawiono już
wszystko, co można było postawić.
Wiatr wiał za bardzo z dziobu i o
postawieniu żagli bocznych nie mogło
być mowy.

Jack obserwował uważnie krzątających
się na pokładzie „Gloire” ludzi. Czekał
na najmniejsze choćby załamanie w
kilwaterze uciekającego statku;
znaczyłoby to, że Francuzi zamierzają
odwrócić się prawą burtą, przeciąć
drogę „Sophie”, posyłając jej morderczą
salwę, i ruszyć na ratunek rozproszo-
nemu konwojowi. Nic takiego jednak nie
nastąpiło. Statek piracki nie zmieniał
kursu. Oddalał się od ścigającego go
brygu nawet bez bombramżagli, które

teraz dopiero stawiano. Wiatr był dla

„Gloire” o wiele bardziej korzystny.

W kącikach oczu Jacka zakręciły się łzy

- tak uporczywie wpatrywał się, pod

słońce, w coraz dłuższy kilwater

Francuza. Dookoła pochylonego kadłuba

uciekającej jednostki pieniała się

odpływająca szybko za rufę woda.

Siwowłosy kapitan strzelał uparcie -

stojący obok niego człowiek podawał

mu naładowaną broń. Jedna z kul

przerwała wyblinkę o dwie stopy od

głowy Jacka. Znajdowali się prawie

poza zasięgiem strzału muszkietowego i

owa trudna do określenia granica

między osobistą

nienawiścią a anonimową wymianą

strzałów dawno została przekroczona.

Aubrey zupełnie już nie zwracał uwagi

na przelatujące kule.

- Panie Marshall, proszę odpaść trochę,

tak żebyśmy mogli ich zdrowo

poczęstować - polecił.

„Sophie” powoli odchyłała się od

poprzedniego kursu. Na jej lewej burcie
zagrzmiało najbliższe dziobu działo, tuż
po nim w równych odstępach czasu
odzywały się kolejne armaty. Salwa
została jednak oddana zbyt wcześnie -
kule przeszły, co prawda, na
odpowiedniej wysokości, lecz wpadły
do morza o dwadzieścia, a nawet
trzydzieści jardów za rufą „Gloire”.
Dowódca statku pirackiego bardziej
przejmował się własnym
bezpieczeństwem niż honorem, całkiem
też zapomniał o zobowiązaniach wobec
Senora Mateu. Rezygnując z zemsty, nie
zmienił kursu, by odpowiedzieć salwą -
po prostu wyostrzył do wiatru. Dzięki
trzem masztom „Gloire” mogła żeglować
znacznie ostrzej niż dwumasztowa
„Sophie” i piraci bez skrupułów z tego
skorzystali. Wspomagała ich także
znacznie ła-skawsza dla nich bryza.
Najzwyczajniej w świecie rzucili się do
ucieczki. Dwie kule następnej salwy
brygu prawdopodobnie doleciały do

celu. Jedna z nich na pewno przebiła
stermarsel „Gloire”.

Uciekający statek malał stopniowo, w
miarę jak zwiększała się odległość
dzieląca płynące
rozbieżnymi kursami jednostki.

Po ośmiu kolejnych salwach Jack kazał
przerwać ogień. Załodze „Sophie” udało
się mocno uderzyć w uciekających i
zniszczyć ich statek, lecz żadna z salw
nie uszkodziła w znaczący sposób
olinowania.

Nie została ścięta ani jedna reja lub
maszt. Piraci wyraźnie też nie mieli
ochoty dać się sprowokować do
uczciwej walki burta w burtę. Aubrey
raz jeszcze spojrzął w ślad za
oddalającymi się Francuzami i podjął
decyzję.

- Wracamy w stronę przylądka. Panie
Marshall, kurs na południowy zachód.

„Sophie” zadziwiająco niewiele
ucierpiała na skutek długotrwałej
wymiany strzałów.

- Czy są jakieś naprawy, z którymi nie można by poczekać pół godziny, panie Watt? - zapytał kapitan, odruchowo obkładając na kołkownicy luźną linę.

- Nie, sir. Nie ma nic pilnego. Tylko żaglomistrz będzie miał trochę roboty.

Ci dranie ani razu nie posłali nam łańcuchów, a ich kule nie trafiały w olinowanie. Marni z nich strzelcy, sir, nie to co tamten Turek... On wtedy naprawdę zdrowo nam przyłożył.

- Proszę w takim razie zagwizdać na śniadanie, a splataniem lin zajmie się pan później. Panie Lamb, jakie pan znalazł uszkodzenia?

- Nic poniżej linii wodnej, sir. Cztery paskudne otwory na śródkręciu oraz rozbita w drzazgi burta między furtami dział numer dwa i cztery. Reszta to nic ważnego. Nie ma porównania z tym, co oni od nas dostali... Parszywcy - dodał cichutko.

Jack przeszedł na dziób, do przewróconego działa. Kula wystrzelona

z „Gloire” roztrzaskała fałszburłę, do której przymocowane były tylne uchwyty upręży, w chwili, gdy laweta armaty numer cztery cofała się, pchnięta odrzutem. Ponieważ napięły się talie tylko z jednej strony, działo zatoczyło łuk, blokując odsuniętą od burty sąsiednią armatę i przewróciło się na bok. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności między działami nie było dwu ludzi, którzy normalnie powinni się tam znajdować - cudem nie zostali zmiżdżeni. Jeden zmywał nad wiadrem strażaka krew z zadraśniętej twarzy, a drugi pobiegł po dodatkowe lonty. Szczęściem był też fakt, iż armata przewróciła się - trudno sobie wyobrazić spustoszenie, jakie poczyniłaby, pędząc po pokładzie.

- No cóż, panie Day... - zwrócił się kapitan do artylerzysty. - Tak czy inaczej, wszystko dobrze się skończyło. Mogło być gorzej. To działo można na razie przenieść na dziób, do czasu, gdy

pan Lamb zamocuje nowe uchwyty.

W drodze na rufę Jack zdjął płaszcz

(nagle zrobiło się bardzo gorąco),

zatrzymał się i spojrzał uważnie na

horyzont przed dziobem. W lekkiej

mgiełce, która pojawiła się nie

wiadomo skąd, nie było widać

przyłądka Nao ani żagli konwoju.

Dopiero teraz zauważył, że weszło

słońce - złota kula wisiała wysoko na

niebie. Najwyraźniej znajdowali się

bardzo daleko od brzegu.

- Boże, przecież ja jeszcze dzisiaj nie

piłem kawy - zawołał, gdy wszystko

niespodziewanie powróciło do

normalnego porządku. Czas znów płynął

powoli i śniadanie stało się ważną

sprawą. Po chwili o czymś sobie jednak

przypomniał. „Nic z tego...” - pomyślał

ze smutkiem. - „Muszę zejść na dół”. To

było to, czego naprawdę się obawiał.

Tam na dole można było z bliska

zobaczyć, co się dzieje, gdy pocisk

armatni zderzy się z ludzką twarzą.

- Kapitanie Aubrey! - Stephen wstał,
zamykając książkę, gdy Jack zszedł do
kokpitu. - Stało się coś strasznego...

- Trudno, proszę mówić, słucham -
odparł Jack, rozglądając się dookoła.

Szukał w półmroku tego, co tak bardzo
zawsze go przerażało.

- Któryś z tych drani dobrał się do mojej
żmii. Mówię panu, ktoś dobrał się do
mojej żmii! Nie dalej jak trzy minuty
temu poszedłem po książkę do mojej
kabiny. Wie pan, co zobaczyłem? Słój
opróżniony do ostatniej kropelki! Do
sucha!

- Proszę powiedzieć mi najpierw, ilu ma
pan pacjentów, ilu ludzi pan dziś kroił?

- Ach... Niewielu. Kilka draśnięć,
człowiek z głęboko rozoranym
przedramieniem, parę drzazg do
wyciągnięcia... Nic szczególnego...
Przeważnie bandażowanie. W mojej
izbie chorych znajdzie pan tylko jedno
zatrucie pokarmowe z niewysoką
gorączką, jeden przypadek przepukliny...

No i tego biedaka z rozciętym
przedramieniem. Jeśli zaś chodzi o moją
żmiję...

- Nie ma zabitych? Nie ma ciężko
rannych? - zawołał Jack uradowany.

- Nie, nie ma. A moja żmija? - Doktor
zabrał ze sobą na okręt
zakonserwowanego w spirytusie
winnym węża i niedawno jakiś
zbrodniarz zabrał słój, wypił cały
alkohol i zostawił na dnie wysuszonego
gada.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Czy
ów złoczyńca nie umrze? Czy nie będzie
wymiotował?

- Nie. I to jest właśnie najbardziej
irytujące. Ten przeklęty pijak nie umrze.
To był najczystszy, podwójnie
destylowany spirytus!

- Zapraszam pana na śniadanie do mojej
kabiny. Kubek kawy i dobrze
wysmażony kotlet na pewno poprawi
panu humor. Zapomni pan o swojej
żmii... - Serce Jacka wypełniała tak

wielka radość, iż miał
szczerą ochotę pozartować. Nie zdobył
się jednak na to, wybuchając jedynie
śmiechem, na tyle serdecznym, na ile
pozwalała wściekłość doktora. - Ci
cholerni łajdacy nam uciekli. Czeka nas
długa droga z powrotem - wyjaśnił. -
Ciekaw jestem, czy Dillon zdołał zająć
tamten statek, który się poddał...? Może
im też udało się uciec?

Wszyscy na pokładzie „Sophie”, oprócz
Stephena, zadawali sobie to samo
pytanie. Nic nie wskazywało na to, by
ich ciekawość miała zostać
zaspokojona. Minęło przedpołudnie i
wiatr ucichł
prawie zupełnie. Żagle z założonego
rano nowego kompletu obwisły na
rejach. Ludzie zajęci naprawą
poprzebijanych przez kule płócien
musieli schronić się przed słońcem pod
brezentowym daszkiem rozpiętym nad
pokładem. Rozgrzane powietrze było
tego dnia tak wilgotne, że niemal nie

nadawało się do oddychania. Jack chciał
jak najszybciej przyjąć z powrotem na
pokład ludzi z oddziału abordażowego,
odesłać przyz i ruszyć dalej wzdłuż
wybrzeża - nie zdecydował się jednak
na użycie wiosł. Załoga walczyła dziś z
prawdziwym poświęceniem (choć
działa wciąż jeszcze strzelały zbyt
wolno) i wszyscy bardzo gorliwie
pracowali przy usuwaniu
spowodowanych przez „Gloire”
uszkodzeń. „Dam im spokój aż do psiej
wacht” - postanowił.

Upał wisiał nad morzem jak ciężka
zasłona. Dym z komina kuchennego snuł
się nad pokładem, wymieszany z
zapachem grogu i cetnara solonej
wołowiny, przeznaczonej na dzisiejszy
obiad.

Odstępy, w jakich regularnie
rozbrzmiewał okrętowy dzwon, dziwnie
się wydłużyły i po pewnym czasie
Jackowi zaczęło się wydawać, iż
poranna bitwa była częścią jakiegoś

innego życia, innej epoki.

Gdyby nie przesiąknięta wciąż

zapachem prochu poduszka pod głową,

uwierzyłby chętnie, że

niedawne wydarzenia były treścią

przeczytanej ostatnio historii. Wyciągnął

się wygodnie na koi i pozwolił swym

myślom toczyć się powoli, coraz

wolniej, głęboko...

Obudził się niespodziewanie,

wypoczęty, spokojny i świadomy faktu,

iż „Sophie” od pewnego czasu mknęła

lekko po falach, popychana przez świeżą

bryzę. Rufa brygu wynurzyła się, dziób

wszedł

głębiej w wodę, a kadłub był wyraźnie

pochylony na zawietrzną - stopy Jacka

znajdowały się wyżej niż głowa.

- Pewnie ci przekłęci chłopcy obudzili

pana, sir - powiedział pierwszy

nawigator Marshall zatroskany.

- Posłałem ich za to na górę, ale już

chyba było za późno. Wydierali się i

skakali jak stado pawianów.

Szlag by ich trafił...

Jack z natury był szczery i

prawdomówny, tym razem jednak bez namysłu odpowiedział, że już nie spał.

Spojrzał na topy obu masztów:

podchorążowie zerkali stamtąd w dół,

ciekawi, czy kapitanowi doniesiono o

ich występku. Napotkawszy jego

spojrzenie, zeszywnieli i z

demonstracyjną wręcz gorliwością

popatrzyli w kierunku settee i brygu.

Oba statki szybko zbliżały się do

płynącej ze wschodnią bryzą „Sophie”.

„Są więc...” - pomyślał Jack uradowany.

- „Udało mu się zdobyć i settee.

Porządny z niego chłop... i doskonały

oficer”. Poczul nagły przyływ sympatii

do Dillona. Drugi przyz mógł przecież

umknąć, gdy porucznik zajmował się

zdobytym brygiem. Chcąc opanować

obie jednostki, należało wykazać się nie

lada inwencją i sprawnością. Nie można

było liczyć na to, iż mając możliwość

ucieczki, załoga settee choć przez

chwile będzie respektowała własną
kapitulację.

- Świetna robota, panie Dillon! -

zawołał Aubrey, gdy porucznik wszedł
na pokład „Sophie”, prowadząc ze sobą
mężczyznę w dziwnym, podniszczonym
mundurze. - Czy ci dranie nie próbowali
wam uciec?

- Próbowali, sir - odparł James. -

Proszę mi pozwolić przedstawić:

kapitan La Hire, z królewskiej artylerii
francuskiej. Rojalista. - Nieznajomy
zdjął z głowy kapelusz i ukłonił się.

Kapitan odpowiedział takim samym
gestem i wyciągnął rękę na powitanie.

- Bardzo mi miło - odezwał się Francuz
melodyjnym głosem.

- *Domestique, monsieur.* - Jack miał
okazję popisać się znajomością
francuskiego.

- Ten bryg okazał się neapolitańskim
przyzem, sir. Kapitan La Hire objął
dowodzenie nad pasażerami,
francuskimi rojalistami, oraz grupą

włoskich marynarzy i zajął się załogą
tego statku, podczas gdy my
opanowaliśmy settee. Dwie pozostałe
jednostki znajdowały się zbyt daleko na
nawietrznej i udało im się w tym czasie
ucieć wzdłuż wybrzeża. Schroniły się w
zasięgu dział baterii brzegowej, w
rybackim porcie Almoraira...

- Ach tak? Trzeba będzie tam zajrzeć,
gdy tylko zakończymy przekazywanie
jeńców. Ilu ich jest, panie Dillon?

- Załedwie około dwudziestu, sir.

Ludzie na brygu okazali się
sprzymierzeńcami. Piraci dopadli ich w
drodze do Gibraltaru.

- Kiedy to się stało?

- Och, ten bryg jest uczciwym przyzem,
sir. Minęło już osiem dni.

- Im więcej, tym lepiej. Czy
napotkaliście jakiś opór?

- Nie, sir, prawie nie. Dwaj piraci z
załogi przyżu oberwali od nas po głowie,
a na pokładzie settee powstało małe
zamieszanie i jeden biedak zginął od

kuli pistoletowej. Myślę, że i u pana nie było większych strat?

- Nie. Wszystko dobrze się skończyło.

Nikt nie zginął, nikt nie odniósł ciężkich obrażeń. Ci dranie zbyt szybko rzucili się do ucieczki i nie zdążyli wyrządzić nam wielu szkód. Żeglowali cztery mile na nasze trzy, nawet bez bombramzagli.

Mają naprawdę szybki statek...

Aubrey zauważył, że na twarzy porucznika zagościł jakby ironiczny uśmiech... a może była to tylko drobna zmiana w tonie głosu? Pojawiło się nagle tyle nowych, wymagających szybkiego załatwienia spraw, że w pierwszej chwili nie umiał jednoznacznie określić, co w zachowaniu Dillona tak nieprzyjemnie go zastanowiło. To dziwne uczucie powróciło już w trzy godziny później - tym razem było o wiele bardziej wyraźne, prawie możliwe do nazwania. Jack był wtedy w swojej kabinie, na stole przed nim leżała rozpostarta mapa

przyłądka Nao, z którego masywnej podstawy wychodziły w morze dwa następne przylądki: Almoraira i Ifach. W głębi zatoki pomiędzy nimi leżała mała wieś rybacka. Almoraira. Po prawej ręce Jacka siedział James Dillon, po lewej Stephen Maturin, a po przeciwnej stronie stołu pan Marshall.

- ...co ważniejsze - mówił z naciskiem kapitan - z tego, co jeden z Hiszpanów powiedział doktorowi, wynika, że na settee, w workach z mąką, ukryty jest ładunek rtęci. Dlatego musimy bardzo uważać na ten właśnie statek.

- Och, oczywiście - przyznał Dillon. Aubrey spojrział na porucznika bardzo uważnie i opuścił wzrok na mapę oraz sporządzony przez Stephena Maturina rysunek. Ów plan przedstawiał niewielką zatokę, w głębi której znajdowała się wieś rybacka i fort broniący wejścia do portu. Niski fałochron wychodził na dwadzieścia do trzydziestu jardów w

morze, skręcał w lewo i kończył się
kamienną głowicą, pięćdziesiąt jardów
dalej, tworząc zaciszną przystań,
odsłoniętą jedynie dla fali z
południowego zachodu. Wybrzeże od
wsi do północno--wschodniego krańca
zatoki było urwiste i wysokie. Z drugiej
strony, od umocnień fortu do krańca
południowo-zachodniego, rozciągała się
piaszczysta plaża. Dalej brzegi znów
wznosiły się stromo w górę. „Czy ten
człowiek nie myśli czasem, że boję się
walki?” -

rozmyślał Jack. - „Może sądzi, że
odstąpiłem od pościgu, gdyż obawiałem
się strat i wolałem zająć się przyzem?”
Działa baterii brzegowej znajdowały się
właśnie w owym forcie, jakieś
dwadzieścia jardów na południe od
wioski i drugiej plaży, na którą rybacy
wyciągali swe łodzie.

- Ta głowica falochronu... - powiedział
głośno. - Czy naprawdę ma dziesięć stóp
wysokości?

- Chyba więcej - zapewnił Stephen. -

Ostatni raz byłem tutaj osiem lub

dziewięć lat temu, dlatego nie mogę

mówić z absolutną pewnością. Wiem, że

do zbudowanej tam kaplicy nie sięgają

nawet wysokie fale podczas zimowych

sztormów.

- Wobec tego falochron będzie

wystarczającą osłoną dla kadłuba

„Sophie”. Jeśli rzuci się kotwicę w tym

miejscu, a do łańcucha zostanie

umocowany szpring... - Palec kapitana

poruszał się od stanowisk dział do

głowicy falochronu i dalej do pozycji

kotwiczenia - ...okręt będzie względnie

bezpieczny i otworzy stąd maksymalnie

silny ogień w stronę falochronu oraz

tych umocnień. Łodzie ze zdobytych

statków przybiją do brzegu, o tutaj, w

miejscu pokazanym przez doktora. - Jack

wskazał na punkt położony tuż poza

południowo-zachodnim krańcem zatoki.

- Pozostanie nam tylko pobiec, ile sił w

nogach, wzdłuż wybrzeża, by

zaatakować baterię od tyłu. Gdy
będziemy dwadzieścia jardów od niej,
wystrzelimy raketę, a pan skieruje lufy
armat tak, by kule padały z dala od fortu,
oczywiście żadne z dział „Sophie”
nawet na chwilę nie może przestać
strzelać.

- Ja, sir?

- Tak, pan. Ja schodzę na brzeg. - Nikt
się nie odezwał i po krótkiej przerwie
Jack zaczął dalej omawiać szczegóły
akcji. - Będziemy potrzebowali
dziesięciu minut na wyjście z łodzi,
dobiegnięcie do murów i...

- Niech pan przeznaczy na ten bieg co
najmniej dwadzieścia minut - wtrącił
Stephen. - Otyli ludzie o rumianych
twarzach często umierają
niespodziewanie na skutek zbyt
wielkiego wysiłku, zwłaszcza podczas
upałów. Wylew, skrzep...

- Nie życzę sobie, naprawdę sobie nie
życzę, by mówił pan podobne rzeczy,
doktorze - rzekł Aubrey cicho. Wszyscy

obecni spojrzeli na Maturina karcąco. -

Poza tym, nie jestem wcale otyły... -

dodał

oburzony.

- Pan kapitan ma niezwykle zgrabną

figurę - zauważył pan Marshall.

Pogoda wyjątkowo sprzyjała

planowanemu atakowi. Słabnący

wschodni wiatr powinien pomóc

„Sophie” wejść do zatoki, a nocna

bryza, która powieje od lądu tuż po

wschodzie księżyca, ułatwi ucieczkę na

pełne morze ze zdobyczą. Jack przez

dłuższą chwilę obserwował port ze

szczytu masztu, przyglądał się settee i

paru innym jednostkom zacumowanym

do wewnętrznej krawędzi falochronu.

Wszystkie statki znajdowały się

dokładnie naprzeciwko dział odległego

o sto jardów fortu, widocznego po

drugiej stronie basenu portowego.

„Na pewno nie jestem bez wad” -

rozmyślał - „lecz nigdy nie brakowało

mi odwagi. Jeśli nie uda nam się zdobyć

tych statków, spalę je przynajmniej". W naturze Jacka nie leżało jednak zbyt długie zaprzątanie sobie głowy podobnymi refleksjami. Z pokładu neapolitańskiego brygu patrzył, jak „Sophie” w zapadającym mroku okrąża przylądek Almoraira i wpływa do zatoki. W tym samym czasie oba zdobyte statki, ciągnące za sobą łodzie, podążały w stronę wskazanego przez doktora odcinka wybrzeża. Ponieważ settee i tartan zdążyły wejść do portu, nie można było liczyć na zaskoczenie. Wiadomo było, iż przed rzuceniem kotwicy „Sophie” nieuchronnie zostanie narażona na ogień dział baterii brzegowej. Załodze fortu niespodziankę sprawić mogły jedynie łodzie. Było już zbyt ciemno, by ktokolwiek na lądzie zauważył przyzy zmierzające w stronę południowo-zachodniego krańca zatoki, do „jedynego znanego mi miejsca, w którym jerzyki z białym brzuchem budują swoje gniazda”, jak opisał ów brzeg

Stephen. Jack obserwował „Sophie” z rosnącym napięciem. Tak bardzo chciałby się znajdować w dwu miejscach jednocześnie. Wyobraźnia nieustannie podsuwała mu wizje klęski: armaty fortu (doktor nie potrafił określić, jakie to były działa) mogły, po kilku kolejnych trafieniach, roztrzaskać kadłub „Sophie” na drobne kawałki.

Wiatr w każdej chwili mógł przestać wiać lub zmienić kierunek. Silny podmuch w stronę lądu byłby prawdziwą katastrofą. Dillon nie miał dość ludzi, by używając wiosł, uciec spod luf, a wszystkie łodzie znajdowały się daleko. To przedsięwzięcie było zwariowane, szalone.

- Cisza na pokładzie - zawołał ostro Aubrey. - Czy chcecie obudzić całe wybrzeże?

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak silne więzy emocjonalne łączyły go z okrętem. Bez trudu wyobraził sobie, jak

„Sophie” wpływa do zatoki. Nieomal
słyszał skrzypienie więźby grotrei,
szmer drgającego pod naporem wody
steru. Wydawało mu się, iż ta podróż
obcym statkiem nigdy się nie skończy.

- Sir, to miejsce jest teraz chyba
dokładnie na trawersie... - nieśmiało
odezwał się Pullings.

- Zgadza się - potwierdził Jack,
oglądając brzeg przez nocną lunetę. -
Światła wioski gasną po kolei, więc
opływamy już przylądek. Ster lewo na
burtę, Algren. Panie Pullings, proszę
posłać jakiegoś rozsądnego człowieka z
sondą na dziób. Powinno tu być
dwadzieścia sążni. - Podszedł do
rufowego relingu i zawołał w ciemność:

- Panie Marshall! Podchodzimy do
brzegu.

Na tle rozgwieźdzonego nieba pojawił
się ciemny pas lądu. Gwiazdy znikły
jedna po drugiej, zasłonięte urwiskiem,
w miarę jak zbliżali się do skalistego
brzegu. Gasły kolejno Arcturus, Corona

i położona wysoko Vega. Słysząc było plusk sondy, rzuconej w wodę w regularnych odstępach, i monotony głos podającego głębokość człowieka:

- Ponad dziewięć; ponad dziewięć; dokładnie siedem; pięć i pół; pięć bez jednej czwartej...

Przed dziobem ujrzeli wskazaną przez doktora niewielką zatoczkę u stóp klifu i białą linię fali przybojowej fali.

- Wystarczy - zdecydował Jack i bryg stanął w linii wiatru. Pracujący wstecz fok przypominał w mroku jakieś żywe stworzenie. - Panie Pullings, pan i pańscy ludzie do łodzi.

- Czternastu ludzi przemknęło bezgłośnie przez pokład, znikając za burtą w uderzającej lekko o kadłub statku łodzi.

Wszyscy mieli na ramionach białe opaski. - Sierzancie Quinn... - O deski zatupały ciężkie buty uzbrojonych w muszkiety żołnierzy piechoty morskiej.

Aubrey poczuł nagle, że ktoś ostrożnie dotyka jego brzucha. To kapitan La Hire,

ochotnik przydzielony do oddziału

żołnierzy, chciał uścisnąć dłoń Jacka.

- Powodzenia! - powiedział Francuz,
gdy ich ręce spotkały się w ciemności.

- *Merci. Merci...* bardzo - odpowiedział

Jack, wychylając się za burtę. W tej
samej chwili niebo rozświetlił błysk
ognia i rozległ się wystrzał z ciężkiego
działa. - Czy to kuter czeka tu pod burką?

-

dopytywał się, gdyż jego oślepienie
blaskiem oczy utraciły zdolność
widzenia w ciemności.

- Tak sir, tutaj... - odezwał się w dole
głos sternika kapitańskiej łodzi.

- Panie Ricketts, gdzie jest latarnia? -
zapytał Jack, schodząc za burtę.

- Mam ją pod kurtką, sir.

- Proszę wywiesić ją potem za rufą.

Odływamy. - Znowu usłyszeli działo,
w chwilę później równocześnie
wypaliły dwa inne. Bez wątpienia
ćwiczyły. Niepokojący był jednak ich
odgłos... Może to

trzydziestosześcioletniej? Aubrey
rozejrzał się dookoła. Z tyłu dojrzał z
trudem cztery łodzie i niewyraźny zarys
obu przyzw. Odruchowo dotknął ręką
pistoletów i szpady. Nigdy w życiu nie
był

bardziej zdenerwowany. W
największym napięciu czekał teraz, aż z
prawej strony zabrzmie odgłos salwy
dział burtowych „Sophie”.

Kuter mknął po wodzie, wiosła
skrzypiały cicho, poruszane przez
stęających z wysiłku ludzi.

- Obie stop! Wiosła! - polecił cicho
sternik. W kilka sekund łódź zaryła
dziobem w piasek plaży. Tuż obok
przybiła druga łódź z „Sophie”, szalupa
neapolitańskiego brygu z oddziałem
Mowetta, bączek z ludźmi bosmana i
szalupa z settee dowodzona przez pana
Marshalla.

Na niewielkim skrawku plaży zaroilo
się od ludzi.

- Gdzie lina, panie Watt? - zapytał cicho

kapitan.

- Nasi strzelają... - odezwał się w ciemności czyjś głos. Zza klifu dobiegł przytłumiony huk salwy siedmiu dział „Sophie”. - Jest tutaj, sir! - zawołał bosman, dźwigający na ramieniu dwa zwoje mocnej liny.

Jack chwycił jeden z końców.

- Panie Marshall, niech pan zrobi to samo. Każdy człowiek łapie za swój węzeł. - Wszyscy odnaleźli swe miejsca tak sprawnie, jakby zbierali się na apel na pokładzie „Sophie”.

Gotowe? Wszyscy gotowi? Ruszamy. Z życiem!

Po kilku minutach dotarli do krańca zatoki. Plaża zwężała się tutaj do zaledwie paru stóp u podnóża klifu. Za Jackiem, uczepieni mocno liny, biegli członkowie jego oddziału. Czuł narastające, szalone podniecenie.

Czekanie nareszcie się skończyło, teraz trzeba było działać. Wybiegli zza skalnego narożnika. Przed nimi pojawiły

się oślepiające fajerwerki, odgłos
wystrzałów był dziesięciokrotnie
silniejszy niż przed chwilą. Od murów
fortu, nisko, tuż nad ziemią, co jakiś czas
odrywały się cztery purpurowe
strumienie ognia. W nieregularnych,
rozjaśniających niebo błyskach
wystrzałów widać było, że marsle
„Sophie” są podebrane na gejtawach. Jej
działa odzywały się raz po raz,
zasypując kulami i gradem kamiennych
odłamków falochron, tak by nikomu nie
przyszedł do głowy pomysł
przeholowania settee bliżej brzegu.
Aubrey z satysfakcją stwierdził, iż
„Sophie” stoi niemal idealnie w
oznaczonej na mapie pozycji, osłonięta z
lewej burty zakończeniem falochronu i
zbudowaną na skale kaplicą. Jedyne
fort znajdował się o wiele dalej, niż to
wynikało z planu. Niezwykłe,
niewyobrażalne wręcz uniesienie
dodawało skrzydeł, lecz równocześnie
stopy grzęzły głęboko w miękkim

piasku.

Jack potknął się i z uporem zaczął powtarzać sobie, że za żadną cenę nie wolno mu upaść. Słyszał, jak przewrócił się któryś ze złączonych drugą liną ludzi pana Marshalla. Coraz trudniej było się poruszać.

Wydawało się, że każdy następny krok może być ostatnim. Bicie serca powoli zagłuszało myśli. Nagle Jack poczuł twardszy grunt pod stopami i natychmiast ruszył szybko do przodu, tak jakby zrzucił z ramion niepotrzebny ciężar. Nareszcie naprawdę biegł. Za plecami słyszał ciężkie, urywane oddechy podążających jego śladem ludzi. W tym miejscu piasek był twardy, ubity i tłumiał odgłos kroków. Fort był coraz bliżej. Przez szczeliny w oblankowaniu widać było uwijających się przy działach Hiszpanów.

Wystrzelona z „Sophie” kula przeleciała wysoko ponad głowami biegnących, niespodziewany podmuch wiatru

przyniósł od strony dział chmurę

gryzącego dymu prochowego. Czy

należało wystrzelić już raketę?

Znajdowali się bardzo blisko baterii.

Słyszeli podniesione głosy artylerzystów

i turkot podtaczanych dział. Hiszpanie

byli całkowicie zajęci walką z

„Sophie”, warto więc było spróbować

podejść nieco bliżej i jeszcze bliżej.

Wszyscy skradali się teraz, chociaż nie

było takiego rozkazu. W błyskach

wystrzałów podążające chyłkiem w

kierunku fortu sylwetki były doskonale

widoczne.

- Rakietą, Bonden - cicho polecił Jack. -

Panie Watt, kotwiczki. Niech wszyscy

przygotują broń.

Bosman przywiązał szybko kotwiczki do

końców lin. Sternik kapitańskiej łodzi

przygotował rakiety i wykrzesał ogień.

Stał, rozdmuchując na hubce mały

płomyk. Wszyscy poprawiali pasy. W

potężnym huku dział zginął szcęk

sprawdzanego uzbrojenia. Zmęczeni

biegiem ludzie nareszcie złapali oddech.

- Wszyscy gotowi? - wyszeptał kapitan.

- Gotowi, sir - szeptem odpowiedzieli

oficerowie. Jack pochylił się, zasyczał

lont, rakietę poleciała wysoko,

ciągnąc za sobą warkocz czerwonych

plam i rozkwitając na niebie

błękitem.

- Ruszamy! - zawołał, jego głos utonął w

donośnym okrzyku bojowym.

Biegiem, biegiem. W dół do pustej fosy.

Pistolety strzelające zza oblankowania,

wspinający się na górę po linach jeden

za drugim ludziami. Okrzyki. Charkot. Tuż

przy uchu głos sternika łodzi:

- Dalej, przyłóż mu, bracie! - Szorstkie,

chropowate kamienie i już po chwili

kapitan był na górze, z wydobytą z

pochwy szpadą. Nie miał jednak z kim

walczyć. Artylerzyści kolejno

zeskakiwali z murów i w ślepej panice

uciekali w stronę wioski, pozostawiając

za sobą ciała dwóch zabitych i jednego

rannego, który klęczał koło znajdującej

się za działami wielkiej latarni. -

Johnson! - zawołał Jack głośno. -

Zagwoździć te działa! Sierzancie Quinn,
niech pańscy ludzie nie przestają
strzelać!

Kapitan La Hire szybko wbijał łomem
gwoździe w otwory rozgrzanych luf
dwudziestoczerofuntowych armat.

- Lepiej wszystko wysadzić! -

zapropozował. - Lepiej niech to
wszystko wyleci w powietrze!

- *Vou savez faire...* Czy wie pan, jak to zrobić?

- Ech, *pardi* - odpowiedział La Hire,
uśmiechając się z przekonaniem.

- Panie Marshall, proszę zebrać
wszystkich i ruszyć w kierunku
przystani. Żołnierze pójdą z tyłu.

Sierzancie, proszę strzelać bez przerwy,
niezależnie od tego, czy widzicie
kogokolwiek, czy nie.

Proszę obrócić settee w stronę wyjścia z
portu i przygotować żagle do
postawienia. My z kapitanem La Hire
wysadzimy ten fort...

- Boże, jak ja nienawidzę pisania
oficjalnych listów. Aubrey westchnął
głośno. W uszach wciąż mu dzwoniło
po potężnym wybuchu (kapitan La Hire
nie przewidział istnienia dodatkowego
magazynu prochu w kazamatach tuż
poniżej głównej prochowni), przed
oczami ciągle widział kolorowe plamy
(pamiętka po strzelającym na pół mili w
niebo oślepiającym słupie ognia). Włosy
z lewej strony głowy spłonęły mu
podczas eksplozji, skóra na obolałym
karku, głowie oraz twarzy była
osmalona i poznaczona sińcami. Na
stole w kapitańskiej kabinie „Sophie”
leżały cztery nieudane wersje
oficjalnego pisma. Na zawietrznej brygu
żeglowały trzy zdobyte przyzy, a daleko
za rufą, w wiosce Almoraira, nadal
unosił
się w niebo słup dymu.

- Proszę, niech pan posłucha tego... -
zapropozował Jack ostrożnie. - Powie
mi pan, czy poprawna jest gramatyka i

język. Początek taki jak zawsze: *Sophie,*
na morzu; Wasza Wysokość, niniejszym
mam zaszczyt powiadomić pana, iż
zgodnie z otrzymanymi rozkazami
skierowałem się ku przylądkowi Nao,
gdzie napotkałem konwój trzech
statków handlowych eskortowanych
przez francuską korwetę o dwunastu działach. Dalej wspominam o zajęciu
brygu, ogólnikowo relacjonując starcie z
piratami.

Podkreśliłem tylko ich *wolę walki...*

Potem od razu przechodzę do akcji na
brzegu. *Ponieważ okazało się, iż*
pozostałe statki konwoju schroniły się
pod osłonę armat baterii brzegowej w
porcie Almoraira, w celu zdobycia wspomnianych jednostek
przeprowadzona została akcja na
lądzie, w wyniku której o godzinie drugiej dwadzieścia siedem wysadzono
w powietrze fort mieszczący
wspomniane wyżej działa. Desant na brzeg odbył się za pomocą łodzi, od
południowo---zachodniego krańca
zatoki. Trzy zdobyte w porcie tartany musiały niestety zostać spalone, lecz
udało się nam przechwycić i
wyprowadzić w morze settee o nazwie

*„Xaloc” z wartościowym ładunkiem
rtęci ukrytym w workach z mąką.
Ładnie, prawda? Jadę dalej. Podczas
wspomnianej akcji szczególnie wybił
się porucznik James Dillon, który
samodzielnie wprowadził do zatoki
pozostający pod moim dowództwem
słup Jego Królewskiej Mości, a
następnie utrzymywał ciągly ogień
artyleryjski w kierunku fortu i
falochronu. Wszyscy oficerowie i
członkowie załogi wykazali się tak
wielkim męstwem i poświęceniem, iż
niesprawiedliwe byłoby wyróżnianie kogokolwiek. W ogólności pragnę
jednak podkreślić uprzejmość pana La
Hire z królewskiej artylerii francuskiej, który zgłosił się na ochotnika do
udziału w tym wypadzie i zaoferował
pomoc w przygotowaniu ścieżki
prochowej i wysadzeniu fortu w
powietrze. Na skutek wybuchu został
on lekko ogłuszony i poturbowany. W
załączeniu przesyłam listę zabitych i
rannych. Zabici: John Hayter, żołnierz piechoty morskiej, i James Nightingale,
marynarz. Ranny: Thomas Thompson,*

marynarz. Mam zaszczyt pozostawać

pańskim... i tak dalej. I co? Co pan o tym myśli?

- No cóż, udało się panu przedstawić

wszystko odrobinę jaśniej niż przed

chwilą - odparł Stephen. -

Wydaje mi się, że zamiast „w

ogólności" lepiej byłoby napisać: „w

szczegółności".

- Powinno być „w szczególności", to

oczywiste. Wiedziałem, że w tym zdaniu

coś jest nie w porządku. W

szczegółności... świetne słowo. W

którym miejscu mam je wpisać?

Znajdowali się teraz w pobliżu portu

San Pedro. Miniony tydzień na pokładzie

spędzili bardzo pracowicie. W dzień,

gdy

„Sophie" umykała daleko za horyzont,

odbywały się ćwiczenia, których

rezultaty były coraz lepsze; tymczasem

rozzłoszczeni Hiszpanie szukali jej

wzdłuż wybrzeża. Nocą podkradała się

blisko brzegu, by tuż przed świtem

niepokoić wybrane małe porty i

zmierzające do nich statki. Był to bardzo niebezpieczny i nietypowy sposób działania, wymagający niezwykle starannych przygotowań oraz szczęścia. Szczęście jej na razie sprzyjało i kolejne nocne wypadki uwieńczone były sporymi sukcesami. Podobne postępowanie stawiało również określone wymagania przed załogą brygu. Gdy byli na pełnym morzu, Jack wyciskał ze swych ludzi siódme poty, ćwicząc ich w strzelaniu z dział. James Dillon zaś dbał o to, by żagle stawiane były coraz szybciej i sprawniej. Porucznik był wyjątkowo sumiennym oficerem. Okręt zawsze musiał być u niego zadbany, niezależnie od tego, że właśnie trwały ćwiczenia lub toczyła się walka. Wszystkie nocne eskapady lub poranne potyczki nieuchronnie kończyły się szorowaniem pokładów oraz polerowaniem mosiężnych luf i okuć. Jak mawiali ludzie, Dillon był drobiazgowy, lecz jego upodobanie do dokładnego

malowania, do idealnie wybranych

żagli, równo zbrasowanych rej i

sklarowanych lin było niczym wobec

gorliwości, z jaką gotów był

rzucić się do walki z nieprzyjaciółmi

Jego Królewskiej Mości. Nie

przeszkadzał mu fakt, iż może oznaczać

to roztrzaskanie na kawałki lub spalenie

tego, o co z taką skrupulatnością dbał.

Załoga znosiła to wszystko z

zaskakującą cierpliwością. Ludzie byli

co prawda zmęczeni, lecz równocześnie

nie brakowało im zapału. Żyli myślą o

tym, co zrobią, gdy będą mogli zejść w

porcie na ląd. Innym tematem rozmów w

kubryku była ewidentna zmiana, jaka

zaszła na kapitańskim pokładzie

rufówki.

Bez trudu można było zauważyć, że po

akcji w Almoraira Dillon zaczął darzyć

dowódcę nie

ukrywanym szacunkiem. Często chodzili

razem, dyskutując o różnych sprawach.

James z ogromnym uznaniem mówił

ostatnio przy stole w mesie oficerskiej o
zniszczeniu hiszpańskich dział. Jego
słowa, przekazywane z ust do ust,
natychmiast obieży okręt. - Jeśli nie
pomyliłem się w dodawaniu -
powiedział Jack, podnosząc głowę nad
kartki papieru - jak dotąd podczas tego
patrolu zdobyliśmy, spaliliśmy lub
zatopiliśmy statki
o tonażu dwudziestosiedmiokrotnie
większym od naszego. Wszystkie te
jednostki łącznie mogłyby skierować w
naszą stronę aż czterdzieści dwa działa,
wliczając w to falkonety. To właśnie
miał na myśli admirał, gdy mówił o
dokuczaniu Hiszpanom. Ponadto -
Aubrey roześmiał się głośno - dzięki
temu będziemy bogatsi o kilka tysięcy
gwinei... W końcu od przybytku głowa
nie boli.

- Przepraszam, sir, czy mogę wejść? -
zapytał ochmistrz, stając w otwartych
drzwiach kabiny.

- Dzień dobry, panie Ricketts, proszę,

niech pan wejdzie i usiądzie tu z nami.

Czy to dane na dzisiaj?

- Tak, sir. Obawiam się, że nie będzie pan uradowany. Druga beczka w dolnym rzędzie została uszkodzona i straciliśmy prawie pięćdziesiąt galonów.

- W takim razie musimy modlić się o deszcz - oświadczył kapitan beztrąsko, lecz po wyjściu ochmistrza rzekł do Stephena ze smutkiem: - Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie ta cholerna woda. Wszystko inne jest w najlepszym porządku. Ludzie zachowują się wzorowo, udany patrol, nikt nie zachorował... Szkoda, że nie dokończyliśmy pobierania wody w Mahon. Nawet przy maksymalnych ograniczeniach zużywamy jej pół tony dziennie. Jest gorąco, mamy tylu jeńców, mięso musi być płukane, a grog rozcieńczany. Co z tego, że pierzemy w wodzie morskiej. - Jack bardzo chciał skierować swój okręt w pobliże skrzyżowania szlaków

żeglugowych w okolicach Barcelony;
było to prawdopodobnie najbardziej
ruchliwe miejsce na całym Morzu
Śródziemnym. Według po-czątkowych
planów i marzeń miał to być punkt
kulminacyjny patrolu. Okazało się
jednak, iż trzeba będzie wracać na
Minorkę, a tego, co czekało tam na
„Sophie”, można się było tylko obawiać.

Wielką niewiadomą stanowiły
zwłaszcza nowe rozkazy. Pozostało
bardzo niewiele przewidzianego na
patrol czasu i kapryśne wiatry lub
kaprysy komendanta mogły oznaczać
koniec samodzielności. Z pewnością by
tak było. - Jeśli potrzebna jest woda,
mogę pokazać panu niedaleko stąd
zatoczkę, w której bez kłopotu
napelnimy wszystkie nasze beczki.

- Dlaczego dopiero teraz pan mi o tym
mówi? - zawołał Jack uradowany.

Uśmiech nie bardzo pasował
do wyglądu jego twarzy. Lewa strona
twarzy oraz karku, wciąż poznaczona

sińcami i oparzeniami, lśniła od
lecniczej maści doktora. Przez jej
warstwę przebijały się odrastające jasne
włosy. W porównaniu z opaloną i
nietkniętą drugą połową twarzy
sprawiało to niesamowite wręcz
wrażenie.

- Nigdy mnie pan o to nie pytał.

- Nikt tego miejsca nie broni? Nie ma
tam czasem kolejnej baterii brzegowej?

- Tam nie ma ani jednego budynku, a tym
bardziej działa. Kiedyś ktoś tam
mieszkał, gdyż na cyplu znajdują się
ruiny rzymskiej willi. Można też
odnaleźć ślady zarośniętej drogi. Bez
wątpienia mieszkańcy owego domu
korzystali ze źródła. Jak mi się zdaje,
może ono mieć właściwości lecznicze.

Mieszkańcy pobliskich wsi wierzą, że
woda z niego leczy impotencję.

- I myśli pan, że uda się je panu
odnaleźć?

- Z pewnością - odpowiedział Stephen i
spuścił głowę. - Czy mógłbym pana o

coś przy tej okazji prosić? - zapytał.

- Proszę bardzo.

- Znam pewną osobę, która mieszka
dwie lub trzy mile od tego miejsca w
głęb lądu. Czy mógłby pan wysadzić
mnie na brzegu i potem zabrać z
powrotem na okręt, powiedzmy po
dwunastu godzinach?

- Dobrze - zgodził się Jack. Nic nie stało
temu na przeszkodzie. - Nie ma sprawy -
dodał, uśmiechając się
porozumiewawczo. - Zakładam, że
zechce pan spędzić tam noc...?

Podejdziemy do brzegu dziś wieczorem.
Czy to absolutnie pewne, że nikt nas nie
zaskoczy?

- Oczywiście.

- Wyślę po pana łódź tuż po wschodzie
słońca. Co pan zrobi, jeśli z jakichś
powodów nie będę mógł
zbliżyć się do lądu?

- Będę czekał na tym samym miejscu
następnego ranka... Przez kilka dni, jeśli
zajdzie taka potrzeba.

Muszę już iść - rzekł Maturin, wstając,
gdyż rozległo się brzęczenie dzwonka.

To nowy sanitariusz dzwonił na znak, że
chorzy mogą zgłaszać się do lekarza. -

Boję się, że ten człowiek coś
narozrabia.

Nie powinien sam wydawać lekarstw.

Zjadacz grzechów stał się ostatnio
bardzo złośliwy wobec członków
załogi. Niedawno próbował wlać im do
zupy silny środek na przeczyszczenie.

Gdyby wystarczała tylko zła wola
Cheslina, z okrętowej izby chorych
dawno uciekliby wszyscy pacjenci.

Obie łodzie płynęły w zapadającym
powoli mroku: Dillon i sierżant Quinn
uważnie obserwowali zalesione ujście
strumienia. Było bardzo ciepło i gdy
znaleźli się o dwieście jardów od
wybrzeża, dotarł do nich zapach sosen
zmieszany z wonią trawy.

- Jeśli popłyniemy nieco bardziej w
prawo, uda nam się ominąć kamienie,
pod którymi żyją raki -

powiedział Stephen. Pomimo gorąca

miał na ramionach czarny płaszcz.

Siedząc na rufie łodzi, patrzył

czujnie w głąb zwężającej się zatoczki.

Jego twarz wydawała się śmiertelnie

blada.

Piasek niesiony podczas deszczów przez

wpadający do morza strumień utworzył

w pewnej odległości od brzegu

płyciznę, na której zatrzymały się łodzie.

Ludzie wyskoczyli z nich szybko, tak by

mogły zejść z mielizny; dwaj wioślarze

przenieśli doktora ostrożnie na ląd.

Postawili go w miejscu, gdzie nigdy nie

sięgały fale, ostrzegając, by uważał na

porozrzucane wszędzie uschnięte

gałęzie. Szybko wrócili do łodzi po jego

płaszcz. Spadająca z góry woda

wypłukała w kamiennym podłożu, u

szczytu plaży, coś w rodzaju basenu i

tam marynarze rozpoczęli napełnianie

beczek. Żołnierze piechoty morskiej

stanęli na straży na obu krańcach zatoki.

- Wspaniały był dzisiejszy obiad -

zauważył Dillon. Obaj ze Stephenem

siedzieli na ciepłej, gładkiej skale,

przyjemnie rozgrzewającej im pośladki.

- Nie pamiętam, gdzie ostatni raz jadłem

coś równie smacznego - przyznał

Stephen. - Na pewno nie na morzu... -

Jack zatrzymał na okręcie francuskiego

kucharza z „Santa Lucii”, rojalistę, i

szybko przybierał na wadze. - Był pan

też dziś w doskonałym nastroju... - dodał

doktor po chwili.

- To prawda, choć zachowywałem się

niezgodnie z obowiązującymi we flocie

zwyczajami. Przy kapitańskim stole nikt

nie odzywa się nie pytany. Zgodzi się

pan ze mną, że podobny posiłek nie

może być zbyt zajmujący, lecz takie są

zasady. Kapitan reprezentuje przecież

króla, tak mi się przynajmniej zdaje.

Tym razem uznałem, że mogę pozwolić

sobie na pewną swobodę. Chciałem, by

to spotkanie przebiegało mniej

oficjalnie. Wie pan, że nie byłem

zupełnie w porządku wobec naszego

kapitana. Co do tego nie ma dyskusji.

Mimo to on mnie dzisiaj do siebie zaprosił. To bardzo miłe z jego strony.

- Nasz dowódca kocha pieniądze z przyzów, lecz ich zdobywanie nie jest tym, na czym mu najbardziej zależy.

- Właśnie. Myślę jednak, że nie wszyscy potrafią go docenić, nie wszyscy go rozumieją. Weźmy na przykład naszą załogę. Gdyby ci ludzie nie byli trzymani w ryzach przez zrównoważonych oficerów, bosmana, artylerzystę i, co muszę przyznać, pana Marshalla, dawno zaczęliby sprawiać kłopoty.

Wciąż możemy spodziewać się problemów. Od pieniędzy z łupów niedaleko jest do rozbijania magazynów i kradzieży. Były ostatnio takie przypadki. Od kradzieży i pijaństwa nie jest z kolei zbyt daleko do zupełnego braku posłuszeństwa, a nawet buntu. Bunt zawsze zdarzają się na statkach, gdzie dyscyplina jest bądź za bardzo rozluźniona, bądź zbyt surowa.

- Moim zdaniem całkowicie się pan myli, twierdząc, że członkowie załogi nie doceniają charakteru i postępowania swego dowódcy. Prości, niewykształceni ludzie obdarzeni są w podobnych sprawach szczególną mądrością i spostrzegawczością. To coś takiego jak ich zdolność do zapamiętywania wierszy. Znałem wieśniaków, którzy z pamięci recytowali dwa lub nawet trzy tysiące wierszy. Czy wydaje się panu, że załodze brakuje dyscypliny? To zaskakujące, choć nie znam się zbyt dobrze na tych sprawach.

- Nie, tego, co powszechnie określane jest jako dyscyplina, z pewnością na „Sophie” nie brakuje.

Chodzi mi o coś innego, pośredniego. Rozkazy dowódcy są wykonywane przez jego podwładnych, ponieważ on sam wykonuje rozkazy swoich przełożonych. Nie może kierować się osobistymi celami.

Jeśli nie wypełni poleceń, łańcuch

posłuszeństwa zostaje przerwany.

Mówię to bardzo poważnie.

Przypomniał mi o tym pewien żołnierz w

Mahon. Ten pechowiec myślał, że i ja

wyznaję podobną moralność. Czy nie

zauważył pan, że często podczas obiadu

jest się wesołym i beztroskim, a już przy

kolacji człowiek zaczyna się

zastanawiać, po co w ogóle Bóg

stworzył ten świat?

- Zgadza się, ale jaki ma to związek z

tym żołnierzem?

- Walczyłem z nim właśnie z powodu

pieniędzy z przyzów. Powiedział, że

uzyskiwanie takich

dochodów nie jest uczciwe. Był biedny i

bardzo rozżalony. Stwierdził, iż to owe

pieniądze są jedynym motywem, dla

którego my, oficerowie marynarki,

służymy we flocie. Gdy temu

zaprzeczyłem, nazwał

mnie kłamcą. Poszliśmy do podłużnego

ogrodu na końcu nabrzeża... Był ze mną

Jevons z

„Implacable"... Wszystko zakończyło się błyskawicznie. Ten niezdara i dureń sam nadział się na koniec mojej szpady. O co chodzi, Shannahan?

- Sir, wszystkie beczki są pełne.

- Możecie je więc zaszpuntować i stoczyć do wody.

- Do widzenia - powiedział Stephen, wstając.

- Już pan odchodzi? - zapytał James

- Tak, chcę dotrzeć na miejsce, zanim będzie całkiem ciemno.

Nawet w najczarniejszą noc doktor nie zbłądziłby ze ścieżki, która wiała się to z jednej, to z drugiej strony strumyka.

Wydeptali ją łowiący raki rybacy i impotenci, zamierzający wykąpać się w skalnym zbiorniku. W pewnej chwili sięgnął odruchowo po gałąź, służącą jako poręcz przy przechodzeniu przez głęboki w tym miejscu strumień - kora była gładko wypolerowana przez wiele dłoni.

Szedł wyżej i wyżej. Zatrzymał się na
nagiej skale i w dole, zaskakująco
daleko, ujrzał w półmroku obie łodzie,
holujące za sobą szereg powiązanych i
na wpół zatopionych beczek. Z oddali
przywodziły na myśl składającą skrzek
ropuchę. Dalej ścieżka znów biegła
między drzewami i na otwartą przestrzeń
wyszedł dopiero na szczycie wzgórza,
który porośnięty był macierzanką i trawą
i otoczony morzem sosen. Nad
pobliskimi pagórkami wisiała błękitna
mgiełka, niebo na zachodzie płonęło
czerwienią. Kolory znikły już dookoła,
ustępując miejsca szarości. Dostrzegł
jeszcze białe ogonki uciekających w
krzaki dzikich królików i coraz bardziej
niewyraźne kształty krążących nad
głową ptaków. Kozodoje... - wiedział,
że je tutaj zobaczy. Usiadł przy wielkim
kamieniu. Wykuty na głazie napis głosił:
Non fui non sum non curo. Króliki
powoli wychodziły z ukrycia i wkrótce
słyszeć było, jak skubią szybko

macierzanę. Stephen miał zamiar
siedzieć tutaj aż do świtu. Chciał
uporządkować myśli, jeśli okaże się to
możliwe, a odwiedziny u przyjaciółki
(aczkolwiek istniejącej naprawdę) były
tylko pretekstem. Cisza, mrok,
niezliczone znajome zapachy oraz ciepło
nagrzanej ziemi były mu teraz potrzebne
jak powietrze.

- Myślę, że możemy już ruszyć w stronę
brzegu - oznajmił Jack. - Nic się nie
stanie, jeśli zjawimy się na miejscu
odrobinę przed czasem. Chcę też przy
okazji przejść się trochę. W każdym
razie trzeba jak najprędzej zabrać
stamtąd doktora. Niepokoję się o niego.
Czasami wydaje mi się, że nie powinno
się puszczać go nigdzie samego, a
czasem chętnie powierzyłbym mu
dowództwo nad całą flotą. Prawie...
„Sophie” przez całą noc lawirowała nie
opodal lądu. Kończyła się właśnie
środkowa wachta i James Dillon
zmieniał pana Marshalla. „Korzystając z

faktu, iż cała załoga jest na pokładzie,
warto by było wykonać zwrot przez
sztag" - pomyślał Jack, wycierając rosę
z poręczy relingu. Wychylił się za burtę i
patrzył na holowany za rufą kuter,
wyraźnie widoczny na tle fosforyzującej,
cieplej jak mleko wody.

- Tu właśnie napełniliśmy beczki, sir -
powiedział Babbington, wskazując ręką
ledwie widoczną w mroku plażę. -

Gdyby nie było tak ciemno, zobaczyłby
pan ścieżkę, którą doktor poszedł na
górze. Jack wyszedł z łodzi na brzeg, by
przyjrzeć się dróżce i skalnemu
basenowi. Potknął się kilka razy, zanim
nogi przyzwyczały się do stałego lądu.

Ziemia nie uciekała spod nóg jak
chybotliwy pokład.

Przeszedł kilka razy tam i z powrotem,
ucząc się na nowo trudnej sztuki
chodzenia bez potknięć i trudności z
utrzymaniem równowagi. Zastanowił go
fakt, iż światło dnia pojawia się w
nierównomierny sposób, wyraźnymi

skokami. Myślał o pozytywnych zmianach, jakie zaszły w zachowaniu jego porucznika po akcji w Almoraira, i o zaskakujących nastrojach pierwszego nawigatora, który ostatnio bywał często bardzo ponury. Dillon miał w domu sforę psów myśliwskich - trzydzieści pięć sztuk - i kilka razy z powodzeniem używał ich podczas łowów. To musiała być wyjątkowa okolica, zamieszкана przez niezwykle sprytnie lisy, skoro dotąd nie zostały zupełnie wytrzebione. Jack zawsze podziwiał ludzi, którzy potrafili polować z psami. Dillon z pewnością znał się na tym, choć dziwne było, że nie zwracał uwagi na odgłosy wydawane przez idące za zwierzyną psy. Przecież ujadanie naprawdę zgranej sfory... Ostrzegawczy wystrzał „Sophie” niespodziewanie przerwał te spokojne rozmyślenia. Aubrey obrócił się gwałtownie. Przy burcie brygu wciąż

wisiał obłoczek dymu. Na maszcie
pojawiły się flagi sygnałowe, lecz z tej
odległości i w tym świetle nie można
było bez lunety odczytać ich znaczenia.

Slup ustawił się z wiatrem i jakby
rozumiejąc zaniepokojenie kapitana,
nadał najstarszy ze wszystkich
sygnałów: szoty bramsli zostały
puszczone wolno, płótna załopotwały
wyluzowane. „Zauważono podejrzanę
żagle” - wiadomość podkreślono
kolejnym wystrzałem.

Jack spojrział na zegarek i z żalem
popatrzył na ginącą między
nieruchomymi sosnami ścieżkę.

- Potrzebny mi będzie twój nóż, Bonden
- powiedział i podniósł z ziemi duży
płaski kamień.

Wyskrobał na nim słowo *Regrediar*
(pomyślał o zachowaniu ostrożności),
zaznaczył godzinę i podpisał się swymi
inicjałami. Położywszy kamień na
widocznym miejscu na brzegu, wskoczył
do łodzi.

Gdy tylko kuter przybił do burty, reje „Sophie” zaskrzypiały, żagle wypełniły się i bryg ruszył w kierunku otwartego morza.

- To okręty wojenne, sir. Jestem prawie pewny - wyjaśnił James. - Pomyślałem, że na pewno zechce pan czym prędzej wydostać się na szersze wody.

- Bardzo słusznie, panie Dillon - pochwalił go Jack. - Czy mogę skorzystać z pańskiej lunety?

Na topie masztu, z trudem łapiąc oddech po pośpiesznej wspinaczce, widział obie zbliżające się jednostki dosyć wyraźnie. Rozwidniło się już zupełnie, nad morzem nie było nawet śladu mgły.

Od nawietrznej, pod pełnymi żaglami, szybko płynęły dwa okręty. Okręty wojenne. Co

do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Jakie? Angielskie?

Francuskie? Hiszpańskie? Tam dalej wiatr był znacznie silniejszy i ich prędkość wynosiła dobre dziesięć

węzłów. Aubrey spojrział przez ramię na

wychodzący daleko w morze ląd. Sporo

czasu upłynie, zanim

„Sophie” uda się otoczyć cypel. Musi

zdażyć przed tymi okrętami, w

przeciwnym razie

zostanie zablokowana w zatoce. Tak, to

okręty wojenne. Wyłoniły się ich

kadłuby i chociaż z tej odległości nie

można było policzyć furt działowych,

Jack był pewien, że są to dwie ciężkie

fregaty o trzydziestu sześciu działach.

Tak, na pewno fregaty.

Gdyby „Sophie” zdołała pierwsza

opłynąć przylądek, miałyby szansę

ucieczki. Przechodząc w poprzek

płycizny między krańcem cypla a skałą

nieopodal, zyska milę. Żadna głęboko

zanurzona fregata nie mogłaby przejść

tędy.

- Wyślemy załogę na śniadanie, panie

Dillon - zdecydował kapitan. - Potem

proszę

przygotować okręt do walki. Jeśli mamy

oberwać, to równie dobrze możemy

przed tym się

najeść.

Niewielu jednak ludzi na pokładzie

„Sophie” miało tego pięknego ranka

apetyt. Owsianka i suchary nie

smakowały specjalnie nikomu, wszyscy

wydawali się dziwnie poirytowani i

zniecierpliwieni.

Nawet świeżo palona i zmielona kawa

Jacka na darmo pachniała na rufie.

Oficerowie stali wpatrzeni w zbliżające

się okręty, oceniali ich kursy i prędkość,

próbowali określić miejsce spotkania

oraz warianty rozwoju wydarzeń. Dwie

fregaty na nawietrznej, na zawietrznej

nieprzyjacielski brzeg i groźba

znalezienia się w potrzasku - to w

zupełności wystarczyło, by wszyscy

zapomnieli o głodzie.

- Na pokładzie! - zawołał ukryty wysoko

wśród żagli obserwator. - Na jednym z

tych okrętów podniesiono banderę

brytyjską.

- To dobrze - ucieszył się Jack. -

Przynajmniej taką mam nadzieję... Panie

Ricketts, odpowiemy tak samo.

Wszystkie lunety na „Sophie” były teraz

skierowane na fokmaszt najbliższej

fregaty i oczekiwały na sekretny sygnał.

Brytyjskie kolory pokazać mógł każdy,

lecz tylko okręty Jego Królewskiej

Mości miały prawo znać umówiony

znak: czerwona flaga pojawiła się na

fokmaszcie fregaty, w chwilę później

podniesiono białą flagę i proporzec na

grotmaszcie, wreszcie rozległ się

przytłumiony odgłos pojedynczego

wystrzału z działa na nawietrznej.

Emocje na pokładzie „Sophie”

natychmiast opadły.

- Bardzo dobrze - powiedział Jack

spokojnie. - Proszę odpowiedzieć i

podać nasz numer. Panie Day, trzy

wystrzały na zawietrzną, z wyraźnym

odstępem.

- To „San Fiorenzo”, sir - oznajmił

Dillon, pomagając zdenerwowanemu

podchorążemu utrzymać książkę
kodową. Jej kolorowe strony chętnie
poleciałyby z przybierającym na sile
wiatrem. - Wzywają naszego kapitana...
- Boże... - mruknął Jack do siebie.

Dowódcą „San Fiorenzo” był Sir Harry
Neale, kiedyś pierwszy porucznik na
„Resolution” (Jack był tam wtedy
najmłodszym podchorążym), potem
kapitan okrętu
„Success” - służbista, szczególnie
uczulony na punkcie czystości,
punktualności, schludności stroju i
poszanowania przełożonych. Jack był
dzisiaj nie ogolony, ocalałe na głowie
po wybuchu włosy sterczały we
wszystkie strony. Na dodatek poparzoną
połowę twarzy pokrywała błękitna maść
Stephena. Nic nie można jednak było na
to poradzić. - Proszę się do nich zbliżyć
- polecił i pobiegł do swojej kabiny. -
Jest pan, nareszcie... - Sir Harry spojrzał
na Jacka z wyraźną niechęcią. - Boże,
kapitanie Aubrey, długo kazał pan na

siebie czekać.

W porównaniu z „Sophie” fregata wydawała się olbrzymem. Strzelające w górę maszty przywodziły na myśl okręt liniowy pierwszej klasy. Lśniły całe akry wyszorowanego do białości pokładu. Jack miał absurdalne i jednocześnie przykre uczucie, iż jego ciało nagle się skurczyło, że w jednej chwili z absolutnego władcy przeistoczył się w pozbawionego wszelkich praw podwładnego.

- Przepraszam, sir - powiedział bezbarwnym głosem.

- Cóż, proszę do mojej kabiny. Pański wygląd niewiele się zmienił, Aubrey - zauważył dowódca fregaty, wskazując dłonią krzesło. - Tak czy inaczej, cieszę się z naszego spotkania. Mamy zbyt wielu jeńców i zamierzam przekazać na pański okręt pięćdziesięciu z nich.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro, sir, lecz nie będę mógł panu pomóc. My również mamy...

- Pomóc? Co pan wygaduje? Nie proszę pana o pomoc, tylko wydaję panu polecenie. Czyżby nie wiedział pan, kto tutaj jest starszy stopniem? Ponadto wiem doskonale, że wysłał pan do Mahon obsadzone swoimi ludźmi przy - moi jeńcy zajmą więc zwolnione miejsce. Będzie pan mógł ich zdać już po kilku dniach, a zatem nie ma o czym mówić.

- A co z moim patrolem, sir?

- Pański patrol znacznie mniej mnie obchodzi niż dobro służby. Musimy załatwić sprawę przekazania tych ludzi jak najszybciej, gdyż mam dla pana dalsze polecenia. Poszukujemy amerykańskiego statku o nazwie „John B. Christopher”, zmierzającego z Marsylii do Barcelony i do Stanów Zjednoczonych.

Obecnie ta jednostka powinna być gdzieś między Majorką a kontynentem.

Wśród pasażerów tego statku mogą ukrywać się dwaj buntownicy,

członkowie organizacji Zjednoczonych

Irlandczyków.

Jeden z nich to rzymskokatolicki ksiądz

o nazwisku Mangan, a drugi to niejaki

Roche, Patrick Roche.

Należy ich aresztować, używając siły,

jeśli okaże się to konieczne.

Prawdopodobnie posługują się

francuskimi paszportami, mówią też

biegle po francusku. Oto ich rysopisy:

średniego wzrostu szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, o

śniadej cerze, brunet, noszący jednak

zwykle perukę. Nos haczykowaty, ostry podbródek, oczy szare i duża brodawka

w pobliżu ust. To ksiądz. Ten drugi to wysoki, dobrze zbudowany

trzydziestopięcioletni mężczyzna,

wzrost ponad 6 stóp, szatyn o

błękitnych oczach. Nie ma małego

palca u lewej dłoni i kuleje na skutek

rany. Lepiej niech pan weźmie te

wydrukowane instrukcje.

- Panie Dillon, proszę przygotować

okręt do przyjęcia dwudziestu pięciu

jeńców z „San Fiorenzo” i dwudziestu

pięciu z „Amelii” - polecił Jack. - Potem ruszamy na poszukiwania... Mamy

znaleźć jakichś buntowników.

- Buntowników? - zawołał James

wzburzony.

- Tak - potwierdził Jack obojętnie,
spoglądając na luźną bulinę fokbramsła.

Odwrócił się na moment, by wydać
rozkazy. - Tak. Proszę przy okazji
przeczytać te rysopisy, gdy będzie pan
miał chwilę wolnego czasu.

- Pięćdziesięciu więcej ludzi do
wykarmienia - narzekał ochmistrz. - Co
pan na to powie, panie Marshall?

Trzydzieści trzy dodatkowe pełne racje.
Skąd mam je wziąć?

- Musimy po prostu jak najszybciej
wracać do Mahon, panie Ricketts, takie
jest moje zdanie. Możemy już zapomnieć
o patrolu. Nie jesteśmy w stanie
wyżywić tych pięćdziesięciu jeńców i to
wszystko.

Naprawdę jest czym się martwić...

Pięćdziesięciu!

- Pięćdziesięciu drani więcej - kręcąc
głową, powiedział James Sheehan. - I

oczywiście wszystkim im należą się królewskie wygody. Jezus, Maria...

- Pomyśl też, bracie, o naszym biednym doktorze. Nieszczęsny siedzi teraz sam w tym lesie. Przecież tam mogą być sowy! Niech szlag trafi „San Fiorenzo” razem z „Amelią”.

- Sam w lesie? Nie bój się, to mu nie grozi. W każdym razie masz rację: do cholery z tym wszystkim.

Taki nastrój panował na pokładzie, gdy „Sophie”, kierując się na północny zachód, zajęła wyznaczone miejsce w szyku. Była ostatnim okrętem z prawej strony, na jej trawersie, pod zredukowanymi do połowy marsłami, płynęła „Amelia”. Dalej, w takiej samej jak „Sophie” odległości, najbliżej brzegu i z największymi szansami na zdobycie jakiegoś przyzu, żeglowała druga fregata, „San Fiorenzo”, zupełnie już niewidoczna z pokładu brygu. W ten sposób okręty do wieczora wspólnie przeczesywały szeroki na sześćdziesiąt

mił pas błękitnych wód Morza

Śródziemnego.

To był niezwykle długi dzień, wszyscy na pokładzie mieli pełne ręce roboty.

Należało opróżnić dziobową ładownię, rozłokować i pilnować więźniów (wielu z nich służyło na statkach pirackich, byli więc bardzo groźni). Sprawdzono też po drodze trzy powolne i ociężałe statki handlowe. Wszystkie należały do państw neutralnych i nie bardzo miały ochotę się zatrzymywać. Jeden z nich zameldował o znajdującej się o dwa dni drogi pod wiatr jednostce, na której prowizorycznie naprawiano uszkodzoną stengę fokmasztu - to mógł być ów Amerykanin. Przez cały czas załoga „Sophie” zajęta była przy obsłudze żagli; chodziło o to, by maksymalnie wykorzystać zmienny i niebezpiecznie porywisty wiatr, tak by powolny bryg mógł dotrzymać kroku fregatom. Chcąc uniknąć wstydu, musieli usilnie się starać. Na pokładzie brakowało ludzi:

Mowett, Pullings i stary Alexander,
godny zaufania oficer wachtowy,
znajdowali się na przyzach, to oznaczało,
że na zdobyte jednostki przeszła blisko
jedna trzecia najlepszych marynarzy.

Dlatego Dillon i pierwszy nawigator,
pan Marshall, na zmianę nieustannie
pełnili służbę. Wielu ludzi nie potrafiło
utrzymać nerwów na wodzy i szybko
wydłużała się lista tych, którzy w ten czy
inny sposób przewinili.

„Nie przypuszczałem, że Dillon potrafi
tak wrzeszczeć” - pomyślał Jack, gdy
porucznik, krzycząc wściekle, wysłał na
górze szlochającego Babbingtona i
marynarzy z okrojonej podwachty
żaglowej fokmasztu, polecając im po raz
trzeci już dzisiaj postawić lewy boczny
fokmarsel. To prawda, że słup płynął z
zadziwiającą prędkością (oczywiście na
miarę swych ograniczonych
możliwości), lecz przykro było patrzeć,
jak z okrętu i załogi w brutalny sposób
wyciskane są ostatnie poty.

Z drugiej strony tego właśnie wymagało dobro służby i Jack absolutnie nie miał prawa i ochoty się wtrącać. Znow zajął się własnymi myślami. Bardzo martwił się o Stephena - ta wyprawa na ląd była prawdziwym szaleństwem. Doktor włóczy się tam gdzieś teraz, sam wśród nieprzyjaciół... Inną sprawą, która nie dawała kapitanowi „Sophie” spokoju, było jego własne zachowanie na pokładzie „San Fiorenzo”. Sir Harry pozwolił sobie na ewidentne nadużycie posiadanych uprawnień - należało na to zareagować o wiele bardziej stanowczo. Jednak najbardziej zdecydowane protesty nie na wiele by się zdały, przesądzały o wszystkim pisemne polecenia dowództwa oraz *Articles of War*. Kolejnym problemem była kwestia podchorążych. Na okręcie potrzeba ich było przynajmniej dwóch więcej - starszego i młodszego. Aubrey postanowił zapytać Dillona, czy ten nie

zna jakiegoś chłopca, którego można by mianować podchorążym. Mógłby to być kuzyn, siostrzeniec, chrześniak - podobna propozycja ze strony kapitana byłaby dla porucznika niewątpliwym dowodem uznania, często spo-tykanym na innych okrętach, zwłaszcza gdy w grę wchodziła też osobista sympatia.

Starszym podchorążym winien natomiast zostać ktoś doświadczony, ktoś, kto bardzo szybko mógłby awansować na oficera nawigacyjnego.

Jack pomyślał najpierw o sterniku swej łodzi, wspaniałym marynarzu i dowódcy podwachty żaglowej grotmasztu. W załodze było jeszcze kilku innych obiecujących młodych ludzi. Aubrey musiał przyznać, iż wolałby widzieć na tym stanowisku prostego marynarza, takiego jak Pullings - na pewno dla okrętu byłby to lepszy nabytek od nieomal każdego z tych młodych ludzi, których rodzice są wystarczająco

bogaci, by posłać syna na morze. Jeśli Hiszpanie schwytają Stephena Maturina, rozstrzelają go jako szpiega.

Gdy zakończono sprawdzanie trzeciego statku handlowego, zrobiło się prawie ciemno. Jack był kompletnie wyczerpany. Zaczerwienione oczy piekły, irytowały go nawet najcichsze dźwięki, nogi miał jak odlane z ołowiu. Cały dzień spędził na pokładzie - długi i ciężki dzień, który rozpoczął się na dwie godziny przed świtem. Zasnął, gdy tylko głowa dotknęła poduszki. W pogrążającym się błyskawicznie we śnie umyśle zdążyły zakołatać dwie nieoczekiwane refleksje. Intuicja podpowiadała Jackowi, że Stephenowi Maturinowi na pewno nie przydarzyło się nic złego i że coś niezwykłego dzieje się z Jamesem Dillonem. „Nie wiedziałem, że Dillon aż tak bardzo przeżyje konieczność przerwania patrolu. Z drugiej strony, ostatnio wyraźnie zaprzyjaźnił się z

doktorem.

Może się martwi? W sumie - dziwak z niego..." Dowódca „Sophie” zasnął kamiennym snem.

Spał mocno, lecz po kilku godzinach obudził się niespodziewanie, dziwnie zaniepokojony. Zza okien rufowych do kabiny docierał szmer przyciszonych, zdenerwowanych, sprzeczących się głosów.

Przeraziła go myśl o nagłym ataku, o abordażu dokonanym z nadpływających w ciemnościach łodzi.

Gdy oprzytomniał nieco bardziej, uświadomił sobie, że słyszy ożywioną rozmowę Dillona i pana Marshalla - uspokoiony tym zasnął znowu.

„Dlaczego oni obaj są teraz na pokładzie” - pytał sam siebie we śnie. - „Przecież to nie była pora zmiany wacht.

Dzwon okrętowy musiałby przedtem uderzyć osiem razy”. Jakby na potwierdzenie tych myśli zabrzmiały trzy szklanki. W różnych punktach brygu

odezwały się przyciszone głosy
pełniących służbę ludzi - zgłaszali
kolejno, że wszystko jest w porządku.
Coś jednak wyraźnie się zmieniło. Żagle
pracowały inaczej. Dlaczego? Włożył
szybko szlafrok i wyszedł na pokład.
„Sophie” miała nie tylko zredukowane
żagle, lecz również zmieniła kurs,
płynęła na północny wschód.
- Sir... - powiedział Dillon, robiąc krok
naprzód. - To ja ponoszę
odpowiedzialność za to wszystko.
Przejąłem dowództwo i poleciłem
pierwszemu nawigatorowi, by zmienił
kurs, gdyż zdawało mi się, że
zauważyłem jakiś statek, o kilka rumbów
od dziobu z prawej burty.
Kapitan spojrzał w srebrną mgiełkę
wiszącą nad morzem. Świecił księżyc,
część nieba przysłoniły chmury. Na
widnokręgu nie było widać żadnego
statku ani świateł. To oczywiście
niczego nie dowodziło. Wziął do ręki
tabliczkę kursową i sprawdził, dokąd

„Sophie” zmierza w tej chwili.

- Płyniemy prosto w kierunku wybrzeży

Majorki - rzekł, ziewając.

- Tak, sir. Dlatego pozwoliłem sobie

zredukować żagle.

Podobne postępowanie było

niesłychanym wręcz naruszeniem

dyscypliny. Dillon wiedział o tym na

pewno aż nazbyt dobrze. Nie warto było

przypominać mu obowiązujących na

okręcie zasad. Nie tutaj, nie teraz i nie

przy świadkach.

- Który z panów ma teraz wachtę?

- Ja, sir - odpowiedział pierwszy

nawigator. Mówił cicho, nienaturalnym,

zmienionym głosem, tak samo jak przed

chwilą Dillon. Na pokładzie rufówki

musiało coś zajść, jakieś

nieporozumienie. Z całą pewnością nie

była to tylko sprzeczka o dostrzeżone na

horyzoncie światło.

- Kto pełni służbę na oku?

- Assei, sir.

Assei był inteligentnym, godnym

zaufania Hindusem.

- Ahoj, Assei!

- Słucham - odezwał się przytłumiony
głos w ciemności, wysoko nad ich
głowami.

- Co widzisz?

- Nic, tylko gwiazdy...

Niczego to nie przesądzało. Nadal nie
było można powiedzieć, że porucznik
się mylił.

Prawdopodobnie miał rację. Nigdy
wcześniej nie pozwolił sobie na coś
takiego. Nowy kurs był jednak bardzo
dziwny.

- Czy jest pan absolutnie pewny, że
widział pan jakieś światło, panie
Dillon?

- Tak, sir. Cieszę się, że udało mi się je
dojrzeć.

„Cieszę się”? Zaskakujące słowa, na
dodatek wypowiedziane nienaturalnym,
chrapliwym głosem.

Jack nie odpowiedział, polecił, by
zmieniono kurs o półtora rumbu na

północ, i rozpoczął zwyczajowy spacer,
tam i z powrotem po pokładzie. Gdy
zabręczały cztery uderzenia okrętowego
dzwonu, niebo zaczęło się szybko
rozjaśniać od wschodu. Przed dziobem,
z prawej burty, pojawił się ląd
przesłonięty wiszącą nad wodą mgiełką.

Niebo było zupełnie czyste, jego kolor
powoli przechodził w coraz jaśniejszy
błękit. Kapitan zszedł na dół, by się
ubrać, i gdy wkładał koszulę,
obserwator na maszcie okrzykiem dał
znać, iż zauważył żagiel.

Z opadającej brązowawej mgły,
zaledwie o dwie mile na zawietrznej,
wyłonił się statek handlowy z
prowizorycznie naprawioną stengą
fokmasztu, obciążoną jedynie mocno
zrefowanym marsłem.

Wszystko było jasne. Dillon oczywiście
miał rację. To była poszukiwana
jednostka, odnaleziona dziwnie daleko
od przewidywanego kursu.

Najwyraźniej jakiś czas temu wykonała

zwrot koło Dragon Island i obecnie
powoli zmierzała w stronę szerokiego
przejścia na południu. Za godzinę lub
dwie

„Sophie” wypełni niewdzięczne zadanie
i przed południem ruszy swoją drogą.
Ktoś przecież na nią czekał.

- Świetna robota, panie Dillon! -
zawołał Jack. - To prawie cud, że ich
tutaj dopadliśmy. Nigdy bym nie
pomyślał, że popłyną tak blisko wyspy.
Proszę podnieść banderę i wystrzelić z
działa.

Kapitan statku „John B. Christopher” nie
przejął się zbyt długo zatrzymującym go
okrętem wojennym, chcąc pewnie
popisać się przed Anglikami odwagą
(oczywiście przy założeniu, że załogę
„Sophie”
stanowili wyłącznie Anglicy). Nie miał
jednak prawie żadnych możliwości
ucieczki, zwłaszcza z uszkodzoną stengą
fokmasztu i zdjętymi na pokład
bramstengami. Próbował pośpiesznie

postawić dodatkowe żagle, odpadać,
lecz w końcu marsle amerykańskiego
statku zostały wypchnięte na wiatr, a na
maszcie pojawiła się flaga Stanów
Zjednoczonych. „John B. Christopher”
stał w dryfie, oczekując na łódź z
„Sophie”.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan
tam popłynie - zwrócił się Jack do
Dillona, który wciąż trzymał
przy oku lunetę, skulony, zaciekawiony
widocznie jakimś szczegółem osprzętu
zatrzymanego statku. -

Mówi pan po francusku lepiej niż
ktokolwiek inny na pokładzie, a nie ma z
nami doktora. Zresztą...

To pan wypatrył ten statek w tak
nieoczekiwanym miejscu. To pańska
zdobycz. Czy chce pan jeszcze raz
przeczytać te rysopisy? A może... -
urwał w pół zdania. Podczas służby w
marynarce widział wielu pijanych ludzi
- admirałów, starszych kapitanów,
dowódców okrętów i pijanych

dziesięcioletnich chłopców okrętowych.

Jego samego przywieziono kiedyś na okręt w dwukołowym wózku. Nie uznawał jednak picia na służbie. Bardzo mu się to nie podobało, zwłaszcza tak wcześnie rano. -

Widzę, że lepiej będzie, jeśli wyślę tam pana Marshalla - rzekł chłodno. - Proszę go zawołać.

- Ależ nie, nie trzeba, sir - zawołał

Dillon szybko, wyraźnie przytomniejąc.

- Przepraszam, to tylko chwilowa

niedyspozycja, już wszystko w

porządku. - Rzeczywiście. Znikła

nienaturalna bladość pokrytej

kropelkami potu twarzy, oczy przestały

wpatrywać się w jeden punkt. Za to na

policzkach Jamesa pojawił się

niezdrowy rumieniec.

- Dobrze - zgodził się Jack z wahaniem.

Po chwili Dillon z werwą wzywał

załogę kutra, biegał tam i z powrotem,

sprawdzał uzbrojenie ludzi. Wymienił

też szybko skałki w swoich pistoletach.

W pełni odzyskał samokontrolę. Gdy łódź czekała gotowa przy burcie, powiedział do Jacka:

- Sir, poproszę o te rysopisy. Przeczytam je jeszcze raz po drodze...

„Sophie” kołysała się lekko w pobliżu kontrolowanego statku, przygotowana na to, by w razie kłopotów natychmiast przeciąć mu drogę bądź posłać druzgoczącą salwę. Nic podobnego się nie wydarzyło. Z forkasztelu co jakiś czas odzywały się mniej lub bardziej prowokujące okrzyki amerykańskich marynarzy. Uśmiechnięci ludzie, stojący przy starannie wymierzonych działach (w każdej chwili gotowi bez wahania posłać kuzynów zza oceanu na tamten świat), chętnie odpowiedzieliby tak samo. Niestety, taka reakcja nie podobałaby się kapitanowi. Zadanie, jakie wykonywali było bardziej niż nieprzyjemne i nikt nie powinien żartować. Gdy z pokładu „Sophie”

padł pierwszy obraźliwy okrzyk pod adresem Amerykanów, Aubrey zawołał:

- Cisza na pokładzie! Panie Ricketts, proszę ustalić i zanotować nazwisko tego dowcipnisa.

Czas mijał. Lonty spalały się powoli, zwój po zwoju. Wysoko na niebie przeleciał śnieżnobiały głupek i Jack pomyślał o Stephenie, zupełnie zapominając o Bożym świecie. Słońce wspinało się coraz wyżej.

W końcu na trapie amerykańskiego statku pokazali się ludzie z załogi kutra, za nimi zszedł James Dillon. Sam.

Uprzejmie pożegnał się z kapitanem i zgromadzonymi przy relingu pasażerami.

Żagle jednostki handlowej wypełniły się wiatrem - słychać było wyraźnie, jak oficer z dziwnym

kolonialnym akcentem pokrzykuje na ciągnących brasy marynarzy. „John B.

Christopher" ruszył na południe. Łódź zmierzała szybko w kierunku „Sophie”.

Płynąc do zatrzymanego statku, James

nie wiedział, jak powinien się zachować. Przez cały wczorajszy dzień, od chwili, w której usłyszał o nowym zadaniu, prześladowały go złe przeczucia. Miał wiele godzin do namysłu, lecz nadal nie wiedział, jak postąpić. Poruszał się jak we śnie - wszedł na pokład wbrew własnej woli, jakby popychany jakąś niewidzialną siłą. Wiedział oczywiście, że znajdzie ojca Mangana, chociaż zrobił wszystko, by tego uniknąć. Wykorzystał wszelkie możliwości, oprócz pewnie próby wywołania buntu na pokładzie lub zatopienia „Sophie”. Zmienił nawet samowolnie kurs okrętu i zredukował żagle, szantażując pierwszego nawigatora. Pomimo tego był przez cały czas przekonany, że i tak spotka poszukiwanych Irlandczyków. Nie przewidział tylko jednego - ksiądz zagroził mu denuncjacją, gdyby wykonał rozkaz. James stracił sympatię do niego już w chwili, gdy pierwszy raz spojrzeli

na siebie na pokładzie. Natychmiast też zrozumiał, iż w żadnym wypadku nie będzie mógł zachować się jak żandarm i aresztować tych ludzi. Tuż potem padła ponura groźba. W

pierwszej sekundzie Dillon sądził, że absolutnie go to nie dotyczy, że nie powinien zwracać na to uwagi. Z przykrością uświadomił sobie jednak, iż zabrnął w ślepią uliczkę. To było nie do zniesienia.

Musiał zmobilizować wszystkie siły, by powoli dokończyć sprawdzanie pozostałych paszportów, tak jakby nic się nie stało. Wiedział, iż jest w sytuacji bez wyjścia, że każde działanie, na jakie się zdecyduje, będzie miało niewiele wspólnego z honorem i uczciwością.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bolesne może być podobne postępowanie - był zawsze bardzo dumnym człowiekiem.

Uśmiezek zadowolenia na twarzy ojca Mangana zranił Jamesa bardziej niż

cokolwiek, czego dane mu było w życiu
doświadczyć. Na dodatek oprócz
bolesnej rany pojawiły się niezliczone
wątpliwości.

Łódź uderzyła o burtę „Sophie”.

- Na pokładzie tego statku nie ma takich
pasażerów, sir - zameldował.

- Tym lepiej. - Aubrey uśmiechnął się
uradowany i pomachał zdjętym z głowy
kapeluszem

amerykańskiemu kapitanowi. - Pół

rumbu na południe od zachodu, panie

Marshall. Proszę też podtoczyć i

zamocować działa. - Z rufowej

zejściówki dolatywał kuszący zapach

świeżo zaparzonej kawy.

- Poruczniku, zapraszam pana do mnie

na śniadanie - powiedział, chwytając

Jamesa po przyjacielsku za ramię. -

Wciąż jest pan bardzo blady...

- Musi mi pan wybaczyć, sir - wyszeptał

Dillon, wyzwalając się z uścisku, i

spojrzał na Jacka z nienawiścią. - Nie

czuję się najlepiej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zupełnie nie wiem, co począć.

Naprawdę. Dlatego proszę pana o opinię w tej sprawie. Zdaję się na pańską bezstronność i zdrowy rozsądek.

Po prostu nie potrafię sobie z tym poradzić. Nie rozumiem też, co w moim zachowaniu... Nie chodzi przecież o wysadzenie na Dragon Island przekazanych nam bezprawnie jeńców. Takie postępowanie mogło mu się nie spodobać, lecz kłopoty zaczęły się już przedtem, wcześniej rano. - Stephen słuchał z powagą, uważnie, nie przerywał. Upomniął się tylko kilka razy o pewne pominięte szczegóły, czasem pytał też o coś, próbując ustalić kolejność wydarzeń.

Jack przedstawiał tymczasem historię swych stosunków z Jamesem Dillonem - dobrych, złych, potem znów dobrych i złych; zwłaszcza ta ostatnia zmiana była bolesna i przykra. Niezwykle trudno jest pogodzić się z czymś podobnym, jeśli

oprócz wzajemnego szacunku w grę
wchodzi również osobista sympatia.

Także zachowanie pana Marshalla
chwilami było bardzo zaskakujące, lecz
ta sprawa nie była chyba tak istotna.

Jack wyraził bardzo ostrożnie swój
wielokrotnie powtarzany pogląd, iż
chcąc zwyciężać bitwy, należy najpierw
zadbać o poprawne stosunki na okręcie.

Ludzie walczą dobrze tylko wtedy, gdy
są zadowoleni. Przytaczał przykłady za i
przeciw, a jego towarzysz słuchał w
milczeniu.

Stephen nie mógł jednak służyć Jackowi
swą mądrością i radą (choć Aubrey tak
bardzo tego pragnął) -

był słuchaczem idealnym, w
rzeczywistości przebywał o
dziewięćdziesiąt mil na południowy
zachód.

Rozdzielała ich olbrzymia połać morza.

Wzburzonego morza: po kilku dniach
irytującej ciszy zerwał
się wreszcie lekki, potem silniejszy

wiatr z południowego zachodu. W nocy bryza zmieniła kierunek na wschodni i bardzo przybrała na sile. Fale wiatrowe krzyżowały się z wczorajszym rozkołysaniem i

„Sophie” pracowała ciężko, płynąc pod podwójnie zrefowanymi marszlami oraz dolnymi żaglami.

Grzywacze rozbijały się o jej dziób, zalewając co jakiś czas bryzgami obserwatora na forkasztelu i odchylając w różnych kierunkach od pionu Jamesa Dillona, stojącego na rufie i paktującego z diabłem. Kołysały też łagodnie leżącego w koi i wpatzonego w mrok Jacka.

Do tej pory Aubrey żył bardzo aktywnie i nigdy nie miał czasu na filozoficzne refleksje. Teraz jednak, mijając stojącego przy drzwiach strażnika, wchodził do swej kabiny i bez przeszkód korzystał z przywileju samotności. Dużo rozmyślał, lecz nie warto było rozmieniać się na drobne,

podobnie jak nie warto było zaprzętać
sobie uwagi prostą melodyjką, graną na
pasterskiej fujarce. „Muszę z nim
koniecznie o tym porozmawiać, kiedy go
stamtąd zabierzemy” - postanowił. -

„Powiem mu, oczywiście w bardzo
ogólnikowy sposób, o tym, jak ważną
sprawą jest dla mnie obecność na
pokładzie kogoś, kogo mógłbym uznać
za zaufanego przyjaciela. Podyskutujemy
trochę o
marynarskim życiu, o tym, że czasem tak
szczerze ma się dosyć towarzystwa
innych ludzi, iż trudno nawet oddychać,
nie mówiąc o zagranu czegoś
trudniejszego na skrzypcach... Innym
znów razem człowiek czuje się jak
skazany na samotność pustelnik. To dla
mnie nowe i niezwykle
doświadczenie”.

Jack Aubrey reagował na stres w
dwojaki sposób: stawał się agresywny
lub kochliwy. Marzył bądź o nagłej,
rozwiązującej wszystko w radykalny

sposób bitwie, bądź o gwałtownym
miłosnym spełnieniu.

Lubił walczyć i lubił kochać.

„Teraz wiem, dlaczego niektórzy
dowódcy okrętów zabierają ze sobą
kobietę na okręt" — pomyślał.

— „Oprócz niewątpliwej przyjemności
jest to wspaniałe rozwiązanie wielu
problemów. Wystarczy zatracić się w
ciepłym, namiętym i pełnym pasji..." —
Posmutniał. — „Chciałbym, żeby i w tej
kabinie była kobieta" — dodał w
myślach.

Te rozterki i niepokoje wewnętrzne
istniały oczywiście tylko za zamkniętymi
drzwiami kapitańskiej kabiny. Na
zewnątrz trudno było dostrzec
jakąkolwiek zmianę w wyglądzie lub
zachowaniu dowódcy

„Sophie". Jedyne bardzo uważny
obserwator mógłby zauważyć, iż nagle
wyparowała przyjaźń budzą-
ca się między Jackiem i Jamesem
Dillonem. Pierwszy nawigator był

spostrzegawczym obserwatorem.

Osmalona twarz kapitana nadal pokryta była leczniczą maścią i z tego względu jego oblicze nie zdradzało zbyt wiele, lecz sympatia, jaką darzył porucznika, była do niedawna aż nazbyt widoczna.

Obudziła w sercu pana Marshalla szczególną zazdrość, która zadziałała w przeciwnym kierunku i przyniosła tak nieoczekiwane skutki. Zaślepiiony nią Dillon nie cofnął się nawet przed bezpośrednimi pogrózkami, sformułowanymi w sposób nie pozostawiający niemal cienia wątpliwości. Z tego powodu pierwszy nawigator obserwował stosunki między kapitanem i porucznikiem z bolesnym zainteresowaniem.

— Panie Marshall... — odezwał się Jack w ciemności i pełniący wachtę pierwszy oficer podskoczył, tak jakby obok wystrzelił ktoś z pistoletu. — Jak pan myśli, kiedy znajdziemy się koło brzegu?

— Za dwie godziny, sir. Oczywiście

jeśli ten wiatr się utrzyma.

— Miejmy taką nadzieję... — Aubrey

spojrzał w górę na żagle. — Wydaje mi

się, że może pan już zdjąć refy. Jeśli

uspokoi się jeszcze bardziej, proszę

postawić bramsle. Może pan zresztą

rozwinąć wszystko, co się da... Proszę

zawiadomić mnie natychmiast, jak tylko

ład będzie widoczny.

Kapitan pojawił się na pokładzie po

dwóch godzinach, by spojrzeć na

poszarpaną linię wybrzeża, daleko przed

dziobem z prawej burty. W oddali

widać było charakterystyczne samotne

wzgórze, przypominające połówkę

gigantycznego kurzego jaja. Oznaczało

to, iż bezbłędnie trafili do zatoczki, w

której niedawno uzupełniali zapas wody.

— Do licha, naprawdę doskonały z pana

oficer, panie Marshall... — stwierdził

Jack z uznaniem, składając lunetę. —

Powinien pan być pierwszym

nawigatorem floty!

Potrzebowali około godziny na wejście do zatoki. Już za chwilę wszystko powinno się wyjaśnić i kapitan był coraz bardziej zdenerwowany. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wiele znaczy dla niego ta sprawa.

— Proszę przysłać do mnie mojego sternika — polecił, przerywając niespokojny spacer tam i z powrotem po pokładzie rufówki.

Barret Bonden, sternik kapitańskiej łodzi i dowódca podwachtu żaglowej grotmasztu, był wyjątkowo młodym człowiekiem. Bardzo rzadko podobne obowiązki powierzano ludziom w jego wieku: uczciwy i szczery, silny, lecz nie brutalny, pogodny — doskonały marynarz, od dzieciństwa związany z morzem.

— Siadaj, Bonden — powiedział kapitan uroczyście. Miał do zaoferowania bardzo wiele: kto wie, może nawet kapitański pokład rufówki, możliwość wspięcia się na sam szczyt

okrętowej hierarchii?

— Czy nie chciałbyś zostać

podchorążym?

— Cóż, sir. Na pewno nie —

odpowiedział marynarz natychmiast,

jego białe zęby zaśniły w

półmroku. — Dziękuję panu bardzo.

Cieszę się, że ma pan o mnie tak dobre

zdanie.

— Och! — zawołał Jack zaskoczony. —

Dlaczego nie?

— Po prostu brakuje mi wykształcenia...

— odparł Bonden, śmiejąc się szczerze.

— Z trudem składam litery i jestem za

stary na naukę pisania. Śmiesznie bym

wyglądał wystrojony jak oficer. Moi

dawni koledzy mieliby znakomitą okazję

do głupich żartów.

— Wielu świetnych oficerów zaczynało

służbę w marynarce od dolnego pokładu

— przekonywał

kapitan. — Sam sypiałem kiedyś w

załogowym kubryku — dodał.

Wypowiadając te słowa,

pożałował, że wcześniej nie ugryzł się
w język.

— Wiem o tym, sir. — Bonden znowu
się uśmiechnął.

— Skąd?

— W wachcie prawej burty jest pewien
człowiek, który służył razem z panem na
starym „Reso”, koło przylądka Dobrej
Nadziei.

„O Boże...” — pomyślał Jack

wstrząśnięty. — „Dlaczego go nie
zauważyłem? Ładnie teraz wyglądam.

Udaję sprawiedliwego, jak Piłat, każę
im odesłać kobiety na ląd, a oni o
wszystkim wiedzą... No ładnie...”

— Trudno, Bonden, zastanów się nad
tym, co ci powiedziałem — rzekł
głośno, trochę zaniepokojony.

— Szkoda cię będzie, jeśli nie zmienisz
zdania.

— Proszę wybaczyć mi śmiałość, sir —
przemówił marynarz, wstając. Był
dziwnie zakłopotany. —

Jest tutaj na okręcie syn mojej ciotki,

George. George Lucock. Z podwachty
żaglowej fokmasztu, wachta lewej burty.

To prawdziwy uczonek. Potrafi pisać tak
małymi literkami, że trudno je
przeczytać.

Jest też znacznie młodszy niż ja... no i o
wiele bystrzejszy.

— Lucock? — Jack z powątpiewaniem
pokiwał głową. — To jeszcze dzieciak.

Czy to nie on został
wychłostany w zeszłym tygodniu?

— Zgadza się, sir. Jego działko znów
strzelało najlepiej. Chłopak nie umiał
zrezygnować ze swojej części nagrody.

To nie byłoby w porządku wobec
ofiarodawcy...

— No cóż... — Jack zawiesił głos. To
prawda, że istniały na pewno inne
sposoby premiowania zwycięzców.

Niekoniecznie nagrodą musiała być
butelka, chociaż właśnie taką wygraną
ceniono na okręcie najwyżej. — Dobrze,
zwrócę na niego uwagę...

Kapitan wciąż zajęty był sprawą

podchorążych, gdy „Sophie” mozolnie
halsowała pod wiatr, zmierzając w
stronę brzegu.

— Panie Babbington! — zawołał
niespodziewanie, przerywając w pół
kroku spacer w tę i z powrotem.

— Proszę wyjąć ręce z kieszeni! Kiedy
ostatnio napisał pan list do domu?

Powiedziane podobnym tonem pytanie
wywołuje poczucie winy. Tym razem
dowódca trafił w dziesiątkę. Podchorąży
poczerwieniał.

— Nie pamiętam, sir... — odpowiedział
ostrożnie.

— Proszę spróbować sobie
przypomnieć! — Pogodna twarz Jacka
spochmurniała. — Z jakiego portu

wysłał pan ten list? Z Mahon? Z

Leghorn? Z Genui? A może z

Gibraltaru? Zresztą... to nieważne. —

Na odległej plaży nie było widać

nikogo. — Nieważne. Proszę napisać

długi list. Przynajmniej na dwie strony.

Przejrzę go jutro razem z pańskimi

obliczeniami nawigacyjnymi. Proszę też
pozdrozić swojego ojca ode mnie i
powiadomić go, że korzystam z usług
domu bankowego Hoares. — Jack,
podobnie jak większość kapitanów,
zarządzał przesyłanymi przez rodziców
pieniędzmi młodych ludzi.

— Hoares... — powtórzył. — Dom
bankowy Hoares... — Dziwny,
nieprzyjemny odgłos sprawił, że kapitan
odwrócił się szybko. Za jego plecami
młody Ricketts dusił się ze śmiechu.

Chłodne spojrzenie dowódcy sprawiło,
iż chłopak natychmiast opanował
wesołość. — A pan, panie Ricketts? Czy
pisał

pan ostatnio do rodziców?

— Nie, sir... — wykrztusił z trudem
podchorąży.

— W takim razie i pan napisze list... Na
dwie strony. Proszę pisać małymi
literami. I bez żadnych próśb o nowe
kwadranty, paradne kapelusze lub
wieszaki do ubrań — polecił tonem nie

znoszącym sprzeciwu. Podchorąży
wiedział aż nazbyt dobrze, iż nie
powinien nawet próbować wyjaśniać, że
jego jedyny, kochający rodzic widuje się
z nim tu na okręcie codziennie i bardzo
będzie zaskoczony długim listem. Nie
było warto. Wszyscy na pokładzie
zdawali sobie doskonale sprawę ze
stanu ducha, w jakim znajdował się ich
kapitan.

— Nasz Złotowłosey martwi się o
doktora — mówili. — Trzeba uważać,
bo z byle powodu może
rozpętać się burza...

Gdy na sygnał gwizdka zaczęto wynosić
na pokład hamaki, ludzie, którzy musieli
przechodzić obok kapitana w drodze na
pokład rufówki, przyglądali mu się
bardzo uważnie. Jeden z marynarzy,
próbując równocześnie patrzeć na niego,
na oficera wachtowego i uskok pokładu,
przewrócił się i rozbił sobie twarz.

Jak się okazało, nie tylko Jack
przejmował się losem doktora. Gdy

wreszcie między drzewami pojawiła się sylwetka Stephena Maturina, zmierzającego w stronę plaży i czekającej na niego łodzi, na śródokręciu i forkaasztelu rozległ się radosny okrzyk — karygodne naruszenie dyscypliny...

— Cieszę się, że znów pana widzę!

Naprawdę się cieszę — zawołał

Aubrey, gdy Stephen wgramolił

się na burtę przy pomocy uradowanych

członków załogi. — Jak się pan czuje,

doktorze? Zapraszam do mojej kabiny.

Specjalnie czekam na pana ze

śniadaniem. Chyba nic złego się nie

stało? Wprost przeciwnie, widzę, że

pobyt na łodzi panu służy...

— Tak, dziękuję, wszystko w porządku

— odpowiedział Maturin, mniej blady

niż zwykle (zapewne tak wyglądały u

niego rumieńce) i wzruszony serdecznym

powitaniem. — Pozwoli pan, że zerknę

na dół, do moich chorych. Potem chętnie

zjem z panem odrobinę smażonego

boczku. Dzień dobry, panie Day! Czy może pan zdjąć kapelusz? Bardzo ładnie. Naprawdę ładnie. Mogę być z siebie dumny.

Proszę jednak na razie unikać słońca.

Doradzałbym panu zakup dobrze dopasowanej peruki... Dzień dobry, Cheslin. Mam nadzieję, że podczas mojej nieobecności zaopiekowałeś się naszymi pacjentami?

— Przez cały czas o to najbardziej się martwiłem — wyjaśnił Stephen, wycierając zatłuszczone wargi.

— Ta sprawa nie dawała mi spokoju.

Bez przerwy zadawałem sobie pytanie, czy mój sanitariusz odpłaci oddanym pod jego opiekę ludziom pięknym za nadobne albo czy załoga znów zacznie go prześladować... Ciekaw byłem, jak szybko ten biedak odnajdzie się w nowej roli i przyzwyczai do nowej tożsamości...

— Tożsamości? — zdziwił się Jack, bez pytania dolewając doktorowi kawy. —

Czy tożsamość nie jest czymś, z czym

każdy z nas się rodzi?

— Może trochę niejasno się wyraziłem.

Myślę o tożsamości pojmowanej w
szczególny sposób.

Rozumiem ją jako coś, co oddziela
człowieka od reszty świata. To taki
punkt, w którym zbiega się to, co o nas
myślą inni, jak nas postrzegają, i to, co
sami myślimy o sobie. Oczywiście ów
punkt jest w nieustannym ruchu. To
funkcja bardzo wielu zmiennych, sir.

Moja tożsamość, rozumiana w ten
właśnie sposób, także nie jest
jednoznacznie określona. Pańska
również. Gdyby na przykład mógł pan,
tak jak ja, spędzić kilka dni w Hiszpanii,
stwierdziłby pan, iż pańska osoba
postrzegana jest tam zupełnie inaczej.

Wszyscy uważają pana za wstrętnego,
pozbawionego skrupułów i zasad
moralnych złoczyńcę.

— Są po prostu trochę rozzłoszczeni —

powiedział Jack z uśmiechem. — Na

pewno widzą we mnie potwora. To jednak wcale nie oznacza, że nim jestem.

— Tak pan myśli? Możliwe. W każdym razie zaszkodził pan handlowi na całym wybrzeżu i zakłócił

pan przybrzeżną żeglugę. Jest pewien bardzo bogaty człowiek, niejaki Mateu, który usilnie pragnie zemścić się na panu. Do niego właśnie należał ów cenny ładunek rtęci, który jako

kontrabanda nie mógł być ubezpieczony; on też jest właścicielem statku, który uprowadził pan z portu Almoraira. Nie wspomnę już... o tartanie spalonym koło

Tortosy — połowa zniszczonych towarów była własnością tego bogacza.

Dzięki znajomościom w ministerstwie udało mu się wraz z przyjaciółmi, pomimo opieszałości leniwych urzędników, wyczarterować okręt wojenny...

— Z pewnością nie wyczarterować, mój drogi panie. Żadna prywatna osoba nie może wyczarterować okrętu wojennego,

należącego do króla i państwa. Nawet w Hiszpanii...

— Tak? Może użyłem niewłaściwego słowa. Często mi się to zdarza, gdy próbuję mówić o sprawach związanych z morzem i żeglugą. Tak czy inaczej, chodzi o groźną i dobrze uzbrojoną jednostkę, której zadaniem jest nie tylko ochrona przybrzeżnych szlaków handlowych. Ma ona też odnaleźć i zniszczyć

„Sophie”, która jest teraz świetnie znana zarówno z nazwy, jak i z wyglądu.

Powiedział mi to podczas tańca sam kuzyn pana Mateu...

— Podczas tańca? Pan tańczył? — zawołał Jack. Na pewno byłby znacznie mniej zaskoczony, gdyby doktor przyznał, iż jadł po prostu obiad z tym człowiekiem.

— Oczywiście. Dlaczegoż by nie?

— To prawda, że ma pan prawo tańczyć i zapewne jest pan znakomitym tancerzem. Zdziwiłem się tylko... Chyba nie poszedł pan, ot tak sobie, na tańce?

— Poszedłem. Nie był pan nigdy w

Katalonii, prawda?

— Nie byłem.

— Muszę wobec tego wyjaśnić panu, iż

w niedzielne poranki ludzie mają tam

zwyczaj tańczyć po wyjściu z kościoła

— niezależnie od wieku i pozycji

społecznej. Dlatego tańczyłem z

Ramonem Mateu y Cadafalch na placu

przed katedrą w Tarragonie, gdzie

udałem się, aby wysłuchać Missa brevis

Palestriny... Ów szczególny taniec

kataloński nazywa się sardana. Jeśli

będzie pan tak uprzejmy i poda mi swoje

skrzypce, zagram panu fragment melodii.

Oczywiście musi pan pamiętać o tym, że

nie jestem wirtuozem...

— To urzekająca muzyka — stwierdził

Jack, gdy doktor odłożył instrument. —

Trochę w arabskim stylu, prawda?

Muszę przyznać, że ciarki chodzą mi po

plecach, gdy pomyślę, iż włóczył się pan

po okolicy... po portach i miastach...

Byłem przekonany, że cały czas będzie

pan u swojej przyjaciółki, ukryty w jej pokoju... to znaczy...

— Mówiłem panu, że bez najmniejszych obaw mogę przemierzyć ten kraj wzdłuż i wszerz.

— Och tak. Mówił pan... — Aubrey zamyślił się. — Gdyby pan zechciał, bez trudu mógłby się pan dowiedzieć, jakie konwoje lub statki wychodzą w morze, kiedy są spodziewane i jakie przewożą ładunki. Pewnie zdobyłby pan informacje nawet o galeonach?

— Oczywiście, że bym zdobył — zgodził się Stephen — gdybym zechciał bawić się w szpiega. To może wydać się nielogiczne, lecz z mojego punktu widzenia zupełnie inaczej wygląda sprawa, gdy chodzi o wrogów „Sophie”, i inaczej, gdy chodzi o jej zdobycz.

— To prawda... — Jack spojrzał na doktora ze smutkiem.

— Nawet ścigana zwierzyna ma swoje prawa. Mówił pan o okręcie wojennym, co panu o nim

wiadomo? Co to za jednostka? Jak

uzbrojona? Gdzie w tej chwili się

znajduje?

— Nazywa się „Cacafuego”.

— „Cacafuego”? Nigdy nie słyszałem tej

nazwy. Na pewno nie jest to więc okręt

liniowy. Ile ma masztów?

Stephen zastanawiał się przez chwilę.

— Wstyd mi się przyznać, lecz o to nie

zapytałem — odparł. — Sądząc jednak

ze sposobu, w jaki wymawiano tę

nazwę, musi to być coś dużego i

groźnego...

— No cóż, powinniśmy zatem schodzić

temu okrętowi z drogi. Ponieważ nasza

„Sophie” jest im dobrze znana, musimy

trochę zmienić jej wygląd. Wystarczy

warstwa farby i pas żaglowego płótna...

Czasem przydaje się też połatany w

charakterystyczny sposób kliwer czy

naprawiona prowizorycznie stenga.

Właśnie. Przy okazji... Myślę, że na

łodzi powiedziano panu, dlaczego

musieliśmy pana zostawić na brzegu?

— Słyszałem o fregatach i zatrzymaniu amerykańskiego statku.

— Tak. Ciekawa sprawa. Nie znaleźliśmy żadnego z poszukiwanych ludzi. Dillon przeszukiwał tego Amerykanina prawie przez godzinę. Prawdę mówiąc, ucieszyło mnie to, gdyż zapamiętałem z rozmowy z panem, iż ci Zjednoczeni Irlandczycy nie są tacy źli. Przynajmniej nie tak jak ci inni... Jak oni się nazywali? Oranżyści.

— Zjednoczeni Irlandczycy? Powiedziano mi, iż szukaliście jakichś Francuzów...

— Ci ludzie tylko udawali, że są Francuzami. To znaczy, udawaliby, gdyby w ogóle byli na tym statku. Dlatego posłałem tam Dillona, który tak dobrze mówi po francusku. Nikogo jednak nie znalazł.

Moim zdaniem, cała ta sprawa to jakaś bzdura. Ja byłem z tego zadowolony, lecz Dillon bardzo to przeżył. Wydaje

mi się, że chciał ich schwytąć, a może

wyprowadziła go z równowagi

konieczność przzerwania patrolu? Od

tego czasu... ale nie powinienem pana

zanudzać. Czy słyszał pan też o jeńcach?

— O tym, że fregaty przekazały panu

pięćdziesięciu więźniów?

— Właśnie. Dla własnej wygody.

Wcale nie chodziło o dobro służby. To

było podłe i bezczelne nadużycie! —

zawołał Jack, jego oczy wściekle

zaiskrzyły się na wspomnienie tej

sprawy. — Szybko pozbyłem się

kłopotu. Po sprawdzeniu Amerykanina

skierowaliśmy się w stronę „Amelii”,

powiadomiliśmy ich, że na pokładzie

nie było poszukiwanych buntowników, i

pożegnaliśmy obie fregaty.

Ponieważ wiatr nam sprzyjał, w kilka

godzin później wysadziliśmy tych

wszystkich ludzi na Dragon Island.

— To ta wysepka koło Majorki?

— Tak.

— Czy to nie był błąd? Czy nie zostanie

pan ukarany? Czy nie grozi panu sąd wojenny?

Jack skrzywił się i uderzył dłonią w drewniany blat stołu.

— Niech pan wypluje te słowa. Sama myśl o tym potrafi zepsuć człowiekowi cały dzień.

— Naprawdę nie będzie pan miał z tego powodu kłopotów?

— Nie, jeśli wejdę do Mahon ze wspaniałym przyzem za rufą —

odpowiedział Jack z uśmiechem. —

Pozostało nam trochę czasu i możemy spokojnie ruszyć w kierunku Barcelony, oczywiście jeśli wiatr nadal będzie nam sprzyjał. Zdążymy uderzyć raz lub dwa i musimy wracać do Mahon z tym, co uda nam się złapać. Nie zdołamy obsadzić następnych przyzów, mamy za mało ludzi.

Nie możemy też dłużej być w morzu, bo kończą nam się zapasy. Jeszcze trochę i zaczniemy zjadać się nawzajem.

— Pomimo wszystko...

— Niech pan się tym nie przejmuje,

doktorze. W rozkazie nie polecono mi wysadzić jeńców w jakimś konkretnym miejscu. Nie było w ogóle w tej sprawie żadnych poleceń. Rzecz jasna, rozliczę się z należnych za nich pieniędzy. Mam też inne usprawiedliwienie: wszyscy nasi oficerowie formalnie przyznali, iż to brak odpowiedniej ilości prowiantu i wody zmusił mnie do takiego posunięcia. Poparł mnie pan Marshall, Ricketts, nawet Dillon w końcu się zgodził, choć był bardzo oburzony i udawał świętego.

Na pokładzie „Sophie” pachniało sardynkami z rusztu i świeżą farbą. Stali w martwej ciszy, piętnaście mil od przylądka Tortosa. Okręt kołysał się ociężale na martwej fali. Od obiadu minęło pół godziny, lecz błękitny dym po smażeniu ryb, kupionych z łowiącej nocą barcalongi (zakupiono cały połów), wciąż snuł się po pokładach, dookoła żagli, masztów i lin.

Duża grupa ludzi pracowała na ławkach
bosmańskich za burtą — pokrywali żółtą
farbą czarno-białe, starannie
pomalowane w stoczni burty.

Żaglomistrz z dwunastoma osobami
przygotowywał długi, wąski pas płótna,
mający przysłonić furty działowe okrętu.

Porucznik opływał bączkiem bryg
dookoła, oceniając skutek tych prac.

Poza nim w łódce był tylko Stephen
Maturin. Rozmawiali. James

relacjonował doktorowi wydarzenia
ostatnich dni:

— ...wszystko. Zrobiłem wszystko, co
było w mojej mocy, by temu zapobiec.

Absolutnie wszystko.

Złamałem wszelkie zasady. Zmieniłem
kurs. Zredukowałem żagle... To wręcz
niewyobrażalna

samowola... Posuwając się do szantażu i
grózb, zmusiłem do posłuszeństwa

pierwszego nawigatora. I oczywiście
rano ujrzeliśmy ich o dwie mile od nas,
na zawietrznej, w miejscu, gdzie nie

mieli prawa się znajdować... Ahoj,
panie Watt! Sześć cali niżej, na całej
długości!

— Mimo to wszystko dobrze się
skończyło. Gdyby na pokład tego statku
wszedł ktokolwiek inny, ci ludzie
zostaliby aresztowani.

Dillon zamilkł. Po chwili przemówił
przyciszonym głosem:

— On pochylił się nad stołem, tak że
czułem na twarzy jego cuchnący oddech,
i z nienawistnym spojrzeniem zaczął
stawiać warunki. Już wcześniej
zdecydowałem, co zrobię, a wyglądało
na to, że przeląknę się podłych gróźb.
W dwie minuty później uwierzyłem, że
tak właśnie było.

— Wiesz przecież, że to nieprawda. Nie
możesz tyle o tym rozmyślać, James.
Wpędzasz się w depresję. Zapomnij o
tym, proszę. Tak będzie lepiej, a
pozostałe sprawy są zupełnie bez
znaczenia.

Niepotrzebnie tak bardzo się nimi

przejmujesz. Tak na dobrą sprawę, jakie
to wszystko ma znaczenie?

— Musiałbym chyba w trzech czwartych
umrzeć, chcąc zapomnieć o czymś takim.

Nie da się tego w żaden sposób
pogodzić z właściwie pojmowaną
uczciwością i poczuciem obowiązku...

Panie Watt, teraz jest bardzo dobrze.

Stephen siedział w milczeniu,
zastanawiając się, czy wolno mu
powiedzieć: „Nie możesz nienawidzić
za to Jacka Aubreya. Nie pij też tyle.

Niszczysz samego siebie, zamartwiając
się z powodu nieistotnych spraw...” Nie
wiadomo było, czy podobne słowa nie
spowodują wybuchu. James Dillon tylko
na pozór był opanowany. W jego
wnętrzu kipiało i wystarczyłaby iskra...

Nie mogąc się zdecydować, doktor
wzruszył ramionami i uniósł prawą dłoń
w geście, który należało

prawdopodobnie odczytać jako
„zapomnijmy o tym”. „Muszę namówić
go, by wieczorem zażył coś na

uspokojenie, najlepsza będzie
mandragora. Tyle przynajmniej mogę dla
niego zrobić" — pomyślał. —

„W moim dzienniku napiszę: *J.D.*

postawiony przed koniecznością

zagrania roli Judasza, zmuszony przez okoliczności do dokonania wyboru

spośród dwóch możliwości, z których

żadna nie była uczciwa, znenawidził

samego siebie i teraz przelewa swą

nienawiść na Bogu ducha winnego J.A.

Nie istnieje żadne logiczne wyjaśnienie podobnego postępowania, gdyż tak

naprawdę J.D. nie ma nic przeciwko

J.A., wprost przeciwnie".

— Mam chociaż nadzieję — odezwał

się James, gdy płynęli z powrotem w

stronę brygu — że

wreszcie skończą się te złodziejskie

podchody i będzie okazja do otwartej,

uczciwej walki. To najlepszy sposób na

pogodzenie się z samym sobą... i często

z innymi.

— Co robi na rufie ten człowiek w

popielato-żółtej kamizelce?

— To Pram. Dowódca przebrał go za

duńskiego kapitana. To część naszego planu. Nie pamięta pan żółtej kamizelki, jaką miał na sobie kapitan „Clomera”?

To typowy strój Duńczyków.

— Nie pamiętam. Czy takie rzeczy często zdarzają się na morzu?

— Och, tak. To są prawa i reguły wojny.

Nierzadko również oszukujemy

nieprzyjaciela fałszywymi sygnałami —

poza wezwaniem o pomoc w

niebezpieczeństwie. Proszę uważać na

farbę...

W tym momencie Stephen wpadł z

pluskiem do wody, między łodzią a

burtą statku, gdyż bączek oddalił się

nieco od „Sophie”. Biedak pogrążył się

w głębinach, wynurzył się na chwilę,

gdy łódź

dotknęła znów brygu, i próbował

wcisnąć głowę między złączone ze sobą

burty. Ponownie zniknął

pod wodą, z głośnym bulgotaniem.

Prawie wszyscy umiejący pływać

członkowie załogi „Sophie”

natychmiast znaleźli się w wodzie,
wśród nich także kapitan. Pozostali
pobiegli po bosaki, kotwiczki i haki.
Stephena znaleźli jednak bracia Grecy
— był pięć sążni pod wodą (same kości,
ani odrobiny tłuszczu, podkute ołowiem
buty) — i oni wyciągnęli go na
powierzchnię. Ubranie doktora było
jeszcze bardziej czarne niż zwykle, a
twarz znacznie bardziej blada. Świącie
oburzony, kaszłał i wypluwał wodę.
Nie było to epokowe wydarzenie, lecz
dzięki temu w mesie oficerskiej pojawił
się temat do rozmów, właśnie teraz,
kiedy tak trudno było zachować choćby
pozory dawnych stosunków i zażyłości.
Przez większość czasu James był
ostatnio otępiały i milczący. Oczy miał
przekrwione od grogu, lecz alkohol nie
poprawiał jego wisielczego humoru i
nie przynosił ukojenia. Pierwszy
nawigator również sprawiał
wrażenie nieobecnego myślami. Co jakiś
czas spoglądał na Dillona ukradkiem.

Gdy więc wszyscy zasiedli przy stole, z największą gorliwością podjęto temat korzyści wynikających z niezwykle rzadkiej wśród marynarzy umiejętności pływania: szansa na uratowanie własnego lub cudzego życia, przyjemność (oczywiście w odpowiednim klimacie), możliwość przeniesienia liny na brzeg w nagłych wypadkach. Oczywiście były i ciemne strony — niepotrzebne przedłużanie agonii w przypadku katastrofy lub nie zauważonego przez nikogo wypadnięcia za burtę. Pływanie mogło być postrzegane jako swoiste wyzwanie rzucone naturze (czy Bóg naprawdę chciał czegoś podobnego?)

Zastanawiano się też nad zaskakującym faktem, że młode foki nie potrafią pływać. Później tematem rozmowy stało się używanie nadmuchanych pęcherzy podczas nauki pływania oraz wszelkie inne sposoby uczenia się i doskonalenia sztuki utrzymywania się na wodzie.

— Cała trudność polega na tym, by
wykonywać odpowiednie ruchy —
wyjaśniał ochmistrz już po raz siódmy.

— Trzeba złączyć ręce przed sobą, tak
jak podczas modlitwy... — Pan Ricketts
przymrużył

oczy i bardzo starannie złożył dłonie. —
...potem szybkim ruchem należy je
rozchylić szeroko, o tak...

— Tym razem uderzył w stojącą na stole
butelkę, która upadła na półmisek z
pieczenia i oblepiona tłustym sosem
poleciała dalej, prosto na kolana pana
Marshalla.

— Wiedziałem, że pan to zrobi! —
zawołał nawigator, wstając. Próbował
zetrzeć plamę. — Mówiłem panu, że
prędzej czy później przewróci pan tę
cholerną flaszkę. I tak nie potrafi pan
nawet przez sekundę utrzymać się na
wodzie! Gada pan tylko bez sensu, jak
obląkany. Zniszczył pan moje najlepsze
nankinowe spodnie...

— Nie zrobiłem tego celowo —

powiedział ochmistrz ostrożnie. Zapadła
ponura cisza.

Trudno byłoby powiedzieć, że halsująca
wytrwale pod wiatr „Sophie” jest
szczęśliwym i wesołym okrętem z
zadowoloną załogą. Jack siedział sam w
swej pięknej, małej kabinie i
przeglądał *Navy List* Steela. Czuł się bardzo podle. Nie tyle z powodu
wielkiej liczby nazwisk ludzi wyższych
od niego rangą, ile z racji panującego na okręcie nastroju. Nie mógł zrozumieć
tajemniczych zgryzot i rozterek
dręczących Dillona i pana Marshalla.

Nie wiedział, że trzy jardy dalej
porucznik próbuje pokonać
wszechogarniającą rozpacz, odmawiając
kolejną z rzędu litanię. James myślał już
nawet o porzuceniu służby we flocie, o
rezygnacji, lecz teraz modlił się tylko,
mechanicznie powtarzając wyuczone
słowa.

Pozostała część jego umysłu zajęta była
obracaniem dręczącego duszę niepokoju
w nienawiść. W
dziką nienawiść wobec ustalonego

porządku, władzy, a co za tym idzie i kapitana; wobec wszystkich ludzi, którzy nie stając nigdy przed koniecznością dokonania wyboru między honorem a poczuciem obowiązku, bez chwili zastanowienia gotowi byliby jednoznacznie ocenić to, co zaszło na pokładzie amerykańskiego statku. O kilka cali nad głową Aubrey słyszał kroki pierwszego nawigatora, który chodził po pokładzie. Również w tym przypadku nie potrafiliby pewnie pojąć szczególnego stanu, w jakim znajdowało się kochające serce tego poczciwego człowieka. Nie rozumiałby skłębionych emocji i panicznego lęku przed zdemaskowaniem. Jack doskonale wiedział, że cały jego — Jacka zamknięty, uporządkowany świat zupełnie się rozstroił. Najbardziej bolało go poczucie klęski — nie udało się zrealizować tak wielu zamierzeń i planów. Bardzo chciał pomówić o tym ze Stephenem Maturinem, chciał prosić

go o wyjaśnienie przyczyn owej porażki,
podyskutować o czymś nieistotnym i
pomuzykować. Wiedział jednak, że
zaproszenie do kapitańskiej kabiny jest
czymś w rodzaju rozkazu, nie tylko
dlatego, iż odmowa byłaby
zachowaniem więcej niż niezwykłym.

Uświadomił to sobie bardzo jasno, gdy

Dillon zrezygnował z wspólnego

śniadania. Kiedy nie było mowy o

równości, nie było też nadziei na

partnerstwo i szczerą przyjaźń. Gdy

człowiek musi na każde pytanie

odpowiadać „Tak, sir”, jego zgoda na

cokolwiek nie jest wiele warta, nawet

jeśli zdarzy się, iż nie została

wymuszona. Jack zdawał sobie z tego

sprawę od początku służby na morzu —

zawsze

wydawało mu się to oczywiste; mimo to

nie przypuszczał, że on sam tak boleśnie

zetknie się z tym problemem. Trochę

nżej, w prawie pustym kubryku

podchorążych, również panował smętny

nastrój, o wiele bardziej odczuwalny i wyraźny, gdyż obaj chłopcy siedzieli ze łzami w oczach. Gdy Mowett i Pullings przeszli na przyzy, dwaj pozostali podchorążowie musieli na zmianę trzymać wachtę, co oznaczało, iż żaden z nich nie mógł pospać dłużej niż cztery godziny. Trudno znieść podobną sytuację w tak młodym wieku, kiedy wylegiwanie się w hamaku jest jedną z największych przyjemności. Na dodatek, pisząc posłusznie listy do domu, umazali się atramentem, za co otrzymali surową reprimendę, gdy tylko pojawili się na pokładzie. Babbington, nie wiedząc, o czym pisać, zapełnił kartki pytaniami o wszystkich w domu i w okolicy. Pytał o ludzi, psy, konie, koty, ptaki, a nawet o wielki zegar w przedpokoju, i ogarnęła go niewyobrażalna wręcz nostalgia.

Obawiał się ponadto, iż wkrótce jego włosy i zęby zaczną wypadać, kości staną się miękkie, a twarz i całe ciało

pokryje się wrzodami. Starszy i o wiele bardziej doświadczony klerk, Richards, zapewnił go, iż tak kończą się nieuchronnie rozmowy z prostytutkami.

W przypadku młodego Rickettsa sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Jego ojciec, ochmistrz, sporo ostatnio mówił o przeniesieniu na pływający magazyn lub okręt transportowy, do bardziej spokojnej i bezpiecznej służby — podchorąży z zachwytem myślał o możliwym rozstaniu. Okazało się, iż separacji nie będzie, gdyż pan Ricketts zamierzał zabrać syna z sobą, a to oznaczało konieczność zerwania z „Sophie” i życiem, które tak kochał. Pan Marshall, widząc, w jak opłakanym stanie ducha znajduje się chłopak, odesłał go na dół. Młody człowiek siedział na swoim kufierku, zbyt wyczerpany, by wejść do hamaka, spod wciąż umazanych atramentem palców płynęły łzy.

Przed masztem nastrój był trochę lepszy,

choć paru ludzi (było ich tym razem
więcej niż zwykle) z niepokojem
oczekiwało czwartkowego poranka,
kiedy to mieli zostać wychłostani.
Pozostali nie mieli specjalnych
powodów do zmartwień, pomijając
oczywiście ciężką pracę i marne
wyżywienie. Załoga
„Sophie” była wystarczająco zgraną
społecznością i wszyscy zdawali sobie
sprawę z tego, że na okręcie coś nie jest
w porządku i że chodzi nie tylko o
zmienne ostatnio humory oficerów. Nie
domyślali się jednak, dlaczego wszystko
się zmieniło. Panujące na pokładzie
rufówki przygnębienie powoli
rozpląnęło się po całym okręcie i doszło
aż do kóz, komory łańcuchowej i kotwic.
Nie można więc było powiedzieć, że
załoga „Sophie” jako całość była w
najlepszej formie psychicznej, gdy okręt
halsując, płynął przez noc i zmagał się
ze słabnącą powoli tramontaną.
Podobnie było nad ranem, gdy północny

wiatr zmienił się w napływające z
południowego zachodu kłęby mgły,
urokliwe pewnie dla tych, którzy nie
musieli żeglować blisko brzegu.
Pojawiły się też pierwsze oznaki
nadchodzącego upalnego dnia. Wszystko
to było niczym w porównaniu ze
skrajnym napięciem, smutkiem, a może
nawet lękiem, jaki panował na pokładzie
rufówki w chwili, gdy Stephen po
wschodzie słońca wyszedł na górę.
Obudził go odgłos bębna wzywającego
wszystkich na stanowiska. Doktor
poszedł bezzwłocznie do kokpitu i tam,
przy pomocy Cheslina, przygotował
swoje instrumenty. Czyjaś ożywiona i
uradowana twarz zajrzała w głąb
zejściówki z informacją, iż za
przyłądkiem został dostrzeżony olbrzymi
xebek, częściowo zasłonięty przez ląd.
Maturin skinął głową, w podziękowaniu
za wiadomość, i spokojnie zajął się
ostrzeniem lancetów i piły chirurgicznej,
używając w tym celu małej osetki

zakupionej specjalnie w Tortosie. Czas mijał i w zejściówce ukazała się druga twarz, tym razem blada i zatroskana, z pozdrowieniami od kapitana i prośbą, by Stephen zgłosił się na pokładzie.

— Dzień dobry, doktorze — powitał go Jack. Maturin natychmiast zwrócił uwagę na wymuszony uśmiech i niepokój w oczach kapitana. —

Wygląda na to, że trafiliśmy na kogoś sprytniejszego od siebie... — Ruchem głowy wskazał na długi, uderzająco piękny okręt o jasnoczerwonych burtach, wyraźnie widoczny na tle urwistego wybrzeża. Był głęboko zanurzony (czterokrotnie większy niż „Sophie”) i miał coś w rodzaju wysokiej platformy, wysuniętej mocno do tyłu, tak iż rufa znajdowała się daleko poza nawisem kadłuba. Podobny do ptasiego dzioba występ wychodził również do przodu, o dobre dwadzieścia stóp przed dziobnicę. Na stermaszcie i grotmaszcie zawieszane były olbrzymie, zakrzywione

i zwięzające się z obu stron łańskie
reje. Ich żagle gubiły wiatr, tak by
„Sophie” mogła się zbliżyć. Nawet z tej
odległości Stephen zdołał zauważyć, że
także reje pomalowane były na
czerwono. Na skierowanej w stronę
brygu prawej burcie widać było
szesnaście furt działowych, na
pokładach tłoczyło się mnóstwo ludzi.
— To xebek-fregata o trzydziestu dwu
działach — wyjaśnił Jack. — Na pewno
hiszpańska. Te jej furty działowe bardzo
nas zmyliły, do ostatniej chwili
myślałem, że to statek handlowy, no i
prawie cała załoga była pod pokładem.
Panie Dillon, niech jeszcze kilku ludzi
dyskretnie zejdzie na dół. Panie
Marshall, proszę posłać trzech, nie
więcej, ludzi, niech zajmą się
fokmarslem. Mają to robić powoli i
niezdarnie. Anderssen, zawołaj coś po
duńsku i powieś to wiadro na lince za
burtą. — Zwracając się znów do
Stephena, Aubrey ściszył głos: — Widzi

pan, jacy z nich spryciarze? Te furty
działowe otworzyły się dopiero dwie
minuty temu, przedtem nie było ich
widać, tak są pomalowane. Chociaż
zamierzali właśnie zmienić ożaglowanie
z łacińskiego na prostokątne, rejowe —
proszę spojrzeć na ich fokmaszt —
natychmiast mogą z powrotem postawić
łacińskie żagle i dopaść nas w jednej
chwili.

Nie możemy uciekać, nie mamy wyboru.

Zobaczmy, może uda nam się ich

zmylić... Panie Ricketts, czy

przygotował pan flagi? Proszę zdjąć

kurtkę i wrzucić ją do schowka. Tak,

odezwali się... — Na pokładzie

rufowym fregaty odezwało się działo —

pocisk przeleciał przed dziobem brygu,

na maszcie, ponad obłokiem dymu po

wystrzale ostrzegawczym, pojawiła się

hiszpańska bandera. — Teraz, panie

Ricketts — poleciał Jack. Pod gaflem

„Sophie" rozwinęła się bandera

królestwa Danii, a na fokmaszcie żółta

flaga kwarantanna. — Pram, podejdz

tutaj i pomachaj rękami. Wydawaj

głośno rozkazy po duńsku. Panie

Marshall, proszę podejść do nich

nieudolnie na odległość jednego kabla.

Nie bliżej.

Dystans między jednostkami malał

powoli. Na pokładzie „Sophie”

panowała martwa cisza. Od strony

fregaty dolatywał gwar ożywionych

rozmów. Jack stanął za sterem, tuż za

plecami Prama, w samej koszuli i

spodniach, bez kurtki mundurowej.

— Proszę spojrzeć, ilu tam jest ludzi —

powiedział do Stephena. — Trzystu albo

więcej. Za kilka minut krzykną do nas.

Pram powie im wtedy, że jesteśmy

duńskim statkiem handlowym, który

kilka dni temu wyszedł z Algieru.

Bardzo pana proszę o pomoc w tej

rozmowie. Może pan użyć

hiszpańskiego lub każdego innego

języka, jaki wyda się panu stosowny...

— Jak się nazywa ten bryg? — rozległo

się wołanie z pokładu fregaty.

— Głośno i wyraźnie, Pram — szepnął

Jack.

— „Clomer"! — zawołał ubrany w

żółto-popielatą kamizelkę Duńczyk. Jego

okrzyk powrócił, odbity od skalistego

brzegu, tak samo niepokorny i

wyzywający, lecz znacznie cichszy.

— Fokmarsel na wiatr, powoli, panie

Marshall — wycodził Jack przez zęby.

— Niech ludzie zostaną przy brasach —

mruknął cicho, gdyż wiedział, iż w tej

chwili lunety hiszpańskich oficerów na

pewno skierowane są na rufę „Sophie”.

Uległ złudnemu przeświadczeniu, iż

szkła optyczne mogą również wzmocnić

jego głos.

Bryg zaczął zwalniać; w tym samym

czasie rozproszyły się zwarte grupki

ludzi na pokładzie fregaty

— obsady dział. Jack pomyślał, iż

wszystko się skończyło, i jego serce,

przedtem uspione, znów zabiło głośno.

Jednak nie. Przy burcie hiszpańskiego

okrętu pojawiła się łódź.

— Chyba nie unikniemy walki —

powiedział. — Panie Dillon, działa

oczywiście są podwójnie

załadowane?

— Potrójnie, sir — odparł James.

Stephen dostrzegł w jego twarzy ową

szczególną, bliską obłędu radość, którą

tak dobrze zapamiętał z dawnych lat.

Dillon przypominał lisa, który za chwilę

zrobi coś absolutnie szalonego.

Za sprawą bryzy i prądu „Sophie”

powoli zbliżała się do fregaty, której

załoga z powrotem zajęła się zmianą

ozagłowania z łacińskiego na rejowe.

Ludzie tłoczyli się na wantach,

spoglądając z zaciekawieniem na bryg,

do którego podpływała łódź wysłana z

ich okrętu.

— Zawołaj ich oficera, Pram — polecił

Jack i Duńczyk podszedł do relingu.

Powiedział coś głośno po duńsku. Było

to dość długie zdanie, wypowiedziane

głośno i wyraźnie, lecz z pewnością

niezrozumiałe dla kogoś, kto nie znał

tego języka. Nazwa Algier nie

zabrzmiała w jakiegokolwiek znanej

formie. Z trudem można było się

domyślić, iż Pram dwukrotnie

wspomniał coś o wybrzeżu Afryki.

Człowiek siedzący na dziobie łodzi miał

właśnie dotknąć bosakiem burty

„Sophie”, gdy Stephen Maturin odezwał

się po hiszpańsku, z wyraźnym

skandynawskim akcentem:

— Czy macie na okręcie lekarza, który

potrafi leczyć zarazę? Hiszpański

marynarz opuścił bosak.

— A o co chodzi? — zapytał oficer.

— Kilku naszych ludzi zachorowało w

Algierze i wszyscy jesteśmy bardzo

wystraszeni. Nie wiemy, co im jest.

— Do tyłu — polecił oficer

wioślarzom. — Jak nazywał się ten

port?

— Algier, Argel, jakoś tak. Właśnie tam

ci ludzie schodzili na ląd. Czy wie pan

może, jakie są objawy zarazy? Czy

występuje obrzęk, opuchlizna? Proszę,

niech pan wejdzie na nasz pokład i rzuci

na nich okiem. Podam panu linę.

— Do tyłu — powtórzył polecenie

Hiszpan. — Oni schodzili na ląd w

Algierze?

— Tak. Przyślecie do nas waszego

lekarza?

— Nie. Niech Matka Boska ma was w

swojej opiece, biedacy.

— Czy możemy wobec tego popłynąć na

wasz okręt po lekarstwa? Proszę

pozwolić mi zejść do

łodzi...

— Nie — odpowiedział oficer i

przeżegnał się szybko. — Nie, nie.

Trzymajcie się z daleka, bo zaczniemy

do was strzelać. Płyńcie na otwarte

morze. Morze ich wyleczy. Bóg z wami.

Szczęśliwej podróży... — zawołał i

poleciał marynarzowi wyrzucić bosak za

burtę. Łódź pomknęła z powrotem.

Dzieliła ich niewielka odległość i jakiś

głos z pokładu hiszpańskiej jednostki

wykrzyknął kilka słów po duńsku. Pram
odpowiedział, a wysoki, szczupły
mężczyzna, stojący na pokładzie
rufówki, na pewno dowódca fregaty,
zapytał, czy nie widzieli angielskiego
okrętu wojennego, brygu.

— Nie — odparli i gdy zaczęli się od
siebie oddalać, Jack wyszeptał:

— Proszę zapytać, jak ten okręt się
nazywa.

— „Cacafuego” — padła odpowiedź. —
Szczęśliwej podróży.

— Dziękujemy, szczęśliwej podróży...

— A więc to jest fregata — stwierdził
Stephen, patrząc w stronę „Cacafuego”
uważnie.

— Xebek-fregata — wyjaśnił Jack. —

Niech ludzie wolniej ciągną te brasy,
panie Marshall. Bez pośpiechu... Xebek-
fregata. Niezwykle interesujące
ożaglowanie, prawda? Nie ma chyba
szybszej jednostki, tak mi się
przynajmniej zdaje: szeroki kadłub, by
mógł nieść olbrzymią powierzchnię

żagli, i bardzo wąski pokład. Do obsługi takiego okrętu potrzeba wyjątkowo licznej załogi. Widzi pan... Przy kursach na wiatr używa się żagli łacińskich, lecz gdy wiatr wieje od rufy, zdejmuje się je na pokład, a na ich miejsce zakładane są reje, na których stawia się prostokątne płótna. Oczywiście taka operacja jest pracochłonna. Załoga tej fregaty musi liczyć co najmniej trzystu ludzi. Właśnie zmieniają osprzęt z łacińskiego na rejowy, co oznacza, iż zamierzają popłynąć w górę wybrzeża. My powinniśmy więc udać się na południe, specjalnie nie zależy nam na takim towarzystwie. Panie Dillon, może zerkniemy na mapę? — Dobry Boże... — powiedział Jack, klaszcząc w dłonie i śmiejąc się radośnie. Siedział za stołem w swojej kabinie. — Myślałem, że tym razem nam się dostanie, że nas zatopią, spalą, powywieszają lub wezmą do niewoli! Nasz doktor to prawdziwy skarb! Jak sprytnie poruszał tą liną, jak

ich zapraszał na pokład! Rozumiałem

wszystko, chociaż mówił tak szybko.

Cha, cha, cha. Czy to nie było zabawne?

— Bardzo zabawne, to prawda, sir.

— Doktor powiedział *Que vengan*

nieszczęśliwym głosem i poruszył liną, a

oni cofnęli się, posepni i przejęci...

Wyglądali jak sowy. *Que vengan*, cha,

cha, cha. O Boże... Widzę jednak, że

pana to nie bawi?

— Jeśli mam być szczery, sir, zbyt

byłem zaskoczony faktem, iż

rezygnujemy z walki, i nie w głowie

były mi żarty.

— Tak? Dlaczego? — zapytał Jack z

uśmiechem. — Co pańskim zdaniem

mieliśmy zrobić?

Zaatakować ich?

— Sądziłem, iż takie właśnie mieliśmy

zamiary — odpowiedział James z pasją.

— Myślałem, że chce pan na nich

uderzyć. Byłem tym zachwycony.

— Bryg o czternastu działach przeciwko

trzydziestodwudziałowej fregacie?

Chyba nie mówi pan poważnie?

— Jak najbardziej. W chwili, gdy podnosili łódź, a połowa załogi pracowała na masztach, nasza salwa burtowa i muszkiety rozniosłyby ich na strzępy. Przy tej bryzie bylibyśmy na pokładzie fregaty, zanim ci biedacy zdążyliby się pozbierać.

— Och, to tylko przypuszczenia.

Ponadto takie zdradzieckie uderzenie nie byłoby zbyt honorowe.

— Być może nie znam się na sprawach honoru — rzekł Dillon. — Wyraziłem tylko swoje prywatne zdanie.

Mahon. „Sophie” spowita w kłęby dymu — obie salwy burtowe jedna po drugiej, potem jeszcze jedna salwa — w salucie dla admirałkiej flagi na maszcie

„Fourdroyanta”. Imponujące cielsko admirałskiego okrętu, leżące pomiędzy Pigtail Steps i nabrzeżem artyleryjskim.

Mahon. Schodzący na przepustkę na ląd marynarze, wypychający kieszenie pieczoną wołowiną i świeżym chlebem.

Coraz lepsze humory, ogólne
zadowolenie. Otwierane jedna po
drugiej beczki z winem, masowy ubój
świń, młode kobiety schodzące się
tłumnie z daleka i z bliska.

Aubrey siedział na krześle, sztywny i
wyprostowany. Miał spocone dłonie,
zaschło mu w gardle, z trudem przełykał
ślinę. Brwi lorda Keitha były czarne,
mocno posrebrzone siwizną. Zimne
spojrzenie szarych oczu siedzącego po
drugiej stronie stołu admirała zdawało
się przeszywać Jacka na wylot.

— A więc twierdzi pan, że został pan do
tego zmuszony? Że było to absolutną
koniecznością?

Admirał mówił oczywiście o jeńcach
wysadzonych na Dragon Island. Ta
właśnie sprawa była
głównym tematem rozmowy.

— Tak, Wasza Wysokość.

Dowódca floty śródziemnomorskiej
zamilkł na krótką chwilę.

— Gdyby kierowało panem

lekceważenie zasad dyscypliny —
przemówił wreszcie — gdyby okazało
się, iż wyżej ceni pan sobie własne
zdanie niż polecenia przełożonych,
byłbym zmuszony do podjęcia bardzo
stanowczych kroków. Lady Keith darzy
pana wielką sympatią, kapitanie Aubrey.
Zapewne wie pan o tym... Przykro
byłoby mi obserwować, jak w
bezsensowny sposób marnuje pan szansę
na dalszą karierę. Będę więc rozmawiał
z panem zupełnie szczerze...

Już widząc śmiertelnie poważną twarz
sekretarza admirała, Jack domyślił się,
iż to spotkanie nie będzie przyjemne. To,
co nastąpiło, okazało się o wiele
bardziej przykre niż najgorsze
przypuszczenia.

Lord Keith był niezwykle dobrze
poinformowany. Znał wszystkie
szczegóły: oficjalna nagana za
drażliwość i konfliktowość;
lekceważenie rozkazów (zarzut poparty
był kilkoma przykładami); działanie na

własną rękę; zuchwałość granicząca z
niesubordynacją; pogłoski o
niewłaściwym zachowaniu na lądzie;
pijaństwo i tak dalej. Wszystko to
sprawiło, iż nie widział dla Jacka
najmniejszej szansy na awans. Mimo to
kapitan Aubrey nie powinien zbyt się
tym przejmować, gdyż wielu ludziom
nigdy nie udało się zostać dowódcami
okrętów, a to bardzo odpowiedzialne
stanowisko. Z pewnością nie można
powierzyć zespołu okrętów liniowych
komuś, kto będzie
próbował rozgrywać bitwę zgodnie z
własną, nieodpowiedzialną strategią.
Nie, nie ma najmniejszych szans na
awans, chyba że wydarzy się coś
nadzwyczajnego. Dotychczasowy
przebieg służby kapitana Aubreya
bardzo daleki był od tego, czego można
by sobie życzyć... Lord Keith mówił
powoli, z powagą, starannie dobierając
wyrazy, fakty i intonację głosu. Z
początku Jack cierpiał tylko,

niespokojny i zawstydzony, lecz z czasem w jego sercu zapaliła się iskra, która wkrótce mogła przerodzić się w płomień trudnego do opanowania gniewu. Spuścił więc nisko głowę, przekonany, iż bez trudu można było ową złość wyczytać z jego twarzy.

— Z drugiej jednak strony —

kontynuował admirał — jest pan wspaniałym dowódcą okrętu. Ma pan też sporo szczęścia. Żaden inny patrolowiec nie narobił tak dużo zamieszania w nieprzyjacielskiej żegludze i żaden inny nie zdobył tylu przyzów. Dlatego zaraz po powrocie z Aleksandrii wypłynię pan na kolejny patrol.

— Dziękuję, Wasza Wysokość...

— Moja decyzja wywołała na pewno sporo krytyki i zazdrości, lecz szczęście nie sprzyja nikomu zbyt długo... takie są przynajmniej moje osobiste doświadczenia. Powinniśmy mu więc trochę pomagać.

Jack podziękował raz jeszcze,

podkreślając, iż szczególnie jest
wdzięczny admirałowi za jego
życzliwość i dobre rady, przekazał
pозdrowienia dla Lady Keith i wyszedł.
Ogień w sercu płonął
pomimo obiecanego patrolu i Aubrey z
trudem dotrwał do końca rozmowy. Gdy
opuszczał admirałską kabinę, miał taki
wyraz twarzy, iż z ust stojącego przy
drzwiach wartownika natychmiast
zniknął
ironiczny uśmiech i żołnierz zeszywniał
z przerażenia.

„Jeśli teraz ten śmieć Harte spróbuje
rozmawiać ze mną w taki sam sposób...”

— rozmyślał Jack, idąc ulicą —

„...rozkwaszę mu nos i niech diabli
wezmą służbę w marynarce!” Potrącił
stojącego na chodniku przechodnia,
który uderzył mocno o ścianę.

— Mercy, kochanie! — zawołał,

wchodząc po drodze do gospody „Pod
Koroną”. — Przynieś mi wina, kochana,
i *aguardiente... Copito*. Niech szlag

trafi wszystkich admirałów — mruknął
pijąc chłodne, zielone, kwiatowe wino.

— Ten stary admirał to przecież
wspaniały człowiek, capitano... —

powiedziała Mercedes, strzepując
niewidoczny pyłek z kołnierza

mundurowej kurtki Jacka. — Wyśle
pana na patrol, gdy tylko wróci pan z

Aleksandrii...

Jack spojrzał na nią uważnie.

— Mercy, *querido* — westchnął. —

Gdybyś wiedziała o ruchach
hiszpańskich okrętów chociaż połowę
tego, co wiesz o naszych, mogłabyś
naprawdę mnie uszczęśliwić... —

Przełknął ostatni łyk mocnego koniaku i
poprosił o kolejny kieliszek wina, które
tak bardzo mu smakowało.

— Mam ciotkę... — wyjaśniła
dziewczyna. — Ona sporo wie...

— Naprawdę, moja kochana? —

zainteresował się Jack. — Opowiesz mi
o niej dziś wieczorem. —

Pocałował Mercy niedbale i wcisnął

głębiej na nową perukę obszywany

złotem kapelusz. — Teraz do tego

śmiecia... — rzekł do siebie.

Kapitan Harte był jednak bardziej niż
uprzejmy i gratulował Jackowi akcji w
Almoraira.

— ...ta bateria brzegowa napsuła nam
sporo krwi. Pociski z tych dział trzy razy
trafiły w kadłub

„Pallas”, a „Emerald” stracił tam stengę jednego ze swych masztów. Już dawno
należało zrobić z tym porządek. —

Chwilę później Jack został zaproszony
na obiad. — Proszę koniecznie
przyprować z sobą pańskiego
lekarza. Moja żona specjalnie prosiła,
bym o nim nie zapomniał.

— Jestem pewny, że sprawi mu to
wielką przyjemność. Oczywiście jeśli
nie jest już z kimś

umówiony. Co słycać u pani Harte?

Muszę przekazać jej wyrazy mego
uszanowania.

— Och, dziękuję w jej imieniu... Dziś
rano nie uda się panu z nią zobaczyć.

Pojechała na konną przejażdżkę...

Towarzyszy jej pułkownik Pitt. Nie

wiem, jak ona wytrzymuje ten upał. Tak

przy okazji... Chciałbym prosić pana o

przysługę... — Jack spojrzał na

komendanta uważnie, nie zdradzając

większego zainteresowania. — Mój

doradca finansowy pragnie wysłać

swego syna na morze. Brakuje panu na

okręcie młodzika, więc chyba nie będzie

z tym większych trudności. To bardzo

porządna rodzina. Matka tego chłopca

chodziła do szkoły razem z Molly. Pozna

ich pan podczas obiadu...

Stephen klęczał na podłodze, z głową tuż

przy blacie stołu. Obserwował, jak

samiec modliszki powoli i ostrożnie

zbliża się do samicy — wspaniałej,

zielonej, dobrze zbudowanej. Stała

wyprostowana na czterech tylnych

nogach. Jej przednie odnóża

przypominały złożone pobożnie ręce. Od

czasu do czasu jej ciałem wstrząsało

silne drzenie, cienki odwłok wibrował

gwałtownie i za każdym razem brązowy samiec odskakiwał do tyłu. Szedł uważnie, w poprzek stołu, wysuwając daleko groźne, uzbrojone w zęby przednie nogi i wyciągając czułki.

Nawet w tak silnym świetle Stephenowi udało się dostrzec niezwykle wewnętrzny płomień, ukryty w głębi dużych, owalnych oczu owada. Samica powoli obróciła głowę o czterdzieści pięć stopni, jakby spoglądając ukradkiem na zalotnika. „Czy to na-wiązanie znajomości?” — pytał Stephen sam siebie, unosząc szkło powiększające. Chciał jak najdokładniej widzieć wszystkie ruchy czulek samicy. — „A może to przyzwolenie?”

Brązowy samiec najwyraźniej zrozumiał to spojrzenie w ten właśnie sposób i trzema szybkimi ruchami znalazł się na swej wybrance. Jego nogi przycisnęły pokrywy jej skrzydeł, a czułki pieściły jej czułki. Oprócz elastycznego,

zamortyzowanego miękko wstrząsu, w chwili, gdy na jej grzbiecie pojawił się dodatkowy ciężar, modliszka nie zareagowała w żaden widoczny sposób.

Nie sprzeciwiała się i po krótkiej chwili rozpoczęła się gwałtowna kopulacja.

Maturin nastawił zegarek i zapisał czas w otwartym na podłodze zeszycie.

Mijały minuty. Samiec zwolnił nieco uścisk. Samica poruszyła trójkątną głową, obracając ją powoli z lewa na prawo. Przez lupę doktor widział otwierające i zamykające się szczęki.

Nagle nastąpiła seria gwałtownych ruchów, za którymi pomimo maksymalnie wytężonej uwagi nie mógł nadążyć. Podobna do malutkiej cytryny głowa samca leżała tuż pod zielonymi, złożonymi jak do modlitwy przednimi odnóżami samicy, która zatopiła zęby w odgryzionym fragmencie swego kochanka. Płonący w jego oczach ogień zgasł. Uczepiony jej pleców odwłok kopulował dalej, jeszcze silniej niż

przedtem, pozbawiony wszelkich
zahamowań.

— Ach! — wykrzyknął Stephen z nie
ukrywaną satysfakcją i znów zanotował
czas.

Dziesięć minut później modliszka
odcięła trzy części długiego tułowia
samca i pożarła je z wyraźnym apetytem,
rozzucając przed sobą cząstki
chitynowego pancerza. Kopulacja
trwała.

— Jest pan! — zawołał Jack. —
Czekam na pana już od piętnastu minut!

— Och, przepraszam... — powiedział
Stephen, wstając. — Naprawdę
przepraszam. Wiem, jak wielką wagę
przywiązuje pan do punktualności.

Bardzo mi przykro. Musiałem cofnąć
zegarek na początku kopulacji —
wyjaśnił, sprawnym ruchem
przykrywając modliszkę i jej obiad
nie dużym pudełkiem z otworami. — Już
idę z panem.

— Nigdzie pan nie idzie —

powstrzymał go kapitan. — Nie w tych
pańskich nieszczęsnych butach.

Dlaczego podbił je pan ołowiem?

W każdej innej sytuacji Maturin ostro
zareagowałby na podobne słowa. Tym
razem doskonale zdawał
sobie sprawę z tego, iż przedpołudnie
spędzone u admirała na pewno nie było
dla Jacka przyjemne.

Włożywszy pantofle, rzekł tylko:

— Żeby zaspokoić samicę, czasem nie
potrzeba głowy, a często nawet i serca...

— Przypomniał mi pan o czymś —

zawołał Jack. — Czy ma pan coś, co
przytrzymałoby na głowie moją perukę?

Przydarzyło mi się coś bardzo
zabawnego. Przechodziłem przez plac i
po drugiej stronie ujrzałem Dillona,
idącego pod ramię z jakąś kobietą. Jak
mi się zdaje, była to siostra gubernatora
Walia. Porucznik zasalutował, a ja
chcąc odpowiedzieć szczególnie
uprzejmie, uchyliłem kapelusza.

Wie pan... No i oczywiście razem z

kapeluszem zdjąłem z głowy tę przeklętą perukę. Może się pan z tego śmiać, to rzeczywiście zabawne zdarzenie, lecz dla mnie nie było w tym nic wesołego.

Niepotrzebnie się ośmieszyłem.

— Proszę, oto kawałek plastra — powiedział Stephen. — Proszę pozwolić mi go złożyć i umieścić na pańskiej głowie. Bardzo mi przykro z powodu tej nieprzyjemnej chyba dla obu panów historii...

— To naprawdę było nieprzyjemne — zgodził się Jack, schylając głowę, by doktor mógł przylepić plaster. Ponieważ znajdowali się na neutralnym gruncie, na lądzie, gdzie nie obowiązywały niektóre morskie zasady, Jack zdobył się na wyjątkową szczerość: — Nigdy w życiu nie byłem tak zaskoczony jak ostatnio.

Dillon postawił mi otwarty zarzut... nie ośmielę się powiedzieć, jaki... w sprawie

„Cacafuego”. W pewnej chwili chciałem zażądać wyjaśnień i satysfakcji.

Zrezygnowałem jednak, gdyż nie jest to wcale taka prosta sprawa. Żaden z nas nie mógłby czuć się zwycięzcą. Gdybym go pokonał, byłoby po prostu po nim. Gdyby to on zwyciężył, natychmiast usunięto by go z marynarki, co w istocie oznacza dla niego to samo...

— To prawda. James jest bardzo związany ze służbą.

— W każdym przypadku niepotrzebnie ucierpiałaby „Sophie”. Niech szlag trafi tego człowieka... Jest najlepszym porucznikiem, jakiego można sobie wymarzyć: surowy, lecz nie okrutny wobec ludzi; doskonały żeglarz; z kimś takim jak on nie trzeba zawracać sobie głowy drobiazgami i codziennymi sprawami. Wolę myśleć, że on nie pragnął mnie urazić.

— Na pewno nie chciał zarzucić panu braku odwagi — rzekł Stephen z przekonaniem.

— Czy na pewno nie chciał? — Jack z powątpiewaniem pokręcił głową,

patrząc doktorowi prosto w oczy i

bawiąc się trzymaną w ręku peruką. —

Ma pan ochotę na obiad w domu

państwa Harte? —

zapytał po chwili. — Muszę tam pójść i

pańskie towarzystwo sprawiłoby mi

wielką przyjemność.

Oczywiście pod warunkiem, iż nie jest

pan zaproszony gdzie indziej...

— Obiad? — zawołał Stephen tak

uradowany, jakby ten posiłek dopiero co

wynaleziono. — Obiad!

Oczywiście, bardzo się cieszę.

— Czy jest gdzieś u pana lustro? —

zapytał kapitan, wstając.

— Nie, niestety nie. Lustro jest w

pokoju pana Floreya. Zajrzymy tam po

drodze.

Jack lubił wyglądać elegancko. Chętnie

wkładał najlepszy mundur ze złotym

epoiletem. Zwykle nie przejmował się

zbyttnio swą urodą. Do tej pory nie

zdarzyło mu się oglądać w lustrze

własnej twarzy dłużej niż przez dwie

minuty. Tym razem przyjrzał się sobie uważnie. To, co zobaczył, mocno go zmartwiło.

— Coś mi się zdaje, że nie wyglądam najlepiej...

— To prawda — zgodził się Stephen.

W pierwszym dniu postoju kapitan ściął resztki swej fryzury i kupił perukę, chcąc przysłonić odrastające włosy. Nic jednak nie mogło ukryć oparzeń na twarzy, która na dodatek opaliła się nierówno pomimo leczniczej maści doktora. Obrzęk dookoła oka zżółkł i zsiniał. Lewa strona głowy nieodparcie przywodziła na myśl afrykańskiego mandryła.

Po załatwieniu spraw w biurze agenta przyzowego (przyjęto ich wyjątkowo serdecznie — same

uśmiechy i ukłony) obaj udali się na proszony obiad, do komendanta portu.

Jack zostawił Stephena na dziedzińcu — doktor z najwyższą uwagą przyglądał się małej zabie skaczącej obok fontanny —

sam zaś wszedł do chłodnego

przedpokoju, w którym spotkał Molly

Harte. Była sama.

— Boże, Jack! — zawołała na jego

widok. — Peruka?

— Tylko na razie — wyjaśnił,

podchodząc bliżej.

— Ostrożnie — wyszeptała, odsuwając

się na bok i stając za stołem wykonanym

z jaspisu, onyksu oraz kornaliny. Ów

mebel, szeroki na trzy stopy, długi na

siedem i pół stopy, ważył

dziewiętnaście cetnarów. — Służba...

— Dzisiaj w nocy w altanie, dobrze? —

rzekł Aubrey cicho.

Potrząsnęła głową z dziwnym grymasem

na twarzy i odpowiedziała prawie

bezgłośnie:

— Dzisiaj nie, jestem

niedysponowana... — Dalej mówiła

normalnym tonem: — Pozwól, że

opowiem ci o Ellisach... Będą dziś u nas

na obiedzie. Ona jest ponoć moją daleką

krewną, tak przynajmniej twierdzi.

Uczęszczałyśmy razem do szkoły pani
Capell. Letycja jest ode mnie dużo
starsza, była wtedy dla mnie jedną z tych
dorosłych już panien. Poślubiła potem
właśnie pana Ellisa, finansistę z City.

To naprawdę godny szacunku i dobrze
wychowany człowiek, niezwykle bogaty.

Bardzo dobrze opiekuje się naszymi
pieniędzmi. Z tego, co mi wiadomo, mój
mąż, kapitan Harte, ma wobec niego
jakieś zobowiązania. Od dawna znamy
się też z Letycją. Widzisz więc, że w grę
wchodzi tu... jakby to powiedzieć...

podwójna zażyłość? Chcą wysłać
swojego chłopca na morze. Sprawilibys
mi bardzo wielką przyjemność...

— Zrobię dla ciebie wszystko — oparł
Jack głucho. Słowa: „nasze pieniądze”
zraniły go głęboko.

— Doktorze Maturin! Tak się cieszę, że
pan przyszedł — zawołała Molly,
odwracając się w stronę drzwi. —

Przedstawię dziś panu pewną bardzo
wykształconą damę.

— Naprawdę? Przyjemnie mi to słyszeć.

W jakiej dziedzinie wiedzy specjalizuje się owa dama?

— We wszystkich dziedzinach —

wyjaśniła pani Harte z rozbajającym uśmiechem.

Również sama pani Letycja miała o sobie podobne zdanie. Natychmiast wyłożyła Stephenowi swoje poglądy na temat leczenia nowotworów i polityki aliantów. Według niej w obu tych kwestiach jedyne słuszne rozwiązanie wszelkich problemów stanowiła modlitwa, miłość bliźniego i studiowanie Ewangelii. Była drobną, podobną do lalki istotą, o twarzy zupełnie pozbawionej wyrazu — równocześnie wstydliva i wyjątkowo pewna siebie, raczej zastanawiająco młoda. Mówiła bardzo powoli, w szczególny sposób skręcając górną część ciała i wpatrując się w łokieć lub żołądek rozmówcy. Między innymi dlatego jej wypowiedzi trwały zawsze

tak długo. Mąż tej kobiety był
wysokim mężczyzną o wilgotnych
oczach, spoconych dłoniach, pospolitej
twarzy i trzęsących się kolanach. Gdyby
nie owe kolana, wyglądałby jak typowy
lokaj. „Jeśli ten człowiek pożyje
dostatecznie długo” — zauważył
Stephen w duchu, gdy Letycja paplała
coś o Platonie — „stanie się wstrętnym
starym sknerą, bardziej jednak
prawdopodobne, że wcześniej się
powiesi. Chroniczne obstrukcje,
hemoroidy, płaskostopie...”
Do stołu zasiadło dziesięć osób; obok
Stephena, z lewej strony, usiadła pani
Ellis. Jego sąsiadką z prawej strony była
panna Wade, prosta, pogodna
dziewczyna o wspaniałym apetycie. Nie
przeszkadzał jej upał i wilgotne
powietrze. Nie przejmowała się też
swoją figurą i wymogami mody.
Dalej zajmował miejsce Jack, za nim
pani Harte i pułkownik Pitt. Maturin
zajęty był rozmową z panną Wade o

najważniejszych różnicach między

rakiem a langustą, gdy z lewej strony

rozległ się natarczywy głos:

— Nie rozumiem. Skoro jest pan

prawdziwym lekarzem, jak mi przed

chwilą powiedziano, jak trafił

pan do marynarki? Co sprawiło, że

wykształcony lekarz służy na okręcie?

— Bieda, droga pani. Bieda. Na łądzie

nie wszystko, co się świeci, jest złotem.

No i oczywiście bardzo chciałem

przelewać krew za ojczyznę.

— Ten pan żartuje, moja droga —

odezwał się jej mąż z drugiej strony

stołu. — Przy tylu zdobytych przyzach

jest łakomym kąskiem dla każdego banku

— dodał, kiwając głową i uśmiechając

się krzywo.

— Och! — zawołała Letycja oburzona.

— Żartowniś z pana... Muszę na pana

uważać. Pomimo tego, doktorze, musi

pan zajmować się także prostymi

marynarzami. Pańskimi pacjentami nie

są wyłącznie oficerowie i

podchorążowie. To chyba jest straszne...

— Dlaczego, droga pani? — Stephen
spojrzał na nią z zaciekawioną. Jak na tak
drobną i studiującą Pismo Święte
kobietę wypiła dość sporo wina. Na jej
twarzy pojawiły się rumieńce. — To nic
straszego — wyjaśnił — radzę sobie z
nimi bardzo dobrze. Zapewniam panią.

Zwykle aplikuję im okładanie batem.

— Całkiem słusznie — przemówił
milczący dotąd pułkownik Pitt. — W
moim regimencie nie ma
narzekania.

— Doktor Maturin rzeczywiście jest
bardzo surowy — potwierdził Jack. —
Często domaga się, bym kazał chłostać
tych ludzi. Jego zdaniem jest to
najlepsze lekarstwo na lenistwo i
ociężałość. Przy okazji puszcza się im
trochę krwi... Nic tak nie służy zdrowiu
jak sto batów...

— To jest dopiero dyscyplina —
wtrącił pan Ellis, kręcąc głową.

W pewnej chwili Stephen poczuł, iż ma

odkryte kolana. Oznaczało to, że jego serweta spadła gdzieś pod stół — schylił się więc, aby ją podnieść. Pod zwisającym nisko obrusem naliczył dwadzieścia cztery nogi, z tego sześć stołowych i osiemnaście należących do biesiadników. Pani Wade zdjęła buty, a kobieta po przeciwnej stronie stołu upuściła na podłogę małą pogniecioną chusteczkę. Lśniący wojskowy but pułkownika Pitta przyciskał prawą stopę pani Harte, a lewa jej stopa, odsunięta dość daleko od prawej, przyciśnięta była znacznie lżejszym i bardziej eleganckim pantoflem Jacka.

Na stole pojawiały się kolejne dania.

Przeciętne w smaku potrawy rodem z

Minorki, przyrządzane na angielskiej

wodzie. Liche wino, wymieszane z

tutejszym sokiem owocowym. Po

pewnym czasie

Stephen znów usłyszał natrętny głos

swojej sąsiadki.

— Mówiono mi, że cieszy się pan na

okręcie niezwykłym autorytetem...

W tej chwili pani Harte wstała od stołu i lekko utykając, przeszła do salonu.

Mężczyźni skupili się przy końcu stołu, opróżniając kolejne kieliszki błotnistej porto.

Wino sprawiło, iż pan Ellis poczuł się zupełnie swobodnie. Zniknęła jego bojaźliwość i nieśmiałość.

Pozostała jedynie bezczelna pewność siebie bogatego człowieka. Opowiadał wszystkim o utrzymaniu dyscypliny.

Porządek i dyscyplina miały, jego zdaniem, fundamentalne wręcz znaczenie. Rodzina, zdyscyplinowana rodzina, stanowiła jedną z podstawowych wartości chrześcijańskiej cywilizacji.

Niezliczeni ojcowie rodzin byli dowódcami, okazującymi miłość poprzez stanowczość i rygor. Jego przyjacielem, niejaki Bentham, który napisał dzieło zatytułowane *W obronie lichwiarzy* (powinno się je wydrukować

złotymi literami), wynalazł nawet
maszynę do chłosty. Najważniejsze jest
zdecydowanie i strach — bo tylko dwa
uczucia rządzą światem: lęk i chciwość,
drodzy panowie. Weźmy choćby
Rewolucję Francuską, ostatnie
powstanie w Irlandii, nie mówiąc nawet
— tu mówca spojrział na ponure twarze
swoich słuchaczy — o tym, co działo się
w Spithead i Nore. Wszystkie te
wydarzenia spowodowane były przez
chciwość i stłumione dzięki terrorowi.
Pan Ellis czuł się w domu komendanta
jak u siebie. Nie pytając nikogo o drogę,
podszedł do stojącej przy ścianie szafki,
otworzył okute ołowiem drzwiczki i
wyjął nocnik. Spoglądając na swych
towarzyszy przez ramię, kontynuował
wykład. Wygłosił, iż ludzie niższego
stanu obserwują
dżentelmenów i kochają ich na swój
prymitywny sposób. Jednak wyłącznie
dżentelmeni mogą być oficerami. Taki
jest ustalony przez Boga porządek rzeczy

— dodał, zapinając rozporek. Siadając z powrotem przy stole, oznajmił, iż zna dom, w którym używa się nocnika wykonanego ze srebra. Z czystego srebra. Tak. Rodzina to wspaniała sprawa. Finansista zaproponował w końcu toast za posłuszeństwo i dyscyplinę. Bat to znakomity wynalazek — zauważył — warto więc wypić również za różne jego rodzaje. Oszczędzając różgę, psuje się dziecko...

— Musi pan przyjść na nasz okręt w któryś czwartek rano — powiedział Jack. — Zobacz pan, jak ludzie bosmana pieścą batem tych, którzy sobie na to zasłużyli.

Pułkownik Pitt, przez cały czas przyglądający się panu Ellisowi z tępym zadowoleniem, roześmiał się rubasznie i pożegnał wszystkich. Musiał wyjść w sprawach służbowych. Jack chciał pójść w jego ślady, lecz pan Ellis poprosił jeszcze o chwilę rozmowy.

— Prowadzę część interesów pani

Jordan i miałem zaszczyt, naprawdę

wielki zaszczyt, być

przedstawionym księciu Clarence'owi

— zaczął pompatycznie. — Czy zna go

pan może?

— Jestem zaprzyjaźniony z Jego

Wysokością — odparł Jack obojętnym

tonem. Służył kiedyś na jednym okręcie

z tym wyjątkowa nieprzyjemnym, w

gorącej wodzie kąpanym i okrutnym

wobec ludzi arystokratą.

— Wspomniałem w jego obecności o

naszym synu, zaznaczając, iż marzymy o

tym, aby Henry został

oficerem. Księżę poradził nam, byśmy

posłali chłopca na morze.

Zastanawialiśmy się nad tym długo i

wspólnie z żoną doszliśmy do wniosku,

iż bardziej odpowiadałby nam jakiś

niewielki okręt. Nie chcemy ogromnego

liniowca, na którym można spotkać

bardzo... wątpliwe towarzystwo. Chyba

rozumie pan, o co mi chodzi. Moja

małżonka zwraca na podobne rzeczy
szczególną uwagę: pochodzi przecież z
Plantagenetów... Ponadto niektórzy
kapitanowie wymagają, by młodzi
dżentelmeni otrzymywali z domu roczną
pensję w wysokości aż pięćdziesięciu
funtów...

— Zawsze nalegam, aby moi
podchorążowie otrzymywali pensję
przynajmniej w takiej wysokości —
wtrącił Jack.

— Och... — Pan Ellis był mocno
zakłopotany. — Myślę, że wiele
potrzebnych rzeczy można kupić z
drugiej ręki... Oczywiście absolutnie nie
przywiązuję do takich spraw wielkiej
wagi... Na początku wojny wszyscy na
naszej ulicy wysłaliśmy do Jego
Królewskiej Mości list, w którym
zadeklarowaliśmy gotowość
poświęcenia życia i naszych majątków.
Nie chodzi o te pięćdziesiąt funtów czy
nawet trochę większą sumę, pod
warunkiem, że mój syn będzie

przebywał na okręcie w towarzystwie
dżentelmenów. Pani Harte, dobra
przyjaciółka mojej żony, opowiadała
nam o panu. Co ważne, jest pan
zdeklarowanym torysem, podobnie jak
ja. Wczoraj widzieliśmy też pańskiego
porucznika, pana Dillona, siostrzeńca
lorda Kenmare. Z tego, co mi wiadomo,
pan Dillon posiada spory majątek
ziemski, a co za tym idzie z całą
pewnością jest dżentelmenem. Krótko
mówiąc, sir, byłbym bardzo
zobowiązany, gdyby zechciał pan wziąć
do siebie mojego chłopaka. Chciałbym
też dodać — próbowałem
mówić żartobliwym tonem, lecz nie
bardzo mu się to udawało — iż dzięki
memu doświadczeniu i znajomości rynku
na pewno pan tego nie pożałuje. Tak.
Również i pan na tym skorzysta.
Zapewniam...

— Chodźmy teraz porozmawiać z
paniami — zaproponował kapitan Harte,
czerwony ze wstydu i

gotów zrobić wszystko, by jego gość nie
więcej nie mówił.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli
wezmę pańskiego chłopca na okręt na
miesiąc lub dwa —

powiedział Jack, wstając. —

Zobaczmy, jak mu się spodoba służba
na morzu i czy się do niej nadaje.

Dopiero później porozmawiamy o
szczegółach...

Chwyił Stephena za ramię i prowadząc
go w dół po Pigtail Steps,
usprawiedliwiał się:

— Przykro mi, że wpakowałem pana w
taką kabałę. — Po spalonym słońcem
kamiennym murze

biegały małe zielone jaszczurki. — Nie
przypuszczałem, że obiad u Molly Harte
może być aż tak beznadziejny. Nie
wiem, co się z nią ostatnio dzieje. Czy
zwrócił pan uwagę na tego
wojskowego?

— Tego w czerwonej kurtce ozdobionej
złotem i ciężkich butach?

— Zgadza się. Ów człowiek jest chodzącym przykładem tego, o czym kiedyś panu mówiłem. W armii spotkać można ludzi dwóch rodzajów. Jedni są uprzejmi i łagodni, tacy jak mój kochany stary wuj, inni to tępi brutale, jak pułkownik Pitt. W marynarce jest zupełnie inaczej. Spotkałem się z tym już wiele razy i do dziś nie pojmuję, w jaki sposób tak różni ludzie ze sobą współpracują. Obawiam się, że ten drab może być bardzo natrętny wobec pani Harte. Ona jest czasami taka naiwna i nieostrożna...

Zbyt łatwo ulega różnym wpływom.

— Najciekawszym okazem był, moim zdaniem, ten specjalista od bankowości.

Nie pamiętam jego nazwiska... —

Stephen uśmiechnął się do siebie.

— Ach, Ellis. — Jack wyraźnie nie był zainteresowany tą postacią. — Czegóż można się spodziewać po kimś, kto przez cały dzień myśli tylko o pieniądzach? Tacy jak on często mają

kłopoty z pęcherzem. Harte musi być

bardzo u niego zadłużony, skoro

zaprasza go do siebie.

— To prawda. Na pewno pan przyzna,

że ów ponury typ jest wyjątkowo

nieprzyjemnym ignorantem.

To skończony głupiec. I na dodatek

gadula. To typowy przedstawiciel

burżuazji, zaniepokojony problemami

społecznymi... Widać u niego klasyczne

objawy hemoroidów i chronicznych

obstrukcji.

Do tego dochodzą krzywe nogi, okrągłe

plecy, płaskostopie, nieświeży oddech,

wytrzeszczone oczy i ziemista cera.

Koszmar. Zapewne zwrócił też pan

uwagę na jego prawdziwie babski upór

w kwestii dyscypliny i kar cielesnych.

Gdy się upił, nie potrafił mówić o

niczym innym. Mogę się założyć, że jest

prawie impotentem. To wyjaśniałoby

nadmierną gadatliwość jego żony, jej

nieustanne dążenie do dominacji, w

absurdalny sposób połączone z

mentalnością małej dziewczynki. No i te jej rzadkie włosy... Ta kobieta wyłysieje za rok lub dwa...

— Może byłoby lepiej, gdyby na świecie byli sami impotenci — zauważył Jack z filozoficznym smutkiem.

— Oszczędziłoby to wielu kłopotów.

— Ponieważ poznałem rodziców, bardzo chciałbym zobaczyć ich syna.

Ciekawe, jak wygląda owoc związku tak nieatrakcyjnych ludzi. Czy będzie może jakimś mutantem? Małym kapralem?

Chyba że w dzieciństwie...

— Będzie utrapieniem, to pewne.

Dowiemy się jednak, czy w ogóle nadaje się do czegokolwiek.

Wystarczy mu ten rejs do Aleksandrii i z powrotem. Nie jesteśmy przecież skazani na towarzystwo tego malca.

— Czy powiedział pan: do Aleksandrii?

— Tak.

— W Dolnym Egipcie?

— Oczywiście. Nie wspominałem panu o tym? Mamy zawieźć rozkazy do

szwadronu, którym

dowodzi Sir Sidney Smith, a potem

wyruszymy na następny patrol. Oni tam

pilnują Francuzów, wie pan...

— Aleksandria! — zawołał Stephen,

zatrzymując się pośrodku nabrzeża. — O

radości! Dlaczego nie powiedział mi

pan o tym od razu, gdy tylko się

spotkaliśmy? Bardzo roztropny i

życzliwy człowiek z tego admirała.

Pater classis. Bardzo go szanuję...

— Dlaczego? To tylko

nieskomplikowana podróż tam i z

powrotem po Morzu Śródziemnym,

około tysiąca ośmiuset mil w jedną

stronę, bez najmniejszej szansy na

zdobycie jakiegokolwiek przyzu.

— Nie przypuszczałem, że myśli pan

tylko o przyziemnych sprawach —

oburzył się Stephen. —

Wstyd. Przecież Aleksandria to

historyczne miejsce...

— Ależ tak. — Jack z uśmiechem

przyznał doktorowi rację. Widząc

radość Stephena, odzyskał swój zwykły optymizm i pogodę ducha. — Myślę, iż uda nam się zobaczyć Krete... Chodźmy jednak.

Musimy wracać na okręt. Od stania tutaj rozboleły mnie nogi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wiem, że nie powinienem narzekać" —

napisał doktor w swoim dzienniku .—

„lecz gdy pomyślę, iż mogłem dotknąć

stopą gorących piasków Libii,

obfitujących (według Goldsmitha) w

najrozmaitsze węże, zwiedzić Egipt,

ujrzeć ibisa, a może nawet krokodyla,

gdy przypomnę sobie, jak tylko z oddali

dane mi było spoglądać na północne

wybrzeże Krety i starożytną górę Ida

(przez cały dzień widać ją było jak na

dłoni), jak przepływaliśmy tuż obok

Kithiry, lecz moje usilne prośby o

zatrzymanie okrętu lub zmianę kursu

zostały zlekceważone, gdy uświadomię

sobie, iż tak obojętnie mijaliśmy

Cyklady, Peloponez i wspaniałe Ateny,

na pół dnia nawet nie zbacząc z
drogi... dlaczego nie miałbym życzyć
naszemu kapitanowi wszystkiego
najgorszego? Z drugiej strony, jeśli
spojrzę na moje zapiski, zapominając o
owych niespełnionych możliwościach,
mogę wyliczyć wiele radosnych uniesień
i przeżyć. Przemierzyłem wszak opisane
przez Homera wody (skoro nie ląd).
Widziałem pelikana i miałem okazję
dokładnie obejrzeć wielkiego białego
rekiną, złowionego dla mnie przez
uczynnych marynarzy. Była też
euspongia mollissima (którą — jak
twierdzą niektórzy uczeni — Achilles
wkładał
w swój hełm), jakaś nie znana mi mewa,
żółwie! Mógłbym uznać, iż były to jedne
z najszcześniejszych tygodni, gdyby nie
ciągła świadomość, że J.A. i J.D. mogą
się nawzajem pozabijać (w jak
najbardziej cywilizowany i uprzejmy
sposób, podczas najbliższego postoju w
porcie — wygląda na to, iż w morzu

podobne rzeczy się nie zdarzają). J.A.

wciąż bardzo jest poruszony pewnymi

uwagami w sprawie

„Cacafuego”, ma wrażenie, że podano w

wątpliwość jego odwagę — nie potrafi

tego znieść, to dla niego ogromne

obciążenie. J.D. wydaje się ostatnio

niedość spokojniejszy, lecz jego

zachowanie nadal trudne jest do

przewidzenia. Nieszczęśliwy,

przepełniony skrywaną złością, w

każdej chwili może wybuchnąć. Nie

umiem przewidzieć, kiedy ów wybuch

nastąpi. Czuję się chwilami tak,

jakbyśmy siedzieli na beczce prochu,

ustawionej w kuźni, blisko sypiącego

iskrami paleniska (moja osoba była

kilka razy taką iskrą...)"

Pomimo nieustannego napięcia, mimo

wiszącej nad „Sophie” ciemnej chmury

żeglowali spokojnie wzdłuż Morza

Śródziemnego. Trudno wyobrazić sobie

przyjemniejszy sposób na spędzenie

późnego lata. Bryg poruszał się teraz

znacznie szybciej niż kiedyś — Jack
znalazł wreszcie najkorzystniejsze
przełączenie kadłuba, przenosząc
balasty z ładowni do ładowni tak, aby
zanurzyć bardziej rufę.

Przywrócił ponadto masztom ich
pierwotny kąt nachylenia względem
pokładu, zgodny z
zamierzeniami hiszpańskich
budowniczych okrętu. Bracia Grecy,
wraz z dwunastoosobowym
oddziałem potrafiących pływać
członków załogi, w chwilach ciszy
zajmowali się nadal czyszczeniem dna
porośniętego wodorostami. Pewnego
wieczora, gdy Stephen siedział i
obserwował spokojne morze, „Sophie”
chwyciła niespodziewanie podmuch
silniejszego wiatru w górne żagle i
pomknęła lekko do przodu, zostawiając
za sobą długą smugę spienionej wody,
podświetloną nieziemskim,
fosforyzującym światłem i ciągnącą się
na dobre ćwierć mili za rufą. Dnie i

noce żeglowali pod niewiarygodnie
czystym niebem. Na Morzu Jońskim
nocą spokojna bryza wypełniała
gaflowego
grota, wachty zmieniały się i nikt nie
dotykał nawet brasów. Jack i Stephen
koncertowali na pokładzie, zagubieni w
muzyce; przerywali dopiero wtedy, gdy
spadająca rosa rozstrajała struny.

Poranki były tak piękne i otaczająca
okręt pustka tak zupełna, iż ludzie nie
śmieli się do siebie odzywać. Była to
wyjątkowa podróż, której cel jakby nie
istniał i która była podróżą samą w
sobie. Z materialnego punktu widzenia
„Sophie” była okrętem w pełni
obsadzonym przez załogę — na jej
pokład powrócili w Mahon ludzie z
pryzów. Płynęli spokojnie, bez zbędnej
nerwowości i pośpiechu, wszyscy
zajmowali się swymi zwykłymi,
codziennymi obowiązkami. Każdego
dnia odbywały się ćwiczenia w
strzelaniu, obsady dział popisywały się

coraz większą sprawnością, aż wreszcie pewnego dnia, na pozycji 16°31'E, baterii na lewej burcie udało się oddać trzy salwy w ciągu pięciu minut. Ponad wszystko jednak ważna była wspaniała pogoda i w miarę korzystne wiatry (pomijając ów tydzień ciszy na wschodzie, tuż po tym, jak przekazali rozkazy szwadronowi, którym dowodził Sir Sidney).

Wiodło im się aż za dobrze. Gdy chroniczny brak wody zmusił ich do podjęcia decyzji o zawinięciu na Maltę, jak na zawołanie rozdmuchał się umiarkowany lewanter. Jack powiedział wtedy z niepokojem:

— To jest zbyt piękne, by mogło trwać dłużej. Obawiam się, iż wkrótce przyjdzie nam za to zapłacić...

Szczególnie zależało mu na szybkim powrocie, na bardzo krótkim rejsie, który przekonałby lorda Keitha, iż kapitan Aubrey z największą powagą

traktuje powierzone mu zadania i wykonuje je z gorliwością. Nic nigdy nie wstrząsnęło tak Jackiem (po refleksji) jak owe uwagi na temat braku szans na awans. Słowa admirała były bardzo wyważone, życzliwe i przekonujące. Nie dawały Jackowi spokoju.

— Dziwię się, iż tak zależy panu na jakimś stopniu, na pompatycznym tytule — zauważył Stephen. —

Przecież już teraz wszyscy mówią o panu „kapitan Aubrey”. Również po awansie nadal będą nazywali pana w ten sposób. Z tego, co mi wiadomo, nie mówi się: „panie starszy kapitanie”... A może w grę wchodzi dążenie do symetrii? Może irytuje pana ten jeden epolet i chciałby pan mieć komplet?

— To też jest dla mnie ważne, tak jak i dodatkowe osiemnaście pensów dziennie. Co się tyczy tytułu, na pewno nie ma pan racji. Obecnie jestem nazywany kapitanem tylko

grzecznościowo. Dzięki uprzejmości
paru mądrali wykonuję po prostu
obowiązki dowódcy okrętu. Podobnie
jest w przypadku lekarzy — do felczera
mówi się przeważnie: „panie doktorze”.
Chyba i panu nie byłoby przyjemnie,
gdyby pacjent zwracał się do pana
inaczej. Po awansie rzeczywiście
stałbym się kapitanem. Miałbym do tego
tytułu niepodważalne prawo. Jeśli zaś
chodzi o symetrię, to nawet wtedy nie
nosi się obu epoletów. Mógłbym jedynie
przełożyć ten, który już posiadam, z
lewego ramienia na prawe. Dopiero po
trzech latach uzyskuje się prawo do
drugiego epoletu. Wszyscy oficerowie
we flocie marzą jednak o randze
starszego kapitana z zupełnie innego
powodu. Ten stopień otwiera drogę do
kariery. To jest naprawdę coś... Od tego
czasu wystarczy żyć odpowiednio długo,
by zostać kiedyś admirałem.
— I to właśnie jest szczytem ludzkich
marzeń? Czy dopiero wówczas człowiek

jest w pełni

szczęśliwy?

— Oczywiście. — Jack spojrzał na doktora zdziwiony. — Czy nie wydaje się to panu jasne?

— Och, tak...

— Później — Jack mówił dalej, uśmiechając się na myśl o tej możliwości — człowiek bez przerwy pnie się w górę. Stale posuwa się wyżej na liście od momentu, w którym zostaje na nią wpisany.

Niezależnie od tego, czy dowodzi statkiem czy nie. Wszystko według kolejności. W idealnym porządku.

Awanse na kolejne admiralskie stopnie i funkcje, a jest ich sporo... Bez względu na zasługi.

Tutaj już nie ma selekcji. Tego właśnie pragnę. Wcześniej wszystko zależy od pieniędzy, szczęścia lub poparcia przełożonych, którzy w większości bardzo przypominają bandę starych bab.

Nieustannie trzeba korzyć się przed

nimi: „tak, sir”, „nie, sir”, „pozostaję uniżonym sługą szanownego pana”...

Tak... Czy czuje pan zapach pieczonej

baraniny? Może zje pan ze mną obiad?

Zaprosiłem też oficera i podchorążego z

wachty...

Oficerem tym był Dillon, towarzyszył

mu młody Ellis, pełniący tymczasowo na

okręcie obowiązki podchorążego. Jack

już dawno zdecydował, iż nie będzie to

specjalnym naruszeniem zwyczajów i

dyscypliny, jeśli raz w tygodniu zaprosi

do siebie na obiad oficera (i czasem

podchorążego) z przedpołudniowej

wachty. Również kapitan w rewanżu

zapraszany był co tydzień do mesy

oficerskiej.

Dillon w taktowny sposób respektował

ów zwyczaj i obaj panowie byli wtedy

wobec siebie niezwykle uprzejmi.

Stwarzało to pozory normalności, tak

potrzebnej na przepełnionym okręcie.

Henry Ellis stanowił dzisiaj dodatkową

osłonę, zabezpieczenie. Okazał się

zwykłym, raczej sympatycznym

chłopcem. Z początku nieśmiały i
skromny, prześladowany przez
Babbingtona i
Rickettsa, szybko odnalazł swoje
miejsce. Może tylko trochę za dużo
mówił. Nie pozwalał sobie na to teraz,
przy kapitańskim stole. Siedział
sztywno, nie odzywając się ani słowem.
Czubki palców i uszy lśniły czystością,
łokcie trzymał przyciśnięte do boków.
Jadł z wilczym apetytem, połykając w
całości ogromne kęsy mięsa. Jack darzył
zawsze sympatią młodych ludzi, uważał
też, iż każdy gość przy stole zasługuje na
szacunek oraz uwagę. Dlatego
poczęstował podchorążego kieliszkiem
wina i
uśmiechnąwszy się uprzejmie,
powiedział:

— Dziś rano na fokmaszcie recytowali
panowie wiersze. Bardzo ładne. Zostały
chyba napisane przez pana Mowetta,
prawda? Zupełnie dobrze mu to
wychodzi... — Rzeczywiście. Wszyscy

na okęcie podziwiali piękny poemat o
nowym grotzagli. W innym swoim
utworze Mowett porównał okręt do
kąpiącej się dziewicy i ten fragment, a
zwłaszcza wyraz „dziewica”,
wywoływał szczególne skojarzenia u
najmłodszych podchorążych. Dziś rano
powtarzali głośno ową zwrotkę, mając
nadzieję, iż uda im się w ten sposób
dokuczyć autorowi. — Może zarecytuje
nam pan ten wiersz? Doktor na pewno
chciałby go usłyszeć.

— Och tak, bardzo proszę —
zainteresował się Stephen.

Nieszczęśliwy chłopak upchnął w
policzku nie połknięty kawałek baraniny
i zebrawszy wszystkie siły,
odpowiedział: „Tak, sir”. Patrząc w
okno, rozpoczął recytację.

— *Po srebrzystej toni bezkresnego
morza ...* — „O Boże, nie każ mi teraz
umierać...” — *Po srebrzystej toni bezkresnego morza.* — Druga linijka
poszła gładko, lecz w połowie trzeciej,
tej najważniejszej, głos podchorążego

nagle zawibrował, zachrypiał i załamał się zupełnie. W końcu Ellis wydusił z siebie słowo „dziewica”, lecz nie mógł powiedzieć niczego więcej.

— Bardzo ładne! — zawołał Jack, przerywając ciszę. — Bardzo interesujące. Panie doktorze, może kieliszeczek wina?

Mowett wszedł do kabiny cicho jak cień, odrobinę za późno, by podpowiedzieć koledze.

— Przepraszam, że przeszkadzam, sir — powiedział. — Trzy rumby na prawo od dziobu widać górne żagle jakiegoś okrętu.

Podczas całej podróży nie spotkali na pełnym morzu żadnych statków, jeśli nie liczyć kilku łodzi rybackich koło Grecji i transportowca zmierzającego z Sycylii na Maltę. Nic więc dziwnego, iż dostrzeżone na horyzoncie żagle obserwowano ze znacznie większą uwagą niż zwykle. Z pokładu brygu widoczne były już marsle i dolne reje z

fragmentami rozpiętych płócien. Dziś

rano „Sophie”

wyszła z Cieśniny Sycylijskiej i płynęła

na zachód. Gdy zauważony został ów

okręt, znajdowała się w odległości

około siedemdziesięciu mil na południe

od przylądka Teluada na Sardynii.

Wiała umiarkowana bryza z północnego

wschodu, do Mahon pozostało tylko

dwieście pięćdziesiąt mil.

Nieznany okręt zmierzał również w

kierunku zachodnim, lecz bardziej na

południe, tak jakby kierował

się w stronę Gibraltaru, a może Oranu.

Pojawił się na horyzoncie na północny

zachód od „Sophie” i jego kurs

powinien przeciąć się z kursem brygu.

Nie było na razie wiadomo, kto komu

przejdzie za rufą.

Uważny obserwator dostrzegłby na

pewno, iż „Sophie” pochyliła się

wyraźnie, gdyż wszyscy członkowie jej

załogi stali wzdłuż relingu na prawej

burcie. Zauważyłby też bez trudu, że

podekscytowane głosy na forkaście

ucichły nagle, jakby ucięte nożem.

Zgromadzeni na pokładzie ludzie jak na komendę przygryźli wargi (wyglądało to trochę zabawnie), gdy na widocznych na horyzoncie masztach ukazały się bramsle. Z całą pewnością był to więc okręt wojenny, zapewne fregata, jeśli nie liniowiec. Jego żagle postawione zostały bardzo nieudolnie — nie tak, jak powinno to wyglądać w Royal Navy.

— Proszę pokazać im sygnał, panie Pullings. Panie Marshall, musimy odpaść trochę. Panie Day, proszę przygotować działą.

Złożona w pakiecik czerwona flaga powędrowała szybko w górę, na fokmaszcie, by rozwinąć się w stronę dziobu. W tym samym czasie na grotmaszcie podniesiono białą flagę i proporzec. Działą wypaliło na nawietrzną.

— Błękitna brytyjska bandera, sir — zameldował Pullings, trzymający przy

oku lunetę. — Czerwony porporzec na grotmaszcie, a bandera z przodu...

— Do brasów! — zawołał Jack. —

Kurs półtora rumba na południe od południowego zachodu —

poleciał stanowczym głosem. Podobny zestaw flag był odpowiedzią na sygnał przed sześciu miesięcy.

— Postawić bombramsle, dolne żagle boczne i boczne bramsle. Panie Dillon, niech pan dokładnie przyjrzy się temu okrętowi.

James wspiął się na saling i skierował

lunetę w stronę widocznego na horyzoncie żaglowca, gdy tylko

„Sophie” znieruchomiała na nowym

kursie. Ponieważ bryg kołysał się na

długiej martwej fali z południa,

porucznik musiał równoważyć przechyły

wahadłowym ruchem wyciągniętej do przodu ręki.

W końcu udało mu się uchwycić i

zatrzymać w polu widzenia obcą

jednostkę. W popołudniowym słońcu

załśniło złotem na jej dziobie mosiężne
działo pościgowe. Z pewnością była to
fregata. Nie mógł policzyć jej furt
działowych, lecz co do tego nie miał
najmniejszych wątpliwości. Ciężka
fregata.

Bardzo piękna. Jej załoga również
stawiała dolne żagle boczne — mieli
trudności z jednym z wytyków.

— Sir! — Gdy James schodził z
powrotem na pokład, zatrzymał go
stojący na marsie podchorąży. —

Jest tutaj Andrews, który mówi, że to
może być „Dedaigneuse”.

— Niech popatrzy jeszcze raz przez
moją lunetę. — Porucznik podał
marynarzowi swój teleskop, najlepszy
na statku.

— Tak, to na pewno „Dedaigneuse” —
potwierdził Andrews, mężczyzna w
średnim wieku, ubrany w czerwoną,
pозnaczoną tłustymi plamami kamizelkę,
włożoną wprost na spalone ciało. —
Poznaję ten charakterystyczny dziób.

Byłem na niej więźniem przez trzy tygodnie. Wzięli mnie do niewoli z węglowca, na którym wtedy służyłem.

— Jakie mają uzbrojenie?

— Dwadzieścia sześć

osiemnastofuntówek na głównym pokładzie, sir, osiemnaście długich ośmioletów na rufówce i forkasztelu i długa, mosiężna pościgowa dwunastofuntówka na dziobie.

Kazali mi ją czasem polerować.

— To oczywiście fregata, sir —

zameldował James na dole. — Andrews z podwachtę żaglowej

twierdzi, że to „Dedaigneuse”, był na niej jeńcem.

— Cóż — uśmiechnął się Jack. —

Mamy szczęście, że już tak blisko do wieczora... — Rzeczywiście.

Słońce powinno zająć za cztery godziny, a zmierzch na tych szerokościach

geograficznych nie trwa długo. Był też nów księżyca. Chcąc schwytać

„Sophie”, fregata musiałaby żeglować o

dwa węzły szybciej niż teraz, co było prawie niemożliwe. Była dobrze uzbrojona, lecz nie tak szybka jak „Astree” czy „Pomone”. Tak czy inaczej, jedyną troską Jacka było rozwinięcie jak największej prędkości.

Zapadnięcie zmroku niekoniecznie oznaczało zakończenie pościgu. Gdy służył w Indiach Zachodnich, brał kiedyś udział w pogoni trwającej aż trzydzieści dwie godziny. Ważny mógł być każdy żagiel, każda reja. Wiatr wiał z lewego baksztagu, z najkorzystniejszego kierunku, i „Sophie” poruszała się z prędkością ponad siedmiu węzłów. Jej liczna, sprawna załoga szybko poradziła sobie z postawieniem dodatkowych żagli i w ciągu kwadransa fregata została nieco z tyłu. „Oby tak dalej” — pomyślał Jack, spoglądając na słońce przez słabe, poprzecierane płótno marsła. Za sprawą ulewnych deszczów na zachodnim Morzu Śródziemnym,

greckiego słońca oraz porywistych wiatrów żagle zdeformowały się i straciły impregnację. Zniszczone i powypychane, z powyciąganymi likami, nadawały się jedynie do żeglugi z wiatrem. Gdyby przyszło im ścigać się z fregatą, halsując pod wiatr, skutek byłby na pewno opłakany. Z tak workowatymi żaglami nie mogliby płynąć wystarczająco blisko wiatru.

Niestety. Gdy wypełniły się wiatrem wszystkie nieudolnie stawiane dodatkowe płótna fregaty, jej prędkość wzrosła i odległość między obiema jednostkami wyraźnie się zmniejszyła. Z początku trudno to było zauważyć — na horyzoncie widniała tylko lśniąca bielą piramida żagli — lecz po trzech kwadransach z pokładu rufówki „Sophie” widać już było kadłub ścigającego ją okrętu. Jack polecił, by zmieniono kurs o kolejne pół rumba i postawiono rozprzowego marsła.

Na rufie Mowett wyjaśniał Stephenowi,

jak stawia się ów żagiel: na zaciśniętym dookoła stengi bukszprytu jumpsztagu ze specjalnym ślizgaczem. Rzadko widywało się coś podobnego na okrętach wojennych. Jack stał obok działa rufowego na prawej burcie i nie spuszczać oka z fregaty, analizował w myślach ryzyko związane z postawieniem bocznych bramsli przy tak silnej bryzie.

Nagle na dziobie rozległo się donośne wołanie:

— Człowiek za burtą!

Henry Ellis wypłynął na powierzchnię poniżej stojącego na rufie kapitana.

Zdziwiona twarz chłopca ociekała wodą. Mowett rzucił mu natychmiast koniec liny z wolnego żurawika. Obie ręce sięgnęły ku niej rozpaczliwie, lecz głowa chłopaka zniknęła pod wodą i dłonie schwyciły próżnię. Po chwili widać było tylko głowę podskakującą pośrodku kilwateru.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę

Jacka. Jego twarz zeszywniała. Każde zmarnowane dziesięć minut oznaczało stratę przynajmniej jednej mili. Należało też wziąć pod uwagę chaos, jaki zapanuje, gdy żagle boczne zaczną pracować wstecz przy nagłej zmianie kursu, oraz czas potrzebny na ponowne rozpedzenie okrętu. Zagrożone było życie dziewięćdziesięciu ludzi. Były też inne względy: wpatrzone w dowódcę z ogromnym napięciem oczy, okropni, odpychający rodzice chłopca, który był jednak w pewnym sensie gościem na okręcie i protegowanym Molly Harte. Wszystkie te myśli pędziły jedna za drugą z prędkością błyskawicy, aż wreszcie Jackowi udało się złapać oddech.

— Spuścić bączek! — zawołał chrapliwym głosem. — Do żagli! Panie Marshall, proszę wyostrzyć. —

Bryg stanął w linii wiatru, łódź z pluskiem uderzyła o wodę. Prawie nie trzeba było wydawać rozkazów. Reje

zostały przebrasowane, podebrane w
górze żagle skurczyły się gwałtownie.

Fały, gejtawy i gordingi bez słowa
komendy gnały przez bloki. Pomimo
ogarniającej go ślepej furii Jack z
podziwem obserwował swoją załogę.

Bączek pełził boleśnie powoli, ścinając
łuk zakrzywionego kilwateru. Mijały
cenne minuty. Ludzie z załogi łodzi
wychylili się za burtę, manipulując
bosakiem. Niewiarygodnie długo.

Nareszcie zawrócili.

Byli już w jednej czwartej drogi z
powrotem, gdy nagle wszyscy pospadali
z ławek. Wioślarz pociągnął tak mocno,
że jego wiosło złamało się, a on sam
poleciał do tyłu.

— Jezus, Maria... — mruknął stojący
obok kapitana Dillon. Zanim bączek
znalazł się przy burcie, a topielec na
pokładzie, okręt ruszył z miejsca i zaczął
nabierać prędkości.

— Nie żyje — orzekli ludzie
wciągający chłopca na górę.

— Stawiać żagle — polecił Jack.

Wszyscy wiedzieli dokładnie, co mają robić, rozkazy były nieomal niepotrzebne. Czynności wykonywano zadziwiająco szybko i sprawnie. Zbyt szybko. „Sophie” nie zdążyła wrócić na swój poprzedni kurs, nie zdążyła rozpedzić się nawet do połowy poprzedniej prędkości, gdy rozległ się nieprzyjemny trzask i reja fokbramsła pękła na dwoje tuż przy maszcie.

Maturin ukląkł przy wydobytym z wody chłopcu i spojrzał na Jacka, który wydał Dillonowi zupełnie dla doktora niezrozumiałe polecenia. Porucznik natychmiast powtórzył to wszystko przez tubę wbiegającemu na górę po wantach bosmanowi i marynarzom z podwachtu żaglowej fokmasztu.

Kolejne polecenia były przeznaczone dla cieśli i jego pomocników. Przez moment kapitan analizował zmieniony układ sił działających na ożaglowanie oraz kadłub i kazał

odpowiednio zmienić kurs.

Wreszcie, zerknąwszy przez ramię na fregatę, z uwagą spojrzął w dół.

— Czy jest coś, co może pan zrobić, doktorze? Czy potrzebuje pan pomocy?

— Jego serce przestało bić — oznajmił Stephen. — Chciałbym jednak spróbować... Czy można w jakiś sposób podnieść go nogami do góry, tu na pokładzie? Na dole nie ma wystarczająco dużo miejsca...

— Shannahan, Thomas, użyjcie tej talii. Tylko przywiążcie go mocno... Róbcie, co doktor wam każe.

Panie Lamb, to wzmocnienie...

Stephen posłał Cheslina pod pokład po lancety, cygara i kuchenny mieszek do rozpalania ognia. Gdy pozbawione życia ciało chłopca uniosło się w górę, doktor pokręcił nim mocno dwa lub trzy razy; twarz Ellisa skierowana była do dołu, język wychodził na wierzch. Na pokład wylało się trochę wody.

— Trzymajcie go w ten sposób —

poleciał Maturin marynarzom i puścił
topielcowi krew za lewym i prawym
uchem. — Panie Ricketts, proszę zapalić
cygaro... — Dookoła zebrali się
wszyscy obecni na pokładzie
członkowie załogi „Sophie”, którzy nie
zajmowali się naprawą złamanej rei,
wymianą żagla, poprawianiem
ustawienia płócien i spoglądaniem na
fregatę. Mieli okazję obserwować, jak
Maturin wpycha do nozdrzy Ellisa wylot
napelnionego dymem z cygara mieszka.
Pomocnik doktora zatkał
drugą dziurkę nosa i usta chłopca.
Stephen umiejętnie skręcał wiszące do
góry nogami ciało, tak aby wnętrzności
rytmicznie naciskały na przeponę.
Rozległo się sapanie, potem urywany
charkot. Kolejne ruchy mieszkciem,
jeszcze więcej dymu, znów charkot i
wreszcie kaszel. — Możecie go opuścić
—
powiedział doktor do zafascynowanych
marynarzy. — Co ma wisieć, nie

utonie...

Tymczasem, ścigający „Sophie” okręt przybliżył się znacznie. Można było bez lunety policzyć jego furty działowe. Rzeczywiście była to duża fregata — oddając salwę burtową, posyłała w kierunku przeciwnika kule o łącznej wadze trzystu funtów (na dwadzieścia osiem funtów salwy burtowej „Sophie”) — bardzo mocno obciążona. Jej głęboko zanurzony kadłub nawet przy umiarkowanym wietrze pracował ciężko. Fale rozbijały się o dziób, bryzgi zalewały pokład. Pomimo to odległość dzieląca obie jednostki malała. „Jestem pewien, że przed zapadnięciem zmroku ten Francuz pozbędzie się bombramsli” — pomyślał Jack. — „Ma bardzo niedoświadczonych marynarzy...”

Uważna obserwacja fregaty pozwalała przypuszczać, iż na jej pokładzie znajdowało się wielu nowych ludzi, może całą załogę stanowili świeżo upieczeni żeglarze. Często zdarzało się

to na francuskich okrętach.

„Mogą strzelić do nas kilka razy na próbę...”

Aubrey spojrział na zachodzące powoli słońce. Zadowolone z siebie, wisiało wciąż wysoko nad horyzontem. Gdy dowódca „Sophie” po raz setny, odliczając, przemierzył odległość dzielącą ostatnie działko od rufowego relingu, złocista tarcza nadal znajdowała się w tym samym miejscu co poprzednio, tuż pod wybrzuszonym likiem marsła.

Życie na pokładzie brygu toczyło się ustalonym trybem. Na początku pierwszej psiej wachty gwizdki wezwały ludzi na kolację. Dopiero gdy wybito dwie szklanki, a Mowett zajęty był wybieraniem logu, Dillon zapytał ostrożnie:

— Czy mam wezwać ludzi na stanowiska, sir? — Nie wiedział, w jakim stanie ducha jest kapitan, mówił więc z wahaniem, patrząc, obok jego

twarży, na imponującą białą piramidę
lśniących w słońcu żagli „Dedaigneuse”.

Spienione fale przed dziobem
powodowały wrażenie, iż fregata płynie
z zawrotną prędkością.

— Oczywiście — potwierdził Jack. —

Ogłosimy alarm, gdy tylko pan Mowett
poda naszą prędkość.

— Siedem węzłów i cztery sążnie, sir

— zameldował porucznikowi młody
oficer wachtowy.

Porucznik obrócił się na pięcie,
zasalutował i zwracając się do dowódcy
okrętu, powtórzył te same słowa.

Zabrział bęben, w kubryku, w
zejściówkach i na pokładzie zatupały

głucho bosc stopy. Rozpoczął

się pracochlönny proces

przysnurowywania bonnetów do marsli

i bramslí. Mocowano również

dodatkowe baksztagi, mające wzmocnić

bramstengi, gdyż Jack zamierzał

postawić w nocy dodatkowe żagle. Co

najmniej sto razy poprawiono

ustawienie pracujących już płócien.

Zajęło to sporo czasu, lecz słońce nadal wisiało wysoko, a fregata przybliżała się coraz bardziej. Na fokmaszcie i stermaszcie niosła stanowczo za dużo żagli, lecz jej osprzęt musiał być chyba zrobiony ze stali. Niczego na razie nie zrzucili, wiatr nie zerwał żadnego z płócien (na to Jack najbardziej liczył).

Podczas ostatniej wachty „Dedaigneuse” zatoczyła się kilka razy gwałtownie, w nie kontrolowany sposób — na pewno zamierało wówczas serce jej francuskiego kapitana. „Dlaczego on nie zmieni ustawienia grotżagla, tak by ulżyć jej odrobinę?” — pytał sam siebie Aubrey. — „Musi być bardzo zawzięty, skoro tak ryzykuje”.

Na „Sophie” zrobiono już wszystko, co było możliwe. Oba okręty ścigały się po ciepłym morzu, w promieniach zachodzącego słońca. Odległość dzieląca fregatę od brygu malała powoli.

— Panie Mowett! — zawołał Jack,
przerywając nie kończący się spacer.

Młody nawigator wystąpił z grupki
oficerów, stojących przy lewym relingu
pokładu rufówki i obserwujących
„Dedaigneuse”. —

Panie Mowett... — zawiesił głos.

Pomimo jękliwego zawodzenia
grającego na wantach wiatru i skrzy-
pienia takielunku spod pokładu słychać
było dźwięki suity wiolonczelowej.

Oficer wachtowy czekał
cierpliwie, z szacunkiem pochylony w
stronę dowódcy. Bezwiednie korygował
pozycję ciała, tak by równoważyć
kołysanie. — Panie Mowett, czy mógłby
pan powiedzieć swój wiersz o nowym
grotzaglu? Bardzo lubię poezję... —

Jack uśmiechnął się przyjaźnie, widząc
przerażenie w oczach młodego
człowieka.

— Dobrze, sir — odpowiedział miękko
oficer, z wyraźnym wahaniem.

Zakaszłał, wyprostował się. —

„Nowy grotżagiel" — rzekł dobitnie i rozpoczął recytację. Jego głos był teraz znacznie bardziej chrapliwy i szorstki.

Grot przez szkwał rozdarty i w strzępy porwany

Leży z rei zdjęty. Już przygotowany

Jest nowy grotżagiel, zmieniono

gejtawy

I na maszt wciągnięto. Teraz trzeba

wprawy...

— Mowett deklamował dalej, opisując szczegółowo czynności wykonywane podczas mocowania do rei nowego żagla. Skończył wreszcie.

— Wspaniale! Naprawdę się to panu udało! — zawołał kapitan zachwycony, klepiąc młodego oficera po ramieniu. —

Pańskie wiersze powinny być drukowane w „Gentleman's Magazine".

Czy mógłby pan powiedzieć coś jeszcze?

Mowett skromnie spuścił oczy, nabrał powietrza i zaczął mówić.

— „Na specjalną okazję":

*Gdybyż mi tę sztukę osiąść było dane,
Bym zbudzić serce umiał, śpiące pośród
myśli biegu,
Udręczonej mej duszy będzie wtedy
znane
Zło, które się skryło na zawietrznym
brzegu.*

— Och, tak. Zawietrzny brzeg... —
mruknął Jack, potrząsając głową. W tej
chwili rozległ się pierwszy próbny
wystrzał fregaty. Po około stu
dwudziestu linijkach odgłos
pościgowego działa „Dedaigneuse”
znów przerwał recytację Mowetta, lecz
w pobliżu „Sophie” nie spadła ani jedna
kula.

Pierwszy dwunastofuntowy pocisk
przeleciał o dwadzieścia jardów za
prawą burtą brygu dopiero wtedy, gdy
dolna krawędź tarczy słonecznej
dotknęła widnokręgu. Mowett wygłaszał
właśnie raczej niefortunny fragment:

*Owładnięci strachem — przyszła pora próby,
Ulegli rozpaczy, nie chcieli swej*

zguby...

Po tych słowach przerwał na chwilę.

Uważał, iż koniecznie powinien coś wyjaśnić.

— Oczywiście chodzi tutaj, sir, o ludzi służących w marynarce handlowej...

— Tylko tak można ten fragment rozumieć — zgodził się kapitan. —

Obawiam się, że będę musiał panu przerwać. Proszę powiedzieć ochmistrzowi, że potrzebne będą trzy z jego największych beczek.

Proszę od razu zatoczyć je na dziób.

Panie Dillon... Panie Dillon, zrobimy teraz tratwę, na której umieścimy latarnię rufową i cztery mniejsze światła. Trzeba to zrobić na forkasztelu, pod osłoną żagli.

Nieco wcześniej niż zwykle Jack polecił, by zapalono wielką latarnię rufową i zszedł do swojej kabiny.

Chciał sprawdzić, czy wybrane okna na rufie były oświetlone dokładnie tak, jak zaplanował.

Gdy zapadł zmrok, również na fregacie
zapaliły się światła. Co więcej, z jej
fokmasztu i stermasztu znikły
bombramsle. Była teraz czarnym
cieniem na tle fioletowego nieba. Jej
dziobowe działo wypluwało co trzy
minuty czerwono pomarańczową strugę
ognia, na długo przed tym, zanim na
pokład „Sophie” dolatywał odgłos
wystrału.

Jaskrawa Wenus schowała się za
horyzontem i zrobiło się zupełnie
ciemno. Fregata nie strzelała już od
dłuższego czasu. Jej pozycję zdradzały
jedynie światła, które wyraźnie
przystały się przybliżyć.

— Proszę przeciągnąć tratwę za rufę —
poleciał Jack i prowizoryczna
konstrukcja powoli zaczęła przesuwac
się wzdłuż burty, zahaczając po drodze o
wytyki bocznych żagli i wszystko inne,
czego dotykała. Pośrodku tratwy
sterczała długa tyczka, na której, na
wysokości rufowego relingu „Sophie”,

zawieszono zapasową latarnię rufową.

Nieco niżej umieszczono w rzędzie

cztery mniejsze lampy. —

Potrzebuję teraz kogoś bardzo

sprytnego... — Jack rozejrzał się

dookoła. — Lucock!

— Tak, sir?

— Zejdiesz na tratwę i będziesz

zapalał kolejno latarnie dokładnie w

chwili, kiedy to samo światło zgaśnie na

okręcie.

— Tak jest, sir. Światła na okręcie

gasną, a ja wtedy natychmiast zapalam

lampy na tratwie.

— Weź ze sobą ogień, najlepiej

zasłoniętą latarnię, i przewiąż się w

pasie liną.

Była to niezwykle ryzykowna operacja,

gdyż bryg znajdował się w ruchu i za

rufą kotłowała się woda.

Ponadto istniało niebezpieczeństwo, iż

ktoś dostrzeże z pokładu fregaty

poruszającego się za rufą

„Sophie” człowieka. Lucock wszedł

jednak przez reling na pogrążony w

mroku pokład.

— Dobra robota — pochwalił kapitan.

— Zwolnić tratwę!

Oświetlona pięcioma lampami tratwa

została z tyłu, „Sophie” odetchnęła,

uwolniona od dodatkowego ciężaru. Z

oddali światła dobrze imitowały okręt,

jedynie trochę za bardzo kołysały się na

fali.

Bosman przymocował do platformy

skrzyżowane z sobą w kilku miejscach

kawałki starej liny, które świetnie

udawały ramy okienne.

Jack przyglądał się tratwie przez chwilę

i polecił, by postawiono boczne

bramsle. Marynarze rozplynęli się w

mroku na górze i wszyscy na pokładzie

zastygli w napięciu, nasłuchując z

najwyższą uwagą. Wiatr co prawda

osłabł, lecz fokbramreja była

uszkodzona i dodatkowe żagle... Szoty

zostały w końcu wybrane, naprężyły się

dodatkowe nawietrzne baksztagi. Świst

wiatru w olinowaniu podniósł
się o pół tonu i „Sophie” dziarsko
ruszyła do przodu. Ludzie, którzy zeszli
z masztów, stali obok swych
wytężających z obawą słuch kolegów,
równie zatroskani, co jakiś czas
spoglądając na kołyszącą się w oddali
tratwę. Nic złego się nie wydarzyło,
dodatkowe żagle pracowały poprawnie i
napięcie na pokładzie osłabło.

Zgromadzeni na pokładzie członkowie
załogi przestali zerkać na siebie
nerwowo. Wkrótce uwagę wszystkich
zaprzątnęło coś zupełnie innego:

„Dedaigneuse” znów zaczęła strzelać,
raz za razem, nagle zmieniła kurs,
ustawiając się oświetloną burtą w stronę
tratwy i oddając pełną salwę burtową.

Był to wspaniały widok: długa linia
jaskrawych rozbłysków i huk podobny
do przytłumionego grzmotu. Tratwa nie
ucierpiała i na pokładzie brygu ludzie
chichotali uradowani.

Francuzi strzelali z wściekłą pasją,

kolejne salwy odzywały się jedna za drugą, aż wreszcie wszystkie kołyszące się na wodzie i światła zgasły w jednej chwili.

„Czy myślą, że nas zatopili?” — zastanawiał się Jack, patrząc na widoczną w oddali oświetloną burtę fregaty. — „A może odkryli nasz podstęp? Czy będą dalej nas ścigać? W każdym razie na pewno nie przyjdzie im na myśl, że popłynęliśmy dalej tym samym kursem. Daję głowę”.

Podobne przeświadczenie nie mogło jednak przewyciężyć skrytego w sercu i umyśle niepokoju. Gdy weszły Plejady, Jack wspinał się na top masztu i przez nocną lunetę obserwował uważnie morze za rufą. Pozostał tam aż do świtu, a nawet do wschodu słońca, choć już wiadomo było, iż fregata została daleko z tyłu lub kontynuując pościg, zmieniła kurs.

„Prawdopodobnie skierowali się na północny zachód” — pomyślał Jack,

odkładając lunetę. Oparł ją o brzuch i
złożył szybko, mrużąc oczy oślepione
jaskrawym światłem słonecznym.

„Przynajmniej ja bym tak zrobił...”

Zszedł ostrożnie na pokład i do swojej
kabiny. Posłał po pierwszego
nawigatora, który powinien znać już
dokładną pozycję brygu. Czekając na
pana Marshalla, zamknął na chwilę
oczy.

Okazało się, iż znajdują się zaledwie
piętnaście mil od przylądka Bougaroun,
na północnym wybrzeżu Afryki.

Uciekając przed pościgiem, przebyli
ponad sto mil, z tego większość w
niekorzystnym kierunku.

— Będziemy teraz musieli płynąć
bardzo ostro do wiatru, jeśli to, co teraz
wieje, można w ogóle nazwać wiatrem
(podczas środkowej wachty bryza
zmieniła kierunek i osłabła wyraźnie).

Musimy iść tak ostro, jak to tylko
możliwe. Tak czy inaczej, nie ma co
marzyć, że rejs będzie krótki... —

Mówiąc te słowa, kapitan odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Pomyślał, iż dobrze się stało, że Afryka nie przesunęła się jakimś cudem w nocy o pół stopnia na północ. Uśmiechnął się na myśl o tym i zasnął.

Pan Marshall wypowiedział kilka uwag, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

Przez chwilę z troską przyglądał się śpiącemu dowódcy, z czułością ułożył mu wyżej nogi i wsunął delikatnie pod głowę poduszkę, zwinął mapy i na palcach wyszedł z kabiny.

Tak. Nic nie wyszło z krótkiego rejsu.

„Sophie” musiała teraz żeglować na północny wschód i z tego też kierunku (co jakiś czas tylko) wiał wiatr.

Przeważnie panowała martwa cisza i w końcu, aby dotrzeć do Mahon, załoga spędziła dwanaście godzin przy wiosłach. Do portu dowlekli się wycieńczeni — w ciągu czterech ostatnich dni obowiązywał zmniejszony do jednej czwartej przydział

wody.

Gdy „Sophie” wychodziła w morze,
również posuwała się po kanale
portowym z prędkością żółwia.

Obie łodzie holowały z przodu, na
pokładzie ludzie powoli poruszali
ciężkimi wiosłami. W

nieruchomym powietrzu unosił się
wstrętny odór z garbarni.

— To paskudne miejsce — zauważył
Jack, patrząc w stronę wyspy
kwarantannowej.

— Tak pan uważa? — zapytał Stephen.

Wracając dziś na okręt, przyniósł ze
sobą zawiniętą w żaglowe płótno ludzką
nogę. Zupełnie świeżą — prezent od
pana Floreya. — Moim zdaniem ta
wyspa ma swoje uroki...

— Może dla pana, bo bardzo interesuje
się pan ropuchami — odpowiedział Jack
złośliwie. — Panie Watt! Niech ci
ludzie przyłożą się trochę do wiosła!

Kapitan wciąż był poirytowany
przykrością, jaka spotkała go ostatnio.

W istocie nie tyle była to przykrość, co denerwująca i niepotrzebna złośliwość.

Zaprosił do swej łodzi, proponując podwiezienie, Evansa, dowódcę okrętu

„Aetna”, chociaż oznaczało to

konieczność uciążliwego lawirowania

wśród transportowców wyruszającego

na Maltę konwoju. W pewnej chwili

Evans

spojrzał znacząco na epolet Jacka i

zapytał gburowato:

— Gdzie go pan kupił?

— U Pauncha.

— Tak myślałem. Paunch sprzedaje

epolety wykonane w dziewięciu

dziesiątych z mosiądzu. Prawie nie ma

w nich złota. Po jakimś czasie widać to

od razu.

Złośliwość i zawiść. Aubrey usłyszał

niedawno kilka takich uwag, wszystkie

wynikały z takich samych, żalonych

pobudek. Nie potrafił zrozumieć czegoś

podobnego. Nigdy nie zazdrościł nikomu

samodzielnego patrolu lub szczęścia w

zdobywaniu przyzów. Nigdy nie był
wobec kogoś nieuprzejmy z tego
powodu. Jak się później okazało,
szczęście nie sprzyjało mu aż tak bardzo.
Pan Williams przyjął go z niewyraźną
miną, gdyż część ładunku statku „San
Carlos” nie mogła zostać sprzedana.
Towar ów należał do pewnego Greka z
Ragusy i na dodatek objęty był
brytyjskim ubezpieczeniem.
Niezwykle wysokie opłaty w sądzie
kaperskim sprawiały, iż nie opłacało się
przysyłać do Mahon mniejszych
jednostek. Jakby tego było mało,
stocznia urządziła karczemną awanturę z
powodu owej złamanej niefortunnie
fokbramrei, chociaż to był tylko kawałek
drewna, nic więcej. No i te baksztagi...
Wszystkie te sprawy wydawały się
jednak niczym w porównaniu z faktem,
że Molly Harte była u siebie tylko przez
jedno popołudnie. Musiała wyjechać do
Lady Warren, do Ciudadela: ta dłuższa
wizyta była zaplanowana już od dawna,

tak przynajmniej powiedziała. Jack nie przypuszczał, że tak wiele może to dla niego znaczyć, że będzie aż tak nieszczęśliwy.

Tak. Ten postój w porcie przyniósł całą serię rozczarowań i nieszczęść. Mercy i to, co dziewczyna miała mu do powiedzenia — owszem, to rzeczywiście było przyjemne, nic więcej. Lord Keith odpłynął dwa dni wcześniej. Był podobno bardzo zdziwiony, iż „Sophie” tak długo nie wraca. Kapitan Harte oczywiście nie omieszkał przy pierwszej sposobności wspomnieć o tym jej dowódcy. Wyspy nie opuścili jeszcze rodzice młodego Ellisa i Jack ze Stephenem musieli skorzystać z ich gościnności.

Po raz pierwszy w życiu mieli okazję widzieć, jak pół butelki lichego białego wina podzielono między cztery osoby. Rozczarowania. Załoga, rozpuszczona przez pieniądze z przyzów, zachowywała

się fatalnie, gorzej niż źle, nawet jeśli
wzięło się poprawkę na dopuszczalne w
porcie rozluźnienie dyscypliny. Czterech
ludzi osadzono w więzieniu za gwałt,
czterej inni tuż przed wyjściem statku w
morze upili się do nieprzytomności,
jeden złamał sobie nadgarstek i
obojczyk.

— Pijane bydlaki... — powiedział Jack
z wyrzutem, patrząc na wiosłujących
marynarzy. Wielu z nich było w
opłakany stan: brudni, nie ogoleni,
półprzytomni. Niektórzy wciąż mieli na
sobie swoje najlepsze ubrania, teraz
brudne i wygniecione. Na pokładzie
unosila się woń zjełczanego dymu,
tytoniu, potu i charakterystyczny zapach
burdelu. „W ogóle nic przejmują się
karami. Muszę mianować tego niemego
Murzyna, Kinga, pomocnikiem bosmana.
Trzeba też będzie zainstalować na
pokładzie przyzwoity pręgierz. Może to
nauczy ich trochę rozsądku”.

Rozczarowania. Bele porządnego płótna

żaglowego numer trzy i cztery, które Jack zamówił i za które zapłacił z własnej kieszeni, nie zostały dostarczone. W sklepach zabrakło strun do skrzypiec. Jego ojciec pisał w liście rozentuzjasmowanym tonem o zaletach ponownego małżeństwa. O wielkiej wygodzie, jaką jest prowadząca gospodarstwo domowe kobieta, o tym, jak pożądaną z każdego punktu widzenia rzeczą jest małżeństwo, nasz wielki obowiązek względem społeczeństwa. Nieistotna była pozycja społeczna wybranki — pisał generał Aubrey. Pozycja społeczna kobiety jest taka sama jak pozycja jej męża. Najważniejsza była „dobroć serca”, a kobiety o dobrym sercu można znaleźć również w wiejskich chałupach. Różnica wieku między prawie sześćdziesięcioletnią a dwudziestoletnią dziewczyną była „nieważna”. Zdanie: „To tak jakby stary ogier wziął sobie młodą...” zostało

przekreślone i obok strzałki wskazującej
słowa „prowadząca gospodarstwo
domowe” znajdował się dopisek: „Ktoś
taki jak twój porucznik na okręcie”.
Jack spojrzął ponad pokładem rufówki
na Dillona, pokazującego młodemu
Lucockowi, jak należy trzymać sekstant i
jak sprowadza się słońce w dół, aż do
horyzontu. Całe ciało chłopca wyrażało
skrywany, lecz niezwykle intensywny
zachwyty, radość z możliwości poznania
tak wielkiej tajemnicy, starannie i (co
najważniejsze) w przystępny sposób
wyjaśnionej. Widząc to, Jack zaczął
powoli zapominać o złym humorze. W
tej samej chwili postanowił skierować
statek na południe, dookoła wyspy, i
zawinąć do Ciudadela. Zobaczy tam
Molly — w całej tej sprawie chodziło
zapewne o jakieś małe głupie
nieporozumienie, które na miejscu
wyjaśni — spędzą razem cudowną
godzinę w
osłoniętym wysokim murem ogrodzie,

wysoko ponad zatoką.

W oddali, za fortem Świętego Filipa,
pas pomarszczonej wody zapowiadał
poruszające się powietrze, dawał
nadzieję na zachodnią bryzę. Po dwóch
godzinach wiosłowania w coraz
większym upale, dotarli tam wreszcie,
zlani potem. Łodzie zostały podniesione
z wody, żagle przygotowano do
postawienia.

— Może pan teraz skierować się w
stronę wyspy Ayre — powiedział Jack
do pierwszego nawigatora.

— Na południe, sir? — zapytał pan
Marshall zdumiony, gdyż najkrótszy kurs
w kierunku Barcelony prowadził na
północ, dookoła Minorki. Wiatr też
sprzyjał.

— Tak — odpowiedział Jack krótko.

— Południe do zachodu — nawigator
podał kurs sternikowi.

— Jest południe do zachodu, sir —
oznajmił sternik i przednie żagle
wypełniły się wiatrem.

Od strony otwartego morza nadleciał
podmuch świeżego powietrza, pachnący
solą i pozwalający zapomnieć o
smrodzie. „Sophie” pochyliła się
nieznacznie i ożyła wreszcie. Stephen
wrócił na rufę z forkasztelu, gdzie stał
przy swojej pompie z pnia wiązu.

Widząc go, Jack zawołał:

— Boże, jak to wspaniale znowu być w
morzu! Czy na łądzie nie czuje się pan
jak borsuk zamknięty w beczce?

— Borsuk w beczce? — zdziwił się
Stephen, myśląc o wszystkich znanych
sobie rasach borsuków. —

Raczej nie.

Rozmawiali cicho i chaotycznie o
borsukach, wydrach i lisach. O pogoni
za lisem, o zaskakujących przykładach
lisiej przebiegłości, perfidii,
wytrwałości i dobrej pamięci. Omówili
polowania na jelenie i dziki. W tym
czasie bryg poruszał się powoli wzdłuż
brzegów Minorki.

— Pamiętam, że jadłem niedawno mięso

z dzika — zauważył Jack. Całkowicie
powrócił jego dobry humor. — Jedliśmy
razem taką potrawę... Wtedy, gdy
pierwszy raz miałem przyjemność
spożywać obiad w pańskim
towarzystwie. Przypomina pan sobie?
— Tak. Pamiętam, że rozmawialiśmy o
języku katalońskim, a to z kolei
przypomniało mi o czymś...
Już wczoraj wieczorem chciałem panu o
tym opowiedzieć. Wybraliśmy się z
Jamesem Dillonem
ostatnio aż za Ulla, aby obejrzeć
starożytne kamienne rzeźby sakralne (z
pewnością celtyckie), i dwóch
pracujących w polu chłopów rozpoczęło
rozmowę na nasz temat. Wołali do
siebie głośno z daleka. Spróbuję
powtórzyć ich rozmowę. Pierwszy
wieśniak: Widzisz tych zadowolonych z
siebie heretyków? Na spacer się
wybrali... Ten rudy to pewnie jakiś
potomek Judasza Iskarioty. Na pewno.
Drugi wieśniak: Tam gdzie przejdą

Anglicy, ciężarne owce tracą jagnięta.

Oni wszyscy są tacy. Niech ich krew

zaleje. Dokąd idą ci dwaj? Skąd

przyszli? Pierwszy wieśniak: Idą

zobaczyć rzeźby, obaj są z udającego

statek handlowy okrętu, zakotwiczonego

naprzeciwko magazynu Bepa Ventury.

Wypływają w morze o świcie w

czwartek, na patrol wzdłuż wybrzeża, od

Castellonu do przylądka Creus. Na sześć

tygodni. Bardzo mało płacą za świnię.

Tak. Niech ich krew zaleje.

— Nie byli zbyt oryginalni —

powiedział Jack z zadumą. — Wyraźnie

niezbyt dobrze nam życzą. I pomyśleć, że

przez większość ostatniego stulecia

zapewnialiśmy im bezpieczeństwo.

— To zaskakujące, prawda? — zgodził

się Stephen. — Chodziło mi jednak o

coś innego. Chciałem zwrócić panu

uwagę na to, iż nasz patrol może nie być

dla Hiszpanów tak wielką

niespodzianką, jak pan przypuszcza.

Między tą wyspą a Majorką trwa bardzo

ożywiony ruch: rybacy, przemysłowcy...

Na stole hiszpańskiego gubernatora
znaleźć można raki z Fornells, masło z
Xambo i ser z Mahon.

— Tak, rozumiem, o co panu chodzi.

Dobrze, że zwrócił mi pan na to uwagę.

Dziękuję.

Od posępnego, wysokiego brzegu na
prawym trawersie oderwał się nagle
jakiś ciemny kształt.

Olbrzymie, ponure i złowieszcze
ptaszysko. Stephen chrząknął w sposób
dziwnie przypominający świnię, wyrwał
spod pachy kapitana lunetę, odepchnął
go łokciem i przykucnąwszy przy
relingu, oparł
teleskop na poręcz. Z napięciem
ustawiał najlepszą ostrość.

— Brodaty sęp! To brodaty sęp! —

zawołał. — Młody brodaty sęp!

— No cóż — odezwał się Jack bez

chwili wahania. — Na pewno

zapomniał się dziś rano ogolić. —

Jego rumiana twarz wykrzywiła się,

oczy zamieniły się w wąskie błękitne szparki. Uderzył dłonią w udo, zgięty w paroksyzmie prawie bezgłośnego, zaraźliwego śmiechu. Pomimo obowiązującej na „Sophie” surowej dyscypliny stojący za kołem sterowym marynarz nie potrafił oprzeć się wesołości i zarechotał zduszonym głosem, szybko jednak został uciszony przez wydającego komendy na ster oficera.

— Są chwile, w których rozumiem powody, dla których lubi pan tego człowieka — powiedział James cicho.

— Nie spotkałem dotąd nikogo, kto potrafiłby tak intensywnie cieszyć się z najprostszycz rzeczy.

Wachtę pełnił pan Marshall. Ochmistrz był na dziobie i omawiał z bosmanem jakieś rachunki. Kapitan siedział w swojej kabinie. Był wciąż we wspaniałym humorze. Część umysłu Jacka zajęta była obmyślanie nowego kamuflażu dla „Sophie”, inna część

delektowała się szczęśliwym, jak
oczekiwał, zakończeniem wizyty u pani
Harte w Ciudadela dziś wieczorem. Na
pewno Molly zdziwi się na jego widok.
Jakże szczęśliwi będą razem! Stephen i
James grali w szachy w mesie
oficerskiej.

Brawurowy atak Jamesa, oparty na
poświęceniu skoczka, gońca i dwóch
pionków, rozwinął się już na tyle, iż
Stephen długo musiał zastanawiać się
nad ruchem nie prowadzącym do mata w
następnych trzech posunięciach. Nie
znajdował innego wyjścia niż zrzucenie
ze stołu szachownicy. James bardzo
przejmował się podobnymi rzeczami,
więc Stephen postanowił przeczekać do
chwili, w której werbel wezwie
wszystkich na stanowiska. Machał w
zadumie trzymaną w ręku królową i
nucił coś cicho.

— Wygląda na to — przerwał ciszę
James — że istnieje spore
niebezpieczeństwo zawarcia pokoju. —

Stephen przygryzł wargi i zamknął jedno oko. On również słyszał podczas postoju w Mahon takie plotki. Dillon mówił dalej: — Mam więc nadzieję, że uda nam się zakosztować prawdziwej walki, zanim będzie za późno. Pański ruch...

— Wiem o tym — powiedział szybko Maturin. Spojrzał ukradkiem na Jamesa i ze zdziwieniem

dostrzegł na jego twarzy nie skrywaną rozpacz. Czas nie działał tak, jak się tego Stephen spodziewał, rany wciąż się nie zablizniały. Na horyzoncie nadal widać było amerykański statek. — Czy pańskim zdaniem do tej pory nie mieliśmy żadnej okazji do walki? — zagadnął po chwili.

— Chodzi panu o tę szamotaninę?

Myślałem o czymś znacznie poważniejszym, na szerszą skalę...

— Nie, panie Watt — mówił ochmistrz, odhaczając ostatnią pozycję na prywatnym porozumieniu, dzięki któremu wraz z bosmanem uzyskiwali po

cichu trzymaście i pół procent wartości
niektórych dostaw zamawianych przez
ich działa. — Może pan mówić, co się
panu podoba, lecz według mnie ten
nieopierzony młokos straci w końcu
„Sophie”. Co gorsza, my wszyscy
dostaniemy przy tym po głowie lub
zostaniemy jeńcami. Nie mam wcale
ochoty spędzić reszty swoich dni w
hiszpańskim lub
francuskim więzieniu, że nie wspomnę o
algierskiej galerze. Nie chcę skończyć
przykuty do wiosła i w deszczu lub w
piekącym słońcu siedzieć we własnym
gnoju. Nie chcę też, by mój Charlie
oberwał
po głowie. Dlatego myślę o
przeniesieniu. Zawód oficera marynarki
niesie ze sobą spore ryzyko, to prawda.
Godzę się na to, by mój syn był na nie
narażony. Chodzi mi jednak o narażanie
się na niebezpieczeństwo w normalnie
przyjętych granicach. Nie o takie szalone
wybryki jak wysadzenie tych cholernych

dział; zbliżanie się nocą pod sam brzeg,
tak jakby on do nas należał; nabieranie
wody tu i tam tylko po to, by trochę
dłużej pozostać w morzu; rzucanie się na
wszystko, co tylko się porusza,
niezależnie od rozmiarów... Do tej pory
udawało się nam, lecz nie możemy
ciągle liczyć na szczęście. To tylko
ślepy traf.

— Może ma pan rację, panie Ricketts —
zgodził się bosman. — Ja też nie mogę
powiedzieć, żeby podobały mi się
niektóre ostatnie zmiany w olinowaniu.

Myli się pan jednak, twierdząc, iż
wszystkim rządzi tu przypadek. Niech
pan spojrzy na te liny. Lepszych nigdzie
pan nie zobaczy. Nie ma w nich nitki
identyfikacyjnej. — Bosman mówił,
rozczesując koniec liny marszpikiem. —

Niech pan
popatrzy. A dlaczego nie ma w tych
linach nitki identyfikacyjnej, panie
Ricketts? Ponieważ nie przysłała ich
tutaj królewska stocznia, ot co. Ten

cholerny sknera, zarządca stoczni

Brown, nie widział ich nawet. Nasz

kapitan zapłacił za nie z własnej

kieszeni, podobnie jak za farbę, na

której pan właśnie siedzi... — „I co

teraz, ty rozlazły, podły dusigroszu?” —

dodałby pan Watt chętnie na

zakończenie, gdyby nie był spokojnym i

ugodowym człowiekiem i gdyby odgłos

bębna nie zaczął wzywać

wszystkich na stanowiska.

— Proszę wezwać sternika mojej łodzi

— polecił Jack, gdy bicie bębna

obwieściło zakończenie ćwiczeń. Ludzie

szybko przekazywali sobie polecenie

dowódcy: „Kapitański sternik,

kapitański sternik, gdzie jesteś, George?

Pokaż nogę, George. Biegiem, George.

Masz kłopoty, George. George zaraz

dostanie za swoje... Cha, cha, cha...” Po chwili na pokładzie rufówki pojawił się

Barret Bonden.

— Bonden, chcę, żeby załoga łodzi

wyglądała przyzwoicie: umyć, ogoleni,

uczesani, surduty, słomkowe kapelusze i

wstążki.

— Tak jest, sir — odpowiedział sternik z kamienną twarzą, bardzo był jednak zdumiony. Ogoleni?

Uczesani? We wtorek? W czwartki i w niedziele wszyscy stawali umyci na apelu, lecz kto to widział golić się we wtorek? W morzu! Popędził do fryzjera okrętowego. Jeszcze nie wszyscy wioślarze byli gotowi, gdy sprawa się wyjaśniła. Okręt opłynął przylądek Dartuch i przed dziobem, z prawej strony, pojawiło się miasto Ciudadela. Zamiast pożeglować na północny zachód, „Sophie” skierowała się w stronę portu i stanęła w dryfie z pracującym wstecz fokmarslem, na piętnastosążniowej wodzie, ćwierć mili od falochronu.

— Gdzie jest Simmons? — zapytał James Dillon, spoglądając na schodzących za burtę do łodzi marynarzy.

— Zachorował, sir — wyjaśnił Bonden

i nieco ciszej dodał: — Dziś są jego
urodziny...

Porucznik skinął głową. W oczy rzucał
się również człowiek zastępujący

Daviesa: był co prawda odpowiedniego
wzrostu i miał na głowie słomkowy

kapelusz z czarną wstążką z

wyhaftowanym

napisem „Sophie”, lecz

ciemnogrnatowy surdut tego wioślarza

wyraźnie różnił się od pozostałych.

Nic nie można już było na to poradzić,

gdyż na pokładzie pojawił się kapitan,

bardzo elegancki w swym najlepszym

mundurze, z paradną szpadą i w

obszywanym złotem kapeluszu.

— Będę na brzegu nie dłużej niż

godzinę, panie Dillon — powiedział. W

jego zachowaniu widać było

pozorowaną obojętność, pod którą

skrywał rosnące podniecenie. Rozległ

się gwizdek bosmana i zszedł do

wyszorowanej, lśniącej czystością łodzi.

Bonden nie pomylił się w doborze ludzi:

Jacka absolutnie nie obchodziło to, w jakiego koloru surduty ubrani byli siedzący u wiosła marynarze.

O zachodzie słońca niebo było trochę zachmurzone. Dzwony w Ciudadela biły na Anioł Pański, a okrętowy dzwon „Sophie” obwieścił rozpoczęcie nowej wachty. Wzeszedł księżyc, bardzo bliski pełni, wspinał się dziarsko po niebie za Black Point. Na sygnał gwizdka ludzie znieśli hamaki na dół.

Wachty zmieniły się. Zarażeni od Lucocka pasją do nawigacji, podchorążowie dokonywali obserwacji wschodzącego księżyca i wybranych gwiazd. Osiem szklanek. Środkowa wachta. W Ciudadela zgasły już prawie wszystkie światła.

— Łódź się zbliża, sir — zameldował obserwator. W dziesięć minut później Jack wszedł na pokład.

Był bardzo blady i w świetle księżyca wyglądał przerażająco. W miejscu oczu i ust ziała czarna pustka.

— Wciąż jest pan na pokładzie, panie
Dillon? — zapytał, siląc się na uśmiech.
— Proszę postawić żagle. Ta słabnąca
morska bryza pomoże nam oddalić się
od brzegu — powiedział i chwiejnym
krokiem zszedł do swej kabiny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Majmonides relacjonuje historię
pewnego lutnisty, który mając zagrać
podczas jakiejś uroczystości, stwierdził,
że nie tylko zapomniał utwór, lecz
również całkowicie stracił umiejętność
gry, palcowania, wszystko" — pisał
Stephen. — „Czasami obawiam się, iż
ze mną może stać się coś podobnego.
Nie jest to tylko irracjonalny lęk, gdyż
dane mi już było doświadczyć czegoś
takiego. Gdy jako chłopiec po
ośmioletniej nieobecności powróciłem
do Aghamore, wybrałem się do Birdie
Coolan, a ona odezwała się do mnie po
irlandzku. Jej głos był mi jak najbardziej
znajomy (była moją nianią), znajoma
była także intonacja i brzmienie

niektórych wyrazów. Niczego jednak nie
mogłem
zrozumieć. Birdie mówiła coś do mnie,
a ja nie pojmowałem znaczenia jej słów.
Zupełnie wtedy osłupiałem. Wspominam
o owym zdarzeniu, gdyż ostatnio nie
potrafię powiedzieć, co moi przyjaciele
czują, myślą, zamierzają, o co im chodzi.
To oczywiste, że J.A. przeżył w
Ciudadela jakieś olbrzymie
rozczarowanie — nie przypuszczałem, iż
cokolwiek może do tego stopnia
wstrząsnąć tym
człowiekiem — a J.D. nadal jest wielce
nieszczęśliwy. Tylko tyle wiem — obaj
nie rozmawiają ze mną i nie udaje mi się
zajrzeć w głąb ich dusz. Pewną
przeszkodą jest też moja niecierpliwość.
Muszę teraz uważać, nie wolno mi
zarazić się od nich złym humorem.
Bardzo lubię ich obu, lecz z chęcią
posłałbym i jednego, i drugiego do
diabła. Irytuje mnie ich nadmiernie
wybujane, egocentryczne poczucie

honoru oraz bezmyślne prowokowanie
się nawzajem do dokonywania
niezwykłych czynów, do podejmowania
ryzyka, które może skończyć się
tragedią. Nawet śmiercią. Nie chodzi mi
o to, iż może zginąć jeden z nich — to
ich prywatna sprawa. Zagrożone jest
również moje życie i życie pozostałych
członków załogi. Ci dwaj narwańcy nie
biorą pod uwagę tego, że wszyscy
możemy zostać zabici, że okręt zatonie,
że moje zbiory przepadną bezpowrotnie.
Ważniejsze są dla nich jakieś idiotyczne
konwenanse. Irytuje mnie takie
lekceważenie innych aspektów
ludzkiego istnienia. Połowę czasu
spędzam, puszczając im obu krew,
zalecając dietę, podając środki na
przeczyszczenie i pigułki nasenne.
Obydwaj jedzą zbyt wiele i stanowczo
za dużo piją, zwłaszcza J.D. Czasami
wydaje mi się, iż obaj tak zamknęli się
przede mną, gdyż postanowili
pojedynkować się podczas najbliższego

postoją w porcie — wiedzą doskonale,
iż zrobiłbym wszystko, aby temu
zapobiec. Tak mnie to denerwuje!
Gdyby to oni zajmowali się
szorowaniem pokładów, stawianiem
żagli i sprzątaniami ustępów na dziobie,
dawno wywietrzałyby im z głów
podobne pomysły. Nie mam już
cierpliwości. Obaj są dziwnie
niedojrzali, jak na mężczyzn w ich
wieku i na tak odpowiedzialnych
stanowiskach. Z drugiej strony, inaczej
po prostu by ich tutaj nie było. W pełni
dorosły i myślący człowiek nie zaciąga
się na okręt wojenny, by tułać się po
morzach i oceanach w poszukiwaniu
okazji do użycia bezsensownej
przemocy. Pomimo swej wrażliwości (z
niezwykłą delikatnością zagrał
transkrypcję *Deh vieni*, tuż przed naszym przybyciem do Ciudadela) J.A. pod
wieloma względami bardzo pasuje do
roli
przywódcy piratów na Karaibach sto lat
temu. J.D. z kolei, mimo tak bystrego

rozumu, z łatwością może stać się entuzjastą, współczesnym Loyolą, jeśli oczywiście przedtem nie oberwie po głowie lub nie nadzieje się na coś ostrego. Sporo dała mi do myślenia ta nieszczęsna rozmowa..." „Sophie", ku wielkiemu zaskoczeniu załogi, po opuszczeniu Ciudadela nie skierowała się w stronę Barcelony.

Ruszyła na północny zachód i o świcie, okrążywszy przylądek Salou, tuż przy brzegu napotkała załadowany do pełna hiszpański statek handlowy o wyporności około dwustu ton. Na jego pokładzie znajdowało się sześć sześciofuntowych armat, żadnej z nich jednak nie użyto. „Sophie" czekała od strony lądu, tak jakby to spotkanie zostało umówione na kilka tygodni wcześniej i jakby ów statek z dokładnością co do godziny zjawił się na ustalonym miejscu.

— To bardzo dochodowy interes — stwierdził James, patrząc na przy odpływający ze sprzyjającym wiatrem

do Mahon. „Sophie”, halsując, płynęła
tymczasem w kierunku objętego
patrolem obszaru, jednego z najbardziej
ruchliwych szlaków żeglugowych na
świecie. Nie o te słowa Jamesa chodziło
Stephenowi.

Nie. Ta rozmowa odbyła się znacznie
później, po obiedzie, gdy doktor
przechadzał się z Jamesem po pokładzie
rufówki. Dyskutowali beztrosko o
obyczajach charakterystycznych dla
różnych narodów: o życiu nocnym
Hiszpanów; o tym, że Francuzi po
posiłku wstają wszyscy razem,
mężczyźni i kobiety, i przechodzą do
salonu; że w Irlandii wszyscy pozostają
w jadalni, pijąc wino, aż do chwili, gdy
któryś z gości zechce odejść od stołu (w
Anglii wybór odpowiedniej ku temu
chwili należy do gospodarza); o
różnicach w sposobie pojedynkowania
się.

— W Anglii pojedynki zdarzają się
bardzo rzadko — zauważył James.

— To prawda — zgodził się Stephen.

— Gdy pierwszy raz pojechałem do Londynu, byłem bardzo zaskoczony, że mężczyzna przez okrągły rok może się tam nie pojedynkować.

— Tak. Honor w obu królestwach pojmowany jest zupełnie inaczej. Wiele razy bezskutecznie prowokowałem Anglików w sposób, który w Irlandii musiałby doprowadzić do walki. Nie wiem, jak to nazwać: nieśmiałością czy raczej tchórzostwem?

— Dillon wzruszył ramionami i miał właśnie zacząć mówić dalej, gdy na pokładzie otworzył się świetlik kabiny i pojawiła się w nim głowa Jacka.

„Nigdy nie przypuszczałem, iż na tak prostodusznej twarzy może malować się tyle nienawiści” —

pomyślał wtedy Stephen.

„Czy J.D. powiedział to celowo?” —

napisał później. — „Nie wiem na pewno, lecz zdaje mi się, że tak. Te słowa wyjaśniałyby jego częste uwagi,

w których stara się skrytykować i
wyszydzić wszelkie przejawy roztropnej
ostrożności. Nie jestem tego absolutnie
pewny, choć oczywiście powinienem...
Wiem za to, iż J.A. szuka w walce
zapomnienia, bo jest rozgoryczony
postępowaniem przełożonych,
koniecznością podporządkowania się
regułom służby, pobudzony własnym
niepokojnym
temperamentem lub też (ostatnio)
poruszony niewiernością kochanki. J.D.
również marzy o walce, ale skłaniają go
do tego inne powody. Różnica między
nimi polega na tym, iż J.A. zadowala się
jedynie niesamowitym hałasem,
wytężoną aktywnością umysłu i ciała,
wszechogarniającą świadomością
obecnej chwili, a J.D., obawiam się,
pragnie czegoś więcej". Stephen
zamknął zeszyt i przez dłuższą chwilę
przyglądał się okładce, nieobecny
myślami. Dopiero pukanie do drzwi
sprowadziło go z powrotem na ziemię, a

raczej na pokład „Sophie”.

— Panie Ricketts, czym mogę panu służyć? — zapytał.

— Sir... — nieśmiało odezwał się podchorąży. — Pan kapitan pyta, czy nie zechciałby pan wyjść na pokład i spojrzeć na brzeg?

— Na lewo od tego dymu, na południu, leży wzgórze Montjuich, z wielkim zamkiem, a ten występ z prawej strony to Barceloneta — wyjaśnił Stephen. —

Za miastem wznosi się Tibidabo:

właśnie tam, gdy byłem chłopcem,

zobaczyłem po raz pierwszy sokoła. Na

końcu linii, od Tibidabo przez wieżę

katedry aż do morza, leży Moll de Santa

Creu z wielkim portem handlowym. Po

lewej zaś stronie znajduje się basen, w

którym stoją królewskie okręty wojenne

i kanonierki.

— Czy dużo jest tych kanonierek? —

zapytał Jack.

— Tak mi się zdaje, choć nigdy mnie to zbytnio nie interesowało.

Jack skinął głową, spojrział jeszcze raz uważnie w głąb zatoki, by zapamiętać wszystkie szczegóły, i schylając się, zawołał:

— Na pokładzie...! Możecie opuszczać, tylko ostrożnie. Panie Babbington, z życiem tam z tą liną.

Stephen zawisł o sześć cali ponad swym stanowiskiem, wysoko na maszcie. Ze skrzyżowanymi rękami, tak by nie zahaczyć lin, bloków i rej, zaczął zjeżdżać z zawrotnej wysokości pionowo w dół, opuszczany przez grupkę dowodzonych przez Babbingtona marynarzy. Na pokładzie pomogli oni doktorowi wydostać się ze specjalnej upręży — nikt na okręcie nie miał złudzeń co do jego marynarskich umiejętności.

Stephen podziękował im zamyślony i zszedł na dół, gdzie pomocnicy żaglomistrza zaszywali hamak z ciałem Toma Simmonsa.

— Czekamy tylko na kule, sir —

wyjaśnili. W tej samej chwili pojawił się pan Day z siatką z pociskami armatnimi.

— Jestem mu to winien — powiedział, układając je wprawną ręką przy nogach zmarłego. —

Służyliśmy razem na „Phoebe”. Już wtedy miał kłopoty ze zdrowiem — dodał szybko.

— To prawda. Tom, chociaż taki młody, był bardzo słabowity — zauważył jeden z ludzi żaglomistrza.

Te słowa i szczególna delikatność, z jaką je wypowiedziano, miały pocieszyć doktora, który mimo wszelkich starań nie zdołał zapobiec śmierci pacjenta.

Czterodniowa śpiączka zakończyła się zgonem.

— Niech mi pan powie, panie Day — zapytał Stephen artylerzystę po odejściu marynarzy — ile on wypił? Pytałem o to jego kolegów, lecz udzielali mi wymijających odpowiedzi, kłamali.

— Jasne, przecież upijanie się jest

niezgodne z prawem. Ile on mógł wtedy
wypić? No cóż... Tom był
bardzo popularny wśród kolegów,
dlatego, moim zdaniem, odstąpili mu
cały przydział. Zostawili sobie może po
małutkim łyżku do posiłku... To daje
około kwarty.

— Kwarta? To sporo, lecz nie wydaje
mi się, by taka ilość mogła zabić
człowieka. W przypadku roztworu w
stosunku trzy do jednego daje to około
sześciu uncji... Tyle alkoholu wystarczy,
żeby się upić, lecz na pewno nikogo nie
zabije.

— Boże... — Artylerzysta spojrział na
swego rozmówcę z politowaniem. — Tu
nie chodzi o roztwór, tylko o normalny,
mocny rum.

— Kwarta rumu? Czystego rumu? —
zawołał Stephen.

— Oczywiście, sir. Każdemu członkowi
załogi przysługuje codziennie po ćwierć
kwarty, w dwóch ratach. To razem daje
po kwarcie na każdy stół, do obiadu i do

kolacji. Dopiero do tego dolewana jest woda. Coś podobnego... — Pan Day roześmiał się cicho i poklepał zawinięte w hamak ciało. —

Gdyby ludzie dostali tylko po ćwierć kwarty wodnistego grogu, szybko mielibyśmy tu krwawy bunt.

W słusznej sprawie...

— Ćwierć kwarty alkoholu dziennie dla każdego członka załogi? — Stephen z gniewu poczerwieniał na twarzy. — Spory kubek?

Porozmawiam o tym z kapitanem. Będę nalegał, aby cały zapas rumu został wylany za burtę.

— I powierzamy jego ciało głębinom — powiedział Jack, zamykając książeczkę do nabożeństwa.

Marynarze, z którymi Tom Simmons jadał przy jednym stole, przechylili greting. Rozległ się odgłos szorującego o drewno płótna, cichy plusk i w przezroczystej wodzie pojawiły się pęcherzyki powietrza.

— Teraz, panie Dillon — w głosie dowódcy nadal słychać było oficjalny ton, jakim przed chwilą odczytywane były modlitwy — możemy zająć się bronią i malowaniem.

Okręt stał w dryfie, Barcelona została daleko za horyzontem. Niedługo po tym, jak ciało Toma Simmonsa spoczęło na dnie, na „Sophie” w najlepsze trwały prace, których celem miało być przekształcenie jej w bryg z dodatkowym masztem. Kadłub przemalowywano na biało, górną część burt na czarno, a na rufie umocowano pionowo kawałek grubej liny, mający udawać ów dodatkowy, trzeci maszt, na którym powinno stawiać się bezana. W tym samym czasie ustawiony na forkasztelu toczak obracał się cierpliwie, ostrząc marynarskie szable, piki, topory abordażowe, bagnety żołnierzy piechoty morskiej, kordziki podchorążych i szpady oficerów.

Na pokładzie wrzała ożywiona praca,

lecz wszystko odbywało się ze
szczególną powagą: najbliżsi koledzy
zmarłego nie mieli powodów do radości
tuż po pogrzebie. Tom Simmons był
ogólnie lubiany (w przeciwnym razie nie
otrzymałby zabójczego urodzinowego
prezentu) i ponury nastrój zapanował
na całym okręcie. Nie było
zwyczajowych śpiewów i żartów na
forkasztelu. Wszyscy byli cisi, skupieni.
Nie wyczuwało się złości lub
rozdrażnienia, lecz coś wisiało w
powietrzu, coś
złowieszczonego, przygnębiającego,
strasznego...? — leżąc w koi (całą noc
spędził przy biednym Simmonsie),
Stephen szukał odpowiedniego słowa.
Tuż obok pan Day ze swymi ludźmi
zajęty był
przełędem zawartości schowków, w
których przechowywano kule armatnie.
Pociski z jakimikolwiek nierównościami
lub śladami rdzy były starannie
ostukiwane i z łoskotem toczyły się w

dół po desce.

Setki czterofuntowych kul armatnich
grzechotały, zderzały się ze sobą.

Pomimo niesamowitego hałasu doktor
zasnął, nie zdążywszy zakończyć swych
rozmyślań.

Obudził go dźwięk jego własnego
nazwiska.

— Doktor Maturin? Nie, nie może pan
widzieć się z doktorem. — Z mesy
oficerskiej dobiegał głos pana
Marshalla. — Proszę zostawić dla niego
wiadomość, a ja mu ją przekażę, jeśli
obudzi się przed obiadem.

— Chciałem zapytać, czy to prawda, że
szkorbut i inne choroby najlepiej leczy
się, trzymając codziennie nogi przez
godzinę w morskiej wodzie... —
wyjaśnił Ellis drżącym głosem, pełen
wątpliwości.

— Kto pana tutaj z tym przysłał? Na
pewno ten łobuz Babbington... Wstyd.

Po tylu tygodniach spędzonych na morzu
wciąż daje się pan nabierać!

Podobne żarty oznaczały, iż panująca na okręcie zła atmosfera nie dotarła do kubryku podchorążych lub już stamtąd wywietrzała. Jakże inne, beztroskie życie wiedli ci chłopcy. Maturin pomyślał o własnym dzieciństwie, o intensywnym wówczas przeżywaniu każdej chwili. W młodym wieku często jest się szczęśliwym w nieodpowiedniej chwili, niezależnie od okoliczności.

Mijały minuty i gdy rozległ się dźwięk gwizdka bosmana, wzywającego załogę na obiad, żołądek Stephena jak na komendę zaczął skręcać się z głodu.

„Jestem już wytresowany” — zauważył doktor zdziwiony i szybko wstał z koi.

Patrol dopiero się rozpoczął, ciągle trwały tłuste dni i zamiast sucharów na stole leżał chleb. Dillon stał, pochylając głowę pod belkami, i kroił wspaniałe comber barani.

— Witamy na zupełnie innym okręcie, doktorze. Nie jesteśmy już zwykłym brygiem — powiedział na widok

wchodzącego do mesy Stephena.

— Mamy o jeden maszt więcej —

wyjaśnił pierwszy nawigator, unosząc

wysoko dłoń z trzema

wyprostowanymi palcami.

— Naprawdę? — zapytał doktor,

gorliwie podsuwając porucznikowi

swój talerz. — Dlaczego?

Czemu ma to służyć? Większej

prędkości, elegancji, urodzie?

— Chcemy w ten sposób zmylić

nieprzyjaciół... — odparł James.

Podczas posiłku dyskutowano o sztuce

wojennej, porównywano sery z Mahon i

Ceshire, ktoś zwrócił

uwagę, iż Morze Śródziemne nawet w

pobliżu lądu bywa zaskakująco

głębokie. Stephen po raz kolejny

zauważył szczególną umiejętność

(zapewne rezultat wielu lat spędzonych

przez wszystkich na morzu i tradycji

licznych pokoleń służących na

zatłoczonych okrętach) prowadzenia

konwersacji w sposób sprawiający, iż

obiad nie tylko upływał spokojnie, lecz
był w miarę przyjemny. Częściowo było
to zasługą ochmistrza, który łagodził
zadrażnienia i w chwilach ciszy
podtrzymywał rozmowę.

— Ostrożnie, doktorze — ostrzegł
pierwszy nawigator, podtrzymując
Stephena od tyłu w zejściówce.

— Zaczęło trochę kiwać.

Rzeczywiście. Różnica poziomów
między pokładem a położoną poniżej
linii wodnej mesą oficerską nie była
zbyt wielka, lecz kołysanie było na
górze bardzo wyraźne. Maturin na
moment stracił
równowagę, chwycił się wspornika i z
rozczerwaniem popatrzył dookoła.

— Gdzie jest ten pański trzeci maszt,
mający niby zmylić wroga? Jak pan
może żartować sobie ze mnie w ten
sposób? Czy pańskim zdaniem to
zabawne? Wiem, że jestem dla pana
szczurem
lądowym... Pewnie dlatego kpi pan

sobie ze mnie? Nie spodziewałem się

tego po panu.

— Ależ sir... — zawołał nawigator,
wstrząśnięty ostrą reakcją i wściekłym
spojrzeniem doktora. —

Przysięgam... Panie Dillon, może pan...

— Drogi przyjacielu... — mówił James,
prowadząc doktora w stronę grubej liny
rozpiętej pionowo, o sześć cali z tyłu za
grotmasztem. — Pozwolę sobie

wyjaśnić, iż dla każdego patrzącego na
nas z oddali marynarza ta lina to właśnie
nasz trzeci maszt. Już za chwilę zostanie
na niej postawiony bezan, czyli stary
gaflowy grot, a na tej rei nad naszymi
głowami pojawi się sterżagiel. Żaden
człowiek morza nie weźmie nas teraz z
daleka za bryg.

— No cóż, muszę wam wierzyć. Panie
Marshall, przepraszam za to, co
powiedziałem. Poniosły mnie nerwy.

Przepraszam.

— Nic nie szkodzi, sir. Chcąc mnie
urazić, musiałby pan trochę lepiej się

postarać — odparł pierwszy nawigator,
świadomy tego, iż doktor bardzo go lubi.

— Gdzieś na południu nieźle powiało
— dodał, wychylając się za burzę.

„Sophie” kołysała się na długiej
martwej fali, nadciągającej od strony
odległych brzegów Afryki.

Pomarszczona wiatrem powierzchnia
wody wydawała się płaska, lecz
horyzont unosił się wysoko i opadał w
regularnych odstępach. Stephen z
łatwością mógł wyobrazić sobie, jak
przybój łamie się na skałach
katalońskiego brzegu, jak spieniona fala
wylewa się na kamienistą plażę i za
chwilę wraca z charakterystycznym
grzechotem toczących się kamieni.

— Oby tylko nie zaczęło padać —
westchnął. Pamiętał z minionych lat, iż
takie fale, przy pozornie spokojnym
morzu, zapowiadały o tej porze roku
południowo-wschodni wiatr, brunatne
chmury i ulewne deszcze, tłukące
bezlitośnie w gotowe do zbioru kiście

winogron.

— Żagiel na horyzoncie! — zawołał

obserwator na maszcie.

Był to średniej wielkości tartan, głęboko

zanurzony, zmagający się z rześką

wschodnią bryzą.

Prawdopodobnie wyszedł z Barcelony;

znajdował się o dwa rumby na lewo

przed dziobem „Sophie”.

— Dobrze, że nie spotkaliśmy ich

godzinę temu — zauważył Dillon. —

Panie Pullings, proszę powiadomić

kapitana... — Nie zdążył wypowiedzieć

tych słów, gdy na pokładzie pojawił się

Jack. Był

wyraźnie podekscytowany. W dłoni

trzymał pióro.

— Niech będzie pan tak uprzejmy... —

powiedział, podając je doktorowi, i

lekko jak chłopiec wbiegł

na sam szczyt masztu.

Na pokładzie zaroilo się od marynarzy,

usuwających ślady porannej pracy i

ustawiających żagle, gdyż okręt zmienił

natychmiast kurs, by odciąć od lądu

zauważony na horyzoncie statek.

Wszyscy biegali tam i z powrotem,

obladowani. Dwukrotnie Stephen został

brutalnie potracony i pewnie ze sto razy

poproszono go, by nie przeszkadzał i

usunął się z drogi. Poirytowany takim

traktowaniem zszedł do kapitańskiej

kabiny. Usiadł za stołem, zastanawiając

się nad tym, jakże inaczej ludzie

zachowują się w grupie. W widzianej

jako całość społeczności giną bez śladu

cechy pojedynczych osób.

— Tutaj pan jest! — zawołał Jack,

wchodząc. — To chyba jakiś nieduży

statek handlowy. Niedobrze.

Miałem nadzieję na coś więcej...

— Zatrzymamy ich, oczywiście?

— Tak, nawet gdyby w tej chwili zrobili

zwrot i spróbowali uciekać z wiatrem.

Nie wydaje mi się jednak, by była

okazja pohłasować... Szkoda, nie ma

pan pojęcia, jak to poprawia nastrój.

Działa tysiąc razy lepiej niż pańskie

puszczanie krwi, rabarbar czy senes.

Może... jeśli będzie trochę czasu,
pomuzykujemy razem dziś wieczorem?

— Z największą przyjemnością —
odparł Stephen. Patrząc na Jacka, z
łatwością wyobraził sobie, jak ów
człowiek będzie wyglądał, gdy wypali
się w nim płomień młodości: stanie się
ociężałym, siwym despotą, kto wie, czy
nie zgryźliwym, zgorzkniałym i
okrutnym...

— Tak... — Kapitan zawiesił głos,
jakby chciał coś powiedzieć. Nie
odezwał się i wyszedł z kabiny.

„Sophie” mknęła szybko po wodzie. Nie
postawiono dodatkowych żagli, jej kurs
również się nie zmienił, tak jakby tartan
w ogóle jej nie interesował. Była
handlowym brygiem z dodatkowym
masztem i najspokojniej w świecie
zmierzała do Barcelony. Gdy upłynęło
pół godziny, można było bez trudu
dostrzec, iż tartan uzbrojony był w
cztery działa, miał niepełną załogę

(kucharz pomagał

przy obsłudze żagli) i zachowywał się w dziwnie beztroski sposób, jakby nosił banderę neutralnego kraju. Pomimo tego, gdy przygotowywał się do kolejnego zwrotu przez sztag, na „Sophie” w jednej chwili postawiono sztaksle oraz bramsle i bryg ruszył w jego stronę z zaskakującą prędkością. Tak zaskakującą, iż statek handlowy zrezygnował z rozpoczętego zwrotu i wrócił na lewy hals.

Gdy odległość wynosiła pół mili, pan Day (zawsze uwielbiał strzelać z działa), starannie mierząc, posłał kulę armatnią przed dziób tartana, który stanął w dryfie i czekał z opuszczoną reją. „Sophie”, zbliżywszy się, stanęła nie opodal, burta w burtę. Jack wywołał ich kapitana, zapraszając go do siebie.

W imieniu dowódcy statku odpowiedziała ładna młoda kobieta, prawdopodobnie pani Tartan lub coś w tym rodzaju: kapitan bardzo chciałby

skorzystać z zaproszenia, lecz nie będzie to możliwe, gdyż dno jedynej na statku łodzi zostało niedawno uszkodzone.

Statek pochodzi z neutralnej Ragusy i płynie pod balastem do tego właśnie portu. Jakiś mały człowieczek pokazał otwór w poszyciu łódki.

Rzeczywiście, dno było dziurawe.

— Jak się nazywa wasz statek? — zapytał Jack.

— „Pola” — odpowiedziała szybko dziewczyna.

Aubrey stał i zastanawiał się. Był w podłym nastroju. Kadłuby obu jednostek na przemian unosiły się i opadały na fali. Z tyłu, za tartanem, w regularnych odstępach czasu ukazywał się ląd. Na dodatek na południu pojawiły się dwie łodzie rybackie, żeglujące z wiatrem.

Ostronose barcalongi. Marynarze z załogi „Sophie” w milczeniu przyglądali się młodej kobiecie. Oblizywali wargi i głośno przetykali ślinę.

Tartan na pewno nie płynął pod

balastem — to bezczelne kłamstwo. Z

pewnością nie był też

zbudowany w Ragusie. A „Pola”? Czy to

prawdziwa nazwa?

— Proszę opuścić łódź na wodę —

polecił Jack stanowczym głosem. —

Panie Dillon, czy mamy na pokładzie

kogoś, kto mówi po włosku? John

Baptist jest Włochem...

— I Abraham Codpiece, pomocnik

ochmistrza, sir.

— Panie Marshall, weźmie pan ze sobą

ich obu. Proszę sprawdzić ten statek.

Niech pan przejrzy papiery, zajrzy do

ładowni. W razie potrzeby proszę

przeszukać kapitańską kabinę.

Łódź podплыnęła ostrożnie, utrzymywana

przez sternika w odpowiedniej

odległości od świeżo pomalowanego

kadłuba. Uzbrojeni po zęby ludzie

schodzili do niej po opuszczonej z noku

grotrei linie. Woleli ryzykować

skręcenie karku niż rozmazanie starannie

i równo położonej czarnej farby.

Po chwili byli obok tartana, weszli na jego pokład. Marshall, Codpiece i John Baptist zniknęli w kapitańskiej kabinie. Słychać było rozwścieczony kobiecy głos, potem przeraźliwy krzyk. Ludzie zgromadzeni na forkasztelu „Sophie” zaczęli przestępować z nogi na nogę i spoglądać na siebie niespokojnie.

Na pokładzie zatrzymanego statku pojawił się pan Marshall.

— Co pan zrobił tej dziewczynie? — zapytał Jack.

— Przyłożyłem jej zdrowo — odpowiedział nawigator obojętnie. —

Ten tartan ma tyle samo wspólnego z Ragusą co ja. Kapitan mówi tylko po francusku i w ogóle nie zna włoskiego. Tak przynajmniej twierdzi Codpiece. Nasza miła pani miała w fartuszku komplet hiszpańskich dokumentów; ładownia pełna jest towaru z Barcelony do Genui.

— To podłość: brutalnie uderzyć kobietę... — oburzył się głośno James

Dillon. — I pomyśleć, że musimy przebywać na jednym okręcie z kimś takim.

— Zobaczymy, co pan powie, gdy się pan ożeni, poruczniku — powiedział ochmistrz, chichocząc.

— Dobra robota, panie Marshall — pochwalił Jack. — Bardzo dobra. Ilu mają ludzi na pokładzie i co to za ludzie?

— Ośmiu, sir. Łącznie z pasażerami. Podejrzana banda.

— Proszę ich przysłać tutaj. Panie Dillon, potrzebni będą odpowiedzialni ludzie do obsadzenia przyzu.

Gdy kapitan wypowiadał te słowa, zaczął padać deszcz. Wraz z pierwszymi kroplami dobiegało z oddali charakterystyczne dudnienie i twarze wszystkich ludzi na pokładzie zwróciły się na północny wschód. To nie był odgłos nadciągającej burzy. Gdzieś strzelały działa.

— Proszę pośpieszyć się z jeńcami! —

zawołał Jack. — Panie Marshall,
odprowadzi pan przyz do Mahon. Chyba
towarzystwo kobiety nie będzie panu
przeszkadzało?

— To nie ma dla mnie znaczenia, sir —
odparł nawigator. Po pięciu minutach
okręt był już w ruchu.

Płynęli w strugach
ulewnego deszczu, przecinając na ukos
martwą falę. Pokład „Sophie” kołysał
się miękko spiralnym ruchem. Wiatr
wiał z trawersu. Bramsle zostały
błyskawicznie zrzucone, chociaż
wystarczyło zaledwie pół godziny, by
tartan został daleko z tyłu. Stephen stał
przy rufowym relingu i patrzył na długą
wstęgę kilwateru, myślami oddalony o
tysiąc mil od miejsca, w którym się
znajdował. Nagle poczuł, że ktoś ciągnie
go za płaszcz. Obrócił się i ujrzał
uśmiechniętego Mowetta. Nieco dalej z
tyłu młody Ellis klęczał przy małym
otworze w nadburciu i wymiotował
ostrożnie do morza.

— Sir... — rzekł Mowett. — Zmoknie pan.

— Tak — przyznał Stephen niepewnie i dodał: — Deszcz pada.

— Właśnie, sir. Woli pan zejść pod pokład czy mam przynieść panu brezentową kurtkę?

— Nie, nie... Nie trzeba. Bardzo pan uprzejmy... — odparł Stephen rozkojarzony. Nie zrażony niepowodzeniem pierwszej części swej misji, Mowett przeszedł do części drugiej: miał skłonić doktora, by przestał pogwizdywać, gdyż bardzo irytowało to i niepokoiło obecnych na pokładzie marynarzy.

— Czy mogę wyjaśnić panu kolejne pojęcie związane z morzem i żeglugą, sir? — zagadnął młody oficer ostrożnie.

— O! Słyszysz pan? Znowu odezwały się te działa...

— Bardzo proszę — odpowiedział Stephen i nareszcie przestał gwizdać.

— Widzi pan... — Mowett wskazał ręką

w kierunku Barcelony, ponad szarym,
pозnaczonym przez tysiące deszczowych
kropel morzem. — Tam właśnie jest
zawietrzny brzeg.

— Ach tak? — Na twarzy doktora
pojawiło się zainteresowanie. —

Zawietrzny brzeg, którego tak się
wszyscy obawiacie? Czy to nie przesąd?
Czy ten wasz lęk ma jakieś racjonalne
podstawy?

— Jest jak najbardziej uzasadniony,
sir... — Mowett opisał szybko, co to jest
dryf, jak przy zwrocie przez rufę i na
pełnych kursach statek traci dystans
względem wiatru. Podczas silnej
wichury niemożliwa staje się żegluga
ostrymi kursami i halsowanie pod wiatr.
Bardziej niż tragiczna jest sytuacja, w
której żaglowiec zostaje uwięziony w
zatoce przez sztorm wiejący w kierunku
brzegu.

Nieuniknione staje się wówczas
dryfowanie ku brzegowi znajdującemu
się na zawietrznej. Łatwo sobie

wyobrazić, czym to grozi. Te
wyjaśnienia co jakiś czas przerywane
były przez dobiegające z oddali odgłosy
wystrzałów armatnich. Niekiedy
rozlegało się trwające pół minuty
nieprzerwane dudnienie, odzywały się
też pojedyncze działa. — Tak bardzo
chciałbym wiedzieć, co tam się dzieje!
— Mowett przerwał opowieść o brzegu
zawietrznym i stanął na palcach,
wyciągając szyję.

— Nie ma się czego obawiać —
oświadczył Stephen. — Już wkrótce
wiatr powieje z kierunku, z którego
przychodzą te fale. Zdarza się tak często
o tej porze roku, przed dniem Świętego
Michała.

Gdyby tak mógł ktoś rozpiąć nad
winnicami olbrzymi parasol i zasłonić
winogrona przed deszczem...

Nie tylko Mowett interesował się
odległą kanonadą. Ze zrozumiałych
względów bardzo zaniepokoiła ona
dowódcę „Sophie” i stojącego tuż obok

na pokładzie rufówki porucznika. Obaj,
choć tak sobie obcy, równie gorąco
marzyli o oczyszczającym duszę ogniu
walki. Wyteżając wszystkie zmysły, z
napięciem nasłuchiwali dobiegającego z
północnego zachodu odgłosu
wystrzałów. Podobnie
zachowywali się prawie wszyscy
pozostali członkowie załogi. Odległa
bitwa najwyraźniej
zaintrygowała też załogę uzbrojonego w
siedem dział hiszpańskiego statku
pirackiego „Felipe V”, który
niespodziewanie wynurzył się z
oślepiającego deszczu, od strony lądu,
nieco z tyłu za trawersem
„Sophie”. Z postawionymi żaglami
zmierzał w kierunku toczącego się
gdzieś za horyzontem artyleryjskiego
starcia. Obydwie jednostki dostrzegły
się nawzajem w tym samym momencie.
„Felipe”
wystrzelił przed dziób brygu i podniósł
banderę. „Sophie” odpowiedziała salwą

burtową. Statek piracki zrozumiał swą pomyłkę i błyskawicznie skierował się z powrotem w stronę Barcelony. Silny wiatr wiał z jego lewego baksztagu, duże łacińskie żagle kołysały się i trzepotały na martwej fali.

Ster „Sophie” został wyłożony na burtę w sekundę po manewrze pirata.

Przygotowano do strzału działa na prawej burcie. Obsługujący je ludzie osłaniali dłońmi skwierczące w deszczu lonty i świeżą podsypkę.

— Mierzyć w ich rufę! — zawołał Jack.

W ruch poszły handszpaki i łomy. Lufy armat obróciły się o pięć stopni do tyłu.

— Strzelać wysoko na fali! Tak jak teraz, dobrze... — Działa odezwały się kolejno. Hiszpański statek zatoczył łuk, tak jakby piraci zamierzali dokonać abordażu. Trzepoczący ła-ciński sterzagiel opadł na pokład. Nagle znów zmienili kurs i płynęli z wiatrem. Kula armatnia roztrzaskała ich koło sterowe. Pozbawiony możliwości sterowania

statek nie mógł nieść żadnych żagli na tylnym maszcie, przygotowali więc duże wiosło, mające zastąpić uszkodzony ster, i uwijali się jak w ukropie przy zrzuconej rei sterzągła. Dwa działa na ich lewej burcie wypaliły, jedna z kul uderzyła w „Sophie” z dziwnym odgłosem. Następną salwą brygu, starannie wymierzona, oddana z odległości strzału pistoletowego i połączona z huraganowym ogniem muszkietów, odebrała Hiszpanom chęć do dalszej walki. W niespełna dwanaście minut od pierwszego wystrzału pośpiesznie opuścili banderę. Na pokładzie „Sophie” rozległy się wiwaty. Uśmiechnięci ludzie radośnie poklepywali się po plecach i podawali sobie dłonie.

Deszcz przestał padać. Przesunął się na zachód, spowijając w szarość położony już o wiele bliżej port.

— Proszę zająć ten statek, panie Dillon
— polecił Jack i spojrział w górę na

wiatrowskaz. Wiatr wyraźnie zmienił kierunek, jak to się często zdarzało w tych stronach po deszczu, i wiał z południowego wschodu. — Czy są jakieś uszkodzenia?

— zapytał, widząc wchodzącego na pokład rufówki cieślę.

— Gratuluję panu zdobyczy, sir — powiedział pan Lamb.

— Nie ma właściwie żadnych uszkodzeń. To znaczy... Nie ma uszkodzeń, lecz jest trochę bałaganu...

Ta jedna kula trafiła w kuchnię, porzuciła garnki i strąciła komin.

— Zaraz się tym zajmiemy — oznajmił Jack. — Panie Pullings, armaty na dziobie nie są porządnie zamocowane.

Co u licha... — przerwał zaskoczony.

Ludzie obsługujący wyglądali dziwnie, przez chwilę obawiał się najgorszego.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co się stało. Prawie wszyscy umazani byli świeżą czarną farbą i kuchenną sadzą. Ci najbardziej poplamieni, z

dziobu, złośliwie brudzili swych kolegów. — Skończyć natychmiast z tymi cholernymi wygłupami! Niech was wszystkich szlag trafi, popaprańcy! — ryknął wściekle. Rzadko przeklinał, tylko w wyjątkowych sytuacjach pozwalał sobie na kilka ostrzejszych słów. Wszyscy na pokładzie zamilkli, zaskoczeni zachowaniem kapitana, który powinien bardziej cieszyć się ze zwycięstwa. Co odważniejsi z marynarzy wymieniali ukradkowe spojrzenia bądź mrugali porozumiewawczo, zachwyceni i pełni zrozumienia.

— Na pokładzie! — zawołał Lucock z masztu. — Z Barcelony wychodzą kanonierki. Sześć. Osiem.

Dziewięć. Jedenaście. Może więcej...

— Zrzucić łodzie — polecił Jack. —

Panie Lamb, proszę popłynąć na zdobyty statek i sprawdzić, czy można naprawić roztrzaskany ster.

Podniesienie łodzi do noków rej i

opuszczenie ich na wodę przy takiej fali
nie było łatwym zadaniem, lecz
rozochoceni ludzie pracowali z
niewiarygodnym wręcz zapalem, jakby
upili się rumem, nie tracąc swej
sprawności. Co chwila rozlegały się
salwy przytłumionego śmiechu, zgaszone
kolejnym
okrzykiem z masztu. Obserwator
zauważył żagiel na nawietrznej. Mogło
to oznaczać, iż „Sophie”
znalazła się między młotem a kowadłem.
Na szczęście był to jej własny przyz,
zdobyty wcześniej tartan.
Łodzie przemykały szybko tam i z
powrotem. Posępni jeńcy, z kurtkami
wypchanymi na piersiach pośpiesznie
zebranymi rzeczami osobistymi,
schodzili do przedniej ładowni. Cieśla
uwijał się z pomocnikami przy naprawie
uszkodzonego steru. Stephen złapał
przebiegającego obok Ellisa.
— Kiedy przeszła panu morska
choroba? — zapytał.

— Niemal dokładnie w chwili, gdy odezwały się działa, sir — odparł chłopiec.

Stephen skinął głową.

— Tak mi się zdawało — rzekł. —

Przez cały czas pana obserwowałem..

Pierwszy pocisk armatni wzbił w górę

białą fontannę wody, wysokości marsa

grotmasztu, w połowie odległości

między „Sophie” i jej przyzem. „Bardzo

dobrze wycelowali, jak na próbny

strzał” —

pomyślał Jack. — „To musiała być

bardzo ciężka kula...”

Kanonierki wciąż oddalone były o

więcej niż milę, lecz zbliżały się

zaskakująco szybko, płynąc pod wiatr.

Trzy najbardziej wysunięte do przodu

miały po trzydzieści wioseł i każda

uzbrojona była w jedną długą

trzydziestosześcioletnią. W razie

przypadkowego trafienia, nawet z

odległości mili, taka kula przebiłaby

„Sophie” na wylot. Jack z trudem

powstrzymywał się przed ponaglaniem
cieśli.

„Skoro trzydziestosześcioletnia kula
nie może skłonić go do pośpiechu, ja
również nic tu nie wskóram" —
zauważył w duchu. Chodził po pokładzie
tam i z powrotem, spoglądając przy
każdej zmianie kierunku na wiatrowskaz
i na kanonierki. Już siedem z nich
spróbowало trafić z daleka —
strzelały chaotycznie, większość kul
spadała za blisko, lecz niektóre
przelatywały z przeraźliwym świstem
ponad masztami brygu.

— Panie Dillon! — zawołał kapitan w
stronę zdobytej jednostki. Miał
przemoczone plecy, gdyż dosięgły go
bryzgi wzbite przez kulę, która uderzyła
w grzbiet fali tuż za rufą brygu. — Panie
Dillon, pozostałych jeńców przekaże
pan później. Proszę postawić żagle, gdy
tylko będzie to możliwe. Chyba że chce
pan, byśmy podali wam hol...

— Nie trzeba, sir. Dziękuję. Za dwie

minuty będziemy mieli prowizoryczny

rumpel.

„Tymczasem możemy te łódki

postraszyć” — pomyślał Jack.

Zauważył, iż ludzie na pokładzie

„Sophie” umilkli i są wyraźnie

podenerwowani. — „Przynajmniej dym

nas trochę zasłoni”.

— Panie Pullings, załogi dział na lewej

burcie mogą strzelać według własnego

uznania —

zdecydował.

Łatwiej teraz było czekać — odezwały

się armaty, zapachniało prochem, ludzie

nareszcie mieli wymagające uwagi i

skupienia zajęcie. Jack uśmiechnął się,

widząc, z jakim przejęciem obsługa

mosiężnej armaty na rufie oczekiwała na

upadek pierwszego wystrzelonego

pocisku. Ogień „Sophie”

pobudził płynące ławą kanonierki do

jeszcze większej aktywności. Szare,

ponure morze na prawie

ćwierćmilowym odcinku zaiskrzyło się

rozbłyskami.

W pobliżu dowódcy krzątał się

Babbington: celował, pomagał

przetaczać działo. Na rufie przy

pojawił się próbujący przekrzyczeć huk

Dillon. Na zdobytym statku uruchomiono

wreszcie ster.

— Stawiać żagle — polecił kapitan.

Pracujący dotąd wstecz fokmarsel

„Sophie” został przebrasowany i

wypełnił się wiatrem. Najważniejsza

była prędkość. Postawiwszy wszystkie

przednie żagle, Jack skierował najpierw

okręt z wiatrem, później wyostrzył na

północny zachód. W ten sposób słup

zbliżył

się do kanonierek i przepływał przed ich

dziobami. Działa na lewej burcie brygu

strzelały bez przerwy, kule nieprzyjaciół

uderzały w wodę lub przelatywały

wysoko nad głowami. W pewnej chwili

Jack poczuł przyływ entuzjazmu na

myśl o nagłym wtargnięciu pomiędzy

nieporadne w walce na krótki dystans

łodzie. Przypomniawszy sobie jednak szybko
o towarzyszących „Sophie” zdobytych
jednostkach, o niebezpiecznych jeńcach,
wciąż pozostających na pokładzie statku
Dillona, i kazał
tylko zbrasować mocno reje.

Oba przyzy zdążyły tymczasem się
rozpędzić i z prędkością pięciu lub
sześciu węzłów umykały w stronę
otwartego morza. Kanonierki przez pół
godziny kontynuowały pościg. Gdy
zaczął zapadać zmrok, a odległość
zwiększyła się znacznie, jedna po
drugiej zawróciły w stronę Barcelony.

— Bardzo słabo dzisiaj grałem —
stwierdził Jack, odkładając smyczek.

— Nie przykładał się pan zbyt —
zgodził się Stephen. — Mieliśmy
męczący dzień, ale można powiedzieć,
że bardzo udany...

— Tak, to prawda — przyznał Jack.
Jego twarz trochę się rozpuściła. —
Tak. Jestem bardzo zadowolony. —
Umilkł na chwilę. — Czy pamięta pan

człowieka o nazwisku Pitt? Spotkaliśmy go pewnego dnia w Mahon, na obiedzie...

— Chodzi panu o tego żołnierza?

— Tak. Czy powiedziałby pan o nim, że to przystojny mężczyzna?

— Nie. Na pewno nie.

— Cieszę się, że pan tak uważa. Bardzo cenię sobie pańskie zdanie... — Aubrey zawiesił głos. — Czy zauważył pan, jak niektóre myśli uporczywie kłębią się w głowie, gdy człowiek jest przygnębiony?

Podobnie jak stare rany, które otwierają się przy skorbucie... To nie znaczy, że ani na moment nie zapomniałem o tym, co mi Dillon wtedy powiedział... Te słowa utkwiły głęboko w moim sercu i przez ostatni dzień lub dwa stale przychodziły mi na myśl. Wciąż je rozpamiętywałem. Doszedłem do wniosku, iż muszę poprosić go o wyjaśnienie. Już dawno powinienem tak zrobić. Porozmawiam z nim, gdy tylko zawiniemy do portu, chyba że

wydarzenia najbliższych dni sprawią, iż
nie będzie to konieczne.

— Pom, pom, pom, pom — zanucił

Stephen unisono ze swą wiolonczelą,

spoglądając na Jacka

uważnie. Twarz kapitana była

śmiertelnie poważna, szara, w

zamglonych oczach skrzył się dziwny,

czterwonawy blask. — Zaczynam pomału

sądzić, iż to przepisy prawa są główną

przyczyną ludzkich nieszczęść... —

mówił doktor powoli. — Chodzi mi o

to, iż zasady moralności i honoru nie

zawsze zgodne są z obowiązującym

prawem. Często istnieją równoległe

zbiory nie powiązanych ze sobą,

niekiedy całkowicie sprzecznych zasad,

do przestrzegania których jesteśmy w ten

czy inny sposób zobowiązani. Podobnie

jest w pańskim przypadku. Zamierza pan

doprowadzić do czegoś, co pozostaje w

sprzeczności z przepisami prawa

wojennego (sam mi pan to kiedyś

wyjaśnił) oraz duchem

tolerancji, gdyż uważa pan, że tego
wymaga pojmowana w określony
sposób moralność i kodeks honorowy.
To wcale nie jest odosobniony
przypadek. Codziennie stykamy się z
wieloma takimi sytuacjami. Osiołek z
bajki zdechł z głodu, gdyż nie potrafił
zdecydować się na owies lub siano. Tak
samo jest z podwójną lojalnością. To też
bywa źródłem wielkiego zamieszania...

— Nie rozumiem... Nie wiem, co
nazywa pan podwójną lojalnością.

Człowiek może służyć tylko jednemu
królowi, ludzkie serce może być w
danej chwili tylko w jednym miejscu,
chyba że bije w piersi łajdaka.

— Wygaduje pan głupoty — zirytował
się Stephen. — Nie trzeba być
specjalnie byстрыm
obserwatorem, by zauważyć, że
mężczyzna może szczerze i z oddaniem
związać się z dwiema
kobietami jednocześnie, a nawet: z
trzema, czterema, z wieloma... Zapewne

wie pan o podobnych sprawach dużo

więcej ode mnie. Nie o to mi chodzi.

Miałem na myśli znacznie szerzej

rozumianą lojalność, która również

prowadzi czasem do konfliktu sumienia.

Weźmy na przykład Amerykanów, którzy

wybrali niepodległość; beznamiętnych

jakobitów z czterdziestego piątego roku;

katolickich księży w dzisiejszej Francji;

Francuzów, o różnych orientacjach, we

Francji i poza jej granicami.

Takie sprawy niosą ze sobą zawsze

sporo bólu, tym dotkliwszego, im

bardziej uczciwy jest dany człowiek. W

tych przypadkach problem jest jednak

łatwy do określenia, bezpośredni i

oczywisty.

Moim zdaniem znacznie więcej

zamieszania i nieszczęść powodują inne,

nie tak ostro zarysowane sprzeczności.

Jakże często trudno jest pogodzić ze

sobą prawo moralne, cywilne,

wojskowe, kodeks honorowy, zwyczaje,

zasady życiowe, reguły dobrego

wychowania, miłosnej konwersacji, że nie wspomnę o religii, oczywiście jeśli chodzi o ludzi wierzących. Niekiedy są to sprawy zupełnie przeciwstawne, a na pewno żadna z nich nie pozostaje z innymi w idealnej harmonii. Człowiek jest nieustannie zmuszany do dokonywania wyboru, do postępowania w ten, a nie inny sposób, do pójścia w tym, a nie innym, przeciwnym czasem kierunku. Nasze życie przypomina instrument muzyczny, którego każda struna nastrojona jest według innej skali. To jest tak jakby ów biedny osiołek stał przed kilkudziesięcioma pełnymi żłobami...

— Za bardzo przejmuję się pan tymi sprzecznościami — powiedział Jack. — Jest pan pesymistą.

— Jestem pragmatykiem — poprawił go Stephen. — Napijmy się wina, a potem zaaplikuję panu coś na wzmocnienie. Może jutro powinienem puścić panu trochę krwi. Od ostatniego razu upłynęły

już trzy tygodnie...

— Dobrze. Połknę to pańskie lekarstwo

— zgodził się Jack. — Co się tyczy

krwi, to jutro zatańczymy z tymi

kanonierkami i to ja zabawię się w

puszczającego krew lekarza. Nie wydaje

mi się jednak, by moim pacjentom

przypadł do gustu taki zabieg...

Na „Sophie” obowiązywały bardzo

ograniczone przydziały wody do mycia,

nikomu nie dawano też mydła. Nic więc

dziwnego, że ludzie, którzy umazali

siebie i innych farbą, byli wciąż brudni.

Jeszcze gorzej wyglądali ci, którzy

pracowali przy porządkowaniu kuchni

— wszyscy wysmarowani byli od stóp

do głów tłuszczem oraz sadzą z garnków

i paleniska. Przypominali bandę

krwiożerczych, okrutnych dzikusów.

Szczególnie przerażające były czarne jak

noc twarze jasnowłosych marynarzy.

— Tylko nasi Murzyni wyglądają teraz

przyzwoicie — zauważył Jack. —

Chyba żadnego z nich nie brakuje?

— Davies popłynął z panem Mowettem

na statku pirackim, sir — odparł

porucznik. — Wszyscy

pozostali są na okręcie.

— O ilu mniej ludzi mamy w tej chwili?

Myślę o tych, którzy pozostali w Mahon

i o załogach przyzów...

— Ubyło trzydzieści sześć osób. Razem

jest nas pięćdziesięciu czterech

mężczyzn i chłopców.

— Bardzo dobrze, przynajmniej nie ma

tłoku. Niech wszyscy dobrze się wyśpią,

panie Dillon. O

północy znów ruszymy w stronę brzegu.

Po deszczu powróciło lato — wiała

łagodna i spokojna tramontana,

powietrze było ciepłe, czyste,

powierzchnia morza fosforyzowała

lekko. Jaskrawe światła Barcelony

migotały w oddali, nad miastem wisiała

rozjaśniona od spodu chmura.

Kanonierki strzegące wejścia do portu

były na tym tle doskonale widoczne i to

skradająca się w ciemności „Sophie”

pierwsza je zobaczyła. Czekały znacznie dalej niż zwykle, w pełnym pogotowiu.

„Gdy tylko ruszą w naszą stronę, postawimy bramsle i popłyniemy w kierunku tego pomarańczowego światła”

— postanowił Jack. — „Później wyostrzymy gwałtownie i wpłyniemy pomiędzy te dwie łodzie na północnym krańcu szyku”. Serce Jacka biło spokojnie i równo, odrobinę szybciej niż zwykle. Wyraźnie czuł się lepiej i miał jaśniejszy umysł po tym, jak Stephen puścił mu dziesięć uncji krwi.

Nad morzem pojawił się mały skrawek księżyca. Odezwało się działo kanonierki — głęboki, basowy odgłos, przywodzący na myśl szczekanie starego, samotnego psa.

— Raca, panie Ellis — polecił kapitan.

W niebo wzbiła się płonąca błękitem rakietą, mająca zmylić wroga.

Kanonierki odpowiedziały jakimiś hiszpańskimi sygnałami, kolorowymi światłami na

masztach, daleko z prawej strony

zagrzmiała armata. — Bramsle! —

zawołał szybko. — Jeffreys, steruj na to
pomarańczowe światło.

Poszło im wspaniale. „Sophie” płynęła
szybko i pewnie, gotowa do akcji.

Kanonierki nie zbliżały się jednak, tak
jak się tego spodziewał Jack. Jedna po

drugiej obracały się i strzelały w

kierunku brygu, wszystkie powoli się

cofały. Aby je sprowokować, słup

zmienił nagle kurs, posyłając w ich

stronę salwę burtową. Prawdopodobnie

kule dosięgły celu, gdyż rozległy się

przeraźliwe okrzyki. Pomimo to

hiszpańskie łodzie nadal się nie zbliżały.

— Do licha! — zawołał Aubrey

gniewnie. — Chyba chcą nas zwabić w

pułapkę. Panie Dillon,

postawimy sztaksle i bezana.

Spróbujemy zająć się tą odważną

owieczką, która właśnie odłączyła się

od stada.

„Sophie” szybko wykonała zwrot i

ruszyła półwiatrem najbliższej
kanonierce, pochylała się tak, że dolna
krawędź lewego nadburcia dotykała
czarnej jak smoła wody. Pozostałe
łodzie pokazały, co potrafią:
błyskawicznie obróciły się w stronę
brygu i zaczęły strzelać gwałtownie,
podczas gdy wybrana kanonierka rzuciła
się do ucieczki. W zasięgu ich dział
znalazła się bezbronna rufa
kontynuującej pościg „Sophie”.
Trzydziestosześcioletnia kula z
głuchym dudnieniem otarła się o kadłub,
kolejny pocisk przeleciał tuż nad
głowami ludzi na pokładzie. Dwa
baksztagi, ucięte jak nożem, spadły na
Babbingtona, Pullingsa i stojącego za
sterem marynarza. Wszyscy trzej
przewrócili się, ciężki blok uderzył w
koło sterowe. James jednym susem
znalazł się w pobliżu i chwycił za
szprychy.

— Zrobimy zwrot przez sztag, panie
Dillon — zdecydował Jack i w chwilę

później „Sophie” płynęła w linii wiatru.

Obsługujący żagle ludzie pracowali

bardzo sprawnie, lecz oświetlani w

ciemności błyskami

wystrzałów, przypominali poruszające

się niezgrabnie marionetki.

— Ostro na wiatr, sir? — zapytał James.

— Odejdziemy o rumb — odparł Jack.

— Powoli. Zobaczymy, czy uda nam się

ich skusić, czy wyjdą za nami w morze.

Proszę opuścić o kilka stóp reję

grotmarsła i poluzować prawą

topenantę, tak jakbyśmy zostali trafieni.

Panie Watt, musimy natychmiast zająć

się tymi baksztagami bramstengi.

„Sophie” stopniowo oddalała się od

brzegu, jej załoga zaczęła usuwać

szkody. Kanonierki podążały z tyłu,

strzelając uparcie. Srebrny sierp

księżycy wspinał się wytrwale po

posrebrzonym gwiazdami niebie.

Hiszpanie prowadzili pościg za brygiem

bez specjalnej gorliwości. Gdy Dillon

zgłosił zakoń-

czenie najpilniejszych napraw, Jack

oznajmił:

— Jeśli postawimy błyskawicznie żagle i wykonamy zwrot przez rufę, zdołamy odciąć od lądu dwie największe łodzie.

— Do zwrotu przez rufę! — zawołał James. Odezwał się gwizdek bosmana.

— Zaraz dopadniemy tych łajdaków! — krzyknął radośnie Isaac Isaacs do Johna Lakeya i pobiegł na swoje stanowisko przy bulinie grotmarsła.

Niestety. W decydującym momencie pechowa kula strąciła reję fokbramsła.

Udało się co prawda uratować żagiel, lecz prędkość „Sophie” spadła i kanonierki zdążyły skryć się za falochronem.

— Teraz, panie Ellis, ma pan wspaniałą okazję do nauki zawodu — powiedział Dillon, gdy w świetle poranka ukazały się wszystkie uszkodzenia w olinowaniu, będące skutkiem nocnej potyczki. —

Będzie pan mógł aż do wieczora

ćwiczyć wszelkie możliwe węzły i
sploty. — Porucznik był
niezwykle radosny i od czasu do czasu
podśpiewywał sobie pod nosem,
biegając po pokładzie.

Oprócz wymiany uszkodzonej rei
należało również usunąć kilka otworów
po pociskach i poprawić zamocowanie
bukszprytu do dziobnicy, gdyż odbita
niewiarygodnym rykoszetem kula
przecięła połowę okucia, nie naruszając
drewna. Nawet najstarsi marynarze nie
słyszeli o podobnym przypadku, toteż
informacja o owym zdarzeniu została
zapisana w dzienniku okrętowym.

„Sophie" przez cały słoneczny i
spokojny dzień leżała w dryfie, nie
niepokojona przez nikogo. Lecząc rany,
odzyskiwała nadwątlone siły. Na
pokładzie wrzała praca. Wśród ludzi
zapanował szczególny nastrój: wiedzieli
doskonale, że wkrótce znów ruszą do
walki. Może będzie to wypad na brzeg,
może potyczka podobna do wczorajszej?

Nie bez znaczenia były zdobyte wczoraj i we wtorek przyzy (czyli czternaście gwinei, których mógł spodziewać się każdy członek załogi). Wszyscy odczuwali też zmianę, jaka zaszła ostatnio w zachowaniu kapitana. Marynarze nabrali przekonania, iż ich dowódca w niewyjaśniony sposób potrafi przewidzieć pozycje hiszpańskich jednostek. Także porucznik zachowywał się zupełnie inaczej, był dziwnie wesoły, chwilami wręcz niepoważny. Przyłapał kilku ludzi na plądrowaniu pomieszczeń statku „Felipe V”, lecz jak dotąd nie powiadomił o tym kapitana. Grabież była bardzo poważnym wykroczeniem, groził za to sąd wojenny (zwyczaj nie zabraniał przywłaszczania sobie przedmiotów znajdujących się powyżej luków) i winowajcy spoglądali na Dillona ukradkiem. Tak samo patrzyli na niego i inni członkowie załogi, gdyż wielu miało na sumieniu podobne sprawki. Na

ogół wszyscy na pokładzie wydawali się skupieni, raczej pogodni, wyczuwało się jednak specyficzny niepokój .

Ponieważ ludzie byli bardzo zajęci, Stephen dopiero po dłuższym wahaniu postanowił, iż pójdzie jak zwykle na dziób, do pompy z pnia wiązu, przez którą, po zdjęciu głowicy codziennie obserwował

głębiny. Jak się okazało, obecność doktora była tam rzeczą tak normalną, iż rozmawiający przy pracy ludzie nie zwracali na niego uwagi. Bez trudu odczuł ów podszyty niepokojem nastrój, którego przyczyny świetnie rozumiał.

Podczas obiadu James był w wyśmienitym humorze. Zaprosił nieoficjalnie Pullingsa i Babbingtona; przy stole nie było pana Marshalla, więc obecność młodych ludzi nadała posiłkowi radosny, odświeżony charakter.

Tylko ochmistrz nie odezwał się ani słowem. Stephen z zainteresowaniem przypatrywał się rozpromienionemu

Dillonowi, który donośnym głosem
śpiewał refren zainonowanej przez
Babbingtona piosenki.

— Pięknie! — zawołał porucznik,
uderzając dłonią w stół. — Teraz dla
wszystkich kielich wina.

Musimy koniecznie przepłukać gardła.

Nie wyganiem panów, lecz pora wracać
na pokład. Niestety...

Jakie to cudowne uczucie walczyć z
okrętami wojennymi, a nie z tymi
cholernymi piratami — rzekł
nie wiadomo po co, gdy zaproszeni
goście i ochmistrz wyszli z mesy.

— To kompletna bzdura — powiedział
Stephen, kręcąc głową. — Kula z
pirackiego działa zabija tak samo
skutecznie, jak kula wystrzelona z
pokładu okrętu walczącego w imię
króla.

— Bzdura? — James był oburzony i
jego zielone oczy zapłonęły gniewem.

— Oczywiście, mój drogi... — Doktor
uśmiechnął się z politowaniem. —

Pewnie zaraz usłyszysz coś o królach i ich pochodzącej od Boga władzy?

— Cóż. Nawet ktoś tak przemądrzały musi przyznać, że to właśnie król jest dla swych poddanych wzorem prawości i honoru.

— Ja wcale tak nie uważam...

— Gdy ostatni raz byłem w domu — mówił Dillon, napełniając winem kieliszek doktora — opłakiwaliśmy pewnego starego człowieka. Nazywał się Terence Healy i był naszym dzierżawcą już w czasach mojego dziadka. Na stypie śpiewano piosenkę, która przez cały dzień kołacze mi się po głowie. Problem w tym, że pamiętam tylko fragment melodii.

— Jaka to była piosenka? Irlandzka czy angielska?

— O ile wiem, są też angielskie słowa. Jedna zwrotka brzmiała:

*Dziki gęsi płyną za morze po niebie,
po niebie,
Nigdy już nie wrócą do ciebie, do*

ciebie...

Stephen zagwizdał dalszy ciąg zwrotki i
zaśpiewał refren skrzeczącym,
nieprzyjemnym głosem.

— To właśnie to. Serdeczne dzięki! —
ucieszył się James. Wstał od stołu
uradowany i wyszedł na pokład,
podśpiewując sobie cicho.

„Sophie” odzyskała pełnię sił. Nigdy
jeszcze nie była tak groźna. Tuż przed
zachodem słońca ruszyła w stronę
otwartego morza, w kierunku Minorki,
tak jakby na zawsze żegnała Barcelonę.

Przed świtem zawróciła jednak do
brzegu. Wiała ta sama co wczoraj
sprzyjająca bryza, ale pojawiły się już
pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni.

W powietrzu wisiała chłodna wilgoć,
przywodząca Stephenowi na myśl
grzyby i bukowy las, nad wodą ciągnęły
się pasma gęstej, szarobrunatnej mgły.

Znajdowali się blisko lądu. Okręt
żeglował na północny zachód. Hamaki
zostały wyniesione na górę i ułożone w

siatkach. Na rufie, w zawirowaniach
powietrza przy przednim liku
wypełnionego wiatrem bezana, zapach
kawy mieszał się z wonią smażonego
boczku. Z lewej strony przed dziobem,
gdzieś za wiszącą nad wodą gęstą mgłą,
była dolina Llobregat i ujście rzeki.

Dalej, wzdłuż brzegu, wschodzące
słońce rozpuściło już prawie brunatne
tumany. Resztki oparów łudzaco
przypominały przylądki, wyspy, łachy
piasku.

— Wiem i jestem o tym absolutnie
przekonany, że kanonierki chciały nas
wciągnąć w pułapkę —
mówił Jack. — Bardzo chciałbym
wiedzieć, o co im chodziło... — Nie był
mistrzem w udawaniu i obserwujący go
Stephen domyślił się, iż dowódca
doskonale wiedział, jakiego podstępu
należało się spodziewać ze strony
Hiszpanów.

Słońce pieściło powierzchnię wody, w
cudowny sposób zmieniając jej kolor.

Kłęby mgły pojawiały się w nowych miejscach i znikły gdzie indziej.

Fantastyczne cienie przenikały pomiędzy linami takielunku, znaczyły szarością wypełnione wiatrem żagle i białe deski cegiełkowanego pokładu. Jakieś niespodziewane tchnienie zmiotło z powierzchni morza kolejny fałszywy cypel i o trzy rumby przed dziobem „Sophie”, z prawej strony, ukazał się duży okręt płynący na południe, wzdłuż lądu.

Obserwator z masztu natychmiast poinformował o tym dowódcę, lecz była to tylko formalność, gdyż z rufówki brygu widać już było kadłub wyłaniającej się z mgły jednostki.

— Bardzo dobrze... — powiedział Jack, składając lunetę po długiej obserwacji.

— Co to za okręt według pana, poruczniku?

— Wydaje mi się, że to nasi starzy znajomi, sir — odparł Dillon.

— Ja też tak uważam. Proszę postawić

grotsztaksel i wyostrzyć, tak byśmy

mogli się do nich zbliżyć.

Cały pokład ma być zaraz wytarty do sucha. Niech wszyscy zjedzą śniadanie.

Może wypije pan ze mną filiżankę kawy? Zaprosiłem również doktora...

— Z największą przyjemnością, sir.

Podczas śniadania prawie nie rozmawiali. Jack zagadnął:

— Myślę, że wolałby pan, żebyśmy wszyscy włożyli jedwabne pończochy, doktorze?

— Dlaczego jedwabne pończochy? Nie rozumiem... — zdziwił się Stephen.

— Mówią, że chirurgowi o wiele łatwiej wtedy odciąć nogę...

— Tak, rzeczywiście. Wszyscy powinni włożyć jedwabne pończochy.

Koniecznie.

Porucznik i kapitan nie odzywali się do siebie, lecz wyczuwało się między nimi przyjacielską zażyłość.

— Moim zdaniem ma pan całkowitą rację — powiedział Jack do Dillona,

zapinając płaszcz.

Wyglądało to tak, jakby podczas posiłku przez cały czas dyskutowali o napotkanym okręcie.

Na pokładzie słowa Jamesa potwierdziły się ponad wszelką wątpliwość: okrętem tym była fregata „Cacafuego”. Zmieniła kurs, zmierzając na spotkanie z „Sophie”. Załoga hiszpańskiej jednostki stawiała boczne żagle. Przez lunetę Jack widział dokładnie maszty z czerwonymi rejami i burtę lśniącą cynobrem w słońcu.

— Zbiórka na rufie — polecił. Stephen zauważył na twarzy kapitana radosny uśmiech. Ludzie zgromadzili się i dowódca z trudem zmusił się do śmiertelnej powagi. — Słuchajcie wszyscy! — zawołał, spoglądając z zadowoleniem na załogę. — Jak zapewne już wiecie, ta fregata na nawietrznej to „Cacafuego”. Niektórzy z was nie byli zbyt zadowoleni, gdy ostatnim razem

rozstaliśmy się z nią bez walki. Teraz jednak, gdy nasze działa strzelają najlepiej we flocie, sytuacja wygląda zupełnie inaczej... Panie Dillon, proszę przygotować okręt do bitwy.

Gdy Jack zaczynał mówić, połowa ludzi patrzyła na niego z radosnym podnieceniem, pozostali wydawali się trochę zakłopotani, niektórzy byli nawet niespokojni i zmartwieni. Promieniujące od dowódcy oraz stojącego tuż obok porucznika zadowolenie sprawiło jednak, iż wszelkie oznaki ponurego nastroju zniknęły szybko. Rozległ się głośny okrzyk radości. Gdy rozpoczęto przygotowania do boju, tylko na czterech lub pięciu twarzach malowało się przygnębienie. Większość członków załogi sprawiała wrażenie, jakby wybierali się na tańce.

„Cacafuego” miała na masztach żagle rejowe i płynęła szybko z wiatrem, zataczając szeroki łuk na zachód, tak by znaleźć się od strony otwartego morza i

na nawietrznej brygu. „Sophie”

żeglowała przez cały czas ostro na wiatr i gdy obie jednostki były w odległości pół mili, narażona była bezpośrednio na salwę burtową uzbrojonej w trzydzieści dwa działa fregaty.

— Przyjemną stroną walki z Hiszpanami nie jest bynajmniej to, że są tchórzami.

To nieprawda, panie Ellis — mówił Jack, patrząc w szeroko otwarte oczy i niezwykle poważną twarz podchorążego. —

Oni po prostu nigdy nie są gotowi...

Fregata znalazła się wreszcie w miejscu, które upatrzył sobie jej kapitan.

Wystrzeliło działo i na maszcie pojawiła się hiszpańska bandera.

— Amerykańska flaga, panie Babbington

— poleciał Jack. — To da im trochę do myślenia. Proszę zapisywać czas, panie Richards.

Odległość malała bardzo szybko.

„Sophie” kierowała się za rufę

„Cacafuego”, tak jakby zamierzała

przeciąć kilwater fregaty, która nie
znajdowała się jeszcze w zasięgu dział
brygu. Na pokładzie zapanowała martwa
cisza. Wszyscy czekali na zwrot, który
prawdopodobnie nastąpić miał dopiero
po salwie przeciwnika.

— Proszę przygotować banderę —
powiedział Jack cicho. — Teraz, panie
Dillon — rzekł głośniej.

— Ster na zawietrzną — padła komenda
i rozległ się gwizdek bosmana. „Sophie”
obróciła się w miejscu, na jej maszcie
ukazała się brytyjska bandera. Płynąc
ostro na wiatr, słup celował dziobem
prosto w burtę Hiszpana. Działa
„Cacafuego” odezwały się natychmiast.
Kule przeleciały ponad i pomiędzy
bramsłami brygu, wrywając w płótnie
cztery otwory. Załoga „Sophie”
krzyknęła radośnie, ludzie z obsady
potrójnie załadowanych armat
znieruchomieli, w napięciu oczekując na
rozkaz.

— Mierzyć jak najwyżej. Nie strzelać,

dopóki ich nie uderzymy! — polecił

Jack donośnym głosem.

Widział, jak z burty fregaty spadają do

morza wyrzucane pośpiesznie klatki z

kurami, jakieś pakunki i kawałki

drewna. Przez dym widać było

pływające po wodzie kaczki oraz

śmiertelnie przerażonego kota na

zanurzonej do połowy skrzyni. Na

pokład brygu doleciał zapach prochu i

resztki rozplywającej się szarej chmury.

Wkrótce żagle Hiszpana zasłonią

„Sophie” wiatr, ale powinno wystarczyć

jej rozpędu... Aubrey spojrzął w czarne

wyloty luf nieprzyjacielskich armat w

chwili, gdy po raz kolejny plunęły

ogniem. Burta fregaty znów zniknęła w

kłębach dymu. „Wciąż zbyt wysoko” —

zauważył

obojętnie. Nie było jednak czasu na

emocje. Starając się przebić wzrokiem

chmurę prochu, skierował

okręt w stronę dziobu i kotwic

„Cacafuego”.

— Ster na burtę! — zawołał, gdy rozległ

się przeraźliwy zgrzyt. — Ognia!

Fregata była głęboko zanurzona, lecz pokład „Sophie” znajdował się o wiele niżej. Oba okręty płynęły szczipione rejami, wyloty armat brygu były nisko pod furtami działowymi Hiszpana.

Pierwsza salwa burtowa słupa uderzyła z odległości zaledwie sześciu cali, siejąc straszliwe spustoszenie na pokładzie przeciwnika. Na moment zapadła głucha cisza, potem zabrzmiał radosny okrzyk brytyjskich

marynarzy. Podczas krótkiej pauzy usłyszeli, jak na rufie „Cacafuego” ktoś zdenerwowanym głosem wydaje rozkazy. Trzy stopy nad głową Jacka odezwały się działa. Strzelały teraz znacznie bardziej chaotycznie, z ogłuszającym hukiem.

Salwa „Sophie” zagrziała jak na ćwiczeniach, armaty kolejno wyrzucały pociski. Pierwsza... druga... trzecia... czwarta... piąta... szósta...

siódma. Po każdym wystrzale słycać
było klaśnięcie uprzęży i odgłos
toczących się po pokładzie rolek. Gdy
piąte działo cofało się, pchnięte
odrzutem, Dillon chwycił Jacka za ramię
i wołał, przekrzykując kanonadę:
— Hiszpanie dali rozkaz do abordażu!
— Panie Watt, proszę natychmiast
odepchnąć nas od ich burty! — krzyknął
Jack w stronę dziobu przez tubę. —
Uwaga, sierżancie! — dodał szybko.
Jeden z baksztagów „Cacafuego” spadł
na pokład brygu, przeszkadzając w
podtaczaniu rufowej armaty. Kapitan
odsunął się nieco i spojrzał w górę. Na
burcie fregaty pojawiła się zwarta
gromada ludzi. Żołnierze piechoty
morskiej i uzbrojeni w broń palną
członkowie załogi „Sophie” powitali ich
huraganowym ogniem. Hiszpanie
zawahali się. Luka pomiędzy okrętami
wzrastała, gdyż ludzie bosmana na
dziobie i Dillona na rufie ze wszystkich
sił

napierali na drzewce. Pistolety strzelały z suchym trzaskiem. Niektórzy z Hiszpanów próbowali przeskakiwać na bryg, inni chcieli zarzucać kotwiczki. Kilku zleciało do wody, paru innych upadło na pokład. Działa „Sophie”, znajdującej się teraz w odległości około dziesięciu stóp od fregaty, wypaliły wprost w stłoczonych napastników, wybijając w nadburciu siedem poszarpanych otworów.

Dziób „Cacafuego” powoli odchodził od linii wiatru. Nieprzyjacielski okręt płynął na południe i „Sophie” miała wystarczająco wypełnione żagle, by znów zbliżyć się do jego burty. Kolejny raz odezwały się działa fregaty i straszliwy huk przetoczył się echem po niebie. Hiszpanie usiłowali obniżyć lufy armat, mierzyli z muszkietów, strzelali na ślepo za burtę z pistoletów, licząc na to, iż uda im się unieszkodliwić obsady dział brygu. Walczyli odważnie — jeden z nich

długo balansował na relingu, chcąc
strzelić w dół, i zrezygnował dopiero
wtedy, gdy trafiła go trzecia kula — byli
jednak zdezorganizowani. Jeszcze
dwukrotnie chcieli dokonać abordażu, za
każdym razem słup oddalał się i przez
kilka minut strzelał z dystansu,
demolując pokład i takielunek Hiszpana.
Gdy okręty zbliżały się do siebie, salwy
brygu wyrywały wnętrzności z kadłuba
fregaty. Lufy dział rozgrzały się tak
bardzo, że prawie nie można było ich
dotknąć. Lawety odskakiwały wściekle
do tyłu po każdym wystrzale.
Namoczone wyciory syczały i zwęglaly
się wsuwane w głąb luf. Armaty były
niebezpieczne nie tylko dla
nieprzyjaciół, lecz również dla
obsługujących je ludzi.
Hiszpanie strzelali bez przerwy. Ich
ogień był chaotyczny i nerwowy. Kule
armatnie raz za razem trafiały w marsa
grotmasztu „Sophie” — platforma
została doszczętnie rozbita i na pokład

brygu spadały olbrzymie kawałki
drewna, wsporniki, hamaki. Olinowanie
było porwane, żagle straszyły
niezliczoną ilością dziur. Płonące
strzępy przybitki przez cały czas fruwały
we wszystkie strony.

Bezrobotni dotąd ludzie obsługujący
działa na prawej burcie biegali tu i tam z
wiadrami pełnymi wody. Pomimo
zamieszania wszystko odbywało się w
niezmaconym porządku. Z prochowni
wędrowały na górę ładunki i kule.

Obsady dział pracowały rytmicznie. Gdy
któryś z marynarzy padł
zabity lub ranny, natychmiast wynoszono
go pod pokład, a jego miejsce bez słowa
zajmował ktoś inny. Wszyscy byli
skupieni, nieomylnie poruszali się w
kłębach gęstego dymu. Nikt nikogo nie
potrącał, nie popychał, niemal
niepotrzebne były komendy.

„Niedługo zostaniemy bez masztów” —
pomyślał Jack. Trudno było uwierzyć, że
dotąd nie spadła żadna reja — to nie

mogło jednak trwać długo. Kapitan schylił się i zawołał Ellisowi prosto do ucha:

— Proszę pobiec do kuchni i powiedziec kucharzowi, żeby odwrócił wszystkie garnki do góry nogami.

Pullings, Babbington, przerwać ogień. Odpychamy się. Marsle na wiatr. Panie Dillon, niech ludzie z wachty prawej burty poczernią sobie w kuchni twarze sadzą. Powiem jeszcze do nich kilka słów... Słuchajcie wszyscy! —

wykrzyknął, gdy kadłub „Cacafuego” powoli przesuwał się do przodu.

— Musimy wejść na pokład tej fregaty i ją zdobyć! Teraz przyszła na to pora.

Teraz albo nigdy. Teraz albo będzie po nas. Teraz, póki się nie otrząsnęli. Pięć minut walki i ten okręt będzie nasz.

Bierzcie topory, szable i do dzieła.

Niech wszyscy z wachty prawej burty idą do kuchni poczernić sobie twarze i potem szybko na dziób, z porucznikiem Dillonem. Reszta do mnie, na rufę.

Zbiegł pod pokład. Doktor miał tu
czterech cierpiących w milczeniu
rannych i dwa martwe ciała.

— Za chwilę dokonamy abordażu —
mówił Jack pośpiesznie. — Potrzebuję
pańskiego pomocnika.

Potrzebuję wszystkich mężczyzn, jacy są
na pokładzie. Idzie pan?

— Nie — odparł Maturin. — Mogę
sterować, jeśli pan chce.

— Tak. Dobrze. Chodźmy!

Po wyjściu na zasypany kawałkami
drewna i lin pokład Stephen ujrzał z
lewej strony przed dziobem, w kłębach
dymu, wznoszącą się wysoko rufę
oddalonej o jakieś dwadzieścia jardów
fregaty. Załoga

„Sophie” podzielona była na dwie
grupy. Członkowie jednej z nich
przebiegali z kuchni na dziób z
umazanymi sadzą twarzami. Drugi
oddział zebrał się przy relingu na rufie.
Ochmistrz stał blady i patrzył dookoła
oszałałym wzrokiem. Artylerzysta

mrugał nieprzyzwyczajonymi do światła oczami.

Kucharz czekał gotowy z tasakiem rzeźnickim w dłoniach. Był też fryzjer okrętowy i tuż obok niego sanitariusz.

Doktor spojrzął na Cheslina, który wykrzywiając w uśmiechu zajęczką wargę, pieścił

zakrzywiony szpikulec abordażowego topora i powtarzał w kółko:

— Zaraz im przyłożę. Zaraz im przyłożę.

Zaraz im przyłożę...

Niektóre działa fregaty wciąż niepotrzebnie strzelały w próżnię.

— Do brasów! — zawołał Jack i reje zaczęły się obracać tak, by marsle schwyciły wiatr. — Doktorze, czy wie pan, co robić? — Stephen skinął głową,

stanął za kołem sterowym i położył dłonie na szprychach. Pełniący do tej pory służbę na sterze marynarz odszedł

na bok i z ponurym zadowoleniem

sięgnął po broń. — Doktorze, jak można

po hiszpańsku zawołać następnych

pięćdziesięciu ludzi? —

zapytał kapitan.

— *Otros cincuenta...* — odparł

Maturin.

— *Otros cincuenta* — powtórzył Jack,

patrząc z uśmiechem prosto w twarz

Stephena. — Proszę podejść do ich

burty... — Znów się uśmiechnął, skinął

jeszcze raz głową i szybko wspiął się na

poręcz relingu. Stał, trzymając się

pierwszej od strony dziobu wanty i

wymachując ciężką kawaleryjską szablą.

Tuż za nim czekał gotowy do skoku

sternik jego łodzi.

Podziurawione marsle „Sophie” w

końcu wypełniły się wiatrem. Okręt

ruszył do przodu. Stephen wyłożył ster

na burtę. Rozległo się przeraźliwe

skrzypienie, zgrzyt, pękła z trzaskiem

jakaś lina. Bryg zadrżał i znieruchomiał

przy burcie „Cacafuego”. Na dziobie i

na rufie ludzie ze straszliwym

wrzaskiem wspinali się na pokład

fregaty.

Jack zeskoczył z pogruchotanego relingu

wprost na odtoczone do tyłu, gorące,

dymiące działo.

Hiszpański ładowniczy rzucił się w

stronę kapitana „Sophie” z wyciorem.

Aubrey uderzył go w głowę.

Ładowniczy zachwiał się i Jack skoczył

ponad jego pochylonymi ramionami na

deski pokładu.

— Dalej! Naprzód! — zawołał głośno i

wściekle tnąc szablą uciekających

artylerzystów i wycelowane w niego

piki i szpady. Ujrzał kilkuset — aż

kilkuset — stłoczonych na pokładzie

„Cacafuego” ludzi.

Cały czas krzyczał: — Dalej! Za mną!

Razem!

W pierwszej chwili Hiszpanie cofnęli

się, jakby zaskoczeni, i wszyscy

członkowie załogi „Sophie”

zdołali wejść na nieprzyjacielski okręt.

Zaatakowali od dziobu i na śródokręciu.

Zdezorientowani obrońcy fregaty dali

się odepchnąć spod grotmasztu w

kierunku rufy; gdy oprzytomnieli,
rozgorzała zacięta walka. Padały okrutne
ciosy, ludzie szamotali się ze sobą,
strzelali z pistoletów, rąbali toporami,
potykali się o poukładane na pokładzie
drzewce. Prawie nie było miejsca, by
upaść. Nieco dalej, z boku, walczyły
wściekle małe dwu- lub trzyosobowe
grupki. Wszyscy krzyczeli jak opętani.
Aubrey znalazł się z dala od
największego ścisku. Z trudem torując
sobie drogę, przesunął się o trzy jardy
do przodu. Naprzeciwko siebie ujrzał
żołnierza i gdy ich szable zderzyły się,
pika innego Hiszpana przeszła pod
prawym ramieniem Jacka. Rozpruwając
bok, ześliznęła się po żebrach i chciała
uderzyć znowu. Jednak Barret Bonden
wystrzelił z pistoletu tuż za plecami
dowódcy „Sophie”, zabijając
wymachującego piką człowieka. Kula
oderwała kapitanowi dolną część ucha.
Nie zwracając na to uwagi, wykonał on
sprytną szermierczą sztuczkę i ciął

swego przeciwnika z potworną siłą w
ramię. Skłębiony tłum zafalował i
żołnierz upadł. Jack wyrwał wbitą
głęboko w kość szablę i rozejrzał
się szybko dookoła.

— Nic z tego nie będzie. Nie uda nam
się — powiedział do siebie.

Z przodu, pod forkasztelem,
przeważający liczebnie Hiszpanie —
było ich trzystu — zdołali częściowo
otrząsnąć się z zaskoczenia. Spychali
ludzi z „Sophie” do burty, wbijając klin
między oddział Jacka i grupę Dillona na
dziobie. Porucznik potrzebował
wsparcia. Przebieg bitwy mógł
zmienić się w każdej chwili. Aubrey
wskoczył na działo i rozdzierającym
gardło głosem krzyknął:

— Dillon, Dillon, zejściówka na prawej
burcie! Zaatakujcie w kierunku prawej
zejściówki! — Kątem oka dostrzegł
daleko w dole, na pokładzie brygu,
trzymającego koło sterowe i patrzącego
z niepokojem w górę Stephena. — *Otros*

cincuenta — zawołał, chcąc zmylić
obrońców fregaty. Gdy doktor skinął
głową i odpowiedział coś głośno po
hiszpańsku, Jack rzucił się w wir walki,
z uniesioną wysoko szablą i
wymierzonym przed siebie pistoletem.

W tej samej chwili na forkasztelu
rozległy się przeraźliwe okrzyki i
oddział Dillona podjął desperacką
próbę przebiccia się do prowadzącej z
forkasztelu na śródkręcie zejściówki na
prawej burcie.

Rozgorzała zawzięta walka, coś się
załamało i gdy zgromadzeni na głównym
pokładzie Hiszpanie odwrócili głowy,
ujrzeli poczernione twarze zbiegających
w dół po schodkach angielskich
marynarzy.

Straszliwe zamieszanie wybuchło koło
dzwonu fregaty, słychać było dzikie
wrzaski i nawoływania.

Umazani sadzą ludzie z załogi Sophie
krzyknęli radośnie, gdy udało im się
wreszcie połączyć z drugim oddziałem.

Strzelały muszkiety i pistolety, brzęczały
szable, stłoczeni Hiszpanie cofnęli się z
wahaniem. Nie mogli kontratakować. Ci,
którzy znajdowali się na rufie, pobiegli
przy lewej burcie na śródokręcie,
próbując pokierować
zdezorientowanymi ludźmi i
zaangażować bezczynnych dotąd
żołnierzy.

Kolejny przeciwnik Jacka, drobny
marynarz, wił się z bólu za kabestanem,
Aubrey z trudem wyrwał
wbitą głęboko szablę. Spojrzał w tył, na
opustoszały pokład rufówki.

— Bonden! — zawołał, wyciągając
ramię. — Pobiegnij tam i zrzuć banderę.

Bonden pobiegł na rufę, przeskakując
nad ciałem martwego hiszpańskiego

kapitana. Jack krzyknął

głośno i wskazał ręką. Setki oczu

spojrzały w tym kierunku i na pół

rozumiejąc, patrzyły, jak bandera

„Cacafuego" szybko wędruje w dół.

Było już po wszystkim.

— Przerwać walkę! — wykrzyknął

Aubrey i jego rozkaz został powtórzony
na pokładzie.

Ludzie z załogi „Sophie” cofnęli się, a
zgrupowani na śródokręciu Hiszpanie
opuścili broń, nagle pozbawieni zapału,
przerażeni, sparaliżowani niepewnością,
zdradzeni. Najstarszy rangą oficer
fregaty wystąpił z tłumu i oddał
kapitanowi „Sophie” swą szpadę.

— Czy mówi pan po angielsku, sir? —
zapytał Jack.

— Rozumiem trochę — odparł oficer.

— Pańscy ludzie muszą natychmiast
zejść do ładowni — powiedział Jack.

— Oficerowie zostaną na pokładzie.

Załoga do ładowni. Na dół, do ładowni.

Hiszpan wydał rozkazy. Jego podwładni
zaczęli tłoczyć się przy zejściówkach.

Dopiero teraz widać było zabitych i
rannych — splątane ciała na

śródokręciu, na dziobie, ciała

porozrzucane tu i tam na całym

pokładzie. Teraz wyszła też na jaw

rzeczywista liczba napastników.

— Szybciej, szybciej! — ponaglał Jack, marynarze i żołnierze z „Sophie” nerwowo popędzali schodzących pod pokład ludzi. Doskonale zdawali sobie sprawę z zagrażającego wciąż niebezpieczeństwa. — Panie Day, panie Watt, proszę skierować kilka ich armat... te karonady... w dół zejściówek. Załadować kartaczami. Jest ich pełno na rufie. Gdzie jest pan Dillon? Proszę go zawołać.

Odezwały się wołania, nikt jednak na nie nie odpowiedział. Porucznik leżał blisko zejściówki forkasztelu, na prawej burcie, tam gdzie wrzała najgorętsza walka, o parę kroków od młodego Ellisa.

Gdy Jack dostrzegł Dillona, wydawało mu się, iż James jest tylko ranny. Gdy obrócił go na plecy, ujrzał w jego piersi olbrzymią ranę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Słup Jego Królewskiej Mości „Sophie”

w morzu, koło Barcelony

Sir,

Pragnę powiadomić pana, iż słup,

którym mam zaszczyt dowodzić, po

obustronnym ataku i gwałtownej walce zdobył hiszpańską fregatę „Cacafuego

”, uzbrojoną w 32 działa: 22 długie

dwunastofuntowe, 8

armat dziewięcioletowych i 2 ciężkie

karonady, dowodzoną przez Don

Martina de Langara, obsadzoną przez 319 oficerów, marynarzy i żołnierzy.

Przewaga sił po stronie nieprzyjaciela

zmusiła mnie do poczynienia pewnych kroków, które przesądziły o

zwycięstwie. Zdecydowałem się na

próbę abordażu, która przeprowadzona została nieomal bez strat. Po zawziętej

walce wręcz bandera hiszpańskiego

okrętu została opuszczona, a jego

załoga skapitulowała. Muszę wyrazić

głęboki żal z powodu śmierci

porucznika Jamesa Dillona, który

zginął, prowadząc do boju oddział

abordażowy.

Śmierć poniósł także pan Ellis,

pełniący obowiązki podchorążego,

podczas gdy pan Watt, bosman, został

*ciężko ranny. Ciężkie rany odniosło
również pięciu marynarzy. Mój podziw
dla waleczności i odwagi pana Dillona, który w brawurowy sposób poprowadził
decydujący atak, jest wprost bez-
graniczny.*

— Widziałem go przez chwilę —
opowiadał Stephen po bitwie. —
Widziałem go przez wyrwę w
burcie, między dwiema furtami
działowymi. Walczyli koło armaty. Gdy
pan krzyknął, ruszyli do tej zejściówki.
James był z przodu, a za nim czarne
twarze. Strzelił do człowieka
uzbrojonego w pikę, dźgnął mężczyznę,
który powalił bosmana, potem starł się z
oficerem w czerwonej kurtce. Po kilku
szybkich złożeniach sparował cios
szabli tamtego swoim pistoletem i
pchnął go straszliwie. Jego szpada
trafiła w kość lub coś twardego i jej
ostrze się złamało. Przy rękojeści
pozostało zaledwie sześć cali metalu,
porucznik z niewiarygodną szybkością i
siłą przebił tym swego przeciwnika. Nie

uwierzyłyby pan, jak bardzo James był

wtedy szczęśliwy. Miał tak

rozpromienioną twarz...

Powiniennem też podkreślić wyjątkowe

zdyscyplinowanie i sprawność bojową

załogi dowodzonego przeze mnie

okrętu. Na szczególne uznanie

zasługuje bohaterska postawa pana

Pullingsa, podchorążego z promocją, pełniącego obecnie obowiązki

porucznika. Pragnę polecić tego

obiecującego młodego człowieka

pańskiej uwadze. W walce wyróżnili się

również bosman, cieśla, artylerzysta i podoficerowie.

Pozostaję uniżonym... i tak dalej.

Załoga i uzbrojenie „Sophie” przed

walką: 54 ludzi: oficerów, marynarzy,

żołnierzy i chłopców okrętowych. 14

czterofuntowych dział. 3 zabitych i 8

rannych.

Załoga i uzbrojenie fregaty

„Cacafuego”: 274 oficerów i

marynarzy. 45 żołnierzy piechoty

morskiej.

32 działa.

Zabici: kapitan, bosman i 13 członków

załogi, 41 rannych.

Jack przeczytał list raz jeszcze, zmienił w pierwszym zdaniu „Pragnę” na „Mam przyjemność”, złożył

swój podpis i napisał adres kapitana

Harte. Lord Keith przebywał na drugim

krańcu Morza

Śródziemnego — oficjalna

korespondencja przechodziła więc przez

ręce komendanta portu.

Tekst był do przyjęcia, ale wciąż daleki

od ideału pomimo tylu wysiłków i

poprawek. Jack nigdy nie miał lekkiego

pióra. Na pewno udało mu się pr fakty,

część faktów. Jediną nieścisłością była

informacja w nagłówku, iż ów list

napisany został w morzu, w pobliżu

Barcelony, podczas gdy powstał dopiero

w Mahon, w dzień po wejściu do portu.

Co ważne, w treści pisma znalazła się

wzmianka o wszystkich, którzy

zasługiwali na wyróżnienie — tylko

Stephen Maturin nalegał, by go pominąć.

Nawet gdyby było to szczytowe
osiągnięcie elokwencji i epistolografii,
słowami nie dałoby się przekazać
prawdy o tym, co się wydarzyło.

Powinien o tym doskonale wiedzieć
każdy czytający ów list oficer
marynarki. Na przykład: walka na
pokładzie fregaty wydawała się czymś
odizolowanym w czasie, beznamiętnie
obserwowanym z boku, odbywającym
się według z góry ustalonego planu i
dokładnie zapamiętanym. W
rzeczywistości najważniejsze
wydarzenia rozegrały się przed tym
decydującym starciem lub tuż po nim.

Jack nie potrafił jednoznacznie określić,
co zdarzyło się wcześniej, a co później.

Nie umiał odtworzyć przebiegu
wypadków. Bez dziennika okrętowego
nie mógł też przypomnieć sobie, co
działo się po zwycięstwie. Wszystko
przesłonięte było wspomnieniem
wyczerpującej pracy, zmęczenia i
niepokojów. Dwudziestu czterech

marynarzy musiało upilnować trzystu
głodnych i złych jeńców. Na dodatek
pomimo przeciwnych wiatrów trzeba
było doprowadzić sześćsettonowy przyz
do Mahon. Niemal całe olinowanie
„Sophie”, zarówno stałe, jak i ruchome,
wymagało naprawy lub wymiany.

Maszy zostały posztukowane, reje
zamocowane, założono nowe żagle.

Bosman był ciężko ranny. Podróż na
Minorę odbywała się na granicy
ryzyka, o włos od katastrofy, przy nie
sprzyjającej pogodzie. Zamazane
obrazy, przygnębienie. Dziwnie łatwo
było rozpamiętywać tragedię

„Cacafuego”, zapominając o
zwycięstwie „Sophie”. Nieustanny
pośpiech, który wydawał się teraz
treścią życia. Mgła rozświetlona
kilkoma jasnymi i wyraźnymi
wspomnieniami.

Pullings, na zakrwawionym pokładzie
fregaty, krzyczący kapitanowi wprost do
ucha, że z portu w Barcelonie wyszły w

morze kanonierki. Determinacja, z jaką
podjęto próbę oddania w ich stronę
salwy z dział nie uszkodzonej burty
zdobytego okrętu. Radość, gdy łodzie
zawróciły i znikły za horyzontem.

Dlaczego?

Niesamowity odgłos, który obudził
Jacka podczas środkowej wachty: cichy
jęk, narastający
ćwierćtonami i przechodzący w
pulsujące zawodzenie; szybko
wypowiadane lub raczej skandowane
słowa; znów przeraźliwy jęk. Irlandzcy
członkowie załogi opłakiwali w ten
sposób Jamesa Dillona, leżącego na
wznak z krzyżem w dłoniach, z
zapalonymi latarniami koło głowy i stóp.
Pogrzeby. Ten dzieciak Ellis, zaszyty w
hamaku i przykryty flagą, przypominał
ciasteczko. Na to wspomnienie w
oczach kapitana ponownie zakręciły się
łzy. Płakał, gdy ciała poleciały za burtę i
żołnierze oddali salwę honorową.

„Mój Boże” — pomyślał. — „Dobry

Boże" ... Pisząc i poprawiając list,
przypomniawszy sobie wszystko.

Serce znów wypełniło się smutkiem, tym
samym, który trwał od zakończenia
bitwy aż do momentu, gdy wiatr ucichł
na kilka mil przed przylądkiem Mola i
wystrzeliły wzywające pilota oraz
asystę działa. Powoli brała jednak górę
radość. Próbując przywołać w pamięci
chwilę, w której ostatecznie
zatriumfowała, Jack dotknął delikatnie
końcem pióra okaleczonego ucha,
podniósł głowę i spojrzawszy
przez okna kabiny. Wspaniała fregata,
niezaprzeczalny dowód odniesionego
zwycięstwa, stała zacumowana przy
nabrzeżu stoczni, zwrócona w stronę
„Sophie” nie uszkodzoną lewą burtą,
odbijającą się czerwienią i złotem w
nieruchomej wodzie. Wyglądała tak
samo pięknie i dumnie jak wtedy, gdy
ujrzał ją po raz pierwszy.

Zadowolenie pojawiło się, kiedy przyjął
pełne niedowierzania gratulacje od

zaskoczonych Senneta, dowódcy „Bellerophona”. Łódź z tego okrętu pierwsza dotarła do „Sophie”. Potem przyплыnęli inni: dowodzący „Naiad” Butler, młody Harvey, Tom Widrington, kilku podchorążych, a także Marshall i Mowett. Obaj prawie odchodzili od zmysłów, żałując, iż ominęła ich taka bitwa. Byli jednak bardzo dumni. Łodzie wzięły na hol „Sophie” i jej przyz. Nowo przybyli ludzie zmienili wyczerpanych żołnierzy i daymanów pilnujących jeńców.

Jack poczuł wtedy przygniatający ciężar ostatnich dni i nocy, owładnęło nim wszechogarniające zmęczenie i poszedł spać, nie chcąc już odpowiadać na zadawane wciąż pytania. Zasnął cudownym, kamiennym snem i obudził się dopiero w porcie, w samą porę, by odebrać krótki liścik od Molly Harte — nie podpisany, przysłany w podwójnej kopercie.

Tak. To chyba było wtedy. Obudził się

przepełniony radością. Ciągłe jeszcze
nie mógł przeboleć śmierci trzech
członków załogi. Chętnie oddałby prawą
dłoń, gdyby w ten sposób udało się
przywrócić im życie. W przypadku
Dillona smutek Jacka mieszał się z
nieokreślonym poczuciem winy.

Pełniący czynną służbę oficer odczuwa
żał bardzo intensywnie, lecz niedługo.
Rozsądek podpowiadał, że zwycięstwa
nad wielokrotnie silniejszym
przeciwnikiem nie zdarzały się na morzu
zbyt często. Aubrey wiedział, iż jeśli nie
popęlni jakiegoś głupstwa, jeśli nie
wyleci w powietrze z hukiem jak
„Boyne”, wkrótce może spodziewać się
z Admiralicji awansu na starszego
kapitana.

Przy odrobinie szczęścia miał nawet
szansę zostać dowódcą fregaty. Kolejno
przypominał sobie niektóre z tych
dostojnych i pięknych żaglowców:
„Emerald”, „Seahorse”, „Terpsichore”,
„Phaeton”,

„Sibille”, „Sirius”, szczęśliwe

„Ethalion”, „Naiad”, „Alcmene” i

„Triton”, mknąca po falach „Thetis”.

Były też inne: „Endymion”, „San

Fiorenzo”, „Amelia”... całe tuziny.

Ponad sto. Czy mógł liczyć na fregatę?

Nie bardzo. Raczej na jakiś uzbrojony w

dwadzieścia dział mały okręt szóstej

klasy. Nie powinien marzyć o fregacie,

o dowodzeniu „Cacafuego” i o

uprawianiu miłości z Molly Harte. A

przecież kochali się... W pocztowej

karcie, w altance, w innej altance,

przez całą noc. Pewnie dlatego był taki

senny, niezmiennie pragnął drzemki,

marząc o świetlanej przyszłości.

Zapewne również z tego powodu tak

bardzo dokuczały mu rany. Cięcie na

lewym ramieniu otworzyło się na

jednym końcu. Jack nie pamiętał, kiedy

mu je zadano. Odkrył je dopiero po

bitwie. Stephen zaszył ranę i opatrzył ją,

podobnie jak paskudny ślad po ostrzu

piki. Zajął się też tym, co zostało z

rozerwanego ucha.

Nie wolno mu było drzemać. Należało

działać, iść za ciosem, skorzystać z

nadarzającej się okazji i spróbować

zostać dowódcą fregaty. Aubrey

postanowił, iż natychmiast przygotowuje

list do Queeney, a po południu wyśle

jeszcze kilka innych listów. Może

powinien napisać do ojca? Czy warto?

Czy starszy pan znów nie popłacze

wszystkiego? Absolutnie nie radził

sobie w podobnych sprawach, nie umiał

pokierować najprostszą intrygą, nie

potrafił też zarządzać skromnym

rodzinnym majątkiem.

Nigdy nie powinien zostać generałem.

Najważniejszy był urzędowy list do

dowództwa. To trzeba było załatwić na

samym początku. Jack wstał od stołu,

ciągle się uśmiechając.

Po raz pierwszy był oficjalnie na brzegu

i szybko zauważył, iż wszyscy zwracają

na niego uwagę: spojrzenia, szepty,

pokazywanie palcami. Zaniósł swój

raport do biura komendanta, przez całą drogę dręczony wyrzutami sumienia.

Jeszcze w przedpokoju czuł się skrepowany. Zapomniał o wszystkim już po pierwszych słowach kapitana Harte.

— No cóż, Aubrey — powiedział komendant na powitanie, nie wstając zza stołu. — Wydaje mi się, że kolejny raz muszę pogratulować panu niesamowitego szczęścia.

— Jest pan zbyt uprzejmy, sir — odparł Jack. — Przyniosłem panu oficjalny list...

— Och, tak. — Kapitan Harte westchnął, skrzywił się i odsunął niedbale pismo. — Natychmiast przekażę pański list dalej. Pan Brown powiedział mi, iż stocznia nie zrealizuje nawet połowy pańskich zamówień.

Bardzo jest zaskoczony tym, czego pan żąda. Jak to się u licha stało, że stracił pan aż tyle drzewiec? Skąd tak wielkie ubytki w takielunku? Połamane wiosła? Nie mamy tu takich wiosel. Czy pański

bosman nie przesadził trochę? Pan

Brown mówi, że żadna fregata, żaden okręt liniowy nie domaga się takiej ilości lin.

— Bardzo byłbym panu Brownowi zobowiązany, gdyby wyjaśnił mi, jak można zdobyć fregatę o trzydziestu dwóch działach, nie tracąc ani jednej rei.

— Och, w przypadku nagłego, niespodziewanego ataku... Wie pan... Tak czy inaczej, będzie pan musiał udać się na Maltę po większość zamówionych rzeczy. „Northumberland” i „Superb” wymiotły nasze magazyny do czysta. — Było jasne, iż komendant za wszelką cenę silił się na złośliwość, ale jego słowa nie odnosiły zamierzonego skutku.

Aubrey nie przejął się nimi zbytnio, lecz następne uderzenie zraniło go bardzo głęboko. — Czy napisał pan już do rodziców małego Ellisa? Oficjalny raport — Harte uderzył palcami w leżący na stole list

— to prosta sprawa. Każdy potrafi
spłodzić coś takiego. Nie zazdroszczę
panu przykrego obowiązku

powiadomienia najbliższych... Nie
wiem, co sam napisałbym w podobnej
sytuacji... — Komendant spojrział
wściekle spod zmarszczonych brwi,
przygryzając kostkę zgiętego kciuka.

Widać było, iż myśl o niepowodzeniach
finansowych jest dla niego o wiele
bardziej bolesna niż świadomość, że
żona przyprawia mu rogi.

Jack oczywiście napisał ów list, tak jak
i listy do wuja Jamesa Dillona i
krewnych zabitego marynarza.

Myślał o tym, gdy ze smutkiem na twarzy
wyszedł na podwórze. Jakaś postać w
mrocznej bramie znieruchomiała,
przyglądając się dowódcy „Sophie”
uważnie. W ocienionym przejściu
prowadzącym na ulicę widać było tylko
zarys sylwetki i dwa epolety starszego
kapitana lub oficera flagowego.

Aubrey zasalutował. Nie znał

człowieka, który z wyciągniętą w powitalnym geście dłonią wyszedł z cienia na tonący w słońcu dziedziniec.

— Kapitan Aubrey, jak mi się zdaje?

Keats, dowódca okrętu „Superb”.

Szanowny panie, proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje. Odniósł pan wspaniałe zwycięstwo. Opłynąłem właśnie łodzią pański przyz i jestem niezwykle zaskoczony. Czy sporo ucierpeliście? Służę wszelką pomocą.

Jestem gotów oddać do pańskiej dyspozycji mego bosmana, cieślę, żaglomistrzów. Czy mogę zaprosić pana do siebie na obiad? A może jest już pan z kimś umówiony? Myślę, że tak. Każda kobieta w Mahon chciałaby się panem pochwalić... Takie zwycięstwo!

— Z całego serca panu dziękuję. — Jack zarumienił się, nie potrafiąc ukryć zadowolenia, i uścisnął dłoń kapitana Keatsa z taką siłą, że niemal słychać było trzask łamanych kości.

— Bardzo jestem panu zobowiązany. To dla mnie zaszczyt, usłyszeć od pana podobne pochwały, niezmiennie cenię sobie pańskie zdanie. Prawdę mówiąc, jestem zaproszony na obiad do gubernatora, potem mam też zostać na koncercie. Jeśli jednak mógłbym prosić o wypożyczenie mi pańskiego bosmana i kilku marynarzy... Moi ludzie są strasznie zmęczeni. Ta pomoc spadłaby nam z nieba.

— Ależ tak. Z przyjemnością panu pomogę — ucieszył się kapitan Keats.

— W którą stronę pan idzie? W górę czy na dół?

— W dół, sir. Umówiłem się z pewną... osobą w oberży „Pod Koroną”.

— Świetnie. Odprowadzę pana kawałek

— powiedział Keats wesoło, chwytając Jacka za ramię. Gdy przeszli na drugą stronę ulicy, zawołał: — Tom! Chodź zobacz, kogo udało mi się wziąć na hol! To kapitan Aubrey, dowódca „Sophie”! Na pewno zna pan kapitana Grenville'a?

— Bardzo mi miło! — krzyknął groźny,

jednooki Grenville, o twarzy

poznaczonej bliznami. Podał

Jackowi dłoń i zaprosił go na obiad.

Zanim Jack rozstał się z Keatsem przed

wejściem do oberży „Pod Koroną”,

jeszcze pięciokrotnie zmuszony był

zrezygnować z zaproszenia na obiad. Z

ust ludzi, których bardzo szanował,

padały takie określenia, jak:

„najwspanialsza potyczka, o jakiej

kiedykolwiek słyszałem”, „Nelson na

pewno bardzo się ucieszy” i „jeśli na tym świecie istnieje sprawiedliwość, ta

fregata zostanie zakupiona przez rząd, a

kapitan Aubrey będzie jej dowódcą”. Z

największym podziwem i szacunkiem

spoglądali na niego mijani na

zatłoczonej ulicy marynarze oraz młodszy

oficerowie. Dwaj starsi wiekiem i

stażem dowódcy okrętów przebiegli

specjalnie przez ulicę, by złożyć mu

gratulacje. Uczynili to z nie ukrywaną

życzliwością i serdecznością, choć obaj

nie mieli szczęścia w zdobywaniu

pryzów.

Wiadomo też było, iż są bardzo zazdrośni.

Jack wszedł po schodach na górę, do swego pokoju, i siadając, odrzucił na bok płaszcz. Nie znał słów pozwalających określić stan, w jakim się znajdował. Było to szczególne uczucie: mieszanina zadowolenia, wzruszenia i wszechogarniającej radości. Serce drżało, w oczach zakreśliły się łzy.

Przeżywał to wszystko coraz mocniej i gdy do pomieszczenia wpadła

Mercedes, spojrzał na nią z

bezgraniczną sympatią, jak brat na

ukochaną siostrę. Dziewczyna uściskała

Jacka namiętnie i zaszcebiotała do

niego po katalońsku, wprost do ucha.

— Dzielny, dzielny kapitan, dobry,

przystojny i dzielny — powiedziała po

angielsku na zakończenie.

— Dziękuję, Mercy, kochanie. Bardzo

jestem ci zobowiązany. Powiedz mi... —

zagadnął Jack po dłuższej chwili,
próbując zmienić pozycję (dziewczyna
była pulchna i ważyła sporo). — Czy
mogłabyś być tak dobra i przynieść mi
trochę zimnego wina? *Sangria colda*?

Bardzo chce mi się pić...

Soif... Jestem spragniony. Naprawdę.

Odstawił na bok pokryty drobniutkimi
kropelkami rosy dzbanek i przyznał:

— Twoja ciotka mówiła prawdę. Statek
z Vinaroz był w tamtym miejscu z
dokładnością co do

minuty, znaleźliśmy też tych spryciarzy,
udających, że są z Ragusy. Dlatego mam
dla twojej cioci nagrodę... *recompenso*
de tua tia... kochanie. — Wyjął z
kieszeni wypchaną skórzaną sakiewkę.

— *Y*

aqui... Mam również coś dla ciebie —
dodał, podając dziewczynie małą
zapieczętowaną woskiem paczuszkę. —

Regalo para vous... niespodzianka,
kochanie.

— Prezent! — wykrzyknęła Mercedes,

rozwiązując wstążkę. Rozwinęła
bibułkę, wyjęła jubilerski woreczek, a z
niego piękny, wysadzany brylantami
krzyżyk na łańcuszku. Zapiszczała
radośnie, pocałowała Jacka w policzek i
podbiegła do lustra. Potem znów
zapiszczała, obsypując go
pocałunkami. Wciągnęła brzuch i
wypięła swą kształtną pierś —
przypominała napuszoną gołębicę.
Pochyliła się do przodu, krzyżyk
błyszczał na jej dekolcie, w kuszącym
zagłębieniu, prawie przed nosem Jacka.
— Ładny? Ładny? Podoba się?
Jack nie był już kochającym bratem.
Jego krtań zesztyniała, serce biło coraz
szybciej.
— O tak, podoba się — odpowiedział
nieco chrapliwym głosem.
— Timely, sir, bosman okrętu „Superb”
— rozległ się donośny głos od drzwi. —
Och, przepraszam, sir...
— Nic nie szkodzi, panie Timely —
zawołał Jack. — Cieszę się, że pana

widzę...

„Może i dobrze się stało” — pomyślał, kolejny dzisiaj raz wysiadając z łodzi przy schodkach nabrzeża. Na „Sophie” zostawił liczną grupę sprawnych i pracowitych ludzi z okrętu kapitana Keatsa, którzy natychmiast zajęli się wymianą uszkodzonych want. „Tyle jest do zrobienia... Tak czy inaczej, naprawdę słodka z niej dziewczyna...” Jack zmierzał na obiad do gubernatora. Taki przynajmniej miał zamiar. Zbytńo był jednak rozkojarzony i myśli uciekały to w przyszłość, to w przeszłość. Nie chciał też, by ktoś pomyślał, iż celowo paraduje głównymi ulicami. Wybrał więc okrężną drogę, przez ponure zaułki pachnące dojrzewającym winem, w stronę franciszkańskiego kościoła na szczycie wzgórza. Tutaj, zebrawszy myśli, zmienił kierunek i zerkając nerwowo na zegarek, przeszedł obok zbrojowni. Gdy mijał zielone drzwi

domu pana Floreya, spojrział szybko w górę; ruszył na północny zachód, ku rezydencji gubernatora.

Za zielonymi drzwiami, dwa piętra wyżej, Stephen zasiadł z panem Floreyem do przygotowanego naprędce posiłku. Naczynia stały tu i tam, na krzesłach i stolikach. Od powrotu ze szpitala obaj panowie zajęci byli sekcją dobrze zachowanego delfina, leżącego na wysokim stole przy oknie, obok czegoś znacznie większego, przykrytego prześcieradłem.

— Niektórzy kapitanowie uważają, iż mądrze jest wykazać w raporcie wszelkie, nawet najdrobniejsze obrażenia i kontuzje — powiedział pan Florey. — Ich zdaniem długa lista ofiar dobrze wygląda w gazecie. Inni nie przyznają się do żadnych strat, wyszczególniając jedynie tych, którzy polegli lub są bliscy śmierci. Sądzą bowiem, iż mała liczba rannych jest dowodem roztropności dowódcy. Pański

raport odpowiada temu, co nakazuje rozsądek i przyzwoitość, choć może wydać się trochę zbyt ostrożny.

Zapewne sporządzając go, miał pan na uwadze awans swego przyjaciela?

— Właśnie.

— Tak... Dam panu może plasterek wołowiny? Proszę podać mi nóż...

Wołowina musi być cieniutko pokrojona, w przeciwnym razie nie ma smaku.

— Ten nóż jest bardzo tępy —

stwierdził Stephen. — Niech pan

spróbuj użyć lancetu. — Obrócił się w

stronę delfina. — Nie... Tu go nie ma —

mruknął, zaglądając pod płetwę. —

Gdzie mogliśmy go położyć? Ach —

zawołał, podnosząc prześcieradło. —

Tutaj jest drugi... Wspaniałe ostrze,

szwedzka stal. Widzę, że zaczął pan

nacięcie od punktu Hipokratesa... —

rzekł, unosząc prześcieradło wyżej i

spoglądając na leżącą na stole młodą

kobietę.

— Czy nie powinniśmy go umyć? —

zastanawiał się pan Florey.

— Nie... wystarczy wytrzeć... — odparł

Stephen, posługując się prześcieradłem.

— Tak przy okazji...

Co było przyczyną zgonu?

— Zadał pan trudne pytanie. — Florey

ukroił pierwszy plaster i zaniósł mięso

płowemu sępowi, uwiązanemu za nogę

do krzesła w rogu pokoju. — Tak, to

trudne pytanie, lecz nie wydaje mi się,

by została pobita, zanim wpadła do

wody. Te kaprysy i szaleństwa

młodości... I awans pańskiego

przyjaciela... — Chirurg zawiesił głos,

przyglądając się uważnie ostrzu lancetu.

— Gdy przyprawi się komuś rogi, nie

można mieć żalu, jeśli ów ktoś nimi

kogoś ubodzie... — zauważył z pozorną

obojętnością, obserwując, jaką reakcję

wywołały jego słowa.

— To prawda — zgodził się Stephen,

rzucając sępowi kawałek chrząstki. —

W ogólności: *fenum habent in cornu*.

Chyba nie chodzi panu o zdradzanych
mężów? — zapytał z uśmiechem. — Czy
mógłby pan dokładnie to wyjaśnić? A
może pańska uwaga odnosi się do tej
młodej osoby, leżącej pod
prześcieradłem? Wiem, że kieruje
panem najszczerza życzliwość i
zapewniam pana, iż pańskie słowa w
żaden sposób mnie nie urażą.

- No cóż... — Pan Florey zaczął mówić
z wahaniem. — Problem polega na tym,
iż pański młody przyjaciel... Mogę
chyba powiedzieć: nasz młody
przyjaciel, gdyż darzę go prawdziwym
szacunkiem i uważam, że jego ostatnie
zwycięstwo przynosi zaszczyt nam
wszystkim... Otóż nasz młody przyjaciel
był bardzo nieostrożny, podobnie jak
jego wybranka. Czy wie pan, o co mi
chodzi?

— Mąż jest tym oburzony, a zajmuje tak
wysokie stanowisko, iż łatwo może
wyrazić swoje oburzenie; nasz
przyjaciel musi mieć się na baczności.

Ów mąż nie wyzwie go na pojedynek,
gdyż taki czyn nie leży w charakterze
tego pożałowania godnego człowieka,
może jednak spróbować przyłapać
naszego przyjaciela na
nieposłuszeństwie, doprowadzając
nawet do postawienia go przed sądem
wojennym.

Nasz młodzieniec znany jest bardziej ze
swej odwagi, szczęścia i
przedsiębiorczości niż z poszanowania
reguł dyscypliny. Trzeba też pamiętać,
że niektórzy tutejsi starsi kapitanowie
bardzo zazdroszczą mu sukcesów. Co
gorsza, jest torysem (jeśli nie on sam, to
ma torysów w rodzinie), a zdradzony
mąż i Pierwszy Lord Admiralicji to
zdeklarowani wigowie, nikczemne i
wściekłe psy...

Myślę, że rozumie pan, co usiłuję panu
powiedzieć, doktorze?

— Tak, sir. Bardzo jestem panu
wdzięczny za te szczerze i życzliwe
słowa. Potwierdził pan moje

przypuszczenia. Obiecuję uczynić
wszystko, co w mojej mocy, by
uświadomić zainteresowanemu jego
trudne położenie, choć muszę przyznać
— dodał z westchnieniem — iż
chwilami wydaje mi się, że w tym
przypadku mogłaby poskutkować
jedynie radykalna operacja
chirurgiczna...

— Wszystkiemu winne są pewne części
ciała — zgodził się pan Florey.

Klerk David Richards również jadł o tej
porze obiad na łonie rodziny.

— Jak wszyscy wiedzą — mówił
słuchającej go z podziwem gromadzie
krewnych — na okręcie
wojennym kapitański klerk podczas
bitwy znajduje się w najbardziej
niebezpiecznym miejscu. Przez cały czas
przebywa na pokładzie rufówki, tuż
obok dowódcy, z zegarkiem i tabliczką,
na której zapisuje przebieg wydarzeń.

Rzecz jasna, strzelcy wyborowi i
niektóre działa strzelają właśnie w tym

kierunku. Pomimo to klerk musi trwać na swej pozycji, wspierając kapitana swą obecnością i radą.

— Och, Davy — zawołała ciotka — kapitan prosił cię o radę?

— Czy prosił mnie o radę? Oczywiście, przysięgam!

— Nie przysięgaj, Davy, kochanie — powiedziała ciotka odruchowo. — To nieeleganckie.

— „Ach, panie Richards!”, zawołał dowódca do mnie, kiedy mars grotmasztu runął na pokład tuż obok nas, a kawałki drewna bez trudu przebijały wypchane hamakami siatki. „Nie wiem, co robić.

Zupełnie straciłem głowę...” „Jest tylko jedno wyjście, sir”, odpowiedziałem mu. „Musimy dokonać abordażu. Trzeba wejść na ich pokład od dziobu i rufy. Jestem przekonany, że zdobędziemy ten okręt w pięć minut”. Cóż, droga ciociu i drodzy kuzyni. Ponieważ nie chcę się przechwalać, muszę przyznać, że zajęło

nam to aż dziesięć minut. Było jednak
warto trochę dłużej się potrudzić. Dzięki
temu zdobyliśmy najpiękniejszą fregatę,
jaką kiedykolwiek dane mi było
widzieć. Cudownie
pomalowana, z nowymi okuciami i dnem
świeżo obitym blachą. Gdy wróciłem na
rufę, po tym, jak przebiłem kordzikiem
hiszpańskiego klerka, kapitan Aubrey
uścisnął mą dłoń i ze łzami w oczach
powiedział: „Richards, wszyscy bardzo
wiele ci zawdzięczamy”. „Bardzo to
uprzejme z pańskiej strony, sir”,
odparłem. „Niczym szczególnym się nie
wyróżniłem. Każdy porządny kapitański
klerk zachowałby się tak samo”. —
Chłopak pociągnął łyk portera i mówił
dalej: — Chciałem mu wtedy
zapropionować: „Słuchaj, Złotowłosa”
(tak go nazywamy na okręcie — o mnie
mówią Piekielny Davy albo Groźny
Richards), „uczyn mnie podchorążym na
»Cacafuego«, gdy rząd zakupi tę fregatę,
a będziemy kwita”. Może z nim o tym

porozmawiam. Czuję, że jestem urodzonym dowódcą. Ta fregata powinna osiągnąć cenę jakichś dwunastu, trzynastu funtów za tonę, prawda? — zwrócił się do wuja.

— Nie zniszczyliśmy jej kadłuba aż tak bardzo.

— Tak — powiedział powoli pan Williams. — Jeśli zostanie zakupiona przez rząd, powinna uzyskać taką cenę, a jej zapasy przyniosą jeszcze raz tyle.

Kapitan Aubrey dostanie z tego okrągłe pięć tysięcy, nie licząc pieniędzy za jeńców. Twój udział wyniesie...

policzmy... dwieście sześćdziesiąt trzy funty, czternaście szylingów i dwa pensy. Oczywiście pod warunkiem, że rząd zakupi ten okręt...

— Czyżby mogły być co do tego wątpliwości, wujku?

— Cóż... W imieniu Admiralicji okręty kupuje pewien człowiek. Ten człowiek ma żonę, która na wiele sobie pozwala.

Ów ktoś może skorzystać z okazji, by

pokazać, kto tutaj jest górą. Tak...

Złotowłosey, mówisz? Gdyby zajął się
pilnowaniem swoich interesów, zamiast
udawać koguta...

— To ona go do tego nakłoniła! —

zawołała pani Williams. Ostatnim
zdaniem, jakie pozwoliła swemu
mężowi wypowiedzieć do końca, było
sakramentalne „tak” w kościele Trójcy
Świętej w Plymouth w 1782 roku.

— To ci dopiero ladacznicą! —

wykrzyknęła jej niezamężna siostra,
oczy siedzących przy stole dziewcząt
otworzyły się szeroko.

— To dziwka — rzekła pani Thomas. —

Kuzyn mojej Paquity powoził kareta, w
której ta

bezwstydnicą czekała na nabrzeżu.

Nigdy byście nie uwierzyli, że...

— Powinno się ją przeciągnąć za
wozem przez całe miasto i wybatożyć.

Chciałabym mieć wtedy w ręce bicz!

— Ależ, kochanie...

— Wiem, co masz na myśli, mój drogi!

— skarciła męża pani Williams. —

Natychmiast przestań! Ta kobieta to
wstrętna wiedźma...

Reputacja owej wiedźmy rzeczywiście
mocno ucierpiała w ciągu ostatnich
miesiący i żona
gubernatora przyjęła tę panią bardzo
chłodno, z największą rezerwą, na jaką
odważyła się zdobyć.

Molly Harte ostatnio wyładniała,
zmieniła się wręcz nie do poznania. Już
wcześniej była atrakcyjną kobietą, ale
teraz stała się prawdziwą piękną.

Przybyła na koncert w towarzystwie
Lady Warren, na ich powóz czekała
gromadka żołnierzy i marynarzy.

Tłoczyli się dookoła,
współzawodnicząc w prawieniu
komplementów. Przypominali
napuszone, gotowe do walki koguty.

Tymczasem żony,
siostry, a nawet narzeczone owych
panów siedziały w pobliżu, szare,
niegustownie ubrane. Z

przygryzionymi z zazdrości wargami
przyglądały się wspaniałej szkarłatnej
sukni, niemal całkowicie przesłoniętej
przez mundury.

Wszyscy mężczyźni odsunęli się, gdy
przybył Jack, niektórzy z nich powrócili
do swych dam. Pytały ich teraz, czy nie
uważają, że pani Harte jest
przedwcześnie podstarzałą, źle ubraną i
pozbawioną gustu kobietą. To takie
przykre w jej wieku. Ile ona może mieć
lat? Przynajmniej trzydzieści,
czterdzieści, czterdzieści pięć...

Koronkowe rękawiczki! Kto to widział!
To silne światło jest dla niej wyjątkowo
niekorzystne, podkreśla zmarszczki, a te
olbrzymie perły dawno wyszły z mody...
To prawda, że jest w niej coś z dziwki,
pomyślał Jack, spoglądając na nią z
podziwem. Stała z wysoko uniesioną
głową, świadoma tego, co mówią
obserwujące ją kobiety, i otwarcie je
prowokując. Było w niej coś z dziwki,
lecz to jeszcze bardziej pobudzało jego

apetyt. Akceptowała tylko tych, którym się powiodło, zwycięzców. To mu nie przeszkadzało — w porcie, tuż obok „Sophie”, stała przecież piękna „Cacafuego”.

Po krótkiej rozmowie o niczym, prowadzonej z udawaną obojętnością — Aubrey uznał, iż udało mu się z dużym mistrzostwem pokierować tą grą pozorów — przeszli z tłumem gości do sali koncertowej.

Molly Harte usiadła w pięknej pozie przy harfie, słuchacze zajęli miejsca na małych połączonych krzeselkach.

— Co dzisiaj usłyszymy? — zapytał ktoś za plecami Jacka. Obróciwszy się, ujrzał Stephena. Doktor był upudrowany jak należy i wyglądał przyzwoicie, zapomniał tylko włożyć koszulę. Widać było, iż z napięciem oczekuje na mającą rozpocząć się za chwilę ucztę duchową.

— Coś z Boccheriniego. Jakiś jego utwór na wiolonczelę i trio Haydna, które wspólnie

opracowaliśmy. Pani Harte zagra nam
też na harfie. Proszę, niech pan usiądzie
obok mnie.

— Będę chyba zmuszony przyjąć
pańskie zaproszenie. Sala jest tak
przepełniona... Nie ma już wolnych
miejsz. Bardzo cieszyłem się na ten
koncert. To chyba ostatni, jakiego będzie
nam dane posłuchać w najbliższym
czasie.

— Bzdura — odparł Jack. — Czeka nas
jeszcze przyjęcie u pana Browna.

— Będziemy wtedy w drodze na Malte.
Pisemne rozkazy w tej sprawie są
przygotowane.

— Nasz okręt nie może w takim stanie
wyjść w morze. To chyba jakaś pomyłka

— sprzeciwił się Jack.

Stephen wzruszył ramionami.

— Wiem to bezpośrednio od sekretarza
komendanta portu.

— Cholerny drań...! — wykrzyknął
Aubrey głośno.

Siedzący dookoła ludzie spojrzeli na

niego karcąco. Pierwszy skrzypek skinął
głową i opuścił
smyczek. Pomieszczenie wypełniło się
dźwiękami, przygotowującymi słuchaczy
na pełen zadumy śpiew wiolonczeli.

— Muszę powiedzieć, że Malta to
niezbyt przyjemne miejsce — rzekł
Stephen. — Tyle tylko, że na pewnej
łące udało mi się nazbierać cały koszyk
ziół.

— Tak. Ma pan rację — zgodził się
Jack. — Choć poza sprawą biednego
Pullingsa nie było
specjalnych powodów do narzekań.

Oprócz tych nieszczęsnych wioseł
dostaliśmy wszystko, czego było nam
potrzeba. Zarządca stoczni był bardziej
niż uprzejmy, przyjmowano nas
wszędzie z wielkimi honorami. Czy
któreś z tych pańskich ziół mogłyby
podreperować moje samopoczucie? Coś
jest ze mną nie w porządku...

Stephen przyjrzał się kapitanowi
uważnie, zmierzył mu puls, obejrzał

język, zadał kilka zaskakujących pytań i

zbadał go bardzo dokładnie.

— Czy któraś z ran się nie goi? —

zapytał Jack zaniepokojony poważnym

wyrazem twarzy doktora.

— Jeśli pan chce, można to nazwać raną

— odparł Stephen. — Nie zadano jej

jednak panu podczas walki na pokładzie

„Cacafuego"... Jakaś pańska znajoma

zbyt szczerze użyła innym swych

wdzięków. To wszystko.

— O Boże — jęknął kapitan. Po raz

pierwszy w życiu przydarzyło mu się

coś takiego.

— Proszę się nie przejmować —

uspokajał Stephen, przejęty

przerażeniem malującym się na twarzy

Jacka. — Szybko postawię pana na nogi.

Jeśli wcześniej rozpocznie się leczenie,

nie powinno być większych problemów.

Nie zaszkodzi panu, jeżeli przez jakiś

czas pozostanie pan w odosobnieniu,

pijąc tylko kleik jęczmienny i nie jedząc

nic oprócz kaszki. Rzadkiej kaszki. Nie

ma mowy o baraninie, wołowinie, winie
lub grogu. Jeśli prawdą jest to, co pan
Marshall mówił o podróży w kierunku
zachodnim o tej porze roku, i jeśli
uwzględnimy planowany postój w
Palermo, powinien pan odzyskać siły,
zanim miniemy przylądek Mola. Znow
będzie pan miał okazję zrujnować
zdrowie, karierę, reputację i nadzieje na
przyszłość.

Doktor wyszedł z kabiny, wykazując,
zdaniem Jacka, całkowity brak
zainteresowania cierpieniami pacjenta, i
poszedł prosto do siebie na dół. Zajął
się przygotowaniem lekarstwa,
mieszając jakieś płyny i proszki ze
swoich zapasów. Jak każdy okrętowy
medyk, był dobrze zaopatrzony w
potrzebne w takim przypadku leki.

Popchnięta niespodziewanym
podmuchem północno-wschodniego
wiatru,
nazywanego w tej części Morza
Śródziemnego gregale, „Sophie”

pochyliła się o połowę więcej niż
trzeba.

— O połowę więcej niż trzeba —

zauważył Stephen, balansując ciałem jak
doświadczony marynarz i odlewając
część mikstury do pustej buteleczki. —

Nic nie szkodzi. To, co zostało, w sam
raz wystarczy dla młodego Babbingtona

— zdecydował. Zakorkował fiolkę,
odstawił ją na zamykaną na klucz półkę i
starannie przeliczył oznaczone
nalepkami flakoniki i słoiczki. Po chwili
wrócił do kapitańskiej kabiny.

Wiedział doskonale, że Jack na pewno
postąpiłby zgodnie z odwiecznym
przekonaniem marynarzy, iż

„im więcej, tym lepiej”. Nie pilnowany,
bez wahania zażyłby dawkę

pozwalającą szybko i skutecznie

przenieść się na tamten świat. Doktor

przyglądał się kapitanowi uważnie,

rozmyślając nad tym, że w podobnych

przypadkach następuje swoiste

przekazanie władzy — obaj zamienili

się teraz miejscami.

Jack krztusił się i walczył z nudnościami po zażyciu lekarstwa. Stephen, od czasu gdy po zdobyciu przez „Sophie” pierwszego przyzwoitego stał się bogatym człowiekiem, kupował olbrzymie ilości takich substancji, jak gorzka sól i olej rycynowy. Dzięki temu jego lekarstwa pod względem smaku, konsystencji i działania nie miały sobie równych we flocie. Przynosiło to wspaniałe rezultaty

—
nieliczni pacjenci doktora Maturina całym organizmem odczuwali fakt, iż są leczeni.

— Kapitanowi dokuczają rany —
oświadczył Stephen przy obiedzie. —

Niestety, nie będzie mógł jutro skorzystać z zaproszenia do naszej mesy. Poleciałem mu, by pozostał w koi, w swojej kabinie.

— Czy mocno ucierpiał w tej bitwie? —
z szacunkiem zapytał pan Dalziel. Był jednym z

niewpowodzeń, jakie spotkały „Sophie”
na Malcie. Wszyscy na pokładzie mieli
nadzieję, że Thomas Pullings zostanie
oficjalnie mianowany porucznikiem.
Admirał przysłał jednak na to miejsce
swego protegowanego, pana Dalziela z
Auchterbothie and Sodds, informując
równocześnie dla osłody, iż
„będzie pamiętał o panu Pullingsie i
wspomni o nim w liście do
Admiralicji”. Pullings pozostał więc
oficerem nawigacyjnym. Nie został
awansowany, ów fakt załoga brygu
przyjęła z wielkim
rozzaleniem. Pan Dalziel zdawał sobie z
tego sprawę i za wszelką cenę starał się
zatrzeć złe wrażenie.

Prawdę mówiąc, nie było takiej
potrzeby, gdyż pan Pullings był
najbardziej skromnym i ugodowym
człowiekiem na ziemi, groźnym i
bezkompromisowym tylko w walce na
pokładzie
nieprzyjacielskiego okrętu.

— Jest dość mocno pokieraszowany —

wyjaśnił Stephen. — Rany od kuli
pistoletowej, piki i szabli.

Sondując najgłębszą z nich, znalazłem
kawałek metalu — odłamek, pamiątka z
bitwy o ujście Nilu.

— Wystarczy, jak dla jednego
człowieka — rzekł pan Dalziel, który
(oczywiście nie ze swojej winy) nie
miał nigdy okazji brać udziału w
krwawej walce. Bardzo cierpiał z tego
powodu.

— Moim zdaniem zdenerwowanie może
czasem sprawić, że otwierają się rany

— zagadnął pan

Marshall. — Nasz dowódca ma
wszelkie powody, by się denerwować.

Dni mijają, robi się coraz później, a my
nie możemy kontynuować patrolu.

— To prawda. Z całą pewnością —
zgodził się Stephen. Kapitan

rzeczywiście mógł być poirytowany, jak
wszyscy na okręcie. Zostali wysłani na
Malte, zamiast krążyć po bogatych w

przy wodach. Na dodatek wszystko wskazywało na to, iż pewien przeznaczony dla „Sophie” galeon płynął spokojnie wzdłuż wybrzeża hiszpańskiego. Jak głosiła plotka, kapitan z sobie tylko wiadomych źródeł wiedział, iż mogło to być nawet kilka galeonów. Trudno było bez rozgoryczenia i bólu pogodzić się z taką sytuacją — znajdowali się w odległości ponad pięciuset mil od objętego patrolem obszaru.

Wszyscy z niecierpliwością wyczekiwali chwili, w której znów ruszą w stronę nieprzyjacielskiego brzegu. Z przewidzianego na patrol czasu pozostało jeszcze trzydzieści siedem dni. Trzydzieści siedem dni przeznaczonych na żniwa. To prawda, iż wielu członków załogi posiadało teraz więcej gwinei, niż kiedykolwiek mieli szylingów na łodzi. Chcieli jednak wzbogacić się jeszcze bardziej. Z szacunkowych wyliczeń wynikało, iż

każdemu szeregowemu marynarzowi
przypadało w tej chwili w udziale
prawie pięćdziesiąt funtów. Nawet ci,
którzy zostali okaleczeni lub
kontuzjowani podczas bitwy, uważali, iż
jest to godziwe wynagrodzenie za jeden
ciężko przepracowany poranek.

Odpowiadało im ono o wiele bardziej
niż niepewny szyling dziennie za pracę
przy krosnach lub za pługiem czy nawet
płaca w wysokości ośmiu funtów
miesięcznie, jaką obiecywali czasem
zmuszeni okolicznościami kapitanowie
statków handlowych.

Zakończona szczęśliwie wspólna akcja,
surowa dyscyplina i wysoki poziom
wyszkolenia sprawiły, iż załoga brygu
stała się zespołem zgranych, sprawnych
ludzi. Były oczywiście beznadziejne
przypadki, takie jak okrętowy wariat,
Szalony Willy, lecz na ogół wszyscy
mężczyźni oraz chłopcy potrafili
sterować i obsługiwać żagle. Dobrze
znali okręt oraz obowiązujące na jego

pokładzie procedury i zwyczaje. Dzięki temu, ponieważ ich nowy porucznik nie był szczególnie dobrym żeglarzem, udało się uniknąć paru przykrych sytuacji, gdy „Sophie” z maksymalną prędkością zmierzała na zachód.

Przetrwali po drodze dwa groźne sztormy i okresy obezwładniającej ciszy. Okręt kołysał się wówczas wściekle na martwej fali, dziób odwracał się we wszystkie strony świata, a okrętowy kot cierpiał na morską chorobę. Śpieszyli się nie tylko dlatego, iż pragnęli kontynuować przerwany patrol.

Oficerowie czekali niespokojnie na wieści z Londynu, na oficjalną reakcję na ich wspaniały wyczyn, na rozkaz mianujący Jacka starszym kapitanem i awanse dla wszystkich.

Powrotna podróż do Mahon dobrze świadczyła o pracy stoczni na Malcie i umiejętnościach załogi. To na tych wodach, podczas drugiego sztormu, o

dwadzieścia mil od „Sophie”, uzbrojony w szesnaście dział słup „Utile” ustawił się burtą do fali, próbując przejść na kurs z wiatrem, i zatonął razem z całą załogą. Ostatniego dnia pogoda poprawiła się jednak. Powiała spokojna tramontana, w sam raz na dobrze zrefowane marsle, i przed południem ujrzeli wysokie brzegi Minorki. Tuż po obiedzie podali swój numer i okrążyli przylądek Mola, zanim słońce znalazło się w połowie drogi w dół ku horyzontowi.

Jack nareszcie poczuł się lepiej. Trochę mniej niż inni opalony (skutek kilku dni spędzonych pod pokładem), patrzył z zainteresowaniem na zwiastujące północny wiatr chmury nad górą Toro.

— Gdy tylko przejdziemy przez cieśniny, panie Dalziel, zrzucimy łodzie i rozpoczniemy wystawianie beczek na pokład — powiedział. — Powinniśmy zacząć pobieranie wody najpóźniej około północy, tak byśmy mogli wyjść w

morze jutro rano. Nie mamy ani chwili do stracenia. Widzę, iż przygotował pan już haki na rejach i sztagach. Bardzo dobrze... — dodał z uśmiechem i wrócił do swej kabiny.

Biedny pan Dalziel nic nie wiedział o przygotowanych już hakach. To marynarze przewidzieli polecenia kapitana i porucznik pokiwał tylko głową, bardzo zdziwiony. Jego sytuacja była bardzo trudna. Był sumiennym i godnym szacunku oficerem, lecz w żaden sposób nie mógł równać się z Jamesem Dillonem, wciąż obecnym w pamięci wszystkich na pokładzie. To Dillon, błyskotliwy, dynamiczny, wspaniały żeglarz, doprowadził załogę do tak znakomitej formy.

Mijając znajome zatoczki i wyspy, „Sophie” posuwała się w głąb portu. Znajdowali się na wysokości szpitala, Jack myślał o tym, o ile mniej zamieszania i hałasu wywoływał poprzedni porucznik, gdy na pokładzie

dostrzeżono zbliżającą się łódź. W oddali rozległ się okrzyk, oznaczający przybycie kogoś w randze kapitana.

Aubrey nie usłyszał nazwiska, lecz po chwili do drzwi kabiny zastukał zaniepokojony Babbington.

— Łódź komendanta portu płynie w naszym kierunku, sir — szybko zameldował podchorąży.

Na pokładzie rozpoczęła się nerwowa biegania, ludzie wpadali na siebie, gdyż pan Dalziel chciał wykonać trzy rzeczy na raz. Ci, którzy mieli udekorować burtę, równocześnie w pośpiechu próbowali doprowadzić się do porządku. Bardzo niewielu kapitanów wypłynęłoby tak znieacka, tylko nieliczni niepokoiliby okręt mający za chwilę zacumować, większość nawet w wyjątkowych okolicznościach dałaby załodze szansę — kilka minut na niezbędne przygotowania. Kapitan Harte wszedł na burtę brygu tak szybko, jak to było możliwe. Odezwały się gwizdki.

Niektórzy właściwie ubrani oficerowie
stali wyprostowani, z odkrytymi
głowami. Żołnierze prezentowali broń,
jeden z nich upuścił muszkiet.

— Witamy na pokładzie, sir! — zawołał

Jack. Był pozytywnie nastawiony do
świata i ucieszył się na widok tej
antypatycznej, lecz znajomej twarzy. —
Wydaje mi się, że po raz pierwszy
spotkał nas ten zaszczyt... — dodał
radośnie.

Komendant portu zasalutował niedbałym
ruchem w stronę pokładu rufówki, z nie
ukrywanym
wstrętem popatrzył na niechlujnych
trapowych, na żołnierzy z
poprzekrzywianymi pasami, na
poustawiane w nieładzie beczki i małą
tłustą suczkę pana Dalziela. Biedna
psina przycupnęła na dziobie, w
jedynym wolnym miejscu, i z
opuszczonymi uszami rozglądała się
przepraszająco.

Dookoła niej pojawiła się olbrzymia

kałuża.

— Czy pokład zawsze tak u pana
wygląda, kapitanie Aubrey? — zapytał
Harte ironicznie. — To, co widzę,
bardziej przypomina lombard w
Wapping niż królewski okręt wojenny.

— Cóż... Oczywiście, że nie, sir —
odparł Jack. Wciąż był w dobrym
humorze, gdyż pod pachą komendanta
dostrzegł opakowanie z woskowanego
płótna, ze znakami Admiralicji. W
środku musiał
znajdować się rozkaz mianujący J.A.

Aubreya starszym kapitanem, z
zadziwiającą szybkością przysła-ny z
Londynu. — Jesteśmy w trakcie
manewrów, sir. Może zejdzie pan do
mojej kabiny?

Załoga była dosyć zajęta, gdy „Sophie”,
lawirując pomiędzy okrętami i statkami,
posuwała się w głąb portu. Dobrze, że
marynarze tak dobrze znali swój bryg i
kotwiczowisko, gdyż uwagę wszystkich
całkowicie pochłaniały odgłosy

dobiegające z kapitańskiej kabiny.

— I co? Udało mu się! Stary Jarvie

przysłał rozkaz — wyszeptał

uśmiechnięty Thomas Jones do Williama

Witsovera. Ludzie za grotmasztem

ucieszyli się na myśl, iż ich kapitan

został awansowany.

Kochali dowódcę, poszliby za nim w

ogień, byli dumni z wyróżnienia, jakie

go spotkało.

— Kiedy wydaję rozkaz, wymagam, by

został na czas wykonany. — Robert

Jessup prawie bezgłośnie powtórzył

podstłyszane słowa. William Agg,

pomocnik oficera wachtowego, pokiwał

głową.

— Ciszej tam! — zawołał pan Marshall.

Chciał usłyszeć coś więcej.

Uśmiechy zgasły nagle. Najpierw na

twarzach ludzi stojących najbliżej

światlika kapitańskiej kabiny, potem u

pozostałych, obserwujących w napięciu

ich miny i porozumiewawcze spojrzenia.

Gdy

rzucano kotwicę, cały okręt obiegły

nerwowe szepty.

— Nie będzie patrolu...

Kapitan Harte znów pojawił się na

pokładzie. Z należnym ceremoniałem

został odprowadzony do łodzi. Wszyscy

spoglądali za nim podejrzliwie,

zaniepokojeni ponurym wyrazem twarzy

dowódcy.

Łodzie zostały opuszczone i

przystąpiono do pobierania wody,

bączek zawiózł ochmistrza na brzeg po

prowant i listy. Łodzie handlarzy

portowych przywiozły te same co

zwykle smakołyki. Pan Watt i

pozostawieni na leczeniu marynarze

przyłynęli szpitalną łodzią, ciekawi

efektów pracy stoczniow-ców na

Malcie. Powracających na okręt

rekonwalescentów powitały okrzyki

pracujących na pokładzie ludzi.

— Słyszeliście najnowsze nowiny?

— Nie, a co się stało?

— A więc nie wiecie o niczym?

— Nie, nie wiemy...

— Nie popłyniemy na nasz patrol, ot co.

Ten stary skurczysyn powiedział, że
wykorzystaliśmy nasz czas, płynąc na
Maltę. Nasze trzydzieści siedem dni!

Mamy konwojować jakiś cholerny statek
pocztowy do Gibraltaru. O patrolu
możemy zapomnieć. „Cacafuego” nie
została zakupiona przez rząd.

Sprzedano ją zafajdanym Maurom, po
śmiesznej cenie. Jeden funt i
osiemnaście pensów! Nie ma na świecie
szybszej fregaty... Wróciliśmy zbyt
późno. „Proszę się ze mną nie
sprzeczać,” rzekł

komendant. „Ja wiem lepiej”. W gazecie
nie ma nic na nasz temat. Złotowłosa nie
doczekał się awansu. Mówią, że ten
okręt nie pływał w regularnej służbie, a
jego kapitan nie miał oficjalnych
rozkazów. Same kłamstwa. Och, żebym
tak miał teraz przed sobą tego cwaniaka,
nogi bym mu z d...

— W tym momencie z pokładu rufówki

rozległa się ostra reprimenda,
przekazana natychmiast przez
wymachującego końcem liny pomocnika
bosmana. Marynarze nadal dawali upust
swemu oburzeniu, szepcząc głośno.

Gdyby kapitan Harte jeszcze raz pojawił
się na okręcie, prawdopodobnie
doszłoby do buntu i komendant portu w
najlepszym razie wyleciałby za burtę.

Ludzie rozwścieczeni byli takim
lekceważeniem ich zwycięstwa, brakiem
poszanowania wobec załogi i kapitana.

Wiedzieli też doskonale, iż karcące
uwagi oficerów wypowiedane były bez
przekonania. Koniec liny wydawał się
tak samo groźny jak poruszana wiatrem
chusteczka. Nawet pan Dalziel był
wstrząśnięty sposobem, w jaki
potraktowano „Sophie”. Nie znał co
prawda szczegółów, lecz wystarczyły
podслuchane fragmenty rozmowy, plotki,
odrobina logicznego rozumowania i
nieobecność pięknej „Cacafuego”. To,
co spotkało „Sophie”, było rzeczywiście

bardziej niż niegodziwe.

Kapitan i lekarz okrętowy siedzieli w

kabinie, obłożeni stertami papierów.

Stephen pomagał Jackowi

uporządkować to wszystko, pisał

również w jego imieniu odpowiedzi na

listy, przygotowywał

urzędowe pisma. Była trzecia rano, bryg

kołysał się miękko na kotwicy, stłoczona

w kubryku załoga mogła nareszcie

przespać spokojnie całą noc (jedna z

przyjemniejszych stron postoju w

porcie). Jack nie schodził na brzeg. Nie

miał takiego zamiaru. Panująca w

kabinie cisza, bezruch, długie godziny

spędzone z piórem w ręku sprawiły, iż

obaj zdawali się odcięci od reszty

świata w tym ciasnym, oświetlonym

jasno pomieszczeniu. Może dlatego ich

rozmowa, która w innych warunkach

wydałaby się zbyt poufała, niewłaściwa,

przebiegała zwyczajnie i naturalnie.

— Czy zna pan człowieka o nazwisku

Martinez? — zagadnął Jack w pewnej

chwili. — Część jego domu zajmuje

kapitan Harte...

— Tylko o nim słyszałem — odparł

Stephen. — To spekulant, nowobogacki,
spryciarz.

— Uzyskał kontrakt na przewóz poczty.

Szczerze mówiąc, to paskudna robota...

W każdym razie zakupił pewną żalosną

łajbę o nazwie „Ventura”, która ma

udawać statek pocztowy. Ta krypa nigdy

od momentu zwodowania nie płynęła

szybciej niż sześć węzłów, a my mamy

konwojować ją do

Gibraltaru. Może pan powiedzieć, że nic

w tym zdożnego. To prawda, tylko

powinien pan wiedzieć, że to my mamy

zabrać worek z listami i przekazać go na

pokład „Ventury” tuż przed portowym

falochronem w Gibraltarze. Następnie

mamy natychmiast powrócić do Mahon,

nie zawijając do portu i nie komunikując

się z lądem. Powiem panu coś jeszcze.

Ten łajdak nie przekazał mojego

oficjalnego listu za pośrednictwem

okrętu „Superb”, który wypłynął dwa dni po nas. Nie oddał go też dowódcy „Phoebe”, płynącemu do kraju. Założę się, o co pan zechce, że mój raport znajduje się tutaj, w tym zatłuszczonym worku. Co więcej, jestem pewien, iż list przewodni od komendanta pełen jest wydumanych bzdur o dowódcy „Cacafuego”, o rozkazach i niejasnym statusie oficerów zdobytej przez nas fregaty. Same podle pomówienia i aluzje. Dlatego właśnie w gazecie nie było żadnej informacji na nasz temat.

Nie ma też na razie mowy o moim awansie. Opakowanie ze znakami Admiralicji zawierało jedynie rozkazy komendanta, na wypadek, gdybym domagał się ich na piśmie.

— Oczywiście. Nawet dziecko zorientowałoby się, o co chodzi temu człowiekowi. Ma nadzieję pana sprowokować. Liczy na to, że pozwoli pan sobie na nieposłuszeństwo, i w ten prosty sposób zrujnuje pan swoją

kariere. Błagam, niech pan nie dopuści do tego, by zaślepił pana gniew.

— Och, nie dam z siebie zrobić głupca

— odpowiedział Jack z uśmiechem. —

Muszę jednak

przyznać, iż próbując wyprowadzić

mnie z równowagi, bliski był sukcesu.

Nie wiem, czy zdołam zagrać teraz coś

więcej niż prostą grę. Ręce mi się

trzęsą, gdy pomyślę o tym wszystkim —

dodał, zdejmując z półki skrzypce.

W jego głowie kłębiły się niespokojne

myśli, refleksje i obawy. Awans opóźnił

się o cenne tygodnie i miesiące. W

ostatniej gazecie zamieszczono

informację o awansowaniu na starszych

kapitanów trzech kolejnych oficerów:

Douglasa z „Phoebe”, Evansa z Indii

Zachodnich i nie znanego Jackowi

Raitta. Ci trzej wyprzedzali go na liście.

Już nigdy ich nie dogoni. Tyle

zmarnowanego czasu. Na dodatek coraz

głośniej mówiono o mającym wkrótce

nastąpić pokoju. Było też głębokie

podejrzenie, iż sprawa źle się skończy.

Może słowa admirała były prorocze i

Jack Aubrey nigdy nie doczeka się

awansu? Włożył

skrzypce pod brodę, zaciskając wargi i

unosząc wysoko głowę. To wystarczyło,

by emocje wzięły górę. Twarz kapitana

poczerwieniała, oddychał coraz głębiej,

oczy otworzyły się szeroko. Wydawały

się jeszcze bardziej błękitne niż zwykle,

gdyż ich źrenice bardzo się zwężyły.

Wraz z ustami zacisnęła się prawa dłoń.

„Źrenice zwężyły się symetrycznie do

średnicy równej około jednej dziesiątej

cala" —

zanotował Stephen na rogu czystej kartki

papieru. Rozległ się głośny trzask i

melancholijny jęk strun.

Z zabawnym wyrazem powątpiewania

zmieszanym ze zdumieniem i

przerażeniem Jack spojrzał na

zniszczone skrzypce.

— Złamały się! — zawołał. — Są

złamane! — Ostrożnie przyłożył do

siebie obie części. — Jak mogłem być

tak nieuważny. Nigdy sobie tego nie

daruję — dodał cichym głosem. —

Znam te

skrzypce od dziecka. Uczyłem się na

nich grać, gdy byłem małym chłopcem.

Sposób, w jaki potraktowano „Sophie”,

oburzył nie tylko jej załogę; na

pokładzie brygu tej sprawie

towarzyszyły jednak najgorętsze emocje.

Podczas wybierania kotwicy chodzący

dookoła kabestanu ludzie śpiewali nową

piosenkę, która nie miała nic wspólnego

z uduchowionymi wierszami pana

Mowetta:

Stary Harte podły drań,

Wstrętna świnią bez dwóch zdań,

Hej, ho, ciągnij go,

Dalej ciągnij go...

Grajek siedzący na kabestanie ze

skrzyżowanymi nogami opuścił fujarkę i

cichym głosem zaśpiewał

następną zwrotkę:

Mówi Harte do swej pani:

Nie chcesz mnie? Dlaczego?

Ona mówi: Mój kochany,

Jest ktoś, kto ma większego...

Ponownie odezwał się rytmicznie chór:

Stary Harte podły drań,

Wstrętna świnia bez dwóch zdań...

James Dillon nigdy nie pozwoliłby na

coś podobnego. Pan Dalziel nie

rozumiał treści piosenki i

nieprzyzwoitych aluzji, więc śpiewano

bez przeszkód. Śpiew ucichł dopiero

wtedy, gdy śmierdzący ściekami z

Mahon łańcuch kotwiczny znalazł się w

komorze. Postawiono kliwry i

przebrasowano reję fokmarsła. „Sophie”

ruszyła w stronę stojącej bliżej wejścia

do portu „Amelii”. Okręty spotkały się

po raz pierwszy od czasu zwycięskiej

potyczki brygu z „Cacafuego”. Pan

Dalziel ze zdziwieniem zauważył, iż

maszty, wanty oraz reje fregaty pełne są

ludzi. Wszyscy trzymali kapelusze w

dłoniach i patrzyli w kierunku „Sophie”.

— Panie Babbington — powiedział

cicho, na wypadek, gdyby się mylił.

Tylko raz był świadkiem czegoś takiego.

— Proszę przekazać kapitanowi wyrazy mego uszanowania i poinformować, że „Amelia” ma chyba zamiar oddać nam honory...

Jack wyszedł na pokład, mrugając oczami; w tej samej chwili z odległości dwudziestu pięciu jardów rozległ się pierwszy ogłuszający okrzyk. Zabrzmiał gwizdek bosmana fregaty i dwa kolejne okrzyki, zsynchronizowane jak salwa burtowa. Jack stał w towarzystwie oficerów, tak jak oni wyprostowany, ze zdjętym kapeluszem. Gdy ucichło krążące po porcie echo, kapitan „Sophie” zawołał:

— Trzy wiwaty dla „Amelii”!

Marynarze, chociaż zapracowani, po bohatersku wykonali to polecenie. Z purpurowymi z radości i wysiłku twarzami krzyknęli głośno — wiedzieli doskonale, co znaczą dobre maniery.

„Amelia”, już daleko za rufą,

odpowiedziała następnym gromkim
pozdrowieniem.

Był to dowód wyjątkowego uznania,
swoisty komplement, nie zmieniający
faktu, iż wszyscy na pokładzie „Sophie”
czuli się bardzo pokrzywdzeni. Na
okręcie modne stało się zawołanie:

„Oddajcie nam nasze trzydzieści siedem
dni!"; był to rodzaj hasła, uniwersalnego sloganu wypowiedanego pod pokładem,
a czasem nawet powyżej zejściówek,
jeśli komuś starczało odwagi. Nie
sprzyjało to efektywnej pracy, a z
czasem stało się nudne.

Krótki postój w Port Mahon w widoczny
sposób wpłynął na pogorszenie
dyscypliny na okręcie.

Jednym z ubocznych skutków zmian było
załamanie się pewnych elementów
okrętowej hierarchii.

Kapral pozwolił powracającym ze
szpitala ludziom wnieść na pokład
pęcherze i bukłaki pełne hiszpańskiej
brandy, anyżówki oraz jakiegoś
bezbarnego płynu, podobno ginu.

Zaskakująco wielu ludzi oddało się
zgubnemu nałogowi pijaństwa, między
innymi dowódca podwachtę żaglowej
fokmasztu (pijany do nieprzytomności) i
obaj pomocnicy bosmana. Jack
zdegradował Morgana, mianując na jego
miejsce Alfreda Kinga. Zrealizował w
ten sposób swą wcześniejszą groźbę —
niemy pomocnik bosmana na pewno
wyda się ludziom bardziej groźny i
odstraszający. Na dodatek ów Murzyn
miał bardzo silne ramię.

— Ponadto, panie Dalziel —
zapowiedział kapitan — postaramy się o
porządny greting, który posłuży jako
pręgierz. Ci łajdacy zupełnie nie
przejmują się chłostą przy kabestanie.

Za wszelką cenę muszę skończyć z tym
niewiarygodnym wręcz pijaństwem.

— Tak jest, sir — zgodził się porucznik
i zagadnął ostrożnie: — Wilson i
Plimpton zgłosili mi, iż bardzo będzie
im przykro, jeśli zostaną wybatożeni
przez Kinga.

— Nic w tym dziwnego, że będzie im przykro. To nic przyjemnego. Właśnie dlatego dostaną baty.

Byli przecież pijani, czy nie tak?

— Do nieprzytomności, sir. Mówią, że to z okazji Święta Dziękczynienia.

— Nie widzę żadnej okazji do pijaństwa. Za co i komu mamy dziękować? „Cacafuego” została sprzedana Algierczykom.

— Oni pochodzą z kolonii, sir. Wygląda na to, że mają tam takie święto. Nie chodzi im o sam fakt chłosty. Rozumieją swoje przewinienie. Przeszkadza im kolor skóry człowieka, który będzie ich okładał batem...

— Bzdura — stwierdził Jack. —

Powiem panu, kto następny oberwie baty, jeśli tak dalej pójdzie. —

Schylił się i spojrział przez okno kabiny.

— Kapitan tego cholernego statku pocztowego! Proszę wystrzelić z działa w jego stronę, panie Dalziel. Niech pan pośle mu kulę blisko rufy i zażąda, by

trzymał się na wyznaczonym miejscu w szyku.

Od czasu wyjścia z Port Mahon wlokąca się w ślimaczym tempie łajba nie miała z „Sophie” łatwego życia. Jack nie zamierzał pływać do Gibraltaru po pełnym morzu, z dala od statków pirackich i baterii brzegowych. Pomimo licznych udoskonaleń „Sophie” nadal nie była bardzo szybką jednostką.

Zarówno na kursach z wiatrem, jak i na wiatr, robiła dwie mile na jedną przebytą przez eskortowany statek.

Większą część czasu spędzała, żeglując wzdłuż wybrzeża, zaglądając do każdej zatoczki i do każdego ujścia rzeki.

Skrajnie tym przerażony statek pocztowy, został zobowiązany do utrzymywania się w niewielkiej odległości, od strony otwartego morza.

Do tej pory te gorliwe poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu.

Doprowadziły jedynie do krótkotrwałej wymiany ognia z kilkoma bateriami

brzegowymi. Rozkazy zabraniały

Jackowi

prowadzenia pościgu za dostrzeżonymi

statkami i tym samym uniemożliwiały

zdobywanie przyzów.

Nie o przyzy jednak chodziło. Dowódca

„Sophie” szukał okazji do walki;

oddałby niemal wszystko za możliwość

bezpośredniego starcia się z okrętem lub

statkiem o zbliżonej wielkości i sile.

Tak rozmyślając, kapitan wyszedł na

pokład. Wiejąca od morza bryza słabła

przez całe popołudnie i w tej chwili

zamierała, w coraz rzadszych,

nieregularnych podmuchach.

Wystarczały one jeszcze dla

„Sophie”, lecz statek pocztowy przestał

już prawie poruszać się do przodu. Za

prawą burtą rozciągało się wysokie,

skaliste wybrzeże, z niewielkim cyplem

i ruinami mauretańskiego zamku na

trawersie, może o milę od brygu.

— Widzi pan ten przyłodek? —

zagadnął Stephen, obserwujący brzeg

znad otwartej książki. Kciukiem
zaznaczył czytany fragment. — To Cabo
Roig. Od strony morza tutaj kończy się
obszar, którego mieszkańcy posługują
się językiem katalońskim. Dalej w głębi
lądu leży Orihuela, a za Orihuelą nie
usłyszy pan już katalońskiej mowy, tylko
barbarzyński żargon Andaluzji. Nawet
we wsi za tym przylądkiem ludzie
bełkoczą jak Marokańczycy. — Choć tak
liberalny pod wszelkimi innymi
względami, Stephen Maturin nie znosił
Maurów.

— A więc w pobliżu jest jakaś wioska?

— zapytał Jack, jego oczy pojaśniały.

— Tak, zaraz ją pan zobaczy — odparł

doktor. Okręt niemal bezgłośnie płynął

po nieruchomej wodzie i odcinek

wybrzeża widoczny za burtą przesuwał

się powoli. — Strabon pisze, iż

starożytni Irlandczycy mieli zwyczaj

zjadania swoich zmarłych krewnych.

Uważali to za najbardziej honorowy i

zaszczytny pogrzeb. Wierzyli, że w ten

sposób dusza zmarłego pozostaje w

rodzinie — mówił

Stephen, machając trzymaną w ręce

książką.

— Panie Mowett, proszę przynieść moją

lunetę. Bardzo przepraszam, doktorze.

Mówił pan chyba przed chwilą coś o

Strabonie?

— Czy nie uważa pan, że to tylko

Eratosthenes redivivus... Może raczej,

skoro jesteśmy na morzu, powinienem

powiedzieć: Erathostenes na nowo

otaklowany?

— Och tak, z pewnością. Tam, u stóp

zamku, jakiś człowiek pędzi konno po

krawędzi urwiska.

— Jedzie do wioski.

— To prawda. Widać już wieś, powoli

wyłania się zza skały. Widzę też coś

jeszcze — dodał Jack cicho. Słup płynął

powoli i równie powoli zza przylądka

wyłaniała się niewielka zatoka, z

białymi zabudowaniami rozrzuconymi

wzdłuż brzegu, tuż nad wodą. O ćwierć

mili na południe od wioski stały na kotwicy trzy statki handlowe: dwa houario i pinasa, nieduże, lecz mocno załadowane.

Zanim bryg skierował się w ich stronę, na brzegu zapanowało wielkie poruszenie. Przez lunetę widać było kilka biegnących postaci, łodzie spychane na wodę i wiosłujące szybko w stronę zakotwiczonych jednostek. Na pokładach statków pojawiły się biegające sylwetki. Rozległy się odgłosy gorączkowych dyskusji i rytmiczne nawoływania pracujących przy windach kotwicznych ludzi. Po podniesieniu kotwic wszystkie trzy statki z wyluzowanymi żaglami popłynęły w kierunku brzegu.

Jack obserwował wybrzeże, usilnie się nad czymś zastanawiając. Jeśli pogoda się nie pogorszy, łatwo będzie odholować te jednostki na głębszą wodę. Hiszpanie również dobrze o tym wiedzieli. Rozkazy wydane kapitanowi

„Sophie” nie zezwalały na jakąkolwiek wyprawę na brzeg. Z drugiej jednak strony, nieprzyjaciel był uzależniony od przybrzeżnej żeglugi. W skalistym terenie stan dróg był tragiczny: absurdem byłoby przewożenie niektórych ładunków na grzbietach mułów, a użycie wozów nie wchodziło w grę — lord Keith bardzo to podkreślał. Obowiązkiem Jacka było palić, niszczyć lub zatapiać zauważone statki handlowe. Wszyscy obecni na pokładzie członkowie załogi przyglądali się kapitanowi uważnie. Wiedzieli doskonale, o czym myśli ich dowódca, znali też dokładnie treść rozkazów: nie zostali wysłani na patrol, ich zadaniem była ochrona konwojowanej jednostki. Zapatrzyli się tak bardzo, że piasek przesypał się w klepsydrze. Joseph Button, pełniący służbę żołnierz piechoty morskiej, który odwracał co pół godziny piaskowy zegar oraz wybijał szklanki, nie reagował na szturchańce i wołanie:

— Joe, Joe, obudź się, ty tłusty leniu...

— Ocknął się dopiero wtedy, gdy oficer krzyknął mu wprost do ucha.

Ostatnie uderzenie dzwonu ucichło, odbite echem od brzegu, i Jack podjął decyzję:

— Proszę wykonać zwrot, panie Pullings.

Okręt zatoczył łagodny łuk. Przy wtórze gwizdków oraz komend zmienił hals i zawrócił w stronę stojącego w miejscu statku pocztowego.

W odległości kilku mil za przylądkiem również „Sophie” straciła wiatr. Stała w zapadającym zmroku, jej żagle obwisły bezwładnie, pokład pokryła rosa.

— Panie Watt, proszę przygotować kilka zapalających baryłek, powiedzmy pół tuzina... — polecił

Jack. — Panie Dalziel, jeśli nie zacznie wiać, o północy zwodujemy łodzie.

Doktorze Maturin, zajmijmy się czyś wesołym i przyjemnym.

Wesołym i przyjemnym zajęciem miało

być rysowanie pięciolinii i kopiowanie

trudnych nut

pożyczonego duetu.

— Do licha — powiedział Jack po

godzinie, podnosząc głowę. Spojrzał na

doktora zaczerwienionymi i

załzawionymi oczami. — Jestem już

chyba na to za stary. — Przycisnął

dłońmi powieki i siedział tak przez

chwilę. W pewnym momencie odezwał

się nieco zmienionym głosem: — Przez

cały dzień

myślałem o Dillonie. Cały dzień. Bardzo

brakuje mi tego człowieka. Gdy

wspomniał pan o tych starożytnych

Irlandczykach... On też był

Irlandczykiem, choć nigdy bym się tego

nie domyślił. Nigdy nie widziałem go

pijanego, prawie się nie pojedynkował,

nie przeklinał, był prawdziwym

dżentelmenem. W niczym nie

przypominał irlandzkiego gbura. Och...

Doktorze, mój drogi,

przepraszam. Wygaduję głupoty. Tak mi

przykro...

— Tak, tak, tak — wybąkał Stephen,
wydymając wargi, i lekceważąco
machnął ręką.

Aubrey pociągnął za dzwonek i wśród
stłumionych przez ciszę zwykłych
okrętowych odgłosów dały się słyszeć
szybkie kroki.

— Killick, przynieś nam kilka butelek
madery z żółtym korkiem i trochę
herbatników Lewisa —
polecił stewardowi. — Nie mogę go
zmusić, by upiekł porządny placek —
wyjaśnił. — Te ciasteczka są dosyć
smaczne i dobrze popija się je winem. Z
kolei to wino... — Spojrzał na kieliszek
pod światło.

— ...to wino dostałem w Mahon od
naszego agenta. Rozlano je do butelek w
tym samym roku, w którym ożrebiła się
Eclipse... Chcę, by było moją... ofiarą za
grzechy, zdaję sobie sprawę z tego, jak
ciężko przewiniłem. Pańskie zdrowie,
doktorze.

— I pańskie również. Cóż za wspaniałe
stare wino... Wytrawne, gęste...

Znakomite.

— Czasem coś powiem — zaczął
mówić Jack, gdy opróżnili pierwszą
butelkę — a potem bardzo tego żałuję.

Często w pierwszej chwili nie wiem, o
co chodzi. Nie rozumiem, dlaczego
wszyscy patrzą na mnie z oburzeniem
lub zażenowaniem i dlaczego
przyjaciele mnie uciszają. Dopiero
później powta-rzam sobie: „Znowu
wpakowałeś się na mieliznę, Jack”.

Zwykle sam potrafię się domyślić, w
czym zawiniłem. Przeważnie jest już za
późno. Obawiam się, że czasem
nieświadomie i niepotrzebnie
prowokowałem Dillona. — Kapitan ze
smutkiem spuścił oczy. — On także
chwilami zachowywał się podobnie.

Absolutnie nie chcę go krytykować, chcę
tylko dowieść, iż podobni jemu, dobrze
wychowani ludzie, też popełniają
niekiedy paskudne gafy. Na pewno nie

zrobił tego celowo, lecz kiedyś jego
słowa zraniły mnie głęboko. Powiedział
z przekąsem, że zdobywanie przyzów to
dochodowy interes, tak jakby chodziło
mi tylko o pieniądze. Wiem, że nie
rozumiał tego w ten sposób, o nic go nie
obwiniam. Wtedy bardzo mnie to
zabolało. Ta sprawa długo nie dawała
mi spokoju.

Dlatego tak się cieszę, że...

Ktoś zapukał do drzwi.

— Bardzo przepraszam, sir...

Sanitariusz potrzebuje pańskiej pomocy,
panie doktorze. Młody pan Ricketts
połknął kulę muszkietową i nie można
jej wydostać. Jeszcze trochę i chłopak
zadławi się na śmierć.

— Proszę mi wybaczyć, kapitanie... —

Stephen odstawił swój kieliszek i
przykrył go chusteczką.

— Czy wszystko w porządku? Udało się
panu? — zapytał Jack w pięć minut
później.

— Może medycyna nie zawsze potrafi

działać cuda, lecz w tym przypadku
wystarczył środek na wymioty. O czym
to mówiliśmy?

— O przyzach. O tym, że nie chodzi tylko
o pieniądze. Dlatego tak się cieszę na
ten wypad dziś w nocy. Co prawda,
moje rozkazy nie zezwalają na branie
przyzów, lecz nie ma ani słowa o tym, iż
nie wolno mi niszczyć
nieprzyjacielskich statków. Na dodatek
muszę czekać na tę cholerną łajbę... Nie
zmarnuję ani chwili przeznaczonego na
konwojowanie czasu i nikt mi nie
zarzuci, iż przeprowadziłem tę akcję
wyłącznie dla osobistych korzyści.
Szkoda, że Dillon tego nie doczekał.
Byłby na pewno bardzo szczęśliwy.
Nocny atak to coś dla niego. Pamięta
pan, jak poprowadził łodzie w Palamos?
I w Palafrugell?
Zaszedł księżyc. Upstrzone gwiazdami
niebo obróciło się dookoła
niewidzialnej osi i Plejady zaślniły
ponad masztami brygu. Łodzie zostały

opuszczone na wodę i podpłynęły do burty. Kolejno schodzili do nich członkowie oddziału desantowego, ubrani w błękitne kurtki mundurowe, z białymi opaskami na ramionach.

Znajdowali się o pięć mil od zatoki, wszyscy jednak mówili szeptem.

Słychać było przyciszony śmiech, szcęk rozdawanej broni i w chwilę później łodzie bezgłośnie rozpląnęły się w ciemności. Po dziesięciu minutach Stephen stracił je z oczu.

— Czy nadal pan ich widzi? — zapytał bosmana, który wciąż kulał z powodu odniesionej w walce z „Cacafuego” rany i teraz dowodził okrętem.

— Widzę światełko latarki, którą kapitan oświetla kompas — odpowiedział pan Watt. — Trochę w stronę rufy od kotbelki.

— Proszę spojrzeć przez moją nocną lunetę — zaproponował Lucock, jedyny podchorąży, jaki

pozostał na pokładzie.

— Chciałbym, żeby to się już skończyło

— westchnął Stephen.

— I ja też, doktorze... — Bosman

zawiesił głos. — Takie czekanie jest nie

do wytrzymania.

Chciałbym być z nimi. Są razem, czas

płynie im szybko i radośnie jak na

jarmarku w Horndean. Na okręcie

została nas garstka i możemy tylko

czekać, słuchając, jak piasek przesypuje

się w klepsydrze.

Upłyną wieki, zanim cokolwiek się

wydarzy, zanim ich usłyszemy. Zobaczy

pan.

Rzeczywiście. Mijały godziny, dni,

tygodnie, lata, wieki. Wydawało się, że

czas nie istnieje, że stanął

w miejscu. Tylko raz ciszę przerwały

głosy lecących wysoko flamingów,

zmierzających

prawdopodobnie do Mar Menor lub aż

do bagien Guadalquiviru.

Błyski wystrzałów muszkietowych

pojawiły się niespodziewanie w
zupełnie innym miejscu, niż Stephen
oczekiwał, daleko na prawo od wioski.

Czyżby łodzie zmyliły drogę? Może
zostały

zaatakowane? A może w ciemnościach
pomieszały mu się kierunki?

— Panie Watt — zapytał — czy oni
znajdują się we właściwym miejscu?

— Cóż... Na pewno nie, sir —

odpowiedział bosman z przekonaniem.

— O ile się na tym znam, kapitan chce
odwrócić uwagę Hiszpanów.

W przerwach między wystrzałami
słyszeć było ciche okrzyki. Trzaski
muszkietów nie ustawały.

Nagle z lewej strony ukazał się
ciemnoczerwony płomyk, potem drugi i
trzeci. Te trzy ogniki niemal w jednej
chwili gwałtownie rozbłysły światłem i
rozrosły się w pionowy słup ognia, który
uderzał

coraz wyżej w niebo, jak zadziwiająca
gorejąca fontanna — jeden ze statków

był po brzegi

wyładowany beczkami oliwy z oliwek.

— Boże wszechmogący... —

wymamrotał bosman, przejęty trwogą.

— Amen — dopowiedział któryś z

milczących, wpatrzonych w niezwykle

pożar marynarzy.

Ogień był coraz większy. W jego blasku

widać było dwa płonące statki, kłęby

dymu, wioskę, całą zatokę i okalające ją

wzgórza. Dwie łodzie z „Sophie”

odbijały od brzegu, trzecia płynęła już

szybko w kierunku brygu.

Z początku kolumna płomieni jak

gigantyczny cyprys strzelała pionowo w

górze. Gdy minęło niecałe pół godziny,

jej wierzchołek zaczął pochylać się na

południe, w stronę lądu. Chmura dymu

rozpłynęła się w długą, podświetloną

wstęgę. Zrobiło się jeszcze jaśniej.

Stephen zauważył między okrętem i

lądem lecące do światła mewy. „Ten

pożar przyciągnie wszystkie żywe istoty

z okolicy” — pomyślał

z niepokojem. — „Ciekawe, jak

zachowają się nietoperze?”

Słup ognia załamany był w jednej

trzeciej swojej wysokości; „Sophie”

zaczęła się kołysać. Fale uderzały

głośno o jej lewą burtę.

Pan Watt oprzytomniał nieco i wydał

niezbędne rozkazy.

— Wygląda na to, że nasze łodzie czeka

ciężka droga z powrotem, jeśli ten wiatr

się utrzyma —

powiedział.

— Nie możemy podpłynąć po nich bliżej

brzegu? — zapytał Stephen.

— Kierunek wiatru zmienił się o trzy

rumby, a w pobliżu przylądka znajdują

się płycizny. Nie możemy ryzykować.

Nisko nad wodą znów przeleciały

mewy.

— Ten płomień zwabi wszystkie żywe

stworzenia w promieniu wielu mil —

rzekł Stephen.

— Nic nie szkodzi, sir — odparł

bosman uspokajającym tonem. — Za

godzinę lub dwie będzie już widno i ogień nie będzie tak zwracał uwagi.

— Rozjaśnia całe niebo... — z

powątpiewaniem stwierdził Stephen.

Płomienie oświetliły również pokład

„Formidable”, pięknego francuskiego

okrętu liniowego o osiemdziesięciu

działach, dowodzonego przez kapitana

Lalonde'a i niosącego na stermaszcie

flagę wiceadmirała Linoisa. Francuzi

znajdowali się siedem lub osiem mil od

brzegu, w drodze z Tuluzy do Kadyksu.

Za admiralską jednostką płynęły

pozostałe okręty eskadry: „Indomptable”

(osiemdziesiąt dział, kapitan

Moncousu), szybki „Desaix”

(siedemdziesiąt cztery działa, kapitan

Christy-Palliere) i

„Muiron” (fregata o trzydziestu ośmiu

działach, do niedawna własność

Republiki Weneckiej).

— Podejdziemy bliżej brzegu i

zobaczymy, co tam się dzieje —

zadecydował admirał: niski, żwawy

mężczyzna z okrągłą głową, ubrany w
czerwone spodnie, znakomity żeglarz. W
kilka sekund później w górę
powędrowały kolorowe latarnie. Z
godną podziwu sprawnością okręty
kolejno wykonywały zwrot przez sztag.
Widać było, iż obsługują je doskonali
marynarze i świetnie znający morskie
rzemiosło oficerowie. Eskadra płynęła
w stronę brzegu, ostrym prawym
baksztagiem. Żagle
francuskich liniowców dostrzeżono z
pokładu „Sophie” o świcie i z początku
przywitano z radością.

Tymczasem łodzie dotarły do burty
brygu po wyczerpujących zmaganiach z
wiatrem i falą. Okręty wojenne
zauważono z niewielkim opóźnieniem.

Wszyscy członkowie załogi natychmiast
zapomnieli o głodzie, zmęczeniu,
obolałych ramionach, o tym, że są
zmarznięci i przemoczeni. Na pokładzie
rozległy się ożywione szepty:

— Nadpływają nasze galeony,

nareszcie! — Ludzie widzieli już w
myślach bogactwa Indii, Nowej
Hiszpanii i Peru, złote sztaby służące
jako balast. Od czasu, gdy okazało się,
iż Jack ma własne źródła informacji o
ruchach hiszpańskich jednostek, na
okręcie krążyły pogłoski o galeonie,
które teraz zdawały się potwierdzać.
Płomień wciąż strzelał w niebo, o wiele
bledszy, gdyż niebo rozjaśniało się
powoli. Na „Sophie” nikt nie zwracał na
to uwagi — w radosnym ożywieniu
zajęto się przygotowaniami do pościgu.
Oczy tych, którzy choć na moment mogli
oderwać się od pracy, z radością
spoglądały na oddalone o trzy lub cztery
mile okręty: „Desaix” i daleko z tyłu
„Formidable”.
Trudno było powiedzieć, kiedy ludzie
stracili powody do zadowolenia.
Kapitański steward, niosąc Jackowi
kawę na pokład rufówki, ciągle jeszcze
marzył o własnym pubie i z
zaskoczeniem

przysłuchiwał się słowom kapitana:

— Mamy bardzo złą pozycję, panie

Dalziel. — Rzeczywiście: „Sophie” nie

kierowała się już w stronę

domniemanych galeonów, lecz z

największą prędkością umykała przed

nimi, ostro na wiatr, z postawionymi

wszystkimi żaglami.

Na horyzoncie pojawiły się kadłuby

liniowców „Desaix” i „Formidable”. Za okrętem flagowym widać było marsle i

bramsle „Indomptable”, w odległości

kilku mil na nawietrznej, od strony

otwartego morza, bieleły się żagle

fregaty. „Sophie” znalazła się w

niezwykle trudnym położeniu. Wciąż

miała pewną przewagę — wiał

niewielki wiatr i mogła zostać uznana za

niewinny statek handlowy. Eskadra nie

powinna zbyt długo interesować się

małym, niepozornym brygiem. Jej

jednostkom wyraźnie się nie śpieszyło.

Do takiego wniosku Jack doszedł,

obserwując je przez lunetę. Świadczyło

o tym zachowanie licznie

zgrupowanych na forkaście „Desaix”
ludzi i fakt, iż nie postawiono
dodatkowych żagli. Były też inne drobne
sprawy. Z pewnością nie mieli do
czynienia z pościgiem.

Pomimo to francuski okręt żeglował z
zadziwiającą prędkością. Miał wysoki,
zgrabnie zaokrąglony dziób i pięknie
skrojone żagle. Mknął po wodzie
nieprawdopodobnie lekko, tak jak
„Victory”. Jego załogę stanowili
doświadczeni ludzie. Wydawało się, że
płynie po idealnie równej, niewidzialnej
kresce. Jack miał nadzieję, iż „Sophie”
zdąży przejść przed dziobem liniowca,
zanim Francuzi zaspokoją ciekawość i
poznają przyczynę pożaru. Potem
spróbuje zatańczyć z nimi tak, że w
końcu zrezygnują z pogoni. Liczył na to,
iż admirał prędzej czy później odwoła
swoje jednostki.

— Na pokładzie... — zawołał Mowett z
masztu. — Fregata zatrzymała nasz
statek pocztowy.

Jack skinął głową i skierował lunetę najpierw w stronę „Ventury”, następnie na okręt flagowy za rufą brygu. Czekał.

Minęło może pięć minut. Nadszedł moment krytyczny: na „Formidable”

podniesiono sygnały, dla ich

podkreślenia wystrzeliło działo. Nie

wzywały jednak eskadry do odwrotu.

Najbliższy okręt, „Desaix”, natychmiast

wyostrzył, przestając zajmować się

brzegiem. Na masztach pojawiły się

bombramsle, postawione i wybrane z

niewiarygodną sprawnością. Jack

gwizdnął cicho z podziwu.

Również na „Formidable” rozwinięto

dotkliwe płótna, „Indomptable”

zbliżał się szybko, płynąc pod pełnymi

żaglami z przybierającym na sile

wiatrem.

Nie ulegało wątpliwości, iż załoga

statku pocztowego powiedziała

Francuzom o „Sophie”. Wiadomo też

było, że wspinające się coraz wyżej

słońce przeszkodzi niepewnej bryzie,

może nawet uciszy ją zupełnie. Jack spojrzał w górę na żagle. Wszystkie płótna pracowały pomimo wciąż słabego wiatru.

Pierwszy nawigator wydawał komendy na ster. Pram, oficer wachtowy, stał za kołem. Obaj starali się wycisnąć ze starego, ociążałego brygu maksymalną prędkość. Pozostali członkowie załogi czekali w milczeniu na swych stanowiskach. Niepotrzebne były komendy, nic więcej nie można było zrobić.

Jack popatrzył na poprzecierane i powypychane żagle. Przygotowane były już nowe marsle, wykonane z porządnego, choć nie uznawanego przez Admiralicję płótna. Nie dopilnował, by zostały założone, i surowo ganił za to samego siebie.

— Panie Watt... — powiedział pół godziny później, spoglądając na lśniące jak szkło plamy nieruchomej wody, widoczne w oddali,

na pełnym morzu. — Proszę

przygotować wiosła.

W kilka minut po tym na „Desaix”

podniesiono banderę i odezwały się
dziobowe działa pościgowe liniowca.

Wiatr ucichł, gdy przebrzmiało echo
podwójnego wystrzału. Żagle
francuskiego okrętu zwiędły nagle, na
chwilę się wypełniły i znowu obwisły.

Jeszcze przez dziesięć minut „Sophie”
udawało się korzystać z ostatnich
podmuchów, lecz wkrótce i dla niej
zabrakło wiatru. Na długo przedtem,
zanim znieruchomiała, wyłożono za
burtę wszystkie dostarczone na Malcie
wiosła (wciąż brakowało czterech).

Pełzła powoli, pod wiatr, a raczej w
stronę, z której przed chwilą wiało.

Pióra i trzony długich wioseł wyginały
się niebezpiecznie, pociągane z
olbrzymią siłą. Przy każdym wiosle
pracowało pięciu skupionych ludzi.

Dawali z siebie wszystko. Stephen
spozregł nagle, iż wśród wio-

ślarzy byli również oficerowie. Poszedł na dziób, z trudem znalazł wolne miejsce i po czterdziestu minutach na obu dłoniach miał mnóstwo odcisków, z których już po chwili zaczęła schodzić skóra.

— Panie Dalziel, niech wachta prawej burty idzie na śniadanie. O! Panie Ricketts, myślę, że możemy wydać podwójny przydział sera. Obawiam się, że na razie nie ma nadziei na coś ciepłego.

— Jeśli wolno mi zauważyć, sir, to już wkrótce będzie nam wszystkim niezwykle gorąco... — rzekł ochmistrz z kwaśnym uśmiechem.

Ludzie z prawoburtowej wachty posilili się szybko i stanęli do wiosła, zastępując zmęczonych kolegów, którzy siedli do złożonego z sucharów, sera i grogu śniadania, uzupełnionego kilkoma szynkami z oficerskiej mesy. Jedli bardzo nerwowo, gdyż w oddali powierzchnia morza zmarszczona już

była przez bryzę, wiejącą teraz ze
zmienionego o dwa rumby kierunku.

Francuskie okręty chwyciły ten podmuch
pierwsze. Posuwały się odrobinę
szybciej od wiatru, poruszane
olbrzymimi, wysoko umieszczonymi
żaglami. Marynarze „Sophie”
przyglądali się temu wstrząśnięci. Cała
tak ciężko wypracowana przewaga
przepadła w ciągu dwudziestu minut.

Gdy żagle brygu zaczęły
wreszcie pracować, przed dziobem
„Desaix” pojawiły się białe spienione
fale, doskonale widoczne z pokładu
rufówki. Żagle „Sophie” też wypełniły
się wiatrem, lecz przy tak małej
prędkości wszelkie próby ucieczki z
góry skazane były na niepowodzenie.

— Złożyć wiosła — polecił Jack. —
Panie Day, proszę wyrzucić działa za
burtę.

— Tak jest, sir — odpowiedział
dziarsko artylerzysta i ruszył w stronę
armat. Poruszał się jednak ociężale.

Wyglądał jak człowiek idący po
krawędzi przepaści, zmuszający się do
tego z najwyższym wysiłkiem.

Stephen wyszedł na pokład. Ręce miał
starannie zabandażowane. Patrzył na
uzbrojonych w łomy i handszpaki ludzi,
którzy stali koło rufowej mosiężnej
czterofuntówki. Z zatroskanymi,
przerażonymi niemal twarzami czekali,
aż okręt przechylił się na fali. Gdy fala
nadeszła, lśniąca lufa działa numer
czternaście, tak pięknie przez nich
wypolerowana, z pluskiem
powędrowała do wody. W tym samym
momencie, o niecałe dziesięć jardów za
rufą, wystrzeliła w górę wysoka
fontanna. Znowu odezwały się działa
pościgowe Francuza i następna armata
wypadła za burtę „Sophie” już bez
ceremonii. W ślad za czternastoma
półtonowymi lufami do morza dostały
się ich masywne lawety. Na dziwnie
pustym pokładzie pozostały tylko
poprzecinane fragmenty uprzęży i

splątane talie, wciąż zamocowane do

nadburcia po obu stronach

niepotrzebnych teraz furt.

Doktor spojrzął przed dziób, potem za
rufę i zrozumiał, w jak trudnym znaleźli
się położeniu.

Przygryzł wargi i nie chcąc

przeszkadzać, stanął z boku, przy

relingu. Uwolniona od ciężaru „Sophie”

przyśpieszała wyraźnie. Jej kadłub

wynurzył się, opory ruchu zmały, nieco

inaczej pochylone żagle lepiej chwytaly

wiatr.

Kula armatnia z „Desaix” przeszła przez

płótno bramsla, następne dwa pociski

nie doleciały do celu.

Mieli jeszcze czas na jakiś manewr,

nawet na kilka manewrów. Jack

wiedział doskonale, że „Sophie”

wykona zwrot przez sztag dwa razy

szybciej niż uzbrojony w siedemdziesiąt

cztery działa liniowiec.

— Panie Dalziel — zawołał — zrobimy

zwrot, a potem znów wrócimy na ten

sam hals. Panie

Marshall... musimy rozpędzić się trochę.

— „Sophie” potrzebowała rozpędu, skoro miała przy drugim zwrocie przejść przez linię wiatru. Gdyby jej się to nie udało, skutek mógł być tragiczny.

Anemiczne podmuchy nadal były dla niej zbyt słabe. Najlepiej żeglowała wtedy, gdy na morzu pojawiały się fale i trzeba było refować marsle. — Do zwrotu przez sztag! — Odezwała się piszczałka, słup wyostrzył, zgrabnie przeszedł przez linię wiatru i po chwili płynął lewym halsem. Buliny brygu napięły się jak struny harfy, olbrzymi liniowiec nie zaczął jeszcze się obracać.

Ścigający „Sophie” okręt wykonał wreszcie zwrot, przekroczył linię wiatru i pokazał swą burzę, poznaczoną szachownicą furt działowych. Ujrawszy to przez lunetę, Jack powiedział szybko:

— Niech pan lepiej zejdzie na dół, doktorze. — Stephen usłuchał go, ale zszedł tylko do kapitańskiej kabiny i

stamtąd dalej obserwował przez okno

„Desaix”. Chmura dymu przesłoniła

kadłub pięknego liniowca w pół minuty

po tym, jak „Sophie” rozpoczęła zwrot

w przeciwną stronę. Potężna salwa,

dziewięćset dwadzieścia osiem funtów

metal, uderzyła w morze, na prawym

trawersie brygu. Prawie wszystkie

pociski spadły za blisko — jedynie

dwie trzydziestosześcioletnie kule

przeleciały przez takielunek,

pozostawiając za sobą pozrywane liny.

Przez moment wydawało się, że

„Sophie” nie zdoła przejść przez linię

wiatru, że odpadnie na poprzedni kurs,

straci przewagę i po raz kolejny wejdzie

pod lufy nieprzyjacielskiego okrętu, tym

razem znacznie lepiej wycelowane.

Mocniejszy podmuch uderzył

jednak w jej wystawione na wiatr

przednie żagle i już po chwili wróciła

na pierwotny hals. Gdy płynęła znów z

pełną prędkością, ciężkie reje „Desaix”

nie zostały jeszcze przebrasowane.

Minęło sporo czasu, zanim liniowiec zakończył manewr. Umykająca przed pogonią „Sophie” zyskała w ten sposób być może ćwierć mili.

„Drugi raz to się nie uda” — pomyślał Jack. — „Dobrze, że choć raz dali się nabrać”.

Francuski okręt wykonał zwrot i wrócił na prawy hals, szybko odrabiając stracony dystans. Działa na dziobie liniowca strzelały bez przerwy, coraz celniej w miarę zmniejszania się odległości. Kule pudłowały o włos lub ocierały się o żagle, zmuszając słup do ciągłych drobnych zmian kursu, co za każdym razem oznaczało wyczuwalny spadek prędkości. „Formidable” żeglował przeciwnym halsem, odcinając „Sophie” drogę ucieczki, a „Indomptable” płynął na zachód, chcąc w tym samym celu nabrać wysokości względem wiatru. Ścigające bryg jednostki znajdowały się niemal w jednej linii za jego rufą i zbliżały się

szybko. Osiemdziesięciodziałowy okręt
flagowy zmienił na moment kurs,
oddając salwę burtową z niebezpiecznie
bliskiej odległości. „Desaix” płynął
krótkimi zakosami, strzelając salwami
po każdym obrocie. Ludzie bosmana
pracowali w pocie czoła przy
związywaniu lin pozrywanych przez
kule. W żaglach pojawiło się kilka
nowych dziur. Nie było jednak
większych uszkodzeń. Nikt też nie został
ranny.

— Panie Dalziel, proszę zacząć
wyrzucać zapasy za burtę — polecił
Jack.

Zdjęto pokrywy luków i zawartość
ładowni powędrowała do morza: beczki
solonej wołowiny, beczki z
wieprzowiną, tona sucharów, fasola,
mąka owsiana, masło, ser i ocet. Proch i
kule. Rozpoczęto wypompowywanie
wody. Dwudziestoczerofuntowy pocisk
uderzył w kadłub i z pomp, oprócz słod-
kiej, popłynęła również morska woda.

— Niech pan sprawdzi, panie Ricketts,
jak cieśla sobie z tym radzi... — Jack
był zaniepokojony.

— Zapasy za burtą, sir — zameldował
porucznik.

— Bardzo dobrze, panie Dalziel.

Pozbędziemy się jeszcze kotwic i
zapasowych drzewiec. Proszę zostawić
tylko jedną zawoźną kotwicę.

— Pan Lamb mówi, że w zężach ma
dwie i pół stopy wody — powiedział
zdyszany podchorąży. —

Udało mu się zakołkować otwór po kuli.

Jack skinął głową i spojrzał na

francuską eskadrę za rufą. Nie było

nadziei, iż „Sophie” ucieknie, jeśli dalej popłynie ostro na wiatr. Gdyby jednak

odpadła niespodziewanie do baksztagu,

może zdołałaby przemknąć pomiędzy

ścigającymi ją okrętami. Zwinna i lekka,

ma szansę dotrzeć do Gibraltaru.

Płynąc pełnym kursem, powinna umknąć

liniowcom. Jeśli dostatecznie szybko

wykona manewr,

zyska dodatkową milę przewagi, zanim

jednostki eskadry obróćą się i podejmą

pościg. Oznaczało to też, iż

przeptywając pomiędzy nimi, będzie

musiała przetrwać kilka salw

burtowych... Była to jedyna szansa.

Należało do maksimum wykorzystać

przewagę, jaką dawało zaskoczenie.

— Panie Dalziel, za dwie minuty

odpadniemy od wiatru, postawimy

boczne żagle i przejdziemy między

flagowcem i tym okrętem o

siedemdziesięciu czterech działach.

Musimy to zrobić bardzo sprawnie,

zanim oni się zorientują... — Jack

wypowiedział te słowa do porucznika,

lecz zrozumiała je cała załoga.

Marynarze obsługujący żagle pobiegli na

stanowiska, w każdej chwili gotowi

błyskawicznie wbiec na górę i

przygotować wytyki. Wszyscy zamarli w

oczekiwaniu. — Jeszcze nie...

— Aubrey patrzył, jak „Desaix” powoli

zbliża się do prawego trawersu

„Sophie”. Tylko tego liniowca należało

się obawiać. Ten okręt był niezwykle
czujny, więc Jack wolał poczekać, aż
będzie zajęty jakimś manewrem. Za
lewą burtą brygu znajdował się
„Formidable”, na pewno przepełniony,
jak zazwyczaj okręty flagowe, i przez to
mniej skuteczny. — Jeszcze nie... —
powiedział znowu, nie odrywając oczu
od „Desaix”. Nic się jednak nie działo.
— Uwaga! — zawołał w końcu,
policzywszy w myślach do dwudziestu.
— Teraz!

Sternik zakręcił kołem i „Sophie” lekko
jak baletnica obróciła się w stronę
„Formidable”, flagowiec natychmiast
posłał w jej kierunku salwę burtową.
Artylerzyści admiralskiego okrętu nie
mogli równać się z załogą „Desaix”.
Kule wpadły do morza w miejscu, gdzie
bryg znajdował się przed chwilą. Salwa
„Desaix” była znacznie lepiej
wymierzona z obawy przed rykoszetami,
mogącymi uderzyć w okręt admirała.
Tylko sześć kul doleciało do brygu,

powodując niewielkie zniszczenia.

Pozostałe pociski upadły zbyt blisko.

„Sophie” przeszła pomiędzy żaglowcami

bez większych szkód. Z postawionymi

bocznymi żaglami mknęła szybko przed

siebie, z wiatrem wiejącym z

najkorzystniejszego dla niej kierunku.

Zaskoczenie było zupełne i uniknęła

pogoni. W ciągu pięciu minut oddaliła

się o milę. Kolejna salwa burtowa

„Desaix”, oddana z odległości ponad

tysiąca jardów, chybiła celu zapewne na

skutek pośpiechu i zdenerwowania.

Tylko jeden pocisk z trzaskiem uderzył

w pompę z pnia wiązu na dziobie brygu,

rozbijając ją na kawałki. To wszystko.

Okręt flagowy zrezygnował z drugiej

salwy i przez chwilę płynął nie

zmienionym kursem, tak jakby „Sophie”

nie istniała.

„Może nam się udało” — pomyślał Jack,

opierając dłonie na rufowym relingu i

spoglądając na wydłużający się

kilwater. Wcześniej z biciem serca

czekał na salwy burtowe, przerażony
wizją strasznego spustoszenia. Teraz
zamiast lęku pojawiła się nadzieja.

„Może nam się udało” —

pomyślał znowu. Za ledwie te słowa
powstały w jego głowie, gdy zobaczył,
że na admiralskim okręcie podniesiono
sygnały, i „Desaix” zaczął obracać się z
wiatrem.

Uzbrojony w siedemdziesiąt cztery
działa liniowiec zmienił hals tak samo
sprawnie jak fregata. Reje obracały się
równocześnie, tak jakby poruszał je
jakiś zsynchronizowany mechanizm. Z
pewnością były obsługiwane przez
wielu świetnie wyszkolonych ludzi.

„Sophie” również miała wspaniałą,
gotową do poświęceń załogę. W niczym
jednak nie zmieniało to faktu, iż przy tej
bryzie nie mogła płynąć z prędkością
większą niż siedem węzłów. Tymczasem

„Desaix” już po piętnastu minutach
żeglował o węzeł szybciej i to bez
bocznych żagli. Widocznie Francuzi nie

chcieli zawracać sobie nimi głowy.

Serca stłoczonych na pokładzie

„Sophie” ludzi zamarły.

Jack spojrział w niebo. Było błękitne,

ogromne, gdzieniegdzie poznaczone

przesuwającymi się powoli,

postrzępionymi chmurami. Nic nie

wskazywało na to, że wiatr ucichnie po

południu, a do zmroku pozostało jeszcze

wiele godzin.

Ile? Kapitan zerknął na zegarek.

Czternaście minut po dziesiątej.

— Panie Dalziel, schodzę do mojej

kabiny — oświadczył. — Proszę mnie

powiadomić, jeśli coś się wydarzy.

Panie Richards, proszę powiedzieć

doktorowi Maturinowi, że chciałbym z

nim

porozmawiać. Panie Watt, potrzebuję

kilku sążni cienkiej linki i trzech lub

czterech miedzianych nagli.

W kabinie Jack zapakował tajne

dokumenty i dołożył do nich książkę

kodową, oprawioną w grubą ołowianą

blachę. Do worka z pocztą włożył kołki do obkładania lin i zawiązał go starannie. Poprosił o swój najlepszy płaszcz, do jego wewnętrznej kieszeni schował sakiewkę z pieniędzmi. Do kabiny wszedł Stephen Maturin.

— Jest pan, doktorze... — przywitał go Jack. — Obawiam się najgorszego. Jeśli nie wydarzy się jakiś cud, za pół godziny zostaniemy więźni do niewoli lub zatoniemy.

— Tak... — Stephen nie był specjalnie zdziwiony.

— Jeśli ma pan coś, na czym panu szczególnie zależy, lepiej będzie powierzyć to mojej opiece — zaproponował Jack.

— Czyżby oni okradali jeńców?

— Tak. Czasami. Gdy na „Leanderze” dostałem się do niewoli, zabrano mi nawet ubranie. Zrabowali też naszemu lekarzowi instrumenty. Nie mógł operować naszych rannych.

— Natychmiast przyniosę panu

narzędzia chirurgiczne.

— I sakiewkę.

— Ach, tak... I sakiewkę.

Jack pośpiesznie wrócił na pokład i
spojrzał za rufę. Nigdy by nie uwierzył,
że ścigający „Sophie”
liniowiec jest już tak blisko.

— Na maszcie! — krzyknął zatroskany.

— Co widać? Siedem liniowców? Pół
śródziemnomorskiej floty?

— Nic, sir — odpowiedział obserwator
po krótkiej pauzie.

— Panie Dalziel, jeśli dostanę po
głowie, proszę wyrzucić to za burtę.

Oczywiście w ostatniej chwili...

— dodał Jack, dotykając worka i paczki
z dokumentami.

Na pozór na okręcie nic się nie
zmieniło. Ludzie byli spokojni i
skupieni, klepsydra została obrócona z
dokładnością co do minuty, punktualnie
zabrzmiały cztery szklanki
popołudniowej wachty. Na
„Sophie” działo się jednak coś

dziwnego, coś, czego nie przewidywały
obowiązujące zasady dyscypliny.

Członkowie załogi schodzili pod
pokład, potem stamtąd wracali i nikt ich
za to nie ganił.

Wkładali najlepsze ubrania (po dwie,
trzy kamizelki i na to wyjściowa kurtka),
prosilili zaufanych oficerów o
przechowanie wartościowych rzeczy,
łudzając się nikłą nadzieją, iż uda się coś
ocalić.

Babbington trzymał w dłoniach pięknie
rzeźbiony ząb wieloryba, Lucock
próbował wepchnąć za pazuchę spore
zawiniątko. Dwaj marynarze byli
kompletnie pijani — pewnie trzymali
zapasy na czarną godzinę.

„Dlaczego on nie strzela?” —
zastanawiał się Jack. Dziobowe działa
„Desaix” nie odzywały się od ponad
dwudziestu minut, choć „Sophie” od
dawna była w ich zasięgu. Obie
jednostki zbliżyły się na odległość
strzału muszkietowego i wyraźnie widać

było stojących na dziobie liniowca
ludzi: marynarzy, oficerów, żołnierzy
piechoty morskiej. Jeden z Francuzów
miał drewnianą nogę. „Cóż za pięknie
skrojone żagle” — pomyślał Aubrey z
podziwem i w tej samej chwili
zrozumiał, dlaczego nieprzyjacielski
okręt nie strzelał, tylko zbliżył się tak
bardzo. — „Boże... Chcą poczęstować
nas śrutem...” Podszedł szybko do
wypełnionej hamakami siatki i wyrzucił
za burtę przygotowane wcześniej
pakunki. Oba zatoniły od razu.

Na dziobie „Desaix” zapanowało
poruszenie, zapewne była to reakcja na
rozkaz. Aubrey przejął ster od oficera i
spojrzał za siebie. Dotknąwszy szprych,
poczuł, jak słup żyje pod jego palcami.

„Desaix”

nagle zmienił kurs. Liniowiec reagował
na wychylenia steru tak szybko jak kuter
i po trzech uderzeniach serca Jack
zobaczył lufy trzydziestu siedmiu dział
gotowe do strzału. Z całej siły zakręcił

kołem. Grzmot salwy burtowej francuskiego okrętu, spadająca na pokład „Sophie” grotbramstenga i reja fokmarsła, lecące w dół bloki i kawałki lin, przeraźliwy dźwięk trafionego kulkami okrętowego dzwonu — wszystko to wydarzyło się w krótkiej chwili. Potem zapadła cisza.

Większość kul armatnich przeszła o kilka jardów przed dziobem brygu. Setki drobnych kuleczek zniszczyły doszczętnie takielunek i żagle, które zawisły w strzępach. Następna salwa rozniosłaby „Sophie” na kawałki.

— Żagle na gejtawy! — zawołał Jack, kontynuując zwrot. Słup stanął w linii wiatru. — Bonden, zrzuć banderę!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kapitański salon okrętu liniowego i kabina dowódcy brygu różnią się rozmiarami, lecz w obu tych pomieszczeniach są podobne, miłe dla oka krzywizny i tak samo pochylone

ściany. W przypadku

„Desaix" i „Sophie" wspólna była też niepowtarzalna atmosfera. Jack siedział wpatrzony w rufowe okna, wychodzące na śliczną galeryjkę, i spoglądał na Green Island i Cabrita Point. Kapitan Christy-Palliere szukał w teczce rysunku, który sporządził, gdy po raz ostatni przebywał w Bath jako jeńiec związany słowem honoru.

Rozkazy, jakie otrzymał admirał Linois, nakazywały, by dowodzona przez niego eskadra dołączyła do francusko-hiszpańskiej floty w Kadyksie. Admirał wykonałby je bez wahania, lecz po dotarciu do Cieśniny Gibraltarskiej okazało się, że zamiast jednego lub dwóch liniowców oraz fregaty Sir James Saumarez ma pod swą komendą nie mniej niż sześć okrętów liniowych o siedemdziesięciu czterech działach każdy i jeden uzbrojony w osiemdziesiąt dział. Brytyjskie jednostki pilnowały połączonej nieprzyjacielskiej flotylli. Taki stan rzeczy na pewno skłaniał do

refleksji i okręty admirała stały teraz na kotwicy w zatoce Algeciras, pod osłoną dział potężnych hiszpańskich baterii brzegowych, naprzeciwko skały Gibraltaru.

Aubrey świetnie zdawał sobie z tego sprawę. To było oczywiste. Kapitan Palliere przeglądał rysunki, a Jack wyobrażał sobie posłańców pędzących w największym pośpiechu między Algeciras i Kadyksem

— Hiszpanie nie używali semafora.

Nieruchomym wzrokiem patrzył wciąż przez okno, na Cabrita Point, czyli wychodzący w morze kraniec zatoki.

Pojawiły się tam bramsle płynącego za cypłem okrętu. Przez chwilę Jack obserwował te żagle obojętnie, lecz nagle serce skoczyło mu do gardła.

Zanim zdążył o tym pomyśleć, wiedział, że na maszcie widocznej w oddali jednostki powiewa brytyjski proporzec.

Zerknął szybko w stronę francuskiego kapitana.

— Landsdowne Terrace, inny widok...

Clifton... — Palliere oglądał kolejne

rysunki. — O jest! —

zawołał uradowany. — Laura Place,

numer szesnaście. Laura Place. Tutaj

zatrzymują się moi kuzyni, ilekroć

przyjeżdżają do Bath. A tutaj, za tym

drzewem... szkoda, że to drzewo

wszystko zasłania...

tutaj jest okno mojej sypialni!

Steward wszedł do kabiny i zaczął

nakrywać do posiłku. Kapitan Palliere

nie tylko miał w Anglii kuzynów i

świetnie mówił po angielsku. Wiedział

również, jak powinno wyglądać na

okręcie

przyzwoite śniadanie: dwie kaczki,

cynaderki, olbrzymia pieczona ryba. To

wszystko podano jako dodatek do

zwyczajnego śniadania składającego się

z szynki, jajek, grzanek, marmolady i

kawy. Jack spojrzał na szkic z

największą uwagą, na jaką mógł się

zdożyć.

— Okno pańskiej sypialni? To
zadziwiające... — rzekł uprzejmie.
Śniadanie u doktora Ramisa było
zupełnie inne — skromne, przywodziło
na myśl więzienny wikt: dzbanek kakao
bez mleka i kawałek chleba z odrobiną
oliwy. Z uwagi na chorą wątrobę
gospodarz gotów był do wielkich
poświęceń.

— Odrobina oleju nikomu nie zaszkodzi
— powiedział. Był chudym, posępnym
mężczyzną o
nieprzyjemnej, szarżółtej twarzy i
podkrążonych, zapadniętych oczach. Nie
wydawał się
człowiekiem zdolnym do okazywania
jakichkolwiek pozytywnych uczuć.

Zarumienił się jednak, równocześnie
próbując się uśmiechnąć, gdy Stephen,
powierzony jego opiece jako jeniec,
zawołał na powitanie:

— To niemożliwe! Czyżbym miał
zaszczyt poznać słynnego doktora Juana
Ramisa, autora

wspaniałego dzieła *Specimen*

Animalium

Obaj panowie powrócili właśnie z izby
chorych. Na „Desaix” nie było to
specjalnie zatłoczone miejsce.

Potencjalnych pacjentów skutecznie
odstraszał zapach, z jakim doktor Ramis
w trosce o wątroby swych chorych
zapisywał lekkostrawną dietę,
wykluczającą wino. W szpitaliku
przebywało paru ludzi ze zwykłymi
dolegliwościami, kilku syfilityków,
czterech rannych z „Sophie” i trzech
poszkodowanych w ostatniej potyczce
Francuzów, których pogryzła suczka
pana Dalziela. Usiłowali ją pogłaskać i
teraz zostali umieszczeni w
odosobnieniu, z podejrzeniem o
wściekliznę. Stephen uważał, iż jego
kolega po fachu popełnił tutaj poważny
błąd. Szkocki pies, który pogryzł
francuskiego marynarza nie musiał być
wściekły — okazał się tylko mściwy.
Maturin zachował dla siebie tę refleksję

i powiedział:

— Rozmyślałem kiedyś sporo o

emocjach...

— O emocjach? — zainteresował się

Ramis.

— Tak. O emocjach i o tym, jak są

wyrażane. W piątej księdze i w części

księgi szóstej swego znakomitego dzieła

napisał pan o emocjach okazywanych na

przykład, przez kota, byka, pająka. Ja

również dostrzegłem ów szczególny

błysk w oczach drapieżnych owadów.

Czy widział pan może żar płonący

głęboko w oczach modliszki?

— Niestety nie, drogi kolego. Wspomina

o tym Busbequius — odparł pan Ramis z

nie ukrywanym zadowoleniem.

— Moim zdaniem w przypadku emocji o

wszystkim decyduje sposób, w jaki się

je wyraża. Weźmy pańskiego kota:

załóżmy, że ogolimy go, tak by nie mógł

nastroszyć sierści, i do grzbietu

przymocujemy deseczkę, by nie mógł się

wyginać. Jeśli pokażemy mu coś

nieprzyjemnego, nasz kot nie będzie
mógł w pełni okazać swoich emocji.

Powstaje pytanie: czy pomimo to będzie
je odczuwał?

Czy wygięcie grzbietu i nastroszenie
sierści nie jest integralną częścią
przeżywanych wrażeń? A może odczucia
kota są tylko przez to artykułowane lub
wzmacniane w jakiś sposób?

Doktor Ramis pochylił głowę,
przymrużając oczy, przygryzł wargi i
odpowiedział:

— Jak to sprawdzić? Tego nie da się
zmierzyć, sir. Pańskie wnioski są
niezwykle interesujące, lecz nie można
ich udowodnić. W nauce nie ma miejsca
na przypuszczenia, wszystko musi zostać
zmierzone i sprawdzone
doświadczalnie.

— Myślę, że można udowodnić to za
pomocą bardzo prostego doświadczenia

— zawołał Stephen

podekscytowany. — Zmierzymy swoje

tętno. — Doktor Ramis wyjął zegarek,

pięknego Bregueta z umieszczonym
centralnie sekundnikiem, i obaj panowie
siedzieli przez chwilę w milczeniu,
sprawdzając puls. — Teraz, mój drogi
kolego — mówił dalej Maturin —
proszę wyobrazić sobie, że wziąłem
pański zegarek i celowo
rzuciłem nim z całej siły o ziemię. Ja zaś
spróbuję uwierzyć, iż jest pan podłym i
okrutnym człowiekiem. Zasymulujmy
odpowiednie gesty, wyrażające gniew i
oburzenie.

Twarz doktora Ramisa zeszywniała,
jego oczy znikły prawie, wyciągnięta do
przodu głowa zadrżała.

Stephen przygryzł usta, pogroził koledze
pięścią i wymamrotał coś pod nosem.

Do kabiny wszedł
służący z dzbankiem gorącej wody (o
dolewce kakao nie było mowy).

— Zmierzymy znowu tętno — rzekł

Stephen.

— Ten medyk z angielskiego okrętu to
wariat — opowiadał steward drugiemu

kucharzowi. —

Nienormalny. Naszemu też się przy nim
w głowie przewracało...

— Nie mogę powiedzieć, że mnie to
całkowicie przekonuje, lecz wyniki z
pewnością są interesujące

— przyznał doktor Ramis. — Spróbujmy
użyć teraz wulgarnych, obraźliwych
słów, docinków i

złośliwych uwag, nie wykonując

żadnych ruchów, które mogą

spowodować przyśpieszenie tętna. Jak

rozumiem, pragnie pan dowieść

słuszności swego twierdzenia na

zasadzie przeciwieństwa? To taki

dowód nie wprost, antyteza. Bardzo

mnie pan tym zaciekał...

— Naprawdę? — ucieszył się Stephen.

— Pomyślałem o tej sprawie,

obserwując naszą kapitulację i kilka

innych podobnych sytuacji, jakie dane

mi było oglądać. Ma pan o wiele

bogatsze morskie doświadczenia i

zapewne był pan świadkiem znacznie

większej liczby takich zdarzeń?

— Tak sędzę — zgodził się doktor

Ramis. — Aż cztery razy byłem waszym
jeńcem. Właśnie dlatego tak cieszymy
się, iż możemy gościć panów — dodał z
uśmiechem. — Takie okazje nie zdarzają
się tak często, jak byśmy tego pragnęli.

Może ma pan jeszcze ochotę na kawałek,
mały kawałek, chleba z odrobinką
czosnku? Z maleńkim skraweczkiem? To
przecież takie zdrowe...

— Och, jest pan bardzo uprzejmy. Czy
zwrócił pan uwagę na beznamiętny
wyraz twarzy ludzi
branych do niewoli? Czy zawsze tak
wyglądają?

— Przeważnie.

— Czy nie uważa pan, iż podobne
nieuzewnętrznianie przeżyć, skrywanie
uczuć w pewien sposób uśmierza ból
porażki?

— Zapewne ma pan rację, tak...

— Jestem przekonany, że tak. Łatwiej
wtedy znieść gorycz klęski. Na

pokładzie naszego okrętu byli ludzie,
których dobrze poznałem, i jestem
pewien, iż bez tego swoistego
ceremoniału kapitulacji byliby
załamani...

— Monsieur, monsieur, monsieur! —

zawołał służący doktora Ramisa. —

Anglicy wpływają do

zatoki!

Na rufie spotkali kapitana Palliere i jego

oficerów, z uwagą obserwujących

manewry angielskich okrętów.

„Pompee”, „Venerable”, „Audacious”, nieco dalej „Caesar”, „Hannibal” i

„Spencer”, korzystając ze słabego

wiatru, zmagaly się z silnymi, zmiennymi

prądami w cieśninie, na połączeniu

Atlantyku z Morzem Śródziemnym.

Wszystkie miały po siedemdziesiąt

cztery działa, jedynie flagowy okręt

„Caesar” uzbrojony był w osiemdziesiąt

armat. Jack stał z boku, jego twarz była

dziwnie pozbawiona wyrazu. Dalej przy

relingu pozostali oficerowie „Sophie”

udawali taką samą obojętność.

— Czy pańskim zdaniem zaatakują nas,
czy zakotwiczą koło Gibraltaru? —
zapytał Jacka kapitan Palliere.

— Jeśli mam być szczery, sir —
odpowiedział Jack, spoglądając na
wpływające do zatoki okręty —
na pewno zaatakują. Myślę, że wybaczy
mi pan to, co teraz powiem, lecz jeśli
weźmie się pod uwagę obecny stosunek
sił, to dziś wieczorem powinniśmy
znaleźć się w Gibraltarze. Muszę
przyznać, że sprawiłoby mi to dużą
radość, gdyż miałbym okazję
odwzajemnić, choćby częściowo,
niezwykle uprzejme traktowanie, z jakim
się tutaj spotkałem.

Rzeczywiście, traktowano ich bardzo
uprzejmie już od chwili, w której
kapitanowie wymienili formalne
pозdrowienia na pokładzie rufówki
„Desaix” i Aubrey podał dowódcy
francuskiego okrętu swą szpadę. Kapitan
Palliere jej nie przyjął i nalegał, by Jack
nadal nosił ją u boku; wypowiedział

przy tym kilka słów podziwu na temat
wspaniałej postawy broniącej się do
ostatniej chwili „Sophie”.

— No cóż... — powiedział francuski
kapitan. — Tak czy inaczej, nie
powinniśmy z tego powodu rezygnować
ze śniadania.

— Sygnał od admirała, sir —
zameldował porucznik. — „Podejść jak
najbliżej do brzegu, pod osłonę baterii
brzegowych”.

— Proszę potwierdzić i wykonać ten
rozkaz jak najszybciej, Dumanoir —
poleciał dowódca okrętu. —

Chodźmy, sir. Korzystajmy z okazji.
Ucztujmy, póki czas...

Nie wypadało odmówić i obaj panowie
rozmawiali teraz z determinacją, coraz
głośniej, gdyż odezwały się baterie
brzegowe na Green Island i salwy
burtowe liniowców. Jack zauważył w
pewnym momencie, że smaruje rybę
marmoladą i że jego odpowiedzi coraz
mniej wiążą się z zadawanymi mu

pytaniem. Z przeraźliwym trzaskiem i brzękiem przestały nagle istnieć rufowe okna kabiny.

Przykryta poduszkami szafka, w której Palliere przechowywał najlepsze wina, wyleciała na środek salonu, tryskając strumieniami szampana. Pośrodku rumowiska zakręciła się kula armatnia z HMS „Pompee”.

— Chyba powinniśmy wyjść na pokład — rzekł francuski kapitan.

Sytuacja była niezwykła. Wiatr osłabł prawie zupełnie. Angielski liniowiec „Pompee” prześliznął się obok „Desaix” i zakotwiczył blisko z prawej strony przed dziobem „Formidable”, ostrzeliwując go zawzięcie. Okręt francuskiego admirała ruszył przez niebezpieczne mielizny w kierunku brzegu, wybierając podane na ląd cumy. „Venerable”, któremu zabrakło wiatru, zakotwiczył o pół mili od „Formidable” i „Desaix”. Obrócony

lewą burzą, posyłał w ich stronę salwę
za salwą. Tymczasem
„Audacious”, z tego, co Jack zdołał
dostrzec przez kłęby dymu, znajdował
się na trawersie
„Indomptable”, w odległości trzystu lub
czterystu jardów. „Caesar”, „Hannibal”
oraz „Spencer” nadal z trudem
żeglowały przez plamy ciszy, próbując
w pełni wykorzystać niepewne
podmuchy północno-zachodniej bryzy.
Francuskie okręty strzelały bez przerwy,
w tle przez cały czas grzmiały
hiszpańskie baterie brzegowe, od Torre
del Almirante na północy do Green
Island na południu. Hiszpańskie
kanonierki, bezcenne w walce przy
bezwietrznej pogodzie — zwrotne,
doskonale znające miejscowe rafy i
silne, zmienne prądy — wiosłowały w
stronę zakotwiczonych angielskich
jednostek, atakując je morderczym
ogniem swych armat.
Obłoki dymu odpływały powoli od lądu,

przetaczając się po powierzchni morza
to w tę, to w tamtą stronę, i co jakiś czas
przesłaniały skałę Gibraltaru oraz trzy
zbliżające się angielskie okręty. Wiatr
uspokoił się w końcu. Ponad
skłębionymi tumanami pojawiły się
bombramsle i bramsle okrętu „Caesar”,
niosącego flagę admirała Saumareza
oraz sygnał: „Rzucić kotwicę w celu
udzielenia wsparcia”.

Angielski flagowiec minął „Audacious”
i ustawił się burtą w kierunku „Desaix”,
blisko, w zasięgu głosu. Po chwili gęsta
chmura zasłoniła kadłub okrętu
brytyjskiego admirała. Wytrysnął z niej
szeroki strumień ognia i lecąca na
wysokości głowy kula skosiła rząd
marynarzy na wysokiej rufie
francuskiego liniowca. Kadłub „Desaix”
zadrżał uderzony wieloma pociskami —
przynajmniej połowa salwy dosięgła
celu.

„To nie jest miejsce dla jeńca” —
pomyślał Jack i spojrzawszy z troską na

kapitana Palliere, zszedł
niżej, na drugi pokład rufówki. Spotkał
tam młodego Rickettsa i Babbingtona.
Obaj podchorążowie mieli niepewne
miny.

— Zejdźcie natychmiast na dół! —
zawołał. — Nie musicie udawać
bohaterów. Chyba nie chcecie, żeby
posiekały was łańcuchy wystrzelone z
dział naszych okrętów! — Kawałki
łańcucha przelatywały właśnie z
przeraźliwym wyciem. Aubrey
zaprowadził chłopców głęboko pod
pokład, sam udał się na rufową
galeryjkę mesy oficerskiej (pełniącą
normalnie funkcję ubikacji dla
oficerów). Nie było to
najbezpieczniejsze miejsce na świecie,
lecz na okręcie wojennym podczas
walki nie ma między pokładami zbyt
wiele miejsca dla widzów, a Jack
bardzo chciał obserwować przebieg
bitwy.

„Hannibal” zakotwiczył nieco bardziej z

przodu względem „Caesara”,
przepłynąwszy wzdłuż szeregu
obróconych dziobami na północ
francuskich okrętów. Ostrzeliwał
„Formidable” i baterię brzegową
Santiago. „Formidable” niemal przerwał
ogień — na szczęście, gdyż z jakiegoś
powodu angielski liniowiec „Pompee”
obrócił się z prądem (prawdopodobnie
kula zerwała szpring) i był teraz
ustawiony dziobem w stronę burtowych
dział Francuza. Mógł jedynie
ostrzeliwać baterie brzegowe i
kanonierki, używając armat na swej
prawej burcie. „Spencer” nadal
znajdował się daleko, na środku zatoki.
Atak prowadziło aż pięć brytyjskich
okrętów i przewaga była po ich stronie,
pomimo wysiłków
hiszpańskiej artylerii. Wiatr rozpędził na
moment chmurę dymu i Jack ujrzał, jak
„Hannibal” odcina kotwicę i stawia
żagle, płynąc w stronę Gibraltaru.
Angielski liniowiec rozpędził się, zrobił

zwrot i podszedł blisko brzegu, chcąc odciąć „Formidable” od lądu i posłać w kierunku okrętu admirała Linoisa druzgoczącą salwę. „Tak samo jak na Nilu” — pomyślał Jack. W tej chwili „Hannibal” wszedł

na mieliznę, bardzo mocno opierając się o dno, i stanął naprzeciwko ciężkich dział baterii Torre del Almirante. Dym znowu przesłonił wszystko. Gdy chmura rozplynęła się na krótko, po zatoce uganiały się tam i z powrotem łodzie z angielskich okrętów, wywieziono już kotwicę unieruchomionej jednostki.

„Hannibal” wciąż wściekle ostrzeliwał trzy baterie brzegowe i kanonierki. W tym samym czasie jego działa pościgowe oraz armaty w dziobowej części lewej burty atakowały „Formidable”.

Jack tak mocno zacisnął dłonie, iż z dużym wysiłkiem zdołał rozprostować splecione palce. Sytuacja nie była tragiczna, nie była nawet zła. Wiejący z

zachodu wiatr zamarł i zerwała się
bryza z północnego wschodu,
rozdmuchując na boki gęste kłęby
prochowego dymu. Flagowiec „Caesar”
odciął kotwicę, opłynął dookoła okręty
„Venerable” i „Audacious”, by po
chwili zaatakować huraganowym
ogniem francuski liniowiec
„Indomptable”, stojący za rufą „Desaix”.
Działa zagrzmiały niesamowicie głośno.
Jack nie mógł dokładnie odczytać, jaki
sygnał podniesiono na admirałskim
okręcie. Był jednak pewien, iż Sir James
rozkazywał: „Odciąć kotwicę i wykonać
zwrot z wiatrem”
oraz „Związać nieprzyjaciela walką z
bliższej odległości”. Również na
francuskim flagowcu podniesiono
sygnały: „Odciąć kotwicę i płynąć na
brzeg”. Teraz bowiem, gdy wiatr
pozwolił
Anglikom wpłynąć do zatoki, lepiej było
narazić na uszkodzenie okręty osadzone
na mieliźnie niż ponieść totalną klęskę.

Ów sygnał znacznie łatwiej też było

wykonać: bryza sprzyjała Francuzom po

tym, jak angielskie okręty

zneruchomiały pozbawione wiatru.

Mieli już przygotowane cumy do

holowania, z brzegu wypłynęło im na

pomoc kilkanaście łodzi.

Jack usłyszał nad głową rozkazy, potem

tupot nóg. Wypełniona dymem zatoka

powoli zaczęła

przesuwać się za burtą. „Desaix”

obrócił się i ruszył w stronę lądu. Jack

stracił równowagę i o mało nie upadł,

gdy dno okrętu gwałtownie oparło się o

skałę naprzeciwko miasta. Pozbawiony

fokmasztu

„Indomptable”, wpłynął na brzeg Green

Island lub raczej stał na mieliźnie

bardzo blisko tej wyspy. Ze swego

miejsca Aubrey nie widział francuskiego

flagowca, z pewnością okręt admirała

Linoisa również osiadł na dnie gdzieś

przy brzegu.

W tym momencie szczęście

nieoczekiwanie odwróciło się od Anglików. Nie zdołali wpłynąć głębiej do zatoki i nie mogli zasypać gradem kul unieruchomionych francuskich okrętów. Nie było nadziei na to, iż uda im się spalić, zniszczyć lub zdobyć i odholować nieprzyjacielskie jednostki.

Wiatr ucichł nagle, powodując, iż liniowce „Caesar”, „Audacious” i „Venerable” znieruchomiały; wszystkie ocalałe łodzie brytyjskiej eskadry zajęte były holowaniem zniszczonego „Pompee” w stronę Gibraltaru.

Hiszpańskie baterie strzelały od pewnego czasu na chybił trafił, lecz francuskie okręty wysyłały na ląd setki doskonale wyszkolonych artylerzystów.

Po kilku minutach ogień armat brzegowych nasilił się znacznie i był bardziej skuteczny. Ucierpiał mocno nawet stojący daleko „Spencer”, który nie wszedł do zatoki. „Venerable” stracił stengę

stermasztu, na śródokręciu „Caesara”

prawdopodobnie wybuchł

pożar. Jack nie mógł na to patrzeć.

Wrócił na pokład rufówki „Desaix”.

Uczył to w samą porę, by ujrzeć, jak

od strony lądu zrywa się bryza i

angielska eskadra, postawiwszy żagle,

odpływa prawym halsem w stronę

Gibraltaru, zostawiając własnemu

losowi pozbawionego masztów,

bezzadnego

„Hannibala”. Angielski okręt stał wciąż

na mieliźnie w zasięgu dział baterii

brzegowej Torre del Almirante i strzelał

jeszcze, lecz to nie mogło już potrwać

długo. Wkrótce przewrócił się jego

ostatni maszt i na zniszczonym liniowcu

opuszczono banderę.

— To był niezwykle pracowity poranek,

kapitanie Aubrey

— zawołał Palliere na widok swego

gościa.

— To prawda, sir — zgodził się Jack.

— Mam nadzieję, że nie zginęło zbyt

wielu naszych

przyjaciół... — Pokład „Desaix”

miejscami wyglądał przerażająco, do szpigatu pod zrujnowaną zejściówką na rufie płynęła wzdłuż burty struga krwi.

Wypełnione kiedyś hamakami siatki wisiały w strzępach, za grotmasztem leżały cztery przewrócone działa, siatki dookoła pokładu rufówki uginały się pod ciężarem zerwanych drzewiec i lin.

Oparty o skałę kadłub okrętu był wyraźnie pochylony, przy najmniejszej nawet fali roztrzaskałby się na kawałki.

— Mamy dużo ofiar — powiedział

Palliere ze smutkiem.

— „Formidable” i „Indomptable”

ucierpiały jeszcze bardziej niż my.

Zginęli również ich kapitanowie.

A to co? Co się dzieje na tym zdobytym okręcie?

Na „Hannibalu” ponownie podniesiono banderę — jego własną, ale odwróconą do góry nogami.

— Wydaje mi się, że nasi, idąc tam,

zapomnieli o francuskiej fladze —

domyślił się dowódca

„Desaix”. Spojrzał na brytyjski okręt,

odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy.

Załoga przystąpiła bowiem do próby

ściągnięcia liniowca z mielizny. Po

dłuższej chwili Palliere znów stanął

przy potrzaskanym relingu. Ze

zdziwieniem patrzył na małą flotyllę

łodzi z Gibraltaru i ze słupa „Calpe”:

płynęły szybko, wyraźnie w stronę

„Hannibala”. — Co pan o tym myśli? O

co im chodzi? Chyba nie zamierzają

walczyć o odzyskanie tego okrętu? —

zapytał Jacka.

Aubrey doskonale wiedział, co się stało.

W Royal Navy odwrócona do góry

nogami bandera

oznaczała wzywanie pomocy w

niebezpieczeństwie. Na „Calpe” oraz w

Gibraltarze pomyślano zapewne, że

„Hannibal” dawał w ten sposób znać, iż

odzyskał pływalność, i błagał, by go

odholowano. W jego kierunku ruszyły

wszystkie łodzie, jakie udało się

znaleźć, obsadzone

wszystkimi będącymi pod ręką ludźmi:

marynarzami bez przydziału, a przede

wszystkim

wykwalifikowanymi rzemieślnikami i

szkutnikami ze stoczni.

— Tak... — odpowiedział ze

szczerością w głosie. —

Prawdopodobnie o to właśnie im

chodzi. Na pewno chcą go odbić. Myślę

jednak, że zawrócą, jeśli wystrzeli pan z

działa przed dziób najbliższej z łodzi.

Pewnie wydaje im się, że wszystko się

skończyło.

— Możliwe. Chyba ma pan rację —

przyznał francuski kapitan. Lufa

osiemnastofuntowego działa obróciła się

w stronę nadpływających łódek. —

Chociaż... — Palliere położył dłoń na

panewce armaty. — Może lepiej będzie

nie strzelać? — Odwołał rozkaz i łodzie

jedna po drugiej podpływały do

„Hannibala”, czekający na

unieruchomionym okręcie Francuzi po

cichu sprowadzali ich załogi pod

pokład. — Nie ma się czym

przejmować... — Dowódca „Desaix”

poklepał Jacka po plecach. —

Admirał daje nam sygnały. Może

popłynie pan razem ze mną na brzeg?

Spróbujemy znaleźć porządne kwatery

dla pana i pańskich ludzi. Zostaniecie w

mieście do czasu, gdy uda nam się zejść

z mielizny i zakończyć naprawy.

Oficerowie „Sophie” zostali ulokowani

w Algeciras, w położonym wysoko za

miastem domu z olbrzymim tarasem.

Roztaczał się stąd piękny widok na

zatokę, z Gibraltarem po lewej i Cabrita

Point po prawej stronie. W oddali, na

wprost, widać było szare brzegi Afryki.

Pierwszą osobą, jaką Jack tam spotkał,

był kapitan Ferris, dowódca

„Hannibala”. Stał zgarbiony przy

balustradzie, z założonymi na plecach

rękoma, i patrzył na swój pozbawiony

masztów okręt. Jack służył razem z

Ferrisem na dwóch okrętach, a nie dalej

jak w zeszłym roku jedli razem obiad.

Starszy kapitan zmienił się tak bardzo, iż

w pierwszej chwili trudno było go

poznać. Postarzał się mocno, dziwnie

się skulił, przygaśł. Gdy rozmawiali,

analizując przebieg bitwy, manewry,

niepowodzenia i nieporozumienia,

mówił zaskakująco powoli, z wyraźnym

wahaniem, zupełnie tak jakby to, co się

stało, nie wydarzyło się naprawdę.

Można było pomyśleć, iż nie brał w tym

udziału.

— Więc był pan na „Desaix”, Aubrey?

— zagadnął po chwili milczenia. — Czy

mocno im się dostało?

— Z tego, co widziałem, na pewno nie

zostali unieruchomieni na stałe. Nie było

wielu dziur poniżej linii wodnej,

kolumny masztów nie zostały mocno

uszkodzone. Jeśli wytrzymało dno i uda

im się odpompować zęzy, wkrótce

doprowadzą okręt do porządku. To

wyjątkowo dobra załoga, zarówno

marynarze, jak i oficerowie.

— Jakie pańskim zdaniem ponieśli
straty?

— Zginęło wielu ludzi, to fakt. Jest ze
mną mój lekarz, który z pewnością wie
na ten temat więcej niż ja. Pozwoli pan,
że przedstawię: doktor Maturin. Kapitan
Ferris. Na Boga! Stephen! — zawołał
Aubrey, cofając się o krok. Był dość
przyzwyczajony do makabrycznych
widoków, lecz jego przyjaciel wyglądał
tak, jakby przed chwilą wyszedł z
pracującej pełną parą rzeźni: rękawy i
przód płaszcza doktora aż do samej szyi
przemoczone były krzepnącą krwią,
podobnie było ze spodniami i
pończochami, koszula zmieniła kolor z
białego na czerwonobrunatny.

— Przepraszam.. — usprawiedliwiał
się Maturin. — Wiem, że powinienem
się przebrać, lecz kuferek z moimi
rzeczami został rozbity, zupełnie
zniszczony, przepadł...

— Dam panu koszulę i kilka par spodni

— zaproponował kapitan Ferris. —

Jesteśmy chyba podobnej postury.

Stephen uklonił się z wdzięcznością.

— Pomagał pan francuskim lekarzom?

— domyślił się Jack.

— Trochę.

— Dużo mieliście roboty? — zapytał

Ferris.

— Około stu zabitych i stu rannych —

odparł Maturin.

— My mieliśmy siedemdziesięciu pięciu

poległych i pięćdziesięciu dwóch

rannych... — Starszy kapitan posmutniał.

— Był pan na „Hannibalu”, sir? —

zaciekawiał się doktor.

— Byłem. Poddałem się, opuściłem

flagę — odpowiedział Ferris niepewnie,

spoglądając na swych rozmówców, w

jego szeroko otwartych oczach pojawiły

się łzy.

— Och! Proszę mi powiedzieć, ilu

pomocników ma pański chirurg? Czy

mają potrzebne instrumenty?

— dopytywał się Stephen. — Jak tylko

posiłkę się odrobinę, zejść na dół do klasztoru, do pańskich rannych. Zabiorę ze sobą dwa lub trzy komplety narzędzi chirurgicznych...

— Dwóch pomocników, sir — rzekł

Ferris. — Jeśli chodzi o instrumenty, nie potrafię udzielić panu odpowiedzi. Z góry dziękuję za pomoc. Postępuje pan naprawdę po chrześcijańsku... Zaraz przyniosę koszulę i spodnie. Na pewno wstrętnie się pan czuje w tym

zakrwawionym ubraniu. — Po chwili

Ferris wrócił z zawiniętym w szlafrok

naręczem odzieży i zaproponował, by

doktor pracował właśnie w owym

szlafroku: widział lekarza operującego

w podobnym stroju po Pierwszym

Lipca, kiedy to również zabrakło czystej

bielizny.

Służące przyniosły skromny, złożony z

przypadkowych produktów posiłek i

przyglądały się

angielskim jeńcom z pełnym ciekawości

politowaniem. Przy drzwiach domu stali

wartownicy w czerwono-żółtych

mundurach.

— Doktorze Maturin, czy po powrocie od moich rannych, oczywiście jeśli będzie pan miał choć trochę siły, mógłby pan zaaplikować mi coś na uspokojenie?

— zagadnął ostrożnie dowódca

„Hannibala” przy jedzeniu. — Może mandragorę albo jakiś wyciąg z maku?

Po przeżyciach dzisiejszego poranka potrzebuję czegoś, co pomogłoby mi odzyskać równowagę psychiczną. Na domiar złego, za kilka dni zostanie pewnie przeprowadzona wymiana jeńców, a to oznacza, iż już wkrótce stanę przed sądem wojennym.

— Och, jeśli o to chodzi — zawołał Jack, podnosząc głowę — może pan spać spokojnie. Trudno wyobrazić sobie bardziej oczywisty przykład...

— Niech pan nie będzie tego taki pewny, młody człowieku — przerwał mu Ferris. — Sąd wojenny to zawsze bardzo niebezpieczna rzecz. Niezależnie

od tego, czy miało się rację czy też nie.

Proszę pomyśleć o sprawie tego biedaka

Vincenta, z okrętu „Weymouth”. Pamięta

też pan, że Byng został

rozstrzelany nie tylko za błąd w ocenie

wydarzeń, lecz także dlatego, iż naraził

się gawiedzi. Łatwo wyobrazić sobie

nastroje panujące teraz w Gibraltarze i

w kraju po tym, jak sześć naszych

liniowców nie poradziło sobie z trzema

francuskimi okrętami. Bitwa zakończyła

się przecież klęską i utratą jednej

jednostki. Przegraliśmy, a na dodatek

straciliśmy „Hannibala”...

Obawy dręczące kapitana Ferrisa

wydały się Jackowi czymś w rodzaju

kaleczącej duszę rany, wywołanej

wejściem na mieliznę pod ogniem armat

trzech baterii brzegowych, okrętu

liniowego i tuzina ciężkich kanonierek.

Dowódca do ostatniej chwili próbował

jednak bronić swego

pozbawionego masztów i

pozostawionego bez nadziei na pomoc

okrętu. Jak się okazało, Stephen również zastanawiał się nad tą sprawą.

— Dlaczego ten człowiek wspominał o sądzie wojennym? — zapytał, gdy zostali sami. — Czy rzeczywiście grozi mu proces? Może ten biedak niepotrzebnie się zadręcza?

— Och... Na pewno stanie przed sądem. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości — wyjaśnił Jack.

— Przecież on w niczym nie zawinił. Nikt nie może oskarżyć go o tchórzostwo lub brak waleczności.

Pomimo beznadziejnej sytuacji obrońcy „Hannibala” bili się bardziej niż dzielnie.

— Stracił swój okręt. Każdy kapitan, któremu przydarzy się takie nieszczęście, musi stanąć przed sądem wojennym.

— Rozumiem. W tym przypadku rozprawa będzie chyba tylko czystą formalnością, prawda?

— W tym przypadku tak. Jego niepokój jest nieuzasadniony. Dręczą go jakieś podświadome wyrzuty sumienia i tyle...

Następnego dnia, gdy Jack szedł z panem Dalzielem na spotkanie z przetrzymywaną w nie używanym kościele załogą „Sophie”, obawy kapitana Ferrisa wydawały się znacznie bardziej uzasadnione. Coraz mniej było w nich chorej fantazji. Do Algeciras przybyło z białą flagą brytyjskie poselstwo i Aubrey mógł poinformować swych ludzi, iż wraz z załogą „Hannibala” zostaną wymienieni za francuskich jeńców. Już dziś przed obiadem powinni znaleźć się w Gibraltarze. Nareszcie zjedzą coś normalnego: soloną koninę z grochem. Wszystkim na pewno obrzydły przyrządzone na obcą modłę posiłki. Kapitan był uśmiechnięty i machał wesoło kapeluszem, odpowiadając na radosne wiwaty ucieszonych dobrymi nowinami marynarzy. Gdzieś w głębi

umysłu pojawił się jednak cień

chłodnego niepokoju.

Ów mroczny cień gęstniał coraz

bardziej, gdy łódź z „Caesara” wiozła

Jacka na drugą stronę zatoki. W

przedpokoju biura admirała ściskający

serce niepokój był już wyraźny. Aubrey

na przemian to wstawał, to siadał,

chodził tam i z powrotem, co jakiś czas

rozmawiając z innymi oficerami, gdyż

sekretarz Sir Jamesa wzywał najpierw

interesantów przychodzących w

najpilniejszych sprawach.

Zaskakująco wielu ludzi gratulowało

Jackowi zdobycia „Cacafuego” — to

wszystko zdarzyło się już tak dawno, że

teraz wydawało się częścią jakiegoś

innego, nierealnego życia. Pełen

powściągliwości sposób, w jaki

składano owe gratulacje — oczywiście

wystarczająco szczere i uprzejme —

stanowił

dowód panującego w Gibraltarze

nastroju. Wszyscy byli pogrążeni w

depresji, przygnębieni, z przesadnym rygorem wypełniali swe obowiązki.

Beznamiętnie dyskutowano o tym, jak należało postąpić i co można było zrobić.

Gdy dowódca „Sophie” został przyjęty, zauważył, że Sir James zmienił się i postarzał, tak samo jak kapitan Ferris.

Oczy admirała patrzyły nieruchomo spod opuchniętych powiek, jego twarz nawet na moment nie zmieniła wyrazu, gdy Aubrey składał raport. Admirał nie przerywał, nie zadał ani jednego pytania, nie pochwalił, nie zganił i Jack poczuł się bardzo nieswojo. Gdyby nie schowana w dłoni —

jak u odpowiadającego na lekcji ucznia — karteczka z nazwiskami, na pewno zaplątałyby się w bezsensownych wyjaśnieniach, za wszelką cenę usiłując znaleźć coś na swoje usprawiedliwienie.

Admirał był wyraźnie bardzo zmęczony, lecz jego bystry umysł bez trudu

wychwytywał

najistotniejsze fakty — Sir James

zapisywał je szybko na kawałku papieru.

— Jak pan ocenia stan, w jakim znajdują się francuskie okręty, kapitanie Aubrey?

— zapytał.

— „Desaix” odzyskał pływalność, sir, i

jest w tej chwili bliski pełnej

sprawności. Podobnie wygląda sprawa

z „Indomptable”. Nie wiem nic o

„Formidable” i „Hannibalu”, lecz z tego, co słyszałem, żadna z tych jednostek nie

ma uszkodzonego poszycia. W Algeciras

mówi się, że admirał Linois wysłał

wczoraj do Kadyksu trzech oficerów, a

dzisiaj skierował tam kilku kolejnych

posłańców, prosząc Hiszpanów i

Francuzów o pomoc.

Admirał Saumarez potarł dłonią czoło.

Był szczerze przekonany, iż francuskie

okręty nie spłyną już na wodę i taką

informację zawarł w swoim raporcie.

— Dziękuję panu, kapitanie —

powiedział po chwili. — Widzę, że nosi

pan szpadę... — zauważył, gdy Jack

wstał z krzesła.

— Tak, sir. Dowódca francuskiego okrętu pozwolił mi ją zatrzymać.

— To bardzo uprzejmy gest. Moim zdaniem zasłużył pan sobie na taką uprzejmość i sąd wojenny na pewno zadecyduje podobnie. Nie wydaje mi się jednak, by do czasu rozprawy paradowanie ze szpadą u boku było w pańskim przypadku szczególnie eleganckie. Oczywiście załatwimy tę sprawę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Biedny Ferris musi wrócić do kraju, lecz panem możemy zająć się tu na miejscu. Jest pan na razie zwolniony na słowo honoru, jak mi się zdaje?

— Tak, sir. Czekał na wymianę.

— Szkoda. Bardzo byłby mi pan potrzebny. Eskadra jest w opłakanym stanie... No cóż... Żegnam pana. —

Admirał leciutko się uśmiechnął, jego twarz odrobinę pojaśniała. — Oficjalnie powinien pan być aresztowany, proszę o tym pamiętać...

Jack już wcześniej pamiętał o tym — tak mu się przynajmniej zdawało. Nie rozumiał, dlaczego te słowa głęboko i boleśnie go zraniły. Szedł przez zatłoczone, ruchliwe ulice Gibraltaru, nieszczęśliwy i bliski rozpacz. Gdy dotarł do swej kwatery, zdjął szpadę, zapakował ją dosyć niedbale i odesłał z krótkim listem do sekretarza admirała. Po chwili wyszedł na spacer. Czuł się teraz dziwnie nagi, nie chciał, by ktokolwiek go widział.

Oficerowie z „Hannibala” i „Sophie” zostali zwolnieni z niewoli na słowo honoru. Oznaczało to, iż do czasu wymiany na równych im stopniem Francuzów nie mogą podejmować działań na niekorzyść Francji lub Hiszpanii. Byli więc nadal jeńcami, chociaż przebywali w nieco bardziej przyjaznym otoczeniu.

Dni, które nadeszły, naznaczone były smutkiem, przygnębieniem i samotnością. Tak. Jack czuł się bardzo

samotny, choć spacerował niekiedy z kapitanem Ferrisem, a czasem w towarzystwie swych podchorążych lub pana Dalziela i jego psa. Trudno było pogodzić się z faktem, iż są odcięci od portu i eskadry. Przy naprawach i wyposażaniu okrętów zatrudnieni byli teraz wszyscy zdolni do pracy ludzie, a także wielu takich, którzy powinni jeszcze leżeć w szpitalnych łóżkach.

Widziane z góry nabrzeża remontowane jednostki przywodziły na myśl wnętrza ula lub rozgrzebane mrowisko. Jack tęsknym wzrokiem obserwował często port, siedząc na rzadkiej trawie lub na gołej skale między mauretańskim murem i wieżą, wysoko ponad Monkey's Cove — samotny, pogrążony w rozmyślniach, pełen wątpliwości i niepokoju. Przejrzał ostatnie numery urzędowego dziennika, ale nie znalazł nawet słowa na temat zwycięstwa lub klęski „Sophie”. Jedna czy dwie gazety zamieściły pełne nieścisko notatki o

zdobyciu „Cacafuego”, w „Gentleman's Magazine” poświęcono tej sprawie akapit, relacjonując ją tak, jakby chodziło o atak przez zaskoczenie. To wszystko. Awansowano prawie tuzin oficerów, na liście nie było jednak nazwisk Jacka ani Pullingsa. Nietrudno było odgadnąć, iż wieść o utracie „Sophie” dotarła do Londynu mniej więcej w tym samym czasie co wiadomość o zwycięstwie nad „Cacafuego”. Może nawet wcześniej? Informacja o zdobyciu fregaty mogła znajdować się w worku, który Aubrey własnoręcznie zatopił na głębokości pięćdziesięciu sążni koło przylądka Roig. Jeśli tak się stało, tylko lord Keith, znajdujący się w tej chwili daleko wśród Turków, mógł oficjalnie powiadomić o wszystkim dowództwo. Nie było więc najmniejszej nadziei na awans. Najpierw musiała odbyć się rozprawa przed sądem wojennym — nigdy nie

awansowano przecież jeńców. Co będzie, jeśli sąd wyda niekorzystny wyrok? Dowódca „Sophie” nie mógł o sobie powiedzieć, iż ma zupełnie czyste sumienie. Jeśli kapitan Harte do tego dążył, bez trudu wprowadzi w życie swe zamiary; Jack Aubrey dał się podejść jak żółtodziób i udowodnił, że jest skończonym głupcem. Czy taka podłość była w ogóle możliwa? Najlepiej byłoby porozmawiać o tym ze Stephenem, przydałaby się jego tęgą głowa. Po raz pierwszy w życiu Jack zwątpił w bystrość swego umysłu, we wrodzoną inteligencję i zdolność przewidywania zdarzeń. Admirał mu nie pogratulował: czy miało to oznaczać, iż oficjalne stanowisko w tej sprawie...? Stephen nie mógł służyć przyjacielowi radą, całe dnie spędzał w miejscowym szpitalu. Żadne honorowe zobowiązania wobec Francuzów nie mogły mu w tym przeszkodzić: eskadra miała ponad dwustu rannych.

— Niech pan dużo spaceruje — polecił Jackowi. — Proszę jak najwięcej chodzić pod górę. Powinien pan codziennie kilka razy wspiąć się na szczyt skały. Oczywiście z pustym żołądkiem. Wygląda pan fatalnie. Obróśł pan tłuszczem. Tak na oko waży pan dwieście dwadzieścia, może nawet dwieście czterdzieści funtów!

„To prawda... Na dodatek pocę się straszliwie” — pomyślał Aubrey. Usiadł w cieniu skały, poluzował pas i wytarł czoło chusteczką. Próbując oderwać się od natrętnych myśli, zanucił balladę o bitwie na Nilu. Słowa opowiadały o zwycięskim „Leanderze”, który w piosence miał pięćdziesiąt cztery działa, podczas gdy w rzeczywistości było ich pięćdziesiąt dwa. Jack kierował ogniem ośmiu z nich. Ta niezgodność była irytująca, zaśpiewał więc coś innego.

Skacząca w pobliżu małpa rzuciła w niego bez powodu grudką

ekskrementów. Gdy podniósł się z
ziemi, protestując, pogroziła mu
pomarszczoną pięścią i wybełkotała coś
wściekle w małym języku.

Jack usiadł z powrotem — był bardzo
zrezygnowany.

— Sir, sir! — wołał Babbington.

Czerwony z wysiłku wspinał się szybko
po zboczu. — Proszę spojrzeć na bryg!

Sir! Niech pan popatrzy na morze!

Bryg nazywał się „Pasley”. Rozpoznali

go od razu. Wynajęty bryg „Pasley”,

bardzo szybki. Pomimo silnego,

północno-zachodniego wiatru płynął pod

wszystkimi żaglami, ryzykując

uszkodzenie takielunku.

— Proszę popatrzeć, sir. — Babbington

usiadł obok na trawie, w sposób daleki

od reguł dyscypliny, i podał Jackowi

małą mosiężną lunetę. Szklą

powiększały słabo, lecz sygnał

powiewający na maszcie brygu był

wystarczająco wyraźny: „Nieprzyjaciół

w zasięgu wzroku”. — Są tam! —

krzyknął

podchorąży, wskazując lśniące w oddali
bielą żagle. Nad ciemnym zarysem lądu
u wejścia do cieśniny pojawiły się
marsle kilku okrętów.

— Chodźmy! — zawołał Jack, ruszył w
górze, sapiąc i stękając z wysiłku.

Pobiegli w stronę wieży, najwyższego
punktu na gibraltarskiej skale. Na
szczybie budowli pracowała grupka
murarzy, był tam też oficer garnizonowej
artylerii z kilkoma żołnierzami.

Artylerzysta miał znakomity, duży
teleskop i uprzejmie użyczył go Jackowi.

Aubrey oparł lunetę na ramieniu

Babbingtona, starannie ustawił
ostrość i popatrzył w dal. — Pierwszy
okręt to „Superb” — powiedział. —

Drugi także jest nasz:

„Thames”. Dalej widzę trzy hiszpańskie
trójpokładowce. Jeden z nich to „Real
Carlos”, jestem prawie pewny. Tak czy
inaczej, to okręt wiceadmirała.

Pozostałe dwa mają po siedemdziesiąt

cztery działa.

Nie... Jeden ma siedemdziesiąt cztery, a drugi chyba osiemdziesiąt dział.

— „Argonauta” — odezwał się jeden z murarzy.

— Jest jeszcze jeden trójpokładowiec. I trzy fregaty. Dwie z nich francuskie.

Siedzieli w milczeniu, obserwując przesuające się bezgłośnie żaglowce.

Brytyjskie jednostki —

„Superb” i „Thames” — płynęły o milę przed połączoną francusko-hiszpańską

flotyllą. Jej okręty wchodziły właśnie do

cieśniny. Wspaniałe hiszpańskie

liniowce pierwszej klasy sunęły

majestatycznie, ich olbrzymie żagle

lśniły w promieniach słońca. Murarze

poszli na obiad, wiatr zmienił kierunek i

wiał teraz z zachodu. Cień wieży

przesunął się aż o czterdzieści pięć

stopni.

Po okrążeniu Cabrera Point „Superb” i

„Thames” pożeglowały do Gibraltaru, a

Hiszpanie wyostrzyli i skierowali się w

stronę Algeciras. Jack miał rację.

Flagową jednostką rzeczywiście był „Real Carlos”, uzbrojony w sto dwanaście dział, jeden z najpotężniejszych pływających po morzach okrętów. Drugi z trójpokładowców dysponował taką samą siłą ognia, trzeci miał dziewięćdziesiąt sześć armat. Eskadra była imponująca: czterysta siedemdziesiąt cztery ciężkie działa, nie licząc ponad stu luf na fregatach. Wszystkie okręty miały zadziwiająco sprawne załogi. Cała flotylla zakotwiczyła we wzorowym porządku, tak jakby jej jednostki miały być za chwilę wizytowane przez samego króla.

— Dzień dobry, sir — powiedział Mowett. — Pomyślałem, że znajdę pana tutaj i przyniosłem kawałek ciasta.

— Serdeczne dzięki — ucieszył się Jack. — Jestem potwornie głodny. — Ukroił spory kawałek i zjadł go ze smakiem. „Jak bardzo zmieniła się

Royal Navy..." — pomyślał, znów sięgając po ciasto. Gdy sam był podchorążym, nigdy nie odważyłby się odezwać do kapitana nie pytany ani tym bardziej przynieść mu placek. Nigdy nie przyszłoby mu to do głowy, bo bałby się o swoje życie.

— Pozwoli pan, że usiądę obok? —

Mowett zadał to pytanie siadając. —

Zdaje mi się, że przyplłynęli tutaj po

Francuzów. Czy pańskim zdaniem

powinniśmy zaatakować?

— „Pompee" przez najbliższe trzy

tygodnie nie będzie mogła wyjść w

morze — odpowiedział Jack z

powątpiewaniem. — „Caesar" bardzo

mocno oberwał i trzeba mu wymienić

maszty. Nawet gdyby udało się go

przygotować na czas, wystawimy tylko

pięć liniowców i trzysta siedemdziesiąt

sześć dział. Połączone nieprzyjacielskie

eskadry to dziesięć okrętów liniowych...

dziewięć, jeśli nie liczyć

„Hannibala" ... co daje ponad siedemset

armat. Ponadto brakuje nam ludzi.

— Pan na pewno zdecydowałby się na atak, prawda? — zapytał Babbington i obaj młodzi ludzie uśmiechnęli się serdecznie.

Jack z wahaniem pokiwał głową, a

Mowett zadeklamował:

— „Jak przez harpunników łodzie otoczony, śpiący wieloryb wśród bezmiarów morza...” Naprawdę wielkie są te hiszpańskie okręty. Załoga „Caesara” poprosiła, by pozwolono im pracować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kapitan Brenton zgodził się na pracę przez cały dzień, a w nocy wachty będą pracowały na zmianę. Na kei przygotowano już stosy jałowcowego drewna. W nocy zostaną zapalone duże ogniska, które oświetlą pokład i nabrzeże.

Przy blasku ognisk Aubrey spotkał

kapitana Keatsa. Dowódca okrętu

„Superb” szedł w towarzystwie dwóch

swoich poruczników i cywila. Po

powitaniach, gdy wszyscy zostali sobie
przedstawieni i minęło pierwsze
zaskoczenie, zaproponował kolację na
pokładzie swojego okrętu: nic
specjalnego, skromny posiłek.

Smakołykiem miała być tylko
prawdziwa kapusta z Hampshire,
przywieziona przez okręt „Astraea”
prosto z ogrodu kapitana.

— To bardzo miło z pańskiej strony, sir,
dziękuję za zaproszenie, lecz obawiam
się, że nie będę mógł

z niego skorzystać — powiedział Jack
ze smutkiem. — Zły los sprawił, że
utraciłem „Sophie”, i w najbliższym
czasie, wraz z innymi starszymi
kapitanami, weźmie pan udział w
poświęconym mojej sprawie
posiedzeniu sądu wojennego.

— Doprawdy? — rzekł Keats
zmieszany.

— Kapitan Aubrey ma rację... —
pouczającym tonem wyjaśnił cywil. W
tej samej chwili zdyszany posłaniec

wezwał kapitana Keatsa pilnie do
admirala.

— Kim jest ten podejrzany typ w
czarnym płaszczu? — zapytał Jack, gdy
inny jego przyjaciel, Heneage Dundas z
brygu „Calpe”, pojawił się na
prowadzących do portu schodach.

— Coke? To nowy sędzia adwokat —
odparł Dundas i spojrzał na Jacka
nieufnie, jakby ze
współczuciem. A może tak się tylko
zdawało? W migotliwym świetle
płomieni w każdym spojrzeniu można
było dopatrzeć się czegoś takiego. Ni
stąd, ni zowąd w głowie dowódcy
„Sophie” zakołatały słowa dziesiątego
paragrafu *Articles of War*. „Jeśli
ktokolwiek zdradziecko lub tchórzliwie
podda się bądź poszuka schronienia i
zostanie to potwierdzone wyrokiem sądu
wojennego, podlegać będzie karze
śmierci...”

— Chodź ze mną do „Blue Posts”,
Heneage — zaproponował Jack,

dotykając dłonią czoła. —

Wypijemy butelkę porto.

— Jack... — uśmiechnął się Dundas

przepraszająco. — Bardzo chciałbym ci

towarzyszyć. Naprawdę.

Obiecałem jednak pomóc Brentonowi.

Właśnie do niego idę. Czekają też na

mnie inni członkowie mojej załogi... —

Heneage uśmiechnął się raz jeszcze i

poszedł w stronę oświetlonego

ogniskami nabrzeża, a Jack zawrócił do

miasta. Szedł mrocznymi, stromymi

uliczkami, pełnymi dziwnych

zapachów. Ze spuszczoną głową mijał

domy publiczne i cuchnące portowe

knajpy.

Wczesnie rano wspiał się na skałę i

zajął miejsce przy murze Karola V.

Oparł lunetę na kamieniu i obserwował

port. Czuł się tak, jakby został

przyłapany na podglądaniu lub

podśluchiwaniu. Na dole ciągle coś się

działo: „Caesar” (nie będący już

okrętem flagowym) został przeholowany

pod pływający żuraw i miał otrzymać nową kolumnę grotmasztu — więcej niż sto stóp długą, w najwęższym miejscu mierzącą ponad jard. Wszystko poszło sprawnie i przed południem osadzono platformę marsa.

Wkrótce trudno było dostrzec ów nowy maszt — nie było też widać ani skrawka pokładu — tylu ludzi pracowało przy takielunku.

Aubrey przyszedł na to miejsce także w następnym dniu, pełen melancholii, świadomy gorączkowej krzątaniny na dole i dręczony poczuciem winy z powodu przymusowej bezczynności.

Widział, jak do cieśniny wpływa liniowiec „San Antonio”, uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa — francuski okręt przybył spóźniony z Kadyksu i zakotwiczył w Algeciras, pomiędzy pozostałymi jednostkami połączonych eskadr.

Minęła doba i po drugiej stronie zatoki można było zauważyć wyraźne

ożywienie. Pomiędzy

dwunastoma okrętami nieprzyjacielskiej
flotylli w pośpiechu przemykały łodzie,
wymieniano żagle, ładowano zapasy. Na
masztach flagowców co chwila
pojawiały się kolorowe sygnały.

Podobna, może nawet bardziej
wzmóżona aktywność trwała też w
Gibraltarze. Nie było nadziei na to, by w
najbliższym czasie udało się
wyremontować „Pompee”. Prawie
gotowy do wyjścia w morze był już
„Audacious”, w najwyższej gotowości
znajdowały się „Venerable”, „Spencer”
i oczywiście „Superb”.

Na pokładzie „Caesara” rozpoczął się
ostatni etap prac. Istniało znaczne
prawdopodobieństwo, iż zostaną one
ukończone w ciągu najbliższych
dwudziestu czterech godzin.

W nocy powiały ze wschodu pierwsze
podmuchy lewantera — na taki właśnie
wiatr czekali

Hiszpanie. Bez trudu powinni teraz —

po opłynięciu ostrym kursem Cabrita Point — wyjść z cieśniny i dotrzeć do Kadyksu. Około południa na pierwszym z ich trójpokładowców ukazał się fokmarsel, olbrzymi okręt majestatycznie ruszył z miejsca, w ślad za nim zaczęły opuszczać redę następne żaglowce. W dziesięciominutowych odstępach kolejno podnosiły kotwice i kierowały się na miejsce zbiórki. „Caesar” wciąż stał zacumowany przy nabrzeżu, pobierając proch i kule. Oficerowie, marynarze, żołnierze garnizonu i cywile uwijali się jak w ukropie, pracując w milczeniu, z pełną poświęcenia gorliwością.

Wkrótce w drogę wyruszyły wszystkie jednostki połączonej nieprzyjacielskiej flotylli. Towarzyszył im nawet niedawno zdobyty i prowizorycznie otaklowany „Hannibal”.

Holowany przez francuską fregatę „Indienne”, włókł się w stronę Cabrita Point. Na pokładzie „Caesara” zagrała

piskliwie fujarka i odezwały się
skrzypce. Załoga obsadziła kabestan i
rozpoczęła odciąganie okrętu od
nabrzeża.

Brytyjski liniowiec był gotowy do
walki, dumny i groźny. Stojący na
nabrzeżu ludzie krzyknęli radośnie,
wiwatowali również artylerzyści z
baterii brzegowych oraz tłumnie
zgrupowani na murach i zboczu góry
widzowie. Gdy ucichły okrzyki,
garnizonowa orkiestra zagrała ze
wszystkich sił *Come cheer up my lads,
'tis to glory we steer**. Żołnierze
piechoty morskiej z pokładu „Caesara”
odpowiedzieli, śpiewając *Britons strike
home*. W tej kakofonii wciąż słychać
było wzruszające trele fujarki.

* *Come cheer up my lads, 'tis to glory
we steer* (ang.) — radujcie się moi
chłopcy, płyniemy ku chwale.

Za rufą „Audacious”, na maszcie
„Caesara”, znów pojawiła się
admiralska flaga Sir Jamesa. Tuż po niej

podniesiono sygnał: „Wybierać kotwice
i przygotować się do bitwy”, pozostałe
okręty wykonały ów rozkaz z
niewiarygodną wręcz sprawnością. Jack
nigdy w życiu nie widział czegoś
podobnego: wszystkie czekały
przygotowane, z kotwicami w pionie i w
zaskakująco krótkim czasie ruszyły z
miejsca. Na masztach i rejach nieomal w
jednej chwili pokazały się białe
piramidy żagli. Cała eskadra
— pięć liniowców, dwie fregaty, słup i
bryg — błyskawicznie wyszła z
osłoniętego przez gigantyczną skałę
portu. Płynące lewym halsem jednostki
sprawnie ustawiały się w szyku
bojowym.

Jack z trudem utorował sobie drogę
przez zgromadzony na główce
falachronu tłum i poszedł w stronę
szpitala. Zamierzał odszukać Stephena,
by wraz z nim wspiąć się na górę.
Spotkał go już w połowie drogi —
doktor w pośpiechu biegł przez

wyludnione ulice.

— Czy „Caesar” odpłynął już od
nabrzeża? — zawołał z daleka. — Czy
bitwa już się rozpoczęła? —
pytał. Wysłuchawszy relacji Jacka,
powiedział: — Tak żałuję, że nie
mogłem tego widzieć. Wszystko przez
tego przekłętą durnia z Oddziału B i
jego idiotyczne pomysły. Kto to widział:
podrzynać komuś gardło w taki dzień!

— Nie musimy się spieszyć. Minie
wiele godzin, zanim wystrzeli pierwsze
działo — wyjaśnił Jack. —

Ma pan rzeczywiście czego żałować.

Było na co patrzeć, gdy „Caesar”
wychodził w morze. Rzadko można
oglądać coś tak wspaniałego. Może
wybierze się pan ze mną na wzgórze?
Będzie stamtąd doskonale widać obie
flotylle. Wpadnę na moment do siebie i
wezmę lunety. No i płaszcz. Noce są
teraz zimne. Idzie pan?

— Bardzo chętnie — zgodził się

Stephen. — Muszę tylko zostawić

wiadomość. Zabierzemy też

trochę szynki. W ten sposób uda się
może uniknąć tych pańskich krzywych
spojrzeń i wymuszonych odpowiedzi...

— Są tam! — zawołał Jack. Po raz
kolejny przystanął, by złapać oddech. —
Nadal płyną lewym halsem.

— Widzę ich bardzo dobrze — rzekł
Stephen obojętnie.

Wyprzedził swego towarzysza już o sto
stóp i wspinał się szybko. — Dlaczego
pan ciągle się zatrzymuje? Szkoda czasu!

— O Boże... — westchnął Jack,
siadając ciężko na swym stałym miejscu
pod skalnym filarem. — Jak pan pędzi...

Tak. Dobrze ich stąd widać.

— Cudowny widok, to prawda, ale
dlaczego płyną w kierunku Afryki?

Dlaczego postawili tylko główne żagle i
marsle przy tak słabym wietrze?

Grotmarsel jednego z tych okrętów
pracuje przecież wstecz. Co to ma
znaczyć?

— Ten okręt to „Superb”, czyli

wspaniały, świetny. Znakomicie żegluje

i nie chce wyprzedzić admirała. To

najszybsza jednostka we flocie, stąd ta

nazwa. Nie słyszał pan o tym?

— Słyszałem.

— Ktoś mądrze to wymyślił,

dowcipnie...

— Czy nasza eskadra nie powinna

postawić wszystkich żagli i ruszyć z

wiatrem?

— Och, na razie nie może być mowy o

ataku. Prawdopodobnie nie dojdzie do

walki przed

zmerchem. Atak na ich sztyk byłby

czystym szaleństwem. Admirał czeka, aż

nieprzyjacielskie okręty wyjdą z zatoki i

wejdą w cieśninę. Będą miały wówczas

ograniczoną możliwość manewru, co da

naszym pewną przewagę. Wtedy

powinni uderzyć. Wydaje mi się, że

spróbują odciąć ostatnie

jednostki. Oczywiście pod warunkiem,

że ten wiatr się utrzyma, nic nie

wskazuje na to, by miało być inaczej.

Moim zdaniem lewanter powieje przez
dobre trzy dni. Widzi pan? „Hannibal”
nie zdoła opłynąć przylądka. Nie może
żeglować tak ostrym kursem. Idzie
prosto na brzeg. Francuska fregata słabo
sobie radzi. Teraz usiłuje odciągnąć
dziób. Udało się. Odpadają. Postaw
kliwer, człowieku... O, tak. Zawrócili.
Jack przestał mówić i przez długą
chwilę obaj siedzieli w milczeniu.
Dookoła słychać było rozmowy innych
zgrupowanych na zboczu ludzi. W
małych grupkach dyskutowano o
wzmagającym się
wietrze, o najlepszej strategii i o
wariantach rozwoju wydarzeń.
Analizowano stosunek sił, wagę wy-
rzuconego przez działa poszczególnych
okrętów metalu, artyleryjskie
umiejętności Francuzów i prądy morskie
koło przylądka Trafalgar. Odpowiednio
operując żaglami, okręty połączonych
nieprzyjacielskich eskadr uformowały
swoją szereg bojowy. Tworzyło go

dwanaście jednostek: dziewięć okrętów liniowych i trzy fregaty. Dwa olbrzymie hiszpańskie trójpokładowce zajęły miejsce z tyłu i cała flotylla skierowała się na zachód, z pomyślnym, przybierającym na sile wiatrem.

Odrobinę wcześniej, na sygnał, jednostki brytyjskiej eskadry wykonały zwrot przez rufę i płynęły teraz prawym halsem, ze zredukowanymi żaglami. Jack popatrzył przez lunetę na admiralski flagowiec.

— Nareszcie — mruknął, gdy na maszcie pojawiły się kolorowe flagi.

Niemal natychmiast powierzchnia żagli na wszystkich masztach podwoiła się prawie i po kilku minutach zespół brytyjskich okrętów ścigał Hiszpanów. Poruszające się szybko żaglowce malały z minuty na minutę.

— O Boże, tak chciałbym być teraz z nimi — westchnął Jack rozżalony. — Niech pan patrzy!

„Superb” wysuwa się na czoło.

Widocznie admirał wysłał ich do

przodu. — Na masztach

najszybszego liniowca w jednej chwili

ukazały się boczne bramsle. — Pomknął

jak strzała! — z podziwem zawołał

Aubrey. Opuścił lunetę i zaczął

przecierać szkła. Niepotrzebnie.

Niczemu nie były też winne kręcące się

w oczach łzy. Po prostu dzień ustępował

miejsca nocy.

Daleko w dole zapadł już zmrok.

Ciemność spowiła miasto, w oknach i na

ulicach zapalały się latarnie. Na

zbożach gibraltarskiej skały widać było

migotliwe ogniki — ludzie wspinali się

wysoko, szukając miejsc, z których

mogliby zobaczyć bitwę. Daleko za

wodą zaśniły rozciągnięte łagodnym

łukiem światła Algeciras.

— Może spróbujemy tej szynki? Co pan

na to? — zaproponował Jack ostrożnie.

Stephen pochwalił ów pomysł. Spadła

rosa, ochłodziło się, więc należało coś

przekąsić. Jedli przez chwilę w
ciemnościach, z rozłożonymi na
kolanach chusteczkami. Doktor odezwał
się
niespodziewanie:

— Powiedziano mi, że stanę wkrótce
przed sądem w związku z utratą
„Sophie”.

Jack nie myślał dzisiaj o sądzie
wojennym. Zapomniał o wszystkim, gdy
okazało się, iż
nieprzyjacielskie okręty wychodzą w
morze. Niepokój powrócił jak nagle,
niespodziewane, okrutne uderzenie,
ściskając gardło. Aubrey zdusił w sobie
to uczucie.

— Kto panu o tym powiedział? Pewnie
lekarze ze szpitala? — zapytał.

- Tak

— Teoretycznie mają rację. Oficjalnie
będzie to proces kapitana, oficerów i
załogi. Formalnie w trakcie rozprawy
oficerom zadaje się pytanie, czy
obwiniają o coś dowódcę okrętu, a

kapitana pyta się, czy ma coś do
zarzucenia swoim oficerom. W istocie
będzie chodziło wyłącznie o mnie i o
moje postępowanie. Nie musi pan
niczego się obawiać. Zapewniam pana,
daję panu słowo honoru, że nic panu nie
grozi.

— Gdyby mnie o coś oskarżono,
przyznałbym się do winy — rzekł
Stephen. — Dodałbym też, iż podczas
bitwy siedziałem w prochowni z
otwartym ogniem, marząc o śmierci
króla. Opowiedziałbym, jak
marnowałem lekarstwa, paliłem na
okręcie tytoń i sprzedawałem prowiant
na czarnym rynku.

Przecież to absurd. — Doktor roześmiał
się głośno. — Dziwi mnie, że tak
rozsądny człowiek jak pan traktuje
poważnie coś podobnego.

— Zupełnie mnie to nie obchodzi —
zaperzył się Aubrey. „Nieładnie tak
kłamać” — pomyślał

Stephen. Nic jednak nie powiedział.

Zapadło milczenie. Jack odezwał się

dopiero po dłuższej chwili:

— Zauważyłem, iż nie ceni pan zbyt

wysoko admirałów i starszych

kapitanów. Pańskim zdaniem ci ludzie z

reguły nie są wiele warci. Pamiętam, że

kilka razy pozwolił sobie pan na

uszczypliwe uwagi na temat wysokich

rangą oficerów.

— Rzeczywiście. W miarę upływu lat

dzieje się z nimi coś dziwnego. Z

medycznego punktu widzenia to rodzaj

atrofii połączonej z nieodwracalnymi

zmianami w psychice i charakterze.

Według mnie wiąże się to przede

wszystkim z...

— No cóż... — Jack położył dłoń na

ledwie widocznym w mdłym świetle

gwiazd ramieniu doktora.

— Co by pan powiedział, gdyby okazało

się, iż pańskie życie, kariera i dobre

imię znajdują się w rękach takich ludzi?

— Och... — zawołał Stephen. Nie

zdążył odpowiedzieć, gdyż na

horyzoncie, od strony Tangeru, pojawiły
się następujące szybko po sobie
rozbłyski, przywodzące na myśl
uderzające w oddali błyskawice.

Przyjaciele zerwali się na równe nogi,
w nadziei, iż uda im się usłyszeć grzmot
wystrzałów. Wiatr był zbyt silny i na
próżno nadstawiali uszu. Usiedli więc
znowu, z lunetami w dłoniach,
obserwując uważnie morze. Daleko, w
odległości dwudziestu, dwudziestu
pięciu mil na zachód od Gibraltaru,
wciąż przeskakiwały pomarańczowe
ogniki. Z początku ukazywały się tylko
w dwóch oddalonych od siebie o
niecały stopień punktach, zlewając się
niemal w jedno. Po chwili płomyki
rozbłyskiwały w trzech, czterech, potem
w pięciu miejscach. Wkrótce na niebie
rozlała się też nieruchoma
i z każdą chwilą coraz wyraźniejsza
plama czerwieni.

— Pali się okręt — rzekł Aubrey
przerażony. Jego serce biło tak mocno,

że z trudem mógł utrzymać lunetę skierowaną na rozświetlającą horyzont lunę. — Boże, oby to nie był któryś z naszych. Można mieć tylko nadzieję, że zdążą zalać prochownię.

Oślepiający błysk rozjaśnił niebo. Jack i Stephen cofnęli się odruchowo, gwiazdy zgasły na chwilę.

Dopiero w dwie minuty później z oddali doleciał odgłos potężnej eksplozji, zwielokrotniony odbitym od brzegów Afryki echem.

— Co się tam stało? — zapytał Stephen po chwili.

— Okręt wyleciał w powietrze — wyjaśnił Aubrey. Przypomniał sobie scenę z bitwy o Nil, kiedy to „L'Orient” został rozerwany podobnym wybuchem. Wszystko na nowo stanęło mu przed oczami, z mnóstwem straszliwych szczegółów, które wydawały się zapomniane. Wciąż przebywał myślami wśród owych wspomnień, gdy kolejna

eksplozja rozświetliła mrok. Ten
wybuch był potężniejszy niż poprzedni.
Po chwili wszystko umilkło. Nie było
widać najmniejszego nawet światła,
zgasły błyski wystrzałów.

Wiatr stopniowo przybierał na sile,
wschodził księżyc i kolejno znikwały
najśłabsze gwiazdy. Niektóre z
płonących na zboczu ogników powoli
wędrowały w dół, inne pozostały na
miejscu, jeszcze inne wspinały się
wyżej. Jack i Stephen siedzieli nadal
pod skałą i tutaj zastał ich poranek.

Uzbrojony w lunetę Jack wciąż
przeszukiwał horyzont, Stephen spał
smacznie, z błogim uśmiechem na
twarzy.

Nic się nie działo. Puste morze, puste
niebo, cisza. Wiatr znowu osłabł i
zaczął niebezpiecznie zmieniać kierunek,
dmuchając coraz to z innej strony. O
wpół do siódmej Jack odprowadził
Stephena do szpitala, pokrzepił się
filiżanką kawy i ponownie ruszył pod

górze.

Ponieważ często wędrował po zboczu,
znał każdy kamień po drodze, pod
skalnym filarem czuł się jak u siebie w
domu. Wybierał się tam w czwartek po
południu, niosąc z sobą torbę z
żaglowego płótna, do której zapakował
skromną kolację. Na stromym stoku
ujrzał Dalziela, Boughtona z
„Hannibala” i Marshalla. Schodzili z
góry tak szybko, że nie mogli się
zatrzymać.

— „Calpe” wpływa do portu, sir! —
zawołali z daleka i popędzili dalej, mały
piesek skakał dookoła nich z radosnym
ujadaniem.

Heneage Dundas, kapitan słynącego z
szybkości słupa „Calpe”, był
sympatycznym młodym człowiekiem,
lubianym przez tych, którzy znali jego
liczne zalety — wyróżniał się zwłaszcza
znajomością matematyki. Nigdy jednak
nie był bardzo popularnym człowiekiem.

Jack z trudem przepychał się przez

otaczający Dundasa tłum, pomagając
sobie łokciami i w bezceremonialny
sposób wykorzystując swoją tuszę. Już
po pięciu minutach zaczął torować sobie
drogę z powrotem i pobiegł
po ulicach miasta, podskakując radośnie
jak mały chłopiec.

— Stephen! — wykrzyknął, otwierając z
trzaskiem drzwi. — Zwycięstwo!
Chodź, idziemy to uczcić.

Natychmiast... — powiedział głośno i
uściskał doktora z całej siły.

— Co się stało? — zapytał Maturin
zdezorientowany, odkładając skalpel i
przykrywając kawałkiem płótna
mauretańską hienę.

— Chodź ze mną, opowiem ci wszystko
po drodze. Idziemy się napić! — Jack
wyciągnął Stephena na zatłoczoną ulicę.

Wszyscy rozmawiali z ożywieniem,
śmiali się, ściskali sobie dłonie i
poklepywali się po plecach. W dole,
przy nowym nabrzeżu, słychać było
wiwaty. — Chodźmy, jestem

niewiarygodnie spragniony... To Keats

jest bohaterem dnia. Tak! Keats! Cha,

cha, cha. Tutaj, Pedro! Chodź tutaj!

Przynieś nam szampana. Wypijmy za

zwycięstwo! Za kapitana Keatsa i jego

okręt, „Superb”! Za admirala

Saumareza! Pedro! Jeszcze jedną

butelkę. Jeszcze raz za zwycięstwo!

Jeszcze trzy razy!

Hurra!

— Bardzo byłbym panu zobowiązany,

gdyby wreszcie zechciał mi pan

powiedzieć, co się stało —

zniecierpliwił się Stephen. —

Pragnąłbym poznać szczegóły...

— Nie znam wszystkich szczegółów —

wyjaśnił Jack. — Powiem panu

wszystko, co wiem. Ten

wspaniały człowiek, Keats... Pamięta

pan, jak jego „Superb” pomknął do

przodu? Tuż przed północą zrównał się

z zamykającymi szyk hiszpańskimi

okrętami pierwszej klasy. Poczekał na

odpowiedni moment, wyłożył ster na

zawietrzną i wskoczył pomiędzy dwa
trójpokładowce, strzelając salwami z
obu burt. Wyobraża pan sobie?

Liniowiec o siedemdziesięciu czterech
działach rzucił się na te dwa olbrzymy!

Keats popłynął dalej, pozostawiając
między nimi chmurę gęstego jak zupa
dymu. Obie nieprzyjacielskie jednostki
strzelały nadal, rażąc się wzajemnie,
walczyły uparcie w ciemnościach.

Armatnia kula (nie wiadomo, czy
wystrzelił ją „Su-perb” czy

„Hermenegildo”) strąciła stengę

fokmasztu flagowca „Real Carlos”,

fokmarsel spadł na działa i zapalił się

natychmiast. Gdy płonący

„Real Carlos” wyleciał w powietrze,

rozrzucone pod wpływem wybuchu

szczątki wznieciły ogień na pokładzie

„Hermenegildo”. To były te dwie

eksplozje, które wtedy widzieliśmy.

Hiszpańskie okręty płonęły, a Keats

związał walką francuski liniowiec „San

Antonio”, który zmienił kurs i odgryzał

się jak wściekły pies. Po pół godziny
skapitulował, opuszczając banderę, gdyż
„Superb” oddawał trzy salwy burtowe
na dwie salwy Francuzów, celując
niezwykle starannie. Keats objął w
posiadanie zdobyty okręt, a pozostałe
jednostki naszej eskadry dawały z siebie
wszystko, ścigając uciekającą na
północny wschód nieprzyjacielską
flotyllę. Wiał bardzo silny, prawie
sztormowy wiatr. Mało brakowało, a
nasi zdobyliby „Formidable”; flagowiec
admirała Linoisa w ostatniej chwili
zdołał
jednak wejść do portu w Kadyksie. Z
kolei nasz „Venerable”, pozbawiony
masztów, wszedł na mieliznę i
wydawało się, iż jest stracony. Udało
się go jakoś ściągnąć i wraca teraz do
Gibraltaru, prowizorycznie otaklowany,
z wytykiem jednego z bocznych żagli
zamiast stermasztu, cha, cha, cha.
O! Widzę Marshalla i Dalziela, właśnie
gdzieś idą. Ahoj, panie Dalziel, panie

Marshall! Ahoj!

Prosimy do nas, wypijemy za

zwycięstwo!

Na maszcie liniowca „Pompee”

rozwinęła się flaga, zagrzmiało

sygnałowe działo. Starsi kapitanowie

przybywali na posiedzenie sądu

wojennego.

Była to poważna rzecz — pomimo

pięknej pogody oraz radosnego nastroju,

panującego na lądzie i na stojących w

porcie okrętach, musieli zapomnieć o

wesołości. Wsiadali z łodzi z ponurymi

minami, uroczyście. Wszystkich witano z

należnym im szacunkiem, pierwszy

porucznik odprowadzał ich kolejno do

kabiny.

Jack był już na pokładzie. Pierwsza

miała być rozpatrywana inna sprawa: w

zasłoniętej lewoburtowej części jadalni

czekał pewien kapelan — przerażony

człowieczek, chodzący bez przerwy tam

i z powrotem. Co jakiś czas mówił coś

do siebie, składając dłonie. Przykro

było patrzeć, jak starannie był
ubrany i jak pieczołowicie, prawie do
krwi, ogolony. Jeśli bowiem prawdziwa
była chociaż połowa stawianych mu
zarzutów, nie było dla niego nadziei.

Gdy działo odezwało się po raz drugi,
oficer służbowy wyprowadził kapelana i
rozpoczęło się trudne do zniesienia
oczekiwanie — jedna z tych chwil, w
których czas zatrzymuje się, a nawet
zaczyna krążyć w kółko. Obecni w
jadalni oficerowie rozmawiali
przyciszonymi głosami. Wszyscy byli
ubrani niezwykle elegancko, zgodnie z
najdrobniejszymi wymogami
regulaminu. Dzięki pieniądзом z
pryzów mogli pozwolić sobie na
mundury od najlepszych krawców i z
najlepszych sklepów w
Gibraltarze. Czy wynikało to tylko z
szacunku dla sądu? A może w ten
sposób chcieli uszanować tę szczególną
chwilę? Może kierowało nimi
podświadome poczucie winy? Pokora

wobec wyroków losu?

Dyskutowali cicho, spokojnie, co jakiś

czas spoglądając na Jacka ukradkiem.

Każdy z nich został poprzedniego dnia

pisemnie powiadomiony o terminie

rozprawy i z jakiegoś powodu przynieśli

ze sobą te wezwania, poskładane teraz

lub zwinięte w rulon. Babbington i

Ricketts zajęli się potajemnie

wymyślaniem coraz bardziej

ordynarnych przekleństw i sprośności.

Mowett pisał

i skreślał coś na odwrocie kartki, licząc

na palcach sylaby, czasem też bezgłośnie

deklamował. Lucock patrzył prosto

przed siebie, w próżnię. Stephen z

zainteresowaniem przyglądał się

czerwonej pchle, skaczącej zawzięcie tu

i tam po pokrytej kwadratami z

pomalowanego żaglowego płótna

podłodze.

Drzwi otworzyły się wreszcie. Jack

powrócił do realnego świata. Wziął

obszywany złotem kapelusz i schylając

głowę, wkroczył odważnie do kabiny.

Za nim do pomieszczenia kolejno

wchodzili

oficerowie. Zatrzymał się pośrodku

salonu, wepchnął kapelusz pod ramię i

ukłonił się z szacunkiem

— najpierw w kierunku

przewodniczącego, następnie w kierunku

kapitanów siedzących po prawej i po

lewej stronie. Przewodniczący trybunału

skinął lekko głową i pozwolił, by

kapitan Aubrey oraz pozostali

oficerowie usiedli. Krzesło Jacka stało

o kilka kroków przed miejscami dla

innych członków załogi. Siadając,

poszukał odruchowo dłonią rękojeści

nie istniejącej szpady. Sędzia adwokat

odczytywał dokument, na podstawie

którego zwołane zostało posiedzenie

sądu.

Dosyć długo to trwało i Stephen zaczął

wodzić wzrokiem po wnętrzu kabiny.

Przypominała nieco reprezentacyjny

salon „Desaix” (doktor cieszył się w

duchu, że „Desaix” przetrwał bitwę),
była trochę większa, lecz równie piękna
i pełna światła. Ta sama zakrzywiona
linia okien na rufie, te same pochylające
się ku górze ściany i pomalowane na
biało belki nad głową, spinające burty
długim, idealnie wygiętym łukiem.

Klasycznie pojmowane proporcje i
prawa geometryczne niewiele w tym
pomieszczeniu znaczyły. Naprzeciwno
drzwi, równoległe do okien, ustawiony
był długi stół, za którym siedzieli
wydający werdykt ludzie — pośrodku
przewodniczący, po obu stronach starsi
kapitanowie. Ubrany na czarno sędzia
advokat zajmował miejsce przy biurku,
z lewej strony stał mały stolik
kancelisty. Jeszcze dalej po tej samej
stronie znajdowało się wydzielone
linami miejsce dla publiczności.

W kabinie panował posępny nastrój.
Twarze siedzących za lśniącym stołem
ludzi były śmiertelnie poważne, niemal
ponure. Poprzednia rozprawa była

bardzo przykra i wstrząsająca, podobnie
jak wyrok, którym się zakończyła.

Jacka zaciekawili właśnie owe twarze,
na nich skoncentrował całą uwagę.

Patrzył na kapitanów pod światło i nie
mógł dostrzec wszystkich szczegółów.

Widział, iż są surowi i świadomi
spoczywającej na nich

odpowiedzialności: Keats, Hood,
Brenton, Grenville — to ci, których znał.

Czy Grenville rzeczywiście mrugnął
porozumiewawczo jedynym okiem? A
może był to tylko przypadkowy odruch?

Na pewno odruch. Dawanie
oskarżonemu jakichkolwiek sygnałów
byłoby absolutnie nie na miejscu. Co
ciekawe, przewodniczący sądu wydawał
się teraz, po zwycięstwie, o
dwadzieścia lat młodszy. Jego twarz
była pozbawiona wyrazu, zmęczone
oczy nie zdradzały żadnych emocji.

Pozostałych kapitanów Aubrey znał
tylko z nazwiska. Jeden z nich,
leworęczny, dla zabicia czasu rysował

coś na kartce papieru. Twarz Jacka

poszarzała ze złości.

Sędzia adwokat czytał dalej, monotony

głos przypominał brzęczenie pszczoły.

— ...Zgodnie z wydanymi na piśmie

rozkazami utracony słup Jego

Królewskiej Mości miał udać się...

Z posiadanych przez sąd informacji

wynika jednak, iż w przybliżonej

pozycji zero stopni czterdzieści minut

długości geograficznej zachodniej i

trzydzieści siedem stopni czterdzieści

minut szerokości geograficznej

północnej, w pobliżu przylądka Roig,

namiar... — mówił wytrwale prawnik,

zgrupowani w kabinie ludzie rozmyślali

o swoich sprawach.

„Ten człowiek kocha swoje zajęcie” —

stwierdził w duchu Stephen. —

„Szkoda, że tak mamrocze.

Trudno go zrozumieć. Taka wymowa to

przy jego profesji prawdziwa choroba

zawodowa”. Doktor zaczął się

zastanawiać nad innymi skrzywieniami

zawodowymi sędziów, zwłaszcza nad
upośledzającym osobowość
przekonaniem o własnej nieomyślności.

Rozejrzał się znów dookoła i zauważył,
iż Jack nie siedzi już na krześle tak
sztywno jak na początku rozprawy.

Formalności ciągnęły się w
nieskończoność, dowódca „Sophie”
wydawał się coraz bardziej nimi
znużony i poirytowany. Jego twarz
sposepniała, był dziwnie spokojny,
niebezpieczny. W specyficzny sposób
pochylił głowę i daleko wysunął jedną
nogę — ta swobodna pozycja dziwnie
kontrastowała z
perfekcyjną elegancją munduru.

Przecucie podpowiadało Stephenowi,
iż w każdej chwili można spodziewać
się katastrofy. Sędzia adwokat dotarł do
słów:

— ...aby zbadać i ocenić postępowanie
dowódcy słupa Jego Królewskiej
Mości, „Sophie”, Johna Aubreya, a także
by ocenić zachowanie oficerów oraz

załogi wspomnianego okrętu w trakcie wydarzeń, które zakończyły się zatrzymaniem tej jednostki przez francuską eskadrę, dowodzoną przez admirała Linoisa. — Jack opuścił głowę jeszcze niżej.

„Ciekawe, jak daleko można się posunąć w manipulowaniu przyjaciółmi?" — pytał Stephen sam siebie, pisząc szybko na odwrocie kartki z wezwaniem na rozprawę: „Nic nie sprawiłoby panu H większej przyjemności niż niekontrolowany wybuch oburzenia z pańskiej strony w tym momencie".

Podał papier pierwszemu nawigatorowi, wskazując palcem Jacka. Marshall przekazał liścik do adresata, korzystając z pośrednictwa porucznika Dalziela.

Jack przeczytał wiadomość i popatrzył na doktora ponuro. Trudno było powiedzieć, czy zrozumiał, o co chodzi.

Skinął jednak porozumiewawczo głową.

Niemal natychmiast po tym Charles

Stirling, starszy kapitan i

przewodniczący sądu, zakaszał głośno i

zażądał:

— Kapitanie Aubrey, proszę

przedstawić okoliczności, w jakich słup

Jego Królewskiej Mości,

„Sophie”, wpadł w ręce Francuzów.

Jack wstał, spojrzał szybko na twarze

sędziów, nabrał powietrza i zaczął

mówić. Jego głos był

silniejszy niż zwykle, nienaturalnie

chrapliwy, wyzywający. Słowa padały

pośpiesznie, z dziwnymi przerwami,

jakby wypowiedane były do gromady

nieprzyjaciół.

— Około godziny szóstej rano,

trzeciego, na wschód od będącego w

zasięgu naszego wzroku

przylądka Roig zauważyliśmy trzy duże

okręty liniowe i fregatę, najwyraźniej

francuskie... Nieprzyjacielskie jednostki

wkrótce ruszyły za nami w pogoń.

„Sophie” znajdowała się pomiędzy nimi

a brzegiem, od strony wiatru.

Spróbowaliśmy ucieczki, podejmując

wszelkie możliwe kroki:

postawiliśmy wszystkie żagle, użyliśmy

wioseł (wiatr był bardzo słaby).

Okazało się jednak, iż pomimo naszych

wysiłków Francuzi byli coraz bliżej. Ich

okręty rozdzieliły się i żeglowały

różnymi halsami, dzięki czemu mogły

wykorzystać zmiany kierunku wiatru,

przy każdym podmuchu zyskiwała któraś

ścigająca nas jednostka. Wszystko

wskazywało na to, iż nie uda nam się

uciec kursem ostro na wiatr. Dlatego

około godziny dziewiątej wyrzuciliśmy

za burtę nasze działa oraz zapasy.

Skorzystaliliśmy następnie ze sprzyjającej

okazji i gdy jeden z nieprzyjacielskich

żaglowców był już blisko za rufą,

wykonaliśmy niespodziewany zwrot,

stawiając równocześnie boczne żagle.

Znów jednak Francuzi bez trudu do nas

doszli i to bez dodatkowych płócien.

Gdy ich okręt zbliżył się do

„Sophie” na odległość strzału

muszkietowego, około godziny

jedenastej na mój rozkaz opuszczono

banderę. Do tego czasu nasz słup został

trafiony kilkoma salwami burtowymi,

straciliśmy bramstengę grotmasztu i reję

fokmarsła. Kule przecięły też kilka lin.

Jack był świadomy niedorzeczności

swojej przemowy. Umilkł nagle,

zaciskając usta, i stał

wyprostowany, spoglądając prosto

przed siebie. Zaskrzypiało pióro

kancelisty zapisującego szybko ostatnie

słowa: „Kule przecięły też kilka lin”.

Zapadła cisza, przewodniczący spojrzał

na boki, zakaszłał i zadał kolejne

pytanie. Kancelista postawił piękny

zakrętas na końcu poprzedniego zdania i

pisał dalej:

Pytanie sądu: Kapitanie Aubrey, czy

może pan zarzucić cokolwiek swoim

oficerom i załozce dowodzonego przez siebie okrętu?

Odpowiedź: Nie. Wszyscy obecni na

okręcie ludzie pracowali z największym

poświęceniem i dokładali wszelkich starań, aby zapobiec temu, co się stało.

Pytanie sądu: Oficerowie i członkowie

załogi „ Sophie ”, czy macie coś do

zarzucenia waszemu kapitanowi?

Odpowiedź: Nie.

— Proszę, niech wszyscy świadkowie

wyjdą. Na sali pozostanie tylko

porucznik Alexander Dalziel —

poleciał sędzia adwokat. Podchorążowie,

pierwszy nawigator i Stephen znaleźli

się w jadalni. Siedzieli w milczeniu,

daleko od siebie, nasłuchując. Z kokpitu

rozbrzmiewały echem po całym okręcie

przeraźliwe wrzaski pastora, który

usiłował przed chwilą popełnić

samobójstwo; zza drzwi kabiny

dolatały przytłumione odgłosy

toczącej się rozprawy. Wszyscy

poruszeni byli tym, iż Jack jest tak

zaniepokojony, zmartwiony i

poirytowany. Widzieli swego dowódcę

w wielu trudnych sytuacjach —

zawsze zaskakiwał ich kamiennym

spokojem — i niełatwo było im

uwierzyć, że może być czymś

wstrząśnięty. Nagle obudziły się wątpliwości, wahanie. Słysząc było teraz głos Jacka. Mówił głośniejszym niż pozostali uczestnicy rozprawy, z pasją, wyraźnie wymawiając słowa:

— Czy nieprzyjacielski okręt oddał w naszym kierunku kilka salw burtowych i w jakiej znajdował się od nas odległości, gdy wystrzelił po raz ostatni?

Odpowiedź pana Dalziela zabrzmiała jak niezrozumiały pomruk.

— To zupełnie irracjonalny lęk — wyszeptał Stephen głośno, patrząc na swą wilgotną i zimną dłoń.

— To kolejny przykład... Boże, przecież gdyby chcieli go pogrążyć, zapytaliby, jak to się stało, że znaleźliśmy się wtedy w tamtym miejscu. Zbyt mało wiem o morskich sprawach... — Spojrzał w twarz pierwszego nawigatora, szukając poparcia dla swych słów. Niestety.

Twój twarz pana Marshalla przypominała kamienną maskę.

— Doktor Maturin — powiedział

żołnierz, otwierając drzwi.

Stephen wszedł powoli do środka i ze szczególnym namaszczeniem złożył przysięgę, próbując zorientować się, jak przebiegała rozprawa. Kancelista zanotował dzięki temu do końca słowa pana Dalziela i pisał szybko dalej:

Pytanie: Czy nieprzyjacielski okręt zbliżał się do „Sophie”, nie mając postawionych bocznych żagli?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie sądu: Czy ten ścigający was okręt rozwijał większą prędkość niż „Sophie”?

Odpowiedź: Tak, przez cały czas.

Wezwano i zaprzysiężono doktora Maturina, okrętowego lekarza słupa „Sophie”.

Pytanie sądu: Czy oświadczenie kapitana, złożone przed chwilą tu na tej sali, w pańskiej obecności, jest zgodne z prawdą? Czy wasz słup wpadł w ręce Francuzów w takich właśnie okolicznościach ?

Odpowiedź: Moim zdaniem, tak.

Pytanie sądu: Czy wystarczająco

dobrze rozumie pan sprawy morza, aby

ocenić, czy na „Sophie”

podjęto wszelkie wskazane w takiej

sytuacji działania, mające na celu

wymknięcie się

nieprzyjacielskim jednostkom?

Odpowiedź: W sprawach związanych z

morzem i żeglugą orientuję się bardzo

słabo. Wydawało mi się jednak, iż na okręcie uczyniono wszystko, co tylko

możliwe, gdy usiłowaliśmy wymknąć się

pogoni.

Kapitan sterował, a oficerowie stanęli

do wiosł razem z szeregowymi

członkami załogi.

Pytanie sądu: Czy w chwili, gdy

opuszczono banderę, przebywał pan na

pokładzie i w jakiej odległości

znajdowała się wówczas

nieprzyjacielska jednostka?

Odpowiedź: Byłem wtedy na pokładzie.

„Desaix” podszedł do „Sophie” na odległość strzału muszkietowego i

oddał w naszym kierunku salwę

burtową.

W dziesięć minut później zakończono przesłuchiwanie świadków i polecono opuścić salę. Znow wszyscy znaleźli się w jadalni, tym razem nie było problemu z pierwszeństwem w drzwiach, gdyż z kabiny wyszli również Jack i pan Dalziel. Nikt się nie odzywał. Czy ten śmiech rozległ się tuż obok, czy też słyhać było odgłosy aż z oficerskiej mesy stojącego nieopodal „Caesara”? Długa chwila ciszy. Bardzo długa.

Wreszcie żołnierz otwierający drzwi kabiny powiedział:

— Proszę, panowie.

Weszli do środka. Pomimo tylu lat spędzonych na morzu Aubrey zapomniał schylić głowę i uderzył w nadproże z taką siłą, że na drewnianej belce pozostał kawałek skóry i kilka jasnych włosów. Uderzenie prawie oślepiło Jacka, zdołał jednak wejść do środka i stanął wyprostowany przy swym krześle.

Kancelista napisał słowo „Wyrok”,

podniósł oczy, zaskoczony dziwnym,
dudniącym odgłosem, spojrzął znowu na
papier i zaczął notować słowa sędziego
adwokata:

— Wyrok sądu wojennego, zwołanego
na pokładzie okrętu Jego Królewskiej
Mości „Pompee” w zatoce Rosia... Sąd
(po uprzednim zaprzysiężeniu) rozpoczął
posiedzenie zgodnie z rozkazem
podpisanym przez Sir Jamesa Saumareza
Barta, wiceadmirała... Po przesłuchaniu
świadków i
drobiazgowym przeanalizowaniu
wszystkich okoliczności zdarzenia...

Brzęczący, beznamiętny głos mówił
dalej, idealnie zestrojony z
wypełniającym głowę brzęczeniem, i
Jack nie mógł zrozumieć ani słowa.

Widział tylko przez napływające do
oczu łzy niewyraźny zarys twarzy
mówiącego człowieka.

— ...Sąd uznał, iż kapitan Aubrey,
wszyscy oficerowie oraz członkowie
załogi w obliczu zagrożenia dołożyli

wszelkich starań, z największym
poświęceniem próbując nie dopuścić,
aby okręt wpadł w ręce wroga. W ich
postępowaniu trudno doszukać się
jakiegokolwiek winy, dlatego też zostają
oni niniejszym oczyszczeni z wszelkich
zarzutów — powiedział sędzia adwokat
uroczyście. Jack nadal nie rozróżniał
słów.

Niezrozumiały głos ucichł, rozmazana
postać w czarnym ubraniu usiadła.

Aubrey potrząsnął obolałą głową,
zaciskając mocno zęby. Z trudem udało
mu się odzyskać kontakt ze światem. W
samą porę.

Nareszcie widział i słyszał normalnie —
zauważył uśmiech na twarzy Keatsa.

Przewodniczący sądu wstał i wziął do
ręki znajomą, trochę sfatygowaną
szpadę. Trzymał ją rękojeścią w stronę
Jacka, lewą dłonią wygładzając kawałek
papieru, leżący na stole obok
wpuszczonego w blat kałamarza.

Odkaszlnął po raz kolejny i odezwał się

doñośnym, zdecydowanym głosem,

łączącym w równych proporcjach

urzędową powagę i serdeczną

życzliwość:

— Kapitanie Aubrey, z niemałą

przyjemnością przyjąłem decyzję sądu,

któremu miałem zaszczyt

przewodniczyć. Wręczam panu teraz tę

oto szpadę i gratuluję, iż została ona

panu zwrócona zarówno przez wrogów,

jak i przez przyjaciół. Mam nadzieję, iż

już niedługo będzie pan miał okazję

dobyć jej znowu w zaszczytnej walce w

obronie ojczyzny.

scanned by JMT @2004